

JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

BANITA

CZASY BATOREGO

WYDAWNICTWO M. ARCTA

BANITA

BANITA

(CZASY BATOREGO)

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I

WARSZAWA
NAKŁADEM M. ARCTA
1912





DRUK PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-SWIAT 41.

I.

Niemal do końca żywota swojego, Rzeczpospolita szlachecka stała obozem cała, to też nasze dwory i domy, w większej części z drzewa klecone, tymczasowo i niedbale budowane były. Wiele się na to przyczyn składało, a naprzód nawyknienie, które najazdy i ciągła do wojny gotowość wyrobiły.

Szlachcic przedewszystkiem żołnierzem był, na zawołanie na koń siadać musiał... nie gnieździł się więc stale, a znaczna część kraju, na najazdy wystawiona, często ze dworów w lasy i niedostępne trzęsawiska, te twierdze swe jedyne, uchodziła. Dawnym obyczajem, więcej łożono na ruchomości kosztowne, które się przenosić dawały z miejsca na miejsce, niż na siedziby wytworne...

Szlachcic na jednej wioszczynie więcej się jeszcze do strzechy przywiązywał i o nią troszczył, bo ją tylko miał. Wielcy zaś panowie z rezydencyi do rezydencyi k'woli swych interesów, upodobań i stosunków wędrowali.

Zachodziły wozy i sprzęt wszelki ciągnął długim sznurem za panem, albo go poprzedzał. Ławy i stoły znajdowały się wszędzie po dworach, a co potrzebnem było do przybrania, ciągnięto za sobą. Kobierce, opony, naczynie, sprzęt drobny przenosił się łatwo z miejsca na miejsce..

Od mieszkań też nie wymagano wiele,—byle dach nie zaciekał, a piece i kominy nie dymiły. Zimą w tych grubach noc i dzień stróże drzewa dokładali, śpiąc przy nich nawet... W XVI wieku rzadki był dwór pański, z wyjątkiem zamków na krakowskiej ziemi, któryby wygodnym

i pokaźnym mógł się nazywać. Na ladajakiem podmurowaniu lub i bez niego, na mocnych podwalinach, z grubych kłód ułożone ściany z wysokim dachem, najczęściej bez piętra stanowiły pańską siedzibę, mniej więcej rozległą. O powierzchowność wcale się nie starano, aby ją ozdobną uczynić. Chorągiewka z herbem na szczycie stanowiła czasem jedyną ozdobę.

Drzewo było prawie wyłącznie używanym materyałem, już dlatego, że o nie najłatwiej było, a każdy wieśniak cieślą był a lada kto budowniczym,—już dla tej wiary, że w murach, choć suchych, powietrze nigdy zdrowem być nie może.

W czasach, o których mowa, w wielu zamkach królewskich nie było podłóg i zastępowały je tokowiska, skoble i zamki u drzwi proste, stropy z belek i z tarcic układane. Cóż dopiero po szlacheckich dworach?

Gospodarz na siodle lub na dyszlu większą część życia spędzał, a gdy do chaty powrócił, nie potrzebował żadnych wymyślnych przypraw, aby mu ona smakowała.

Zbytek był w odzieży, uzbrojeniu, w jadle i napojach, ale go w mieszkaniach nie było... Dlatego nam tak mało pozostało z nich pamiątek... Lada nieostrożna iskierka obracała te gniazda w perzynę.

Obozował też pan i szlachcic niemal przez życie całe i kaleka chyba, a nieudolny starzec domu mógł pilnować. Kto nie był żołnierzem, służyć musiał jako urzędnik i z miejsca na miejsce się przenosić. Zjazdy też częste, narady, komisye spoczywać nie dawały. Stajnia każdego czasu zaopatrzoną być musiała w konie i wozy, aby na zawołanie pana ze dworem przenieść, gdzie kazał....

I wszystko potrosze w domu do tego rodzaju życia się zastosowywało. Śpiżarnia gospodyni w zapasy była zaopatrzoną zawsze, aby bez nich pan w podróż nie ruszył. Nie było dworu bez namiotu, bo i takie wycieczki się trafiały, w ciągu których na gospody i dwory wcale rachować nie było można..

Nawyknienie do tego ruchliwego życia czyniło je nie tylko znośnem, ale nawet nie jeden tęsknił za niem.... Siedzącego i spokojnego żywota szlachcic nie znosił, a

nie wystarczała mu gospodarka, ani łowy, któremi się rozerwać usiłował.

Pomimo tego ruchu na gościńcach, można powiedzieć, że gospód aż do ostatnich czasów, tak dobrze, jakby nie było. Służyły one tam tylko, gdzie stały osamotnione, od wsi i osad oddalone—szlachcic bowiem zajeżdżał do dworu, a duchowny do księdza.

Niemal ubliżającem dla gospodarza i dziedzica było, gdy kto, nawet zupełnie nieznajomy, pominąwszy dwór, do gospody pociągnął. Po miastach i masteczkach mnogie klasztory dawały chętną gościnę.

Karczma też przeważnie służyła dla chłopa tylko, dla łyków, dla włóczegów, dla gawiedzi tej, która do szlacheckiego świata nie należała.

Wyjątkowo jednak, w głębi lasów, w bezludnych stronach, gdzie od wsi do wsi zbyt długo bez spoczynku jechać było potrzeba, przemyślny izraelita urządzał przystań dla podróżnych... Główną jej część stanowiła szopa ogromna, przytułek w czasie słoty i druga izba, niemniej obszerna, gdzie się wszyscy, jak Bóg dał, mieścić musieli...

Wielkie dwory, nadciągające, obejmowały wszystko pod władzę swoją; mniejszy ludek godził się u jednego stołu i pod jednym dachem. A że każdy mniej więcej wiózł z sobą wszystko, czego mógł potrzebować, i nie spodziewał się dostać po drodze, gospoda taka nie zaopatrywała się w wymyślne zapasy dla podróżnych, Najczęściej oprócz wody, nic w niej dostać nie było można.

Taką przystanią w puszczach Sandomierskich ku granicy Krakowskiego przypierających, była znana wszystkim przeciągającym tędy karczma stara, zwana Borówką.

Powierzchowność jej świadczyła, że mnogie już lata przetrwała, osłonięta lasami, zabezpieczona od wichrów i burzy. Ściany jej z dwu stron już popodpierać musiano, dach się pogarbił i porósł zielono, pomiędzy zeschłem drzewem szczeliny czarne w próchniejących miejscach przepuszczały wiatr i słoty...

Stała samiuteńka jedna, żadnej nawet szopki i kleci nie mając przy sobie, a wyglądała tak czarno, smutno i pusto, jak gdyby w niej już ludzi nie było...

Nowe drogi i gościńce wygodniejsze rzadko tu już podróżnych sprowadzały; jednakże rodzina izraelska, która od wieku zamieszkiwała w Borówce, trzymała się tego kąta, który dla niej stał się rodzinnym...

Nie obawiała się ona ani napaści, ani gwałtu, bo niczem przynęcić nie mogła, będąc sama ubogą. Jak wybladłe cienie przesuwały się, niby wpół uśpione tą ciszą i osamotnieniem, postacie kilku niewiast żółtych i chudych, i dzieci wynędzniałych.

Z czego żyli, było ich tajemnicą, bo zarobek od podróżnych, który mógł się nazwać jałmużną, bardzo musiał być lichy. Dawano postójne niechętnie, a silniejsi i butniejsi od niego się uwalniali, tak, że wiadra chować czasem było potrzeba, żeby grosz jaki zyskać.

Tego dnia jednak wczesnej wiosny trafiła się rzecz niezwyczajna: zrana przybył tabór podróżnych, a w kilka godzin po nim nadciągnął drugi i oba spoczywały. Za czem nadciągnął trzeci, a pod wieczór i czwarty. Wszystko to było pańskie i dość gromadne orszaki, które nie tylko się z sobą godziły, ale zdawały się do jednej należeć rodziny.

Wypadkowe może, czy obmyślane spotkanie to—skłoniło podróżnych do przedłużenia niewygodnego pobytu w gospodzie, której arendarz schować się musiał ze strachu, tak tu ci przybysze własnowolnie a zuchwale się rządzili.

Gdy czwarty oddział nadciągnął już pod noc, gospoda, choć dosyć obszerna, pełniuteńką już była, bo każdy z nich kilkudziesięciu liczył ludzi i niemało wozów i kolebek.

Izbę wielką zajęli czterej przybyli panowie, dla których tu stół gotowano, ławy powyścielano, ogień rozpalono i naznoszono tyle sprzętu podróżnego, ile go stare domostwo, nigdy razem nie widywało.

Panowie wszyscy byli zamożni snać, nawykli do wygód, butni okrutnie, a służba ich tak zuchwała, że gospodarz się pokazywać nie ważył. Nie pytano go też o pozwolenie i rozrządzano się w szopie i po alkierzach żydowskich nawet, jak się podobało...

Staremu Żydowi ledwie szczupłą jedną pozostawiono komórkę.

Wiosna była młoda jeszcze bardzo, więc chłodna i wilgotna, bez ognia dla strawy i dla ogrzania obejść się nie było podobna; rozpalono go też w piecach, na kominach, nakoniec w pośrodku szopy nawet, od którego się ona łatwo zająć mogła, lecz Żyd nie śmiał pisnąć słowa.

Drzewa suchego nie znalazłszy, gawiedź poradziła sobie, ścianę jedną wewnętrzną rozebrawszy w mgnieniu oka, którą na drwa porąbano.

Żydzi przez szpary spoglądali na to gospodarstwo, ręce łamali i lamentowali pocichu; stary może przeklinał tych nieproszonych gości, lecz odezwać się nie śmiał. Z samego głosu i ruchów czeladzi poznał on ludzi, z któremi niepodobna było się wdawać w rozprawy, a prośby mogły jeszcze rozdrażnić.

Modlił się tylko do Pana Boga, aby po noclegu co rychlej go od tej załogi uwolnił. Nie wątpił, że tak wielcy i możni panowie na odjezdnem mu coś rzucą, aleby wolał wyrzec się datku i strachu.

Orszaki panów nie wszystkie były do siebie podobne, ani równie liczne; jeden szczególnie pomiędzy nimi liczbą, uzbrojeniem, końmi i przepychem celował. Ludzie też, z których się składał, dobrani, chłop w chłopa, zdawali się wszyscy do wojaczki stworzeni... i butę mieli okrutną.

Z dosłyszanych tu i owdzie wyrazów, gospodarz się dowiedział, że pomiędzy przybyłymi był kasztelan i inni dostojnicy. Zdawało mu się też, gdy czwarty przybył pod wieczór, że na niego oczekiwano i że zjazd w Borówce umówiony był zawczasu.

Dlaczego jego biedną szopę wybrano właśnie na tę jakąś naradę, Żyd sobie wytłómaczyć nie umiał, ani się chciał domyślać. To pewna, że ani położenie jej, ani droga, przy której leżała, nie usprawiedliwiały wyboru, chyba tylko zupełne osamotnienie wśród lasów, które tu niepostrzeżonym swobodnie i bez oczu ciekawych zejść się dozwalało...

Najliczniejszy i najpokaźniejszy orszak, chociaż

pan jego wiekiem nie był najstarszym, rej wodził widocznie, tak, jak on sam w izbie najgłośniej przemawiał, najserdeczniej się śmiał i najsrożej huczał. Rozmowa bowiem w serdecznych powitaniach rozpoczęta, wkrótce się niemal we wrzawliwy spór zmieniła.

Ci czterej podróżni, którzy wistocie do Borówki się zjechali naumyślnie, aby z podejrzliwych oczu ludzi zszedłszy, swobodnie się o swych sprawach naradzać, byli to czterej z ośmiu niegdyś braci Zborowskich, synów tego Marcina, o którym głośne było onych czasów podanie, iż nigdy w życiu żadnej sprawy w sądach z nikim nie miał, bo jurystów i pieniactwa nienawidził, nienawiść swą posuwając do tego stopnia, iż palestrantów, gdy ich pochwycił, „na rybnych stolech”, wedle wyrażenia Paprockiego, bijał.

Wiadomo, iż rodzina była tak stara, jak sama Polska, ale miała to we krwi ze wszystkiemi Jastrzębcami wspólnego, iż spokojnie darów Bożych używać nie umiała, a burzyła się i zrywała do rzeczy trudnych i wielkich, co prawie zawsze przypłacała boleśnie.

I chociaż ze krwi tej i plemienia wielce rozrodzonego, bo nierzadko Jastrzębcowie miewali po szesnaścioro potomstwa, jak Marcin Zborowski, wyszło wielu mężów Rzeczypospolitej zasłużonych i dostojeństwa wysokie piastujących, nie dobili się oni nigdy do takiego znaczenia, jakie inne rody pozyskały, albowiem, jeśli ojcu się powiodło,—syn najczęściej tracił, co on zdobył i na stanowisku się nie utrzymał.

Z Jastrzębców, tego czasu już rozrodzonych, a mnogie nazwy noszących, od imion posiadanych,—rozsypanych po całym obszarze Rzeczypospolitej z Mazowsza począwszy aż do jej kresów, Zborowscy bodaj nie najznaczniejsze i najwybitniejsze zyskali stanowisko. Ani im majętności rozległych nie brakło, ani koligacyi, które z pierwszemi domy w Rzeczypospolitej łączyły.

Na animuszu też ichmościom nie zbywało, ani na męstwie, i nauki nie brakło, ale wszystko psuła ta krewkość i popędliwość, dla której często jednej chwili tracili, uniósłszy się, co długiemi laty odzyskać się nie dawało.

I teraz właśnie rodzina znalazła się w podobnem położeniu, od czasu onego pamiętnego zabójstwa Wapowskiego i zajścia z panem Tęczyńskim, dla którego Samuel, mimo wdzięczności dlań Henryka króla, z kraju musiał być wywołanym.

Chociaż wiele sobie z tej banicyi nie czyniono, zwłaszcza od czasu ucieczki Henryka, a po obiorze Stefana Batorego,—zawsze wyrok ten, wiszący mieczem Damoklesowym nad głową jego, dawał prawo pierwszemu lepszemu do nastawania na życie.

Tylko, że na Zborowskich się porwać, zwłaszcza na Samuela,—nie lada człeka było potrzeba.

Po ogłoszeniu banicyi, która całą rodzinę i przyjaciół jej przeciw królowi rozżaliła i zburzyła, wyjechał był pan Samuel zagranicę i tułał się, ale pańskim obyczajem z pocztem wielkim, po różnych dworach zagranicą. Wtedy, powiadano, i do Siedmiogrodu do Stefana Batorego zawędrowawszy, miał mu pierwszy poddać myśl starania się o polską koronę i znaczne poparcie swoich zapewnić.

Prawdą to było czy nie, pewna, że po wyborze Stefana, chociaż banicyi z niego nie zdjęto, Samuel po kraju jawnie się nosił, jeździł, na zgromadzenia szlachty bezkarnie się stawiał, a nawet, co królowi tajnem być nie mogło, na wyprawę moskiewską pod Połock z ludźmi się stawił i nikt mu nie rzekł słowa.

Rzec tedy było można, że banicya na nim przyschła i była tylko zagojonej rany blizną. I takąby ona może w końcu się stała, gdyby niespokojny umysł Samuela i braci jego nie rozjątrzył starego bólu na nowo.

Wzrost nagły Zamojskiego, którego Zborowscy pogardliwie „Szarakiem” nazywali, chłodne przyjęcie ich przez króla i odmówienie jurgieltu i urzędów, jakich się spodziewali, — popchnęło Zborowskich do takich kroków, iż z Zamojskim, a przez to i z królem samym w otwartą popadli wojnę.

Wiadomo, jak trudne miał pierwsze początki panowania swego król Stefan i jak tylko z pomocą zręcznego i śmiałego Zamojskiego, a własną energią i tęgością charakteru, potrafił je zwyciężyć i im podołać.

Znaczna część województw w początkach nowego króla znać nie chciała, stojąc przy wybranym Rakuszaninie i dopiero zwycięstwo nad Gdańszczanami odniesione, szczęśliwa wojna z carem moskiewskim, sejmy, mimo burzliwości pokonane, śmiałość postępowania,—szlachtę szemrzącą i niechętną do milczenia i poddania się zmusiły...

Wszystko to solą w oku było Zborowskim. Jeden z nich, najstarszy, Jan, kasztelan gnieźnieński, przy królu dotąd stojący wiernie, do upokorzenia zbuntowanych Gdańszczan wielce się przyczynił.

Żądali więc i za to i za swe usługi przy elekcyi, aby ich dostojeństwy obsypywano i obdarowywano... Oparł się pono temu Zamojski, nie żeby zazdrosnym był, ale że w nich warchołów znał i obawiał się; a chwila była, w której nietyle buty i zuchwalstwa, co karności wielkiej potrzeba było.

Krom więc spokojniejszego Jana, reszta rodu z Samuelem i Krzysztofem na czele, coraz dobitniej i głośniej, nie kryjąc się z tem, przeciwko królowi i Zamojskiemu knuć zaczęła.

Dochodziło to przez usłużnych ludzi do uszu hetmana, a przez niego do króla, ale w początkach gardzono pogróżkami, a śródków żadnych przeciwko językowi rozpuszczonemu nie przedsiębrano, bo dotąd na języku wszystko się kończyło. Ten i ów prawił o spiskach jakichś i opowiadano, że już czasu koronacyi w Krakowie, Samuel rozżalony do króla strzelać chciał i do tego innych namawiał.

Z Zamojskim, okrom Jana Zborowskiego, żaden z nich nie przestawał i ogłosili hetmana za nieprzyjaciela rodu swojego, nie szczędząc mu potwarzy.

Im Zamojski więcej rósł i wyżej się podnosił, a królowi był milszym, bo prawą jego ręką był i pierwszym sługą a przyjacielem,—tem nienawiść ku niemu rosła w sercach panów Zborowskich. Stał przed nimi żelazny ten mąż, jak zapora, przez którą do majestatu dostąpić nie mogli.

Donoszono hetmanowi, co knowali i jak się odgrażali

Zborowscy, szeptano im, jak wzgardliwie te pogróżki przyjmował—i obie strony coraz więcej animozyi przeciwko sobie nabierały. Jeden tylko Jan gnieźnieński wiernie po stronie królewskiej stał, lecz choć pragnął braci pohamować —nie zdołał.

Wojna z Moskwą właśnie pokój z Turkami i Tatarami czyniła pożądanym, gdy Samuelowi niespokojnemu przyszła myśl opuścić kraj, iść na Niż do kozaków i próbować, ażali mu się nie uda, nad nimi władzę sobie wyrobiwszy, z tą potęgą stanąć królowi w poprzek jego zamiarów...

Jak zawsze Samuel był gorącym i niecierpliwym, gdy mu myśl jaka zła czy dobra, w głowie zaświtała, tak i teraz, naprzód ludzi swych ku Niżowi sprawiwszy, aby rozpatrzyli się między onem kozactwem,—gdy mu nadzieję przyniesiono, że tam wiele uczynić było można męstwem a szaleństwem i twardem życiem, na które Samuel rad się ważył, począł głośno i jawnie na Niż się zbierać i ludzi ściągać.

Była to w życiu Semka chwila taka, o której on sam czuł i wiedział, że szalę na stronę wielkiej fortuny lub zguby przeważyć mogła. Za młodu wszystkiego zażywszy i nadużywszy aż do szaleństwa, poczynał czuć gorycz we wszystkiem, nic mu już nie smakowało, co dla niego było dostępnem.

Na sumieniu, jak ludzie powiadali, a co nikomu tajnem nie było, wiele miał. Trojga dzieci matka, żona jego, umęczona niesprawiedliwemi doniesieniami i podejrzeniem, obchodzeniem się nieludzkiem przywiedziona do rozpaczy i choroby, zmarła była; wspominając ją często, łzy miewał na oczach, a jedyną córkę, jaką mu zostawiła, bardzo do niej podobną, czule kochał, choć i synom miłości nie skąpił.

Było to serce równie do nienawiści namiętnej, jak do miłości szalonej skłonne, a że go nigdy hamować ani próbował, ani umiał, ani teraz mógł; wiodło go ono, gdzie chciało—równie na dobre drogi, jak na manowce.

W godzinach, gdy go ogarniał szał, a człek mu bodaj palca zakrzywił, ubić był gotów bez rozmysłu, a potem za

ada usługę po królewsku nagrodzić i życie ważyć przez wdzięczność.

Złym i zepsutym dotąd nie był, dopiero go gryząca przeciwko Zamojskiemu nienawiść i złość bezsilna poczynała psować—a wpływ też brata Krzysztofa na nim się odzywał.

Nim go tu bliżej poznamy, o tym bracie najmłodszym słowo powiedzieć należy.

Zarzucano wiele Samuelowi, bo na oku był, a od zabójstwa Wapowskiego smutnej nabrał sławy i sądzono go do wszelkiego zła skłonnym. Prawda, że pomiarkowania nie miał, że gęby nie strzymał tak samo, jak ręki, że często więcej nią grzeszył, niż czynem, a dwór jego i przyjaciele, sądząc, że go wynoszą, wieszali na nim najgorsze łachmany wymysłów własnych; — ale z całą szparkością i krewkością, butą i porywczością zachował Samuel w sobie coś szlachetnego i w pierwszej chwili zawsze ku dobremu go serce wiodło, choć potem głowa na bezdroża wpędzała.

Wielce do niego na oko podobny Krzysztof, bo i z twarzy i z ducha, z mowy i z ruchu Samka przypominał daleko od niego był gorszym. Temu chciwość i ambicya godziny spokojnej nie dawały, a zawiść serce mu jadła, gdy cudze powodzenie widział; wreszcie tego był przekonania, że gdy się człek *per fas et per nefas* wysoko dobił, wszystko mu będzie przebaczone. Dla sukcesu gotów był też na wszystko.

Wiedzieli szczególniej bracia, że Rakuszaninowi służył wiernie i płacić sobie kazał za to, bo na grosz chciwym i łakomym był niepomiernie; chodziły pogłoski nie próżne, że z carem moskiewskim miał konszachty... Ale gdy Ościka ścięto, a ludzie się przekonali, że król Stefan i w karmazynach chodzącej zdradzie nie folguje, uciszono te wieści, bo to gardłem pachniało...

Ci, co go lepiej znali i wiedzieli, co zacz był, mówili, że tak samo dyabłu by służyć był gotów, byle mu jurgield i bogactwa zapewnił.

Taż sama gorąca i niecierpliwa natura, która u Samuela wybuchała niepowstrzymywana, kipiała i w Krzysztofie, ale zamknięta i zduszona. Z mowy tylko i ruchów gorączkowych poznać było można, iż się nieustannie hamować musiał, chytrości zażywając, jak ten, co kilku panom na raz służąc, nie radby się wydać ze sromotnem swem zdradziectwem.

Jeżeli kto, to on najwięcej Samuela jątrzył, a rad go był za swe narzędzie używać, nie dając mu tego poznać, podsuwając myśli, które za Samuelowe głosił, choć mu je narzucał.

To też jak było z tą sprawą niżową, Bóg jeden tylko wiedział, kto ją pierwszy podniósł, choć się nią teraz Samuel, jak dziecko lalką nową, zabawiał i z nią nosił.

Spiski też owe, trucizny i zasadzki na króla i hetmana, o których tyle mówiono, nie zrodziły się w umyśle Samuelowym, który prędzej z nieprzyjacielem wstępnym bojem, niż pokątnem knowaniem rad się był rozprawiać.

Ale Krzysztof umiał wmówić w niego, co chciał, i kota, jak zażądał wywracać, tak, że bratu białe czarnem, a czarne jasnem potrafił okazać.

Lekkomyślny i namiętny Samko, gdy raz pochwycil co z ust brata a do serca wziął, jeszcze bujniej się to w nim rozrastało.

Najstarszy Jan, o którym wspominaliśmy, że mu król pokonanie Gdańszczan zawdzięczał, mąż był już dojrzały i uspokojonego ducha, choć miał tęż samą krew, męstwo i żywość umysłu, co i bracia. Raz na inną wszedłszy drogę, już z niej nie zbaczał, stale się wytkniętej trzymając.

Co bracia jego na szarpanie się namiętne zużywali, Jan na stateczne postępowanie w jednym kierunku obracał. Był też i królowi miłym i Zamojskiemu niepodejrzanym, chociaż nie można rzec, aby blizkie pokrewieństwo z Samuelem i Krzysztofem na niego cieniu pewnego nie rzucało.

Musiał się tem baczniej pilnować, tem jawniej postępować, iż każdy wątpliwy krok nieprzyjaciele rodziny Zborowskich przeciwko niemu też obrócić byli gotowi. Wiek w nim nieco krew ostudził, i już mu łatwiej dozwalał na wybranem trzymać się stanowisku.

Chociaż go ono w antagonizmie jawnym z braćmi stawiło, Jan nie rozbratał się wcale z nimi, utrzymywał sto-

sunki i spodziewał się wpływem swoim powstrzymać, gdyby niebezpieczeństwo groziło, ratować, gdyby w nieszczęście popadli. Rzadki bowiem naówczas przykład był, aby się rodzina, nawet różniąca się przekonaniami, rozpadła i nieprzyjaznie przeciwko sobie występowała. Węzeł starodawny, święty, łączył z sobą rodzeństwa, a nawet dalsze gałęzie i odrośle z jednego pnia pochodzące.

Można więc wystawić sobie, jak bolesnemi dla Jana były wieści, które u dworu i po kraju o jego braciach chodziły, przypisując im straszne zamachy przeciwko panu i przeciw ulubieńcowi jego, hetmanowi. A im większej nabierały one dosadności, tem Jan bolał mocniej.

Wreszcie pogłoska, iż Samuel na Niż się wybiera w chwili, kiedy szło o pokój z Turcyą, który łacno lada ruch kozacki mógł zakłócić, skłoniła Jana, jako głowę rodziny, do powołania braci na zjazd i radę, bo się spodziewał powagą swą warchoła powstrzymać, a podżegacza Krzysztofa zastraszyć. Obu ich znał nadto dobrze, aby to łatwem sądził, niemniej sumienie kazało próbować, bo rodzinie groziła zagłada i sromota.

Niechętnie może zgodzili się bracia na ten zjazd potajemny, który inaczej, jak za oczami, w puszczy, odbyć się nie mógł, boby zaraz języki złośliwe poruszył i jako nowy spisek rzucanoby go im w oczy

Przybywał, oprócz wymienionych i czwarty brat, Andrzej, którego inaczej oznaczyć nie można, tylko jako pośredniego charakterem pomiędzy Janem a Krzysztofem.

Za młodu we Włoszech wychowany, ogłady wielkiej, potem dworzanin cesarza Maksymiliana, czem się rad chlubił, sprzyjał po kolei przy elekcyach, to książętom włoskim, to Rakuszaninowi, ale i przeciwko Batoremu osobiście nic nie miał, choć go za małego panka uważał i lekko cenił.

Życie znacznie w nim namiętności przytępiło, ale dumą urósł wysoko i umysłem się nad rodzeństwo uważał wyższym, chociaż więcej ogłady miał z pozoru, niż istotnej wyższości. I on też dotkniętym się czuł, nie piastując nic nad marszałkostwo nadworne, które ledwie za szczebel do wyższych dostojeństw uważał.

Pomiarkowania i wstrzemięźliwości słowa nauczył go za młodu pobyt na cesarskim dworze, więc też z niego myśli prawdziwej nie było łatwo wydobyć inaczej, tylko naturę Zborowskich w nim budząc i drażniąc miłość własną.

Wybuchał i on, bo miał też samą krew, co i bracia, ale się rychlej hamował i nie puszczał sobie cugli, a nawet gdy się unosił, dworacka ogłada za daleko mu się posunąć nie dopuszczała.

Ponieważ wszyscy się oni z sobą kochali, więc też i Andrzej Samuela w wielu jego postępkach rozgrzeszał, bronił go i żarliwie stronę utrzymywał. Z Janem byli chłodno, ale szanowano w nim głowę domu. Zdanie marszałka niewiele może między braćmi ważyło, ale je szanowano i dlatego zjazd się bez niego obejść nie mógł.

II.

Wielka izba gospody w Borówce, okopcona, ze ścianami, które od dymu palonych tu wieczorami skałek, miejscami czarno niemal połyskiwały, wszystkim czterem braciom służyć miała za obozowiska W kominie i piecu palące się ognie, których czeladź pilno strzegła, aby nie wygasły, oświecały ją nierównym, migocącym blaskiem.

Wzdłuż ścian, u ław i na ławach służba panów Zborowskich poskładała odzież, futra, płaszcze, kobierce, oręż kosztowny i co z wozów zdjąć dla użycia kazano.

Cztery kupy te, każda oddzielnie, tak się od siebie różniły, jak ich panowie. Najskromniejszą była najstarszego z nich, Jana;—najnieporządniej narzuconą, ale najwytworniej błyszczącą Samuela. Ten bowiem, jak o głodzie i chłodzie wesoło wytrwać umiał, gdy było potrzeba, czego przy wojsku dał dowód,—tak czasu sposobnego niczego sobie nie żałował, a gdy ptasiego mleka zażądał, lub czegoś, coby na wagę złota nabywać trzeba, mieć musiał.

Przychodziły mu takie fantazye co do stroju, który raz niepomiernie bywał świetnym, to grubym, prostym i zaniedbanym. Z orężem też bawił się, można było powiedzieć, jako dziecko, bo mu niekiedy hiszpańskich zbroi szmelcowanych było potrzeba, za które pożyczanym groszem przepłacał, to potem wschodnie szable skupywał, albo płatnerzy z Niemiec sprowadzając, wedle własnego pomysłu kuć i szmelcować kazał.

A co jednego dnia za ostatni grosz nabył, często nazajutrz, gdy go kto prosił, oddawał, już żadnej do zdobyczy tej nie przywiązując wagi.

Takim we wszystkiem był ten człowiek!

Kasztelan gnieźnieński wiózł z sobą tylko to, co niezbędne dla wygody potrzebnem było; na okaz nic nie miał, ale mu za to nie brakło na tem, co w niepewnej porze roku zdrowie zachować mogło.

Podróżne przybory marszałka odznaczały się wytwornością skromną, lecz wszystko tam było jaknajlepsze, najdroższe i wypróbowanej wartości.

Wreszcie sakwy i rzeczy pana Krzysztofa chyba się ten odznaczały, że w nich widoczne skąpstwo obok chęci popisu biło w oczy. Więc nie doborem, ale jaskrawością a lichotą podróżne przybory pana brata Samuela do śmiechu pobudzały, co Krzysztofa do gniewu doprowadzało.

Ponieważ na pustyni nic się znaleźć, nawet chleba, nie spodziewano, każdy wiózł z sobą zapas spiżarniany: kołacze, baryłki z winem, każdy miał kuchtę między czeladzią i wóz dobrze nabity. Ale pan Samuel z tą butą, która go odznaczała, oświadczył zaraz, że choćby nazajutrz głodem miał mrzeć, on dziś panów braci do swojego stołu zaprasza.

Okazało się, ż ena jego wozach była zwierzyna, marynowane ryby, solone i wędzone mięsa, wina i miodu poddostatkiem. Nawet zastawa stołowa, jak na podróżną biesiadę za wytwórną uchodzić mogła. Misy i półmiski cynowe, takież talerze i dzbany, kształtami pochodzenie swe niemieckie zdradzały. Do wina kubków srebrnych pozłocistych i dzbana podobnego nie brakło, a nawet obrus niejednejby gospodyni zazdrość obudził. A gdy misy i półmiski na stół przynosić zaczęto, rozeszła się taka nęcąca woń korzennych przypraw, iż się jej oprzeć było trudno.

Wspaniale tak i po pańsku występować lubiał Samuel, ale służba świadczyła, że czasu podróży lub łowów całe dnie o suchym chleba kawałku spędzał, a głód znosił tak wesoło, jakby mu to zwycięstwo nad sobą wielką sprawiało radość.

Od pierwszego powitania, bracia prócz tego, co się ich osób i rodzin tyczyło, nie rozpoczęli rozmowy o tem, co ich tu sprowadzało. Chociaż wszyscy taką tylko służbę i czeladź mieli tu z sobą, której się strzedz wcale nie potrzebowali, woleli za konsensem powszechnym odłożyć rozprawę do chwili, gdy dwory i czeladź z kolei do jadła zasiędą i podchmielą sobie, aby ich zbytnio nie podsłuchiwali i nie szpiegowali.

Zeszło więc tak do wieczora późnego przy kubkach na obojętnym gwarze o pospolitych sprawach, choć i tu o królu i hetmanie nie zapomniano. Naostatek podniósł się z ławy Jan, kasztelan gnieźnieński i posiwiałą głowę musnąwszy dłonią, okiem rzuciwszy dokoła stołu, przy którym siedzieli, ozwał się półgłosem:

— Czas do rzeczy przystąpić... Pozwaliśmy cię tu Samku w sprawie tego Niżu, o którym ludzie już plotą, że się tam na przekorę królowi wybierasz. A po co go nam przeciwko drażnić, gdy i tak dosyć ma niechęci, i co imię Zborowskich nosi, już mu podejrzane. Przytem z tego, co o Niżu wiemy, trudno wam wróżyć sukcesu. Zawichrzyć tam łatwo, a z chłopstwem ladajakiem, choćby hetmaństwo nawet od niego czekało, nie przystało Zborowskim wchodzić w przymierza.

Samuel słuchał, uśmiechając się i twarz mu drgać zaczynała, bo już pilno mu było wystrzelić odpowiedzi. Wszelako bratu starszemu chciał się dać wygadać.

Jan prędko skończył.

— Jeżeliś miał tę myśl na Niż do kozactwa jechać, rzuć ją z lichem,—na nic się nie zdała...

— A wy skąd panie, kasztelanie, ów Niż znacie że o nim tak prawicie, jakbyście tam byli i naocznie się

przekonali, że ono kozactwo do niczego? Chłopi są, mówicie? są i chłopi, nie przeczę, ale swobodni, a swoboda to wielka mistrzyni, daje im takiego ducha, jakiego niejednemu szlachcicowi przyszłoby im zazdrościć. A no nie samo tam chłopstwo na tych ostrowach i po tym stepie się zbiera; siła jest naszych braci, którzy doma sobie przykrzyli, albo od pomsty i sromoty głowę ratując, pouciekali.

— To pewna, że ono kozactwo odważne, sprawne i na lądzie i na wodzie—wojownicy dzielni i tylko wodza im brak, aby z nich siłę stworzył, która nie samemu Turkowi i Tatarzynowi straszną będzie...

Przytem ich ostrowy i kamysze są taką twierdzą, że tam ich ścigać i dobywać nie może nikt... bezpieczni są. Co za dziw, że się takiemu wojsku hetmanić zachciewa!

Ono to jest ciasto, z którego dobra gospodyni kołacz upiec potrafi!

— A ty tą gospodynią być myślisz?—podchwycił z litościwem niedowierzaniem kasztelan—Znamy się przecie i ja ci wielkich przymiotów męstwa, rzutkości, rycerstwa zaprzeczać nie myślę, a no, abyś na wodza miał po trzebne kwalifikacye, tego i miłość braterska nie potrafi przyznać.

Samko się cały poruszył i zadrgał, jakby go smagnięto.

— Myślicie tak, boście mnie wodzem nie widzieli—zawołał—ale ja w sobie czuję to, panie bracie, że czem zechcę być, tem potrafię.

— Dużoś rzekł—odparł Jan spokojnie—a daj Boże aby w tem, choć odrobina prawdy była. Jabym się temu cieszył, Bóg świadek. Pierwsza, czem nie potrafisz być choćbyś chciał, to być—karnym i posłusznym!

Samuel rozśmiał się, rozbrojony.

— Ba!—zawołał—na to zgoda... A no, Zborowskich we mnie krew. Jarzma ona nie cierpi!

— A o tem nie wiesz—rzekł Jan—iż kto słuchać nie umie, ten rozkazywać nie potrafi.

— Kto to powiedział?—chmurno zapytał Samuel.

— Doświadczenie wieków—dodał kasztelan.

— Może ono być rzetelnem—przerwał Samuel chmurno,—ale się stosuje do ludzi pospolitych. Nie zaprzeczycie mi, że są wyjątkowi, że takim ze krwi rodu hetmań[illegible]o się należy, a nie posłuszeństwo. Ja w sobie czuję, że do gminu się nie liczę.

— Nikt z nas też—dodał Andrzej—nie zechce do niego należeć, i pan kasztelan też pewnie nie ostatnim się czuje.

Zamilkli wszyscy.

Rozmowa dotąd pomiędzy Samuelem a Janem zagajona nie weszła na tor właściwy i kasztelan, zrozumiawszy to, zwrócił ją w inną stronę.

— Mniejsza o hetmaństwo—rzekł—i o to, czem się kto czuje; nas tu wspólna sprawa familii ściągnęła. Za tego panowania, na którem najpiękniejsze pokładaliśmy nadzieje, stoimy z każdym dniem coraz gorzej. Nie mówię tego o sobie, bo się trzymam, jako mogę, aby i was w potrzebie ratować, ale wy wszyscy poszliście takiemi drogami, które do zguby wiodą.

Samuel i Krzysztof spojrzeli na siebie i porozumieli się wzrokiem. Chciał mówić Samuel, lecz postrzegłszy, iż Krzysztof do odpowiedzi się gotuje, zamilkł, oczy zwracając na niego.

— A kto nas na te drogi wpędził? — zawołał Krzysztof.—Nie dobra wola, a konieczność; prześladowano nas, prześladują, a co za dziw, że na wszelki sposób bronić się usiłujemy?

Wyrazy te wymówiwszy tonem umiarkowanym, w którym pewien przymus i powstrzymanie się czuć było, nagle pan podczaszy rzucił się, jakby ciężar jakiś z ramion strząsnąć chciał, wlepił oczy w kasztelana i począł, głos podnosząc:

— Co my tu z sobą, pomiędzy braćmi w ciemną babkę grać będziemy! Ja się za język kąsać nie myślę i wolę odrazu z serca zrzucić, co na niem mam. Pomiędzy nami, kasztelanie, choć bracią jesteśmy, przepaść się otworzyła. Wy tego wilka siedmiogrodzkiego, tego przeklętego Węgra, który na zgubę naszą na tron się wdrapał, wenerujecie i słuchacie, wy do jego rady należycie, wam

wszystko dobre, co on czyni, albo hetman służka jego... a my,—myśmy ich nieprzyjaciele, wrogi zdeklarowane i z tem się przed wami taić nie myślimy.

Choć twarz mu się krwią oblała, Jan wybuch ten przyjął z powagą wielką, nie sierdząc się, gdy w Krzysztofie już paliło się i kipiało.

— Mówicie my, panie podczaszy—odparł zimno.— Któż to z wami, azaliście wszyscy tego przekonania?

Samuel pierwszy butnie krzyknął:

— Ja z Krzysztofem trzymam. Wrogi to nasze są, mało tego, wrogi są wolności naszej i Rzeczyspospolitej, okiełznać nas chcą i w kajdany zakuć!

Andrzej, który oczy miał spuszczone i namyślać się zdawał, dodał z kolei:

— Prawdę mówi! Temu zaprzeczyć niepodobna, że oni prawa i przywileje nasze łamią i depcą. Co im sejm? co im uchwały? Baliśmy się Rakuszanina, cesarza, że na nasze swobody czyhać miał, a gorzej się stało, żeśmy to małe i ubogie książątko wzięli, bo ten z mocą hetmana wprost do *absolutum dominium* kroczy. Toć to jawne. A jakże my to znosić mamy? Albośmy to jedni? Spojrzyjcie po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej i posłuchajcie. Jeden jest głos: jeżeli król pożyje a potrwa, wiekowe nasze *libertates* przepadną. Do tego wszystko jawnie zmierza.

Kasztelan się zmarszczył, głową potrząsał.

— Mam ja też oczy—rzekł;—prawa tej Rzeczypospolitej a nasze tak mi są drogie, jak i wam, tego zaś, co mu zadajecie nie widzę. Groził bunt Gdańszczan, za któremiby poszło Pomorze. Co miał czynić król? dla warcholącej szlachty dać nam przepaść? Musiał przebojem iść, aby Rzeczpospolitą ocalić i ocalił ją, i orężowi jego Pan Bóg pobłogosławi. A gdzież są te swobody, które wam odjęto?

Krzysztof ledwie mu dał dokończyć, zapalił się okrutnie.

— Wyście, panie bracie, już ich, nie nasz—krzyknął— ślepi jesteście dobrowolnie, trudno wam oczy otworzyć! Niebywałe rzeczy dzieją się u nas. Ścięto Ościka, na innych się odgrażają, że im też na gardło nastaną. Pospolite ruszenie zwołują samowolnie, pobory dawać zmuszają, a już

im dawnego żołnierza, co przez tyle wieków bronił i zasłaniał, nie dosyć, zaciągi robią z prostego chłopstwa, cudzoziemców jurgieltami zwabiają, piechoty jakieś wystawiają. Na nieprzyjaciela to potrzebne, mówią, przeciwko twierdzom jego... a co innego myślą. Żołnierz obcy, gdy siła go będzie na nas się obróci i szlachtę zdusi. Jako żywo go nie przeciw Moskwie zbierają, ale przeciwko nam. I my to cierpieć mamy, nie myśląc zawczasu o obronie? Ha! ha!—rozśmiał się podczaszy.

— Wymysły to są i potwarze — odezwał się kasztelan. — Ja z wami o tem rozprawiać nawet nie myślę, bo nie widzę niebezbieczeństwa, a patrzę na tryumfy. Połock odebrany.

Chciał mówić dalej, ale mu Krzysztof nie dopuścił.

— Tak samo, jak wam z nami, tak nam z panem kasztelanem spierać się trudno, bośmy dwu obozów ludzie, a one nieprzejednane są. Wasz pan wrogiem jest naszym i my się z tem nie taimy, że przeciwko niemu cokolwiek możemy czynić, przedsiębrać, cokolwiek na jego szkodę zgotować potrafimy,—nie omieszkamy!

Samuel potwierdził żywo:

— Jam tejże wiary, co i Krzysztof—zawołał—a mam może ku temu jeszcze większe, niż on, pobudki. Któż to pierwszy temu wilkowi, gdy siedział w swej jamie, myśl tę poddał, że się o tron polski kusić może i ku niemu obrócił ludzi? Skorzystał z tego,—Bóg zapłać mi nie powiedziawszy.

— A gdybyśmy byli Rakuszanina się trzymali i na tron go podnieśli—wtrącił Krzysztof,— dopierobyście widzieli, jakby nasza rodzina urosła! Mybyśmy teraz i hetmańską buławę i krakowską pieczęć mieli, nie licząc pieniędzy i starostw. Mybyśmy tu rej wiedli, jak nam zdawna należy.

Andrzej głowę skłonił.

— To pewna—rzekł,—że on nam żadnych nie przyniósł korzyści. Hetmanów u nas takich siła, pieniędzy nie dał, bo ich sam nie ma a zapożyczyć się musi, przymierza i siły żadnej nam nie dał.

Samuel się złośliwie uśmiechnął.

— A no, uczynił nam to dobrodziejstwo wielkie, że

starą królewnę, której nikt nie chciał, zaślubił. I to mu się policzyć powinno, bo żona nie do zazdrości i nic mu po niej.

— W miejsce jej znajdzie sobie w Grodniedziewkę— rzekł Krzysztof—a siła takich na dworze ma, co mu ją przywiodą, tak jak nieboszczykowi Zygmuntowi prowadzili, aż te czarownice i lubownice życie z niego wyssały.

Kasztelan z pogardą głowę odwrócił, nie chcąc nawet odpowiadać, więc Krzysztof, coraz bardziej poruszony mówił dalej:

— Jeżeli wy nas, panie kasztelanie, nawrócić myślicie na wiarę waszą, kortezańską, mylicie się srodze. Nie pójdziemy z wami, ale przeciwko wam, a wszystko, co na wilcze zęby potrafimy, czynić nie omieszkamy.

Spokojnie się podniósł z siedzenia Jan i przez okno, niedaleko będące, na ciemną noc spojrzał, jakby dnia szukał, mówiąc:

— Ja tu z wami nie mam już co czynić, a buntowniczych mów waszych słuchać mi grzeszno. Czyńcie, co się wam spodoba, kiedy was do rozumu i statku przywieźć nie można, a będzie-li z tego srom i nieszczęście—nie moja wina, umywam ręce.

— A nie myślcie, że wy z waszymi pokątnymi kontraktami i spiskami coś zdołacie. Mają na was oko, chodzą za wami i koło was ludzie... żadnego nie uczynicie kroku, aby o nim nie doniesiono, bo Zamojski wie dobrze, co o nim i o królu trzymacie. Więc to wam zapowiadam głośno i wyraźnie: naprawić się nie chcecie, ja z wami nie trzymam. Boleje serce braterskie, ale Bóg świadkiem, że gdym uczynił, co powinność nakazywała, dla miłości waszej dalej nie pójdę.

— Nie chodzi tu o samą miłość naszą, panie bracie, począł na nowo Krzysztof—ale o naszą Rzeczpospolitą całą, którą na turecki regiment chcą przerobić, na co my, choćby gardła przyszło dać, nie pozwolimy.

— Gardła dać łacno—rzekł kasztelan, wzdychając— dał je Ościk... nie pofolgują i panom Zborowskim, gdy się okaże, iż podczaszy do cara listy posyła...

Krzysztof się zarumienił i milczał.

Małoć było z cesarzem knować i Rakuszaninowi służyć—ciągnął dalej kasztelan—z Moskwą też wchodzisz w traktowania...

— Nieprawda!—bąknął podczaszy.—Żadnych jeszcze umów nie było, a gdy się zgłaszają koronowani, przecież milczeniem ich zbyć nie można.

Kasztelan ręką rzucił, jakby dzisiejszy spór za próżny uważał.

— I rakuszanina i cara moskiewskiego bym wolał— mówił dalej podczaszy,—niżeli tego cygana, który nam nie przyniósł nic, krom pięści.

— Zdałaćby się ona i na warchołów—zamruczał Jan,—lecz co o tem z wami rozprawiać. Dajmy sobie pokój. Dla mnie, co król czyni, dobrem jest i zbawiennem,— dla was zgubnem! Przybyłem na zawołanie, jak mi powinność krwi nakazywała, bom starszy w rodzie i głową waszą, ale słowa moje, jako groch o ścianę; marnować ich nie myślę.

To mówiąc i już trochę zniecierpliwiony wstał, w ręce klaskając na czeladź.

Ta chociaż w pobliżu była, ale właśnie biesiadowała, i choć kasztelan po kilkakroć powtarzał niecierpliwe klaskanie w dłonie, nikt nie nadchodził.

Dopiero, w chwili uciszenia, usłyszał ktoś i wbiegł wyrostek z czeladzi pana Samuela.

— Wołaj mi Kubełkę mojego!—odezwał się kasztelan.

Milczeli wszyscy, gdy się zjawił stary sługa.

— Jak świt mi konie gotować—rzekł Jan do stojącego u progu.—Napoić i karmić zaraz, abym nie czekał. Wracamy pilno.

I ucichł.

Po odejściu sługi czas jakiś jeszcze trwało milczenie, ale z ruchów pana Samuela i Krzysztofa, widać było, że na siłę się powstrzymywali od sporu ze starszym bratem, który obu rękami wsparłszy się na stole, zadumał się, oczu nawet na nich nie zwracając długo.

Dopiero po tym milczącym przystanku, kasztelan się do Andrzeja zatopionego w sobie obrócił.

— Ani Samuela krwi gorącej, której impet już przypłacił—rzekł poważnie—ani młodemu podczaszego rzucaniu się bez rozwagi, nie dziwuję się, ale wy też z nimi trzymać myślicie?

Pan Andrzej usta podniósł i zwrócił się ku kasztelanowi.

— Wy to wszystko—rzekł—na karb krewkości kładziecie, a nie widzicie tego, że oni nie jedni są przeciwko królowi i hetmanowi. Mało rzeknę, gdy połowę Rzeczypospolitej do naszego obozu zaliczę. Milczy wielu, bo im strach zamyka usta, ale myślą tak, jak my, a pośliznęłaby się jeno stopa Węgrowi, dopiero byście posłuchali co o nim trzyma szlachta i jak go kocha.

Tyran jest, samowolnik, ciemiężnik. Nie okiełznał nas jeszcze, bo czasu nie miał, a no poczekajcie mało, ani się spostrzeżecie, jak popadniemy w niewolę. Kajdany nam kują jawnie, a my tego widzieć nie chcemy. Wskazywał pan Krzysztof na owe piechoty cudzoziemskie i chłopstwo, zaciągane do wojska, nie przeciw komu, tylko na zgubę naszą. Dlatego na nowe pułki pieniędzy nie żałują, bo one przeciw swobodzie naszej stają. Wybije godzina, rozpędzą radę i sejm i za łeb nas pochwycą.

Jakże my się nie mamy bronić i wszelkich środków zażywać, aby ta wolność, na którą wieki pracowały, dla dzieci się naszych uchowała.

— Wolność, ale nie swawola—podchwycił kasztelan.—Jakze my przeciwko naszym nieprzyjaciołom obronić się potrafimy, gdy w domu posłuszeństwa i ładu nie zrobimy?

— Tożeśmy wieki tak przetrwali—zawołał Andrzej.

— I Połock stracili, który w rękach Moskwy przez siedmnaście lat zostawał, i pokoju nie mieli, nigdy na granicach; Tatarom się opłacać przyszło, a z Wołochy nic poradzić nie umieliśmy. Ale to jest król i pan, który poprzysiągłszy *intergritatem* Rzeczypospolitej i rekuperacyę, i chce swojej przysiędze uczynić zadość.

Andrzej się rozśmiał, głową potrząsając.

— Jużci Sygoniuszowemu uczniowi a padewskiemu rektorowi na argumentach nie zbraknie, aby się oczyścić—rzekł szydersko—ale to blichtr jest a despotyzm jawny nam grozi...

— Dlatego też,—wybuchnął gwałtownie Krzysztof—co w naszej mocy jest, czynić będziemy, aby się i pana i sługi pozbyć. Wszystko nam dobre, bo o Rzeczpospolitą idzie. Zbrodniarzy, sidła na nią zastawujących, wolno tak zgładzić w obronie praw naszych, jak pospolitego złoczyńcę.

Kasztelan, słuchając, obie ręce podniósł ku niebu, jakby je na świadectwo wzywał, ale nie odpowiedziawszy nic, dłońmi sobie uszy zatknął, aby dalej nie słuchać co nie powstrzymało Krzysztofa, który ciągnął dalej.

— Nie o Samuela banicyę, nie o sponiewieranie rodziny naszej mścić się będziemy, boby to prywatą było, choć i ta człowiekowi krewkiemu wybaczona, ale niewoli cierpieć nie chcemy i nie możemy!

— A któż was stróżami swobód uczynił i polecił wam pilność nad niemi?—zapytal kasztelan. Są na to senatorowie i rada, są sejmy...

— A gdy senatorowie ujęci lub zastraszeni, rada milczy, sejmy napróżno rekryminują, bo ich wcale słuchać nie chcą, więc każdy pojedyńczy człek, miłujący kraj, powinien go ratować—rzekł Samuel.

— Samku!—z pewnem szyderstwem przerwał kasztelan.—Samku! nie ubieraj się ty za instygatora przeciw drugim, gdy sam na sobie tyle masz, że nie wiem jak to dźwigniesz... Wielkie słowa, ale prywata z nich patrzy, choć się jej zapieracie.

— Ja się jej zapierać nie będę—począł Krzysztof.—Królem się on zowie, choć nie wiem, czy tego imienia godzien, ale ja go człowiekiem tylko widzę przeciwko sobie i nieprzyjacielem. Trafiałem do niego różnemi drogami,—znać nas nie chce, odpycha... więc ja to mam zjeść i strawić, a upokorzyć się? Nigdy w świecie. Wypowiedział mi wojnę, nam wszystkim wojnę, będzie ją miał.

— Na proch i miazgę was zgniecie!—zawołał kasztelan, którego głos przybrał żałosną intonacyę.—O! bracia moi najmilejsi!—Skruszyć się dajcie i opamiętać, proszę was! Dusza moja przeczuwa klęski straszne i sromotę dla

rodu naszego wielką, którą upór nierozumny ściągnąć może. Dajcie mi się ubłagać, uprosić, bo nie narzucam wam woli mej, choć głową jestem, ale proszę i suplikuję, zaniechajcie tych odgróżek, tych knowań i wyzywania, albowiem klęskę wywołacie. *Vana sine viribus ira*, a gdzież siły wasze? Ani wy, ani my wszyscy, gdybyśmy naszych powinowatych, Jordanów, Stadnickich, Tarnowskich, Ossolińskich pościągali, gdyby oni wszyscy z nami iść chcieli, ale nie pójdą, nie uczynim mu nic, zgniecie nas... Nie pracujcie na własną zgubę.!

Błagającym tonem, niemal płaczliwie, a z powagą rodzicielską, łamiąc ręce, mówił kasztelan, ale na żadnym z braci wrażenia nie uczynił. Samuel nieznacznie się uśmiechał, Krzysztof miotał niecierpliwie, Andrzej siedział zimny i wcale nieporuszony.

Poczekawszy chwilę, a widząc, że się tu już niczego spodziewać nie może, westchnął stary, sparł na ręku i zmienionym głosem spytał Samuela:

— A dzieci twoje kędy są? Wiedzą one o tem, że się ty kozackiemu motłochowi w ręce dobrowolnie rzucasz, że na kresy idziesz bez siły, jaka tam potrzebna, gdzie lada kupa z Budziaku wybiegła—o wolność i o gardło i o całe mienie cię może przyprawić, bo uchowaj Boże niewoli, bez okupu nie puszczą. Cóż na to synowie twoi, co twoja ulubiona Anusia?

Zmarszczył się, nagle zmitrężony wielce tem pytaniem Samuel.

— Ja się dzieci nie zwykłem radzić, gdy mam co poczynać—rzekł dumnie,—boć więcej rozumu nademnie nie mają.

— Ale ich miłość ku wam natchnęłaby radą dobrą—rzekł kasztelan.—Chcesz je więc przed czasem sierotami uczynić?

Ruszył ramionami pan Samuel.

— Tej ja aprehensyi, na Niż się wybierając, wcale nie mam—odparł.—Ginąć nie myślę, ale się salwować. Cóż jeśli kozaków ujmę i pod buławę swą zaprzęgę? Natenczas i król i Rzeczpospolita pokłonić mi się będą musieli, bo im pod bokiem siadłszy, albo dokuczyć lub usłużyć

potrafię. W kraju mnie znać nie chcą, miejsca tu dla Samuela niema,—poszukać go więc musi, choćby między tymi zbiegami, którym głowa i wódz potrzebny

A nie myślcie, aby kozactwem tem pogardzać się godziło; wiem, że go siła jest po ostrowach na Dnieprze, a czajki ich, gdy je trzciną obszyją, na morze wybiegają i Turkom dojadają i łupy zagarniają wielkie, a w skarbcu u nich może więcej złota i srebra, niż w naszym koronnym, który pożyczkami zasilać się musi.

— Jeżeli myślicie, że ja pozyskanie sobie onego hetmańslwa kozackiego mam za rzecz małą a lekką,—mylicie się. Wiem dobrze, iż nie zdobędę władzy nad nimi, nie przymarlszy głodem i nie folgując ich grubym obyczajom, alem się na to z góry ważył.

Kasztelan słuchał cierpliwie.

— Bóg z tobą—rzekł—chcesz na Niż,—choć powrócisz z niczem, a daj Boże, z życiem tylko, wola twoja. W tem jeszcze tak wielkiego grzechu nie będzie, samowola tylko i buta szlachecka... a no przynajmniej spisków, konszachtów i owych knowań pokątnych, o które was obwiniają, zaniechacie. Ciągle na was donoszą, że to truciznę gotujecie, to zasadzki układacie, to się z nieprzyjacioły znosicie. Skończy się na tem, że jedna kropla przepełni naczynie i ty, Samku albo Krzychnik (tak w rodzinie zwano Krzysztofa) nałożycie głową.

Podczaszy się rozśmiał.

— Ja swej bronić będę—rzekł,—a gdy mi tu za gorąco będzie, zjadę do cesarza, w którego służbę jestem wpisany, lub choćby do moskiewskiego.

— Cóż z szalonym rozprawiać!—westchnął, powstając z ławy, kasztelan.—Jam tu już niepotrzebny, swoje spełniłem.

W oknie wczesny brzask dnia wiosennego sinem światełkiem się zwiastował, ale pora się obiecywała wilgotna i słotna. Niebo było obłokami zaciągnięte.

Znużony czuwaniem, kasztelan kazał sobie zagrzać winnej polewki, a Samuel, nowy dzban małmazyi postawiwszy na stół, sobie i braciom, krom Jana, ponapełniał kubki i wesoło pił po cichu za zdrowie przyszłego pana he-

tmana niżowego. Stuknęli nimi aż zabrzękły i pan Samuel, swój duszkiem wypiwszy, natychmiast go na nowo napełnił.

Kasztelan już całkiem był zajęty swym wyborem w drogę, nie na pogróżkę tylko objawiwszy postanowienie odjechania od braci. Widział on, że tu już nic nie pocznie, a sprzeciwiając się im podrażni tylko. W milczeniu naprędce polewkę wypiwszy, gdy stary sługa się zjawił u progu, opończę, lekkiem futerkiem podbitą, podać sobie kazał.

Bracia patrzali na tę ucieczkę obojętnie, ani się go wstrzymywać starali. Owszem, wesołość pana Samuela rosła, bo się swobodniejszym czuł, gdy starszy brat z rozumem i rozwagą swą odjedzie.

Żegnali się milcząco, ledwie sobie ręce podawszy. Dopiero przeprowadzający do progu Samko czuł się wzruszonym, gdy już Jan, którego nawykł był, jak ojca szanować, miał wynijść. Rzucił się go ściskać serdecznie, ale zapóźno... Kasztelan przyjął tę czułość zimno, nałożył kołpak na głowę i w chwilę potem kocze jego, konie i wozy i on sam już ciągnęli drogą ku Krakowu.

Trzej bracia pozostali sami na Borówce.

III.

Gdy owego mentora nie stało, zaraz jakby wiatr inny powiał po trzech młodszych; wielki kamień spadł im z piersi.

Samuel, który żegnając w progu kasztelana, powieki miał zwilżone, otarł je raźno, bo u niego płacz i śmiech chodziły łacno w parze i naprzód kubek wychyliwszy, głos podniósł.

— Niech zdrów jedzie stary, który się już do tych dzieł nie zdał, gdzie potrzeba żywszego animuszu. Wiek ma prawa swoje; myśmy, chwalić Boga, jeszcze inni,

to też swobodnie się teraz naradzić, nic nie zakrywając możemy.

Nie tylko on, ale i pan Andrzej, który wprzód wzrok trzymał spuszczony, a mówił niewiele, spojrzał śmielej. Krzychnik wstał i pasa rozwiązał.

— Na kasztelana—rzekł—ja tyle tylko rachuję, że gdybyśmy popadli w matnię, bronić nas będzie i nie opuści, choć z nami nie był... a do roboty ciemnej on się nie zdał. My zaś teraz innej, jak ciemną, podejmować nie możemy, bo nam jasną zasieczono.

Złowrogo prorokuje Jan, ale on z innej strony na to patrzy i tego, co my, nie widzi. Kręci się tam, kędy około króla i hetmana poszłuszni sami słudzy, a my widzimy i słyszymy, co się po obszarze tej Rzeczypospolitej dzieje. Płacz i zgrzytanie zębów. Żaden z królów się na to nie ważył, co ten goły pan o wilczych zębach. A no nie byłby on taki, gdyby nie szarak, gdyby nie pan Zamojski! Ja spełna nie wiem, kto z nich panuje i czy Zamojski hetmani u Batorego, czy Batory u Zamojskiego! Bez niego onby kroku nie stąpił. Gdyby dziś się udało Zamojskiego zgładzić, jutroby albo Batory do Siedmiogrodu uchodzić musiał, albo innym być i tak nam skakać, jako my mu zaśpiewamy.

— Święta prawda—potwierdził Andrzej, — ale na hetmana się porwać trudno, bo wszędzie swoich ma i szczęście mu sprzyja, a na męstwie i chytrości mu nie zbywa.

— Choć trudno, przecie się ich pozbyć musimy, *periculum in mora*—zawołał Krzysztof—a nie, to nas w chłopy obrócą. Co tu szeroko wykładać,—widzicie sami. Te pułki chłopskie i cudzoziemskie, niech co chcą gadają, że im piechota potrzebna, a szlachcic z konia zsiadłszy, do niczego... te pułki na nas są wymierzone... nimi, gdy wskażą, mogą i sejm rozpędzić.

— Nie ważą się!—zamruczał Andrzej.

— Odwaga ich rośnie przez naszą głupią pokorę—ciągnął dalej Krzychnik. Dziś się nie ważą może, ale za jutro nie ręczę.

— Zważcież, co czynili po moskiewskich wyprawach, aby despekt starej szlachcie wyrządzić. Posłuchaj-

cież pana Bartosza Paprockiego, gdy liczyć zacznie, ile oni tam na poczekaniu nowej szlachty nakreowali z łada drukarzy i puszkarzy, mieszczaństwa i gminu. W zawody król swoim herbem, Zamojski połowicą swego obdarzał, a to wszystko dlatego, aby z tych łyków wiernych sług sobie pomnożyli. Mają oni prawo do tego, czy nie, — nie pytają,tak jak i w innych sprawach;król i hetman,okrom swej woli, mało kogo do rady przypuszczą. Czem to pachnie, to my wiemy, ale nie my też jedni, mamy takich dość, co z nami trzymają.

Po całym kraju malkontentów siła—dodał Andrzej — temu zaprzeczyć nie można, ale trwogę taką rzucili na ludzi Ościkiem, a hetman tak głośno zapowiedział, że nikogo szczędzić nie myślą, iż teraz ci, co najwięcej ich nienawidzą, najpodlej milczą.

— Bo się nie mają do kogo przyłączyć, a sami słabymi się czują—odezwał się Samuel. — Ja na Niż, bo to już u mnie postanowione, a Krzychnikowi przypada w domu motać i gotować.

— Jakby było z kim—westchnął podczaszy,—jam nie od tego. Choć jeszcze nie wiem sam, na czyją korzyść i stronę się przechylę i działać będę, ale to pewna, że spać się nie położę. Na cesarskim dworze, jakom miał związki, tak je zachowałem, z moskiewskim począłem zmowy, ale przez posły wilk nie tyje—nie wiedzieć skąd wziąć ludzi,a do Moskwy się boję gorzej może, niż do Turka. Sprawa nie łatwa. Teraz jeszcze to widmo Ościka stanęło na granicy i odstrasza.

— Czyż dlatego opuścić ręce?—począł Andrzej.

W czasie tej rozmowy żywo prowadzonej, Samuel, którego już poważniejsza jej treść nudzić poczynała, siadł nad kubkiem, pił i nucił sobie jakąś piosenkę. Znużonym był.

Krzysztof dopiero ożywiać się poczynał.

— Ja jestem dobrej myśli—mówił dalej.—Gdy nie dziś, to jutro dobra nasza! Choćby panowanie trwało jakiś czas, a juści je i skrócić można (tu odkaszlnął znacząco), nic po niem nie pozostanie. Cudu tego nie dokaże Batory, aby potomka po sobie zostawił—to darmo! Po

nim Rakuszanin gotowy i nauczony rozumu, a z nim my. Królowa jejmość, choćby króla przeżyła, wpływu takiego, jak za elekcyi Henryka, mieć nie będzie. Doczekała się tego, że ją wybrano i na tronie osadzono, a co jej po tem?

Gdy nie panowała, więcej władzy i znaczenia miała, niż teraz, a wie o tem, że ją pan Zamojski pozbawił wpływu na męża, to też nie cierpi go. Można się domyśleć, że siostrzeńca będzie się starała wprowadzić na tron, ale się to nie uda, a gdyby się powiodło, Zamojski już przy nim się tak rządzić nie będzie, jak za Batorego. Przestrzega młokosa, pierwsza ciotka, aby się za czupryne wziąć nie dał. Wszystko to więc przemijające i przyszłość nasza! dokończył Krzychnik.

— Albo, albo—z odrobiną sceptycyzmu wtrącił Andrzej.—Jeśli się ten stan długo przeciągnie, łatwo rachuby twoje chybić mogą. Oni z każdym dniem siły nabierają, a szlachta słabnie. Albo to wy nie znacie panów braci naszych, którym byle się dać wykrzyczeć,—będą potem głosowali i na pobór i na pospolite ruszenie. Pod koniec zmiękną, gdy im będzie pilno do bigosu i do piwa albo do jejmościnej pierzyny.

Rozśmiał się Samko.

— Dośćby już tego—przerwał.—Anoby coś weselszego przystało.

— Nie pora—rzekł Krzychnik;—obradźmy naprzód to, z czemeśmy tu ściągnęli. Wierzymy wszyscy, iż pozbyć się potrzeba albo króla, albo pana hetmana, lub obu społem.

Andrzej głową, a Samuel głosem potwierdził wniosek.

— Samko na Niż ciągnie, wy, bracie Andrzeju, do tegoście niesposobni, na mnie więc spada wszystko. Nie wymawiam się, ani wyrzekam, choć nie wiem, jak się do tego wezmę, przy tem jednem stojąc, abyście mi, popadnęli w biedę, w pomoc przyszli i nie opuszczali.

Ruszył się marszałek, z gotowością oświadczając:

— Bądźże pewien, że pójdziemy z tobą—zawołał— nie opuścimy cię. Więcej powiem, że Jan, choć nam sojusz wypowiedział, od rodziny się nie odłączy, więc bądź spokojny.

— Mnie znasz—dorzucił Samko.—Jam twój, a rozumu, choć go siła nie mam, mienia, jakie pozostało, i zdrowia nie będę skąpił. Czyń tylko co można, abyśmy się panowania tego zbyli.

— Mówiliście—rzekł po pewnem wahaniu Andrzej, który się do Krzysztofa przysunął,—że z tego panowania nic nie pozostanie, bo juści potomstwa spodziewać się śmiesznemby było, ale oni też mądrzy są. Zamojskiemu władza zasmakowała, kto wie, jakie myśli po mózgu mu się zwijają. Niedaleko od tronu stoi, może mu się zda. że na osierocony wdrapać się potrafi!

Samuel i Krzychnik razem zakrzyknęli:

— Niedoczekanie szaraka!

— Posłuchajcie ino, jak się on do tego bierze—ciągnął dalej po cichu Andrzej.—Tajemnicą to jest jeszcze dla wszystkich, alem ja tego nie wymyślił, wierzcie mi. Ma synowicę Bątory. Hetmanowi dawno pierwsza żona umarła; to pewna, że się myśl narodziła jeszcze go zbliżyć do tronu, dając mu królewską, jakby córę przybraną. Co wy na to?

Samuel i Krzysztof zarówno zdumieni spoglądali po sobie niedowierzająco, słuchali, ale wiadomość ta nie uczyniła na nich zbyt wielkiego wrażenia, bo ją za zmyśloną mieli.

— Baśń ktoś splótł—rzekł Krzysztof.—Gdzie to słychana rzecz, aby król poddanego tak z sobą spoufalal, ośmielał i łączył.

— I mnie się zda, że to przyjaciele szaraka wymyślili—zawołał Samko.—U nas o synowicy królewskiej nikt dotąd nie słyszał. Zamojski sam tej myśliby się powziąć nie ważył, a król...

— Król nim tylko żyje!—rzekł Andrzej.—Bez niego kroku nie stąpi, bez rady jego papieru nie podpisze, kraju nie zna, ludzi nie rozumie, więc ślepy; chłopu, co go prowadzi, gotów ostatek oddać, aby go do przepaści nie ściągnął. Gdy się tak małżeństwem zwiążą, łacno potem przyjdzie hetmanowi, buławę rzuciwszy, po *sceptrum* sięgnąć.

Na długą chwilę wszyscy zamilkli. To, o czem mówił

Andrzej, nikomu jeszcze wiadomem nie było. Zaledwie w głowie króla zrodziła się ta myśl, której podobno pierwszym twórcą był zmarły brat, co sobie wielce upodobał hetmana. Tak dziwnie i nowo to brzmiało, tak zdawało nieprawdopodobnem a grożącem, iż nawet Samuel, nie lubiący rozmyślać, czas jakiś siedział, zatopiwszy się w sobie.

— Proszę was, abyście o tem nie głosili—odezwał się Andrzej po przestanku.—Wieść to jest, która łacno hetmanowi u ludzi większy jeszcze mir wyjednać może, więc nie nam z nią chodzić i wybębniać.

— Tembardziej—dodał Samko—że ja jej nie wierzę jeszcze, a gdy uwierzyć będę musiał...

Rzucił się niecierpliwie na siedzeniu, wypił nalane wino, napełnił kubki.

— Spocznijmy i niech nam głowy odejdą—zawołał—zażyjmy czasu! Co u licha, wędzić się tak ciągle tym czarnym dymem złych myśli nie można. Mam z sobą Wojtaszka! Chcecie, zawołam go, aby na lutni nam zagrał i pieśń jaką zaśpiewał? Kto Wojtaszka nie słyszał i nie zna, nie może powiedzieć, aby prawego cytarzystę i śpiewaka znał, bo jemu równego niema!

— Jam ci się na dworze u księcia Ferrary i po innych włoskich dosyć nasłuchał ich—odparł prawie obojętnie Andrzej—nie ciekawym tak dalece.

— A ja też u cesarza, który się we wszystkich kunsztach kocha, nie małom ich spotykał; nie sądzę, aby twój domorosły Wojtaszek tamtym dorównał.

Obraził się Samuel.

— Nie domorosły jest—począł gorąco,—bo to obieżyświat i choć młody, dużo widział, a dziwowano mu się zagranicą. Jadł bestya chleb nie z jednego pieca, począwszy od P. Maryi w Krakowie i księży Bernardynów, kędy mu już habit nadziano, ale go niedługo nosił. Wychwalać go nie będę z innych zalet, bo łotra kawał jest i szubienicy wart, ale gra i śpiewa jak anioł.

Chociaż epizod ten z Wojtaszkiem, nagle obok najpoważniejszej materyi do myślenia dającej wtrącony, mógł braci zdziwić — kto znał Samka fantazye, nie zdu-

miał się temu wcale. Tak samo nieraz, gdy wszyscy traktowaniem najważniejszych spraw zajęci bywali, Samuel, przez okno konia zobaczywszy, dla niego wszystko porzucał, długo nigdy nad niczem wytrwać nie umiejąc.

— Mnie teraz twój Wojtaszek nie w porę, nawet ciekawości nie budzi—przerwał Krzychnik.—Co mi tam. Batorówna mi w głowę zajechała.

Z upartym Samkiem ciężko się sprzeczać było. Nie zważając na Krzychnika, począł na głos wielki wołać swojego lutnisty. Ten się może spodziewał, iż pan bez niego i bez pochwalenia się z nim nie obejdzie. Był więc w pogotowiu.

Obaj bracia podnieśli ciekawy wzrok, gdy wchodził. Mężczyzna to był może lat trzydziestu, wielce urodziwy, a snać urodą swą chełpliwy, blondyn z włosami długimi, puszczonymi w pukłach na ramiona i w stroju włoską modą. Na twarzy pięknej, ale bladej i zmęczonej, duma jakaś, zarozumiałość, pogarda ludzi i miłość własna nadto się wyraziście malowały.

Choć pokornie się panu skłonił, bo z Samkiem żartować nie było zdrowo, ani mu się stawić okoniem, widać było, iż go to poniżenie chwilowe kosztowało wiele. Lutnię, której nigdy nie rzucał i teraz miał na ręku.

Skinął coś, poszepnąwszy cicho Samek i dodał głośniej:

— Zaśpiewaj co wesołego, bośmy się zachmurzyli, jak to brzydkie niebo dzisiejszego poranku, a pochwal się, że ani księcia Ferrary, ani cesarskim lutnistom nie dasz się wyprzedzić.

Wojtaszek, nic nie mówiąc, tuż przy drzwiach na ławie miejsce zająwszy, lutnię podstrajać zaczął, palcami przebiegł po jej strunach, na pana spojrzał, który mu głową dał znak i zanucił.

Grał na lutni towarzysząc sobie ze sprawnością tak wielką, iż poniekądby kunsztem tym głosowi swemu krzywdę mógłby czynić, gdyby w istocie nie był czysty, silny a wprawny tak, iż odrazu po nim mistrza było poznać.

W tej karczmie pustej, ten śliczny dźwięk dziwnie się

rozchodził i sprzeczał z lichą gospodą, która go nie była warta.

I pan Andrzej i Krzychnik wistocie melodyą głosu zachwyceni zostali, bo się nic podobnego nie spodziewali, ale i piosenka, która wesołą być miała, treścią ich swą zajęła. Była ona żalem opuszczonej małżonki, szydersko wymyślonym tak, aby Anny Jagiellonki dolę smutną malował.

Usiłowała ona niby powstrzymać przy sobie męża, który najróżniejsze zmyślał potrzeby, aby się od pieszczot jej uwolnić. Więc jechał na łowy, potem na wojnę, znów na radę, na nabożeństwo, a jedna strofa parodyowala skargę nieszczęśliwej królowej, druga — obawę małżonka, aby nie był zmuszony ze starą czarownicą pozostać.

Paszkwilusz to był niegodziwy, który nietyle kunsztem i poezyą, co wielką złośliwością i grubijaństwem, osłoniętem niby, się odznaczał. Wywołał on śmiech wielki Krzychnika, półuśmieszek Andrzeja i kubek wina od Samuela. Ale zaledwie się skończył. Samek drugiej pieśni zażądał.

Lutnista nim mu ją podyktował, sam począł, a jaką miał myśl, wybierając ją, on tylko wiedział; ale zaledwie się ona odezwała, nagła zmiana powlokła lice pana grubym smutkiem. Zmarszczył czoło, spuścił głowę, a niemiał odwagi zakazać lutniście, aby śpiewać się nie ważył dalej.

Wojtaszka posądzić było można prawie o chęć jakiejś zemsty nad własnym panem.

Zagadkowa to była piosenka, niby wesoła, hulaszcza, rozpasana, a rozpacz z niej i ból tryskał taki, że się płakać chciało słuchając, choć każda zwrotka do kielicha i do szału wołała.

Po Krzychniku nawet dreszcze poszły jakieś i z litością spojrzał na Samka, który słuchając wił się z bólu. Wiele aluzyi zrozumieć w niej było trudno, równie jak zuchwalstwa śpiewaka, który nią pana swojego częstował.

Samuel porwał się nareszcie z siedzenia i zakrzyknął:

— Dość! precz!

Lutnista nie dał sobie powtarzać rozkazu, urwał na-

gle i zniknął za drzwiami. Można go było posądzić, iż piosenkę wybrał umyślnie, aby prędzej był odprawionym.

Po wyjściu jego długo pan Samuel pozostał przybity. Wrażliwa jego natura nie dawała mu się uspokoić.

— Lutnisty ci powinszować—odezwał się marszałek.—Słyszałem wielu i przedziwnych, alem lepszego i we Włoszech, gdzie o głos piękny nie trudno, nie spotkał. Tylko sobie pieśni dobiera nie szczególnie wesołych.

— Na przekorę mnie—rzekł, mrucząc gniewnie Samek.—Trzymam go siłą, mocą, radby się na swobodę wyrwać, więc mi doskwiera jako może, choć go złotem obsypuję. Mściwy i zły jest. Wie on, że na dwór się gdzieś dostawszy, lepiejby niż u mnie opływał, i ja to wiem, ale puścić mi go żal. Są chwile w życiu, że się pieśni potrzebuje jak chleba i powietrza. Wojtaszka tego pilnować muszę i wiem, że wkońcu mi się wydrze, ale póki mogę...

Zbój ten i pieśni sam układa—dalej mówił.—W domu co jest niewiast wszystkie za nim giną i to niemiła rzecz, bo ich i jego pilnować potrzeba...

— A co ci po pieśni!—odparł pogardliwie Krzychnik—czasem jej posłuchać, toć jeszcze, ale się za nią ubiegać, gonić i dla niej trzymać nieznośnego człowieka, na to chyba Samka potrzeba.

— Tak!—potwierdził Samuel.—Znam to do siebie. Słabości mam niemęskich wiele, dziwactw od młodości panujących nademną nie zliczyć. Dziś nawet, gdym za nie krwią i łzami dużo płacił, pozbyć się ich trudno. Trują one życie, ale podczas osładzają je. A potem, jam taki człek, że gdy na mnie przyjdzie godzina, chwyta mnie niby jakaś siła nieczysta i rzuca mną, gdyby szalonym. Naówczas ja sobą nie władam, zabijam, choćby swoich, we krwi się pławię, gotówem palić i mordować, choć wiem, że jutro płakać na to będę.

Westchnął.

— Choroba to, czy nałóg?—mówił dalej.—. Ludzie prawią, że gdy nieboszczka matka ze mną chodziła, zadano jej coś takiego, żeby szalonego męża na świat wydała. A nicby to nie było, gdybym szalonym ciągle był

i tego do siebie nie znał, ale ja wiem, co czynię, a wstrzymać się ani myśleć, bom nie duż.

Jak gdyby ta pieśń Wojtaszka, za którą tęsknił i braci nią chciał częstować, całkiem umysł chmurą zawlokła, zmieniło mu się usposobienie i z ochoczego stał się posępny, a prawie sierdzisty. Co widząc bracia, że go znali, nie przeciwili mu się, milczeli, dawali żółć tę i gorycz z siebie zrzucić.

Patrzał tedy na te drzwi, któremi się Wojtaszek wymknął i już jakby o wszystkiem innem zapomniawszy, tylko o nim i sobie coraz coś pomrukiwał, zwracając się do Krzychnika, który lepiej od Andrzeja był w jego naturę wtajemniczony.

Wskazał na drzwi, pochylając się ku bratu.

— Zobaczycie, zobaczycie tego Wojtaszka, ja mówię wam, na tem się skończy, że albo on mnie, albo ja jego o gardło przyprawię. Za wiele on rzeczy o mnie wie, ba, wszystko! myśli moje z gniazda wykręca, tajemnice mi z pod serca dobywa, a ja jego czasami, jak psa nienawidzę, czasem, jak własne dziecko miłuję. Wiem, że zły człowiek jest, że sposobności tylko czeka, aby mnie zdradzić, a zbyć się go nie mogę.

Twarz Samuela gorączkowo się mieniła i mówił coraz żywiej, trzęsąc się, niespokojny.

— Mam siedem zabójstw na duszy mojej, a tych, których z namowy mej ludzie dokonali i siedemdziesiąt siedem liczyć mało... mogę więc ósmego wziąć,—niewiele zacięży. Zabiłem Trepkę, w las go wywiódłszy dlatego, że sprawę mą z nieboszczką żoną podpatrzył, a wołał o pomstę, iż ją niesprawiedliwie zbiłem... Czemużbym i Wojtaszaka, który więcej wie, nie miał uśmiercić?

Zwrócił się z tem pytaniem do Krzychnika, który namarszczywszy się, odparł.

— W takich razach o radę nie pytają nikogo. Co mi do Wojtaszka! Pilniej się nam innego zbyć, a nie wyrostka, któremu nikt wiary nie da.

Pan Samuel, już myślami snać daleko pobiegłszy, mówił nawpół do siebie:

— Trepka mnie we śnie prześladuje. Przychodzi nie-

mał co noc i odgraża się; zabiłeś ty mnie potajemnie, ciebie zamordują publicznie i sromotnie!

Za duszę żony modlę się, zakupiłem Mszy siła, a i ta mi pokoju nie daje. Tej mi samemu żal, bo niewinną była, a przez zdrajcę Turczyna i tę niewiastę, gorszą od żmii, zginęła. Wojtaszek to wszystko wie i moją mękę zna, a nią się napawa, jakby miód pił. Kandyan też na mnie jako na szaleńca i gwałtownika skarży za niedźwiedzia. Dominikanie za tego, com go wywałaszyć kazał, ale mu się to należało, bo dla nabożeństwam go trzymał w domu, a on mi dziewczęta jejmościne psował. Com się nie miał pomścić?

Wstał mówiąc to, nalał sobie wina znowu raz i drugi, pijąc już sam, ani Krzychnika, ani marszałka nie prosząc, bo się zupełnie zapomniał..

Wtem dzień się już dobry robić zaczął, czeladź spała, a im na sen się nie zbierało. Siedzieli wszyscy. Andrzej opowiadać zaczął, że głodny był. Skoczył więc pan Samuel budzić swoich, aby podawali co prędzej takie jadło, jakie pod ręką się znalazło i wina siła. Ochotę bowiem miał do picia niepomierną.

Ktoby go pod ten czas widział, a nie znał tak, jak go bracia znali, musiałby za szalonego mieć, bo raz sam do siebie mówił, śmiał się, to w głos narzekał, to się odgrażał, a ludzie i sprawy przeszłe i teraźniejsze mieszały się w tej nieporządnej mowie, że połapać ich związku było niepodobna.

A no Krzychnik wiedział, że u pana Samuela chandra taka była przechodzącą i mijała. Gdy mu co do głębi poruszyło sumienie, wówczas stawał się prawie szalonym. Gdy tu naraz wszystkie dawne sprawki widok Wojtaszka wywołał, musiał z niemi walkę stoczyć.

Wtem Krzychnik, pomyślawszy, zapytał.

— Tego Wojtaszka skądżeś to ułowił? Co zacz? Z twarzy i postawy szlachecko wygląda, a z kunsztu i tej służby inaczej. Czyżeś ty go na swą biedę wychował? czy przyjąłeś już odkarmionego?

Zwrócił się p. Samuel.

— Wojtaszka,—rzekł—sam dyabeł nie wie skąd się on wziął, a co dziwniejsza, i on też swoje *originem* nie wie.

Tak jest napewno. Pamięta tyle, że chłopięciem bardzo małem u Panny Maryi w Krakowie w szkole pod ławą na worku słomy sypiał, że go tam bito i za uszy targano, że się uczył i rósł. Potem jednego dnia, gdy go rózgami wysiekli, na cmentarzu z dziewczyną nadybawszy, uszedł od Panny Maryi do Bernardynów i tam habit wdział. Głos miał piękny i w głowie rozgarnięto, ale sierota a bękart pewno, roił od dzieciństwa i po dziś dzień, że mu wszelkie wielkości należą, że musi być rodu dostojnego, że rodziców znajdzie i kiedyś siądzie wysoko. Tego mu z głowy nie wyjąć. Widzieliście go? pojrzawszy, zda się królestwa dziedzic, tak się z sobą nosi i chodzi.

— Puściłbyś go!—rzekł Krzychnik.

— Nie mogę, choćbym chciał—odparł Samuel.— Naprzód pod ten czas on nadto wie, a potem, jak mi go zabraknie, oszaleję. Mnie i on i pieśń jego potrzebna.

Wtem, gdy powoli zimne i ciepłe półmiski przynosić zaczęto, a pan Andrzej, który na stole sparty drzemał, ocknął się, Samuel zaś już dobrze podchmielony, coraz się głośniej i raźniej poruszał, a Krzychnik do niego dostrajał począł marszałek, wskazując na okna.

— Czasuśmy dosyć nadaremno stracili, choć nie potośmy się zwołali, aby Samko się przed nami spowiadał, raz, że bez spowiedzi, my go dość znamy, powtóre, że choć my go rozgrzeszym, co mu to pomoże? Zatem byłbym tej myśli, iż wrócić trzeba do tego Niżu albo i do naszej wojny przeciw królowi i „Czarnej Radzie“.

Samuel siadł za stół.

— Niechaj moje przepada!—rzekł—mówmy o wspólnych sprawach.

— Więc o Niżu!—zawołał Andrzej.—Wiesz, że się na cię krzywią, i że znowu uniwersały na cię słać gotowi, jako przed kilku laty, gdy cię na granicy poczuli i starostom imać kazali; nie dobra to więc rzecz ich nadaremnie drażnić, gdy przystałoby raczej wprost się rozprawić i skończyć.

— Gdyby można—jam gotów—odparł Samuel.— Kulibym nie pożałował, a wiecie, że wróblom nią głowy ucinam... a no, gdzie się ruszę, naprzód o mnie wiedzą

już i czyhają... dostęp trudny... kroki moje śledzą. Dlatego lepiej, gdy ich zmylę i na Niż albo Wołoszczyznę zbiegę, kędy krok w krok za mną chodzić nie mogą, a wrócić potrafię tak, aby o mnie nie wiedzieli. Jest też co na Niżu poczynać...

— Tego my nie widzimy—odparł Andrzej—a zda się nam, gdyby tam miód podbierano, jużby się pasiecznicy znaleźli. O Niżu mówią, że nieład tam wielki, a włóczęgowie ze świata całego i rozbójstwo... Taki naród za łeb pochwycić, albo w karby go wprawić,—nie Samuela na to potrzeba.

Śmiał się Samek.

— Właśnie może tylko ja ich uchodzę, bom podczas taki, jak i oni. Macie zaś wiedzieć, żem słał do nich raz i drugi z podarkami, jak się patrzy, z obietnicami, co wdzięcznie przyjęli. Jacy oni są, to są, a rozumieją, że gdy wodza dostaną, dopiero znaczenia nabędą. Zaś prosty chłop im nie starczy.

— Zrobię co na Niżu, czy nie, na dwoje o tem wróżono, a no próbować wolno, rozpatrzeć się nie grzeszno, życie nawet ważyć nie kosztuje mnie, bom je i tak już zmarnował. Zawładnę Niżowcami, naówczas i król i „Czarna Rada" będą musieli ze mną się układać, bo im zarówno zła, jak i dobrego przyczynić mogę. Przyczem uda się-li co z Wołochem, i to niezłe; zwąchani się z tatarskim chanem —nie gardzę tem. Mnie o zdobycie siły jakiejś idzie, a skąd ją wezmę—furda; bylem ją miał.

— Ja to wiem—przerwał Krzychnik,—że ciebie nie powstrzymać, gdy ci się czego zechce; jedź więc na Niż, choć tubyś był potrzebniejszym. Na jakiekolwiek porozumienie z tym królem i tym jego sługą, liczyć nie można; na nożeśmy poszli, więc nam wszystko musi być dobre, co drogę oczyści. Czy kula w Niepołomskiej puszczy, czy trucizna w napoju zadana, czy zasadzka i śmierć w polu...

Andrzej słuchał, nie okazując najmniejszego poruszenia, nie sprzeciwiał się.

Samuel dodał:

— Albo-li żyw z Niżu powrócę, to wam w pomoc stanę, lub zginę, to wam dorósłszy Aleksander służyć będzie. Dziś u mnie jedno kozactwo w głowie, wy tymczasem wypatrujcie, rozsłuchujcie się i gotujcie.

— A siła ich z tobą na Niż ciągnie, boć tam w samotrzeć albo i dziesiątek iść trudno?—zapytał Krzychnik.

— Szlachciców chudego pacholstwa, ale animuszu niemałego, mam już osiemdziesięciu przeszło—rzekł Samuel.—Mało, ale na moje sakwy, które ich żywić i poić muszą, za wiele. Hajduków mało nie drugie tyle z czeladzią muszę przy sobie mieć, koni też okrom tych, co pod nami pójdą, bodaj tabun cały pędzić muszę. Bez podarków z gołemi rękami ani do kozaków, ani do Tatarów nosa niema co pokazywać; i na to pójdzie grosza niemało; ale choćby co z wiosek zastawić przyszło, pójdę ! pójdę!

Żaden z braci już go nie myślał wstrzymywać, bo im ten opór i przekonanie twarde, iż się tam coś da zrobić wydawało się jakby przeczuciem przeznaczenia. Samuelowi zaś śmiało się hetmańśtwo kozacze, w niedostatku innego, bo odrazuby mu dało taką powagę, z którą się liczyć doma było nieodzownie potrzeba.

Do pół dnia trwały narady z braćmi, ale już przed nocą zjadłszy i wypiwszy, co z sobą mieli, poczęli się panowie Zborowscy w drogę wybierać. Przyczem Samuel na odjezdnem do pijatyki tak obu zmuszał i sam tak okrutnie pił, że gdy na konie siadać przyszło, wszystkich ich służba na siodła podsadzać musiała, okrom tylko Samuela. Temu wprawdzie wino szaleństwo sprawiało, język i ręce rozwiązywało, ale sił nie odejmowało.

Krzychnikowi poleciwszy dzieci swe i domy, Samuel wprost stąd pociągnął do dóbr swoich, w których małymi oddziałami rozłożone były werbunki szlachty, która się z nim na Niż do kozactwa iść ofiarowała.

W parę tygodni potem rozeszła się wieść po całej Rzeczypospolitej, iż banita Zborowski, zrozpaczywszy o sobie, na Niż do kozactwa zbiegł i hetmanić mu się spodziewa. Drudzy zaś głosili, jakby zawczasu okrzyknięty był ich wodzem i przeciwko Turkom na przekorę królowi ciągnął.

IV.

W Krakowie był pod ten czas Krzysztof Zborowski, gdy Samuel, wyciągnąwszy w przeszło sto koni na Niż, długo bardzo żadnej o sobie wiadomości nie dawał nawet braciom. Tym, które ich ze strony dochodziły, wiary dawać było trudno.

Oddalenie się z kraju banity, który około siebie najwięcej wrzawy podnosił zawsze i najbardziej oczy zwracał, choć od Zborowskich oko hetmana odciągnęło, bo się bardziej zuchwałego kroku od Krzysztofa nie obawiał, nie poprawiło sprawy ich u króla i hetmana. Wiedziano, co trzymać o całym rodzie tym, z wyjątkiem Jana, który choć braci zawsze bronił przed hetmanem, nie podzielał ich niechęci i do pokątnych ich robót się nie mieszał. Andrzej też tak stał, że na siebie oczów nie ściągał, ale mu nie wierzono. Zamojski wiedział, co o nim trzymać.

Krzysztof ani myślał, ani się starał udawać miłość dla króla i jednać się napozór z Zamojskim; rozumiał to, iż mu nie zawierzą, a całą ufność swą pokładał w Rakuszaninie, bo choć mówiono, że carowi moskiewskiemu wierność nie tylko przyobiecał, ale poprzysiągł, choć z nim nie zrywał, nie wiele pono na niego rachował, a po ścięciu Ościka strach go ogarnął, zwłaszcza, gdy w papierach jego, listy Zborowskich, czy wzmiankę o nich znaleziono.

Nie było tam dowodu zdrady, nie czyniono przeciwko niemu nic, lecz ostrożność kazała zaniechać stosunków, które na teraz nie przedstawiały korzyści żadnych.

Kręcił się więc pan Krzysztof po kraju, malkontentów jak on sam dla cesarza na przyszłość przy sobie skupiając, to na wsi, to w Krakowie, to zagranicą bawiąc, znikając i ukazując się niespodzianie,—gdy dnia jednego znać mu dano, że wyprzedzający pana Samuela od boku jego szlachcic Zarwaniec, zjawił się w Krakowie i podczaszego szukał. Łatwo go mógł znaleźć, bo Zborowscy, ilu ich było, gdy w Krakowie byli, nie gdzieindziej mieszkali, jak w swoim domu na Franciszkańskiej ulicy.

Dwór był stary, a dla rodziny licznej przez ojca Marcika jeszcze pobudowany tak, że i nie mało gości i dwory, i ludzi mógł pomieścić. Zajmował oparkanioną przestrzeń bardzo znaczną, w której czas jakiś bodaj napaści się nawet było można opierać, tak był dobrze obwarowany.

Stu ludzi i koni łacno mogło tu znaleźć pomieszczenie, a tabor wozów w ogromnym rozłożyć się dziedzińcu. Wytworności nie było żadnej, bo jakeśmy mówili, przywoził z sobą każdy co najpotrzebniejsze sprzęty, ale izby szły rzędem jedna w drugą ogromne, jasne, w których za stół można było ludu posadzić głów dosyć.

Mieli tu każdego czasu Zborowscy, jak inni panowie po miejskich dworach i szopy, siana pełne i śpichrz z owsem, i piece na chleby, i loch na piwo.

Pan Krzysztof zajmował przedniejszą część dworu i tu swoich przyjaciół, a posły z różnych stron przyjmował podczas dniami lub nocą. Czynny był bardzo, choć nie rad z tego, co się święciło.

Tajemnica owa, którą marszałek przywiózł do Borówki, iż król miał dać Zamojskiemu Batorównę, już dla nikogo sekretem nie była. Noszono się z nią sarkając, a ona zazdrość, którą łaska króla dla hetmana dawniej budziła urosła teraz do najwyższej miary. Nienawidzili niechętni króla, ale stokroć więcej hetmana, że z między szlachty wyszedłszy małym, dorósł tak wysoko, iż u tronu stał. Przypisywano mu bowiem w przyszłości zamachy na koronę, która po Batorym bez dynastyi zostać miała

Wprawdzie wiek i zdrowie Batorego wszystkie te widoki na plan daleki odsuwały, lecz zawczasu już obawiano się, a nikt więcej nad Zborowskich, bo ci wiedzieli, że będzie niepodobna przejednać się i zaufanie pozyskać.

Gdy mu o Zarwańcu, którego znał dobrze oznajmiono, niecierpliwić się począł podczaszy, iż do niego pierwszego się nie zgłosił, aliści i on sam stawił się.

Samuelowy był to sługa, nawet na oko od pana coś przejąwszy, jak się to dzieje. Zuchwały, krzykliwy, zbój do korda prędki, to też od niego na twarzy i głowie liczne miał upominki, siłacz okrutny, do wypitej i wybitej, ale i do chłodu i do głodu i przymęczenia jedyny.

Zarwaniec był przez Samuela w ważnych razach używany, gdy szło o tajemnicę, albo o pieniądze. Temu oboje powierzyć było można śmiało. I tym razem Zarwaniec od Niżu przybył dla przywiezienia grosza, o panu Krzysztofie nie wiedział i dlatego naprzód gdzieindziej się zwrócił, bo mu pilno było z sukursem dla pana.

Wszystko to w niewielu słowach opowiedziawszy Zarwaniec, gdy go Krzysztof na ławę zaprosił, aby siadł i spoczął, dopomniał się też o posiłek.

— Niech to—rzekł—waszą miłość nie dziwi, żem się tu nie stawił zrazu, że teraz sam się strawy i napoju napraszam, ale bo ja z piekła powracam; w głowie mi jeszcze szumi, a w żołądku ckni od tego głodu, któryśmy z panem żołędziami, grzybami i suchemi jagodami musieli tumanić.

Rękami obiema, podniesionemi nad głową, plasnął...

— Sto lat żyw będę, tego nie zapomnę—mówił dalej.—Czasu całej tej wyprawy nie odstąpiłem na krok od pana, dzieliłem z nim wszystko.

— Mówże—przerwał Krzysztof,—bom i ja niemało ciekaw.

Zarwaniec głowę podniósł.

— Niech miłość wasza nie myśli, że to się tak da w dwóch słowach zamknąć; będzie tego na jeden, albo na dwa wieczory, z czego pan mój wprawdzie sławę może mieć wielką, ale korzyści najmniejszej;—a co nas to kosztowało, mieszek wie i—Pan Bóg! Dlategom też przodem skoczyć musiał, by co grosza ułowić, inaczej nas Zborów nie zobaczy. Wszelako Bogu dziękować, żeśmy z życiem wyszli, bo nie jeden raz się zdało, że tam na kresach przyjdzie ginąć marnie.

— Toć już Samkowa wina własna—odezwał się pan Krzysztof.—Niech powie, czyśmy mu nie odradzali wszyscy, nie odwodzili... nie pomogły perswazye.!

Ruszył ramionami Zarwaniec.

— Tyle korzyści naszej, że teraz tego Niżu nikt lepiej nie zna od nas—dodał.

Podano Zarwańcowi jedzenie i piwo, który się chciwie przysiadł do obojga, potrosze o panu Samuelu mówiąc, jako

cudem zdrowo wyszedł z tego ognia i imprezy swej nie żałował.

Na wieczór tedy, gdy marszałek Andrzej się obiecywał, zamówiono Zarwańca, aby się z powieścią o Niżu stawił. Gotów był, to sobie wymawiając, aby oprócz dwu panów braci, nikogo więcej nie było.

— Z panem moim—dodał,—jam go świadom, ostrożność zachować potrzeba. Ja po swojemu rzecz opowiem, jakem ją widział, a któż wie czy się to spodoba jemu? Więcbym nie rad, aby rozgłaszano, co on może inaczej zechce tłomaczyć. Jam prosty człek, com widział, powiem.

Zawczasu tego wieczora stawił się marszałek i pan Krzysztof nie ruszał się krokiem z domu. Zarwaniec też czekał na nich wysypiając się, bo powiadał, że tyle nocy bezsennych spędził, że teraz o każdej porze głowę pochyliwszy, gotów kamiennym snem się odżywiać.

Wstał za to rzeźwy i krzepki, a gdy mu dla odwilżenia gardła nie żałowano, relacyę tej nieszczęśliwej wyprawy na Niż tak rozpoczął:

— Wszyscyśmy się z tej imprezy pańskiej siła nie spodziewali, a rychlej obawiali jej, choć nie można powiedzieć, aby ona całkiem na los szczęścia przedsiewzięta była. Słał pan nasz do kozactwa z listy i podarkami nie jeden, ale wiele razy; a odpowiedzi mu przynoszono zachęcające i zapraszające, że hetmana podczas nie mieli kozacy, i że możnego a mężnego pana, byle im poprzysiągł, chętnieby na czoło postawili. A no, że przez posły wilk nie tyje, po raz trzeci nie było już co słać, było trzeba samemu jechać.

Jakeśmy się wybrali, panowie najlepiej wiecie. We sto przeszło koni, z których siedemdziesiąt szlachty, ruszyliśmy się w najlepszy czas do Kaniowa. Tej części podróży niema co opisywać, gdyż pospolitym trybem się odbyła, krom tego, że ze szlachty niektórzy, języka dostawszy, ulękli się i nocami nam pierzchnęli, a na ich miejsce innych trudno było w tych krajach dostać. Przodem zaś wyprawiony był nasz Zuzula, zdawna panu służący Rusin, który już raz na Niż jeździł i z kozakami się znał, tak, że gdyśmy do miasteczka tego, dosyć opustoszonego przy-

byli, w którym jedna stara bardzo, murowana cerkiew czyni je do miasta podobnem, jużeśmy tu Zuzulę z powrotem i posły kozackie zastali.

Niech mi to pan Bóg odpuści, gdy powiem, że owo kozactwo, które jako dzikie i proste chłopstwo ciągle opowiadano, calem inaczej znalazł, niż się spodziewałem. Albom ja źle widział, albo drudzy się mylili. Prości wprawdzie ludzie i obyczaju grubego, to prawda, ale chytrości takiej w pokłonach i obejściu się, że ogładzonemu naszemu człowiekowi trudno im sprostać. A tak się umieją szczerymi, otworzystymi czynić, tak dobrymi się okazują, iż człowiek wcale się na baczności od nich nie ma, za co potem przypłaca, cośmy stokroć doświadczyli.

Więc i ci pierwsi, których zastaliśmy w Kaniowie z Zuzulą, tak do kolan przypadali naszemu panu, a tak się radowali mu i zapraszali, żeśmy sądzili, jakoby na gody i do gotowego ruszamy.

Pan Samuel wielce ochotny był, więc hojny, wesół i to tylko powtarzał:

— Niechże baczą ci, co mi tu niefortunę przepowiadali.

Tu z tymi posły zdawało się, że się cała rzecz ubiła i skończyła. Opowiadali kozacy, że ich pograniczny starosta dla króla chciał pozyskać i wielkie rzeczy obiecywał, ale oni się wilczych zębów obawiali, o których już wiedzieli, że gdy się na kim zawrą, to go nie puszczą i woleli mieć nad sobą Zborowskiego, któryby ich swobody nie ukrócił.

Więc pił pan Samuel na zabój, pili i oni, a sadzał posły podle siebie do stołu, a podarkami ich obsypywał. Ci zaś w imieniu swych sotni i gromad przysięgali. Rzecz zdawała się skończona. Przyczem pilno do siebie jegomości zapraszali, aby co najrychlej przybywać raczył. Opatrzywszy ich jak najlepiej, odprawiono stąd przodem, a myśmy w najlepszej myśli ciągnęli do Czerkas.

A no tu powiedzieć muszę, o czem z nas nikt nie wiedział, aż dopókiśmy nie stanęli w Czerkasach, że oprócz tego, iż z kozactwem się zmawiał, pan nasz miał i drugą imprezę napiętą tak, aby ta tamtą zasłaniała. Okazało się,

że ze starostą pogranicznym, którego imienia wyznać nie chciał, zmowę też miał, że ten na niego podle Czerkas w kilkaset ludzi czekać się obiecał, aby razem szli na Putywl, zamek moskiewski!

Krzysztof wybuchnął podziwieniem wielkiem.

— Gdybym ciebie nie znal, że tego z palca wyssać nie mogłeś, nie wierzyłbym ci. Do kozactwa jechał, aby je królowi odciągnąć, a ze starostą królewskim w pomoc przeciwko Moskwie razem się wybierał. Jakże to tu pogodzić.

— Gódźcie, jako chcecie—odparł Zarwaniec—ja też niespełna rozumiem, to tyle pewna, że starosty owego i wojska jego i obietnic aniśmy śladu, ni znaku, ni o nim wieści nie znaleźli. Tak tedy nad rzeką Pskłą postawszy i spocząwszy, gdyśmy nadaremnie czekali, a kozacy naglili, aby do nich jechał, ciągnęliśmy nad rzekę Samarę gdzieśmy po raz pierwszy około dwóchset kozaków spotkali, od których czołobitnością wielką byliśmy przyjęci, co nam nadal wielkiej dodało otuchy, chociaż kozactwo to nie było rycerskiem i prawdziwem, ale ci, co ich wodnymi kozaki zowią, którzy ustawicznie ryby łowią, na rozmaitego zwierza po ostrowach dla skór polują i wszelkiem gospodarstwem a potrosze i handlem się zajmują.

Obyczaj i tu zastaliśmy prosty, ale dostatek znaczny. U niektórych kozaków, powiadają, w kubłach od mazi i dziegciu czerwone złote i talary się chowają. Oni sami dla siebie nie potrzebują wiele, bo życie prowadzą chłopskie, ale skarby te na powszechny użytek obracają i na to swe rycerstwo, które ich broni i osłania.

Tu więc, ktoby na ryby łakomy był, mógł się najeść do syta, gdyż najpiękniejsze po niczemu, a obfitość po jeziorach ich taka, że czasem dla ciasnoty zdychają i zarażają powietrze. Nie zbywa też na zwierzu wszelakim, który głównie dla skór kozacy łowią i biją.

Dotąd jeszcze wszystko nam szło, jak z płatka; kłaniali się i pokłony bili, choć czasem człek wejrzenie z podełba spotkawszy, aż mrowie czuł, że mu przeszło, ale milczeli i jeszcze się akomodowali. Nic zmiennego nie było, a pan

nasz coraz animuszu większego nabywał i z tych, co mu niedowierzali, śmiał się.

Od rybnych kozaków do rycerskich, na wyspę, na której niby stołeczny ich gródek miał być, inaczej, jak przez rzekę przeprawiając, dostać się nie było można. Na czółnach nie zbywało, ale rzeka osobliwa i niedostępna w tych miejscach, którą potrzeba znać, aby ją bezpiecznie przebyć. Wznoszą się bowiem na znacznej przestrzeni jej skały, jedne większe, drugie mniejsze, niektóre ponad wodą, inne nieco nią osłonięte, a tak całe koryto przecinające, że nieznajomy człek ani wpław, ani czółnem nie przepłynie tych progów, których tam niemało jest. Każdy z nich ma nazwisko i różni się jeden od drugiego, wszystkie przecie zawadą są dla żeglujących. Dodawszy po brzegach niezmiernie wysoko wyrosłe trzciny, niby lasy, a moc ptactwa wodnego, możecie sobie wystawić, jak ten kraj wygląda. Twierdz kozacy nie potrzebują i wiedzą o tem. Łatwiej się tu obronić, niż wyśledzić i schwytać.

Prowadzili nas tedy między dwa te progi na uroczysko, które oni Jawołżanem zowią, dla przeprawy, a myśmy jeszcze i ich przysięgami uspokojeni, tak bezpieczni szli, jakbyśmy doma byli. Tu tedy pierwszy wypadł znak, iż z kozactwem daleko było do końca.

Zobaczywszy hajduków zbrojnych kupę niemałą, nasz orszak znaczny, kozactwo, które się tu już zbiegło w kilkaset ludzi, zdala się trzymało i zaraśmy postrzegli, że się nieprzyjaźnie mają. Była chwila jakby się napaść i bitwę stoczyć gotowali; posłano Zuzulę dla rozmowy i porozumienia i rzecz się wyjaśniła.

Nieświadomi tego, co starszyzna ich z panem Samuelem mówiła kozacy wzięli nasz zbrojny oddział za królewskie wojsko, które ich do posłuszeństwa i posługi chce zmusić... a że oni tam swą swobodę nad wszystko sobie cenną, gotowi byli stać w jej obronie.

Ledwie się udało dwu z nich na rozmowę ściągnąć. Tym pan Samuel rzekł z prosta, że nie jest żadnym królewskim sługą, ale go ich własna starszyzna wezwała i wybrała, że na jej żądanie przybywa, i nie ma innego zamiaru, tylko być im ojcem i towarzyszem, a obrońcą.

Czyśmy ich przekonali, czy uwierzyli nam, czy nie, ale zmiarkowali też, iż z tą garścią sami się oddając w ich ręce, niebezpieczni być nie możemy. Jakoś się tedy udobruchali, a p. Samuel po rusińsku do nich gorącem słowem przemówiwszy, jak to on umie, częstując i obdarzając jakoś niechętnych rozbroił, ale to nam mogło już pokazać, że do końca było daleko, a kozactwo wcale tak łatwowiernem i do pozyskania lekkiem nie było, jak się nam w Kaniowie zdało.

Po rozhoworach tedy zgodzili się nam dać osiemdziesiąt ludzi dla przeprawy przez progi, bez których my jak w matni byśmy tu zostali.

Ciągnęliśmy tedy stąd ku miejscu, na przeprawę oznaczonemu, pomijając zameczek Chortycę, który tam był niegdyś kniaż Wiśniowiecki postawił.

Tu, gdy o zamkach mowa będzie, aby sobie ichmoście nie wyobrażali, iż to murowane i mocne grody są, dodać muszę, iż wszystko tam z drzewa, z gliny, z ziemi, a rzadko co z kamienia. Przeciwko Tatarom, którzy tam zabiegają, bośmy sami ich straże widzieli, i lada wał starczy.

Tu już i z kozaki i od tych Tatarów niemałe trudności poczęliśmy widzieć i czuć przed sobą. Ci, którzy sobie wyobrażali, że do gotowego idziemy, a niebezpieczeństw żadnych nie zaznamy, znacznie poszkapieli, tak, że nam ze szlachty nocami znowu po kilku uchodzić zaczęło. Na to rady innej jak pilność nie było, a pan Samuel zapowiedział głośno, że kto się z nim iść ofiarował, musi dotrwać do końca, a gdyby uchodzić chciał i pochwycony został, jako zbiega kula w łeb nie minie, co trochę szlachtę pohamowało.

W Chortycy noclegował pan Samuel, a choć postu nie było, i on i ludzie przez cały ten czas jeno rybami żyć musieli, bo tych wszędzie było poddostatkiem—szczuka łokciowa nie żadną osobliwością, mięsa zaś nie można było dostać. Więc kucharz pański, Michał, biadał i radował się razem, różnie je przyprawując. Chleb też podpłomykami przyszło zastępować.

Szło tedy dalej na pozór wszystko po myśli, bo nam już blizko obiecywali owo hetmaństwo, buławę i obwoła-

nie pana naszego, a zdanie mu władzy nad sobą. Myśmy w to wierzyli święcie, a i pan Samuel, wszystko, co obiecywali za dobre przyjmował, choć się później okazało, że nas w pole wywiedli.

Dlaczego? Bogu wiadomo. Albo się podarków więcej z nas wyzyskać spodziewali, albo mieli jakieś rachuby swoje, dosyć, że tam szczerości za grosz nie było, choć my wierzyliśmy im cale.

Już tedy ino sam obrzęd do dopełnienia zostawał, jako mu buławę pierzastą zdawać mieli a to na ostrowie Tomaszowskim, kędy nas ciągnęli, dokonać się miało.

Jest ostrów ten czyli Insuła, pośrodku szeroko rozlanej rzeki położony, dosyć spory, cały niemal gęsto lasem i krzakami porosły, a w pośrodku się podnoszący okrągło, tak, że czasu wiosny, gdy woda prawie wszystkie te ostrowy pokrywa, na Tomaszowskim zaś cośkolwiek suchego lądu pozostaje. Nieprzyjacielowi się tu niełacno dostać można, bo na czółnach dla skał tylko tamtejsi, co je znają, pokierować się mogą, a obcych siła poginęło, próżno się tu dostać pragnąc.

Przybywszy na miejsce, zastaliśmy już kozactwo w pogotowiu na przyjęcie nasze, świątecznie poubierane i uzbrojone, ze starszyzną na czele. Panie Boże odpuść, mnie się to zaraz w początku wydało, jakbyśmy mięsopustną komedyę grali, a na to wyszło, iż nieszczerze z nami postępowali. Pan Samuel się im z kozacka też przystroił ale w złotogłów i jak na hetmana przystało.

Ze strony tego chłopstwa wystąpił orator z tymi, którzy ową buławę na poduszce szkarłatnej nieśli, z poszanowaniem wielkiem, choć kawał to kija był, mało co srebrną blaszką okuty i piórami kilu nastrzępiony.

Orator tedy submisyę czynił w imieniu gromady bardzo gładką, a wiele obiecującą i zamknął ją tem, że „my siebie z wiernemi chęciami naszemi i posłuszeństwem wszelakiem zaraz się przy tej buławie oddawamy, życząc ci tego, abyś nam długo rozkazował, skądbyś sobie, nam i ojczyźnie miłej i potomstwu swemu nieśmiertelną sławę otrzymał.''

Na co pan Samuel słowem bardzo gorącem, a serdecznem odpowiadał im, poręczając, iż oną buławę przyjmuje jeno z tą nadzieją, że nią rycerskiemu narodowi do zwycięstw i chwały będzie przewodził.

Poczem między kozaki, do nas wybranymi, a nami komitywa się na pozór jak najlepsza przy kubkach zawiązała, że się ściskano i całowano. Ale już przy tej biesiadzie, tu i owdzie prysnęło przeciwko lachom coś, co nam uszy niemile drasnęło, bo sami się lachami czując, nie mogliśmy tego słuchać bez ucisku, jako wszyscy na onych panów polskich, co na kresach mieli ziemię i majętności bardzo narzekali i nieprzyjacielsko się względem nich odgrażali, już nas za swoich uważając, albo li też próbując.

I pan Samuel też, choć przeciwko szlachcie i panom urazę miał niejedną i ujmować się za panów braci nie myślał, zasępił się, widząc, że tu co tylko lachem trąciło, śmierdziało im.

Więc trzeba było i nam chyba skórę zmienić, aby się z tym narodem zbratać. A gdyśmy się w onej gromadzie kozactwa rozpatrzyli bliżej, okazało się, że choć większa może ich część rodzonymi kozakami była i na tej ziemi wyrosła, dużo też takich, co z Polski od nas, z Wołoszy i innych ziem salwowali się, gardła chroniąc, a tu już przystając do kozactwa, których obyczaj i język przejęli. Więc nie jeden z tych, co na głos po rusińsku wywoływał i śpiewał a i włosy miał na sposób ich wygolone, gdy się z nami znalazł sam na uboczu, a wiedział, że go nie podpatrzą i nie podsłuchają, nagle do nas z mazurska poczynał i ściskał, i łzy mu z oczów ciekły, a o Polskę pytał, jakby mu matką była. Takicheśmy tu znaleźli niemało ze zdumieniem naszem, ale ci właśnie od nas stronili, tylko gdy sobie podchmielili z tem się wydawali, jaka w nich krew płynęła.

Mnie tedy zaraz drugiego dnia nadarzył się niejaki Prochor, któregom ja za prawego kozaka wziął, a fizis mi jego przypadła do smaku. Stronił on odemnie z początku dopóki się nie ośmielił, aż gdyśmy sobie razem pod-

pili, odprowadziwszy mnie na stronę, dopiero po polsku zagadał. I przyznał mi się, że pruskim szlachcicem był, choć nazwiska wyjawić nie chciał, który dla zabójstwa ojczyma zbiedz musiał na Niż.

Tak jakoś do mnie przystał, że drugiego dnia byliśmy z sobą, jakbyśmy od dzieciństwa się znali.

Ten tedy mnie zakląwszy, iż go nie wydam i nie okażę w żadnym razie, rzekł:

— Miejcie się na baczności. Buławęć panu Samuelowi dano, ale z kozactwem ostrożnym być trzeba, bo oni się niełatwo komu zdadzą i zwierzą, a na pana Zborowskiego oko mają. Prawda, że się im z miny i odwagi swej podobał, ale zawsze on dla nich lach, a co lach—to wróg. Kłaniają mu się do czasu, a przy lada nieporozumieniu waszą garść, gdy nieopatrzną będzie, mogą wydusić, a nikt ich o rachunek nie spyta.

Na pierwszy tedy męstwa popis, pan Samuel sobie ten Putywl moskiewski wybrał, o którym słyszał, że łacno go zajść i zdobyć było... ale kozacy sami z nim ochoty wielkiej iść nie mieli i ociągali się, a ów starosta, który razem z nami obiecywał się iść, nie dawał o sobie wiadomości i odszukać go nawet nie mogliśmy. Więc się tu z jego strony albo zdrada, lub lekkomyślność okazywała.

Tymczasem, gdyśmy stali, nadaremno wyczekując na to, co przyjść nie miało, kozacy, jak ten Prochor przepowiedział, niedowierzający ze wszech stron, po trzeźwemu i pijanemu zachodzili, badając, co pan Samuel myślał dalej, gdyby z Putywla dał Pan Bóg szczęśliwie powrócić.

A tu dodać muszę, o czem albo panom, jako braci, wiadomość dał p. Samuel, albo dla krótkości czasu, zaniedbał może, iż podczas, gdy się z kozakami układał przez posły, zarówno też do chana perekopskiego słał z listy i od niego miał odpisy i przyrzeczenia wielkie sojuszu i przyjaźni przeciwko Wołochom i wspólnego iścia... a jako to rozumne było i polityczne, tego ja zachwalać nie potrzebuję. Tylko, że Tatarzynowi, równie jako kozakom, zbyt łacno wiarę dawał, sądząc sobie, iż naród to zbyt pro-

sty, gruby i do wszelkiego przebierania w maszkary niezdolny, choć jak jedni, tak drudzy, gorzej Wołochów umieli komedyę grać i w pole wyprowadzić. Czegośmy dopiero na własnej po części skórze doświadczywszy, nauczyli się nierychło.

Kozakom tedy owe konszachty z chanem nie były wstrętne, i owszem nalegali, aby zaraz posły wyprawiać, dopominając się dotrzymania słowa i pułku na pomoc, a nawet ofiarowali jeńca tatarskiego murzę, którego byli pochwycili, posłom zdać, aby tą ofiarą chana skłonić do powolności.

Zaraz tedy wybrał pan Samuel ludzi, do których się i Bielecki, co z nami był, niegdyś komornik króla Stefana, przyłączył. Rozumie się, iż z gołemi rękami poselstwo nie mogło być odprawione, ale pan Samuel, co tylko miał naówczas, do ostatniej bodaj koszuli gotów był poświęcić dla swej imprezy, o której wiele tuszył.

Naprzód o to szło, aby z Tatary umowę uczynić twardą i od wszelkiej zawarować się zdrady. Chciał pan Samuel sam to czynić, na nikogo się nie zdając i żądał wyznaczenia miejsca, gdzieby ze starszyzną tatarską w dziesięcioro koni mógł się zjechać i tam obradować, a układać. Z tem posły jechały, a Bieleckiego omal tam nie zatrzymali, dowiedziawszy się, że królewskim sługą był, ale kozacy im to odradzili i cało uszedł nazad.

Stało się, jak pan Samuel żądał, iż uroczysko, ich językiem Karaithebe, czyli Czarne wody, wskazali, aby tam zjazd się odbył.

Pan Samuel wielce uradowany, a do zbytku już szczęściu swemu ufający, nie wątpił, że mu wszystko i nadal popłynie tak gładko.

Suplikowałem go, Prochorowe mając na pamięci przestrogi, aby spełna ani kozakom, ani Tatarom wiary nie dawał i zawsze się oglądał, jakby w złym razie wycofać się mógł bez szwanku. Alem za to śmiech tylko i łajanie odniósł w zysku, za oną moją babską podejrzliwość i nieufność, gdy tu wszystko się po myśli i szczerze działo. I mil czeć musiałem.

Szliśmy tedy na ono uroczysko, kędy i tatarskie

posły w słowie się stawili, a co dziwniej, z upominkami i z listy chana. Przyprowadzili z sobą koni pięknych i czysto przybranych dwanaście, między którymi cudne były, przytem szat złotogłowych, jakich dla posłów i w Moskwie zazywają trzy. Z tych jedną, najprzedniejszą, zaraz na siebie wdziać musiał, aby dar chana uczcić.

Mieli i tłumacza z sobą, który ich bełkotanie niezrozumiałe po rusińsku nam wykładał. Witał go chan sercem niby wielkiem, szczególniej z tego się ciesząc, że kozacką swawolę i zuchwalstwo pohamuje, a ład zaprowadzi. I tak serdecznie się względem pana naszego oświadczał, że go jako syna swego był gotów w opiekę wziąć i we wszystkiem mu pomagać, byle spokojnie nad Dnieprem stał i czekał, aż razem pójść będą mogli. Przyczem obiecany pułk potwierdzał, niedługo mając go słać.

Nie mnie sądzić, jak tam sobie pan Samuel poczynał i czy nie pobłądził, zawsze do zbytku ufając. Więc, gdy na chorągiew ową czekać mu kazano, a on się niecierpliwił, aby czas darmo nie upływał i kozacy na rozmysły nie brali—domagał się tylko od chana, aby mu dla przewodu hetmana swego dał przeciw Moskwie, która litewskie kraje wycieczkami trapiła.

Gdym o tem posłyszał, miałem odwagę sam na sam spytać pana, dlaczego królowi Stefanowi chce przeciwko Moskwie pomagać, gdy król przeciw nam takim wrogiem? Na co mi tylko tyle rzekł:

— Pilnuj swego nosa; wiem co i dlaczego czynię.

Tedym zamilkł.

Umowa ciągle szła dalej przez posły o hetmana, o wyprawę, i już się nam zdawało, że jako żywo, lada dzień z tego „kosza", jak go kozacy zowią, wyruszymy na Moskwę.

Ale przeznaczonem było, że tu wielkie owe nadzieje i ufność pana Samuela zawiedzione zostaną.

V.

Staliśmy na tem ostrowiu, wczasu zażywając wspólnie z kozaki, których obyczaje i tryb życia poznawaliśmy. Siłaby o tem mówić, a wiele rzeczy nie do wiaryby się zdało; jako to naród jest razem swobodę swą miłujący, a karność tak srogo rozumiejący, że wspomnieć strach, bo u nich nieposłusznego na pal wbić, gdy gromada winnym go okrzyknie, niczem jest!

Własności też w koszu osobnej nikt z nich niema, jako u nas w klasztorze, ale skarb wspólny i stół wspólny, i spichrze, z których każdy bierze, co mu potrzeba; ale też do nich wszelki łup wojenny oddawać muszą. A że ludzie prości są, więc im niewiele potrzeba; w kotłach jedzenie na każdy dzień kucharz ich warzy, zwołują się do niego, piją i jedzą gromadą.

Kobiet tam nie widać wcale, tylko rybni owi, poza koszem kozacy mieć je mogą, inni zaś jako mnichy tu żyją, choć o czystość nie dbają wcale i czasu wojny wszelkiego gwałtu pozwalają sobie; ale mają tę wiarę, że gdyby jedna niewiasta pomiędzy nich weszła, z nią razem waśń i niepokój i rozterki rycerskiego duchaby im odjęły. W czem, że są rozumni, zaprzeczyć trudno.

Rzekłem, żeśmy tu wczasu zażywali, boć robić nie było co, krom, że się dla rozrywki na ptactwo wodne lub na ryby z sakiem szło, ale ze strawą musieliśmy ich grubemu obyczajowi być posłuszni i z kotła razem z nimi się żywić. W czem pan hetman przykład dawał, ale łacno mu to przychodziło, bo Michał pokryjomu zawsze dla niego albo szczukę po żydowsku, lub kawał mięsa przypiekł i podsunął.

Myśmy zaś kaszą ich i polewkami, a zielem różnem, mięsem solonem a słoniną kontentować się musieli. Siła piliśmy przytem, ale też ladaco, kwas tam i ich napoje nieosobliwe.

Wtem, gdy my tu lada godzina czekamy hetmana od chana, aby z nami szedł na Moskwę, przychodzi za-

miast niego poseł, iż się rzecz inaczej obróciła, albowiem wielki sułtan turecki do Persyi się wybierał, a z nim ów tatarski chan jechać był przyrzekł i musiał. Zaczem pana naszego wzywał, aby z nim też do Persyi się wybierał.

Wielce się pan Samuel tym posłem zafrasował i omal nie w pasyę wpadł, nie wiedząc, co czynić... a jako naturą jego zawsze jest i było, że długo czekać i trwać nie umie, a w ogień się rzucić gotów, gdy mu krew zakipi, tedy mocnom go widział myślami utrapionym i niepewnym.

Posła tatarskiego zrazu odpuścił tak, jak z niczem, aliści nocą się inaczej rozmyśliwszy, wysłał za nim pogoń i kazał go nazad strwożonego do siebie przywieźć.

Uszom moim wierzyć nie chciałem, gdy posłowi rzekł, iż gotów jest chanowi do Persyi towarzyszyć, byle mu poprzysiągł, iż za żywot jego i bezpieczeństwo ręczy wszędzie, aby go gdzie nie struto, lub nie zabito, jak to u Turków łacno przychodzi. Żądał, aby z tą przysięgą chan mu przysłał mustalika swego i przedniejszych murzów kilku, którzyby imieniem jego uroczyście to wedle obrzędu ich zaprzysięgli (przyczem oni wodę leją).

Dał posłom na to tydzień czasu i miejsce dla przysięgi wyznaczone zostało, z czego widzieliśmy posły uradowane wielce.

Pan Samuel też animuszu sobie dodając, dobrej myśli był, z tej Persyi i dalekiej podróży u boku sułtana tureckiego wiele sobie obiecując, czemuśmy się dziwowali, a on naszą prostotę wyśmiewał.

W tem miejscu opowiadania, gdy Zarwaniec nieco spoczął, chcąc sobie gardło odwilżyć, rzekł pan Krzychnik do brata:

— Zawsze ten sam Samuel, jako był! Zawsze mu się najszaleńsza impreza uśmiecha, choć w niej gardło waży, bez żadnej dla siebie korzyści. Więc tu ledwie kozaki sobie mało co ująwszy, już chana perekopskiego i sułtana tureckiego chciał w sak złowić... na pogańską ich przysięgę, która worka sieczki nie warta, życie ważąc.

— My też, słudzy jego, nie co innego myśleliśmy— rzekł Zarwaniec, wąsy ocierając—ale odezwać się z tem żaden nie śmiał, boby i po łbie mógł oberwać.

A widzieliśmy pana naszego po odprawieniu posłów z tą odpowiedzią tak dobrej myśli i ochoczego, jakby cudu dokazał. A no sam jeden ruszyć nie chciał i nie mógł, potrzebował ku temu wojska kozackiego, a nas też wszystkich brał z sobą, jako się samo z siebie rozumieć ma. O czem dotąd ani kozacy, ani my nie byliśmy zawiadomieni.

Kozacka siła największa była na drugim ostrowie, który się zowie Czertomelik, a jest cale rozległy i otaczają go dokoła niezliczone mniejsze, różnej wielkości wysepki, jedne suche i skaliste, drugie gnile i w moczarach a trzcinach całe, między któremi, aby czółnem trafić, kozakiem trzeba być, gdyż dla owych trzcin świata nie widać. Na wiosnę, wszystkie one ostrowy bywają zalane, tak, że tylko większym cokolwiek czuba widać.

Stał im za twierdzę najlepszą ten labirynt, nieprzystępny dla tych, co się tu nie rodzili, lub życia nie strawili.

W małej gromadce płynął więc pan nasz na ten Czertomelik do starszyzny i do ludu swojego, jak przystało hetmanowi, ufając władzy swej, że rozkazania jego usłuchać muszą. Od czegóż dzierżył buławę!

Tu, gdyśmy na ląd wysiedli, zaraz się kozactwo obwołało i dokoła zebrało na posłuchanie słowa pańskiego.

I czynil do nich rzecz swą pan nasz bardzo gładko i foremnie, przedstawiając z tego korzyści, gdyby ujął sobie sułtana i chana. Już podczas, gdy mówił, można było dostrzedz, jak się lica kozakom mieniły i marszczyły, a niektórzy nie czekając aby dokończył, zaczynali w głos przeciw niemu krzyczeć, że ich na zgubę chce prowadzić.

Co się potem stało, jak zawrzało, zakipiało, jak się on naród podzielił, z którego przy nas i naszym panu mało co pozostało,—tego ja i opowiedzieć nie potrafię, bom panu Bogu ducha ploecał, sądząc, że oto nam tam wszystkim ostatnia wybiła godzina.

Kupka nas niewielka stała przeciwko wzburzonej gromadzie, a z kozactwa, choć niektórzy z początku przy panu pozostali, gotowość do posłuszeństwa okazywa-

li, coraz się ich liczba pomniejszała, tak, że ono było patrzeć, a ot sami będziemy na to zburzone pospólstwo!

I owo poszanowanie, okazywane panu, jako hetmanowi, naraz się w zuchwalstwo zmieniło takie, iż nam z pięściami pod nos przychodzili się odgrażać, a niektórzy doraźnym sądem, jako zdrajcę hetmana chcieli już brać, i wedle obyczaju swojego, suknię, jak wór, szczelnie opasawszy, piasku w nią dla ciężaru nadziać i z tem w rzekę rzucić...

Najedliśmy się strachu niemało, bo co pana czekało, to i sługi.

Ale pana onego trzeba było podczas widzieć! Pięknym był, iżem go w życiu nie widział wspanialszym. Strachu najmniejszego nie okazał, ale majestat i potęgę jakąś taką straszną, iż ono chłopstwo w oczy mu spojrzeć nie śmiało. W bok się ujął, a usta mu drgały uśmiechem. Patrzałem na to, gdy Bielecki zbliżył się do niego i szepnął:

— A co teraz! szabli dobywszy, do czółen się przebojem wyrąbywać!

— Milcz!—odparł pan Samuel.—Moja godzina jeszcze nie wybiła, ja tu szabli nie dobywając, radę sobie dam.

Tedy, patrzym, a gdzie nieopodal najszaleńsza stała gromada kozactwa, co nam pięściami ciągle się odgrażali, on sam jeden, krokiem mierzonym i poważnym wprost szedł na nich.

Patrzyłem się na to, jak widząc go tak spokojnie ku sobie idącego, powoli się uciszali, aż gdy o kroków parę przystanął, z tej wrzawy cisza nastała, jakby mak siał.

Począł tedy do nich mówić wielce łagodnie i dobrotliwie ich hamując, ale z taką siłą jakąś, że im jakby zawiązał gęby. Jeden i drugi poczęli się po łbach skrobać, po sobie spoglądać, łokciami się trącać, mrugać i burza naraz ustała.

Śmielszy się jeden odezwał, odpowiadając panu, ale pan Samuel, wysłuchawszy go, znowu mówić począł.

Gromada tedy powoli, jako chmura groźna rozpływać się poczęła, rozłazić, i przy panu wkońcu tylko kilku spokojniejszych pozostało, którym zlecił, aby wzburzone umysły starali się uspokoić, a wszystko pójdzie dobrze.

Aniśmy się dla tego strachu, jak Bielecki chciał, zaraz z Czertomelika wynieśli, choć czółna w pogotowiu były. Rzekł nam pan Samuel:

— Myśleliby, że od nich uciekam, a ja nawet posądzonym być nie chcę, abym miał obawę, której w życiu nie doznałem, bo sobie moją cześć rycerską więcej ważę, niż żywot marny.

Kazał tedy rozbić namiocik, który zawsze przy sobie miewał i na nocleg się tu gotować.

Nazajutrz dodnia burza się zerwała znowu, ale niemniejsza od wczorajszej, której pan Samuel dał przeciągać bokami, sam się nie nastręczając, czekając cierpliwie, ażby oni do niego przyszli.

Przez ten zaś czas, jak się okazywał wesołym i bezpiecznym, ledwo kto uwierzy, co go tam nie widział. Bo że tu życie nasze wisiało na włosku, niema wątpliwości i od Prochoram to później miał, że jego i nas wszystkich topić chcieli, a na lachów zdrajców okrutnie wymyślali— ale ku niemu się nikt nie ważył.

Znałem ci ja go mężnym i zuchwałym od dzieciństwa—mówił dalej Zarwaniec—ale takim, jak się tu nam okazał, nie widziałem go nigdy. Jasne miał oblicze i uśmiechające się usta, a postawę przedziwnie pańską i swobodną, jakby wśród senatorów na radzie w zamku zasiadał. Chłopstwo też ono wzrokiem raził, że mu w oczy spojrzeć nie śmiało.

A było tego nie dzień jeden, ani dwa, ale niedzielę całą z nimi musieliśmy przeżyć, spierając się, mitygując i poskramiając.

Koniec końcem starszego wezwal do siebie, przy czem byłem i rzekł mu:

— Swobody waszej—rzekł do niego—ja ukrócać nie myślę. Zechce ze mną który iść, wdzięcznie przyjmę. Kto się oprze, gwałtu mu nie zadam, może pozostać. Zatem straż aby była wyprawiona na uroczysko, kędy mustalik z murzami dla przysięgi zmówiony.

Na tem stanęło i spokój był przywrócony.

A no co się dalej przygodziło, w tem już wola Boska była i osobliwe Opatrzności zrządzenie. Na ono miejsce mustalikowi wyznaczone, na czas zmówiony, mimo chęci pan Samuel przybyć nie mógł, bo w tym labiryncie wysp i wysepek my z naszymi wioślarzami, choć cokolwiek obeznani byliśmy z miejcowością, skorośmy się zabłąkali. Stąd czasu zwłoka.

Pan Samuel, podążyć nie mogąc, posłał kozaków, mustalika prosząc, ażeby cokolwiek się przymknął bliżej. Poganin zaś, jako sam w sercu zdradę miał, tak się jej snać od nas obawiał i sam ruszyć z umówionego miejsca nie chciał, kilkuset tylko murzów wyprawiwszy po hetmana.

Ci opowiadali, że mustalik z wielką wcale okazałością w tysiąc koni, z wielkim orszakiem, z darami bogatymi, z wozami, z wielbłądami, z namiotami, z jezdnymi i pieszymi, oczekiwał na hetmana.

Murzowie, przybywszy z pokorą i czołobitnością, poczęli modlić a prosić, po nogach niemal całując go, aby do mustalika jechał, który go niecierpliwie z wdzięcznem sercem oczekuje.

Postanowione tedy już było, żeśmy ruszyć mieli, ale wojska niżowego bez przykazów i bez naznaczenia im starszyzny, a bez zastrzeżenia, aby się ono spokojnie zachowywało, nie mógł pan Samuel pozostawić. Trzeba było na to trzy dni, aby po starszyznę posłać i z nią się rozmówić.

Rzekł tedy murzom:

— Postójcie mało, sami to rozumiecie, że wszystkiego kozactwa z sobą do Persyi nie biorę, trzeba więc pozostałemu przykazać srogo, aby ordzie pokój dała.

Tu, gdy dalej miał ciągnąć, muskając wąsa Zarwaniec, dodał spojrzawszy na braci, którzy go z ciekawością wielką słuchali.

— Co powiem teraz, będzie się może ich miłościom trochę dziwnem wydawało, a nie cale do prawdy podobnem, ale rychło ujrzycie pana Samuela, który słowa moje potwierdzi.

— Mów, cóż tedy tak nie do wiary być może, gdy o Samka idzie!—rozśmiał się Krzychnik.

— Poczęła się z murzami sprawa zaprawdę dziwna— ciągnął dalej Zarwaniec—bo nadzwyczaj gorąco i napastliwie nalegali, aby z nimi koniecznie, i to nie zwlekając jechał, a z drugiej strony kozacka starszyzna, na bok wziąwszy hetmana, objawiła mu, że oni Tatarom tym i chanowi ich i mustalikowi cale nie wierzą, a zdradę w tem wietrzą, iż inaczej nie jest, tylko sprawa napięta, aby jego ludzi i kozaków w niewolę wziąć i zgubić.

Zaklinali go więc, aby uchowaj Boże, nie jechał.

Zdało się zaś panu Samuelowi, że kozacy zrazu wyprawie tej byli przeciwni, i dlatego strachy na lachy wymyślają, albowiem takiej jawnej zdrady nie mógł nigdy przypuścić.

Więc z jednej strony murzowie wołają:

— Zmiłuj się, jedź, tam na ciebie jednego, jak na syna rodzonego, sułtan czeka, sto tysięcy ludzi stoi, trwać dłużej nie może, bo i trawę i paszę wszelką wyjedli i czas mieli obrachowany.

Więc na trzy dni pozwolić nie chcieli, ale wołali:

— Jedź zaraz, jedź...

Do kolan przypadali ciągle a złote góry obiecywali.

Co tu czynić? Kozacy ręce łamią i proszą:

— Jeżeli wam życie i zdrowie miłe, sami się dobrą wolą w ręce poganom nie oddawajcie. Zguba jawna. Dosyć w ich kose oczy popatrzeć—jak się sobie uśmiechają, radzi, że zdradę knują.

Drudzy zaś powiadali, iż niektórzy kozacy w niewoli u Tatarów bywali, a język ich rozumieli, pochwytywali takie wyrazy, jakby na zdradę wszystko wymierzone i obrachowane było.

Myśmy panu Samuelowi w oczy patrząc, widzieli, że choć się maluczko wahał, ale serca sobie dodawał i miał postanowienie jechać.

Tedy murzowie ani nawet do wieczora nie chcieli czekać, a zaraz na koń. Przeszedł się po placu między nami zadumany pan, i nagle krzyknął:

— Dawaj konia!

Murzowie się z pośpiechem rzucili i zaraz w mgnieniu

oka rumaka mu okulbaczonego, gotowego, tylko siadaj, przyprowadzili. Zdało się tedy, że tak Bóg chciał i sądził.

Był koń, jakbym na niego jeszcze patrzył, pleśniawy, zbudowany krzepko, z okiem wysadzonem na łeb, z chrapami czerwonemi, niecierpliwy, że w miejscu ustać nie mógł, a kopał nogami i ogonem ze złości zwijał. Tedy pan Samuel, choć wasza miłość wiecie, jak na koniu jeździ i że mu najdzikszy nie straszny, spojrzawszy na tego, rzekł:

— A stępią on chadza?

Murza, który przy nim stał, odparł:

— Bystry jest.

Rzucili się zaraz innego mu szukać, bo powiedział, że bardzo znużonym się czuje, i chce sobie na siodle odpocząć.

Tymczasem on, już tylko na konia siadać: szablę przypasaną, sahajdak miał na sobie — począł się przechadzać zadumany, oczekując. Patrzyliśmy na niego z żalem i trwogą, bo widać było, że w nim dwoje grało jeszcze.

Michał, kucharz, koło namiotu stojący, płakał, i gdy się zbliżył ku niemu, rzecze:

— Paneczku mój, już ja cię pono oglądać nie będę, kiedy się sam na ich ręce zdajesz. Jest szczuka dobrana poczekaniu gotowa będzie, najedz się choć na drogę.

Aż pan stanął, a że wistocie przez cały dzień czasu nie miał do gęby co włożyć, zapachniała mu szczuka i rzekł:

— Dawajże prędko.

I szedł do namiotu jeść, a tu mu drugiego konia już przyprowadzili. Znowu kęs się zwlekło. Miał tedy na koń siadać już, aż przy starszyźnie kozackiej, za jej namową, zażądał od murzów przysięgi na bezpieczeństwo.

Ci zaś wymówili się, iż przykazania nie mieli i ręczyć nie było ich rzeczą.

Kozacy to usłyszawszy, już nie patrząc na nic, prawie gwałtem pochwycili pana Samuela między siebie, niosąc go na rękach do czółen i siadłszy do nich, z samopałów ognia dawać zaczęli.

Murzowie się tego przelękli i odbiegli trochę, ale zaraz też do czółen się wzięli i już sądząc, że go prowadzą

z sobą, odbili od brzegu, przodem śpiesząc, aby o nim oznajmili.

Kozactwo zaś go puścić nie chciało, a że na pożegnanie dużo pili, wzięła się na wpół w czółnach—wpół na brzegu taka ochota wielka, że pan Samuel owszem zabył, z uciechą na nią patrząc. Młodzież skoki takie i tańce wyprawiała przysiadane, inni na kobzach grać, inni strzelać i hukać poczęli radośnie, aż się ziemia trzęsła. Było co patrzeć na ich skoki, bo naród ten gibki jest i wyłamany tak, że mu we dwoje zgiąć się, w kłębek zwinąć, głowę między nogi włożyć—niczem!

Wśród tej zabawy noc zaszła i straż kozacka powróciła od granicy tatarskiej. Ci z sobą prowadzili kilkunastu, których trudno było poznać zrazu co za jedni, tak wynędzniali w łachmanach się przywlekli.

Gdyśmy się zbliżyli buchnęła z nich radość, że nam się płakać chciało, bo to byli wszyscy polscy jeńcy, zbiegli od Tatarów, którzy w tej ucieczce prawe męczeństwo cierpieli, a tu *salus* ujrzawszy, na kolana padali, ziemię całowali, a mało nie szaleli z radości.

Dopiero starszy jeden, który głowę miał jakby trupią z wychudzenia, gdy mu pana Samuela pokazano, podniósł ręce do góry.

— Pan Bóg—zawołał — niech będzie błogosławiony, że nas tu zawczasu przywiódł, abyśmy wielkiemu zapobiegli nieszczęściu, Tamci Tatarowie, pętle wiążąc, na was niecierpliwie czekają. Hetmana niewola i okup postanowione były, a z ludzi, którzyby z nim przyszli, ani jeden nie miał powrócić, ani żyw być, bo dla nich pale gotowano.

Posłyszawszy to pan nasz, że nie mógł wątpić, iż prawdę mu powiadali, bo za nich własna ich nędza świadczyła, rozsierdził się strasznie. Zaraz tedy do koni swych postanowił jechać, ludzi co najlepszych zebrać i za chanem ciągnąć z tyłu, aby go znienacka zarywać.

Jechaliśmy w czterdzieści głów wybranych o mil siedem, kędy stado się pasło, ale bardzo nieszczęśliwie, bo tam od robactwa jakiegoś ludzie i koniska puchły bardzo i zdychały.

Gdyśmy do koni przybyli, okazało się po oględzinach, że i dwu zdrowych nie było.

Tedy kozacy dla słabości koni tych jęli mu odradzać bardzo, powiadając, że zanim osłabłe szkapy przepławim, zemdlone popadają, i nie było co z takiem stworzeniem w paszę Tatarom leźć; co naszemu panu bardzo przeciwnem było, gdyż sierdzistości swej i zemście kwoli chciał koniecznie uczynić, a gdy co postanowił, wiadomo, że go przeprzeć trudno.

Dla koni się więc przewlekło, a tymczasem znowu języka dostaliśmy od straży kresowych z przekopy, że murzów tych, którzy do pana Samuela jeździli, srodze chan pokarał, dlaczego nie zezwolili na przysięgę i na wszystko, co chciał, byleby mu go przyprowadzili.

Ci też powiadali, że gdy murzowie wrócili, zastali u chana posła perskiego, który po to przybył, aby go co rychlej naglił do ciągnienia. A z taką butą nalegali na chana, że mu grozili losem jego brata Adligeraja, który zabit był—mówiąc:

— Będziesz-li zwłóczył i ciebie to spotka!

Upierał się jeszcze chan na pana Samuela czekać, zwabić się go spodziewając, bo okupu wielkiego żądnym był, ale Pers mu ociągać się nie dał, i tak dziesięć tysięcy na straży od kozactwa zostawiwszy, ciągnąć musiał do sułtana tureckiego a z nim do Persa.

Na samem odjezdnem, ponieważ wcale nie wiedział o tem, iż się jego zdrada wydała, przysłał jeszcze do pana Samuela posły, napominając, aby pokój zawarty z nim strzymał wiernie, za co obiecywał i dań na kozaki i chorągiew na Wołochów, jakby tylko z Persyi powrócił.

Posłów tych odprawiono, nie dając nic poznać, a pan Samuel, gdy się naraz ujrzał bez żadnej imprezy przed sobą, począł być wielce markotnym.

Znacie miłość wasza naturę jego, że zawsze coś przed sobą mieć musi, czemby się porał, a zabraknie mu, uchowaj Boże, tedy jak niedźwiedź własnej łapy ssać nie będzie, ale musi sobie wyszukać, coby mu myśl zaprzątnęło.

Widzieliśmy go przez parę dni chodzącego, jakby z krzyża zdjętego i palce gryzącego ze złości. Przyczem oberwało kilku, co mu się podczas nawinęli.

Chybiła Moskwa, że na nią iść nie było można, do Persyi też nie szedł, a stać na Niżu i kaszę jeść z kozaki, nie jego rzecz była.

Na Wołochy się zaś gotował jeszcze w Złoczowie będąc i na nich z Tatarami i kozaki iść myślał, o czem oni byli uwiadomieni.

Hospodar, choć może napaści tej niebardzo się lękał, ale mu ona zawsze wypaść musiała ze szkodą. Nakazał więc do pana Samuela w ten sposób:

— Zostaw ty mnie w pokoju, masz co lepszego do czynienia; na gródkach moskiewskich pogranicznych lepiej się obłowisz, niż u mnie, a snadniej ci z nieprzygotowanymi będzie, niż ze mną, który wiem i czekam... Więc jeśli mnie w pokoju zostawisz, dam ci pięćset koni na Moskwę.

Na taką propozycyę pan Samuel do czasu żadnej nie dał odpowiedzi, ale teraz mu ona przyszła na pamięć. Bieleckiego tedy do hospodara wyprawił zaraz, dając mu cztery niedziele czasu na przysłanie posłów dla zmowy, do której gotów był przystąpić.

Otóż nam te cztery niedziele za dziesięć stały, a jak się to mówi po prostu, w gardle kością, że panu Samuelowi wszelkiej już cierpliwości i wytrwałości brakło.

Kozacy się poczęli na gwałt rwać, aby Tatarów zarywać, coby im łatwo teraz i bezkarnie przyszło, bo chana nie było, sił nie mieli, a wioski tatarskie tuż ku granicy się przysunęły.

Śmieszno rzec, że się wieś z miejsca na miejsce przenosiła, ale u Tatarów nie inaczej jest, tylko chaty na kołach z wojłoków mają, a w nich wszelki sprzęt i niewiasty i dzieci.

Dokuczy im co, albo paszę wyjedzą, lub wody powysychają, zaprzęgają do tych chat i ruszają, gdzie się im podoba. O Tatarach powiadają, że nawet naturę już taką mają, z wiekuistego nawyknienia, iż w jednem miejscu, a w nieruchomym domu wytrwać nie zdołają.

O tych tedy wsiach, przy których zazwyczaj i stada koni i łupy ich są i jeńców przy nich trzymają—zasłyszawszy kozacy rwali się na nich napadać.

Zaś panu Samuelowi nie po myśli to było, a musiał dobrze rozważyć aby na niego nie rzucono, że nieprzyjaciela uspokojonego przeciwko Rzeczypospolitej drażnił czasu wojny z Moskwą.

Z innych też względów nie zdało mu się swawoli kozackiej i samowoli folgować.

Więc cośmy z nimi za sprawy czasu tych czterech tygodni przebywali, ani powiedzieć, ni zliczyć. Musiał pan nasz starszyznę sobie dobremi słowy a ciągłemi podarkami ujmować, bo z nimi bez datku nic nie zrobić.

Patrzyliśmy na to z bólem serca, jak mitygując ich i nie mogąc zjednać, codzień, cośmy z sobą najlepszego mieli pomiędzy nich rozdawał. Poszło tak, co było ochędożnej i pięknej broni, rynsztunku wszelakiego, szat, futer, naostatek pieniędzy do ostatniego niemal grosza.

I bywało zdaje się, że już starszyzna uspokojona, przekonana, a mołojcy upojone cicho,—czekamy posłów od Wołoszy. Wtem przybieży od granicy język, jako wioski tatarskie prawie bezbronne, a łupu w nich siła, albo teraz lub nigdy na Tatarów iść, których jak baranów zabrać można!

Zawichrzy się znów wszystko, lecą pod namiot do pana z krzykiem wielkim, żeby ich prowadził, że nie od tego hetmanem jest, aby ich hamował, ale aby im przodował, że przez niego szkodę ponoszą wielką.

A tu się jemu więcej oglądać przychodziło na Rzeczpospolitą, choć króla nie cierpiał i nie cierpi, aby nieprzyjaciele nie powiadali, że na nią Turków i Tatarów zemstę ściągnął.

Więc znowu w prośby i zaklęcia, i znowu starszyznę ujmować, choć po kilka dni pokoju sobie kupując.

My tymczasem w tej bezczynności, na ladajakim chlebie, często głodem przymierając — jakeśmy się mieli, Bogu i nam wiadomo. Znowu tedy z nudów tych, ledwieśmy babom krosien nie zazdrościli, bo się ryby łowić i na ptactwo polować sprzykrzyło. Ludzie nasi z kozakami po całych dniach pili, nie mając co czynić.

My zaś wszyscy, jakośmy przecierpieli, to nic, ale kto pana Samuela, co on za męki doznał wyrozumie! Bo nieraz się hamować musiał, do czego nie nawykł, a nieraz zuchwałe kozactwo mu niemal do oczów skakało i życie wisiało na włosku.

Podpił który a miał na wątrobie co, szedł wprost, czapki nie zdejmując, pod namiot, siadał sobie za pan brat przy tym, którego oni batkiem czyli ojcem zwali, i bluzgał mu w oczy, co ślina do ust przyniosła.

Uprzątnęliśmy jednego, dopoiwszy tak, aby go na rękach z namiotu precz wynieść było można, nalazł się drugi; a najgorsza była starszyzna, która skosztowawszy podarków, coraz na nowe wyciągała, których nie było już z czego brać... Sepety nasze i wozy stały opróżnione, koniśmy się pozbyli...

Tymczasem tych posłów wołoskich cztery tygodnie oczekiwanych, ani widu, ani słychu... dalej i drugie cztery—głucho... Można się było najcierpliwszemu wściec, co dopiero takiemu jak nasz pan Samuel, który nigdy czekać nie umiał.. Wiądł nam w oczach, ale mu wstyd było i żal porzucić tę imprezę, nic nie dokazawszy, choć myśmy go na gwałt do domu z powrotem namawiali.

VI.

Westchnął i popił Zarwaniec, a panowie Zborowscy spocząć mu nieco dali, choć końca byli ciekawi, acz się dobrego spodziewać nie mogli.

Krzychnik pierwszy biadać zaczął:

— Było mu tam głowę nieść bez korzyści pomiędzy to kozactwo, gdy tu tyle jest do czynienia! Kosztem tych trudów a zabiegów byłby w mojem ręku więcej dokazał, a może cały naród byłby mu za to wdzięcz-

nym. Gorzej Tatarzyna nęka nas tu *Nigrum Concilum* ze swym chanem na czele. Na tego mu wyprawę było czynić, nie na Niż i Dnieprowe ostrowy!

To mówiąc, splunął podczaszy, a marszałek, który wiedział, że przy Zarwańcu wszystko mówić mógł, co chciał i myślał, odezwał się:

— Słuchaj Krzychnik, niech ci raz prawdę powiem. Ty żar chcesz wygrzebywać Samuelowymi rękami,a czemu sam nie poczynasz? Jam do tego niezdatny, ani się rwę, choć sercem i duszą z wami jestem; ty zaś, co się tak niecierpliwisz, czemu nie robisz nic?

— Bom tak, jako i miłość wasza do roboty onej niezdatny—odparł Krzychnik.—Wymyśleć i wskazać, co czynić, moja rzecz, a gdzie na koń siąść i szablą drogę po nocach zabiegać i zasadzać się trzeba, jam do niczego. Każdy człek się do czego innego rodzi, pan Samuel rzutki jest i gdy w dobrych rękach, nieoceniony... Własną głową tak chodzi, jak ono to na Niż a za wskazaniem mojem, onby nas wszystkich z tej niewoli Batorowskiej wyzwolił. Jeżeli powróci, nie może inaczej być, ja go wezmę w swe ręce... Zobaczycie!

Pokłonił się, słuchając Zarwaniec, i rzekł cicho:

— Ino proszę miłości waszej, pana Samuela wziąć a uczynić go komu posłusznym, to jest sztuka, której bodaj nawet pan podczaszy nie dokaże. Naprzód, że już za stary jest, aby swobody, do której nawykł dobrze, pozbyć się chciał, a potem krew ma gorącą, więc choćby się i poddał, w tem poddaństwie nie strzyma.

Rozśmiał się podczaszy.

— Ale on go ani czuć, ani znać nie będzie—rzekł— myśli toż samo, co ja, pójdziemy ręka w rękę... Zgodzi się ze mną tyle tylko, że ja mu drogę wskażę i ułatwię.— Jabym mu wszystkich tatarskich chanów i hospodarów wołoskich z głowy wybił, kiedy my tu nad sobą mamy taką żelazną rękę, że tchnąć nie możemy.

Daj Boże, aby co najrychlej przybywał!

— Takci będzie — dodał Zawraniec — bylem grosza dostał, pośpieszy tu pewnie.

— Niechby choć przed weselem wczas stanął, boby

się może udało pana młodego nie dopuścić do kobierca...,

Wtem zwrócił się do Zarwańca.

— No mów, a kończ, coście to tam jeszcze na Niżu dokazywali, z czem się chwalić myślisz?

— Niewiele z tego chwały—rzekł Zarwaniec—bo biedy więcej było, niż chluby.

Myśmy z tego próżnowania, jako i pan nasz gotowi byli na wszystko. Puścił się tedy pan Samuel dla rozrywki, jako i dla lepszego poznania tego kraju i rzeki, po Dnieprze, po ostrowach, opatrując brzegi, rozpytując ludzi o ich saletry, sole, wszelką kupię i płody.

Wtem, gdy na rzece był, spotkał tych, co po sól jechali na brzeg morski, która tam latem osycha, jako mąka, leżąc na ziemi i bierze ją każdy kto chce, ile mu się podoba, nie pytając, bo to bezpańska jest rzecz.

Ludzie ci, sól wiozący, powiedzieli mu że nieopodal na morzu widzieli galery, które na Dniepr płynęły.

Natychmiast wyprawił pan nasz straż *ad ostium maris* kędy Dniepr w morze wpada, aby języka dostać i wistocie straż galery dwie na Dniepr wchodzące na swe oczy widziała, a przy nich lądem Tatarów tysięcy, jak oni liczyli, z dziesiątek szło, chcąc w ciasnem miejscu z kozaki się rozprawić.

Tego było potrzeba panu hetmanowi, który gwałtem bitwy pożądał... więc ludzi zebrawszy, zasadził się tak, aby ludzi z galer wysiadających, gdzie na ciasnem ostrowiu przydybał i tam ich wszystkich wybił co do nogi.

Ale nie wiedział o tem, że nie wszystka to moc tatarska była, ale tylko przez Sydziaka wysłana kupka dla języka, którzy kozaków zoczywszy, ani się potykać myśląc natychmiast tył podała.

Gdyby nie to, że się cokolwiek przypóźnił, pewnieby z nich żaden nie uszedł, ale po niewczasie próżny żal.

Więc wracaliśmy znowu do Siczy, i znowu na Wołochy gotowaliśmy się, bo tak siedzieć nie chciał w próżnowaniu, gdy już posłów nadaremno się było spodziewać.

Gdy ciągniemy tak, co godzina, to nowina; na pierw-

szym noclegu potykamy znowu z jassyru tatarskiego zbiegłych, których tu niemal każdego dnia można było znaleźć, bo się salwowali niebożątka, jak kto mógł i umiał, a niejeden wolał z głodu na stepie umrzeć lub w śniegu zmarznąć, niżeli w tatarskich pętach. Więc byle się okoliczność nadarzyła do ucieczki, biegli więźniowie, a co ich życiem przypłacało, któż to policzy? Nawet kości po nich nie pozostało na tych pustkowiach!

Gdyśmy jeńców rozpytywać poczęli, wszyscy jednozgodnie mówili nam: na Tatarów idźcie, teraz czas albo nigdy, bo tam na nich padła jakaś trwoga wielka, i sama chanowa nawet do lasów uciekła.

Kozakom tego tylko potrzeba było, posłyszawszy, zerwali się gwałtem wielkim, aby zaraz iść nie mieszkając.

Próżno pan Samuel chciał ich od tego odwodzić, a miarkować, aby na Polskę pomsty onego czasu nie naprowadzili, gdy wojna moskiewska nad nią wisiała. Siła czasu upłynęło, nim ich jakoś przywiódł do upamiętania, a polityki w tem wielkiej zażywając, posłał do chanowej z pięknemi słowy, aby trwogi nadaremnej się pozbyła i bezpiecznie w pokoju mieszkała, gdyż jej, jako syn, dawną z ojcem umowę o pokój chce święcie dotrzymać.

Co zaś to kosztowało biedy i mozołu, długoby opowiadać. Dosyć, że odprawiwszy szczęśliwie posły, sam do Wołoch się uparcie gotował, bo srodze obrażony był, iż mu nawet nie odpowiedzieli, lekko go ważąc sobie.

A no, jakom rzekł, każdy tu dzień inny wiatr wiał i nami miotał.

Kiedy my na Wołoszę się gotujemy, przynoszą wieść, że Tatarzy są na zamku w Hasłanhorodku, tym samym, o który się był kniaź Rożyński kusił, kędy mizernie zginął, prochy podłożywszy, którymi się sam w powietrze wysadził.

Szliśmy tedy śpieszno bardzo na Hasłanhorodek a Tatarzy o nas posłyszawszy, uskoczyli precz z obawy.

Nie wiodło się nam zrazu i tak już do końca.

Był z nami pod ten czas kozak, którego oni tam wszyscy w nadzwyczajnej mieli estymie i Znachorem go zwali, iż umiał zamawiać strzelby i kule, tak, że wojsku, w którem on był, szkodzić nie miały. Inne też czarnoksięskie sztuki wyprawiał, któremi sobie takie poszanowanie pozyskał, że mu się wszystko kłaniało. O czem hetman albo nie wiedział, lub sobie to lekceważył.

Do Tatarów, gdy już odciągali, posłał pan Samuel tłómacza, zapraszając ich na rozmowę, przyczem kilku kozakom zasadzić się kazał dla bezpieczeństwa, aby Tatarzy się na niego nie porwali. Pomiędzy nimi Znachor był.

Ten, Tatarów zobaczywszy, strzymać nie mógł i wystrzelił do nich, a że hetman im za bezpieczeństwo ręczył, więc wpadł w pasyę taką, iż się na kozaka rzucił sam, chcąc go ubić, ale inni poskoczyli, obronili go i nie dali.

Tu dopiero widzieć było potrzeba i pana Samuela i kozaków onych, i srogą zaciętość z obu stron, z takim impetem, żeśmy sądzili, iż żyw z tego nie wyjdzie.

Jak się tam innemu kozactwu udało pana Samuela pohamować, a Znachora przy życiu zachować, nie wiem spełna, bom dla ciżby, jaka się zwaliła ku nim, nic widzieć nie mógł i hetmana dopiero zobaczył, gdy jak z łaźni z rąk się ich wyrwał, przeklinając dzień ten i godzinę, gdy na Niż mu się zachciało.

Aliści zapóźno było żałować teraz...

Na pociechę z Wołochy wrzekomo tak się składało, że u Probitego ku Bohu zjechać się zmówili, choć pan Samuel mało im ufał i nadziei miał, ażeby na nich co wymógł.

Gdy się tedy z kozaki zapomocą niektórych, hetmanowi skłonniejszych, uspokoili do czasu, choć już do nich a oni do niego serce bardzo tracili, przysłali Tatarowie z podzięką, że się za nich ujął i pokój chciał utrzymać, za co wywdzięczając się, ofiarowali mu wraz z ludźmi stacyę i wszelkie opatrzenie, jeżeliby tu chciał spoczywać, przyczemby i chanów poznał, bo się ofiarowali przybyć ku niemu. Za co hetman podziękował im, bo mu do Probitego pilno było, zbywszy ich:

— Na ten czas nie potrzebuję nic!

Więc z pod Hasłanhorodka jechaliśmy do Witoldowej Łaźni, gdzie się pamięć onego wielkiego wojownika nie tylko uchowała, ale budynki i piece okazywano, jakoby z tych czasów, gdy on tu stał, a w łaźni się parzył. Drudzy zaś mówili, że nie łaźnia to była, ale komora, kędy kupce parzył.

Skąd pośpiesznie ku ujściu Dnieprowemu szliśmy dalej, a dziesięciu ludzi przodem słał do Probitego ku Bohu dla Wołochów, aby, jeśli się cokolwiek opóźni, onych tam zatrzymali.

Tymczasem owi wysłańcy trafili po drodze na wałęsających się Turków i pojmali ich trzynastu, ale że pohańcom pomoc przybiegała, uszli z nimi pośpiesznie ku Bohu i aż do Probitego ich dostawili. My zaś spoczywaliśmy dzień na tym noclegu, skąd straż była posłana, bo kozacy czółna trzciną obszywali, gdyż na morze były zamałe.

Tuśmy się, stojąc, a na wyspach na morzu nieodległych słysząc o zwierzu, puścili na łowy.

Wtem słyszymy huk w dali, a rozeznać było trudno, czy z dział ognia dawano, czy grzmot się rozlegał, bo w tej stronie na niebiosach chmury stały.

Kozacy świadomi powiadali jedni, że na przekopie ognia dawano, drudzy zaś twierdzili, że grzmiało i łyskało. Więc, nie dorozumiewając się Turków, płynęliśmy na morze pełne, bo ci, co ku Bohu szli, o nich nam znać nie dali. Cicho i bez zaczepki przekop minęliśmy, Tatarom pokój dając.

Kiedy potem patrzym, na morzu jakby zamek znaczny albo budowanie się ukazało, a że mrok padał, więc rozeznać było trudno, co przeciw siebie mamy. I tak na noc przyszliśmy.

Dopiero, gdy dnieć zaczęło ukazały się tureckie galery z ludem wojennym mnogim, że już mylić się nie było można.

A panu Samuelowi zaraz serce urosło i aż mu oczy zapłonęły.

Więc się do kozaków obrócił.

— A co, panowie mołojcy! Szczęście nam samo

się w ręce podaje; przy pomocy Bożej, może być i sława i korzyść niemała!

Przyczem na galery wskazał, ale kozacy, choć zawsze ochotni, głowami potrząsali.

— Tuby nam—rzekli mu—o tem myśleć, jakby co najprędzej uchodzić, bo siła nie na naszą garść, zgnietliby nas pewno. Mierzyć się z nimi, ani próbować...

A naszemu panu okrutny żal był okazyę potkania się stracić, ale sam wreszcie widział, że szczerze mu radzą, i że nie pozostawało nic, ino uchodzić co chyżej.

Do Bohu siedem mil było, ucieczka przed galerami trudna, a zguba pewna. Co najgorsza, że kozacy z temi czółnami ani się chcieli mierzyć przeciw galerom i stał się .niepokój wielki, wołanie, czem i hetmanowi serca odjęli.

— Uciekać!—wołali—uchodzić!—i czółna zwracali.

Panu Samuelowi zaś, gdy już ratunku w ucieczce nie widział, zdało się po rycersku dostać placu i życie ważyć, począł więc na nich krzyczeć:

— Niech was, mołojcy, nie obchodzi lik pogan, myśmy ludzie chrześcijańscy, Pana Boga prawdziwego słudzy, On nam wszechmocnością swą pomagać będzie i sił doda... Idźmy śmiało a z pomocą Bożą i tej ich armacie i im, bluźniercom niewiernym, rady damy... zwyciężym ich...

Tymczasem czółna i my na nich uchodziliśmy, a pan Samuel stojąc, wciąż mitygował, zaklinał, aby sobie sromu nie czynili, a raczej się zwrócili mężnie i do bitwy gotowali.

Aż tu przedniejsza galera, na której ich tam starszy był, wysworowała się naprzód, goniąc nas, nimby inne ruszyły i krzyki ich: Ałłah! Ałłah!—zdala nas dochodziły.

Kozacy z czółnami do brzegu już przybiwszy, wysiadać i pierzchać chcieli, ale srom ich owładnął na ono wołanie hetmańskie. Siedli do czółen napowrót.

Pan Samuel, wielce tem uradowany, chwalił im to, zwycięstwo obiecując, bo mu się wielce bitwę stoczyć pragnęło, że życie dla niej ważyć był gotowy.

Galera owa ich hetmańska coraz się ku nim przybliżała, a była ze wszystkich największa i najpiękniejsza, sunęła tak, żeśmy nie tylko słyszeli ich bębny, surmy i okrzyki, ale zielone chorągwie, powiewające nad nimi, widzieli.

Pan Samuel z kozaki stał śmiele, to im zaręczywszy, że skoro z jedną tylko galerą mieć będą do czynienia, przemódz ich dzielnością swą potrafią.

Stał cały jak w ogniu, trzęsąc się z niecierpliwości pan Samuel i spostrzegłszy, że sternik jego czółna słabnie i źle kieruje, o mało w miejscu nie ubił, że mu go z rąk ledwie wyrwano.

Turcy się tej garstce śmiałej dziwując, już zaprawdę gotowali osaczyć wszystkich i pojmać jako w sieci, bo wielką przewagę mieli, gdy galera na piasku im utknęła—ani ruszyć. Tam, gdzie czółna kozackie płynęły swobodnie, oni jak przykuci siedli.

Począł pan Samuel wołać, aby reszta spóźnionych przybywała, wielkim animuszem swym rzucić się na nich zamierzając. Ale kozacy się nie ważyli i zamiast ku galerze, do brzegu sterowali, ani było ich zmusić.

Pan Samuel napróżno ręce łamał, prosił i zaklinał·

Wtedy Turcy, obaczywszy, że im uchodzimy, z dział ognia dawać zaczęli. Kula jedna tak nieszczęśliwie padła, że sternika, który tuż przy panu stał, trafiła, a ten podle niego padając, kozaka z sobą w morze wywrócił, którego ledwie wyratowano.

Kozactwo zaś, które zrazu chęć dobrą okazywało i na które hetman najwięcej rachował, do brzegu przybijając, poczęło się mieć do ucieczki.

Próżne było rozpaczliwe hetmańskie wołanie, aby drugim strachu nie wrażali i sromu sobie nie czynili—kule tureckie coraz w czółna trafiały i dziurawiły je, tak, że zatykać było trzeba, aby ich woda nie zalała.

Wziął się zamęt wielki, a pan nasz o wszystkiem zapomniawszy, wrzał tylko tem, jakby się bił i zabijał.

Turcy, widząc, że na morzu nic nie uczynią, poczęli na ląd wysiadać, kozacy też wszyscy niemal wylądowawszy na brzeg, około hetmana się skupili.

Bitwa strzelbą rozpoczęła się gorącą, na którą patrzałem, bo przy nim byłem. Kule ku nam wszystkie wymierzone, jak grad dokoła padały. Co zobaczywszy kozacy, chcieli go na wzgórze uprowadzić, albo kupę tę, co go otaczała, rozproszyć, bo za cel służyła.

Hetman chłopca, który przy nim ze strzelbą stał, ledwie popchnął od siebie, gdy kula go ugodziła i na pół rozcięła... tylko, że mu rusznicę mógł pochwycić.

W tym zgiełku mało co widzieć, a jeszcze mniej ropoznać było można. Tylem na oczach miał, że na pana Samuela baczyłem ciągle się naprzód rwącego, ognia dającego, a cudem Bożym, choć gęsto go ostrzeliwano, żadna kula nie ugodziła.

Wtem między Turki okazało się, co zaś nie wiem, jakby bałwan jakiś we srebrnej zbroi, do którego zmierzywszy pan Samuel raz i drugi ognia dał, aż się z niego blachy posypały. Chorągiew też jedna się zachwiała i padła, poczem lament usłyszeliśmy i wołanie przeraźliwe: Ałłah! Ałłah! co kozacy rozumieli, jakby oni sprawę swą za straconą mieli.

Wnet też i im męstwa przybyło, gdy obaczyli, że nie tak Turcy straszni, a od kul ich ten był ratunek, iż tam właśnie dzikie świnie doły ogromne poryły, w których jak za szańcami kryć się było można.

Pan nasz, jako strzelec doskonały, cudów prawie dokazywał, na cośmy patrzyli, gdy rzędem siedzących na ławie galery Turków ze śmigownicy wszystkich jednym strzałem raził i położył.

Wtem Turcy dwie galery wyprawili ku Bohowi, aby tam Tatarów przewoziły, którzyby kozakom tył zabrać mogli. I znowu się stała trwoga, a kozactwo do ucieczki się zabierało. Tylko pan nasz i nas kupka sercaśmy nie stracili.

Zgromił pan uchodzących sromem wielkim, że ich świat ma za rycerzy, jakim równych niema, a oni tchórzem podszyci—i trochę ich powstrzymał, ale też Turcy, zamieszanie u nas spostrzegłszy, otuchy nabrali i na ląd wysiadać poczęli, działa z galer na nas wymierzywszy.

Hetman przeciwko wysiadającym sam się ze swy-

mi ludźmi ruszył, gdzie mężnie się potykali, choć nas nie było więcej jak kilkudziesięciu, a Turków przybywało. Jakoś to znowu kozaków zachęciło, iż się zwrócili za naszymi.

Wtem dano znać hetmanowi, że Tatarzy biegną Turkom na pomoc od brzega i rzucił się do strzelby, ale popłoch był próżny, bo nie Tatarzy, ale naszych reszta pośpieszała na pomoc, co męstwa dodało. Dosyć, że i nasi i kozacy parli Turków, z wielką rwąc się gorącością.

Padło tam na placu Turków dosyć, przyczem pono i Sędziak ich, alias hetman, padł, tak, że wpław do swych galer uchodzić zaczęli.

Na tem tedy koniec był, bo gonić Turków nie przystało, więc szliśmy z kozaki wraz lądem dla spoczynku w miejscu bezpiecznem, gdy nadbieżał kozak, dając znać, że Tatarów kupa nadciągała.

Tych pan Samuel chciał fortelem pożyć, aby ich pewniej zniszczył, miał bowiem z sobą nie wiem po co przygotowaną turecką chorągiew, którą wystawić w górę kazał, aby Tatarzy Turków zwycięzcami sądzili i śmiało następowali, a kozacy wtedy z tyłu mieli ich zajść, gdy my czoło im stawić mieliśmy.

Kozakom też się to spodobało, a że z nich wielu języka tureckiego cokolwiek znało, więc naśladując ich wołanie, jeszcze ich bardziej przynęcili. Byłoby może się powiodło, ale drugie kozactwo prędko ku nim skoczyło, czem Tatarowie spłoszeni, tył podali. Tych w pogoni cokolwiek nabito, a trupy obdzierano, powrócili Tatarowie i kozacy ich dobrze odparli.

Tymczasem z galer strzelano i było tego niepokoju i miotania się dobrze na godzinę w noc.

Wreszcie trzeba było do czółen wrócić i o sobie myśleć, aż gdy do nich przyszedł pan hetman z kozakami, znalazł mało nie wszystkie zniszczone, i ledwie z nich osiem całych zostało. W te trocha kozaków siadło, ale gdy wiatr wstał, zaniósł ich na brzeg tatarski i wszyscy się do niewoli dostali.

Rannych co było na jedno czółno położywszy, który miało wedle brzega płynąć, szedł pan hetman pieszo,

a za nim wciąż pogoń tatarska, która się coraz powiększała, czem kozacy mocno się trwożyć poczęli. Tylko nasz pan serca nie tracił.

I jako to jemu właściwa rzecz jest, iż im w większem był niebezpieczeństwie, tem się zdawał weselszy i śmielszy. Począł ich tedy napominać rycerskiem słowem o śmierci chwalebnej, choć nie wiem, czy tam pod ten czas słowo mogło wiele, choć im obiecywał, że byle śmiało szli, pewnie zwycięsko wyjdą.

Ale inne okoliczności smętne serce odejmowały, bo głód morzył i żywności żadnej nie było, a ranni na czółnie, nie mogąc dla piasku się wygrzebać z tego miejsca, wołali, aby ich dobito, żeby się nie męczyli nadaremnie.

To się stało dopiero drugiego dnia na rzece Bohu. Półtora dnia naówczas, prócz wody, nic w gębie nie mieliśmy, a gdzie który liści narwał—żuł, lub korzonków probował, a drudzy żołędzi.

Kupą się trzymając, ciągnęliśmy do Bohu ku Ingułowi, a tu niektórzy kozacy się znaleźli, co byli pouciekali i przy nich żywności trochę ladajakiej, ale ta jak najprzedniejsze smakowała marcepany. Nad Ingułem konieśmy zastali wprzód tam posłane... a no i koniom i ludziom, nam wszystkim w tych polach dzikich a pustych głodna śmierć groziła. I cośmy tatarskiej strzały uszli i jassyru—widzieliśmy, że przyjdzie w męczarniach ginąć.

Co było w czółenkach, wszystko Turcy popsowali i z wodą poszło, a przy sobie mało co kto miał i tego nie stało. Zwierza zaś ubić, albo ptactwa nie nadarzyło się, więc konie wszystkie rozdał między kozaki, a no tych niewiele było, a wojska wszystkiego z półtrzecia tysiąca, gdy się razem zebrali.

Nie wiedzieć, co poczynać już było, ale hetman głowy nie tracił, kilkunastu ludzi lepszych wybrawszy, z nimi jechał do Probitego uroczyska ku Wołochom, a że rybaków kilku tureckich pochwycić się udało, a od tych o straży wołoskiej dostaliśmy języka na Martwej Wodzie.

Zaczem do Martwej Wody, gdzie nikogośmy nie zastali, tylko świeże stanowisko, doły od ogni i barłogi.

Było już nas tylko jedenaście człowieka, a Wołochów tam stało osiemdziesiąt, ale dla żywności byłby pan hetman na nich napadł.

Tymczasem nic, szukaliśmy dalej wiatru w polu, jako powiadają, a kozacy z głodu puchli i zdychali. Pan hetman też nic nie jadł, krom żołędzi, jako i drudzy.

Nocy już tu nie stojąc, pociągnęliśmy do Kremeńczuka. Tu znowu żywej duszy, ni chleba, ni żadnej rzeczy... Wróciliśmy do Probitego uroczyska.

Patrzym, na ścianie węglem pisanie świeże: „Jeżeli tu kto przybędzie z wojska hetmańskiego, powiedzcie o nas na Krzywem uroczysku...

Duch dopiero w nas wstąpił, jechaliśmy jakby zmartwychwstali, a tuśmy przyboczną straż pańską znaleźli, o której myśleliśmy, że ją Turek pochwycił. Dopiero ryb nałowili nam i nagotowali a napiekli i ludziom trochę sił powróciło.

A no tu, jeszcze szpary nam nie zaszły, już się na Wołochów gotował, zasłyszawszy, że ich w pobliżu półtorasta było, tak żądnym był wojowania—ale Wołochowie zawczasu tył podali.

Zarwaniec mówił ciągle, gdy pan Krzychnik szeroko głośno ziewnął.

— Czyź jeszcze nie koniec—spytał—waszych spraw ukrainnych i niżowych, bo ja ich mam dosyć, a sądzę, że i pan marszałek nie żądny więcej.

Zarwaniec wąsa pogładził.

— Jak przykażecie—rzekł—mnie się zdało, że jużci pana Samuela męstwo nie obojętne braci... My stamtąd od Soroki iść mieliśmy, a obróciliśmy drogę inaczej, bośmy z Bracławia się żywności spodziewali — a nędza taka była dla głodu, że kozacy kości, kopyta, rogi, w ziemi zagrzebane zdawna i pogniłe, dobywali, jedli i od nich umierali.

— Tośmy słyszeli—przerwał Krzychnik—a no powiedzcie, jakże się to skończyło i kędy hetmaństwo z buławą poszło? Bo powiadacie, że Samko powraca?

— W drodze jest pewnie — dodał, nieco zmitrężony Zarwaniec. — Co się tyczy hetmaństwa i Niżu, jam prosty czełek, jakem szedł za panem, nie wiedząc po co, tak wróciłem, nie wiedząc dlaczego

Poruszył ramionami.

— Dać Bóg, przybędzie pan Samuel, to on lepiej wytłomaczy całą tę swą podróż, ja tyle wiem, że dalibóg między kozaki pamięć o nim zostanie, iż takiego nigdy nie widzieli .

— Pewnie!—zaśmiał się Krzysztof—pewnie, męstwa mu nie odjąć, ale po co to wszystko się zdało? Na Moskwę chciał, na Tatarów się rzucił, Wołochom się odgrażał, kozaków zmitrężył, a w końcu nie dotrwał nigdzie i wszystko straciwszy, powraca z tym jednym łupem, że rozumu się nauczył może.

— Gdybyż!—westchnął marszałek.

Zarwaniec się obraził.

— Proszę o przebaczenie miłości waszych—rzekł—panu naszemu rozumu nikt odmówić nie może...

I skłonił się sztywnie, a czoło mu się pofałdowało.

— Ja mu też tego nie odmawiam—odezwał się Andrzej—ma rozum dla drugich a dla siebie go nie używa. Po co mu było na Niż? chyba, aby stracić i koni i ludzi, i pieniędzy siła, a powrócić z kijem, miasto buławy... Po co było na Niż?

Zarwaniec stał, mruczał coś pod nosem, lecz jawnem było, że mu się pana bronić chciało i język okrutnie świerzbiał.

— A! miłościwi panowie—rzekł—ktoby w tym człowieku siedział, a było mu, jak jemu markotno, a chodziłyby wszędy za nim widma i mary, nie dziwiłby się Niżowi, a choćby i gorszej alternatywie.

Wtem Krzychnik się zżymnął.

— O jakich widmach i marach prawisz człowiecze?—zakrzyknął.

Zarwaniec, jakby mu usta na kłódkę zamknął ani słowa... Powtórzył to pytanie raz i drugi, nic z niego nie dobył.

— Cóż milczysz? Wszakżeśmy sami!—rzekł podczaszy.

— Nie mnie stawać w pańskiej obronie przeciw bratu—odparł Zarwaniec —ino tyle powiem, że jego tą miarą nie trzeba mierzyć, co pospolitego człowieka.

I westchnął.

Zmiarkowali ichmościowie, że pytać się go nie godziło, a przynajmniej nie wszystko, a Krzychnik pomyślawszy chwilę, cicho szepnął:

— Wojtaszek gdzie?

Imię Wojtaszka na Zarwańcu zdawało się czynić nieprzyjemne wrażenie, aż się wzdrygnął. Skrzywił się mocno, ręką machnął, splunął.

— Bogdajbyśmy go nie byli oglądali—rzekł—to zgaga i nieszczęście nasze ten człowiek, bo pana nienawidzi, wszystkie tajemnice wie i gotów je sprzedać, a pan go dla pieśni lubi i boi się, i sam nie wie czy go ubić, czy go głaskać, bo wypuścić w świat nie można.

Zmarszczył się mocno pan podczaszy.

— Wojtaszka nam pod niebytność pana jak oka we łbie pilnować kazano—mówił dalej Zarwaniec—a to bestya zuchwała i wszeteczna. Nikomu nie daruje w domu, wyśmiewa wszystkich, szpieguje wszystko...

Podczaszy niecierpliwie przerwał mówiącemu chrząkaniem i oburącz wskazał mu na gardło, poczem dodał:

— I po wszystkiem!

— Płakać po nim będzie! —ruszył ramionami Zarwaniec.

Chwila milczenia nastąpiła.

— Dostałeś pieniędzy?—spytał podczaszy.

— Mało wiele—odparł stary sługa —jam się u miłości waszej spodziewał pożyczyć.

— U mnie!—krzyknął pan Krzysztof.—A toś mi dobry! Ja pieniędzy nie daję nikomu: biorę od każdego, co daje, a dla Samuela, dla tego dziurawego worka bezdennego, jabym miał mój grosz krwawy dać!...

Ruszył ramionami raz i drugi, a patrzącemu na się Zarwańcowi wskazał na pana Andrzeja. Ten też siedział, jakby nie słyszał, czy nie rozumiał.

— Panie marszałku—począł sługa.

— Jeżeli się z tem do mnie zwracasz—rzekł podnosząc głowę pan Andrzej,—toś i tu chybił. Krzychnik nie chce dać, a ja nie mogę, bo nie mam. Mnie się zda, że albo do Włodkowej, albo do dzieci z tem potrzeba... choć jam pewny, że nim ty z pieniędzmi przybędziesz, Samko już ich sobie dostanie.

— A powiedzcie mu, niechaj do nas pośpiesza — dodał Krzychnik,—bo jest potrzebny mnie i całej rodzinie.

—Ma głowę nadaremnie ważyć—niechże krwi swej usłuży. On jeden albo nikt tę gadzinę Zamojskiego zdusić może.

Naówczas dla króla aptekarzów i pigułek szukać nie będziemy potrzebowali, bo gdy hetmana nie stanie, król bez rąk się uczuje i nie ruszy. Ino Samko niech pośpiesza, bo się na wesele gotują, a lepiej go przedtem sprzątnąć, aby nie tryumfował.

— Gdyby nie ten wasz Niż—mówił dalej Krzychnik—jużby pewnie wszystko było skończone.

Stary Zarwaniec słuchając, jakoś nie bardzo to brał do serca nie spodobało mu się, iż podczaszy sam w kąt się chowając, Samuela chciał na chyż wystawić, i jego rękami żar grzebać, aby swoich nie poparzył. Milczał więc, oburzało go to, iż pieniędzy dać nie chciał, a życie wziąć był gotów.

— Naszemu panu po tej imprezie spoczynek należy — odezwał się.

— Komu ? Jemu? On nie spoczywa nigdy! Nie damy mu roboty—to sam znowu drugi Niż wymyśli, a to jeszcze łaska Boża, że go jak przed kilku laty, tak i teraz uniwersałami nie gonili, chwytać nie kazali i banicyi nie przypominali.

— Toć dawno przyschła — rzekł Zarwaniec.—Wiadoma rzecz, iż pan nasz chodził z wojskiem na Moskwę,—nie mówili mu nic; po sejmikach i zjazdach się okazywał, więc obawy o to niema.

Andrzej głową trząsnął.

— Temuby zbytnio nie ufać—rzekł.—Banicya niezniesiona; kiedy zechcą ją odnowią, bo ona nigdy waloru nie traci, aż prawnie odwołaną zostanie.

— Zapomnieli o niej wszyscy potrosze—rzekł Krzychnik.—Samuel się też zbytnio na oczy nawijać nie potrzebuje. Ja mój plan mam, bylem jego dostał.

Pochwycił Zarwaniec za czapkę, która na ławie leżała i zapytał, co więcej panu mu powiedzieć zlecą.

— Nic, krom tego, ażeby skoro przybywał, bo mnie i nam tak potrzebny jest, jak nigdy nie był. Nie baw, pośpieszaj, a gdy Samko powróci, znać mi dajcie, abyśmy się zjechali.

Skłonił się Zarwaniec i wyszedł.

VII.

Było to na krakowskim zamku, pod niebytność królewską, gdzie sama tylko królowa, Anna pod ten czas mieszkała dokoła niej spokój wielki panował, bo się wszelkie życie na dworze króla i w dworcu hetmana skupiało.

Pusto więc i smutno było na zamku. Mała tylko garstka przyjaciół i domowników królowej przesuwała się cicho i skromnie.

Nie te to już były czasy, gdy Anna Jagielonka, po śmierci brata, czoło stawiąc senatorom, elekcyę gotując, krzątała się i na posługi miała możnych ludzi. Teraz ona, królową zostawszy, wistocie panią być przestała. Opatrywano potrzeby, nie zbywało na niczem, ale wpływu najmniejszego uzyskać nie mogła.

Małżeństwo z Batorym było tylko pozorem, aby jako mąż i król mógł panować, ją wyzuwszy ze wszelkiej władzy.

Nikomu to ona przypisywała, tylko Zamojskiemu a bolało ją mocno to wydziedziczenie.... Kanclerz grzeczny i zimny krew królewską szanował i dostojeństwo, ale o tem, co się władzy i rządu tyczyło, ani mówić dawał.

Sadziła królowa kwiatki, kazała suszyć zioła do apteczki, myślała o grobach dla matki i brata, wychowywała sieroty, pilno korespondowała ze Szwecyą i tam się zwracały jej oczy i jej nadzieje, tam był ten, którego za syna sobie przybrała... Zygmunt, któremu ona wszelkimi sposoby zapewnić chciała po Batorym następstwo.

Nie mając kogo kochać, do tego dziecięcia dorastającego przywiązała się zaocznie z całą namiętnością sierocтwa swojego. Choć w ten sposób matką być chciała.

Król na krakowskim zamku gościem bywał, albo w Grodnie dla łowów, albo na granicach dla wojny mieszkając. W Krakowie mu było dla królowej ciasno i markotno, bo ta starsza daleko od niego niewiasta przypominała mu że ją dla korony poślubił.

I rumienił się wojak a potargiwał brodę, chociaż tu był w swoim żywiole, bo wojnę miał i ład do zaprowadzania i człowieka, który myśli jego zgadywał, a cudownie je spełniał. Tym człowiekiem był Jan Zamojski, którego głową i rozumem wszystko stało, bo Batory kraju nie znał, z ludźmi nie wiedział jak się obchodzić i bez niego, możeby jak Henryk, porzucił tron, na którym mu spokojnie usiedzieć nie dawano.

Zrana tego dnia ów zamek cichy nagle się zaludnił, hetman i kanclerz przybył z Knyszyna, a skoro się o tem wieść rozeszła, popłynęły strumienie ludzi ku niemu, bo to drugi król był, a choć go niechętni głową Czarnej Rady zwali i gorzej, wszystkich oczy były na niego zwrócone.

Z górnych okien, skromny fraucymer królowej pani patrzał na wozy, które na zamek zachodziły, bo hetman się tu mieścił, aby być królowi na zawołanie pod bokiem.

W sile wieku był naówczas ten mąż, który wodze Rzeczypospolitej trzymał w swym ręku, postawy wspaniałej i pięknej, lica męskiego, na którem rozum i stateczność jakby napiętnowane były. Na hetmana i kanclerza nic mu nie brakło, bo i wymowę i postać, i obyczaj miał senatorski, a mimo dobroci serca, więcej w nim stałość i hart, niż miękkość jakąś widać było. Nie będąc z powołania rycerzem, gdyż więcej piórem niż szablą i głową, niż ręką pracował,—hetmanić umiał i buława mu tak przystała, jakby się z nią urodził.

Kochali go otaczający, ale więcej jeszcze szanowali i obawiali się, bo wiedzieli, że nieubłaganym był, gdy ze słabościami ludzkiemi miał do czynienia, i choć im przebaczył niekiedy, nigdy ich niewinnemi nie poczytywał.

Skaził się kto w jego oczach, trudno już było tę skazę zmazać... Pamiętał ją zawsze.

Ze dworu i wozów poznać było człowieka: ludzie karności wielkiej, milczący, przybór pański, ale niewystawny, przepychu nigdzie, świecideł żadnych.

Nie ruszyliby się może tak ludzie na wiadomość o przybyciu króla, jak na wieść, że kanclerz przyjechał. O niego się opierało wszystko.

Ledwie wszedł do swych komnat, do których mu przyboczny jego, Heindenstein, towarzyszył, gdy z miasta na koniu nadbiegł mężczyzna średnich lat, ogorzały, krępy, twarzy rycerskiej, ruchów żołnierskich, skromnie odziany... a tak pędził, aby stanąć co rychlej, że gdy u progu komnat był już pot z czoła długo ocierać musiał i dyszał, bo mu w piersiach tchu brakło.

Wreszcie wypocząwszy nieco, za klamkę ujął, a w przedsieni znajdująca się służba zaraz mu drzwi do hetmańskiej izby otworzyła.

Zamojski siedział za stołem, wypoczywając, a gdy wchodzącego zobaczył, ręką mu skinął uprzejmie i uśmiechnął się.

— Ażaliś się ty mnie spodziewał?—zapytał.

— Nie wiedząc ani dnia ani godziny—odparł rotmistrz piechoty Mroczek, ulubiony i zaufany sługa hetmana.

— Masz-li co nowego?—zapytał hetman.

— Siła rzeczy jest—rzekł rotmistrz—ale wszystko odgrzewane.

— Cóż Zborowscy robią?—zapytał Zamojski, trochę się marszcząc.

— To, co zawsze, spiskują!—odparł Mroczek.— A mnie się widzi nie przestaną, aż po łbie który z nich oberwie.

— Myślę, że groźby dosyć będzie—odezwał się hetman.—Podczaszy najgorszym jest, ale odwagi nie ma. Burczeć będzie i poduszczać drugich, sam nic nie pocznie.

— Na to ma Samuela—odezwał się Mroczek.

— Ten na Niżu z kozaki—dodał hetman.

— Jako żywo, powrócił—śmiejąc się, począł rotmistrz. — Cuda tedy powiadają, jak tam dokazywał, jak hetmanił, jak buławę dzierżył, z kozaki, Wołoszą, Tatarami, Turkami, z Moskwą się potykał i zbywszy mienia, a mało i nie życia,—goły powrócił.

Zamojski słuchał roztargniony.

— Gdzież jest?

— Pewnie w której z majętności swych odpoczywa, bo z banicyi oni sobie nic nie czynią, powiadając, że dawno została zabytą... a gdy on w wojsku króla niepowołany wojował, więc i wszędzie swobodnie obracać się może.

— Hetman nie rzekł nic, a Mroczek, poczekawszy mało i głos zniżywszy, dodał:

— Dałby Bóg, aby to próżne były przechwałki, a no wieści chodzą, iż albo królowi truciznę, albo miłości waszej napaść i śmierć gotują, bo sierdzą się okrutnie.

— Strzedzbyś się winien Mroczek, i lada babskich plotek nie powtarzać. Nie od dziś dnia oni o tej trutce gadają,—ale się ważyć na to nie mogą.

— Takby się zdawało—westchnął rotmistrz—gdybyśmy i ludzi i okoliczności nie wiedzieli, w których starali się o *venenum* i o zadanie go królowi.

Kanclerz w szerokie dłonie uderzył.

— Boże wieczny!—zawołał.—Czego ci ludzie chcą od króla! lepszego nigdy nie mieli i mieć nie będą, ale to nieszczęście, że mu przypadło one stajnie Augiaszowe czyścić, a niema zjadliwszej rzeczy, jak brud. Raz go przecie z tej Rzeczypospolitej wymieść potrzeba lub ona zginie... Czas już na to. Cugli warchołom nie nałożywszy, roznieśliby wszystko marnie!

Zamilkli nieco, a Mroczek, poczekawszy czy hetman sam nie pocznie, dodał:

— Teraz to ono szczęśliwe wesele miłości waszej na nowo poburzyło zazdrosnych i niechętnych. Na baczności się mieć potrzeba. Ludu się zbierze tłum wielki, nieznajomych, cudzoziemców, dopilnować będzie trudno, a czasu takiego obchodu—dozór trudny. Właśnie się i dla króla jegomości i dla miłości waszej tej chwili obawiam najwięcej.

— Podwoicie czujność waszą kochany Mroczku—

odparł hetman dosyć obojętnie—a będzie-li potrzeba zuchwałym naukę dać, nie omieszkamy. Jednakże nie radbym na wiarę pustych pogłosek, imać się ludzi, którzy językiem mielą dużo, ale uczynić nic ani mogą, ani się będą ważyć.

— I jabym tak trzymał—rzekł Mroczek markotnie,—boć pan gnieźnieński nie pocznie nic.

— Ten jest nasz!—wtrącił hetman.

— Pan marszałek co myśli, Bóg wie, ale pozornie względem króla i miłości waszej przyjacielem chce się okazywać, a pan podczaszy Krzysztof z nich wszystkich najgorszy, drugich poduszczać gotów, sam szyi ważyć nie będzie... Więc niczby nie groziło, gdyby Samuel nie powrócił.

— Temu—uśmiechnął się wzgardliwie pan hetman—inne sprawy w głowie. Za podwikami biegać, z dobrymi towarzyszami pić, żarty i intermedya wyprawiać lada z kim, zabawiać się i szaleć, bohatera mężnego grać, aby mu przyklaskiwano... to jego rzecz. Stare dziecko jest.

— A no właśnie narzędzie w ręku podczaszego niebezpieczne—rzekł Mroczek—bo mu Krzysztof wmówi, co zechce, popchnie, a gdy niebezpieczeństwo ukaże i wyzwie, napewno pan Samuel tam poleci, aby się nieustraszonym okazał.

— Więc gdyby nam bruździł—przerwał hetman, którego Zborowscy widocznie już nudzili—mamy na niego banicyę zawsze, na łasce jest... a w ręce nasze się dostawszy...

Zamojski nie dokończył i smutnie głowę opuścił.

— Nie o mnie samego idzie—dodał z powagą.—Ja się przy pomocy Bożej nie lękam ich pogróżek i zasadzek, ale takim ludziom, jak Samuel, którzy nic nie szanują, dla których prawa niema i hamulca... trzeba okazać, że się nie folguje złemu i bezkarnie szaleć nie dopuścić... Będzieli potrzebny przykład, choćby krwawy! ha!

I hetman zamilkł, obejrzał się, a natychmiast potem Mroczka o inne sprawy, wojska się tyczące badać zaczął.

Mroczek pomiędzy sługami hetmana niewielkie i niezbyt wybitne miejsce zajmował. Napozór był tylko rot-

mistrzem nowej piechoty, więc żołnierzem, ale oprócz tego, służył bystremi oczyma i przebiegłością, a niemniej wypróbowaną odwagą.

Mało ludzi domyślało się w nim tej bystrości i ochoty postrzegania, więc się przed nim nie ukrywano, i Mroczek widzieć a nasłuchać się mógł wiele, o czem hetmanowi natychmiast donosił. Byli inni na tych posługach, bo się bez nich obejść nie było można, gdy spiskować, zmawiać się i zasadzać na króla i hetmana poczęto.

Ukaranie Ościka trochę pohamowało zuchwałych, ale też i rozjątrzyło. Zbrodnia była jawna, połapane pisma o niej świadczyły—kara też domierzona słuszną, ale okrutną się wydawała. Mówiła ona, że nikogo nie oszczędzą.

Tej żelaznej ręki króla i Zamojskiego obawiano się i pozbyć chciano, bo do bezsilnej wszyscy byli nawykli. Spodziewali się Zborowscy znaleźć pomocników w licznych malkontentach, których ostrość rządów Batorego zniechęcała i przeciw tak zwanemu despotyzmowi jego oburzała.

Musiano mieć oko na pokątne roboty, które niebezpieczniejszemi były, niż publiczne występowania szlachty na sejmach, które wiele wrzawy, ale żadnego nie wywierały skutku.

Zdawszy panu swemu sprawę z tego co widział i słyszał, Mroczek powrócił z zamku na miasto.

Nie spowiadał się on przed Zamojskim z tego, czego niespełna był pewnym, choć go wieści różne dochodziły. Zewsząd bowiem zdawało się to potwierdzać, iż dla króla truciznę, a na kanclerza napad zbrojny gotowano. I to nie było tajnem, że Zborowscy najczynniejsi byli, a Krzysztof niespokojnie się krzątał w tej nadziei, że śmierć króla nową elekcyę sprowadzi, która Rakuszanina na tron wyniesie, a z nim i Zborowskich na widownię wydźwignie.

Czuwał, jako mógł Mroczek, wywiadując się, a choć nie o wszystkiem hetmana uwiadamiał—wszędzie zaglądał, aby sprawdzić, co go dochodziło...

Tak tedy i owo szeptanie o truciźnie dla króla, którą Zborowscy gotować mieli, nie uszło baczności Mroczka, acz mu się ona bardzo niepewną wydawała. Więc śle-

dząc, skądby ją mogli wziąć, Mroczek doszedł po cienkiej nitce do kłębka, bo mu zcicha i ostrożnie ukazano aptekę na rogu Grodzkiej ulicy, do zamku idąc, o której powiadano, iż tam wszystkiego, nawet i trucizny, dobrze płacąc, dostać było można.

Inaczej tego sprawdzić nie mogąc, rotmistrz musiał sposobnych do tego użyć ludzi i właśnie z zamku powróciwszy, czekał na niejakiego Jana Dzierżka, który mu miał w tem być pomocą. Mroczek sam nadto znanym był, ażeby na siebie oczy ściągać, posłużyć się więc kimś musiał.

Dzierżek należał do tej szlachty zubożałej, która w posłudze panów kawałka chleba szukać musiała. Rycersko najprzód sługiwał, ale pod Połockiem rażony, okulał tak, że o kiju chodzić musiał i na koń mu już siąść było ciężko, musiał więc gdzieindziej sobie chleba szukać.

Znał go z wyprawy Mroczek i lubił dla wielkiej usłużności, a i z tego, iż języka na dziadowski bicz nie rozpuszczał i umiał go za zębami trzymać.

Z zamku do gospody swej na miasto powróciwszy na Grodzką ulicę, już przed bramą na ławie zastał siedzącego Dzierżka, który choć z pomocą kija, rzeźko się porwał, ukłonem witając rotmistrza.

Mały, pulchny, okrągły, rumiany, śmiejącej się twarzy, Dzierżek pokorny był i wielce posłuszny. Swoim rozumem tam tylko się posługiwał, gdzie mu cudzego nie starczyło, idąc zawsze za rozkazami i wskazówką. Miał więc z niego dobrego pomocnika Mroczek, a zaufać mu mógł, bo milczeć umiał.

Razem z nim weszli do izby, którą rotmistrz w gospodzie u mieszczanina zajmował, skromnie się trzymając, bo więcej nie miał nad jedną niewielką komnatkę, w której i kosztowniejsze rzędy i rynsztunek swój trzymał.

— Wracasz wasza miłość od pana hetmana? Boże mu daj wszystko dobre!—odezwał się okulawiały szlachcic.—Mieć więc będziemy weselisko, które pewnie królewskim dorówna, jakich my za naszego życia nie widywali. Sposobią się do niego wszyscy, jakby najokazalej wystąpić.

— Wszyscy!—odparł Mroczek, siadając i pot ocierając z czoła.—A no nie wrogi nasze!

— Wrogi—zawołał Dzierżek.—Toć ich chyba ze świecą szukać!...

— Ja ich i po dniu widzę, nawet bez świecy o zmroku—westchnął rotmistrz,—choć się kryją.

— Jeśli się kryją, toby ich odkryć należało—dodał Dzierżek, spoglądając ku Mroczkowi, jakby się ku temu ofiarował.

— Pomożecie?—wtrącił rotmistrz.

— Miły Jezu!—wesoło a pośpiesznie zawołał Dzierżek.—Dopierobym szczęśliwym był, gdybym mógł!!

Postał nieco Mroczek chwila upłynęła, nim głos zniżywszy, mówić począł:

— Gadanie jest i niepróżne—rzekł,—że Zborowscy na króla truciznę gotują... Nie chciałoby się wierzyć, gdyby ze złymi ludźmi i najgorsza rzecz nie była prawdopodobną.

Dzierżek milczący ręce załamał.

— Niechże Bóg strzeże!—zawołał.

— A wiesz waćpan przysłowie, że Pan Bóg strzeże strzeżonego, więc myśmy króla strzedz powinni.

— Choćby życie dać!—gorąco podchwycił Dzierżek.—Gdyby tylko możność...

— Wszystko to dotąd—ciągnął dalej Mroczek—gadaniny są, ale je należy zbadać, czy w nich jakie ziarnko prawdy nie siedzi. Że zadaćby chcieli, temu ja wierzę, a że lada babskiego ziela ku temu nie użyją, to pewna, i że u nas gdzieindziej jak w aptece, tego nie dostać, to ja rozumiem. Z aptek zaś, które tu w Krakowie znam, jedna mi się tylko zdaje taką, że w niej za pieniądze wszystko dadzą.

Mroczek przestał mówić, a Dzierżek, zmarszczywszy czoło, rękę wyciągnął i ku rogowi ulicy Grodzkiej wskazał.

— Myślicie u Fontanusa?—szepnął, głową potwierdzając.

— A juści—rzekł Mroczek.—Ale co o nim mówią, potwarzą być może. Wypróbowaćby go potrzeba, nim na niego baczność zwrócimy.

Tu Dzierżek poważniej nastroił twarz, rzecz się przedstawiała tak, iż mogła daleko prowadzić. Czekał, co przyjdzie.' Mroczek też ociągał się z mówieniem, bo i jemu sprawa ta wydawała się niełatwą, aby nie narazić niewinnego człowieka i siebie.

Nużby ów sprzedajny Fontanus zdradził i ukazał, że u niego żądano trucizny?

Ów Fontanus, człek był obcy, pono Niemiec, ale zdawna w Krakowie osiadły. Mówił łamanym językiem, ale już w ziemię tę wrósł i za tubylca się uważał. Niegdyś go ludzie starsi pamiętali, iż z małym węzełkiem do Krakowa przybył, maśćmi jakiemiś i kroplami handlując, a sławiąc swą wielką znajomość ziół lekarskich.

Oficyny naówczas nie miał z czego założyć, ani na nią przywileju potrzebnego otrzymać nie mógł. Tymczasem, gdy po ulicach chodząc, swe medykamenty cudowne sprzedawał, udało mu się chorego kanonika kapituły krakowskiej, od doktorów opuszczonego, jakimś napojem do zdrowia przywrócić. Ten go biskupowi krakowskiemu zalecił, a z łaski jego przyrzeczono Fontanusowi przywilej na ową oficynę sanitalis.

Przeciągnęło się to, bo wędrowny farmaceuta nie miał pieniędzy, potrzebnych dla zaopatrzenia apteki i dopiero znalazłszy wspólnika, bogatego mieszczanina, na rogu Grodzkiej ulicy najął kilka izb przybłęda ów i w nich swe alembiki i słoje rozstawiać począł.

Zrazu się to bardzo mizernie okazywało, ale chudy ów, z długą szyją, z przeciągłą twarzą, z ruchami jakiemiś konwulsyjnemi i jakby mimowolnemi Niemiec miał szczęście.

Mieszczanin wspólnik zmarł mu, przyczem się okazało, że Fontanus mu już nic winien nie był, choć familja inaczej dowodziła. Zaraz po śmierci jego oficyna Fontanusa przybrała inny pozór. Wywieszono znak, a w pierwszej izbie pokaźno urządziła się apteka, z mnóstwem słojów, flasz, szklanic, na których stały piękne napisy po łacinie: Syrupus, Decoctum, Bolus, Electuarium, Confectio i t. p.

Nie była pod owe czasy apteka tem, czem dzisiaj, pod rozkazami tylko doktora rozdającym lekarstwa składem medykamentów. Miał każdy aptekarz swe sekreta, a był potrosze sam lekarzem i wiadomem było powszechnie, iż w dziesięćkroć tyle zarabiał, co najlepszy z doktorów.

Ingredyencye bowiem, jakich naówczas zażywano do leków, nie były tak proste, jak dziś. Osobliwych potrzebowano, które zdaleka sprowadzać i wielkim kosztem nabywać musiano. Rogi zwierząt, tłuszcz innych kości i t. p., nieodzownie się znajdować musiały, a niedźwiedzia tłustość wcale naówczas miała inaczej skutkować, niż zajęcza. Potrzebowano i rogów jednorożca, i kamieni, które zdala przychodzić musiały, i zmielonych na proch kosztownych utworów, i ziemi, która tylko w pewnych krajach się znajdowała.

Natura wówczas pierwszym aptekarzem była i wyrabiała gotowe lekarstwa, których ludzie wedle tradycyi używali.

W to wszystko zasposobić się nie było łatwo. A i oczy też ludzkie w takiej aptece olśnić było potrzeba, aby się wydawała skarbnicą.

Zwykle więc, oprócz naczyń z gotowemi lekarstwy, wypchane ptaki, rogi różne, skóry stworzenia osobliwe przyozdabiały taką oficynę. A im ona pokaźniejszą była, tem ją doskonalszą mniemano.

Schodzili się tu i doktorowi podczas i pacyenci, którym aptekarz z własnych sekretów drogie leki sprzedawał. Cena ich całkiem od fantazyi jego zależała, że zaś drogie się zawsze lepszem wydaje, w dwojakim interesie swym—aptekarze cenę podnosili. Któżby miał wiarę w lekarstwo tanie i proste?

Fontanus już podówczas przyszedł do tego, że jego oficynie na niczem wykwintniejszem nie zbywało. Ze wszystkich części świata miał zioła, kamienie, driakwie i balsamy. Prawda, że je na wagę złota sprzedawał, ale też skutkowały, jak żadne, bo do nich przywiązywana wiara siłę im nadawała.

Słynął Fontanus i zazdrość obudzał. Chociaż mu się tak szczęściło, iż oprócz apteki, do której sobie kamieni-

cę wpierw najmowaną, kupił posiadał dwie inne, a grunta i place za miastem,—żył bardzo skromnie i nie ożenił się nawet. Chudy, zawiędły, z policzkami zapadłemi, z włosami jasnemi, które płasko i posłusznie na wyłysiałej czaszce mu się układały, w stroju czarnym, poważnym, w ogromnych okularach, których nigdy nie zrzucał, kręcił się pilno, z jednym wyrostkiem do pomocy i stróżem radę sobie dając, choć roboty miał dużo.

We dnie ani na chwilę nie mógł się oddalić z apteki, bo miał nieustannie gości, nocami, powiadano, że na alembikach i różnych przyrządach ekstrakty wyciągał, których sam dozierał.

A nie było rzeczy, którejby u niego dostać nie można, bo i kosmetyki, i przysmaki przyprawiał, i bielidło, i róż. Mówiono nawet, że i takie rzeczy sprzedawał, za które baby pod pręgierzem stawiano, że czarnoksięską sztukę znał i trucizny przyprawiał. Nigdy jednak nic na jaw nie wyszło.

Oprócz tych, którym apteka jego solą w oku była, bo ci go szalbierzem nazywali i dowodzili, że często zafarbowaną wodę za kosztowny lek sprzedawał, nie miał Fontanus nieprzyjaciół. Ostentacyjnie ubogich nie tylko leczył, ale karmił, pauprom garnuszki ich bez szemrania napełniał, a doktorów wszystkich chwalił i mędrcami nazywał.

Oficyna też na rogu Grodzkiej ulicy, choćby w niej chorych i kupujących brakło, zawsze prawie gości miewała. Schodzili się tu doktorowie i znajomi mieszczanie na gawędę i na pokrzepienie, bo Fontanus wzmacniające napoje, bardzo przedziwne, jak nikt robić umiał.

Dzierżek, gdy z niezgojoną jeszcze całkiem nogą z pod Płocka się dostał do Krakowa, z porady przyjaciół u Fontanusa szukał gojących środków dostał je u niego, i zdawało mu się, że jemu zawdzięczał zupełne uzdrowienie, choć kulawym pozostał.

Znał więc pan Jan onego Fontanusa i z tem się zaraz pochwalił.

— Jam o tem wiedział, że go znasz—rzekł Mroczek— i na tym fundamencie chciałem, abyś wypróbował człowieka, a wybadał go, azali za wielkie bodaj pieniądze truciznę sprzedaje, bo tak o nim twierdzą ludzie.

Dzierżek się poskrobał po głowie.

— Prawdę rzekłszy—odezwał się,—choćby człowiek złej myśli nie miał, w czyichbądź oczach, choćby na krótki czas za truciciela uchodzić, niemiła rzecz, ale...

— Gdy tym sposobem życie komu ocalić można?— podchwycił Mroczek.

— Ja się też nie wymawiam od posługi—rzekł Dzierżek,—ino proszę, gdyby mnie Fontanus wskazał, a na męki brać chciano, pamiętajcie, abyście sługę waszego bronili.

— O to się nie obawiajcie—podchwycił rotmistrz żywo.—Służycie nie mnie, ale królowi i kanclerzowi, a ci swe sługi opuszczać nie zwykli.

Zadumał się Dzierżek.

— Ba!—rzekł po chwili—Fontanus kuty jest, trudna z nim rada, niełacno z niego dobyć słowa, ale próbować będę.

Na tem się narada skończyła i Dzierżek wkrótce potem wyszedł; tegoż wieczora do apteki podążył. Godzina ta najlepszą mu się zdawała bo się mało kogo spotkać tu spodziewał, choć dwu jeszcze lekarzy siedziało i o formułach przeciwko *Pituitam* rozprawiało.

Tych, po przywitaniu, w kącie zasiadłszy cierpliwie słuchał kulawy rycerz, aż nareszcie wyszli i sam na sam pozostał z Fontanusem, który z poza okularów dawno go badał, wiedząc pewnie, że nie bez interesu przychodził.

Dzierżkowi wykrztusić truciznę, którą na języku miał, niezmiernie było trudno. Twarz mu się rumieńcem zalewała, gdy o niej pomyślał. Fontanus rozmownym nie był i tylko krzątając się, słoje i flaszki porządkując i ustawiając, skąpemi odpowiadał słowy.

Począł Dzierżek od tego, iż się zaczął unosić nad tem bogactwem, jakie w oficynie widział, i jak tu wszystkiego, coby człowiek zamyślał, pewnie dostać było można. Z tej okazyi, licząc różne potrzeby, na truciznie utknął.

Trzeba było widzieć Fontanusa, który słój trzymając w ręku, właśnie stał naprzeciw mówiącego, jak nań spojrzał.

Dzierżkowi zdawało się, że mu wnętrzności wyjmuje tym wzrokiem.

Nastąpiło milczenie.

— Trucizny!—szepnął Fontanus z dziwnem ust wykrzywieniem.—Tej właśnie w aptece nie znaleźć, ale wszelkie lekarstwo źle użyte, stać się nią może. Dlatego profanom niemi rozporządzać się nie godzi.

— Ale są przecież trucizny?—zapytał Dzierżek— i ludzie ich nieraz na złe używają.

Fontanus się nieco zamyślił nad odpowiedzią.

— Pewnie, że są—rzekł—ale są i antidota przeciw nim.

— A od was też nikt nigdy jednego lub drugiego nie żądał?—zapytał Dzierżek.

Długa, wychudzona twarz Fontanusa skrzywiła się uśmiechem, ramionami poruszył.

— Ciekawi jesteście—odparł zimno.—Sądzicież, żebym ja truciznę komu wydawał?

Dzierżek się zawahał, czuł, że jest niezręcznym, i że za daleko zaszedł, ale cofnąć się było trudno, a dalej iść też niełatwo.

— Co ja wiem?—odparł.—Słyszałem tylko od tych, co we Włoszech bywali, że tam trucizny osobliwe najlepiej przyprawiać umieją i one sprzedają, bo sobie rozumują: Czy to do mnie należy? jać nie zdaję? winien, kto je używa... A że więcej, niż na wagę złota się sprzedają takie ingredyencye...

— Na wagę zo ta?—odparł Fontanus.—A toćby się je nie opłaciło wyciągać, bo lekkie są.

To mówiąc, gdy się rozmowa przeciągała, Fontanus na zegar wiszący spojrzał i rzekl, że na półzegarzu godzina późna była.

Musiał więcDzierżek wstać, nic się nie dowiedziawszy, ale to miał w zysku, iż sprawę swą zagaił.

Gdy drugi raz w kilka dni potem Dzierżek do apteki przyszedł, musiał zmyśleć, że na żołądek cierpiał i wywaru jakiegoś z ziół gorzkich się napić, aby swe odwiedziny usprawiedliwić. Lekarstwo zaś, że zaszkodzić nie mogło, o tem był, wedle teoryi własnej, najmocniej przekonany.

Czas sobie wybrał znowu taki, aby nie zastał nikogo i mógł się rozmówić swobodnie, ale spostrzegł zaraz że Fontanus baczne na niego mial oko i już się czegoś domyślał. Trudno mu więc przyszło bardzo nawiązać rozmowę, ale aptekarz sam, jakby dawał do zrozumienia, że nie w ciemię jest bity, *occassione* poprzedniej rozmowy o truciznach mówić zaczął.

Dzierżek, jakby na uczynku schwytany, zmieszał się znacznie.

Fontanus tym razem, szczerze czy podstępnie otworzystszym był i rozpocząwszy o truciźnie, teoryę swą wypowiedział, nie kryjąc się z nią.

— Człowiek kupcem jest—rzekł do niego.—Gdy w sukiennicach noże i brzytwy sprzedają, nie pytają kupujących, co czynić z niemi będą i czy komu nie poderżną gardła. Tak samo z trucizną, o której wiedzieć trudno, czy nią psa, czy człowieka zgładzić kto ma...

Poruszył ramionami.

— Ale się to mało kiedy trafiać musi, aby jej od was żądano?—zapytał Dzierżek.

Fontanus wpatrzył się w niego bacznie, pomilczał trochę, podumał, a potem rzekł:

— Mów no mi jasno, czego ty chcesz... bo drugi dzień objeżdżasz mnie, jak zwierzę w kniei, nie śmiejąc rzec, o co ci chodzi? Chcesz ty trucizny? Tyś nie do niej człowiek!

I rozśmiał się.

— Ja? uchowaj Boże—odparł Dzierżek—nie potrzebuję jej, alem ciekawy, gdyby potrzeba była, czybym jej mógł dostać.

— Za pieniądze?—odparł cicho Fontanus.— Starzy już jesteście dosyć, aby wiedzieć, że za pieniądz wszystkiego dostanie, i tego, co żywi i tego, co morzy. Trucizna jedna drugiej nierówna, masz to znać, bo są takie, co powoli człowieka rok i więcej męczą, do grobu prowadzą i inne, co jak piorun ubijają. Za nieboszczyka króla Zygmunta, nim stąd królowa Bona precz do Baru odjechała, nikt od trucizny bezpiecznym nie był,—teraz nikt o tem nie myśli.

Dzierżek słuchał z uwagą.

— Więc—skonkludował,—gdyby potrzeba była...

Fontanus z za stołu, za którym stał, począł wycho-

dzić, i nie patrząc na Dzierżka, piosenkę jakąś nucił pod nosem, której wyrazy luźne zdawały się oznaczać, że u niego w kramie wszystkiego dostanie. Nie odpowiedział więcej nic.

Z tem też Dzierżek powrócił do rotmistrza i doniósł mu, że aptekatrz nawet niebardzo się z tem tail, iż trucizną mi frymarczył.

— Dobrze i to wiedzieć!—mruknął Mroczek.

VIII.

Na Franciszkańskiej ulicy w domu Zborowskich, choć całe miasto żywiej się, niż kiedy poruszało, tej wiosny tak było pusto i cicho, jak nigdy.

Kasztelan gnieźnieński, choć tu zajeżdżać miał prawo, nigdy gospodą nie stawał, bo z braćmi, choć się kochali, nie jedno myślał, a ani on ich, ani oni jego nawracać nie kusili się nadaremnie.

Andrzej tylko i Krzysztof, rzadki gość, domostwo zajmowali podczas, gdy w Krakowie bywali, a niekiedy siostrzany ich, lub siostrzenice, bo familia liczna była i rozrodzona, więc Stadniccy, Włodkowie, Ossolińscy i Chodkiewicze.

Już w pierwszych dniach maja, choć wesele hetmana miało dopiero w czerwcu nastąpić, poruszało się w Krakowie i gotowało wszystko na festyny niebywałe, jak ich miasto dawno, dawno, bo od pierwszego małżeństwa Zygmunta Augusta, nie widziało.

Choćby Zamojski nie był się na królewski przepych dla synowicy króla, którą miał poślubić, zmagał może, ale król chciał okazałości dla pani młodej i dla Węgrów swych, a szlachta i urzędnicy polscy pragnęli pokazać obcym, że u nich i było z czego i było z czem wystąpić.

Wielu z panów, z Niemiec i z Włoch nie wahali się sprowadzać kuchmistrzów kosztem wielkim, aby tak wy-

stąpić, iżby się ludzie dziwić musieli. Zawczasu już mirabilia oznajmywano... Ale im z jednej strony świetniej się zapowiadały gody, tem z drugiej nieprzyjaciele króla i hetmana okrutniejszą zazdrością i gniewem pałali, szczególniej przeciwko Zamojskiemu, iż się śmiał do majestatu przybliżać i kumać z nim, przez co wyrastał ponad bracią, a jak tytuły nienawistne były równości szlacheckiej, tak i wszelkie wywyższenie i odznaczenie, krom senatorskiego dostojeństwa, burze wzniecało.

Nie był Zamojski przeciwny temu, ażeby zazdrości i złości zamknąć usta i niechęci złagodzić; jego przyjaciele zbliżali się do niechętnych i obiecywali im łaski królewskie dla przejednania — ale im więcej starano się godzić i głaskać, tem właśnie sierdzili się mocniej niechętni.

Pomiędzy nimi rej wodzili Zborowscy, krom Jana, który trochę na uboczu się trzymając, ani około króla nie zabiegał zbytnio, ani się do braci garnął. Rachował jednak na niego hetman i król, acz z pewnem niedowierzaniem spoglądając.

Dom panów Zborowskich na ulicy Franciszkańskiej, który już znamy, sam jeden może w mieście stał, jakby w nim nikogo nie było. Ale to czyniono umyślnie. Wiedzieli Zborowscy, że na ich każdy krok oczy są zwrócone, że im wiary nie dają, nie myśleli więc się nastręczać, a nie chcieli oczów ściągać na siebie, Ale myliłby się, ktoby z tej niemej powierzchowności i pozamykanych od ulicy okiennic wnosząc, sądził, iż w domostwie niema nikogo. Tak się tu żywo obracano, jak i gdzieindziej, tylko nie chciano, aby o tem świat wiedział.

Nie było dnia, aby jakiś poseł ze Zborowa lub z innych rezydencyi panów braci nie zajechał, języka nie dostał, lub rozkazu nie przyniósł, ale się to w ciszy i kącie odbywało.

Podczaszy czynniejszym był, niż kiedykolwiek, a o Samuelu po powrocie z Niżu różnie rozpowiadano. Nigdy on spokojnie usiedzieć nie mógł. Tu mu jednak do Krakowa jechać i pokazywać się powszechnie odradzano, a i on sam się wahał. Niejeden raz go już przestrzeżono, że hetman się odgrażał banicyę przypomnieć.

Z własnej historyi wiedzieli Zborowscy, że banitę ubić nawet bezkarnie było wolno, bo ojciec ich, Marcin, tak nieszczęśliwego męża Halszki z Ostroga, kniazia Sanguszkę, ścigał i zabił.

Krzysztof też, choć na sobie nie miał żadnego dekretu, od czasu, gdy o nim wzmiankę w papierach ściętego Ościka znaleziono, nie czuł się całkiem bezpiecznym i nierad ukazywał. Jeden tylko Andrzej nie lękał się, bo na sobie jawnego nic nie miał, choć w sobie tak był, jak bracia, dla króla i Zamojskiego usposobiony.

Od powrotu Samuela z Niżu marszałek i podczaszy nie widzieli się z sobą; pierwszy z nich w początkach maja do Krakowa przybył, ale się prawie nie ukazywał. Wieczorami tylko do swoich przyjaciół chadzał i z ludźmi się widywał. W mieście o nim tak, jak nie wiedziano.

Chciało się panu Andrzejowi, choćby wcale nie występował na weselu, widzieć je i ze zjazdu korzystać, aby z wielu się widzieć i rozmówić, ale wahał się jeszcze. O Krzysztofie nic słychać nie było, bo ten za sobą drogę i tropy starannie zacierał.

Zdziwił się więc pan Andrzej, gdy jednego wieczora od Zbarażskich, żony swej krewnych powróciwszy, w domu przy Franciszkańskiej ulicy zamiast ścian niemych, brata Krzychnika zastał.

Chociaż między rodzeństwem miłości szczególnej nie było, jednakże wszyscy oni mieli rodzaj przywiązania do siebie i radzi się zawsze widywali. Krzychnik nawet z gorącością wielką pana marszałka uścisnął.

— Gdzieżeś ty bywał i co się z tobą działo? — zawołał Andrzej. — Znikasz wszystkim z oczu i kryjesz się nadto z sobą, dlatego się też może posądzają o knowania.

Podczaszy się rozśmiał, powtarzając:

— Posądzają! Mają słuszność, bo ja knowam, a to mnie tylko boli, że dotąd naprózno... Na Samuelam rachował, iż go teraz ujmę w ręce i nim pokieruję, ale jeszcze się nie wyburzył!!

— Widziałeś go? — spytał marszałek.

— Nie raz i nie dwa — rzekł Krzychnik. — Umyślniem do niego jechał, z nim wędrował, bo on na miejscu nie utrwa. Myślałem, że go sobie pozyskam,... ale mi się ladaco z rąk wymyka...

Siedli sam na sam bracia i tu już tajemnic dla siebie nie mieli.

— Wiem, że teraz z okazyi wesela — rzekł Krzysztof, — cośbym dla siebie wytargował, zaprzedawszy się im duszą i ciałem, ale nie chcę...

I dodał nagle:

— Truciznę królowi zadać, gdyby było można, nie od rzeczyby było. Włosi powiadają, że ze zwierzem jego jad ginie, ale nam łatwiej się uporać z kanclerzem, a i na tegośmy z Samuelem dekret wydali.

— Co? Czasu wesela? — zapytał Andrzej.

— Ba! gdyby i tak nawet zręczność się nadarzyła, my się nie zawahamy.

— Wy? — podchwycił marszałek.

— To jest... ja radą i głową, a Samuel ręką — odpowiedział Krzychnik. — Nie sądzę jednak, aby czasu wesela nam się to powieść mogło, hetman jest otoczony, strzeżony, ludzi swoich i obcych za gęsto ale dziś, czy jutro go to nie minie... Właśnie mu się damy ubezpieczyć cicho siedząc, a Samuel znaku życia dawać nie będzie, aby go tem pewniej w danej godzinie wziąć.

Wtem Krzychnik ręce załamał.

— Ale Samuel! — dodał — im bliżej się go zna i więcej z nim żyje, tem jawniejsza, że to człek nieokiełznany, i że nigdy dziś nie można powiedzieć, co jutro pocznie. Kocha i nienawidzi pod humor... i zabija też, gdy się najmniej tego spodziewać. Na utemperowanie się tego człowieka nic już liczyć nie można.

Sądziłem, że od kozaków powróci, wiele biedy zażywszy, rozumniejszym! Gdzie zaś! Zuchwalszym się stał jeszcze. Sądziłem, że po zabójstwie Trepki, po zabójstwie Kalinowskiego, którego żona dotąd przeciwko niemu instyguje, po onej głośnej awanturze z Dominikany, za którą go wyklinano, naostatek po onym Candianie, który go

w druku osmarował, poskromi się. Gdzie tam! Im głośniejsze jego sprawy, tem on temu więcej rad...

Andrzej przerwał:

— Mówisz o tych sprawach pana Samuela, o których i ja słyszałem, alem ja tak prawie jak nieświadom ich, a wielu nie wierzę. Nie sąż to potwarze?

— Ho! ho! — zawołał Krzychnik — potwarze! Powiem ci jedno, że to, co na Samuela rozgłaszają, jeszcze nie dochodzi daleko do tego, co dokazał, chodząc po świecie. Człowiek bowiem jest osobliwy, równie gdy kocha, jak gdy nienawidzi u niego wszystko z ekscesem. Małego nic nie rozumie.

— Jakżeż to być może, abyś ty o tych sprawach Samuelowych nie wiedział? — dodał podczaszy.

— Juści wiem — rzekł marszałek — ale z odgłosu. Przy niczem nie byłem, a on mi się nie spowiadał.

— To go nie znasz! — zawołał Krzychnik. — Jam go wiele praktykował! Jam na tych przygód siła oczyma własnemi patrzał, począwszy od żony. Znałeś tę dobrą, łagodną i miłą panią, bo z tego domu wyszła, co i twoja. Miłował ją Samuel do szaleństwa, trwało to do narodzin Aleksandra. Wtedy na dziecko dużo spłynęło tej miłości, a że żona chorzeć mu zaczęła, począł się za innemi oglądać.

— On bo bez podwiki nigdy żyć nie mógł — szepnął Andrzej.

— Otóż co się stało — ciągnął dalej podczaszy.— Nie jedną, ale może dziesiątek różnych na dworze chował, na co żona patrzeć musiała. A że ludzie to w panu widzieli, sami też naśladować go poczęli... więc, co się tam u nich działo o tem rozpowiadać trudno.

Pod ten to czas Dominikanów napytał, z którymi się potem tak obszedł, jako wiesz... Już od tej pory żaden tam ksiądz w domu nie postał. Biedna żona we łzach się rozpływała, z czego on sobie żartował. Rzadko w domu siedział, a przyjechał, to z gromadą na pijaństwo i swawolę, że się zamykać musiała.

Jednego razu na Wołoszczyznę jadąc, nie wiem już gdzie jakiegoś Turka i Turczynkę napytał. Tak ich zwano,

ale mnie się widzi, że wcale Turkiem nie był ten człek, ale chyba Grekiem. Niewiasta się żoną jego nazywała, a była dziwnie piękną. Widziałem ją: czarne miała oczy i włosy, a ciało jak mleko, ale kobieta było prosta i grubych obyczajów...

Jak onego Turka z żoną dostał, aby ich do siebie do domu przywieźć, to jemu wiedzieć... Turek go ów rzekomy darł ze skóry, a żona też, ale mu nie mówił nic za to, że sobie z nią żył. Sypał im garściami pieniądze, darowywał srebra, kupował klejnoty. Wreszcie Turek mu żonę sprzedać się ofiarował i pono cena była umówiona, a Samuel miał ją wziąć i trzymać w drugim majątku ze dworem i okazałością, jakby żoną jego była...

Wiedziała o tem prawa żona, ale ani pytać, ani mówić nie śmiała, — byłby ją ubił... Mało też ją widywał.

Turczynka zaś, choć jej ona wcale nie zawadzała, koniecznie ją zgubić chciała, pewnie w nadziei, że się z nią ożeni. Poczęły się plotki na panią Samuelową.

Był pod ten czas na jego dworze chłopak, szlachcic, pokrewny nam z ubogich Stadnickich, którego Samuel swojego czasu bardzo lubił, ale potem pogniewawszy się, patrzeć na niego nie chciał. Ten przez litość nad Samuelową służył jej, a że sama z dziećmi była, podczas z nią do stołu siadał. Na tego oczywiście Turczynka się nasadziła, że jest kochankiem jejmości, co jako żywo, fałszem było. Ktoś doniósł, że raz śniadając z jejmością, gdy ona masło znalazła starem i precz za okno wyrzuciła, Stadnicki to samo uczynił. Poszło tedy od tego masła.

Samuel z furyą do żony wpadł, wyrzucając jej, że się mu sprzeniewierzyła... Przerażona padła mu do nóg, na krzyżu Pańskim gotowa przysiądz, że między nimi wcale nic nie było. A no, pijanym był i wściekłym, i żonę począwszy bić, gdy się na łóżko rzuciła, ledwie żywą odszedł. Od tej pory chorzała już, chorzała, aż zmarła...

Razem poprzysiągł, że Stadnickiego zgładzić musi, co młody Trepka słyszał. Stało się, że wkrótce potem, wistocie Stadnicki zniknął; mówiono o nim, że do rodziny powrócił, a drudzy, palce na ustach kładąc, milczeli.

Trepka się gdzieś nieostrożnie wygadał, że wie, co

się z nim stało... Doniesiono o tem Samuelowi, — nie dał bynajmniej poznać po sobie... W kilka dni potem na łowy się wybrał w lasy i wziął z sobą Trepkę, który więcej nie powrócił.

O tem też, co się z nim stało,nikt nie wiedział; mówiono że go dzik rozdarł, a potem nocą wilcy poszarpali i zjedli, tak, że kości nawet po nim nie zostało.

Andrzej słuchając, usta wykrzywił.

— Krwawe dzieje — rzekł — ale ja im spełna wiary nie daję. Wy to wiecie najlepiej, że będzie-li kto gwałtownikiem, złożą nań w dziesięcioro tyle, niż uczynil.

Krzychnik nic nie rzekł.

— Wszystko to nic — dodał, pomilczawszy — ale gdy żona zmarła, dopiero dla niej czułość się wzięła taka, jaka nigdy za życia może nie bywała. U trupa krzyżem leżał, płacząc, pogrzeb sprawił królewski i zamknął się na czas jakiś, jakby melancholii dostał.

Dopiero go z niej Anusia, córeczka, która podobną jest do nieboszczki, a on kocha ją bardzo, pieszczotami swemi wyprowadziła. Jeszcze dziś, gdy żonę wspomni, często mu w oczach łzy się zakręcą. Taki on we wszystkiem jest... Sam na siebie powiada głośno, że żonę zabił..

Do innych zabójstw się nie przyznaje, a Trepki imienia nawet wspomnieć nie wolno. Wojtaszka widziałeś i znasz?

— Byłci z nim w Borówce — rzekł Andrzej.

— Z tym chłopcem historya albo się smutno skończy, lub nie wiem, jak, bo to żmija jest, którą on przeciw sobie żywi i pielęgnuje. Skąd go wziął, co za jeden?—nie dojdziesz. Czarnoksiężnik, powiadają, w co nie wierzę, ale głosem go czaruje. Gdy mu czasem śpiewać zacznie, to się Samuel łzami zalewa, a pieniądze garściami mu sypie.

Chłopiec zaś jawnie i nie kryjąc się, nienawidzi go, pogardza nim, odgraża się, a w domu tak się nosi, jakby rodzonem dzieckiem był. Aleksandrem pomiata, Anusi dokucza podły plebejusz, zalecając się do niej jawnie.

Skarżono go nieraz Samuelowi, bił go czasami, sadzał na chleb i wodę, a potem niemal o przebaczenie prosił. Rozumiejże go, jeśliś mądry! lutnistę tego dawno

ze dworu przez psy wyszczuć należało, a on go głaszcze i tak stoi o to, aby nie stracił, jakby największego strzegł skarbu.

Wojtaszek się z tem nie kryje, nawet, iż nim gardzi. Ludzie mi mówili, co słyszeli, jak obiecywał panu Samuelowi miecz katowski, dodając, że nań zasłużył.

— Nie spełna rozumu — przerwał Andrzej. — Sądź jako chcesz, na krew składając wiele, bo my wiemy, jak się nam hamować trudno... nim rozum przestał kierować. Broniliśmy go po zabójstwie Wapowskiego, bronimy i teraz, bronić będziemy, a on nam ciężarem więcej, niż pomocą...

— Ja nie rozpaczam, że go przecież zaprzęgę i orać nim będę — odparł Krzychnik. — Jedyna się zręczność nastręcza zużytkowania go przeciw Zamojskiemu.

— Wspomniałeś o Candianie — odezwał się marszałek — co to z nim było? wiesz? Słyszę, iż książkę wydrukował wyzywającą i czerniącą.

— Jam jej nie czytał, ale są tacy, co ją mieli w ręku, bo ją bibliopole przywieźli i sprzedawali, a bodaj do dziś dnia potajemnie po trzy grosze w świat puszczają.

Sprawa z Włochem poczęła się, można powiedzieć z niczego.

Przybywszy do Polski i tu bawiąc, Candian — włościaninowi, sołtysowi z majętności Samuela, pieniędzy pożyczył, a potem po nie sam przybył. Wytoczyło się to przed trybunał pański i Kurek długu nie zaprzeczał, ale twierdził, że zapłacić go czem nie miał.

Tymczasem Samuelowi dobrze się z Włochem było zabawiać, więc go do dworu wziął, do stołu sadzał, karmił, poił, i był mu jaknajlepszym. Ten go za to opowiadaniami bawił, a że Samuel rad w języku włoskim się popisywać, bardzo go miał miłym, i chciał w domu zatrzymać. Tymczasem Włoch się już wyrywał, mając handel czy zajęcie, ale z Samuelem od wielkiej miłości do gniewu, włos tylko...

Włoch się rwał jechać, Samuel nie chciał puszczać.. a już mu twarz i oczy krwią zachodziły,co u niego znakiem, że sobą nie włada.

— Naokoło mór straszny, ludzie jak muchy padają, gdzie ty pojedziesz? po co? Siedź tu, kiedy ci dobrze?

W pół dobrą wolą, w pół siłą, strzymał Włocha, ale co on go zabawiał zrazu, to teraz Samuel, drwiąc z niego, gości swoich nim traktował. Wyśmiewano go nielitościwie, płatając nieznośne sztuki, aby Włocha do wściekłości rozdrażnić.

Samuelowy sługa, niejaki Ruski, nasadzony był na Candiana... a widząc, że mu to ujdzie bezkarnie, dojadał Włochowi szczególniej przy gościach. Gości zaś żadnego dnia nie brakło. Wreszcie Candian chodził, jak struty i gdyby nie rzeczy, które z sobą miał, pieszoby był gotów uciekać.

Jednego dnia, gdy Ruski w czasie obiadu Włocha prześladował i słowem dotknął, uniósł się Candian i w twarz go uderzył. Wszyscy byli naówczas dobrze sobie podpili, w izbie się stał rozruch wielki, poczęli się rwać do szabel, i byłoby przyszło do krwi rozlewu, gdyby obcy ludzie nie wdali się i napozór ich nie pogodzili. Od tej pory jednak Samuel puścić nie chcąc Włocha, razem z Ruskim na wszelki sposób znęcał się nad nim.

Był naówczas u Samka stary niedźwiedź, który wolno po dziedzińcach się przechadzał, i miał budę swoją, a czasem za igraszkę i postrach służył. Przyszło do tego, że raz Candiana wziąć kazał, obnażyć, miodem osmarować i puścić na niego niedźwiedzia, wprzódy przez psy rozdrażnionego.

Jakim sposobem Włoszysko z tego wyszło podrapane ale z życiem, przydusiwszy starego niedźwiedzia, nie wiem. Natychmiast więc po takim traktamencie chciał precz jechać, ale mu z wozu koła pozdejmowano, rzeczy zamknięto, potem jego samego wsadzono do lochu, z którego nierychło się wydobyć potrafił.

Candian go w tem piśmie wyzwał na rękę, na sąd Boży do walki, ale Samuel śmiał się i po dziś dzień się na tem skończyło... Mało ci tego?

Andrzej podniósł oczy w górę.

— Jakże ty chcesz pokierować takim człowiekiem?— zapytał.

— Najłatwiej, gdy go tam poprowadzę, gdzie on

sam rad iść będzie — rzekł podczaszy. — Nienawidzi Zamojskiego...

— Tak — odparł marszałek — ale przebiegłości i pomiarkowania potrzeba, aby się z nim spotkać i to tak, aby kanclerz przeważnej siły przy sobie nie miał, a napaści się nie spodziewał. Samuel ani czasu, ani miejsca wybierać nie potrafi, rzuci się po szalonemu i zginie.

— A jam od czego? — zawołał Krzychnik. — Wszystko mu zgotować potrzeba i dać — tylko rąb! Naówczas żadna mu się siła nie oprze.

— Wolałbym wszelką inną imprezę — przerwał nagle Andrzej — niż taką, do której nam Samko potrzebny. Najlepiej przygotowane popsuć potrafi.

Potrząsnął głową pan Krzysztof.

— Ledwiem go zaklęciem wielkiem od tego odwiódł, aby na wesele do Krakowa nie jechał, bom się go tu obawiał.

— Gotówby go był kanclerz kazać ująć, bo o nas dobrze wie, jak mu życzymy, a jego dobrze zna...

— Jam się nie tyle tego obawiał — dodał Krzysztof— jak jego szaleństwa. Wyrwałby się nam z rąk, gdyby mu się głowa zakręciła.

Wstał marszałek.

— Dobrze mówisz, Krzychnik, że nas zna... Wiem to od Jana, iż przemawiał za nami, prosząc... Mnie na tem marszałkowstwie trzymają na śmiech, gdy mi się dawno co innego należy.

— Ze mną gorzej, bo mnie wcale znać nie chcą — zawołał Krzysztof.

— Za sługę Rakuszanina, jeżeli nie za cara teraz cię mają — dodał marszałek.

— Myślę, że za ostatniego chyba — rzekł Krzychnik — ale mi obojętne oboje. Ja już nic z nimi nie spodziewam się dokazać, więc pozbyć się ich, to jedyna myśl moja, a przedewszystkiem Zamojskiego, bo ten tu osią, na której się ich roboty obracają.

— Teraz mu, jak królewiątku, buta urośnie! — wtrącił Andrzej i począł z innej beczki.

— Krakowaście nie widzieli teraz — dodał. — Zawczasu się już gotują na obrzęd taki, aby o nim ludzie pamiętali. Krocie to kosztować będzie, gdy na wojnę pie-

między niema. Batorówna jeszcze w tym miesiącu od granicy przybywa w orszaku znacznym; naprzeciwko niej Andrzej Opaliński wyjeżdża.

Ze Szpiglerowej kamienicy królestwo ichmość na owe sztuki, które się na rynku odbywać mają, patrzeć będą. Siła szlachty do turniejów stanie, a cudzoziemców i ciekawego tłumu Kraków chyba nie pomieści. Zaleją nas.

— Toćby dla rozumnego człeka najlepsza pora była coś przedsięwziąć — rzekł Krzychnik—bo dyabła zjedzą jeśli się upilnują i wszystkich znać będą. Ani król, ani hetman niebezpieczeństwa żadnego przeczuwać nie będą.

Andrzej obejrzał się z przestrachem i dał mu znak, aby milczał; podczaszy go usłuchał.

— Nie teraz, to później puszczę na niego Samka, jak Samko puszczał niedźwiedzia na tego Włocha.

— A no patrz — odezwał się marszałek — aby jak Włoch niedźwiedziowi, on mu się nie wyrwał, bo naówczas biada nam!!

— Samko gorzej niedźwiedzia — rzekł Krzychnik— tegom pewny... do pierwszego spotkania...

Zaczem zamilkli obaj, bo służba wieczerzę przyniosła, a z nią razem miejskie plotki, na które szczególniej podczaszy był łakomym.

Opowiadano, co się na zamku, co po mieście działo, i jak wszyscy, od biskupa począwszy, dwory, służbę, czeladź, wozy i konie na nowo stroili, złocili, odświeżali, aby się nimi popisali...

Starszym ludziom wszystko to mocno wesele Zygmunta Augusta z pierwszą jego żoną, o którem dotąd pamiętano w. Krakowie, przypominało. Na wszystkich ustach było to porównanie, które w nieprzyjaciołach Zamojskiego do najwyższego stopnia rozjątrzenie budziło.

— Teraz dopiero — mówili — podniesie głowę synowczyk królewski, że do niego przystąpić nie będzie można szlachcicowi, choć on sam z biednego szaraka wyszedł.

— Butę jego przykrócić potrzeba — powiadali drudzy — inaczej oni we dwu z królem wszystką szlachtę w chłopów obrócą i sami się tu bez nas rządzić będą.

Krzysztof, gdy słyszał mówiących w tak poufnem kole, dodawał, na swój młyn wodę prowadząc.

— *Propter absolutum dominium* obawialiście się Rakuszanina, a tenby się nigdy na wolności nasze tak nie ważył, jak oni, i byłby nam siłę z sobą przyniósł przeciwko Turkom i Moskwie, gdy teraz on ich na nas poduszczać i wspomagać będzie, co się wprędce okaże.

Ciekawy, niespokojny, potrzebujący ciągle jakiegoś zajęcia, które wszakże całe się na zręcznie rzucanych słowach, zagrzewaniach i podbudzaniu drugich ograniczało, pan Krzysztof nigdzie się nie ukazując prawie, pozostał w Krakowie. Wiedział on, że hetmanowi i królowi na nieprzyjaciołach nie zbywało, chodził więc i sznurkował, azali co przedsiębrać nie myśleli.

Pan Andrzej przeciwnie, choć się na występ żaden przy weselu nie gotował, jawnie po Krakowie chodził, ukazywał się i chciał przez to dowieść, że nic złego nie zamierzał, ani się obawiał o siebie i ukrywać myślał.

Gdy go drudzy zapytywali, czyli Zborowscy też obok innych nie myślą królowi hetmanowi zalecić się tem, ażeby albo w turnieju czasu wesela, lub w maszkarach i popisach udział wzięli, odpowiadał marszałek:

— Dobrze to drugim czynić, co mają z czego, bo im król jurgieltu i starostw nie skąpi. Gdybyśmy Knyszyn mieli, albo choć co mniejszego... A no zubożeliśmy i tak na usługach Rzeczypospolitej. Kasztelan Gdańsk królowi przywrócił, a co mu z tego przyszło? Będziemy się onym cudom przypatrywali ochotnie, dziwili i w ręce klaskali, ale my się do nich nie przyczynimy..

Marszałek i na zamek i do królowej chadzał, choć nigdzie miru wielkiego nie miał; wystrzegano go się i niedowierzano. Choć więc przy królowej Annie było wielu, co do króla i Zamojskiego za nią żal mieli, nikt z panem Andrzejem nie chciał się wiązać, ani mu się z tem wydawać.

Krzysztof się we dnie tak jak nie pokazywał wcale i urzędownie z bytnością swą w mieście nie występował. Do tych, z którymi znajomym był dawniej, wieczorami chodził lub w takich godzinach, aby się u nich nie spotykał z innymi. Wymykał się z Franciszkańskiej ulicy o mro-

ku, niepostrzeżony, albo sam lub z jednym sługą po mieście błądził.

Ale miał tu swoich, co mu do domu przynosili wiadomości i cokolwiek po mieście chodziło. Szły stąd od niego mnogie listy do Samuela, które na to były przeznaczone, aby upokorzenie familii okazywały i do zemsty pobudzały. Znał podczaszy brata, iż jak płomienny ogień gorzał prędko i gwałtownie, ale krótko więc i nienawiść do hetmana potrzeba było podsycać nieustannie, aby nie zagasła.

Miał w tem pomoc pan Krzysztof wielką w siostrzenicy ulubionej pana Samuela, Włodkowej, tuż pod Krakowem w Piekarach mieszkającej, która z gorączką niewieścią podzielała wszystkie ich uczucia i myśli.

Różnie tam o tej wielkiej przyjaźni pana Samuela dla onej siostrzenicy mówiono, posądzając jego i ją, bo się jejmość mloda, przystojna, żywa, ruchawa, czynna, wcale nie ukrywała, że wuja, jako bohatera wielbiła i równego drugiego mu nie znała na świecie.

Gdzie pan Andrzej i Krzychnik sami się obawiali iść, mówić, a działać, tam posyłali Włodkową, która gotowa była na wszystko dla ukochanego Samuela. Aż nadto może daleko posuwała się jejmość, bo jej dom jawnem był zbiegowiskiem nieprzyjaciół hetmana i króla, i stąd na nich wszystkie baśnie i potwarze płynęły... tu się zbierali spiskujący...

Andrzej mniej się tu okazywał, bo ten zawsze jeszcze wyobrażał sobie, iż na dwu stołkach wysiedzi i za takiego, jak bracia, nieprzyjaciela, zdeklarowanego liczonym nie będzie; w tem się mylił, bo jego i politykę, jaką zachowywał, znano dobrze.

Krzysztof, nie mający nic do stracenia, niemal codzień do Piekar jeździł i tam woził, co pochwycił na bruku, a nawzajem dostawał języka o Samuelu, który i wrzekomo i na oko, aby ludzi zwieść (choć nikt w to nie wierzył) do Włoch się wybierał, skąd już wcale powracać nie miał, jeżeliby się w Polsce rzeczy nie zmieniły.

Rozgłaszał to pan Krzysztof ostentacyjnie, aby pokryć przygotowania, które ciągle czyniono, nawet czasu tych weselnych przyborów. W Krakowie jednak przekonał się rychło podczaszy, że na teraz nic ani myśleć można było ani przedsiębrać.

Szczęście pana hetmana, powodzenie królewskie w sprawie z Moskwą, w której po raz pierwszy od dawna, Batory silniejszym się okazał, i groźnym, jak z jednej strony nieprzyjaciół budziło, tak z drugiej wielu nawracało, bo widzieli, że bezsilne ich pokuszenia przeciwko rozumowi i szczęściu Zamojskiego nic nie zdołają.

Drażniło go to niepomiernie, iż u wielu z tych, co dawniej na wilcze zęby wykrzykiwali i odgrażali się, a „*Nigrum Concilium*" Zamojskiego w błocie tarzali — teraz z pohamowaniem o jednym, z przestrachem o drugim, z ostrożnością wielką o nich obu się odzywali.

Na pomocników czynnych widział, iż mało mógł rachować, samym im z Samuelem o sobie myśleć było potrzeba...

Brata tego na hyż wystawić i popchnąć bynajmniej się nie wahał podczaszy, miał go bowiem za straconego i tak, a chciał zużytkować, siebie o ile możności oszczędzając.

Słał więc listy przez Włodkowę, ogień podkładając ciągle, a choć na teraz nic jeszcze przedsiębrać nie było można, — po weselu znajdował chwilę bardzo dogodną, bo hetman się musiał ubezpieczyć i mniej być ostrożnym po tylu dowodach, że miał przyjaciół licznych w całej Rzeczypospolitej.

Tak stały rzeczy w domu przy Franciszkańskiej ulicy, gdy jednego wieczora, bólu zębów napytawszy przy wiosennej wilgoci, podczaszy zaszedł do Fontanusa, lekarstwa nań szukać.

IX.

Gdy Fontanus jeszcze kröbkę na plecach z olejkami nosząc, to po ziemi krakowskiej, to po Rusi, to po miastach

się błąkał, wietrząc, gdzieby mu się osiedlić było najkorzystniej i najłatwiej, zaszedł raz i do Zborowa.

Gościł tam natenczas i Samuel, był i Krzysztof. Niemiec im zrazu służył za zabawkę, bo radzi się każdym nowym człowiekiem zabawiali. Zachorzał jeden z nich, a nim fizyka z Krakowa sprowadzono, Fontanus się ofiarował z febry tej uleczyć, co mu się wistocie udało. Wpadł więc w łaski, a później, gdy w Krakowie osiadł, Zborowscy o nim nie zapominali, ani on o nich.

Starał się osiedlony już tu Fontanus, aby przy królu miejsce aptekarza pozyskać, ale Zamojski nastręczył Włocha, niejakiego Arycho Caborto, który go ubiegł, czego Fontanus zapomnieć i przebaczyć nie mógł.

Przyczyniło się do niechęci i to, że Włoch, który więcej może umiał, Fontanusa za nieuka i szalbierza ogłaszał, utrzymując, że wodę zafarbowaną zamiast eliksirów, a prostą glinkę miasto bolusów sprzedaje.

Ostrożny bardzo Fontanus nigdy się żadnem słówkiem nie wydał z tem, co w sobie nosił, ale przeciw królowi i Zamojskiemu żal miał wielki... To uczucie zbliżało go do Zborowskich.

Spostrzegłszy pana Krzysztofa, którego zdawna nie widział, ucieszył się tem otwarciej aptekarz, iż nikogo świadkiem nie miał. Natychmiast więc zęby podczaszemu opatrzywszy i płukanie dla niego przygotowując, począł z nim poufną rozmowę.

Krzysztof wiedział, iż się go wystrzegać nie potrzebuje.

— A co? — rzekł, siadając około stołu, na którym Fontanus lekarstwo gotował — a co? Zborowscy tedy doczekali, tego, że nic w Rzeczypospolitej nie znaczą! Poszliśmy na dno...

Fontanus spojrzał z za okularów.

— Mnie się zda — rzekł — że wy jeszcze zwycięsko na wierzch wypłyniecie...

— Trudno — odparł podczaszy.

— Boją się was — szepnął aptekarz — to najlepszy dowód, że siłę macie Człowiek słucha różnych gadanin, chwyta różne wieści, bo ja tu siedzę, jak na rozstaju,

kędy wielu przejeżdża, a powiem wam, że was wcale jeszcze nie lekceważą...

Skądże wniosek — spytał podczaszy.

Fontanus chciał się przypochlebić Zborowskiemu i nie wahał się baśni swego własnego utworu podać na stół. Przyszło mu na myśl, że się Dzierżek o truciznę dowiadywał. Z tego łatwo było coś stworzyć.

— Miejcie się na baczności — dodał. — Samuela i was, gdy inaczej nie będą mogli, nie omieszkają zgładzić wszelkim sposobem, choćby trucizną. Pana Samuela, choć gwałtowny jest, może się nie tyle lękają, co was. Wiedzą, że głowa i rozum rodziny, to wy...

Panu Krzysztofowi oczy się zaiskrzyły. Pochlebiało mu to z jednej strony, z drugiej niepokój ogarnął, bo o swe życie i bezpieczeństwo bardzo był troskliwym.

— Fontanus! — zawołał, przysuwając się — wy coś wiecie... Mów mi otwarcie. Szczęście, że mnie tu ból zęba sprowadził, inaczejbym o niczem nie wiedział.

Zmiarkował aptekarz, iż nazbyt pewno twierdzić o rzeczy pochwyconej niewiedzieć skąd, niebezpiecznem było i chciał się nieco wycofać.

— Nic ja nie wiem — rzekł — przede mną z niczemby się nie zwierzyli, ale się dużo domyślać można z oznak pewnych...

— Zatem praw mi, czego i na jakim fundamencie się domyślasz? — począł podczaszy. — Począłeś, to kończ... ja cię już nie puszczę, aż się dowiem, co sądzisz...

Fontanus, choć w oficynie nikogo nie było, wysunął się z za stołu, zajrzał do drugiej izby, chłopca stamtąd do alembików wyprawił i dopiero powróciwszy, mówić zaczął:

— Jak się wam zda, panie podczaszy, ma kanclerz większego i jawniejszego w tej Rzeczypospolitej nieprzyjaciela nad Zborowskich?

Zadumał się nieco Krzysztof.

— Nieprzyjaciół ma wielu — rzekł — ale my na oku i na wierzchu.

— No i co Zborowscy znaczą, to świat wie... z nimi się nikt nie może mierzyć — mówił dalej Fontanus. —

Więc kiedy Zamojski się trucizną chce kogoś pozbywać ze świata, to pewnie nie kogo innego, jak podczaszego albo Samuela.

Krzysztof, który wcale mężnym nie był i zdradę wszędzie wietrzył, a obawiał się wszystkiego, poskoczył z siedzenia, a krew mu uderzyła do głowy. Nie mógł zrazu mówić, tak go to do głębi poruszyło. W gardle mu zaschło, jak gdyby już ową truciznę wspomnianą połykał.

— Skądże wiesz, co kanclerz zamierza? — wybełkotał niewyraźnie. — Mów mi wszystko jasno i otwarcie. Jeżeli tobie ta myśl przyjść mogła, pewno nie nadaremnie.

Fontanus mieszał właśnie dwa jakieś płyny bardzo gwałtownie i to mu posłużyło do zwleczenia odpowiedzi, nad którą się namyśleć musiał. Podczaszy, cały drżący z niepokoju i niecierpliwości, przechylił się aż przez stół ku niemu, jakby mu z ust chciał wyrwać odpowiedź.

— Mówże! mów! — nalegał.

— Przychodził tu do mnie ktoś— szepnął Fontanus,— którego znam, że ciałem i duszą do kanclerskich sług należy, dowiadując się ostrożnie o truciznę... Zaraz więc pomyślałem sobie, że ona dla nikogo innego, jak dla was, przeznaczoną być nie mogła?

— Dałeś mu ją? — wykrzyknął przerażony podczaszy — Tyś dla pieniędzy gotów na wszystko!

Uśmiechnął się szydersko aptekarz.

— Powoli! — rzekł — powoli! Za pieniądze wszystko w świecie dostać można, a nie wiem, czyby lepiej było, ażeby gdy u mnie jej nie dostanie, kupił gdzieindziej. Tamby mu prawdziwej dać mogli, gdy ja za truciznę dam taką rzecz, która nikomu nie zaszkodzi!

Spojrzał zwycięsko na podczaszego, który stał oniemiały. Czas jakiś oba milczeli.

Pan Krzysztof, pomimo takiego obrotu rzeczy, który zdawał się go ubezpieczać, wcale uspokojonym się nie okazywał. Targał bródkę i wąsy, spoglądał na Fontanusa, który przelewając lekarstwo do flaszki, mówił dalej:

— Proszę was, baczcie na to, że naprzód ja pewności żadnej nie mam, ażeby ta trucizna dla was przeznaczoną była, choć zdaje mi się, że ona komu innemu pewno nie gotuje się, ino wam... powtóre, bądźcie pewni, iż ode mnie oni nie dostaną na wagę złota nic innego, chyba Electuarium niewinne. W tem ich oszukać nie będę miał na sumieniu, a gdyby mi to wyrzucać potem mieli, — alboż niema antidotów? a przeciw tym ja nic nie mogę.

Zamyślił się ponuro podczaszy.

— Któryż to sługa kanclerza? — zapytał.

— Człek mały — odparł lekceważąco Fontanus — ale on posługuje panu Mroczkowi, rotmistrzowi, który u kanclerza wiele waży i znaczy. Że z namowy jego to uczynił, to pewna.

— A dla mnie też i to pewna — dodał żywo podczaszy — że nie dla kogo innego trutkę tę zgotowali, tylko dla mnie. Przeciwko Samuelowi oni inny oręż mają, a nieprzyjacół nad nas większych nie widzę.

Zlitujże się Fontanus, jakoś powiedział, uczyń. Myśl twoja dobra i poczciwa. Truciznę sprzedać należy, aby jej gdzieindziej nie szukali, ja zaś ostrożnym będę na wszelki przypadek.

— A jeśli się po nią nie zgłoszą? — spytał Fontanus.

Podczaszy się zamyślił, pot mu powoli występował na czoło.

— Zalałeś mi sadła za skórę! — zawołał, padając na krzesło. — Już się teraz niepokojowi o życie obronić nie będę mógł i gotówem im z oczów zjechać do cesarza, bo tam przynajmniej od trucizny ich będę bezpiecznym. Ale tu Samuela zostawić samego, bez porady i kierunku, znaczy i jego, i naszą sprawę narazić na zgubę. Porwie się niezręcznie i odda im w ręce... Ja nad nim czuwać muszę, a bez niego...

Cały w myślach zatopiony Krzysztof nie dokończył, głowa mu zwisła na piersi, dumał. Fontanus rad był, że się z tem wygadał na wszelki wypadek na nowo sobie zyskiwał Zborowskich, u których zawsze się mógł pożywić...

Nie było potem końca pytaniom i badaniom pana

Krzysztofa, który zamiast powziąć wątpliwość co do opowieści aptekarza, coraz się mocniej w tem utwierdzał, iż nie dla kogo innego przeznaczono truciznę, tylko dla niego.

Musiał mu więc najuroczyściej zapewnić Fontanus, że uczyni, jak obmyślił, i że natychmiast o spełnieniu obietnicy da znać panu Krzysztofowi do Piekar przez Włodkowę.

Rozmowa ta przeciągnęła się bardzo długo, tak, że gdy podczaszy powrócił do domu na Franciszkańskiej ulicy, zastał już marszałka w łóżku, w głębokim śnie pogrążonego,

Nie chciał jednak czekać jutra z oznajmieniem mu, co przynosił, i kazał go zbudzić wyrostkowi, który spał w progu.

Zamiast wszakże wiernie powtórzyć bratu, co posłyszał od Fontanusa, i co się bardzo wątpliwem przedstawiało, wcale inaczej rzecz malował, niemal pewnie przedstawiając truciznę, jako dla siebie przeznaczoną, i wielkie niebezpieczeństwo, na jakie był narażony.

Andrzej znał brata, a rzeczy tak gorąco nie brał do serca. Zawiązał się więc spór pomiędzy nimi, który trwał niemal do rana.

Nazajutrz najpilniejszem się zdało podczaszemu, wybrać z tem do Piekar, do Włodkowej, choć Andrzej odradzał, aby na babskie języki plotka nie poszła i przedwcześnie się nie rozgłosiła.

Panu Krzysztofowi jednak niepodobna było podróży tej odradzić. Uparł się przy swojem i już chciał siadać na wóz, gdy niespodzianie ukazały się w ulicy dobrze znane kare woźniki pana gnieźnieńskiego i zwykły jego tabor podróżny. Gdy ten przybywał, wypadało zaniechać jazdy, a z nim, jako ze starszym, się naradzić.

Choć to może nie na rękę było podczaszemu, który ze starszym bratem wcale się nie godził, bo nigdy go do swych posług, tak jako chciał, zaprządz nie mógł, kazał koniom swoim wrócić do stajni.

Wyszli oba z marszałkiem naprzeciw starszemu z rewerencyą i wprowadzili go do dworu.

Jan dosyć jasnego oblicza, wcale się tak, jak oni, frasobliwym nie okazywał, owszem, wesoło zagadnął ich i kazał się ludziom rozgaszczać, oznajmując braciom, iż przybył umyślnie, aby mówić z kanclerzem.

Tedy Krzysztof zakrzyknął·

— Z tym już mówić niema co! Obrusy między nami rozerznięte na wieki!

Gnieźnieński ramionami ruszył.

— Cóż nowego?

Krzychnik, który już ledwie utrzymać się mógł, gorąco sprawę trucizny zagail, a Jan jej z namarszczonem czołem słuchał. W czasie opowiadania najmniejszej nie dał oznaki ani zdziwienia, ani oburzenia, raczej niedowierzania.

Im Krzychnik gwałtowniej nastawał i dowodził, tem on zimniej badał, pytania zadawał i przekonywał, że z muchy zrobiono wielbłąda i głupią mowę małego człowieka na ramiona kanclerzowi narzucono.

Podczaszy, który w toco mówił, wierzył święcie, podrażniony był i gniewny, lecz z panem gnieźnieńskim nie szło tak łatwo, jak z marszałkiem. Zganił porywczość i nakazał milczenie.

— Ani się waż tego w świat puszczać, co głupota i złość ludzka wymyśliły, bo mnie mieć będziesz przeciwko sobie. Właśnieby mi to wszystkie moje zabiegi dla dobra waszego pokrzyżowało. Darmo tu nie przyjechałem, wiem, że kanclerz jest, widzieć się z nim będę. Chcę dla was i dla Samuela *occasione* wesela coś uzyskać i do zgody doprowadzić.

Nie przystało nam, Zborowskim stać naprzeciwko temu, który Rzecząpospolitą włada i zwycięsko ją broni, a przeciwko temu, który wkrótce jego synowcem się stanie. Na buncie i spiskach nie wygramy .nic. Wiem, że kanclerz pod ten czas łagodniejszego jest usposobienia. Chcę z tego korzystać.

Andrzej nie oponował.

— Próbujcie—rzekł,—ale ja wam z góry prorokuję, że nas do łaski przypuszczając, chyba psim swędem zbyć będą chcieli, ja zaś się tem i lada jaką jałmużną zbyć nie dam.

— Zaprawdę, panie bracie — rzekł Jan — ryby to przed niewodem. Ja wam spodziewam się drogę do Zamojskiego otworzyć, a wy sami swoją sprawę przed niego i króla wnosić będziecie.

— Co do mnie — odezwał się Krzychnik — nie wierzę w to, aby mnie nawet *ad audiendum verbum* J. K. mości dopuścili. A no, chcecie, próbujcie. Ja się też lada łachmanem nie dam zbyć.

— A wszystko to—dodał—marne psowanie czasu. Kanclerz was gładkiemi słowy uchodzi, a z nami postąpi zdradziecko... W zgodę między wilkiem a owcami ja nie wierzę. Oni krwi naszej pragną i nie zaspokoją się, aż się jej napiją.

Pogniewał się pan gnieźnieński i naganił gadanie, jednakże skutkiem perswazyi jego, Krzychnik nieco się dał ukołysać i obiecał czekać.

Zaraz po południu posłał Jan na zamek, u kanclerza o audyencyę osobną prosić, a tę mu nazajutrz wyznaczono.

Jechał tedy skromnie, jak zwykle, z małym dworem. Zaraz w sieniach powitał go Heidenstein uprzejmie i do pana wprowadził.

Zamojskiego znalazł jakby odmłodzonym, w usposobieniu ducha bardzo łagodnem i uprzejmem. Zwycięzcę Gdańszczan powitał serdecznie i cieszył się, że go ogląda, a o sprawach wojennych mowę zagaił, szczególnie o piechocie nowej, którą z włościan królewskich wybierano, a król chciał rodziny żołnierzy od wszelkich powinności, opłat i ciężarów uwolnić, dając im darmo trzymać grunta, jakie mieli. W ten sposób lud do służby wojskowej, której nigdy nie znał, miał się zachęcić.

Postrzegł jednak łatwo hetman, że Zborowski roztargniony myślami był gdzieindziej i dorozumiewając się, że go tu może co innego sprowadziło, rozmowę na tor ogólnych spraw wprowadził.

Kasztelan, korzystając z tego, zaraz sprawę rodziny swej na stół wyprowadził, ukazując, że braci jego niesłusznie posądzono i odsuwano od wszystkiego, że łacno ich król trochą dobroci mógł sobie pozyskać, a oniby mu się przydali.

Bronił szczególniej marszałka, iż zupełnie zaniedbany był, choć chętliwie służyć gotowy; uniewinniał Krzysztofa, iż go o zdrady, o zmowy jakieś pomawiali nieprzyjaciele, naostatek i za Samuelem prosił, aby z niego banicyę zdjęto, bo jak w ukropie był kąpany, tak czasu wojny żołnierzem być mógł nieocenionym.

Kanclerz wogóle nie okazał się niechętnym, owszem, z pewnem rozrzewnieniem rzekł:

— Wierzaj mi, panie kasztelanie, jam dziś nad zasługi szczęśliwy, więc i drugimbym, gdyby było w mej mocy, nieba rad przych lil. Wierzaj mi, że uczynię, co w mojej mocy.

Co się tyczy pan marszałka, ja mu u króla posłuchanie wyrobię. Wiem, że jurgieltu sobie życzy, i że król na moją prośbę wyznaczy mu go, ale skarb nasz chudy jest, szafować niema czem, a wojna za pasem. Króla pomawiają o skąpstwo; nie jest on skąpy, lecz nawykł do małego, a u nas też na wielkie nie trafił. Zda mi się wszakże, iż dla pana Andrzeja coś uczynić potrafimy. Dobierzemy chwilę dobrą... jam z serca pomódz gotów.

Daleko trudniej będzie z panem Krzysztofem, przeciwko któremu wielkie są oznaki jego niechęci. Sprzyja on cesarzowi, pisze się wszędy „radą cesarską", nie kryje z tem, że króla nie lubi... król mu też płaci tąż monetą i trudno, aby w nawrócenie nagłe mógł uwierzyć. Pomimo to ja i podczaszemu posłuchanie wyrobię, niech się tłómaczy a okaże, iż jest niewinnie oszkalowany. Zgody i pokoju w tej Rzeczypospolitej nam nadewszystko potrzeba, abyśmy siły wspólnemi ją, wycieńczoną i zbolałą, podźwignęli.

Samul niepotrzebnie na Niż się puszczał, jakby coś przeciw króla zamierzał. Król tem był rozjątrzony, ale nic stało się nic, powrócił, niechże spokojnie siedzi, a postaramy się, aby z niego zmyć ten dekret... Że w tem siła trudności będzie, przewiduję, bo niejednego pana Wapowskiego ma na sumieniu, dosyć innych mężów i kobiet skarży się na jego gwałty. Nie może się uśmierzyć, choć wiekby był po temu...

Ja mu, dopóki banicya zniesioną nie będzie, nie życzę się pokazywać w mojej jurysdykcyi, bobym rygoru zażyć nie chciał, a musiałbym spełnić moją powinność. Przeciw dekretowi Henrykowemu niech się stara, ja pomogę, ale musi siedzieć spokojnie, a chce-li dokazywać, niech na kresy rusza, gdzie wojna nierychło się skończy.

Znalazłszy kanclerza tak życzliwie usposobionym, niezmiernie się uradował pan gnieźnieński. Ze łzami w oczach począł mówić o rodzinie, która w Rzeczypospolitej liczyła się do pierwszych, a dziś na dawnem stanowisku utrzymać się nie mogła. Biadał i narzekał, przyczem go kanclerz pocieszał tem, że wiele famili podnosiło się, rosło, ubożało i potem do dawnej przychodziło świetności.

Tak z pół albo więcej godziny pogwarzywszy, gdy ks. biskupa krakowskiego oznajmiono, że przybywał, kasztelan pożegnał kanclerza i wyszedł.

Jechał do braci z jaknajlepszą myślą, z czołem wypogodzonem, a wszedł, nucąc wesoło.

Oba na niego oczekiwali. Zdał im sprawę z poselstwa, ale obu było zamało tego, co przyniósł. Ponieważ Zamojski tylko posłuchanie u króla wyrobić się obiecywał i ich własne żądanie popierać, ani marszałek, ani podczaszy nie czuli się w obozwiązku iść mu podziękować.

— Zaczekamy skutku—odparł marszałek—a będzieli za co, pokłonię się, darmo nie mogę, boby to wyszło na żebraninę.

— Ja też przed Zamojskim się oczyszczać nie będę—rzekł Krzychnik—upokorzyłbym się nadaremnie. Przed królem, co innego, nie będę się wstydał; musimy czekać. Pan Zamojski radby, widzę, przed weselem wszystkich rozbroić, aby je swobodnie mógł obchodzić. Jušci kto ma szczęście żenić się z synowicą króla swojego, wiele dla drugich uczynić może, gdy Pan Bóg mu daje to, czego nikomu pono nie wyświadczył. Dlatego jednak bacznym być na każdy ich ruch i krok nie zawadzi.

Ponieważ dla przyrzeczonej audyencyi oddalać się im nie wypadało, a król na łowy do Niepołomnic pojechał i dopiero na samo wesele powrócić obiecywał, o czem różne złośliwe chodziły interpretacye, do których i pana Branickiego starostę mieszano,—gdy dwaj Zborowscy nie mieli co w Krakowie robić, zmówili się do Piekar.

Dom siostrzenicy ich, wdowy, wesoły był, zawsze pełen gości, otwarty, a sama pani jeszcze wdzięczną twarzyczką i humorem przywabiała młodzież, tak, że często i ze skrzypkami ją najeżdżano. A że Samuel rad tu bywał i przesiadywał, a pani Włodkowa gorąco go broniła, posądzano ich o ściślejsze może, niż były stosunki. To pewna, że gdy do Piekar przybył, trudno go stąd było wyciągnąć, a poczynał tu sobie, jak w domu własnym...

Dwór był drewniany na podmurowaniu, obszerny dosyć, ale tyle razy dobudowywany, poprawiany, rozszerzany, że nazewnątrz nieforemnie wyglądał. Ratowało go to tylko, że drzewy, krzewami i kwiatkami dokoła był obrosły.

Lecz, żal się Boże było ogrodu i dziedzińca, gdzie tylu gości codzień zjeżdżało! Naprzód na podwórzu ludzie, konie i psy zostawiały po sobie tak wyraziste ślady, iż tu stróże raz w tydzień uprzątający je, nigdy nie mogli ich całkowicie zatrzeć. Zgartywano kupy śmiecia pod stajnię, gdzie kury z folwarku przybywały grzebać i pożywiać się.

Nie o wiele lepiej było z drugiej strony w ogrodzie,kędy goście czasem poobiednie godziny spędzali, niewiele się troszcząc o czystość i porządek. Ale to wszystko wegetacyą bujną pobudzało, i krzewy a lipy bardzo się szeroko rozrastały.

Sama gosposia na ogród nie miała czasu, gdyż albo zabawianiem gości swych, lub troską o przyjęcie zajętą bywała, przyczem dodać należy iż śpiew a skoki lubiła bardzo, tańcom się oprzeć nie mogła. Dzieci też niedorosłych parka potrzebowała czujności.

Prawda, że oprócz gospodyni, fraucymer był nadzwyczaj liczny, co także dom dla młodzieży przyjemnym czyniło, bo zawsze szlacheckich dziewcząt kilka dorastają-

cych, ładnych i świeżych na dworze się znalazło. Gdy muzyka zagrała, one też szły do tańca, i bywało ochoczo a wesoło jak mało gdzie, a kilkoro panienek za mąż wydała pani Włodkowa, choć kilku też nie poszczęściło się.

Na kuchni w Piekarach dzień i noc ogień nie schodził, warzyło się i piekło nieustannie, a nastarczyć było trudno, bo ci goście niespodziani, których u nas zwano „panami z za morza”, mało którego dnia się nie stawili, a bywało ich podczas wcale nieoczekiwanych pięciu i więcej.

Pan Samuel nigdy samotrzeć nie przybywał, ale w pokaźnej komitywie.

Życie tu płynęło bardzo swobodnie i wesoło, a choć grosza na nie wychodziło sporo, miała pani Włodkowa i po mężu majętności i z siebie posag, — nie potrzebowała skąpić bardzo.

Marszałek i podczaszy, jadąc tu, nie oznajmywali się zawczasu siostrzenicy, wiedzieli, że się dla nich miejsce znajdzie a rada im będzie.

Zdala już w podwórcu konie i ludzie skupieni oznajmiali im, że gości zastaną, ale gościem, którego się tu wcale widzieć nie spodziewali (o nim się dopiero wszedłszy dowiedzieli) był Samuel.

Stęsknił się on za Włodkową, i dnia wczorajszego przybył swe wyprawy Niżowe jej opowiadać.

Gdy im szepnęła, że on tu jest, namarszczył się nieco marszałek, bo słyszał świeżo, iż kanclerz przestrzegał, aby jego jurysdykcyi unikać. Zawsze z tą banicyą rzecz była niebezpieczna, a choć Zamojski teraz lepsze okazywał usposobienie, oni mu niedowierzali.

Ale Samko wyszedł przeciwko nim z tak bohaterską postawą, tak pewien siebie, a tak rozochocony już, że mu nic mówić nie chcieli...

Nie było ludzi, którychby się strzedz potrzebowali, zaraz więc pan Andrzej zagaił o panu Janie i o jego bytności u kanclerza, powtarzając to, co z sobą przyniósł...

Zżymnął się Samuel.

— Ho! ho!—rzekł—do zgody rękę wyciąga! do zgody! Cóż to się ma znaczyć? Nowa zdrada chyba! Jeżeli który z panów braci ma ochotę im się kłaniać, nie wyjmując króla, wolna wola! Ja, nie... Mamy z Zamojskim i Batorym za długie lata rachunek nieskończony, a bodaj się z niego nam, nie im należy... Musieliby się dobrze opłacić, abym ja im rękę podał. U mnie jedno na myśli,—albo pomsta, lub z kraju precz jadę, kędy oczy poniosą...

Żaden z dwu braci nie brał tak gorąco sprawy do serca, poczęli go mitygować, ale się nie dał.

— Waszmoście oba zobaczycie—rzekł—że do mnie powrócicie, bo oni was oszukają. Ja przy swem stoję: króla sprzątnąć, a Zamojskiego ubić! Wówczas będzie wszystko skończone i Zborowscy cześć swą odzyskają i miejsca, które im należą, nie jakieś tam liche urzędy, z których kilku koni wyżywić trudno—a wstydu się najeść może do syta cała rodzina. Pal ich dyabli z ich zgodą! Ja im się nawet z gardłem prosić nie będę...

Tak się rozpoczęła rozprawa, przy której piękna a żwawa Włodkowa, jako zawsze Samuelowi potakiwała, tak i teraz stronę jego trzymała. I ona się na zgodę żadną i na branie jałmużny nie zgadzała.

Podziałało to tak, na nieco zaledwie uspokojonego Krzychnika, iż i on przeszedł na ich stronę. Zaczem języka już wstrzymać nie mógł i o truciźnie a o Fontanusie historyę im opowiedział.

Tu dopiero powstał rumor niesłychany... Samuel święcie wierzył w to wszystko, co Krzychnik przynosił, a to mu służyło do poparcia własnych przekonań.

Andrzej milczał, i jak zawsze był ostrożny, nie zapędzał się za daleko..

— Macie najlepszy dowód ich dobrych dla nas chęci— wołał Samko—w tem, że mnie się każe mieć na baczności, abym się w jego jurysdykcyę nie ważył.

Więc cóż? Wziąłby mnie jako banitę, jak nieboszczyk ojciec Sanguszkę, i łeb zciął? Niedoczekanie jego! Gdy wiem, co mnie czeka, wolę ja mu to samo zgotować... przyczem ani banicyi, ani dekretu nie potrzebuję. Wyzwę go na rękę i zarąbię. Naówczas cała Rzeczpospolita z pod jarzma tego uwolniona, podziękuje mi, bo mało co, a oni chłopską swą piechotą zawojują, a nam wszelkie swobody odej-

mą. Rozumieją to wszyscy, choć nikt mówić nie śmie, ale się gęby otworzą, gdy ich nie stanie!

Wtem zwrócił się do Krzychnika.

— Wy chcecie do niego iść i o łaski się starać, probujcie, ale pamiętajcie, że was to spotka, co Ponętowskiego, cześnika łęczyckiego na sejmie, szedł on do ucałowania ręki królewskiej, a król wzbronił się dać mu ręki i kołpaka przed nim nie uchylił, bo go znał sobie niechętnym. Ja się na to narażać nie myślę!

Krzychnik zmilczał.

— Jabym się o pocałunek nie upominał—rzekł pan Andrzej—byle mi ta ręka lepszy jurgielt wyznaczyła. Kochać go za to nie jestem obowiązany, bo to grosz nie jego, ale ze skarbu Rzeczypospolitej. A tak dobrze, jak i drugim, on mi się należy. Na swoich Węgrów, ptaszników, sokolników, koniuszych, ba psiarzy, na lutnistów, na wszelką gawiedź obcą ma pieniądz zawsze, dla nas go niema... Królowej skąpią i trzymają ją, jak na łasce, dawszy jej mazowieckie piaski i lasy—ale na wesele, dla siostrzenicy, dla Bekieszów i nie wiem, jak zowiących się Węgrów, jest zawsze poddostatkiem.

Skarb wyniszczyli zupełnie, a co się z temi skrzyniami stało, które Zygmunt August klejnotami nabite zostawił, dziś już nikt nie wie.

Tak szły narzekania jedne za drugiemi, a w końcu każdego ustępu Samuel do tego powracał, iż póty dobrze nie będzie, dopóki się od Węgra z wilczymi zębami i od koźlich rogów nie oswobodzą.

— Niech panuje cesarz rakuski, niech car moskiewski, aby nie ten Węgier. Damy sobie z tamtymi radę, bośmy już wiele przebyli, tylko tego nie bywało, aby szlachcic króla opanował i pod jego imieniem rządził.

Chłopi powiadają, że niema gorszego pana jak z mużyka, a ja mówię, niema gorszego króla jak ze swoich i to z tych, o których wczoraj świat nie wiedział. *Homo novus* najgorsza rzecz, bo ten nic nie szanuje!

Krzychnik okrutnie gorąco potakiwał bratu.

— Dajmy Andrzejowi szczęścia u króla próbować,

zobaczymy, co on wskóra. I tak nam działać nie pora. Na wesele damy im pokój, a po przenosinach zagramy do nowego tańca...

Samuelowi serce rosło.

— Zdajcie wszystko na mnie—wołał—ja was i kraj wyzwolę...

Kończyło się zawsze na tem *delenda Carthago*... Zamojskiego się pozbyć. Na to on się ofiarował.

Tymczasem Włodkowa, która już o wszystkiem wiedziała, bo jej tu codzień coś ktoś przywoził, liczyła jak z regestru tych, co się pierwszego dnia w turnieju potykać mieli, i te wszystkie, jak je zwano wówczas „kunszty", z którymi się popisywać mieli przyjaciele kanclerza... począwszy od Mikolaja Zebrzydowskiego, Stanisława Mińskiego, Joachima Ocieskiego.

Wszystko już ona spenetrowała, nawet jak Cupido miał być ubrany i kto miał Czas reprezentować.

Śmiano się z tego, że po uroczystościach weselnych, Zamojski nie miał dokąd przenosin uczynić, tylko do pożyczanej sali na zamku, bo dworu własnego w Krakowie nie posiadał.

Tak przy bardzo dobrej myśli zwlokło się do wieczora, zwłaszcza, gdy ten i ów z sąsiadów przybył jeszcze, a każdy coś przywozil łakomej nowin gosposi, która najbardziej się o to frasowała, aby w rynku mogła mieć okno, naprzeciwko Spieglerowej kamienicy, aby wszystko widziała i nic jej oka nie uszło.

Marszałek jej przyrzekł się starać o to, lecz niełatwe to było zadanie, bo okna, drzwi i bramy wszystkich mieszczan zawczasu były pozamawiane. Rachowała tylko na to Włodkowa, że komu się uśmiechnie, gotów gwałt popełnić, a miejsce uczynić dla niej.

Późno w nocy wrócili ichmoście z Piekar na Franciszkańską ulicę, ale kasztelana zastali jeszcze nad listami, które ekspedyował. Ten im oznajmił, że kanclerza powtórnie u Myszkowskiego ks. widział i znalazl go dla siebie bardzo dobrze usposobnionym. Z królem mówić w interesie rodziny jeszcze raz przyrzekł i swoje *bona officia* ofiarował.

Anrzej i Krzysztof spoglądali po sobie, ostatni jednak uśmiechał się niedowierzająco i nie chcąc drażnić, nie oponował, ale był pewnym, że dla niego i pana Samuela król łaskawym być nie zechce.

— Ja zaś trzymam—odparł pan gnieźnieński— że kwoli tej uroczystości, której pragnął, łagodzić zechce i jednać wszystkich, z czego i my skorzystamy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II.

I.

Na łąkach nadwiślnych, ranną godziną dnia wiosennego tego roku, widać było kilkudziesięciu jezdnych rozsypanych, a raczej rozstawionych po różnych miejscach, jakby się łowy jakieś przygotowywały.

Łacno było poznać w nich możnych panów z postawy a twarzy, i po rynsztunku wytwornym, który pomimo piękności swej nie bił w oczy. Konie też, na których panowie i słudzy siedzieli, odznaczały się równie maścią, jak budową, a psy, któ e się przy myśliwych kręciły, sokoly i białozory, które trzymali na rękach, także pięknością i doborem, a starannem utrzymaniem uderzały. To też ludek, przechodzący opodal, stawał ciekawy i długo się przypatrywał temu orszakowi, w którym łatwo się najdostojniejszego z panów, bo króla jegomości domyślał.

On też to był wistocie; z nowemi ptakami, świeżo unoszonymi i nadesłanymi próbował, azali się nie uda nacieszyć ich igrzyski.

Dzień był jak rzadko u nas się trafia na wiosnę, bo gdy zima chybi, a to się zdarza często, wiosna też kwasi się długo, nim zwycięży—tym zaś razem przyszła jakaś wesoła i piękna, tak, że po kilka dni cieszyć się sobą dawała.

Słoneczko weszło jasno i grzało już nawet przypiekając, rośliny się po deszczach, które przeszły, pod ożywczem ciepłem tem rozwijały z pośpiechem zdumiewającym. Co wczoraj jeszcze stało w pączkach, dziś mlode listki zielone, jaskrawe wystawiało ku słońcu, żołte łotocie

pootwierały się gromadnie i jak złote opony na łąkach leżały. Wierzby już się całe poubierały w nowe sukienki, niektóre brzózki na pół pączki zrzuciły, trawy zieleniały barwą świeżości, wiosny i nadziei. W powietrzu wiło się i latało tysiące zbudzonych stworzeń, jakby upojonych powietrzem wonnem i czarem tej pory, zwiastunki żywota. Gdzieś z za łóz daleko odzywała się fujarka pastuszka i bydełko ryczało, podnosząc głowy, a smakując młodą paszę.

Całość tego obrazu, z niebem, po którem przepływały białe bawełniane chmurki z wezbranemi jeszcze wodami rzeki, w których się blask dnia odbijał, była jakby harmonijną pieśnią na cześć tego, co jest wiekuistem życiem.

Nawet smutnym i biednym ludziom, dla których wiosna nie przynosiła nic, oprócz wspomnień głodnej zimy, weselej było na świecie szczęściem cudzem. Człowiek, gdy się czasem zapomni, samolubem być przestaje.

Na ślicznym koniu wschodnim, którego grzywa spływała po karku falą jedwabną, żującym niecierpliwie misterne wędzidło, stał mężczyzna lat średnich i zdala stąd patrzał oczyma dziwnie smętnemi na zamek krakowski.

Wśród tutejszej ludności uderzała jego wschodnia jakaś, cudzoziemska fizyognomia, oliwkowa nieco cera, włos czarny, oczy ciemne, ogniste i wyraz twarzy poważny, rycerski, zadumany. Nie był właściwie pięknym; wiek mu już zdjął z lica urok młodości, a piętno życia i pracy położył na niej, ale z rysów tych mówiła dusza pełna jeszcze niezużytej siły, choć może dla szczęścia rozczarowana.

Stworzony do rozkazywania, żołnierz zdawał się w tej chwili dumać, co mu rycertswo jego, trud i walki przynieść miały — bo szczęścia się nie spodziewał. W tem wejrzeniu nie było płaczliwych wyrzutów losom, ale pytanie przeznaczenia, ku czemu ono wiodło, jaki cel miało?

Ubrany w ciemną suknię, obszywaną sznurami, na pętlicę spiętą, przepasany pasem skórzanym, nabijanym srebrem, stał tak, jedną ręką w bok się ująwszy, patrzał, a obok niego także na koniu stojący, młodszy

jeszcze ciemniejszej płci mężczyzna patrzał nań, szanując milczenie, i nie śmiejąc go przerywać.

Tym mężczyzną był Stefan Batory, a towarzyszem— Węgier Cobar, którego z sobą do usług swoich przywiózł, szlachcic siedmiogrodzki, wielki pana swojego wielbiciel, a gorliwy sługa, dzielny żołnierz i dowódca.

Z Węgrami swoimi, gdy czasem tęskno mu na duszy było, król ten, który dostojność swą umiał nosić wysoko, do dawnej powracał poufałości. Serce mu się otwierało. I tego dnia był w usposobieniu posępnem, może właśnie dla wesołości wiosennej, która go otaczała.

Tajemnicze są ruchy ludzkiego ducha: niekiedy wesele rozbudza smutek, — i przeciwnie. Rozpacz może być straszliwie wesołą!

Dokoła widać było znaczną część dworu łowieckiego króla, z sokoły, białozorami, małemi kobuzami, krzeczotami, — i niektóre z jego legawych ulubionych i chartów. Stali na koniach porządek utrzymujący sokolnicy starsi, dwu Niemców, Polak — Łukasz Biedrzycki, poważny pan łowczy — Jan Krzysztoporski i wielu innych.

Łowy, rozpoczęte bardzo rano, niezbyt się powodziły, ale król przed chwilą śmiał się z tego i wcale mu to nie zachmurzyło czoła, dopiero teraz, gdy na zamek spojrzał, smutek jakiś powlókł mu rysy.

Cobar odgadywał myśli jego, ale pytać nie śmiał. I wszyscy stali tak, oczekując rozkazów, gdy król, jakby rozbudzony, obrócił się i skinął na Krzysztoporskiego, w kilku słowach dając mu swobodę pokierowania łowami po swej myśli. Sam on chciał też jechać z Cobarem, albo za nimi, gdyby się im powiodło natrafić na ptactwo jakie, lub użyć jeszcze świeżego powietrza.

Zwrócił się do Cobara z uśmiechem pańskim.

— Widzisz, chłopcze, — rzekł do niego królewskim tonem — nie wiedzieć skąd i dlaczego przypomniały mi się kraje nasze, życie przeszłe i zrobiło mi się smutno. Nigdy nie byłem szczęśliwym... pono nim nigdy nie będę, żal zmarnowanego życia, ale tak chciało przeznaczenie, dola moja...

— A! miłościwy panie! — z zapałem ozwał się

sługa — czyż może być większe szczęście, jak być wybranym od narodu i od pierwszego kroku laury zbierać zwycięskie! Wszyscy się zdumiewają wyprawom waszym, bo takich nie pamiętają od Witoldowych czasów.

— Prawda! — rzekł król gorzko. — Czuję też ich wdzięczność! Cobar, tyś nigdy pewno nie postał na sejmie i nie był zmuszonym, jak ja, mizernemu szlachetce, natrząsającemu ci się w oczy, wymawiającemu ci swoich kilka groszy poboru, odpowiadać dłonią na szabli, a łzami na oczach i zagryzionemi do krwi wargami. Oni wdzięczni? Połowa ich w łyżce wody by mnie utopiła. Im potrzeba króla, coby jak Zygmunt August, płakał i szukał pociechy w rozpuście! Ich wdzięczność! znam ją! Posłuchaj tylko, alboś i słyszał może; gotują mi truciznę—za mój trud i poświęcenie dla nich! Co ja tu zyskałem na tej koronie? Tytuł królewski — nic więcej! Każdy grosz mi wymawiają, gdy ja swojego dla nich dokładam!

— A! gdyby nie Jan — dodał król — uczyniłbym może, jak Henryk i uciekł od nich do Siedmiogrodu.

Westchnął.

— Zapóźno. Związali mnie tu i ślubem, i przysięgą, i tem wreszcie, że im pokazać chcę, jak nimi rządzić potrzeba. Kiedyś może wspomną i pożałują. Żelaznej ręki na nich potrzeba do ugięcia tych karków krnąbrnych...

Oczy mu zaświeciły dziko.

— Stanie-li życia na wszystko? — dodał. — Wiele, wiele jest do zrobienia.

Król rzucił okiem dokoła... i znowu oblicze powlokło mu się chmurą.

— Miłościwy panie — odezwał się Cobar — jeżeli są niewdzięczni, gdzież ich niema? Taka już natura ludzka, że człowiekowi dobrodziejstwo cięży, bo go upokarza, ale są też i wierni, i przywiązani do króla.

— Niewielu — odparł Stefan. — Naród to zresztą serdeczny, rad, kochający, ale mimo męstwa swego, — płochy i dziecinny. Wytrwałości nie ma w niczem, zabawę przenosi nad pracę, życia nie waży wiele i trzeba mu dobrej nieszczęścia szkoły, aby się na mężów statecznych wyrobił. Życie w chwili zapału dać, majętność poświęcić,

zdrowie ważyć, to u nich niczem, ale gdyby długo a cierpliwie, choćby pierze skubać przyszło, żaden nie wytrwa. Krew w nich kipi, fantazya nieokiełznana, a rozum tylko dla drugich mają.

— No — dodał król z uśmiechem — na wymowie im też nie zbywa, lecz gdy się na słowa wyczerpią, do czynu ochoty i siły nie mają.

I znowu król spochmurniał.

— Kraj taki rozległy pustyniami na pół leży — mówił dalej. — Tatarom się podarkami okupywać trzeba, gdy ich dawno odeprzeć z dzikich pól należało. Teraz na granicy kozactwo się mnoży, będą z tego drugie Tatary, albo i gorzej, bo ich Moskwa łatwo sobie pozyszcze. Do czynienia jest dość! Ale czem, ale kim? Jeden Zamojski za wszystkich nie starczy, a drugiego takiego, jak on, nie znaleźć.

— A! miłościwy panie — wesoło rzekł Cobar, usiłując pana rozchmurzyć. — Tak się to podczas czarno wyda'e wszystko, ale co roku jednak lepiej tu i ładu więcej. Oni sami to przyznają, a ci, co niechętnymi byli, nawracają się.

— Kto? gdzie? Nie nawróciłem ani jednego — przerwał król. — Spojrzyjże na tych Zborowskich. To najzajadlejsze wrogi moje, od nich wszystkiego się spodziewać można, począwszy od postrzału na łowach, aż do trucizny na półmisku. Próżno temu zbójowi, Samuelowi, banicyę jego płazem puszczam, próżno zdrajcy podczaszemu bezkarnie daję z cesarzem się zmawiać, a trzeciego na marszałkowstwie przy sobie cierpię, — nie potrafiłem ich przejednać.

— Słyszałem jednak, że pan hetman ich uchodził — rzekł Cobar — i spodziewa się, gdy wasza królewska mość posmarujesz ich, że i ci się ukorzą.

Król się odwrócił żywo.

— Kto? Zborowscy? — zawołał. — Ty ludzi nie znasz! Samuel głowy nie ma, a Krzysztof — tylko głowę bez serca i sumienia. O Andrzeju nie wiedzieć, co twierdzić, bo w maszkarze całe życie chodzi. Jeden Jan z nich coś wart, bo go rycerska służba szlachetniejszym uczyniła

Gdyby się nawet chcieli zbliżyć do mnie, ja do nich nie chcę! Samuel banitą jest, dopuścić go do siebie nie mogę, a podczaszym się brzydzę, bo nawskroś w nim zdrada i ciecze z niego na wsze strony... Tego nic nie poprawi; zdradzi mnie dla cesarza, zdradzi cesarza dla moskiewskiego cara, a tego—dla Wołoszyna i Turka, aby dostał zapłatę, a pochwyci ją, to zmarnuje. Znać łotra nie chcę!

— Zda mi się, że pan hetman za nim wstawiać się będzie — szepnął Cobar.

— Choćby on i Gryzelda nawet prosiła — dodał król — z nim nic do czynienia mieć nie chcę. Zowie się i pisze radą cesarską, niech na radę do cesarza jedzie i lepiej tu nie powraca.

Mówiąc tak, król jechał powoli, konia na cuglach wstrzymując, a oczyma biegając po okolicy. Ptactwa małego krążyło w powietrzu mnóstwo, ale takiego, na któreby sokoły puścić było warto — nigdzie nawet bystre oko Biedrzyckiego dostrzedz nie umiało. Sokoły i białozory, kapturami przyodziane, dzwonkami czasem potrząsając, siedziały smętne na rękawicach pacholków, którzy je wieźli. Psy legawe wietrzyły po ziemi jakoś obojętnie, jakby się nie spodziewały nic znaleźć. Charty ziewały, służba nawet znużoną się wydawała.

Wtem opodal nieco na niebie jasnem, z rozpostartemi szeroko skrzydłami, jakby na miejscu w powietrzu stojący nieruchomo, ukazał się ptak duży, w którym jastrzębia starego łacno rozpoznać było można.

Z sokoły—na sokoły, jastrzębie, kobuzy, kanie i inne drapieżne ptactwo rzadko kto polował, bo to łowy były, co mogły siła kosztować. Noszone ptaki łowcze—drogie były, a w tej walce z dzikiemi często kaleczały, albo nawet i na śmierć mogły być ubite. Rzadko więc bardzo i mało kto—dla bardzo ciekawej i zajmującej walki, chciał drogie swe ptaki ważyć. Nawet gdy na czaple polowano, często przeszyte ich ostrym dziobem, na które się same w wojowniczym zapale rzucały, przepadały, a w walce z jastrzębiami i orły, niekiedy rycerz przyswojony nie dotrzymał swobodnemu i dzikiemu.

Król, któremu ptaki jego ulubione były, a nie mało kosztowały, rad oszczędzał je i nigdy prawie na drapieżników nie puszczał. Co mu się tego dnia stało, gdy ujrzał jastrzębia, jakby urągającego mu się, stojącego w powietrzu, gdy myśliwi, coraz się ku niemu zbliżali — on to jeden wiedział. Skinął na Biedrzyckiego, który pędem nadbiegł do króla.

Stefan, milcząc, wskazał mu palcem jastrzębia, ale pan Łukasz oczom nie wierzył i rzekł po łacinie:

— *Accipiter.*

Król prawie z całym dworem swym po łacinie rozmawiać musiał.

— Widzę—rzekł w tym języku—i myślę, że nasz duży kosacz dałby mu radę.

— Zaprawdę—zawołał Biedrzycki—ale za to ręczyć nie można, aby się i z niego pierze nie posypały, bo dziki bronić się nie omieszka.

— A myślicie, iż kosacz się na niego rzuci? — zapytał Stefan, zatrzymując konia.

— Byle go zoczył — odparł pan Łukasz;—lecz szkoda ptaka.

Król pomyślał. Jakaś fantazya pańska przebiegła po głowie jego, dał znak, aby kosaczowi kapturek zdjęto. Podbiegł na skinienie Szmalder, Niemiec, niedawno sprowadzony, który się rad był popisać przed królem.

Domyślali się wszyscy, że ciekawy pojedynek odbyć się ma między dwoma zapaśnikami.

Ogromny jastrząb ciągle jeszcze, nie myśląc uchodzić, to powolnym ruchem skrzydeł podnosił się nieco ku górze, to majestatycznie spływał od niechcenia ku ziemi. Ludzie i konie wcale się go obchodzić nie zdawały. Bystremi oczyma wypatrywał skrytych gdzieś na roli ofiar swych, na które miał się rzucić, jak piorun z obłoków.

Tymczasem gotowano się na niego kosacza wypuścić. Sokół to był już doświadczony i jeden z najprzedniejszych, nieraz ranny i wyleczony, silny a śmiały. Na niego rachować było można, iż się nie ulęknie, z placu nie ujdzie, ani się da pożyć.

Wszystkich oczy zwróciły się ku Szmalderowi, który z kosaczem na rękawicy, jeszcze mu nie zdejmując kap-

turka, klusował, zbliżając się ku miejscu, gdzie się jastrząb nad łąką kołysał.

Niemiec dopiero, gdy dobre miejsce obrał i ustawił się tak, aby sokół mógł natychmiast ujrzeć nieprzyjaciela, odsłonił mu skórzany kapturek. Kosacz strzepnął głową dumną i skrzydłami, czując, że go wyzywają, podniósł krwawe oczy, i gdy Szmalder nogi mu z pęt rozwiązywał, już się do lotu zrywać zaczął. Przeciwnik jego wciąż jeszcze stanowiska nie opuszczał.

Wtem stary kosacz, rozstawiwszy skrzydła szeroko, szybkim odrazu lotem naprost się puścił na nieprzyjaciela, który go jeszcze widzieć się nie zdawał.

Sokół był niedaleko od niego, gdy widząc, że nań zmierza, jastrząb zwinął się i nieco ku górze się wzbiwszy, zdawał się chcieć rozeznać, czy wyzywający wart był, aby przyjąć zaczepkę.

Tymczasem wprawny i doświadczony kosacz, zbliżywszy się ku jastrzębiowi, zaczął toczyć dokoła, wybierając stronę, od której się ma rzucić na niego.

Tu już wyraźniej zaznaczyło się obu ich w przyszłej walco stanowisko. Dziki jastrząb nie wyzywał do niej, ale i uchodzić nie myślał, kosacz zaś z zajadłością znużonego długim spoczynkiem zapaśnika—coraz szybciej otaczał go, kołując i jakby zabawiając się obrotami, do których go zmuszał.

Krótki ten przeciąg czasu starczył, aby w obu krew zagrała, pierze się najeżyły i ochota do boju urosła. Jastrząb snać nie spodziewał się, aby kto nań mógł ważyć, ale walkę, do której był wyzwany, przyjmował. Kosacz zdawał się zabawiać niespodzianką, jaką mu sprawił i coraz ciaśniejszym kręgiem opasując go, ociągał się z rzuceniem na nieprzyjaciela.

Widzowie patrzyli z zajęciem wielkiem, król się uśmiechał nawet, a sokolnicy drżeli, tak ich to przyszłe starcie gorąco obchodziło. Wszyscy w niem byli z sokolnictwem całem zainteresowani. O cześć i sławę chodziło.

Nakoniec kosacz, gdy się nieprzyjaciel najmniej spodziewał może, na kark mu się rzucił i szpony w pierzu je o zatopił. Ale trwało to zaledwie krótką chwilę, dziki

mu się wyśliznął i dziób z dziobem stanęli, skrzydły ogromnie robiąc, naprzeciw siebie. Pióra się już sypały...

Po kilkakroć dziki jastrząb wymknął się z pod dzioba i sam próbował paść na kosacza; zawsze go stary sokół skarcił, zręcznie mu się wyślizgując i korzystając z obrotu, aby go ranić.

Widocznem było, że mimo męstwa mniejszego wzrostem dzikiego ptaka, ulegnąć on musi, acz kosaczowi niełatwo przychodziło zwycięstwo. Zmusił go spuścić się ku ziemi, ale dziki natychmiast porwał się znowu do góry; ponowiło się to kilkakroć. Jsatrząb znużony zdawał się chcieć ponad łąką uchodzić ku rzece, gdy sokół jeszcze raz całą siłą na niego uderzył i oba razem znikli w trawach, ponad któremi tylko ich skrzydła szamoczące się widać było, a wkrótce potem podniosła się głowa i zakrwawiony dziób kosacza, który darł pierze z żywego jeszcze, ale bezsilnego przeciwnika.

Szmalder chciał dobiedz na miejsce, aby zapobiedz niepotrzebnemu męczeniu się drogiego sokoła, ale koń jego ugrzązł w moczarach i on sam, wyskoczywszy z siodła, pieszo się, berło unosząc nad głową, musiał puścić dla odzyskania zwycięzcy.

W ciągu tej walki oczy wszystkich tak stale były wlepione w bojujących sobie wrogów, iż nikt na chwilę oderwać ich nie mógł od nich. Sokolnicy uśmiechali się z radości, król na siodle oparty, cieszył się widocznie tryumfem swojego wychowańca. Cobar też więcej może dla pana, niż dla siebie zabawiał się tem, iż panu rozrywkę sprawić się udało.

Z kosaczem na ręku, któremu zaraz kawał krwawego mięsa podał jego opiekun, niemile grzęznąc w błocie, Szmalder powracał do swoich. Król skinął, aby mu przyniósł kosacza, który po opatrzeniu okazał się też rannym i pierza dosyć utracił, ale butno wyglądał i czerwonemi oczyma wodził dokoła, jakby nowego wroga szukał.

Gdy się to działo na łące, nie postrzegł ani król, ani ci, co z nim byli, iż kanclerz się konno zbliżył ku miejscu temu, i gdy Stefan sokołem się zabawiał, stanął za nim, czekając, aż swych łowczych odprawi. Król teraz dopiero spo-

strzegł Zamojskiego i jak zawsze mu rad był, tak i teraz twarz rozjaśnioną zwrócił ku niemu. Szczęśliwa walka przyczyniła się też może do rozjaśnienia czoła i rozproszenia czarnych myśli.

W gromadzie łowców, towarzyszących królowi, zawiązały się naturalnie gorące rozmowy o pojedynku, którego byli świadkami. Podziwiano zręczność kosacza, ale i ubity jastrząb, którego czeladź oglądała, wskazując, jak strasznie był zamordowany, męstwem swem na pośmiertne zasłużył pochwały.

Tak szczęśliwe łowy dnia tego pamiętnemi stać się miały długo, przez rzadko widywany pojedynek dwóch drapieżnych.

Król dał znak Krzysztoporskiemu, iż go wraz z jego komendą opuszcza, sam zaś z Zamojskim i Cobarem, który nieco w tyle z dwoma przybocznymi Węgrami pozostał, brzegiem rzeki stępią począł wracać ku Krakowu.

Zamojski miał twarz nożożeńca szczęśliwego, a choć nie pierwociny mu były ślubować, bo dwie już żony wprzódy był utracił, szczęście jego teraźniejsze równać się dawnemu nie mogło. Podnosiło go ono aż do tronu, a to powodzenie w życiu, które winien był wielkim swym przymiotom, ale i szczęściu zarazem wielkiemu—budziło w jego duszy jakieś wdzięczne uczucie i pragnienie, aby świat cały z nim razem również był szczęśliwy. Nigdy też może poważnego kanclerza nie widywał Stefan tak wesołym i usposobionym łagodnie.

Wszczęła się rozmowa o łowach naprzód, ale wnet bieżące sprawy, których siła każdego dnia nadchodziło, zmusiły kanclerza o czem innem zagaić.

Łudzono się jeszcze tem, że się uda Possewinowi pozyskać cara moskiewskiego dla Rzymu, chociaż Zamojski najmniej temu ufał. Zakon tymczasem jezuicki zyskiwał na znaczeniu i zaufaniu u króla, któremu dyssydenci za złe mieli, że się zdawał szczególną go otaczać opieką.

Stefan widział w nim, oprócz wojowników, którzy starali się zachwianą jedność Kościoła przywrócić, czynnych protektorów światła i dla szkół gdzie mógł, wszędzie ich

osadzał, bo szkół i oświaty brakło, a nikt naówczas przewidzieć nie mógł, jaki ona w rękach zakonu kierunek przybierze...

Z mnogich Batorego czynów widzimy dowodnie, że fanatyzmowi nie hołdował, że dla protestantów był wyrozumiałym i nigdy ich prześladowaniem nie nękał, ale interesa katolickiego Kościoła, na którego łonie Polska urosła, — i Zamojskiemu i królowi najdroższemi być musiały. Jedność też wiary w państwie, jako dźwignia zgody i spólności, nie mogła być im obojętną.

Właśnie o zgodzie i pojednaniu ze wszystkimi zagaił, jadąc Zamojski, i naturalnie o Zborowskich królowi wspomniał. Zmarszczył się Batory, bo naleganie to dokuczliwem mu było.

— Radbym w tym dniu wesela—zawołał Zamojski i moich i miłości waszej nieprzyjaciół rozbroić i przejednać. Zdaje mi się, że Zborowscy są skłonni do nawrócenia się i poprawy.

— A wy, Janie mój, — przerwał król — wierzycie w poprawę tych, co do siwego włosa zdradą żyć nawykli? Ja w poprawę takich ludzi nie wierzę. Przyczaić się oni mogą,—przemienić nigdy! A my dla kilku Zborowskich niechętnych nie zginiemy.

— Tak, najjaśniejszy panie—odparł kanclerz—lecz za nimi kilku wlecze się ogon niezliczonych warchołów, którzy na nich patrzą i za nimi idą. Jana gnieźnieńskiego mamy z sobą i nigdy nie było powodu ani wątpić o nim, ani go podejrzewać. Andrzeja, o ile znam, dobrodziejstwy i jurgieltem kupić można... a mnie się zda, że zubożały a zniechęcony do cesarza Krzysztof takżeby się dał ująć.

— Krzysztofa ani tykać nie chcę!—zawołał król.— Mówicie, że zubożały jest... A cóż zrobił z okupem?

— Z jakim?—zapytał kanclerz.

— Znacie przecież tę historyę, którą tu mi opowiadano, bo głośną jest. Wszak ci się starał Krzysztof o siostrę hospodara wołoskiego, który mu jej dać nie chciał, potem, mszcząc się na hospodarze, pochwycił go zdradą w niewolę i póty Zborowscy więzionego na zamku trzy-

mali, aż znaczny bardzo okup z niego wzięli, równający się posagowi odmówionej hospodarównej.

Rozśmiał się król.

— A! stare to są dzieje!—rzekł Zamojski.—U Zborowskich pieniądze topnieją prędko. Od tej pory mieli już czas i wołoską sumę stracić, i od cesarza wymódz, co tylko mogli... i od cara moskiewskiego dostać zadatek,— a z tego wszystkiego nie pozostało śladu. Jeszcze się coś trzyma przy Andrzeju, jeszcze po matce dzieci Samuela mają dobra, choć zadłużone, a Krzysztof pono nie ma nic tylko to, co u niego wyłudzi. Cesarz mu pewno jurgielt płaci, niedarmo się jego radą nazywa, ale to nie starczy. Chciwy jest i rozrzutny.

— Sameś rzekł—odparł żywo Batory. —Z takiego człowieka pożytek wątpliwy, a woru dziurawego nie zapchać. Więc gdybyśmy z nim nawet zgodę mogli pozyskać, nie warta ona tego, co będzie kosztowała. Zdradzi nas temu, kto da więcej.

— Oko na niego mieć będziemy, a bracia nam pomogą— dodał Zamojski.—Czasu wojny i Samuel by się nam przydał, żołnierz mężny, choć warchoł nieunoszony, ale i takich czasem potrzeba...

Król mocno głową rzucał, słuchając.

— Daj ty mi pokój ze Zborowskimi—rzekł.—Samuela znam, bo u mnie gościem był i służył mi czas jakiś, ale od tej pory rozpasał się, słyszę więcej jeszcze... Do Andrzeja, choć i jemu i całej tej krwi nie wierzę, chętniej się zbliżę, dam mu coś, z innymi nie nalegaj!

Kanclerz przez chwilę milczał.

— Uczynicie, miłość wasza, wedle życzenia i woli, ale ja nie przestanę wstawiać się za nimi, abym sobie do wyrzucenia nie miał, iż zaniedbałem środek jaki ku przejednaniu. Nam zgody potrzeba... Nieprzyjacioły otoczeni, dobrze, abyśmy ich choć we wnętrznościach naszych nie żywili.

Westchnął Batory i jechali powoli, coraz się zbliżając ku miastu. Nie śpieszno było snać królowi na zamek, gdyż stosunki z Anną Jagiellonką, zmuszały go do ciągłego kłamstwa, którem się brzydził. Miłość zmyślać, a nawet

poufałość większą się wzdragał. Zaś dać przykład poszanowania i zgody czuł się obowiązanym, tembardziej, że już złe języki szukały jakichś pozorów do potwarzy i palcem wytykały osoby.

Anna Jagiellonka oziębłością męża niemal obrażona, wcale się o pozyskanie serca jego nie starała. Od pierwszej chwili jawnem było, iż to małżeństwo, dla korony związane, pozornym tylko związkiem pozostać miało. Królowę opatrzono osobno, płacono jej oprócz tego pensyę, miała dobra znaczne, dwór oddzielny, ludzi swych i przyjaciół, a król tak rzadko z nią razem mieszkał, iż się nawet nie często widywali. Na zamku,gdy gościł, stół nawet miał osobny. Po polsku z Batorym rozmówić się nie mogła, a choć łacinę rozumiała, tak biegłą, jak matka jej, Bona, w niej nie była. Mówili więc z sobą najczęściej po włosku.

Na dworze też języków różnych można się było nasłuchać. Król po węgiersku ze swymi Węgrami, po łacinie z Polakami, po włosku z żoną rozmawiał, a niekiedy i po niemiecku z przybyłymi mówić musiał. Francuzczyzna przebijała się tu i owdzie, wśród służby i język ruski dawał się słyszeć, szczególniej, gdy król był na Litwie.

Polskiego języka trzeba było szukać po dworach pańskich, jak u Zamojskiego, który Kochanowskiego miał przyjacielem, a książki polskie rad czytywał. Uprawiało go też duchowieństwo na kazalnicach i wydawanych zbiorach kazań, a po dworkach szlacheckich krążyły małe książeczki, które Łazarze w świat puszczali, ku uciesze pospolitego człowieka.

Król sam, choć drukarzom przywileje dawał, wyszlachcał ich, kunstmistrzów wspomagał i sprowadzał nawet,— ani literaturą, ani sztuką zabawiać się wielce nie miał czasu. Jego rzeczą była wojna i jej rynsztunek, a szczególniej organizacya sił nowych, które niezależnemi od fantazyi szlachty chciał uczynić. I to właśnie oburzało ją przeciwko niemu, a najgroźniejszem się jej wydawało.

Chłop z królewszczyzn z rusznicą i szablicą zagrażać się już zdawał porządkowi społecznemu, a szlachta też o przywilej obrony kraju i przelewania krwi dla niego była zazdrosną. Czuła ona, że gdy to prawo wyłącznie

utraci, razem z nim i prawo bytu jej, a odrębności zostanie wątpliwem.

A że król oprócz tego mieszczan i kunstmistrzów gromadnie uszlachcał, ten napływ nowych żywiołów obudzał strach i gniew.

Zamojski i król wiedzieli, co czynili, a nic nie mogło być dotkliwszem dla starych Jastrzębczyków Zborowskich, sdy im do ich herbu wkupił się kędyś mieszczanin, jak wówgzas powiadano, za kilka beczek piwa, albo mały datek.

Król, jakby na przekorę, wielu uszlachconym z własnego herbu dawał to zęby, to skrzydło. Zamojski też cwych trzech włóczni nie szczędził, to dwie, to jedną, to hełm swój dając nobilitowanym.

Zanosiło się na zupełny przewrót dotychczasowego stanu rzeczy i nie jedni Zborowscy obawiali się go, ale cała szlachta w nowem wojsku i nowo uszlachconych—nieprzyjaciół widziała.

Obojętniejszą wiodąc rozmowę, kanclerz na zamek razem z królem powracał, gdzie już łowcy i sokolnicy, z koni zsiadając, psy, konie i ptaki na miejsca swe odprowadzali.

Na progu komnat uparty Zamojski jeszcze Zborowskich przypomniał.

— Marszałek niech przyjdzie, przyjmę go—odparł Batory—o innych mi nie mówcie, znać ich nie chcę!

Z tem król do swych izb się zawrócił, ale kanclerz nie tracił nadziei i pocichu sobie obiecywał, że dla Krzysztofa posłuchanie wyjedna.

II.

Kanclerz kazał oznajmić marszałkowi, że król jegomość przyjmie go na zamku w rannej godzinie, lecz razem dał mu znać, że radby z nim wprzód mówić i że tego była potrzeba.

Pomimo mnogich zajęć, Zamojski umiał o wszystkiem pamiętać, a istotnie uczucie szczęścia, jakiem był przejęty, podwajało siły jego, tak, że i sprawom bieżącym i przygotowaniom weselnym mógł podołać.

Gdy wiadomość ta nadeszła na Franciszkańską ulicę, na Janie uczyniła wrażenie dobre; rad był jej, ale sobie zbyt wiele nie obiecywał. W Krzychniku i marszałku powołanie pierwszego zrodziło przesadzone nadzieje. Tłómaczyli to sobie jako znak, że się ich obawiano i rozbroić usiłowano.

Andrzej namyślał się już, jak wysoko ma się ocenić.

Krzychnik, o którym tymczasowo mowy nie było, wnosił tylko z tego, że naprzód chciano łatwiejszego z bratem dokonać, a z pomocą jego do pana podczaszego „rady cesarskiej" przystąpić.

— Głupim byś był—rzekł porywczo,—gdybyś, stanąwszy przed królem, sprzedał nas za miskę soczewicy. Oczywista rzecz, że król i Zamojski zmuszeni są nas łagodzić, bo się równie, jak nas—i Samuela obawiają, zdamy się im—na szyderstwo zasłużymy...

Pan Andrzej nie mówił nic, ale myślał tak samo. Chciał wyciągnąć jak najwięcej.

Kasztelan gnieźnieński, lepiej znający położenie, mówił zimno:

— Nie żądajcie nadto, bo nie dostaniecie nic. Pocznijcie od małego, zasłużycie się potem,—zyszczecie więcej. Trzeba naprzód za grzechy odpokutować.

Szydził z tego Krzychnik.

— Gdybyśmy was słuchali—rzekł—niedalekobyśmy zaszli. Zostawcie to nam.

— O naznaczonej godzinie marszałek jechał na zamek.

Przyjął go kanclerz, w którego przedpokoju czekało co niemiara kupców i roztruchaczy, i cudzoziemców, i petentów różnych. Czas tu był drogi.

Zobaczywszy marszałka, Zamojski podszedł ku niemu, uprzejmie go witając.

— Wyrobiłem wam posłuchanie u króla jegomości—rzekł—lecz chcę przestrzedz, że mi to nie przyszło łatwo,

i że król długo urazy pamięta. Na początek nie wymagajcie wiele, życzę i radzę.

Pan Andrzej stał wielce napuszony.

— Wedle mej miary—rzekł—ja wcale wymagającym nie będę, alem na łaskę długo czekał, długo jej bez przyczyny był pozbawiony, czyżbym o zaległość nie miał się upomnieć?

Zamojski okazał twarz zdumioną. P. Andrzej mówił dalej.

— Gdyby nawet który ze Zborowskich zgrzeszył przeciw królowi jegomości—przecie ja, a rodzina cała za jednego ze swych członków odpowiadać nie może. Gdzieżby była sprawiedliwość?

— Panie marszałku—przerwał Zamojski—uderzcie się w piersi, czy wy też sobie nic do wyrzucenia nie macie?

Poruszył ramionami Zborowski.

— Przeciwko królowi nie czyniłem nic—rzekł.

Zamojski, do którego się już wszystkiemi drzwiami dobijano, dodał zimniej tąż samą przestrogę i gościa grzecznie odprowadził do antykamery.

W pokojach, które król zajmował, było także dosyć ludno, ale tu tryb powszedni się nie zmieniał. Nie było najmniejszej okazałości. Węgrowie i Polacy poubierani skromnie, bo i pan się nie stroił, żadnej wytworności w komnatach. W znacznej części stał tu jeszcze sprzęt z czasów Zygmunta Starego i Augusta, nowego nic nie przybyło. Na ścianach malowania i opony daleko jeszcze były starsze, bo niektóre sięgały czasów Kazimierza Jagiellończyka.

Stefan Batory przywiózł z sobą tylko to, co do obozu zabierał, nie potrzebował więcej. Majestat jego w nim był cały i nie potrzebował żadnego pożyczanego blasku. Owszem, ta prostota nadawała mu jakąś pewność siebie, którejby przepych nie przyniósł.

Dwór też nie składał się z gąb nadaremnych... liczyli się do niego wprawdzie i muzycy i czasem kunstmistrz jaki, Włoch, który dla kogoś konterfekt króla malował, albo z kolorowego wosku lepił. Zaglądali nawet magicy

i astrologowie, ale darmozjadów, trefnisiów i pasorzytów nie było.

Nawet przyjmując posłów obcych, na których nie zbywało nigdy, bo szczególniej ci, co przyjeżdżali od wschodu, na poselstwach zarabiając, na podarki licząc,—lubili tłumnie i często przybywać pod lada pozorem, Batory się nie wysadzał na kosztowne stroje... dwór też musiał iść za nim. Czasami kontrast jaskrawo poprzyodziewanych w szkarłaty senatorów, a ciemno i niepokaźnie ubranego króla, był bardzo rażący, ale na korzyść jego wychodził.

Gdy marszałka oznajmiono, wysuwał się właśnie od króla Włoch Franciszek, rysownik, który mu do Płocka towarzyszył i rysunki swe potem wydał, otrzymawszy przywilej na nie, aby się ich nikt nie ważył przerabiać.

Leżały one jeszcze na stole, a Stefan im się uważnie przypatrywa', bo w wojskowych planach i widokach miał upodobanie i znajomość wielką, gdy Zborowski pokazał się na progu, i na pół dumnie, pół pokornie króla pozdrowił, do ręki nie śmiejąc, do kolan nie chcąc...

Wiedział, że król pochlebców nie znosił i nazbyt się uniżonym okazać nie życzył.

Batory, plany odsunąwszy, powoli się zbliżył do niego, twarz wypogodzona, spokojna, nie zdradzała jednak szczególnie łaskawego usposobienia.

— Dawnośmy nie widzieli was, panie marszałku—zagaił król.

— Wiedziałem—począł pan Andrzej,—że w. kr. mość przeciwko rodzinie naszej jest niechętliwie usposobioną, nie chciałem narażać siebie, ani przykrości czynić.

Król cokolwiek pomyślał.

— Nazywacie to usposobieniem niechętliwem—rzekł,—ale ono nie przyszło bez przyczyny... owszem, był czas, gdym Zborowskim sprzyjał i miał ich za przyjaciół. Samuel siedział u mnie...

— Toż zaprawdę nie wiem, dlaczegośmy stracili miłość królewską—odparł Andrzej;—ja się nie czuję winnym.

Batory spojrzał na niego; spotkały się ich oczy,

a szczere, otwarte spojrzenie króla sięgnęło tak głęboko w duszę Andrzeja, iż pomimo całej mocy nad sobą, jak schwycony na uczynku, zmieszał się.

— Nie sądźcie, abym się ja słowy dał oplątać i uwierzył lada zapewnieniu—rzekł król.—Jam tu gospodarz, mówiłem wam zrazu, że malowanym nie chcę być i nie będę, a więc wiem, co się dzieje, co się mówi, zamierza, knuje i co sądzicie tajemnem.—Nie było mi skrytem, co wasz brat, podczaszy, na dworze cesarskim i w interesie cesarza poczynał, ani to, żeście wy ostrożnie z nim trzymali, ani że Samuel głosił się moim wrogiem, nazywając mnie niewdzięcznym.

— Jam nigdy nic nie poczynał—rzekł marszałek,—do robót brata mojego nie mieszałem się, ale dla samego powstrzymania go, nie mogłem go porzucić. Dziś zaś i brat mój dla cesarza nie czyni nic, bo tu interesów cesarskich niema.

— Tak, próbował też moskiewskiego księcia i jest z nim w listowaniu, to wiem—odparł Batory.

Marszałek gorąco obstał za bratem.

— Mógł wielki kniaź posyłać z listy do niego, bo tego mu zabronić niepodobna, a odpowiedzieć nie grzech—zawołał—ale tam też ani brat, ani ja nie mamy do czynienia nic, boć to jawny nieprzyjaciel Rzeczypospolitej.

— Zostawcie to mnie—odezwał się po chwili król,—co mam o tem trzymać. Do was ja wielkiego żalu nie mam. Jeżeli serca do mnie nie macie, przynajmniej jawnie przeciw mnie nie stajecie. Mówił mi kanclerz, iż życzyliście mieć posłuchanie, że macie żądania. Słucham chętnie.

Marszałek głowę nieco schylił i zaraz ją podniósł, pańską przyjmując postawę. Zanosiło się na długą rozmowę.

— Miłościwy panie!—rzekł—nasza rodzina wam może nieznana jest; może nie wiecie, jakie stanowisko zajmowała, ale cały świat wie, żeśmy się do *primates regni* liczyli, żeśmy pierwsze krzesła zasiadali i buławy dzierżyli, a dziś za tego panowania ostatni niemal jesteśmy. Krzywda się nam dzieje okrutna, bolesna.

— Któż winien?—odparł król.—Przecie kasztelan gnieźnieński, istotnie zasłużony, uskarżać się nie może,—buławę dostał, a i wyżej sięgnie, gdy da Bóg życie. Wyście stali zdala. Podczaszy gorsze jeszcze zajął stanowisko, Samuel banitą, cóż można było dla was uczynić?—Krew i ród, dobrą są rzeczą, ale nie dla krwi i rodu rozdają się urzędy, tylko dla zasług i zdolności. Ja dużo ludzi szlachcicami czynię, ale widzę ich wielu, co nimi będąc, nie zasługują, żeby starą tarczę nosili. Cóż chcecie, abym dla was zrobił?

— Ja za sobą tylko mówię—wtrącił marszałek.—Rodzina nasza zubożała znacznie na posługach Rrzeczypospolitej, ma prawo do grosza publicznego. Jać też w. kr., mości służę, a to, co biorę za zasługi, na utrzymanie czeladzi mi nie starczy. Dlatego mi się na dworze pokazać trudno.

— O jurgielt wam idzie?—przerwał niemal pogardliwie król.

Pan Andrzej się skłonił.

— Zajrzyjcież do skarbu, zobaczcie rachunki; są lata, że ja z moich pieniędzy dokładam — mówił Batory. — Tego wam nie wyrzucam; czynię to chętnie, Bóg świadek, lecz wy mnie wyrzucacie to, czego ja nie biorę. O ile stanie grosza, chętnie wam naznaczę.

Chwilę pomyślał król i spytał:

— Ileż, panie marszałku?

Pan Andrzej z dumą rzekł:

— Cztery tysiące florenów nie starczy.

Król się cofnął i rozśmiał.

— Cztery tysiące?—powtórzył, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że usługi marszałka wcale takiej dotacyi nie były warte.—Cztery tysiące...

Zborowski stał zmieszany nieco.

— Dałbym wam choć i cztery—zawołał Batory—ale wierzcie mi, że ich w skarbie nie mam—i że nie mogę tej przysługi uczynić. Zobaczcie podskarbiego, mówcie z nim, tajemnic nie ma, okaże wam, co w skrzyniach leży. Lecz nie chcę was odprawiać z niczem, marszałku, na dwa tysiące się zmogę, a od was wzamian nie wymagam nic, oprócz, żebyście mnie potwarzami nie okrywali.

Zborowski tym datkiem, krakowskim targiem połowy, był mocno obrażony. Poczerwieniał, pobladł, zabełkotał coś, ale się lękał i tego postradać; skłonił się w milczeniu, nie wysilając na podziękowanie.

Batory, który też więcej nic z niego wyciągnąć się nie spodziewał, a czytał mu z twarzy, że go nie zaspokoił, cofnął się ku stołowi. Nastąpiło milczenie, które oznaczało, że sprawa załatwioną została. Król jednak jeszcze słów kilka chciał dorzucić i zwrócił się do stojącego.

— Macie zapewne wpływ na młodszych braci— rzekł —wstrzymujcie ich od niebacznych kroków; ja wiedzieć muszę wszystko, a nic przebaczyć nie mogę. Nie o mnie chodzi, gdy przeciwko mnie spiskujecie, ale o Rzeczpospolitą, której ja wodze w ręku trzymam. Ci, co się na woźnicę rzucają, wóz podają w niebezpieczeństwo.

Wtem na antykamerze zaszumiało... nadchodziło duchowieństwo. Marszałek mrucząc, prędko się cofnął.

Chociaż z urzędu na zamku powinien był być jak w domu, nie sprawiając oddawna obowiązków, Zborowski niemal był obcym. Ci, co bliżej króla stali, odsuwali się od niego, wiedząc, iż Zborowscy podejrzani byli i zachowania tu nie mieli.

Nikt więc wychodzącego nie zatrzymał, rozstępowali mu się i koso spoglądali na niego, aż z dumą i pańską postawą powoli przeciągnął w dziedziniec. Tu stał koń jego i ludzie, ale siąść nie chciał, poszedł pieszo.

Całe to posłuchanie, wyrazy królewskie, które sobie powtarzał, surowość Batorego—oburzały go, omylone nadzieje upokarzały. Wychodził z zamku daleko zaciętszym wrogiem, niż przyszedł. Dwa tysiące jurgieltu zdawały mu się jakby na szyderstwo, rzuconemi.

Szedł tak pieszo, aż na Franciszkańską ulicę, a gdy blady i milczący ukazał się w progu mieszkania podczaszego, który właśnie pisaniem jakiemś był zajęty, Krzysztof podniósłszy oczy, już wiedział, że posłuchanie u króla wypaść musiało nieszczęśliwie.

— Od króla wracasz?

— Jeżeli on wart tego nazwiska—zawołał, własne słowa Krzychnika powtarzając, marszałek—wracam z posłuchania najmiłościwiej mi danego, z którego nic nie przynoszę, oprócz sromu na czole. Myślisz, że się jego usposobienie zmieniło? że łaskawszym jest dla nas? Przyjął mnie, aby mi gorzkie czynić wyrzuty; dostało się i wam, dostało rodzinie. Prosiłem go o jurgielt—cóż myślisz? Żądałem cztery, raczył dać dwa, jak jałmużnę!

Krzychnik się skrzywił.

— O! mnie on tak nie kupi!—zawołał.

— Ale on cię targować nawet nie myśli, a, jak sądzę, i widzieć nie chce.

— Podczaszy wąsa pokręcił.

— Tak?—rzekł.—Dobrze o tem wiedzieć. *Clara pacta!* ja to lubię...

Andrzej padł na siedzenie. Gniewu w sobie stłumić jeszcze nie mógł.

— Co myślisz, łagodził, przejednywał?—zawołał.— Nie, groził i przestrzegał! Oznajmił mi, że wie o wszystkiem a nic nie przebaczy.

— Tak więc stoimy z łaski Jana i kanclerza —przerwał Krzysztof—tak stoimy! należy o sobie myśleć, a na jego królewską mość nie rachować! Mali ludzie, jakiemi nas chcą uczynić, często wielkim dojeść mogą. Zobaczymy, co z tego urośnie.

Oba tak wykrzyknikami podsycali w sobie gniewy, ale Krzysztof był przekonanym z tego, co od brata słyszał, że Andrzej był winien wszystkiemu, nie umiał się postawić, niezręcznie odpowiadał, płaszczył nadto. Podczaszy był tej myśli, że gdyby on się z królem widział, inaczejby poprowadził i do czego innego doszedł, traktując.

Wojna i spiski, choć były oddawna jego żywiołem, już mu się naprzykrzyły, wolałby był jakiś *modus vivendi* znaleźć i łatwiejsze życie. Nie miał Samuelowego zamiłowania w awanturach i wybrykach. Zamilkł więc w końcu, mówiąc sobie w duchu, że byle się nastręczyła zręczność, gotów sam się stawić królowi.

— Gdyby i to do niczego nie doprowadziło—ha! naówczas pozostawało tylko starać się zgładzić Zamojskiego i króla.

On sam czynnym być ani myślał,—miał banitę w ręku, a lepszego narzędzia nie mógł żądać.

Jurgielt tedy naznaczony marszałkowi, który miał burzę zażegnać,—nienawiść tylko rozżarzył i rozdmuchał.

Przez cały ten dzień kasztelana gnieźnieńskiego w domu nie było i nie widzieli go bracia, aż wieczorem, gdy od Tarnowskich powrócił.

Wiedział już o tem, że Andrzej miał u króla posłuchanie, i że dwa tysiące jurgieltu otrzymał. Cieszył się i chciał mu powinszować, gdy marszałek usta mu zamknął:

— Gdyby królem nie był, byłbym mu przypomniał, iż był czas, gdy Zborowscy swoim marszałkom po dwa tysiące jurgieltu dawali.

— Ale to inne były czasy—rzekł kasztelan—i może dlatego my dziś brać musimy mało co, żeśmy niegdyś wiele i za wiele dawali!

Chciał się skarżyć Andrzej, ale mu Krzychnik nie dał mówić i przystąpił do kasztelana.

— No rzekł,—ja się od króla i na zawinięcie palca nie spodziewam, ale byłoby źle, gdybym ja jeden go nie widział i był wyłączonym. Staraj się, kasztelanie, przez kanclerza, abym mógł z królem mówić. O nic go prosić nie będę, ale gdy mnie nie dopuści, powiedzą ludzie:—Patrzajcie, ten zdrajcą jest, niegodnym pańskiego oblicza.—Może przecie mówić ze mną, ja go oddechem nie zabiję.

Gnieźnieński zadumał się.

— Chcesz,—rzekł—pójdę do kanclerza, poproszę, wiem, że nie odmówi i króla prosić będzie, ale co z tego wyniknie?

— To moja rzecz!—przerwał Krzychnik.—Ja wiem, co czynię. On mnie już z banitą Samuelem narówni stawi... ja chcę i za sobą i za nim mówić, bo choćby nikt się nie ważył,—ja Samuela nie opuszczę.

— Pójdę z tem do kanclerza—zakończył kasztelan.

Znowu tedy na zamek musiał, bo dla rodziny służył chętnie.

Zamojski wielce znużonym był, ale na wszystko i wszystkim starczyć musiał, a z panem kasztelanem i hetmanem, a w dodatku Zborowskim, przez posły nie można było czynić.

— Ślą mnie bracia—odezwał się kasztelan, wprost przystępując do rzeczy.—Andrzeja król przyjąć raczył, gwałtem się tego domaga Krzysztof.

— Ba!—odparł Zamojski.—Jam już próbował... ciężko będzie króla przełamać. Wie i jest przekonanym, że podczaszy jest nieprzyjacielem jego.

Westchnął, słysząc to, kasztelan.

— Krzystof własnym jest pono przedewszystkiem nieprzyjacielem! Królby go trochą łaskawości sobie pozyskał.

— Żądacie tego po mnie;—podchwycił Zamojski—ani mogę, ani chcę odmawiać, ale się lękam, że nic nie uczynię.

— Chciejcie, a uczynicie!

Zamilczał kanclerz. Po krótkiej rozmowie, i po otrzymanem uroczystem przyrzeczeniu, kasztelan odjechał.

Można sobie wyobrazić, co się działo na Franciszkańskiej ulicy przy tym temperamencie, który całą rodzinę znamionował, gorączce i niecierpliwości ich, a dumie podrażnionej. Każdego dnia, każdej godziny niemal oczekiwano posłańca od kanclerza, powołującego na audyencyę. Tymczasem upłynął tydzień, a nie nadeszła wiadomość żadna.

Stało się to, co Zamojski przewidywał... Gdy zagaił o tem, iż podczaszy doprasza się rozmowy, król zżymnął się i syknął.

— Daj mi z nim pokój—zawołał.—Kłamstwem mnie nie weźmie niech sobie nie pochlebia, nie mam go za tak niebezpiecznego, abym go miał drogo kupować.—Jest „radą cesarza", niech się tem kontentuje. Jam przeciwko Rakuszaninowi mały królik, więc co ja dla niego znaczę? Nie chcę go widzieć!

— Podrażnicie go więcej.

— Niech się wścieka—rzekł król,—porwie się — a uczyni co, na czembym go mógł pochwycić, nie przebaczę. Nie chcę go, nie mów mi o nim.

Ponieważ król tego dnia był w złym humorze, bo mu

u lubiony koń jego ubył, kanclerz nie nalegał, odkładając do sposobniejszej chwili, ale gdy w parę dni znowu chciał spróbować przemówić za Krzysztofem, Batory się pogniewał i oburzył.

— Ten człowiek nikczemnym jest—zawołał, wie, że go nie znoszę, że go znam, że nim pogardzam i ciśnie się do mnie. Stanowczo i ostatecznie powiadam: zdrajcy tego na oczy widzieć nie chcę i nie będę! Niech wie, powiedzcie mu to otwarcie, ja się z mojemi uczuciami nie taję. Podły jest, gardzę nim.

Po danej w ten sposób odprawie, kanclerz, który króla znał, wiedział dobrze, że powracać z prośbą nie ma po co. Batory nie zapominał nigdy a raz powziętego, o ludziach zdania nie zmieniał. Ofiary, jakie czuł, że uczynił dla Polski, czyniły dla niego niewdzięczność nieprzebaczoną.

Zamojski, nie mając już o czem oznajmić kasztelanowi, nie śpieszył ze złą wiadomością, owszem—zwlekał ją.

Naostatek, kipiący już niepokojem podczaszy wytrzymać nie mógł i brata uprosił, aby się widział z kanclerzem, a przyniósł mu odpowiedź, jakąkolwiekby ona była, nic nie tając.

— Mój kochany Krzychniku—rzekł powracający wieczorem Jan—żal mi cię! Zamojski czynił, co tylko mógł i na tem się skończyło, iż króla pogniewał. Widzieć cię nie chce i przypuścić nie może. Powiada wprost, iż zna w tobie nieprzyjaciela i zdrajcę, za takiego cię ma, radzi ci się mieć na baczności, a mówić z tobą, ani cię słuchać — nie chce.

Pobladł podczaszy, gdy mu brat przyniósł tę odprawę, chwilę stał niemy, ale nie było już co rozmyślać. Pozostawało jedno: do cesarza jechać, kraj opuścić i tam pozostać, lub do Moskwy się wynosić.

Ani jednego, ani drugiego nie życzył sobie Krzysztof, na domowych śmieciskach czuł się jeszcze najbezpieczniejszym, pomimo gróźb króla. Tu mu też najłatwiej było być czynnym, a spodziewał się, że z pomocą Samuela i Andrzeja, na którego też rachował, coś dokaże.

Nie miał wyboru środków, pozostawało mu starać

się pozbyć Batorego, zasiąść na życie Zamojskiego, i przynajmniej ostatniego sprzątnąć.

Samo przeznaczenie rzuciło go na tę niebezpieczną drogę spisków i zasadzek, na której nigdy żaden Polak nie bywał, bo ani charakter, ani temperament sposobnymi ich do tego nie czyniły. Tajemnicy utrzymać żaden z nich nie mógł, wszyscy się niewiastom zwierzali, a nim do czego przyszło, mówiono tyle, iż gniew i siła ze słowy uchodziła.

Podczaszy był może od innych przebieglejszym, łatwiej zmilczał, chętniej skłamał, ale i w nim czasami kipiała krew i on siebie nie był pewien.

Gdy się potem rozeszli panowie bracia, wielce rozżalony Krzychnik długo po izbie chodził, jedząc się myślami.

— Bóg mi świadek—mówił w duchu —możebym do tego nie doszedł, gdyby król sam mnie nie popchnął. *Alea jacta est*! musimy się bronić, a jego pozbyć, jak szkodliwej bestyi... ich obu! Samuel nienawidzi ich, jako ja, będzie ze mną; Andrzej, jeśli nie ręką, to głową dopomoże, znajdą się i inni sprzymierzeńcy...

Gdy nazajutrz, po tej nocy męczeńskiej podczaszy wystąpił, już po nim poznać nie było można, co przecierpiał, ani co w sobie krył. Wesoły przybrał humor i tyle tylko, że ze wszystkiego, co się króla i hetmana tyczyło, nielitościwie szydził.

Kasztelan gnieźnieński dał się na to wziąć i pochwalał zimną krew i rezygnacyę.

Sądząc, że jeszcze Samka zastanie w Piekarach, pobiegł tam nazajutrz zaraz Krzysztof, ale go już nie było. Zastał tylko smutną po nim Włodkowę, która teraz ciągle o bohaterskich czynach wuja na Niżu wszystkim rozpowiadała.

Tymczasem Samuel gdzieś już za nową podwiką gonił i razem szalał, nad dziećmi się rozpadał, pieśni słuchając, płakał, pił, bił, a podczas o pokucie mówił i mnichem chciał zostać. Jednego dnia się rozpusta go trzymała, drugiego rozpacz nim owładała. Od grobu żony jechał na polowanie z sokoły, na hulankę do miasta, a potem do córeczki Anusi i do Wojtaszka, którego męczył, któremu śmiercią groził, aby nazajutrz obsypywać podarkami.

Dostawszy języka, gdzie mniej więcej Samuela przyłapać się mógł spodziewać, podczaszy wrócił z Piekar do Krakowa. Zbliżało się owo sławne hetmańskie wesele z Batorówną, o której powiadano, że ją wkrótce miał przyjmować Opaliński na granicy z paniami polskiemi.

Pan Krzysztof chciał czasu godów być w mieście, patrzeć na nie, i gdyby się dało, korzystać z ogromnego zbiegowiska, aby sobie wyszukać sprzymierzeńców. Wśród tego zamętu przygotowań weselnych, łatwiej było, niż kiedy niepostrzeżonemu się przecisnąć, wśliznąć, podsłuchać i ludzi wynaleźć.

Pozostawał też kasztelan i marszałek. Oba oni nie należeli do czynnych i mających tu występować panów, ale życzyli sobie być widzami:—Jan, aby dowiódł kanclerzowi poszanowania, Andrzej, aby może coś skorzystać, a w razie niepowodzenia jakiego i zawodu,—cieszyć się niemi.

Krzysztofa plan był bardzo prosty i taki, jakeśmy wyżej skreślili. Nie wahał się nawet przez pewnego posłańca czarno na białem wyłuszczyć go Samuelowi.

Mimo całej przebiegłości swej, gorączką powodowany, w liście do Samuela wynurzywszy żale swe i skargi, oznajmił, iż starać się im należało: króla zgładzić trucizną, a kanclerza w zasadzce gdzieś ubić.

Trudno uwierzyć, iż mógł tak nieopatrznie rzeczy te na papier zdać, z człowiekiem niepewnym w świat posyłać i zdrady się nie obawiając, sam na siebie kuć miecz. Tak jednak było. Gniew mu odejmował rozum, zapominał się i szalał Samuelowym sposobem. Wiedział dobrze o tem, iż Samko przyjmie ochotnie wezwanie i rad będzie spółce do tej roboty.

W kilka dni potem Krzysztof znów wieczorem odwiedził Fontanusa.

Zjazd wielki do miasta obiecywał i aptekarzowi odbyt znaczny, zaopatrzył się też obficie w elektuaria, dryakwie confekcye, wyciągi i różne tajemnicze eliksiry. Apteka nawet wyglądała odświeżona, pomalowana na nowo, naczyniami ozdobnemi zastawiona, tak, że ku sobie nęciła.

Fontanus przywitał go, do kolan się mu kłaniając.

Krzysztof, jeżeli nie miał dobrego humoru, to go w potrzebie doskonale sobie przybierał.

— A co, stary trucicielu rodzaju ludzkiego—powitał go,—ileżeś wenenów i toksików sprzedał pod ten czas? Sądzę, że ich teraz najwięcej ludzie potrzebować będą?

— Dotąd nie mam odbytu na ten drogi towar—odparł Fontanus—ludzie radzi by czasem zadać, ale cudzemi rękami, a takich rąk usłużnych napytać niełatwo.

— Wiesz co?—rzekł podczaszy.—Ja sądzę, że o te ręce łatwiej, niż o samą truciznę. Mów mi prawdę, dostać jej u was?... Co, gdybym ja potrzebował?

Zmieszał się Fontanus i niedowierzająco mu w oczy zajrzał.

— Probujecie mnie?—rzekł.

— Nie—odpowiedział Krzysztof.—Są w życiu ludzkiem takie wypadki, gdy lepsza trucizna i śmierć, niż srom. Rozumiesz mnie?

— Trafia się to—powoli wycedził Niemiec—lecz zawsze to drażliwa i straszna rzecz. Wy tego nie potrzebujecie, dlaczego mnie badacie?

— Dlatego, że mogę istotnie potrzebować—zawołał podczaszy,—ale ja ci się nie dam zwieść i jeżeli dobrem złotem zapłacę, dobrą też chcę mieć truciznę, której bodaj na psie spróbuję, niżeli wezmę.

Spojrzeli sobie w oczy. Fontanusowi w ustach zaschło ze strachu. Mówić nie mógł, mrugnął tylko i palec położył na ustach. Milczeli oba chwilę. Podczaszy dobył sakwę z pod poły, wysunął z niej dwa ogromne świecące portugały i położył je przed Fontanusem.

— To zadatek, rzekł cicho,—ażebyś pewnym był, że ja nie żartuję, ani cię w pole wywodzić nie myślę. Widzisz, że pomocy twej potrzebować będę, a milczenia jestem pewny, bo... dla siebie samego zdobywać je musisz....

— Powinna być taka—dodał—aby piorunem zabiła, a śladu nie zostawiła po sobie. Rozumiesz?

Wstał z krzesła; Fontanus patrzył zadumany na portugały i nie ruszył ich, choć się już za podczaszym drzwi zamknęły.

III.

Samuel, pod ten czas, czując się banitą, albo ciągle po kraju krążył, rzadko dwie z rzędu noce w jednem miejscu spędzając, albo około Zborowa, kędy miał czaty porozstawiane i ludzi sobie oddanych, w lesie, w umyślnie zbudowanem tam domostwie przesiadywał.

Był to jego kąt ulubiony, a ludzie zwali go Białym Kamieniem, może dlatego, iż dwór stał na podmurowaniu, które jasno od zciemniałego odbijało drzewa.

Fantazya Samuelowa dogodziła sobie, gdy tę kryjówkę wśród lasów wznosił, o której oprócz jego ludzi, mało kto nawet wiedział. Na małym wzgórku, nad rzeczułką, biegnącą parowem, wznosiło się to domostwo, cale obszerne, bo izb różnych z alkierzami i komorami liczyło przeszło dziesiątek. Dokoła, na wypadek napaści, aby się nie tak łatwo do dworu dostać było, opasywał go częstokół dębowy, wysoki, mocny i ziemią z jednej strony umocowany.

Oprócz tego opowiadano, iż z pośrodka domu, pod którym były lochy murowane, tajemne drzwi prowadziły wązkim korytarzem w głąb ziemi, tak, iż pod rzeczułką przeszedłszy, dozwalały, jak w starych zamkach wydobyć się niepostrzeżonemu.

W Białym Kamieniu, gdy pana Samuela nie było, a trwało to niekiedy czas dłuższy, bo niespokojnemu Zborowskiemu temperament i nawyknienie długo w jednem miejscu trwać nie dopuszczały, była zawsze jakaś załoga miejscowa, aby w razie niespodzianego przybycia wszystko na swe przyjęcie znalazł w pogotowiu.

I nagle ta pustka, w której ziewało kilku starych niedołęgów, zmieniała się we wrzawliwie przepełniony dworzec, w którym ludzi i konie zaledwie można było pomieścić.

Samko nawykł był nietylko na Niż, ale po Rusi i gdziekolwiek się obrócił—jeździć tłumnie—hajduków i czeladzi wiodąc z sobą zwykle głów trzydzieści i więcej. Oprócz

tego towarzyszyli mu przyboczni jego przyjaciele i słudzy rezydenci, urzędnicy. Ciągnął czasem z sobą gości, prowadził psy, wiedziono sokoły, z któremi po drodze polował, szły wozy ze spiżarnią, a niektóre z bronią i z namiotami.

Nie pytano po drodze, czyje były łąki i pola, a nawet i stogi, gdy zapotrzebował czego pan Samuel, brał, jak ze swego. Trafiało się,że tak samo, nie pytając, zajmował dwory i plebanie. Znano go nadto, aby mu się kto próbował opierać. Kobiety naówczas najczęściej uciekały, a i nie każdy z mężczyzn dotrzymał placu, bo Samuel i jego ludzie słynęli, jako gwałtownicy.

Zadrzeć się z nim nie było bezpiecznie, bo niczem dlań bywało zabić, powiesić, a na odjezdnem ogień podłożyć. Gdy był dobrej myśli a trafił na ubogiego szlachcica, sam go w domu własnym przyjmował... z opierającymi się nie czynił wielkiego zachodu.

Majętności rodziny Zborowskich i spokrewnionych z nimi Spytków, Stadnickich, Opalińskich nietylko w tych pochodach nie oszczędzał, ale je przenosił nad obce, bo w nich choć cień prawa jakiegoś miał za sobą.

Dwór jego zmieniał się często, a do niego poniewoli czasem przyłączać się musieli ludzie, którzy go zabawiali, lub których trwoga i utrapienie bawiły go.

Ciągnął tak z sobą niekiedy księży, szlachtę, z miast pozabieraną muzykę, grajków, różnego rodzaju trefnisiów, a tak, jak zabierał gwałtem, kto mu się podobał, rzucał potem, gdy mu się sprzykrzył, wpośród gościńca.

W Białym Kamieniu zwało się, że spoczywał, ale czas trawił tu na łowach, na słuchaniu Wojtaszka i na zabawianiu się z dziećmi, których dwoje (miał troje tylko), syna Aleksandra i córkę Anusię, szczególniej lubił.

Anusia w dzieciństwie zdawała się przypominać nieszczęśliwą matkę, Spytkównę, ale rosnąc przy boku ojca, zmieniła się i stała nadzwyczaj podobną do ojca. Miała wykapaną naturę jego i temperament, a nawet wypięknione rysy na pierwszy rzut oka dawały w niej poznać córkę Samuelową.

Po śmierci matki zdana na sługi, bo krewnym jej powierzyć nie chciał, Anusia wyrosła pieszczona, dzika,

samowolna, a im więcej dokazywała, tem ojciec bardziej się do niej przywiązywał i cieszył. Nabrała więc zawczasu obyczaju nawpół męskiego, jeździła konno, strzelała z łuku, który dla niej umyślnie robić kazano, nosiła sama i unaszała ptaki łowieckie, otaczała się psami, chadzała nawet po męsku, co ojca wielce zabawiało. Ale przychodziły na nią potem chwile niewieścich zachcianek, naówczas kazała sobie trefić włosy, wdziewała suknie kosztowne, stroiła się, zasiadała do krosien, uczyła pieśni, i nim dorosła—już grała rolę pani.

Tak gwałtownego temperamentu, jak ojciec, nie umiała się w niczem poskromić, a pan Samuel znajdował to w niej uwielbienia godnem. Zresztą, cokolwiek zrobiła Anusia, dobrem było. Nieraz powiadał, iż żałuje bardzo, że się ona chłopcem nie urodziła, bo Aleksander, którego kochał także, syn starszy, wielce się różnił od ojca i siostry.

Młodzian był stateczny, poważny, rycerskiego, ale szlachetnego ducha i niedający się skusić przykładem do samowoli. Zwał go ojciec babą, chociaż miał dowody mnogie, że Aleksandrowi wcale na męstwie i energii nie zbywało.

Anusia nie zawsze mogła towarzyszyć ojcu w jego wycieczkach, ale w Białym Kamieniu zawsze z nim bywała i tu go nie opuszczała.

Brał z sobą zwykle i Wojtaszka, a znajdował tu ulubienicę, prostą dzieweczkę, ze wsi wziętą, która naprzód była w usługach Anusi a wiekiem z nią—rówieśnicą.

Nie dbając o to, że córka patrzeć na to będzie, wziął ją potem pan Samuel, oddzielił, posadził osobno, zaczął się nią opiekować, obdarzać, zawrócił jej głowę i zrobił z niej dziwadło, które go tem więcej bawiło i tem mu było ulubieńsze, im mniej do pospolitych ludzi było podobne. Zamarzyło się tej Motrunce, wybranej przez Samuela, że pan się z nią ożenić będzie musiał, nabrała więc dumy i obchodziła się z ludźmi, jak pani. Anusia śmiała się z niej z początku, lecz potem znienawidziła.

Motrunka była prostą i wcale nie odznaczającą się żadnemi osobliwemi darami dziewczyną. Po całych dniach siadywała przed zwierciadełkiem, ubierała się i rozbierała, a że miała do posług dziewcząt kilka, z niemi odgrywała rolę pani. Piękną była wistocie a ta piękność jej, nie rozjaśniona nawet iskierką rozumu, uderzała swą regularnością i wdziękiem. Motruna, usiłując się uczynić piękniejszą jeszcze, psuła raczej, niż podnosiła wdzięk, jakim ją obdarzyła natura.

Samuel, choć z początku się do niej namiętnie przywiązał, później już kosztem jej się zabawiał, i niekiedy niemiłosiernie nad nią znęcał. Bawiły go nawet łzy, gdy bywał znudzony.

W jednym dworze, pod tym samym dachem, tygodniami i miesiącami siedząc, Motrunka i Anusia prowadziły z sobą wojnę. Córce naturalnie ojciec dawał pierwszeństwo, lecz niekiedy i Motruna miała swe dnie szczęśliwe...

Do dworu pana Samuela, oprócz tych dwu kobiet i licznego fraucymeru, należała niejaka Żabikowska, średnich lat kobieta, niegdyś za młodu ulubienica pana, teraz sługa córki i zarządzająca domem, baba ogromnego wzrostu, teraz już z małym wąsikiem na wardze, niegdyś piękna, śmiała, wyszczekana, chciwa i przewrotna. Obowiązkiem jej było służyć Anusi, której ona cierpieć nie mogła.

Wojna więc niewieścia była tu nieustającą, w której Anna zawsze dotąd górę brała.

Piękność jej z dojrzewaniem coraz się stawała świetniejszą, ale razem i charakter samowolniejszym codzień się objawiał.

Gdy pan Samuel na Niż się wybierał, Anusia na to pozwolić nie chciała, potem upierała się jechać z nim, przebrana po męsku, tak, że okłamawszy ją, uciekać od niej musiał, czego mu długo darować nie mogła.

Z wybitniejszych osób, otaczających Samuela, wymienić jeszcze należy Boksickiego, który, gdyby na politowanie zasługiwał, męczennikiem by go nazywać było można. Lecz najprzewrotniejszy z ludzi, korzystający z pana, wyłudzający z niego pochlebstwy i najpodlejsze-

mi posługami, co tylko zedrzeć mógł, Boksicki był poprostu łotrem o twardej skórze.

Trafiało się, że go Samuel zbił na gorzkie jabłko, ale nie mogąc obejść się bez niego, potem musiał sam smarować i plastry mu złote przykładać. Miał za to w Boksickim posługacza, oprawcę, narzędzie—do czego tylko chciał go użyć. Człek był zręczny, pilny wytrzymały, a bez sumienia. Aby takiemu, jak Samko, służyć, potrzeba było wistocie żelaznego człowieka.

Miał to do siebie Zborowski, że swych ludzi znał na wylot, i dobrze wiedział, jak dalece podłym był Boksicki, ale go takim mieć chciał, bo mu to było dogodne.

Naostatek w gromadzie, która teraz ciągnęła z nim, miał jeszcze Samko i księdza, a raczej braciszka w sukni zakonnej św. Franciszka, Włocha Zapatellego. Tego szczególniej upodobał sobie, dlatego że się jąkał i szeplenił, a mówił po włosku. Zborowski zaś do języka tego miał słabość i czasami się odgrażał, że zupełnie Polskę porzuci, a do Włoch się wyniesie.

Zapatelli grał tu niewłaściwą swej sukni rolę trefnisia, wyśmiewano się z niego i znęcano nad nim. Zabrany gdzieś gwałtem po drodze, pojony, karmiony Włoch nie mógł się wyrwać i oswobodzić. Znosił los swój od roku blizko z rezygnacyą, bo dwa razy nadaremnie próbował się wyśliznąć, a za każdym razem pochwycony, wysturgany, musiał za karę siedzieć w czabance o chlebie i wodzie.

Taki był skład dworu pana Samuela. gdy temi czasy, na wiosnę do Białego Kamienia, dla spoczynku zawitał.

Syn Aleksander wymówił mu się i we Lwowie pozostał, co ojcu było na rękę, bo czasem poważniejszego Oleczka albo się musiał wstydzić, lub z nim kłócić.

Panowała więc Anusia w jednym, a Motrunka w drugim końcu dwora,—Wojtaszek na obu.

Tego się tu obawiali wszyscy, nie wyjmując nawet Anusi, do której z zuchwalstwem niesłychanem śmiał się zalecać, chociaż łajała go, pluła mu w oczy i patrzeć na niego nie chciała. Wojtaszek śmiał się.

— E! e! przyjdzie czas, że i Wojtaszek dla panny dobry będzie!

Tak samo zalecał się pańskiej kochance, Motrunce, ale tu miał więcej szczęścia, bo ta się w nim potajemnie kochała, choć sobie z niej drwił niemiłosiernie.

Szydził on zarówno z Samuela, czasem w żywe oczy, choć to groźnem stać się mogło i nieraz pokaleczony i skrwawiony z rąk mu się wyrywał, ale wkrótce potem Samuel litował się nad nim, sam go opatrywał i wszystko puszczał w zapomnienie. Miał nad nim jakąś niezrozumiałą dla nikogo przewagę!

Nikogo tu nie szanował, nikogo nie szczędził, nikomu się niepoczciwiec nie kłaniał, a poczynał sobie z zuchwalstwem, na któreby się żadne z dzieci nie ważyło, Nie obawiał się ani oskarżenia, ani gniewu pana, bo go publicznie prawie zbójem nazywał. Nikt nad Wojtaszka lepiej nie znał wszystkich przestępstw, gwałtów, morderstw i szaleństw Zborowskiego i nikt o nich ochotniej głośno nie rozpowiadał.

Po dworze chodził, jakby tu sam panem był, z samowolą nieukróconą niczem, bo i do papierów i do pieniędzy Samuela sięgał bezkarnie i nic mu się nigdy nie stało. Zwali go też ludzie czarnoksiężnikiem, i wierzyli w to, że jakiegoś inkluza miał, który życia jego strzegł, bo powinien je stokroć stracić, codzień się narażając Samuelowi.

W Białym Kamieniu rozpoczęło się życie zwykłe tym trybem, który się nie dawał określić, bo codzień się odmieniał. Jednego dnia łowy, drugiego śpiewy, to biesiadowanie, to pisanie listów, to zamykanie się z Motrunką, to słuchanie córki i służba u niej zajmowały pana Samuela...

Były też godziny Zapatellego, dopóki jąkajło i włoszczyzna się nie sprzykrzyły. Czasem opanowywał go Boksicki, niekiedy po całych dniach strzelał i wróblom urywał głowy kulami lub strzałami, to znowu spędzano ludzi i urządzano wielkie łowy z sieciami, które się tem kończyły, że napędzonego zwierza, nożami i oszczepami dobijano.

Wszystko to nie starczyło niespokojnemu temu umy-

słowi, który czasem szukał roztargnienia w żalach po żonie i osamotnieniu żałobnem.

W takiem właśnie usposobieniu drugi już dzień leżał Samko na skórach, które jego łoże stanowiły, zamknięty, pod strażą Boksickiego, któremu nikogo, nawet córki do siebie nie kazał dopuszczać, gdy wystrojony jak gach, z utrefionemi włosami przysunął się wolnym krokiem do progu Wojtaszek.

— Słuchaj ty—zwrócił się do leżącego tuż na ziemi we drzwiach Boksickiego — puszczaj mnie do niego!

— Niewolno!

— Co to niewolno! mnie?—odparł lutnista.—Gdzieżeś to słyszał, aby mnie było niewolno wnijść, kędy zechcę?

Pan zakazał nawet panny nie puszczać — rzekł, mrucząc, stróż.

— Ale nie mnie.

— Niema wyjątku—idź sobie!

Wojtaszek leżącego kopnął nogą.

— Słuchajże ty, bałwanie jakiś, otwieraj mi drzwi, bo ja ci każę!

— Ja od was rozkazów niemam do odbierania — odparł Boksicki.—Idź precz.!

Z pogardą spojrzał na niego lutnista i gniewnie nogami go począł tłuc.

— Otwieraj!

Powstała wrzawa. Wtem ze wnętrza izby, w której leżał pan Samuel, głos się dał słyszeć.

— Kto tu śmie? Boksicki, precz z tym!

— To ja!—wrzasnął Wojtaszek.

— Precz!—zawołał głos groźny Samuela.

— Precz?—podchwycił Wojtaszej. A ze mną i listy Krzychnika pójdą precz!

Rozśmiał się na całe gardło, bo już z wnętrza głos potężny wołał:

— Otwierać!

Boksicki się zerwał, opończę narzucając na siebie i kosemi oczyma mierząc Wojtaszka.

W izbie, w której leżał już drugi dzień Samuel, było prawie zupełnie ciemno, pomimo wiosennego dnia jasnego. Okiennice stały pozamykane. Na podłodze nasłane siano, pokryte niedźwiedziemi skórami, służyło za łoże. Na niem w koszuli jednej, z obnażoną piersią, włosem okrytą, z rękami pod głowę podłożonemi—spoczywał Samuel.

Powolnym krokiem, listy pootwierane trzymając w ręku, zbliżył się ku niemu Wojtaszek.

Bystre oko leżącego dostrzegło, że pieczęcie naruszone były.

— Jakeś ty śmiał listy moje czytać?—zawołał, zrywając się Samko.

— A dlaczegobym nie miał ich otworzyć, kiedy prędzej czy później przecieżby się przede mną nie ukryły!

Wojtaszek odpowiadał wcale nie zatrwożony, a wzrok, jakim pana mierzył, takie wyrażał lekceważenie, jakby on tu był panem, nie sługą. Samuel zgrzytnął zębami,ale nie odpowiedział nic. Podniósł się powoli, rozkazując, aby mu okiennice otworzono. Wojtaszek, który najmniejszej posługi sam nigdy nie spełnił, obrócił się ku progowi i zawołał Boksickiego.

— Otwórz okiennice!

Tymczasem w Zborowskim już niecierpliwość górę wzięła, i nie czekając, aż sam listy przeczyta, zawołał:

— Co on tam pisze.

— Ho! ho!—odparł, jak zawsze, szydersko Wojtaszek.—Pisze takie rzeczy, których żaden rozumny człowiek papierowi nie zwierza.

— Kto?—zapytał Samko.

— Kto? A to domyśleć się łatwo—rzekł lutnista.—Marszałek nadto ma rozumu i przebiegłości, aby to, co chce zrobić, naprzód oznajmywał i pomógł tym, co mu zechcą przeszkodzić;kasztelan do was nie pisuje, jest jeden Krzychnik, co się nie boi, bo ma cesarza za sobą, a o wasze zdrowie pono niewiele stoi.

Otworzyły się w tej chwili okiennice, Samuel wyrwał listy z ręki lutnisty i namarszczony, siedząc na łożu, czytać je zaczął.

Wojtaszek stał, oczyma badając twarz swego pana, na której, jak w wodzie obłoki, wszystkie wrażenia się dobitnie malowały. Czytał je, jak z karty, a nie odchodził, bo ciekawym był końca.

Samuel czytał i odczytywał. Ściągał brwi, zakąsywał wargi, gniew po nim przechodził, jak prąd gorący, ale wnet się to zmieniło, list raczej ucieszył Samuela, niż zmartwił, choć donosił o najgorszem usposobieniu króla i o środkach, jakie nieodzownie przedsiębrać było potrzeba.

Właśnie ta ostateczność i nadzieja, że będzie czynnym, że zostanie zmuszony porwać się do zuchwałego i krwawego czynu, radowała tak Zborowskiego. Nudził się już tą swoją, jak ją nazywał, bezczynnością. Ani Motrunka, ani Anusia, ani Boksicki i Wojtaszek, ani mnich Włoch, ani łowy i konie nasycić go nie mogły!

Raz zakosztowawszy krwi i doznawszy tego wrażenia, jakie ona wywiera na tym, kto się nią zmazał, był pan Samuel niemal chciwym nowego jej przelewu. Krzychnik w tym liście, którego już powiernikiem był Wojtaszek, bez ogródki mówił o truciźnie na wilcze zęby, i o napaści na „szaraka" na głowę *Nigri Concilii.*

Przygotowania do napadu tego, samo dokonanie go, nikomu innemu przypaść nie mogło, tylko Samuelowi. Czuł się do tego powołanym i to mu się uśmiechało.

Z Wapowskim siedem czy osiem żywotów ludzkich miał już na sobie. Cóż mu znaczyło podjąć jeszcze jedno wielkie dzieło, które go chwałą okryć miało, a wedle jego pojęcia,—naród wyzwolić! Radowała się jego dusza!

W tej chwili, ów ciężki, dojmujący smutek, który go do łoża przygniatał, wszystkie powszednie zabawki — znikły z przed oczów; miał przed sobą postać znienawidzonego kanclerza, z którym się pragnął rozprawić. Nie powątpiewał ani na chwilę, że z walki, choćby nierównej, wyjdzie zwycięzcą.

Równemi nogami porwał się z łoża, aż Wojtaszek, stojący zbyt blizko, cofnąć się nieco przed nim musiał. Usta jego mimowolnie pocichu wyszeptały jeden wyraz:

— Zbójca!

Panu Samuelowi śmiała się przed chwilą namarszczona twarz. Spojrzał w okno.

— Cóż to?—zawołał—blizko południe! Słyszysz, idź powiedz, aby mi Michał natychmiast dawał obiad. Jestem głodny!

— Boksicki—powtórzył, nie ruszając się z miejsca Wojtaszek—idź do kuchni. Jam nie do tego.

Ten, który mozolnie ciasną właśnie opończę wciągał na ręce, zamruczał coś, jakby na Wojtaszka chcąc zdać poselstwo, ale lutnista powtórzył dumnie:

— Słyszałeś rozkaz pański, nogi za pas. Leżałeś dosyć!

Mrucząc, musiał być posłuszny Boksicki, a Wojtaszek, w bok się wziąwszy, po izbie przechadzać się zaczął; nie chciał odejść, aby Samuela z oczów nie stracić.

Zborowski oblewał się wodą i odziewał pośpiesznie, ale w rozmowę, której lutnista życzył sobie może, nie wdał się z nim. Słów zresztą nie było potrzeba, aby czytać, co myślał. Radość, nadzieja jakaś błyskały mu z oczów.

W chwilę potem róg myśliwski, wedle miejscowego zwyczaju, dawał znać, że Michał pośpieszył z obiadem i pan Samuel, przyodziany lekko, szedł już do izby jadalnej, w której się wszyscy gromadzili. Jedna Motrunka nie miała się tu prawa pokazywać.

Zborowski nie byłby tak dalece może poszanował córki, aby ulubienicy zakazał przychodzić, ale Anusia oświadczyła, że u jednego stołu z chłopką siedzieć nie będzie, a chłopka nietylko u stołu siedzieć, ale przy nim pierwsze miejsce mieć chciała,—i straciła prawo do niego.

Boksicki, Zapatelli, mały, zażywny, tłusty i brudny braciszek w trepkach i habicie, ladajakim powrozem przepasanym, kilku szlachty, starsi urzędnicy dworu, naostatek Żabikowska, wystrojona śmiesznie, już dokoła wielkiego stołu oczekiwali. Szlachta dobywała zawczasu łyżki z za pasa i ocierała je rękawami, czeladź wnosiła parujące misy, z których wybuchały wyziewy przypraw korzennych. Zapatelli, wedle zwyczaju, zabierał się odmawiać *Benedicite,* choć nikt na nie ani zważał, ani czekał, gdy wpadł pan Samuel.

Anna stała w drugim końcu izby, wystrojona dnia tego, z rozkwitłą twarzyczką dzikiej różyczki, a zobaczywszy ojca, namiętnie się mu rzuciła na szyję.

— A! przecież! — zawołała głośno.—Nie lubię, gdy ty mi się zamykasz na pokutę. I tak niezawsze ciebie

mam; każdej mi godziny żal, a ludzie, albo jakieś smutki mi je odbierają. No, dobrej myśli mi wracasz?—spytała.

Twarz sama jej odpowiadała; ojciec był uśmiechnięty, rozpromieniony.

— Miałem listy od Krzychnika—odparł, podnosząc córkę do ust swoich—rad im jestem!

— Cóż ci tak dobrego przynoszą?—spytała Anusia.

— Krzychnik raz przecie rozumnie pisze—rozśmiał się Samuel.—Teraz my z nim pójdziemy ręka w rękę!

Anusia spojrzała mu w twarz, lecz siadano już do stołu i Samuel umyślnie przerwał dalszą z nią rozmowę.

Wszyscy teraz biesiadnicy z oczyma zwróconemi na gospodarza, gotowali się go czemś zabawiać. Borowski donosił o sokołach, drugi mówił o wilczycy z małemi, na którą w gnieździe najść było potrzeba, aby szczenięta zabrać żywcem.

Wojtaszek siedział także u stołu, umieściwszy się tak, aby na Anusię mógł patrzeć. Ojca się wcale nie wystrzegał. Anna unikała jego wejrzenia, a ile razy je spotkała, odwracała się z niewysłowioną pogardą.

Wojtaszek mimo to nie tracił fantazyi, owszem—coraz się chciał głośniej z nią popisywać i wtrącał zuchwale do rozmowy.

Zaczęto wyszydzać Zapatellego, któremu sąsiedzi najlepsze kąski nietylko z półmiska, ale prawie z ust wyrywali. Włoch czerwieniał z gniewu, jąkał się tem więcej jeszcze i bezsilną tą sierdzistością pobudzał wszystkich do śmiechu. Przychodziło niemal do utarczek na łyżki i pięści, co zdawało się tak zwyczajnem, że niczyjej nawet nie zwracało uwagi. Wojtaszej tylko jeden się marszczył, bo mu to do mieszania się w rozmowę przeszkadzało.

Samuel tymczasem, nie mogąc nic nigdy długo w sobie utrzymać, już w głowie osnuwając zamiar zaskoczenia kędyś Zamojskiego, plan cały układał. Ludzi mu dzielnych było potrzeba. Miał kilku, na których mógł rachować—innym mniej ufał.

— Boksicki—odezwał się,—ludzi będę potrzebował! Szukaj mi takich, coby się ani śmierci ponieść, ani ją zadać nie obawiali, prawych rycerzy!

— Idziecie na wojnę?—zapytał Boksicki.

Wojtaszek się rozśmiał.

— Jakiś ty głupi!—rzekł.—Albo to nie wojna, gdy się w lesie napadnie podróżnego?

Zmarszczył się pan Samuel.

— Czyż my dość ludzi nie mamy?—odparł sługa.— Zawczasu robić zaciągi i żywić je! A tacy, co się tęgo biją, okrutnie też jedzą i piją.

Śmiał się Zborowski.

— Postaramy się dla nich o kaszę, daj tylko—zawołał.

— Wielu?—zapytał sługa.

— Wielu—począł, podpierając się na łokciu Samuel—liczę tych, na których rachować mogę... mamyż ich aby trzydziestu?

— Tylko niech się Boksicki do ich liczby nie wciągnie—wtrącił Wojtaszek,—bo on już się stępił, jak nóż na skórce od chleba.

Nikt lutniście nie odpowiadał, ani zważał na niego, co go do jeszcze śmielszego się odzywania pobudzało.

— Trzydzieści orzechów wziąć, żeby ani jednego świstuna w nich nie było—podchwycił lutnista—to sztuka!

Samuel krzyknął, pięścią bijąc w stół.

— Milczeć.

Wojtaszkowi krew trysnęła do głowy, bo Anusia spojrzała na niego i uderzyła w dłonie.

— Patrzcie!—krzyknął lutnista.—Jak mnie śpiewać poprosicie, ja też milczeć będę!

— Oh! oh!—odciął Boksicki.—Już ja podejmę się z was głosu dobyć...

Ledwie tych słów domówił, gdy Wojtaszek się zerwał i wymierzył mu potężny policzek. Boksicki się pochwycił z ławy do szabli, zrobił się huczek i zamieszanie. Wojtaszek stał wbok się wziąwszy i wyzywał. Zborowski wołał, aby się uciszyli, ale obity skakał do oczów lutniście, a inni, co także go nie lubili, pomagali. Ksiądz Włoch, z którego się Wojtaszek naśmiewał, skrobał mu marchewkę na palcu.

Już, już tylko co nie było widać, jak się do bójki

wezmą, w której lutnista sam jeden miał być przeciwko wszystkim. Widząc to i nie czekając, Wojtaszek się nieco cofnął ku drzwiom wewnętrznym.

Wtem te się otworzyły, i słuchająca pod niemi Motrunka wpadła, jak opętana, chwytając za rękę Wojtaszka, chcąc go uprowadzić z sobą. Zborowski rozjątrzony tem na głos na nią zawołał.

— Precz ty, łajdaczko!

Anusia, nie chcąc być świadkiem sceny, wybiegła drugiemi drzwiami:

Wtem Samuel odezwał się głosem ogromnym.

— Boksicki, nic mu nie czynić, ja się pomszczę! Wziąć go i za drzwi precz wyrzucić, choćby i z tą dziewką razem. Dobrana para!

Lutnista, który pokumaniem go z chłopką srodze się czuł obrażony, cofnął się od niej, a Motrunka z krzykiem, oczy zasłaniając, uciekła.

Boksicki zaś skinąwszy na swoich, przemagającą siłą naparł na Wojtaszka, który, nie czekając, aż go wyrzucą, wyrwał się i uciekł sam precz.

Zborowskiego ten wypadek, choć nie był w domu żadną rzadkością, bo się rzadko obiad u niego kończył inaczej, jak bójką i hałasem, rozgniewał; siadł zły, sam nie wiedząc do kogo się za to czepiać.

Chwilę pomyślawszy, kazał biedz zobaczyć co się z lutnistą stało, a gdyby go znaleziono, zamknąć w izbie gościnnej i straż postawić.

Wybiegli natychmiast dworzanie i kilku czeladzi, a tymczasem Zapatelli, gryząc orzechy, śmiał się z Wojtaszka, przedrwiwał, bo już był sobie trochę podchmielił.

Anusia nie powróciła.

Zborowski ze swoim Boksickim najspokojniej w świecie nanowo rozpoczął o ludziach mu potrzebnych się naradzać, gdy dworzanie, jeden z tych, co za Wojtaszkiem wyszli, powrócił z oznajmieniem, iż lutnista prosto ze dworu wpadłszy do stajni, konia okulbaczył i jak stał, dosiadłszy go, uszedł.

Zborowski nakazał pogoń, aby go bodaj związanego nazad przywieziono, ale ludzie sami się gonić domyślili.

Zaczynał być niespokojnym. Obejrzał się za listami Krzychnika, czy ich z sobą Wojtaszek nie zabrał, ale okazało się, że ich nie tknął.

Nie po raz to pierwszy uchodził lutnista, zawsze jednak powracał. Rachował na to pan Samuel, że go tutejsze miłostki nazad sprowadzą i szepnął, aby pilnowano Motrunki, która w swojej izbie leżąc na ziemi z płaczu się zachodziła.

Samuel szedł do córki, którą zastał poruszoną i gniewnie się przechadzającą po swojem mieszkaniu. Zobaczywszy ojca, Anusia brwi namarszczyła i obróciła się ku niemu.

— Uszedł!—rzekł Samuel.

— A tyś go gonić kazał—odparła.—Jabym go stąd wysmagać i wyświecić kazała... Tyś słaby dla tego łotra jednego, który nad tobą więcej mocy ma, niż ty nad nim! Siedziałby on u mnie w zawarciu o chlebie i wodzie, ażby się ukorzył a tu mu rogi urosły, że ani ciebie, ani mnie, i nikogo nie szanuje...

Zborowski stał milczący.

— Potrzebny mi jest—rzekł krótko.—Ty tego rozumieć nie możesz... a więc milcz i nie jątrz mnie. Nadto rzeczy wie, a nas nienawidzi...

Anusia biegała po izbie.

— Innym, straszniejszym dawałeś rady, jego tylko oszczędzasz—krzyknęła.—Uzuchwalił się tak, że do mnie śmie się przybliżać. Rozumiesz ty to! On ten podrzutek z kupy śmiecia—do mnie, do twojej córki, do córki Spytkównej Jordanównej...

— Czekaj mała—odparł chmurno Samuel.—I na niego przyjdzie pora stanąć do porachunku... ja mu wszystko zaliczę...

— Ale on ci ujść może!—krzyknęła Anusia.—Ja nie będę spokojną, aż go w dybach ujrzę.

Potem z pogardą, kilka kroków ustąpiwszy rzuciła ojcu:

— I to nic, że on cię jawnie zdradza, tę twoją ulubioną rozmiłowawszy...

— Anusiu—przerwał Samuel—tyś o niej wiedzieć i znać nie powinna.

Rozśmiało się dziewczę.

— Sameś się starał, abym na to patrzyła, wziąłeś ją odemnie, posadziłeś przy mnie, pozwoliłeś temu brudowi mieszkać ze mną pod jednym dachem.

Zborowski, słuchając, gdy to wywoływała, z zapałem zbliżył się i pocałował ją w czoło.

— Anuśka,—zawołał.—Wiedziałem, że takiego złota, jak ty, żaden się brud nie ima. Dość tego, nie czyń mi wyrzutów... Oprócz ciebie, nikt mi nie jest drogi. Nie dbam o nich.

Córka popatrzyła nań.

— Tyś zmienny, jak chorągiewka—rzekła, i wnet dorzuciła: Uciekł. A! gdyby kark skręcił...

— Nie byłoby komu śpiewać pieśni wieczornych—westchnął Samuel — on dla głosu tego i kunsztu żyć wart, ale to chwast, co pachnie, a truciznę ma w sobie..

Otworzył drzwi niespokojnie i zawoławszy Boksickiego, zapytał, czy Wojtaszka nie dognano.

— Gdzie go tam dopędzić!—odparł sługa.—Wziął najlepszego konia ze stajni i pół godziny ma przed sobą gdyby nie uszedł, nie wartby nigdy na konia siąść.

— Więc śledzić mi!—ślij, dokąd się uda—zawołał Samuel—bo nam piwa srogiego nawarzy.

— Dawno to temu piwowarowi łeb trzeba było uciąć —odparł Boksicki—a trafiało się do tego zręczności dosyć, ale zawsze go pieśń salwowała. Bodajby zaniemiał!

Anna słuchała milcząca i coraz się stawała smutniejszą, a pan Samuel, choć usiłował zapomnieć o tem, że mu Wojtaszek uszedł, uspokoić się nie mógł.

— Dydkabym za to nie dał—mówił w duchu,—że pójdzie ko kanclerza i wszystko mu wyśpiewa.

IV.

Nadeszły nareszcie owe dni godów weselnych, którymi cała Polska zabrzmiała, bo zdawna już, od wjazpu Henrykowego, podobnych okazałości, takiego zjazdu

do Krakowa cudzoziemskich panów, ciekawych, możnych, duchowieństwa i szlachty nie było.

Miasto, zamek i przedmieścia przepełnione były.

W końcu maja przyjął Gryzeldę Batorównę na granicy polskiej wysłany naprzeciwko niej, Andrzej Opaliński, właśnie tak, jakby przyszłą w niej witano królowę, a prowadzono ją też do Krakowa w takim orszaku, oddając jej wszędzie cześć, jakby koronowaną być miała.

Wielu naówczas wydawał się Zamojski, jako przyszły kandydat do korony i byłby nim może, gdyby sprawa ze Zborowskim szyków mu nie pomieszała. Skupiali się około tego wybrańca fortuny najznakomitsi i rodziny najstarsze; owi krakowscy *primates*, którzy od wieków tu przewagę mieli, przyjmowali go za swojego. Z Tarnowskimi i z panami z Tęczyna stał jaknajlepiej. Od Zborowskich i od obozu przeciwników odpadało wszystko, i jak to po ludzku się zawsze dzieje, słabych opuszczali nawet ci, co im wierność byli powinni.

Siła zawsze ma w sobie moc przyciągającą.

Doświadczali tego teraz panowie Zborowscy, gdy usiłując zbliżyć się do tych,co im niedawno jeszcze potakiwali, znajdowali ich zimnych, milczących, zmienionych i jakby przerobionych na innych ludzi. Wszystko się od podejrzanych o jakieś knowania odsuwało i zapierało wszelkiego wspólnictwa z niemi

Marszałek Andrzej, którego za przejednanego uważano, znajdował jeszcze ludzi, co się obok niego publicznie stanąć ośmielali, ale podczaszy, o którym się wieść rozeszła, iż go król ani widzieć, ani chciał z nim mówić—chodził jak zapowietrzony, nigdzie się nie mogąc ukazać.

Co się z nim działo i jaki gniew, a pragnienie zemsty w duszy nosił, o tem wiedział jeden może Samuel, którego on częstemi a nieostrożnemi nawiedzał listami, nie wyjeżdżając z Krakowa, choć wcale już tu co robić nie miał. Poił się tą żółcią aby ją później wylać.

Na nieszczęście swe, to na co patrzał, znajdował tak pomyślnem dla Batorego i Zamojskiego, iż przy najgorętszej chęci znalezienia czegoś na pociechę swoją, nic wyszukać nie mógł.

Późno wieczorem, dni, poprzedzających ślubowiny, schodzili się wszyscy na ulicy Franciszkańskie i gdzie Jan opowiadał co w bliższem hetmana kółku widział i słyszał Andrzej, co między pokrewnymi żony pochwytał, a Krzysztof to, co między gawiedzią, nieprzyjazną królowi i hetmanowi krążyło.

Wistocie gawiedzią się to nazwać godziło, bo w miarę, jak szczęście Batoremu i Zamojskiemu służyło, nieprzyjaciele ich z wyższych warstw znikali i nieprzyjaźń na dno społeczne schodziła.

Krążyły i przekąsy, i plotki, i małe paszkwilusy, bo na tych nigdy i nigdzie nie zbywa,—ale to było tak liche, tak niepozorne, a po bakalarsku sklecone, że tylko gawiedzi, co smaku w gębie nie miała, podobać się mogło.

Drobna szlachta, która rada była popisać się ze znaczeniem swych głosów, zawsze na despotyzm i gwałcenie swobód narzekała, ale zwycięstwa na granicy, pokój od nieprzyjaciela, przeciwko niej mówiły.

Zamojski zresztą dla rozbrojenia niechętnych właśnie pod tę porę czynił, co mógł, a powodziło mu się—nieprzejednanych, jak Krzysztof, pozostawało niewielu.

Podczaszy niezmiernie był czynnym. Działanie jego jednak poza pewne, ciasne kółko nie mogło się rozszerzyć. Oprócz Samuela, kilku Spytków uboższych i młodszych, a niedoświadczonych Stadnickich, ze znaczniejszych zaś, prócz bogatego pana z Górki, wielkopolanina, Chodkiewicza i jednego Ossolińskiego,—nie miał za sobą nikogo. I z tymi, jak z Ossolińskim, wojewodą sandomierskim otwarcie rozmówić się nie mógł, bo żaden z tych niechętnych Stefanowi, zazdroszczących Zamojskiemu, tak daleko, jak on się nie posuwał; nikt ani nie pomyślał o gwałtownem wyzwoleniu się, ani buntu myślał podnosić.

Krzysztof zaś już o niczem nie myślał, tylko o zdradzie, bo w niej jedynie widział zbawienie. Kto wie, czyby nawet pokryjomu do Moskwy się nie udał, gdyby nie wiedział, że oko na niego miano. Milczał więc i i czekał.

Samuel tymczasem daleko gorętszy i mniej ostrożny, dawniej jeszcze zasłyszawszy o przejeździe pana Olbrachta Łaskiego, wojewody sieradzkiego, którego miał w podejrzeniu, że królowi chętnym być nie może, w kilka koni skoczył był na przełaj aby się z nim zetknąć i rozmówić.

Nie bez przyczyny może wojewodę niespokojnego umysłu i ambicyi wielkiej posądzano o knowania jakieś, a że to do Samuela doszło, chciał korzystać i z sobą a Krzysztofem go związać. Ale mu się to nie powiodło. Rozważniejszym daleko był pan Łaski, a choć wiele gotów ważyć,—na ślepo nigdy nie chodził.

Samuel znanym mu był z warcholstwa jak wszyscy niemal Zborowscy, znał ich i z tego, że języka utrzymać nie umieli, ostrożnym więc być postanowił.

Z Krzysztofem razem znajdowali się na cesarskim dworze, i obu im poseł moskiewski listy wielkiego kniazia doręczył, a ta była różnica w ich przyjęciu przez obu (o czem Samuel nie wiedział), że Krzysztof list swój wziąwszy, czytał go i odpowiedź nań dał, Łaski zaś narzędzie sobie z niego uczynił, aby u króla zaufanie pozyskać. List więc odebrawszy, nie otwierał go i z pieczęcią nienaruszoną królowi Batoremu go doręczył.

Samuel znał widać wojewodę sieradzkiego z rozgłosu i mienia tylko i powieści, jakie o nim chodziły. Spotkawszy się więc z nim, zuchwale, jak był zwykł, począł go namawiać do przymierza i zdrady.

Łaski przed lekkomyślnym warchołem nie myślał się spowiadać z tego, co w sobie nosił. Przyjął go bardzo zimno i począł od tego, że mu historyę onego listu moskiewskiego opowiedział.

— Widzisz—rzekł w końcu,—że ze mną o tem nie masz co mówić, bo ja się czuję mocen w cnocie i wierze swej, czuję się krwią polską; cnotliwą[1]) nie przychodziło to na żadnego Polaka, aby przeciwko panu swojemu knował, a tem więcej mnie tego czynić nie przystoi.

— Więcej waszej miłości powiem—dokończył Łaski—że oto tej rozmowy z wami królowi nie zataję, ale ją panu powtórzę.

Samuel, może gdyby gdzieindziej i z kim innym to

---

[1]) Hist.

zaszło, porwałby się przeciwko zuchwałemu, na Łaskiego nie śmiał. Rozśmiał się pogardliwie.

— Jeżeli chcesz mnie wydać—rzekł—czyń jak ci się zda, ja się tego, jako żywo, zaprę!

Na tem się skończyła próba niefortunna.

Teraz, po krótkim pobycie w Białym Kamieniu, niespokojny Samko wyruszył, niewiadomo—za zaginionym Wojtaszkiem, czy też ludzi ściągając i traf chciał, aby się z Łaskim, jadącym do Krakowa, zjechał w gospodzie.

Nie zapomniał danej sobie odprawy i owej obietnicy, że królowi miał donieść o rozmowie, a był pewien prawie, że Łaski pogroziwszy,—słowa dotrzyma. Gdy się więc we wrotach gospody zeszli i pozdrowili, Samuel zawołał drwiąco:

— Czołem! Czołem! A co mości wojewodo, umalowaliście mnie z łaski swej przed królem jegomością?

Na co Łaski poważnie odparł.

— Ja marnych słów nie lubię, a com rzekł, strzymuję zawsze; królowi rozmowę powtórzył i chciałem, aby was pozwać kazał, abym wam w oczy świadectwo to złożył.

— A król na to?—zapytał Zborowski.

— Król odparł:—*Non est opus.* To są jego słowa—rzekł Łaski.—Znam nadto panów Zborowskich, abym mógł o tem wątpić. Dziwiłbym się, gdyby inaczej myśleli.

— Ho! ho!—rozśmiał się Samuel.—Nie wierzę!

— Nie kłamię nigdy—dodał Łaski.

Zborowski odstąpił krok i zapytał.

— A cóż wam dał za to?

— Nic mi za to nie dał, bom nie dlatego powiedział mu, aby mi co za to miał dawać,—ale z powinności mej, jako poddany i wojewoda.

Samuelowi zrobiło się przykro, ale butno ramionami strząsnął.

— Będą-li mnie badać, zaprę się, jako żywo.

Na co Łaski zimno odparł:

— Pan Bóg nas sprawiedliwie nie tylko z czynów, ale i ze słów sądzić będzie.

Poszło to mimo uszów Zborowskiemu i zamruczał tylko:

— Nie wierzę, abyś to miał mówić.

Łaski cofnął się do gospody, nie chcąc dłuższej prowadzić rozmowy i kończąc ją słowy:

— Wierz lub nie, wolno ci!

Do tego pan Samuel wielkiej nie przywiązywał wagi, ale jako o wszystkiem Krzychnikowi donosił, tak i rozmowę swą mu posłał w liście, bo Łaski do Krakowa jechał i łacno było podczaszemu, po starej z nim znajomości na cesarskim dworze, stosunek jakiś na nowo zawiązać.

Znalazł jednak pana wojedwodę dumnym, zimnym i zamkniętym, jak wszystkich, do których się zbliżał teraz, i nie myślał, jak pan Samuel, podawać mu serca swojego na półmisku.

Polityk, gdy tego widział potrzebę,—wojewoda nie myślał ani podczaszego za Samuela czynić odpowiedzialnym, ani o tem zajściu mu wspominać, lecz gdy się Krzychnik coś kwaśno o królu odezwał, rzekł mu:

— Nie tajna to, że ichmoście wszyscyście króla i kanclerza przeciwnikami... ale przeciwko wody płynąć trudno...

— A no z wodą też nie każdemu po myśli—rzekł podczaszy.

— A więc cóż?—zapytał Łaski.

Nadto był przebiegłym Krzysztof, aby jak Samuel miał się zdradzić, rzekł więc:

— Juści można, do brzega się przytuliwszy, ani z wodą, ani przeciw niej nie płynąć,—a w miejscu pozostać.

— To już trupem pachnie!—zawołał Łaski.

Podczaszy, który wiedział o rozmowie jego z bratem i o jej skutkach, chciał naprawiać co porywczość Samka popsuła i odezwał się:

— Nie wiążcie mnie tylko do pary z gorąco kąpanym Samuelem, o którym uprzedzeni jesteście źle, ale u Samka więcej słów i hałasu, niż roboty, a gorszym się daleko czyni, niż jest.

— Dałby Bóg i jemu i innym opamiętanie—dodał Łaski,—bo przeciwko panu temu iść, który nas odniósł i ze słabych uczynił mocnymi—grzech to wielki. Miły on komu czy nie, a poszanować go trzeba i uczcić!

— Rękę ma żelazną—westchnął Krzysztof.

— Innąby też nic z nami i z nieprzyjacioły nie uczynił—rzekł Łaski, który rozmowę rad był zakończyć.

Gdy tak, jak z panem Łaskim i z innymi, podczaszy zagaił a zagrał z tej nuty, która brzmiała opozycyjnie, zaraz mu usta zamykano, nic już odpowiadać, ani nawet słuchać nie chcąc.

W smutnem cale położeniu się znajdował, ale postanowiwszy dotrwać, aby dobrze położenie zbadać, doczekał wreszcie podczaszy, iż miał z kim spiskować.

Ponieważ czasu wesela i zabaw ludzie się zwykle łatwiej wynurzają z tem, co myślą, a języka na uwięzi trzymać nie zwykli—i z cesarskiego dworu, który zawsze na Polskę miał oczy zwrócone, i od Moskwy przybyli ludzie nieznaczni z poleceniem, aby języka dostali. A że na Moskwę i wszystko, co stamtąd szło, oczy pilno były zwrócone, musiał się wielki kniaź posłużyć tymi Rusinami, którzy mu po Ościku tam pozostali. Tym zlecono, aby też ze Zborowskimi się zwąchali.

Zdziwił się nieco podczaszy, gdy mu jednego ranka oznajmiono, iż się z nim ktoś na osobności widzieć życzył; ale od tak dawna ludzi szukał, a jego nikt prawie, iż gościowi rad był niepomiernie.

Z pierwszego spojrzenia, gdy przybysz na próg wchodził, Krzysztof w nim poznał Rusina lub Litwina, bo i suknię miał krojem, więcej do moskiewskiego zbliżonym uszytą i w mowie śpiewnej pochodzenie zdradzał...

Skłopotany począł od tego, iż się jako Worczeńko, panów Chodkiewiczów sługa i domu ich przyjaciel, na kresach osiadły, prezentował, przybyły na wesele dla ciekawości, a że tu nikogo znanego sobie nie miał, Zborowscy zaś w koligacyi byli z Chodkiewiczami...

Przedmowa ta, dosyć niezręcznie sklejona, panu Krzysztofowi doskonale była zrozumiałą; domyślał się z kim miał do czynienia, i gościa na ławie posadził.

Worczeńko miał się za bardzo przebiegłego dlatego, że z prostymi zawsze ludźmi miał do czynienia, a tu wpadł

na takiego, co myśli czytał, nim one mu w głowie powstały...

— Toście wy nam tu gościem bardzo pożądanym—odezwał się Krzysztof.—A co tam kniaź myśli.

Zagadnięty w ten sposób Worczeńko, języka w gębie zapomniał zrazu i oczyma trwożliwie potoczył dokoła.

— Albo ja wiem, co u niego w myśli?—odparł przelękły.

— Prędzejże wy z blizka, niż my zdala posłyszymy—odparł podczaszy.—Chce on wistocie zgody? Prawda-li to, że do papieża posłał, aby się o wierze rozmówić, z kościołem połączyć i z nami sojusz zawrzeć?

Worczeńko zmilczał. Na tak kategoryczne zapytania sam nie wiedział, jak mu odpowiadać wypadało.

Siedzieli czas jakiś, wzajem się oczyma badając, aż wreszcie poseł się ośmielił i szepnął cicho:

— Mnie się do was zgłosić kazano.

— Kto?

— No, znajomy wasz... co listy nosił—szepnął Rusin—i co (tu się pochylił mu do ucha) o przysiędze wie...

Wspomnienie przysięgi nieprzyjemnie dotknęło Krzysztofa. Prawdą bowiem było, iż ją złożył wielkiemu kniaziowi moskiewskiemu, że mu służyć będzie, ale się teraz obawiał, aby ją głową nie przyszło opłacać. Położył palec na ustach, a potem podał rękę Worczeńce.

— Cyt, bo ściany uszy mają—rzekł.—Z czemeście przyjechali?

— Pytacie po co?—odparł Rusin.—Nic przywiozłem ja nic, ale dostać języka pragnę. Co tu o pokoju trzymają?

— Gotują się do wojny!—zawołał podczaszy.—Działa leją, ludzi zbroją, król sam puszkarzy pilnuje. Nie wiem, czy się spodziewają sojusz zawrzeć, ale to pewna, że wojna ich nie weźmie śpiących.

Worczeńce twarz się wydłużyła i pobladła.

— A toć przecie wielki kniaź do Rzymu posłał i z księżmi papieskimi radził i radzi... Czegoż oni chcą? Czy i to ich nie uśpiło?

— Nie wiem czy wierzą, ażeby z tej mąki chleb był—zawołał podczaszy,—bo co ja, wcale się nie spodziewam,

aby wielki kniaź papieżowi się miał pokłonić. Posłał on od siebie i przyjmie posła, a co mu szkodzi rozprawiać o kalendarzu i Credo... ale z tego nie będzie nic!

Worczeńko, nie śmiąc mówić, dał znak potakujący.

— Nu!—zawołał—nam się zdało, że oni się na to wezmą, czego się im bardzo chce i uwierzą, iż wielki kniaź też tego pragnie. Ale jemu papież nie w głowie... tylko czas chciałby zyskać, bo nas wojna wycieńczyła i nowych do niej przygotowań potrzeba. Chytrego mnicha posłali—dodał—ale wielki kniaź mądrzejszy od niego.

Pokiwał głową Worczeńko.

— Nu—rzekł—chytre i to są stworzenia, kiedy się na łep wziąć nie dały.

I zadumał się ponuro.

— Rachowali my, że tu trochę sobie odpoczną i o wojnie myśleć nie będą...—tośmy się omylili!

— Omyliliście się, bo nie znacie człowieka—mówił podczaszy.—U nas nie król, ale kanclerz na tronie. A coby on robił, gdyby nie wojował? Zawrze z wami sojusz, to pójdzie na Wołocha albo na Turka, ale oręża z ręki nie puści. Dopóki on na tronie, wasz wielki kniaź spokoju mieć nie będzie, choćby niewiem co obiecywał.

Tu się podczaszy obejrzał.

— Ale my się go pozbyć musimy, bo on równie nam groźny, jak sąsiadom. U nas pod nim niewola... a my jej nie znosimy.!

Rusin słuchał milcząco.

— Aby prędzej—rzekł,—pozbądźcie się go. Gdyby i pomódz wam przyszło...

Podczaszy ramionami strząsnął.

— Ciężko z nim co poradzić—rzekł.—Wiecie, co się z Ościkiem stało, na mnie też oko mają, choć nic nie wiedzą... Ja muszę być ostrożnym; o mnie już jemu doniesiono.

Strworzył się Woronczeńko.

— A cóż ze mną będzie?—zawołał.—Mnie przykazano czasu wesela tu zostać, wszystko widzieć, słuchać i zapamiętać.

— Łatwiej to wam, niż mnie przyjdzie—odparł podczaszy,—bo was tu nikt nie zna i za wami chodzić

nie będą. Jest gości siła, kto ich tam ma rozpatrywać. Wyście bezpieczni.

Na tem skończyła się pierwsza część ich rozmowy. Dowiedział się Krzysztof o gospodzie posłańca, dał mu instrukcye i przestrogi, nie tail, że mu rad, ale razem wyraził zdumienie, iż go z gołemi rękami przysłano.

Worczeńko wistocie kląl się, bijąc w piersi, że sam ledwie miał o czem przeżyć.

Naznaczywszy mu godziny, w których bezpiecznie, niewidziany—mógł się na Franciszkańskiej ulicy znajdować, podczaszy go odprawiał, rozmyślając, jakąby mógł z tego korzyść wyciągnąć. Chciałby się był zaraz pochwalić panu Andrzejowi temi stosunkami, lecz po rozmyśle do czasu zmilczał. Kasztelanowi zaś zwierzać się wcale nie zamierzał...

Kilka dni upłynęło i podczaszy począł już coś snuć i budować na onym tajemnym pośle wielkiego kniazia. Wesele było za pasem, ludzi tłok coraz większy. Obracać się też łatwiej było, bo wśród tłumu zniknął pojedyńczy człowiek i uwagi na siebie nie zwracał.

Uspokoił się nawet podczaszy, co do Worczeńki, iż go tu nikt nie dojrzy i nie posądzi o to, z czem przyjechał.

Wtem jednego wieczora wpadł pan Andrzej, poruszony mocno, tak, że o zwykłym umiarkowaniu i udanym spokoju zapomniał.

— Skaranie Boże!—zawołał do podczaszego.—Wyście z Samuelem popędliwością waszą naciągnęli na nas wszystkich podejrzenie, tak, że teraz niesłusznie już nam na barki kładą, co nie wiedzą, gdzie pomieścić.

— Cóż wam panie marszałku—odparł zimno Krzychnik—co? Jam znowu winièn!

— Nie wiem już kto, ale mnie na zamku młody Stadnicki przestrzegł, iż na nasz dom kanclerz ma oko, bo do niego szpiegi moskiewskie chodzą!

Załamał ręce marszałek, a Krzysztof zbladł i usta wykrzywił.

— Skądże to mają?—wybąknął.

— Albo ja wiem—począł pan Andrzej—dosyć, że

mnie przestrzeżono. Wy lepiej wiecie, czy ma'ą do posądzenia fundament.

Wyparł się podczaszy.

— O Bożym świecie nie wiem! Gdy nie mogą cesarzem, to wielkim kniaziem mnie obarczają; dosyć, że już chyba, aby darmo nie cierpieć, gwałtem spiskować przyjdzie. Ma człek być prześladowanym, niechajże wie, za co...

I przerwał rozmowę.

Nazajutrz rano bardzo już Krzychnika w domu nie było, a że na Mszę nie zwykł był chodzić, dziwił się wojewoda, iż tak wcześnie z domu wybiegł. Podczaszy zaś, chciał Worczeńce dać przestrogę i zakazać, aby jego noga nie postała więcej na Franciszkańskiej ulicy.

Tak się w niczem Zborowskim nie powodziło, a ta sieć, którą byli obmatani, z ręki Mroczka się wysnuwała.

Wierny sługa kanclerza, raz na trop wpadłszy, już go nie stracił z przed siebie.

Miał podczaszy pacholika niedawno przyjętego, który o każdym jego kroku donosił; przez niego Mroczek dowiedział się o Rusinie i póty około niego toczył, aż doszedł, z czem, od kogo i po co tu przyjechał.

Częste odwiedziny u Fontanusa także Mroczkowi były podejrzane. Wiedział, że Zborowscy na wszystko są gotowi, a że na kulawego Dzierżka nie bardzo się mógł spuścić, sam jednego wieczora udał się do apteki.

Zachodziło tam ludzi dosyć, to kropli wzmacniających, to napoju krzepiącego, to różnych lekarstw żądając od aptekarza. Mroczek, choć zdrów jak wół, musiał parę razy się czegoś napić, lecz po staroświecku rozumował sobie: zdrowem to ma być,—zacóżby mnie miało zdrowemu być szkodliwem?

Jednego dnia przemknął mu się tu podczaszy, ale nieznajomego spostrzegłszy, natychmiast zniknął.

Mroczek nieznanym był Fontanusowi, zdala go tymczasem starał się poznać... i wkońcu pozostawszy z nim sam na sam, zagaił rozmowę od tego, że się o przywilej na aptekę spytał. Fontanus wziął to zrazu za prostą ciekawość i zbył go ogólnikiem.

— Ale bo, widzicie,—rzekł Mroczek—czasy takie nastały, że kanclerz wszędzie porządek chce czynić, nie ostaną się i apteki bez dozoru.

— Słyszeliście o tem?—spytał Fontanus.

— Co waszej miłości taić mam—jam żołnierz i sługa kanclerza—rzekł rotmistrz —mam zręczność słyszeć, co się tam mówi i projektuje.—Nie tajna i to rzecz, że źli ludzie na żywot i zdrowie króla jegomości czyhają, a mogą własnym to przypłacić, bo jest na nich czujne oko. Do tych ludzi należy pan podczaszy Zborowski, który tu u waszej mości często bywa...

Fontanus, gdy słuchał, nogi tak mu osłabły i dygotać poczęły, że się o stół oprzeć musiał, aby nie upaść. Sprzyjał on panu Krzysztofowi, czy się z niego korzystać spodziewał, czy rachował na zarobek, który mu spiski przynieść mogły, gotując się je wyzyskać ostrożnie—wszystko to w jednej chwili prysnęło i rozwiało się; groziło niebezpieczeństwo poważne i nie do lekceważenia.

Niemiec powiedział sobie, że powinien był stanąć po stronie silniejszego. W samej rzeczy nie obchodziło go tak bardzo, kto komu szkodę wyrządzi, byle on pozostał cały. Należało więc otwarcie się przed panem Mroczkiem wyspowiadać, bo ten przedstawiał króla, władzę, urząd i sprawiedliwość.

Nie chciał szkodzić nikomu, ale najmniej samemu sobie. Wziął więc, ochłonąwszy nieco ze strachu, dosyć zręcznie i naprzód długo głową kiwając, patrzał na Mroczka, jakby chciał dobrze wyrozumieć, z jakiego rodzaju człowiekiem miał do czynienia, a potem rozpoczął.

— Posłuchajcie mnie, miłość wasza, a naprzód chciejcie zaufać, że jak na spowiedzi prawdę wam mówić będę. Posądzacie mnie, że trucizny trzymam, ale tę lada baba dać może, silniejszą może nad tę, które ja znam. W fabrykowanie venenów ja się nie bawię, bo u nas one nie popłacają. Tu ubić pięścią w miejscu rzecz nie rzadka, ale się uciekać do napojów i potajemnie na życie czyjeś czyhać, nie polska rzecz... Więc zaręczam wam naprzód, że ja tem nie handluję, ale na aptekę spojrzawszy, każdy myśli: tam i życia i śmierci za pieniądze dostać można!

Poruszył ramionami.

— Jestem pewnym—dodał—że u mnie kupować trucizny nikt nie myślał naprawdę, ale się dowiedzieć chciano, czy kto inny jej nie dostał.—Wy posądzacie Zborowskich, że oni dla króla, czy hetmana jej potrzebują, a Zborowscy się boją, aby im Krzysztofa, albo Samuela nie otruto. Dlatego z dwóch stron oto nachodzicie mnie i ciągniecie, azali nie sprzedam, a ja powiadam i im i wam, że sprzedaję...

— Jakto?—zakrzyknął Mroczek.—Więc co myślicie?

— Myślę lada jakiego ziela za gruby pieniądz dostarczyć—rzekł Fontanus,—aby gdzieindziej go nie szukali: zła ono nikomu nie zrobi.

Uśmiechnął się aptekarz.

— Przychodził do mnie, o truciznę dowiadując się wasz człek—dodał,—bo kulawy do waszych należeć musi —badał mnie podczaszy Zborowski, ale nikt nikogo truć nie myśli, tylko się sam obawia być otrutym.

— Mówię wam prawdę — rzekł, odetchnąwszy— śledźcie, to się o tem przekonacie.

Mroczek słuchał, rozważając i mowa zdawała mu się rozumną.

— A no—dodał Fontanus, okulary poprawiając— nie ja jeden tu aptekę mam. Chcecie-li mi zawierzyć? ten, co truć zamyśli, w publicznej oficynie szukać nie będzie środków po temu... przywiezie sobie z Włoch, dostanie z Niemiec albo i od bab z Rusi, kędy czarownice i trucicielki mają być pospolite.

— Panom zaś Zborowskim — rzekł wkońcu, czując się w obowiązku wystąpienia w ich obronie—panom Zborowskim nie przypisuję myśli zdradliwego podsuwania napoju. Powinniście ich znać: każdy z nich ubić może bardzo łatwo, gdy w pasyę wpadnie, szczególniej Samuel, ale się podkradać i podstępnie życia pozbawiać, to nie jest ich rzecz. Podczaszy się o własne boi i utrzymuje, że kanclerz chce go zgładzić trucizną.

Porwał się Mroczek gniewnie.

— Milczże—krzyknął.—Kanclerz, pan mój we Włoszech prawda bywał i mieszkał, i zna włoski obyczaj, ale

go nie przejął i z odkrytą przyłbicą walczy a pokrykomu nic nie czyni... posądzać go nawet o to grzechem jest.

— Ja też tego nie czynię, ale drudzy—zawołał Fontanus.

— A ci z siebie sądząc, tego się dopuszczają—odparł Mroczek.

Uspokoił się zwolna Fontanus, a po rozmyśle i rotmistrz także ostygł.

— Nie jest mi źle w Krakowie — rzekł po chwili aptekarz—nie skarżę się, ale mam-li być posądzanym, a na męki ciągniętym, wolę zwinąć moją oficynę, a na Śląsko się wynieść, albo do Pragi.

— Czego ja ci podczas nie życzę — dodał Mroczek— boby rzeczono, żeś się czuł winnym i zbiegł przed pomstą. Siedź w miejscu, a złego nie czyń.

Fontanus się skłonił.

— Bądźcie pewni—dodał—że tu nie o zadanie trucizny chodzi, ale o jej obawę...

Wstał rotmistrz i zaleciwszy aptekarzowi milczenie, odszedł precz uspokojony.

Sam pozostawszy, Fontanus dopiero począł się rozmyślać, co miał czynić i po czyjej stać stronie: uchodzić czy pozostać? Zdawało mu się wszakże, iż z Mroczkiem dosyć otwarcie postąpiwszy, mógł bez obawy w miejscu siedzieć.

Właśnie mu też obiecywał się zarobek znaczny, bo przed weselem jeszcze do tutejszych lekarzy, do Oczka i do Bucelli—przybyła dla leczenia się siostrzenica hetmana Zamojskiego, małżonka Jana Dulskiego, kasztelana chełmskiego, podskarbiego koronnego—około której zdrowia co było lekarzy najsławniejszych podówczas: Duccella, Oczko, Botrinnius, Roguski, Gosławski, — wszyscy się krzątali.

Zapisywano, wedle formuł ówczesnych, długie na łokcie recepty, a Fontanus potem jeszcze dłuższe za nie wystawiał rachunki. Nie było prawie dnia, żeby z apteki jego czegoś nie potrzebowano; smutno więc było Kraków opuszczać.

Wesele, przy którem turnieje mnogie guzy obiecywały pokup na plastry i balsamy także się aptekarzowi uśmiechało. Nie było bowiem starcia, choćby nie na ostre goniono, żeby ktoś potłuczonym nie był i smarować się nie potrzebował, byle go tylko koń, lub zbroja własna przygniotła.

Westchnąwszy więc nad nieodłącznemi od powołania swego nieprzyjemnościami, Fontanus postanowił nie opuszczać Krakowa, nikomu trucizny nie sprzedając, i nikomu nadziei otrzymania jej nie odmawiając.

Rotmistrz Mroczek, który po żołniersku spełniał swe nadzorcze obowiązki, rycersko też je pojmował i wyszedł z apteki uspokojony znacznie, wszystkie te plotki i wieści, jako ze strachu pochodzące, lekceważąc. Bądź co bądź jednak oko na Zborowskich mieć postanowił, bo co z cesarstwa, od Niemiec i od Moskwy się zwlekało, prędzej czy później ku Zborowskim się kierowało.

Krzysztof unikał wprawdzie ukazywania się publicznego, siedział w domu, albo zdala od zamku krążył, ostrożnym był wielce,—ale do Piekar dojeżdżał, a stamtąd Włodkowa kędy potrzeba było posły i posłańce na cztery krańce świata rozsyłała, rada bardzo, że czynną być mogła.

Gdy się to działo w Krakowie, gońcy wyprawieni za zbiegłym Wojtaszkiem, napróżno go szukali. Zniklszy z Białego kamienia, nie pokazywał się w Złoczowie, kędy go domyślano, a we Lwowie po tych kątach, w których się zwykle zaszywał, także go nie znajdowano. Obawiał się więc pan Samuel nie bez przyczyny, aby w pierwszym impecie listów, które czytał i spisków, o których wiedział nie poszedł dla pomsty kanclerzowi wyjawić.

Chwila jednak tej zdrady nie nadeszła jeszcze. Samuel, ostygł, bo u niego żaden ogień nie trwał długo, gotów był przebaczyć i wmawiał w siebie, że lutnista, zatęskniwszy, pod strzechę powróci.

V.

Dnia dwunastego czerwca miało się odbywać ono sławne wesele, ku któremu już wszystko było w gotowości, krom małych rzeczy, które w sali na Rabsztynie, przez Zamojskiego na przenosiny zbudowanej umyślnie, obszernej bardzo, bo gości na seciny liczyć miano, jeszcze coś wieszano i przybijano. Ale na to rzemieślnicy jeszcze tydzień czasu mieli, bo tak było postanowione, iż król gody synowicy sprawował przez niedzielę całą, a drugą trwać miały zabawy na przenosinach u hetmana.

Dawno już takiego popisu okazałości Polska nie widziała, więc co było opon po skrzyniach i starych zbroi po dworach i oręża pięknego, szytych złotem sahajdaków, hełmów szmelcowanych i złoconych,—wszystko to teraz na świat Boży wychodziło, przódy przez ręce płatnerzy przeszedłszy, którzy rdzę i prochy oczyszczali. Sprowadzono też wiele rynsztunku z zagranicy.

Przedewszystkiem rycerstwo młode zabawiało się turniejami, dawno niebywałymi, bo te już tylko jako stary obyczaj rycerski utrzymywały się, gdy wojna coraz nowe wymysły i oręż odmienny wprowadzała.

Ślub nowożeńcom dawał w kościele św. Stanisława na zamku w obecności obojga królestwa ks. biskup kamieniecki, Marcin Białobrzeski, prałat, słynący z wymowy, postawy wspaniałej, wesołego oblicza i łagodnego charakteru.

Zaczem nastąpiły długie, owego czasu niezbędne ceremonie, przy których dłuższe jeszcze wygłaszano mowy, przy oddawaniu darów, marcepanów, w sprowadzaniu i oddawaniu w łożnicy, przyjmowaniu imieniem pana młodego i t. p.

Andrzej Opaliński, marszałek koronny, który po Gryzeldę do granicy wyjeżdżał, oddawał ją też panu młodemu, za co mu ks. Piotr Myszkowski, biskup Krakowski, dziękował.

Nazajutrz kasztelan sandomierski, Tarnowski, pierw-

szy pani młodej od męża złożył upominki, a po tych nastąpiło wręczenie innych darów kosztownych od króla, królowej, książąt, panów, rad, senatorów, przytomnych i niebędących w Krakowie, a nawet od niektórych głównych miast i t. p.

I tu na mowach nie zbywało, bo przemawiał każdy z oddających, a wszystkim za hetmana dziękował potem kasztelan trocki, Radziwiłł.

Upominki, począwszy od klejnotów do sreber, futer, tkanin, drogich naczyń pozłocistych, do sukna i rozmaitego kosztownego sprzętu, stosami zaległy u nóg pani młodej. Wszystko to miało tak królewski i uroczysty charakter, iż złośliwi przypominali ciągle wesele Zygmunta Augusta z pierwszą żoną jego, którego ceremonjał nawet do przyjętego teraz był podobnym.

Nie dziw też, że budziła się zazdrość, widząc szlachcica nagle z pośrodka siebie równych, aż do tronu niemal podniesionego. A przyznać też musieli niechętni hetmanowi, że tę nową świetność, którą go przyoblekało połączenie z domem królewskim, dostojnie nosić umiał.

Po raz też pierwszy od wesela swego Stefan Batory publicznie się obok królowej Anny pokazywał, czego uniknąć nie było można. Dwa więc dwory oddzielne, które się nie znały prawie, jeden polski—królowej, drugi przeważnie węgierski króla, spotykały się tu po raz pierwszy. Oba one zbytnim nie świeciły blaskiem, a z nich jeszcze królowej odznaczał się przepychem, bo jej urzędnicy i to, co ją otaczało, sadziło się na okazanie dostatku, który, niestety razem z Boną zniknął rozproszony.

Zamojski sam, choć pan znaczny, obok przepychu królewskiego nie byłby mógł stanąć z nim na równi, gdyby szlachta, która czuła w nim brata i reprezentanta stanu swojego, tłumnie się przy nim nie stawiła i nie otoczyła go orszakiem okazałym.

W drugim tygodniu, gdy Zamojski ugaszczał i przyjmował, wystąpiły i turnieje, i maszkary, i na co tylko smak i umiejętność czasów owych zdobyć się mogły. I zaprawdę ci, co tu przybyli, aby patrzeć, mieli się przyglądać czemu.

Naprzód turnieje, których siedem par zapowiadano, odbywały się w rynku, gdzie Spiglerową kamienicę dla obojga królestwa przystrojono zielenią i oponami kosztownemi.

Był to już, jakeśmy powiedzieli, zabytek czasów dawnych, pamiątka, która teraz rzadko bardzo oczom się ludzkim przedstawiała. Starzy tylko rycerze jeszcze formy, obyczaj i prawa tych gonitw znali a pokierować niemi mogli.

Najpiękniejsze zbroje tego wieku, które były ostatniem słowem kunsztu płatnerskiego, występowały na turniejach, i osobny rodzaj hełmów, pancerzy, blach, tylko do turniejów przeznaczonych, porywał oczy pięknością swoją. Hełmy niektóre okrywały całe zbroje misternie trybowane, złocone, szmelcowane a kosztowały tysiące. Takież napierśniki a najpiękniejsze tarcze na ten raz tylko ze skarbców podobywano, aby je potem przekazać wiekom potomnym, jako kunsztu pamiątkę.

W pierwszej parze do tych harców stanęli Podhorecki, z domu Bielinów, z Pawłem Raczkiem, przyczem się pierwszemu dobrze kopię swą skruszyć udało, a oba wyszli bez szwanku.

Za nimi szli tuż Andrzej Grudziącki z Jakóbem Jankowskim z dobrzyńskiej ziemi, Junoszą, któremu Jankowski przeszył rękę tak, iż kopia przez nią sterczała. Tedy już bez rozlewu krwi się nie obeszło, ale bez niej też nie byłoby prawie turniejów.

Potykali się potem Kazimirski Stefan Biberstein z Górskim, gdzie się pierwszemu z nich nie poszczęściło, bo mu Górski ramię prawe zgruchotał.

Mniej szkodliwe było starcie następnych—Pawła Piaskowskiego Junoszy z Mikołajem Rogozińskim, bo tylko, że kopie pokruszyli i wyszli bez szwanku.

Dalej Miłkowski, sandomierzanin Abdank, potykał się z Kirmańskim, który skruszył kopię o konia Miłkowskiego, a raczej o zbroję, którą ten był okryty, bo i konie do tych zapasów w żelazo odziewano, a miały co dźwigać na sobie.

Potem Krzysztof jeszcze Broniewski, z domu Tarna-

wa, ścierał się z Janem Dobkiem i konia mu też ubił. Naostatek wreszcie weszli w szranki ochotnicy ostatni: Stanisław Ciemiński z Bronisławem Orchowskim, ale na te harce mało już kto patrzył, bo następować miały maszkary, które największą ciekawość obudzały, więc na nie wytężona była uwaga.

Turniej ów, przy którego odprawieniu młode rycerstwo mocno obstawało, bo same widowiska i maszkary nie zdały się godności hetmańskiej odpowiadać, — do różnych pobudzały reflekcyi. Mimowolnie wszystkim na myśl przychodził Wapowski, po którym wdowa dotąd chodziła w żałobie nieutulona w żalu, prawdziwie święta matrona. Przypomnieli się Zborowscy, co tak krwawo pierwszy niemal dzień panowania Henryka zaznaczyli.

Szukano ich tu oczyma napróżno i nie znajdowano,— krom kasztelana, bo Andrzej nie występował naprzód, a Krzysztof, ciekaw oglądania, musiał się kędyś na strychu umieścić, małym i niepostrzeżonym czyniąc, aby go tam nie poznano. O Samuelu zaś ani mowy, ani słychu nie było i nikt się go tutaj ani spodziewał, ani myślał, by miał głowę ważyć dla ciekawości próżnej.

To też może nie dla niej, ale dla przechwałki późniejszej i dogodzenia zuchwalstwu własnemu Samuel potajemnie, samotrzeć w opończy niepokaźnej dobieżał do Piekar, wieczorem dnia jedenastego czerwca; a gdy go okrzykiem przestrachu przyjęła piękna Włodkowa, usta jej pocałunkiem zamknął.

— Cichoż ty, kuro zmokła!—zawołał.—Czego się lękasz i czemu dziwisz? Mnie tu niema, ani mnie oprócz ciebie ma kto widzieć i wiedzieć o mnie.

Drżała jeszcze siostrzenica nie mogąc przyjść do siebie, bo przez Krzychnika nastraszona, o życie się Samkowe lękała, gdyby teraz śmiał się tu ukazać.

— Cóż cię tu przygnało?——zapytała, wiodąc go ku alkierzowi tak, aby żadna z kobiet widzieć go nie mogła a chcąc ukryć od wszystkich oczu ciekawych.

— Co?—rozśmiał się Samuel.—Nie chcę aby rzeczono, żem ze strachu na te ich jasełka nie patrzał! A potem—dodał, siadając obok Włodkowej na ławie — szukam zbiega, który bodaj nie do Krakowa się schronił.

— Kto?—zapytała Włodkowa.

— Alboż pytać trzeba?—zawołał Samuel.—Ten łotr Wojtaszek, spoliczkowawszy mi Boksickiego, konia dopadł i umknął. Lękam się go, bo jak pięknie śpiewa, tak brzydko zdradzić mnie i wydać gotów, a wszystkich moich uczynków świadom jest.

Słuchała Włodkowa, lecz wnet potem odradzać i zaklinać poczęła, aby się do Krakowa nie ważył, gdyż wiedziała od Krzysztofa, że pomimo zbiegowiska na każdego tam człowieka oko miano, a Samuelowi ukazanie się w Krakowie płazemby nie uszło.

Tylko, że z Samkiem rozprawiać, gdy on co postanowił, było to groch ciskać o ścianę. Słuchał, śmiał się, ale zawsze potem swoje zrobił. Udawało mu się bezkarnie dokazywać dla samego zuchwalstwa, które wszelką przechodziło miarę.

I teraz więc, gdy Włodkowa, po rękach go całując, usiłowala pohamować, on ją ściskając, wesoło upewniał, że cały wyjdzie, a wesele widzieć musi.

Znacznym będąc i wzrostem, i twarzą, i postawą, którą kto raz zobaczył, nie zapomniał, z trudnością się mógł do Krakowa dostać niepostrzeżonym, lecz nazajutrz rano, konia zmieniwszy u Włodkowej, i suknie wziąwszy od jednego z jej czeladzi, przebrawszy się jako mógł najlepiej, przededniem jeszcze dobrze wyjechawszy z Piekar, nocą stanął w Krakowie.

Tu ani myślał zgłaszać się do braci na Franciszkańską ulicę. Miał w rynku mieszczanina sobie oddanego, którego Pająkiem zwano i do tego się wślizgnął, aby mu chociaż okna na strychu dozwolił.

Cierpła wprawdzie Pająkowi skóra na grzbiecie, bo się nasłuchał, jak tu na Zborowskich się odgrażano i co o nich trzymano, ale Samuelowi się sprzeciwić nie było sposobu. Gwałtem i przebojem na swojemby postawił. Na strychu więc, choć już komu innemu przyrzekł był

komórkę, musiał ją dla Samka oddzielić, zalecając mu tylko, aby się nie pokazywał.

— Bądź spokojnym—rzekł Zborowski—mam ja jeszcze dosyć do czynienia, abym zawczasu szyję ważył. Skryję się dobrze,ale niech ludzie nie powiadają,żem ja uląkłszy się odgróżek Zamojskiego, na to widowisko bał się przybyć.

Z onego okna na strychu wprawdzie nie całe szranki, nawet się wychyliwszy, objąć było można, — zawsze jednak mógł Zborowski turniej oglądać i z harcujących się wyśmiewać.

Na myśl mu wcale nie przyszło, ażeby wśliznąwszy się do Krakowa, miał zarazem natknąć się na tego zbiega, którego odzyskać pragnął. Tymczasem stało się, że Wojtaszek do Krakowa się dobiwszy, nigdzie tu przytułku znaleźć nie mogąc, pod murem zewnątrz cmentarza Panny Maryi, konia głodnego trzymając w ręku, noc musiał spędzić. Dopiero mu nad ranem przyszła myśl szczęśliwa do Pająka się udać, którego znał i wiedział, że mu nie odmówi pomieszczenia.

Zobaczywszy go, Pająk ani pytał, tak był pewien, że z panem Samuelem razem przybyć musiał, na zapytanie więc o miejsce, na strych go poprowadził i wepchnął tam, gdzie się Zborowski zmęczony na garść słomy pod dachem znalezioną rzucił. Zobaczywszy pierwszy wchodzącego Wojtaszka, którego oczy z ciemności wschodów jeszcze się ze światłem nie oswoiły, zerwał się Samuel i nim lutnista się opatrzył, schwyciwszy go za kark, wstrząsnął nim i obalił na ziemię. Nim twarz pańską rozeznał, rękę jego poczuł Wojtaszek domyślił się, jak tu wpadł nieszczęśliwie; zażył więc fortelu, mrucząc, że sam przecie przybył, aby mu się oddać.

Jak się rozprawili starzy znajomi, to opowiedzieć trudno; chytry i przebiegły Wojtaszek, jak całe życie uwodził i co chciał, czynił ze Zborowskim, tak i teraz okłamał go najłatwiej, przebaczenia nawet prosić nie potrzebował i wkrótce potem stanął za nim patrzeć na turnieje.

W ten sposób tylko to, co się stać miało wcześniej, przewlekło się, bo znużony, głodny, pieszczony lutnista,

który grosza przy duszy, uchodząc nie miał, a zarobić go dotąd nie miał zręczności, poddał się Samuelowi, choć go może tak samo a może więcej, niż wprzód, nienawidził i miał stałe postanowienie, zdradzając go, wyzwolić się. Było mu to nawet na rękę, że się pojednał z panem, bo się spodziewał listy Krzysztofa, powróciwszy z nim do Kamienia, wykraść i nimi lepiej, niż słowy przekonać, iż Samuel z Krzysztofem zmawiali się i czyhali na żywot króla i hetmana.

Przez cały czas turniejów, Samko tak nimi był zajęty, iż prawie na Wojtaszka nie spojrzał, a lutnista układał przyszłe swe postępowanie. Jakiemi uczuciami oba względem siebie ożywieni byli, najlepiej to dowodzi, iż Wojtaszek obmyślał już tylko środki, jak ma skrypta opanować, a Samuel rozważał w sobie, co lepszem było,— czy Wojtaszka z Motrunką gwałtem ożeniwszy, trzymać nadal przy sobie, czy go na łowach ubić, jak Trepkę.

Śpiew jego mu był potrzebnym, do chłopca nawykł miał do niego słabość, ale się go obawiał i nienawidził i prędzej czy później przeczuwał w nim pragnienie zemsty i zdradę.

Gdy się to działo na strychu w domu Pająka, z kamienicy pod Baranami, onej sławnej, o której baranach Bielski napisał satyrę, wiele mającą rozgłosu, wyciągał po murzyńsku przebrany Mikołaj Wolski, miecznik koronny, krzepicki starosta na wózku pozłocistym. Około niego było ośmiu trębaczów w złoto i szkarłaty przyodzianych bardzo suto, jechał też rycerz we zbroi złoconej, a na wozie o trzech kołach Fama, ponad którą unosił się orzeł biały. Wozem powoził rycerz zbrojny jednym koniem pod kapą szytą, a tego sam Wolski reprezentował. Oprócz Famy, wszyscy trębacze i rycerze czarno umalowani, wyrażali murzynów, z innego świata przybyłych na odgłos Famy.

Początek ten dosyć się wszystkim widzom podobał i aplauzów mu nie brakło, ale tuż nadciągały inne dziwy tak, że starosta krzepicki znikł z oczów wśród gęstego tłumu.

Za Famą szedł elefant ogromny, jakby żywy, chociaż

wiadomem było, że w czterech nogach jego stali czterej wyuczeni ku temu pachołkowie miejscy i one po kolei podnosili; na słoniu zaś tym, jako się to praktykuje tam, gdzie są one do posługi wyuczone, stała wieża wspaniała, z której górnego piętra rozmaite ognie puszczano.

Nakoniec jadący za nimi na trzech żywych wielbłądach murzyni nieśli złotą zasłonę, velum i jechał kawaler po murzyńsku strojny pstrokato, a z nim czeladzi i giermków kilkanaście, wszyscy strojni.

Wtem z kamienicy Kiślinga wyjechał pan Miński Stanisław, późniejszy wojewoda łęczycki, ale w niefortunną godzinę. Wóz miał na sterach obłokiem okryty, na którym siedziały obok siebie, jak się i to na świecie dziać zwykło—Fortuna i Nieszczęście. Obłok był z bawełny bardzo misternie uczyniony, wóz zaś ciągnęli trzej orłowie, na którym siedział Jowisz i ciskał straszne błyskawice i pioruny. A no się nie opatrzyli, iż bawełna od lada iskry strasznie płonie, więc się wziął na wozie pożar natychmiast, zapalił wóz, i ledwie nie wszystko w nim zgorzało, a sam bóg z wozu uchodzić musiał, aby nie spłonął; ale ogień, choć nie bez wielkiego trudu ugaszono.

Wszystko się to małem czem zakończyło, ale że ludzie z każdej rzeczy prognostykony ciągną, zaraz się gadanie wzięło, że małżeństwo niebardzo będzie szczęśliwe i nietrwałe...

Do orszaku tego należało też dosyć giermków i koni pod dekami powodnych, których okrycia nie tylko konia ale stołuby nie zeszpeciły.

Ukazała się zatem *Porta tryumfalis*, cudnie, pięknie i kosztem niemałym zbudowana na kołach, których wcale widać nie było. Ta się wysunęła od kamienicy Wajsowskiej i przeciągnięto ją aż za kramy nożowników, gdzie miejsce swe zajęła.

Jechał pan Mikołaj Zebrzydowski, starosta stężycki, z muzyką pięknie postrojoną, za którą postępował *Tempus*—Czas, bardzo kosztownie odziany w altembasy. Przed nim zaś posuwała się bania okrągła ze złotego płótna uszyta. Tempus, siwy, brodaty starowina, poganiał Dzień i Noc, wóz ciągnęły Godziny, to jest dwanaście chło-

piąt białych a dwanaście czarnych z zegarkami na głowach. Czarne—w atłasach i kitajkach, białe—gwiazdami siane.

Za czasem szło posłuszne mu i jak godziny do niego przywiązane Słońce i Księżyc. Kończył pochód kawaler Saturnusowy, przed którym szli dwaj patronowie i czterech lokajów, bardzo wykwintnie ustrojonych.

Wszystko to, jako i kunszty poprzedzające, przeciągało przed królem i królową, którzy okazywali uciechę z tego widowiska, chociaż więcej ono pono dla gawiedzi, niż dla nich uczynione było, a Anna Jagiellonka poczekawszy nieco później, bodaj ziewanie, chustynkę na ustach trzymając, pokrywała.

Książęta słuckie królowi jegomości chcąc zarówno jak hetmanowi uczynić przyjemność tę, że im wiktoryę ich świeżą na pamięć przywiedli, całą niby wyprawę w osobach i emblematach reprezentowali. Tuż za nimi jechali trębacze w zbrojach pozłocistych, a dalej stu rycerzów na koniach i piechota z pozłocistemi szefelinami po staroświecku i wozy, na których Połock, Sokół, Wieliż, Wielkie Łuki, a na innych czterech wieziono skarby, skrzynie trzy, niesiono kubki, i szli dziwnie poubierani mężowie, niby jeńcy wojenni. Przyczem, żeby się ludzie nie cisnęli, wodą zaprawioną wonnościami na tłum strzykano.

Tego całego tryumfu dla wielkiej rozmaitości osób, z jakich się składał, opisać jest trudno, gdyż mnogość była i więźniów i rycerstwa i niewiast powiązanych, niesionych łupów, i chorągwi, i wszelakiej zdobyczy wojennej, jako to na tryumfach rzymskich, których kolumny pamiętne dotąd stoją, widzieć można.

Jechał i drugi Saturnus na wozie, który się sam poruszał, albo-li też pod okryciem schowani ludzie go posuwali, ale ich widać nie było. Szli i szwajcarowie w zbrojach pozłocistych, których było osiemdziesiąt, za którymi jechał wóz modry, gwiazdy złote po nim, miesiąc, słońce i *Spees*, nadzieja, którą ślicznych pięć koni białych ciągnęło.

Za tymi dwunastu mężów w błękitnych atłasach, nieśli w rękach dwanaście kubków pozłocistych, każdy inny, a jeden nad drugi piękniejszy robotą. Dalej jeszcze była

czeladź książęca mnoga i same książęta od złota i klejnotów świecące i sześcioro pacholąt dziwnie strojnych, które kopie niosły za nimi.

Można sobie wyobrazić na to patrząc, jaka zamożność tego domu być musiała i zasoby, których się tu ledwie jakaś cząsteczka okazywała.

Ponieważ król Stefan zwać się mógł wielkim łowcem, bo myśliwstwo wszelakie miał w upodobaniu, i począwszy od ptaków, psów, sieci i oszczepu do wabika, wszelkiej łowieckiej zabawce hołdował, więc mu tu Stanisław Żółkiewski wojewodzic bełzki, boginię samą łowów Dianę reprezentował bardzo foremnie, że patrząc na nią, królowi się ciemne jego uśmiechnęło oblicze, na co mnodzy patrzyli świadkowie... Wojewodzic cały przyodziany był w kolor leśny, zielony, a za nim szło sześć panien i sześciu mężczyzn, zielono także poubieranych, bardzo kształtnie, którzy wiedli żywe jelenie, sarny i psy różne. U kobiet, czyli nimf, włosy rozpuszczone na ramiona w puklach, iście złotem lśnić się zdawały. Wśród nich patrona w srebrnogłowej szacie, przy niej dwie niewiasty, jedna w atłasie białym, druga w—szkarłatnym.

Diana, przed królem mało co postawszy i pokłoniwszy mu się, siadłszy na koń, w dalszą drogę ciągnęła, innym miejsca ustępując.

Wszystkiemu temu nie koniec był jeszcze i przeciągnęło się to bardzo długo.

Zaczem Joachim Ocieski, starosta olsztyński, wyjechał z Gródka na wozie umajonym, który ciągnęło sześć koni ze skrzydłami przyprawionemi, a on sam konno po kawalersku. Na wozie wiezion był Kupido z chłopcem, który ślicznie pieśni miłosne zawodził, a przygrywała mu muzyka osobliwa, tak, że wszelki gwar dla niej ustał. Przyczem ciągle ognie sztuczne miotano.

Naostatek co najprzedniejsze, zdaniem wielu pozostało, wiedzione przez panów Jana i Piotra Myszkowskich, synowców rodzonych arcybiskupa, którzy ochędostwem i kunsztem nad innymi celowali. Naprzód szła muzyka nad insze pięknie, kosztownie a chędogo ubrana, za nią czterej trębacze w żółtym z białym atłasie, za którym wieloryby dwa ciągnęły, muszlę morską, której z oczu i noz-

drzy woda wonna tryskała na ludzi, od czego jednak ustępować musiano, bo z oczów nie patrzała, ani gąb. Na tej tedy muszli albo czaszy siedziała Wenus w złotogłowiu wielce pięknym brunatnym, obszywanym żółtym i białym złotogłowiem; na głowie miała takiż strój.

Muszla i wieloryby przypominać miały, iż poeci greccy i rzymscy opiewali ją, jako z piany morskiej zrodzoną. Szły obok niej osobliwe pokonterfektowane cztery niewiasty, wyrażające Europę, Afrykę, Azyę i *quarta pars mundi*, której nazwisko niestałe jeszcze było. Każda z nich miała swe *signa* i oznaki.

Szedł Parys z rękami w tyle związanemi, za którym jechali dwa patronowie w złotych koronach pięknie ubrani, a z tych jeden niósł jabłko złote, wdzięczną wonią napełnione, dar Jowiszowy Parysowi, z napisem: *Pulchior detur*.

To oddane zostało panu kanclerzowi, jako się samo z siebie rozumie, dla wręczenia jejmości.

Czeladzi było dwanaście, w żółtych, w czerwonych, w białych i modrych atłasach, cztery konie powodne, deki na nich szyte—atłasowe, błękitne, czerwone, żółte. Te wiodły białogłowy pięknie strojne, w kitajkach wiśniowych.

Wszyscy szli mimo króla po razu, tylko ostatni panowie Myszkowscy dwakroć, bo było na co patrzeć i czem się zabawić.[1])

Synowcowie tego krakowskiego biskupa z Wenerą

---

[1]) Dwa mamy podobne, ale nieco się różniące od siebie opisy tego charakterystycznego widowiska, w Bielskim i Paprockim. Jeden i drugi dopełnia i prostuje. Paprocki był tam naówczas, patrzył sam, a dlatego tylko niedosyć, jak powiada, „dokładne dał opisanie," bo drudzy zasie woleli upatrzeć kędy mieszek z gotowym dziesiątkiem złotych, a misternie go oderznąć, co i mnie samemu uczynili. A dla tego za złe nie miej, jeśli się co dla frasunku nieporządnie napisało, bom zbył w ciżbie piętnaście talarów i maćka połowicę. (Paprocki, Herby). P. A.

zakończyli reprezentacyę tę, przy której *pro rei memoriam*, srebrne medale znane z napisem: *Livon*, *Polot*, *Recep*, rozrzucano.

Co się tam w duszy Samuelowej działo, gdy na te okazałe tryumfy, na hołdy całego narodu i najprzedniejszych rodzin patrząc—o upokorzeniu swej familii dumał, to twarz jego, zmieniona okrutnie męczarnią wewnętrzną, aż do zbytku wyrażała, a Wojtaszek, czytając z niej, radował się, bo jego nienawiść dla pana równała się tej, jaką Zborowscy przysięgli Zamojskiemu.

I obaj ci na strychu ukryci widzowie knuli,—jeden pomstę nad tryumfującym hetmanem, drugi zgubę tego, którego chleb jadł od dzieciństwa.

W tłumach mógł Samuel z tego okienka dostrzedz i brata kasztelana, który pomiędzy widzami poczesne, jawne miejsce zajmował, a zdawał się zabawiać wielce jemi kunsztami, dawno tu niewidzianemi, które lud prosty „pańskiemi maszkary” nazywał.

Wyjąwszy ową nieszczęśliwą pogorzel z bawełnianym obłokiem, o której wprędce zapomniano, wszystko poszło tak składnie i gładko, iż w tłumach nikogo nie zduszono i nikt się nie ozwał ze skargą. Zaś tryskanie wodą wonną wielce się gawiedzi podobało.

Król też weselszy powstał po widowisku, wraz z królową nowożeńcom na zamek towarzysząc.

Pająk, jako się znał na gościnności, a Samuela, gdyby ognia się obawiał, choć wiedział, że jemu tu się okazywać niebezpiecznie i ze stroju mógł wnosić, że widzianym być nie chciał, nie mógł go puścić wygłodzonego bez jakowegoś traktamentu. Na ten cel w alkierzyku odosobnionym stół wcześnie był zastawiony: miód, wino i zawiesista pieczeń, na którą zaprosił pocichu

Nie dowierzając Wojtaszkowi, choć ten mu się jakby dobrowolnie stawił, kazał Zborowski iść mu za sobą. We trzech tedy wśliznęli się do komórki, na cześć pana Samuela dwoma żółtemi świecami woskowemi oświetlonej, i gość bez ceremonii u stołu miejsce zabrał, a Wojtaszek, nawykły z nim razem biesiadować, prosić się nie kazał. Spojrzał nań tylko Samuel, ale mu nic nie rzekł.

Pająk z złożonemi w tył rękami stał na straży.

— No—zawołał pan Samuel, obracając się do niego—dopełniło się tedy! Mamy jako we Francyi Delfina, bo to już i ślepy dojrzy, że pana Zamojskiego prowadzą do korony, ale jakośmy ją dali niewdzięcznemu Batoremu, bo nie kto, tylko my na karki nasze wnieśli,—tak nie dopuścim, aby szarak ten nam panował. Wstyd i srom po Jagiełłach i Piastach—Wilcze zęby i Kożle rogi! Niedoczekanie ich!

Pająk milczał i aż mu się zimno robiło; gdy Samuel na niego spojrzał, zobaczył twarz ściągniętą i błagającą, aby poprzestał. Rozśmiał się więc Zborowski, nalał sobie kubek i za zdrowie Pająka go wychylił.

— Tak, oto widzisz—rzekł—losów igrzysko! Ten obcy człowiek nam tu panuje i rozkazuje, a my, ojczyce tutejsi, do których ta ziemia należy,—nie zawojowani orężem, ani pobici, ale dobrowolnie w sidła się oddawszy, musimy tyranię znosić, banitami się błąkać,—i patrzeć, jak dobrem naszem szafują ci, co pochlebiać umieją.—Ale, Pająku miły, czas płaci, czas traci... jutro jeszcze nie koniec świata, a ci, co we flussa grywają, mówią, że gdy kilka razy są pobici, pewno im los gotuje zapłatę. Tak się i nam zda, że przyjdzie dla panów Zborowskich godzina szczęśliwsza, naówczas im się też ludzie kłaniać będą.

Wtem, zadumawszy się nagle, gdy mu myśl jakaś przyszła, zwrócił się do Wojtaszka.

— Konia masz?

— A juścibym pieszo nie chodził—odparł lutnista,—choć mnie, jak jemu, dobrze się boki wciągnęły.

— Jedźże za mną i abyś mnie na krok nie odstępował—rzekł Samuel—a podle domu na Franciszkańskiej oba konie, nie wchodząc, potrzymaj, bo ja tam nie zabawię, a nie trzeba, ażeby mnie ani ciebie tam widziano.

— Tom ja już parobkiem do koni?—spytał Wojtaszek dumnie.

— Tem będziesz, czem ja ci być każę?—zawołał Samko.

— Nie, swojego konia wezmę, waszego dajcie komu ze dworu.

I mówiąc to, odwrócił się. Zborowski miał widocznie ochotę dać mu naukę, ale się powstrzymał i rozśmiał gorzko.

— Dajże tu kurze grzędy!—zawołał.—Chodź wasze.

Pająk wprowadził ich na podwórze, gdzie szkapy znalazłszy napojone i niegłodne, siedli na nie, wyciągając z kamienicy w rynek, kędy około stojącej bramy tryumfalnej siła ludzi zgromadzonych—śmiało się i pieśni śpiewało.

Gromadki podpiłych wałęsały się po rynku, a miasto wyglądało tak, jakby wcale spać nie miało tego dnia. Noc też czerwcowa dziwnie była piękną, jasną i ciepłą. W browarach i po szynkach czeladzie panów przyjezdnych nie tylko stoly obsiadaly, ale izby tak były nabite, że się już do środka nikt dostać nie mógł. Ławy, powystawiane na zewnątrz, także pozasiadano gęsto, a tu i owdzie odzywały się pieśni.

Cała zresztą droga, wiodąca do zamku, była pełną przechadzających się i przejeżdżających, których pomijając i Samuel popędził pod dom swój i tu wywoławszy czeladź, konia swego oddawszy, a i Wojtaszkowego kazawszy mu odjąć dla bezpieczeństwa, sam wprost do podczaszego szedł, pewien, że go zastanie i że on na zamku nie urzęduje.

Jakoż odgadł: Krzychnik siedział nad listem, gdy Samuel wpadł i dwaj bracia na piersi się sobie rzucili. Ze strony przybywającego poryw ten był szczerym, bo wrażliwy i namiętny Samuel zawsze równie gotów był ściskać, jak bić; ze strony zaś Krzychnika rachubą ten uścisk pachniał, bo chciał sobie brata pozyskać, związać go, przyciągnąć, uczynić swym sługą. Jednego przecież chcieli oba....

— Aleś ty oszalał, Samku!— zawołał,—żeby im w ręce leźć dobrowolnie! Prędzejbym się był dziś spodziewał tu oglądać nie wiem kogo, niż ciebie!

— Widzisz, że mi na męstwie nie zbywa—odparł dumnie Samuel—Chciałem widzieć w oczy żywe te ich

tryumfy, abym ku nim nienawiść w sobie rozżarzył i odżywił. Nasyciłem się też dobrze i nie żal mi tego!

Usiadł naprzeciw Krzychnika.

— Nocować tu nie myślę,—rzekł—bądź spokojnym; koń na mnie czeka, jadę! tylkom ciebie widzieć chciał i spytać— a co?

— Ja zaś ciebie i pytać nie potrzebuję—rękę wyciągając, zawołał Krzychnik—my z tobą we dwu,—jedna dusza, jedna ręka. Podołamy i bez pomocy. Na Andrzeja rachować nie można; do gotowego przyjdzie, ale gotować nie będzie. Jan zaś, ich człowiek jest, nie nasz. Poprzysiężmyż sobie na śmierć i życie, że im zgubę a pomstę rodowi naszemu zgotujemy!

Samuel podniósł rękę do góry.

— Przysięgam!—zawołał.—Przysięgam! Nie cofnę się!

— Ani ja, przysięgam!—krzyknął Krzychnik.

Wstał zaraz Samuel.

— Do Piekar muszę jeszcze tej nocy—rzekł i w czoło go pocałował.—Z Piekar kędy się obrócę,—do Złoczowa, do Kamienia, do Lwowa, nie wiem, ale dam znać. Śledź ich kroki... ja kanclerzowi sprawię przenosiny!

Rozśmiał się dziko.

— Zdrów mi bywaj!

Pocałowali się raz jeszcze, Krzychnik, odprowadził go do progu, dalej nie śmiejąc. Samko wybiegł, na siodło skoczył, za Wojtaszkiem się obejrzał, cmoknął na konia i ruszyli do Piekar. Noc była rajska.

VI.

Po weselu zaraz król do Niepołomnic jechał dla spoczynku, skąd się miał znów do ulubionego udać Grodna, kędy pono pod ten czas działa lano; kanclerz zaś dla spraw różnych pozostał na zamku w Krakowie, skąd się wybierał z żoną do Knyszyna.

O Zborowskich całkiem jakoś ucichło, chociaż na rozjezdnem król przy zręczności, po kilkakroć powtórzyl

hetmanowi, że oni wszyscy zdrajce są, że przez nich się mnoży i utrwala opór u szlachty, że oni nienawiść sieją, nada-li się okoliczność—surowo i bez litości przeciwko nim wystąpić potrzeba.

Krzychnik znikł z Franciszkańskiej ulicy, spiskując po kątach, a marszałek, choć dostawszy dwa tysiące jurgieltu, za przejednanego uchodził, równie zajadle w duszy przeciwko królowi powstawał, jak bracia. Ta tylko była pomiędzy nimi różnica, że on milczał i malował się, a oni, ustąpiwszy, knowali i nieprzyjaciół zbierali, króla czyniąc tyranem nieznośnym.

Kasztelan gnieźnieński niczego się nie domyślał i o niczem nie wiedział.

Samuelowi nie starczyło podżeganie, przygotowywanie się i jego powszednie zabawki, więc krążył ciągle niespokojny, zagrzać nigdzie miejsca nie mogąc, a często potajemnie do Włodkowej zajeżdżając, gdzie wesoło dni parę spędziwszy, szukał potem innych rozrywek.

Wszakże to jego snucie się po kraju, na pozór niewinne, cel swój miało. Nigdy i nigdzie się nie pokazał Zborowski, żeby nie próbował ludzi sobie jednać do kupy przeciwko królowi i Zamojskiemu.

Ale mu się to teraz wcale nie powodziło. Wiedziano w kraju o tej wojnie, wypowiedzianej Batoremu przez Zborowskich i o postanowieniu najsurowszego odwetu. Nikt się na zemstę narażać nie chciał! Surowemi słowy zbywali go ci nawet, co mieli powody do żalu i niechęć w sercu. Szczupłą bardzo mógł około siebie zebrać gromadkę takich, jak Boksicki, nieznaczących ludzi, lub znanych warchołów.

Mało czyniąc tajemnicy z tych przejażdżek, często po miejskich gospodach publicznie głos podnosząc, a obrońców króla napadając i lżąc,—Zborowski więcej sobie szkodził, niż do przyszłej jakiejś roboty przygotowywał.

Z Krzychnikiem tymczasem trwała korespondencya, listy się mnożyły, a ów przebiegły podczaszy, pod wrażeniem bezsilnego gniewu, wywnętrzał się nieopatrznie. Nieopatrzniej jeszcze pan Samuel rzucał te listy, tak, że Wojtaszek wszystkie je mógł czytać i na wąs motał.

Leżały one w otwartej szufladzie, liczone wprawdzie, lecz wszystkim do nich zaglądać było można.

Z Wojtaszkiem, którego w myśli to zabijał, to żenił, Samuel wreszcie chciał uczynić koniec. Sprzykrzyła mu się Motrunka, choć piękna, a Anusia też nalegała u ojca o pozbycie się jej. Wojtaszka więc z nią połączyć, dać im albo ziemi kawał, albo jurgielt, śpiewaka we dworze zatrzymując, miał już mocne postanowienie.

Jednego też dnia, a było to znowu w Białym Kamieniu, przywoławszy do siebie lutnistę, oświadczył mu Samuel, że z Motrunką się miał ożenić, przyczem mu zagroził po swojemu:

— Jeżeli ci żywot miły!

Wojtaszek dumnie się rozśmiał.

— Żywot miły mi, jako i wam—odparł—i Motrunka podczas miła, ale żebym się miał żenić i nią świat sobie wiązać?...

— Musisz!

— Ho! ho!—odparł Wojtaszek.—Ja musu nie znam... Jam wolny człek, tak, jako i wy.

O mało za to porównanie nie porwał się do niego Samuel, ale ilekroć na Wojtaszka miał się rzucić, zawsze go coś wstrzymywało.

— Mówiłem ci raz, jeśli żywot miły!—powtórzył.— A ty wiesz, że ja nadaremno nie obiecuję. Miejże rozum, do ślubu się gotuj. Nie było ci jej bałamucić.

— Ja jej nie bałamuciłem—zawołał lutnista.—Chyba ona mnie... a temu ja nie winien. Wojtaszek wyżej patrzy.

— Aby tylko jeszcze wyżej nie zawisł—rozśmiał się pan Samuel.—Jeżeli ufasz, że ja ci dla tego piania życie daruję, mylisz się. Już mnie ono do łez nie pobudza, już ja nie ten, a i twój śpiew teraz brzęczenia komara nie wart.

Wojtaszek, który dumnym był tym swoim głosem i kunsztem nadewszystko, rzucił się i wyszedł z izby. Samuel dał mu iść.

Braciszek Zapatelli miał tedy ślub dawać, chociaż księdzem nie był. Na pierwsze o to wezwanie, Włoch się

śmiać począł i odpowiedział, że nie jest kapłanem, ale że pomimo to ślub dać gotów, tylko on nic wart nie będzie.

— Co? dla takiego trutnia?—zawołał Zborowski.— Ho! ho! ślub twój jeszcze dla niego zanadto dobry. Ja mu będę księdza lepszego szukał? Habit nosisz! Do mnie katolicki ksiądz nie pojedzie żaden.

— Pewnie, kiedy dominikanom takie wyrządzasz despekta!—zaśmiał się Zapatelli.—No! no, mnie się widzi, że Wojtaszek do ślubu nie dostoi, a trzeba będzie go wiązać; ja mu ręce tak skrępuje, że krew tryśnie!

Włocha to bawiło, że mu ślub dawać kazano...

— Taki ślub!—myślał sobie.—A, czemu nie... Musi mi przecie za niego zapłacić, a jeszcze nie znam ani koloru jego pieniędzy, ni odoru!

Motrunka zapowiedziane ślubowiny wzięła za pewne i już uchwalone... pyszniła się niemi! Ale gdy o nich mówić zaczęła i nalegać na Wojtaszka, omało jej nie wybił. Poszła na skargę do Samuela.

— Już my go uchodzimy!—rzekł jej spokojnie.— Tylko ty mi się gotuj,—ja dzień naznaczę. Hajduków, gdy potrzeba, czterech go przyprowadzi i potrzyma, Zapatelli ręce wam zwiąże i pobłogosławi, a potem do łożnicy... i koniec.

W Wojtaszku, z którego cały dwór się wyśmiewał, mówiąc o tem weselu i prześladując go Motrunką, krew się gotowała ze złości. Spróbował raz jeszcze prosić Zborowskiego.

— Dajcie mi pokój z Motruną, ja was proszę i mówię wam, dajcie mi z nią pokój. Jam czegoś lepszego wart...

— Chyba szubienicy!—zakrzyknął Samuel. — Słyszałeś! Dziewczynęś uwiódł, była poczciwą, mnieś zdradził, musisz przypłacić.

— Nie pobudzajcie mnie do szaleństwa—rzekł lutnista.

Samuel zawrzał; nieposłuszeństwo to we wściekłość go wprawiało, rzucił się po raz pierwszy w życiu na Wojtaszka, pochwycił za suknię, w twarz uderzył, pod nogi cisnął i zdeptał.

Ledwie mu go służba z rąk wyrwała, boby go był na śmierć zakopał, a ludzie mieli rozkaz w podobnych wypadkach ofiarę precz odnosić, bo potem, ubiwszy, cierpiał długo. Pochwycono więc umęczonego straszliwie i słudzy ponieśli go na łóżko, gdzie wkrótce przybiegła Motrunka i już go nie odstąpiła.

Samuel ani się spytał, czy żyw. Dopiero w parę dni przypadkiem się dowiedział, że go smarują i pielęgnują. Żal mu się go nagle zrobiło. Poszedł do niego, siadł u łoża, ale Wojtaszek oczy spuścił i patrzeć na niego nie chciał; usta zamknął, nie odpowiadał. Cyrulik mówił, że jedno żebro miał zgruchotane, ale już się zrastało.

Lutnista powoli do sił powracał, ale milczał i nie mówił nic. Kilka razy sobie lutnię podać kazał, popatrzył na nią, wziął do rąk, i nim głos wydała, postawił. Zdrowie wracało, mógł już na łóżku siedzieć. Motrunka ciągle była przy nim; nie odpędzał jej, ale nie chciał mówić ani z nią, ani z nikim. Gdy w izbie nikogo nie było, wstawał ostrożnie, próbował się przechadzać, ręce wyciągał, w zwierciadle twarzy się swej przypatrywał. Powoli też, co miał lepszych rzeczy począł zbierać i do izby znosić, ale je chował pod łóżko.

Z dworzany i służbą, jak zawsze, źle był, tak i teraz pozostał. Nie miał nikt nad nim litości, bo on też z nikim się dawniej nie obchodził po ludzku, a każdego zrażał dumą i szyderstwem.

Jednego dnia, gdy Samuel po łowach spoczywał, wpadła do jego izby, łamiąc ręce, Motrunka.

— Wojtaszka niema! Albo się utopił, lub kto wie, co się z nim stało!

Na wołanie Zborowskiego zbiegła się służba.

Prawdą było, że Wojtaszek zniknął, ale nikt nie miał pojęcia, ani kiedy, ani jak się mógł wymknąć. Wierzchowca znowu najlepszego w stajni zabrakło i kulbaki z rzędem, a wiele rzeczy Wojtaszkowych w izbie się nie znalazło.

W kilka dni potem reszty niedopalone w lesie świadczyły, że je tam, uwieść nie mogąc, zniszczył.

Motrunka zachorowała z rozpaczy, ale i pan Samuel

nie rad był, ani spokojny, choć pogardliwie powtarzał, iż mu lekko było, że się pozbył nieznośnego darmozjada.

Teraz nawet tęsknił już za jego śpiewem niekiedy. Ludzie, wysłani na zwiady do Złoczowa i do Lwowa, tyle tylko dojść mogli, że w istocie widziano go w mieście i na gościńcu, że nie zdawał się uchodzić, ani śpieszyć, lutnię dobywał i grał i śpiewał, a ludzie się mu przysłuchiwali i zachwycali.

Tknęło coś Zborowskiego, aby listy Krzychnika przejrzał, czy są wszystkie. Zdało mu się, że żadnego nie brakowało. Odetchnął.

Do Krakowa do braci i do Piekar dał znać, aby—jeżeli się gdzie Wojtaszek pokaże, łaskawie się z nim obeszli i zatrzymywać się go starali. Ale o lutniście nigdzie nie było słychać.

Tęsknił za nim i gwałtowność swą sobie wyrzucał trochę Zborowski; wreszcie potrosze zabył. Miał zawsze nadzieję, że ten zbieg powróci. Tymczasem słuchu o nim nie było.

Zajęła też Zborowskich sprawa z Zamojskim, bo do niej się teraz tak przyczepili gorąco, iż o wszystkiem innem zapomnieli.

Stanowczo napad na kanclerza był uchwalony. Nie kto inny miał go dokonać, tylko Samuel ze swoimi ludźmi, gotowymi za nim w ogień i w wodę. Liczba potrzebna już się dopełniała.

Posłano do Knyszyna wyśledzić napewno, ilu, jakich, i jak zbrojnych ludzi zbierał z sobą hetman, gdy naprzykład z Zamchu lub Knyszyna udawał się do Krakowa.

Wysłany na zwiady Boksicki przywiózł bardzo szczegółową wiadomość, z czego się dwór składał, ile było hajduków, czeladzi, wozów, kto dowodził, kto jechał u boku Zamojskiego. Wszystko to razem, chociaż na spokojny czas dosyć było pokaźne, nie przechodziło głów sześćdziesięciu, a Samuel tak swoim ufał, że w równej liczbie nie wahał się napaść, z tem tylko, aby siła na dwa oddziały była podzieloną i z dwu stron naskoczyła równocześnie.

W lesie, na drodze, albo na noclegu niezbyt od Krakowa blizko, chciano napaść hetmana. A że zbieranie ludzi, dopełnianie dworu i cały ten zachód mógł zwracać

oczy i budzić podejrzenia, puszczona była umyślnie pogłoska, którą wszędzie powtarzano, że Samuel, sprzykrzywszy sobie żywot banity w kraju, miał zamiar do Włoch na wieczne wyjechać czasy, syna dla nauk w Niemczech zostawując.

Głoszono też, że Krzychnik zapewne towarzyszyć mu będzie; widząc, że w kraju, oprócz prześladowania, nic się już Zborowscy spodziewać nie mogą. Zatem oba mieli pozostać za granicą i osiąść w Malcie, jako ludzie rycerscy dla walki z niewiernymi i t. p. Miała ta wieść pewne pozory prawdopodobieństwa, tak, że jej nieznający bliżej Zborowskich, uwierzyć mogli.

Samuel z jednej strony tem się ubezpieczając, — z drugiej—jawnie ludzi ściągał, gromadę swoich hajduków powiększał, a po gościńcach i gospodach niemal otwarcie nieprzyjaciół króla i hetmana szukał, do siebie ich ściągając.

Mało kto wierzyć chciał, ażeby Zborowscy, w kraju dając za wygraną, mieli poza granicami jego szczęśliwszych dla siebie wyczekiwać czasów.

Widywano Samuela, snującego się po gościńcach, zajeżdżającego do dworów, przesiadującego po miejskich gospodach całemi tygodniami i nie śpieszącego z wyjazdem tym do Włoch, o którym mówiono ciągle, a zawsze się on odwlekał. Dla baczniejszych jawnem to było, że upatruje i wyczekuje zręczności jakiejś, aby zamiar swój rozprawienia się z kanclerzem przyprowadzić do skutku.

Za Wojtaszkiem też kiedy niekiedy słano, śledząc, gdzieby on się znajdował i chwytano o nim wiadomości, że tam i owdzie po dworach śpiewając i grając, zabawiał się, przenosząc z miejsca na miejsce.

Samuelowi, aczkolwiek w gotowości był i plan miał osnuty, nie tak łatwo przychodziło doprowadzić go do spełnienia, bo zawczasu nigdy wiedzieć nie mógł, kędy się uda hetman, gdzie i jak długo będzie przebywać. Czatować więc musiał, języka dostawać i ubezpieczać się, aby się na zbyt przeważną siłę nie rzucił, lub w takiem miejscu, gdzie pomoc rychła nadbiedz mogła.

Rzeczy więc, choć obmyślane i postanowione, szły

w odwłokę, a Samuelowi się to wielce przykrzyło, bo wolałby był więcej ważyć a prędzej skończyć.

Wojtaszek zaś, zepsute chłopię, wiódł żywot nieszczęśliwy, opuści..szy S.muela, który dla niego nadto był pobłażającym, potem zbyt okrutnym, ale przecież dbał o niego i on coś znaczył przy nim—był mu potrzebnym!

Gdzieindziej zaś po małych dworach—lutnista obudzał chwilową ciekawość, słuchano go chętnie, podziwiano, ale nigdzie na dłuższy czas lekkiego człeka nikt nie chciał zamawiać. Odprawiano go z małym podarkiem i trzeba było iść dalej. U panów a magnatów, którzy muzyki swoje mieli, nie zbywało i na śpiewakach, na cytrzystach i t. p. a nie znano się tak na muzyce, aby Wojtaszka odróżnić od innych i dać mu prym nad nimi.

Im dłużej więc trwała ta przymusowa włóczęga Wojtaszkowa, tem mocniej żałował, że porzucił pana Samuela i nie potrafił się z nim zgodzić. Do żadnej innej pracy zepsute i rozpróżnowane chłopię nie czuło się zdolnem. Umiał wprawdzie czytać i pisać, pieśni swe dla niektórych osób kaligrafował i sprzedawał, ale wszystko to na życie, do jakiego był nawykł, nie starczyło.

Chociaż, uchodząc z Kamienia, co mógł, w sakwy z sobą zabrał Wojtaszek, niewiele tego było, bo konia na długą podróż nie mógł obciążać. Tak więc lutnista markotny wielce, czas jakiś pokrążywszy po dworach, których panów znał z widzenia lub ze sławy, nigdzie stałego nie mogąc znaleźć pomieszczenia, bo, mimo biedy, wymagającym był, wysoko się cenił i żądał wiele, zawsze w końcu do Lwowa powracał, kędy w przedniejszej gospodzie u ormianina, Szeremiego, przesiadywać był zwykł. Tu zajmował maleńki alkierzyk, a dniami i wieczorami trzymał się w wielkiej wspólnej izbie gościnnej, z lutnią w ręku, pobrzękując na niej, nucąc potrosze, okazyi czekając, aby go do śpiewu zaprosił kto taki, coby potem podarkiem mu się wywdzięczył

Trafiali się tu możni przejeżdżający, bo gospoda Szeremiego była niemal jedyną, szczególniej dla tych, co na wschód dążyli; czasem i dzień, i dwa przyjmowany, pojony, karmiony, obdarzony Wojtaszek używał dobrego

bytu, ale potem następowały chude dni długie, gdy w gospodzie pospolici tylko ludzie spoczywali, a lutnista za swój miły grosz musiał posilać się i pragnienie gasić. A że u Samuela z młodu do życia bardzo dostatniego był nawykły, lada czem się nie ograniczał, trzeba mu było przysmaków pańskich, wina i konfektów. Przykrzyło mu się więc to życie na łasce losu.

Ten i ów wprawdzie, głos jego posłyszawszy, obiecywał mu polecić go któremu z panów z Tarnowa, z Melsztyna i t. p. ale się na próżnych obietnicach kończyło.

Na dłuższe wycieczki po kraju nie stawało Wojtaszkowi ani pieniędzy, ani wytrwałości, bo rozpieszczony był, leniwy i często zrana siadłszy z lutnią na kolanach na pościeli, brząkając i dumając, pół dnia strawił napróżno.

W godzinach, gdy przejeżdżający goście zwykli byli śniadać, lub wieczorami u gospodarskiego stołu w wielkiej izbie, zrzuciwszy pychę z serca, Wojtaszek przywdziewał najlepszą swą odzież włoską modą, brał lutnię i szedł tam, z boku się przysiadując na ławie, pobrzękując a podśpiewując.

Naówczas gospodarz Szeremi, człek dobry, na zapytania gości opowiadał, jaki to był przedziwny śpiewak i lutnista, któremu równego i na królewskim dworze było poszukać.

Zaciekawieni podróżni dowiadywali się, iż tego wędrownego muzyka za mały podarek można było posłyszeć i poili go, karmili, albo obdarzali,—aby im śpiewał.

Ale się to nie każdego dnia trafiało—i na gości coraz nowych potrzebując tak pracować, Wojtaszek na swój los ciężko bolał. Więc się wymykał w świat z gospody, jeździł po dworach, a zażywszy niewczasu, powracał nazad do Szeremiego. Był tu bezpiecznym od Samuela, bo ten miał inną własną gospodę we Lwowie.

Jakie myśli chodziły po głowie nieszczęśliwego, łatwo zgadnąć. Rachował zawsze, że zdradzając Zborowskiego, zyska coś za to u króla. Do wykonania jednak przystąpić nie mógł, potrzebował, aby go ktoś polecił, ułatwił mu to. Na Franciszkańską ulicę, do Piekar nie śmiał się

udać i zadaleko mu było. Przeciągał więc pobyt we Lwowie, o dawnym panu tu i owdzie dostając języka.

Naostatek na coś się już ważyć musiał, bo mu coraz gorzej być zaczynało. W początkach konia z rzędzikiem, którego z Kamienia uprowadził, utrzymywał w gospodzie, aby zawsze go mieć, gdy wyjechać zechce; lecz okazało się, że trzymanie go na stajni w mieście, niemal tyle kosztowało, co człowieka. Gdy więc bieda przycisnęła, musiał się postarać o to, aby wierzchowca zbyć, co mu przy pierwszej zręczności Szeremi ułatwił, sam na tem zarabiając.

Pozostawszy pieszo, gnuśne chłopię już się prawie z miasta dalej wybrać nie mogło i pozostawało niewolnikiem przy gospodzie.

Ormianin też coraz się z nim poufalej obchodził a mniej go szanował, gdy Wojtaszek miał się za bardzo wielkiego człowieka. Słyszał on po świecie o tem, co głośnem było, że Ciołek u króla Aleksandra głosem sobie i lutnią łaskę pozyskał i najwyższe dostojeństwa, że Grzegorz z Sanoka niegdyś śpiewem w początku zdumiewając, do arcybiskupstwa się wznieść potrafił.

Jemu się też zdawało, że głos i kunszt do równych losów prawo mu dawały. Wistocie jeden i drugi podziwiali wszyscy, ale oprócz pieśni i przygrywek nie umiał Wojtaszek nic, a tak dumą śmieszną i przesadzoną grzeszył, że nią wszystkich zrażał.

W czasie tego pobytu u Ormianina, do którego co przedniejsi ludzie zajeżdżać byli zwykli dla słynnej kuchni jego, a szczególniej dwór i urzędnicy królewscy, na Ruś posyłani, miał zręczność Wojtaszek wiele się dowiedzieć i nasłuchać. Nie zważano nań bardzo, gdy w kącie zasiadł i swobodnie rozpowiadano, co po świecie krążyło.

Sprawa Zborowskich nie jeden raz pobieżnie bywała wspomnianą, z czego się Wojtaszek mógł przekonać, że pilne oko na nich miano, podejrzewano, poszlaki spisku chwytano, ale dowodów jawnych nie miał nikt... On zaś daleko więcej wiedział, niż wszyscy i mógł łatwo naprowadzić na drogę. Lecz jak i do kogo było się z tem udać?

Osnuł już sobie, że sprzedając dawnego pana, mógł za to otrzymać miejsce lutnisty na dworze królewskim, bo choć Batory szczególnego zamiłowania w muzyce nie miał, trzymał ją przecie wedle dawnego obyczaju dla gości.

Zwolna Szeremi, rozmawiając z nim, dowiedział się całej jego historyi i o tych nadziejach jakie żywił. Nie lubił on Zborowskich, ani chciał ich oszczędzać, ale znał ich zuchwalstwo i nieubłaganą mściwość; ostrzegł więc Wojtaszka, aby się wprzód dobrze zabezpieczył i opiekę sobie zapewnił, nimby przeciwko Samuelowi i Krzychnikowi wystąpił. Ormianinowi i o to też szło, aby dom jego na zemstę nie był narażony.

Ale już lutniście dalej czekać i ociągać się było trudno, postanowił więc przy pierwszej zręczności korzystać z niej. Pora była, gdyż zjadłszy konia z rzędzikiem, potrosze wyzbywał się sukien, które się zdawały zbyteczne. Wojtaszek już coraz musiał skromniej się posilać, a często wodą gasić pragnienie. Nawykłemu do zbytków u Samuela, życie to stawało się nieznośnem.

Właśnie o tym czasie zaczęły były chodzić wieści groźne, że się Tatarowie zabierali wtargnąć na Podole, król więc i wojsko wysyłał, i ciągle tędy od niego jeździli z rozkazami jego urzędnicy i dowódcy. Z Tatarami bowiem, choć poselstwami kosztownemi trapili króla, które podejmować i obdarzać musiano, Batory nigdy pokoju pewnym być nie mógł. Ludzi różnych było tylu, iż choć kilku pokój obiecywało, zawsze ich jeszcze zostało dosyć, aby znienacka wtargnąć i w jassyr ludzi uprowadzić. Baczność na nich być musiała nieustanna.

Nie było też niemal dnia, żeby ktoś z Krakowa do wojska na kresy ku Dzikim polom nie śpieszył, lub z doniesieniem od wojsk do króla nie jechał. Szło tylko o to Wojtaszkowi, kogo wybrać miał, aby mu się zwierzyć.

Wedle myśli swej, lutnista życzył Węgra, bo ci największe mieli zachowanie u króla, a żaden z nich nie miał powodu Zborowskich oszczędzać,—gdy między Polakami, choć przyjaznymi i wiernymi Batoremu, wielu się mogło

znaleźć takich, co z różnych powodów na Zborowskich się porywać nie byli skłonni.

Z niecierpliwością wyczekując zręczności, Wojtaszek dosiadywał w izbie i badał nietylko postawę każdego przejeżdżającego, nie dość, że mu przysługiwał, ale szedł do stajen orszak zobaczyć,z ludźmi pogawędzić.Wszystko to czynił tak zręcznie, od niechcenia, jak gdyby go tylko próżnowanie ku temu pobudzało.

Zaczynały już mu te czaty się przykrzeć, gdy jednego południa zajechał z kilkunastu ludzi konnych średniego wieku mężczyzną, z którego rysów twarzy łatwo było można poznać węgierskie pochodzenie.

Tylu naówczas Węgrów ciągle wjeżdżało do Polski i po niej się kręciło, że ten typ był łatwym do rozróżnienia. Narodowy strój Węgrów, ich uzbrojenie i rzędy na konie, ułatwiały tę dyagnozę.

Wojtaszek miał oko bystre, zaraz więc w stajni obliczywszy konie, przypatrzywszy się ludziom, oceniwszy ich uzbrojenie, mógł się domyśleć, że jechał mąż jakiś znaczny, a zatem albo od króla wysłany, lub z królem w stosunkach będący.

Był to właśnie, jakby zesłany dla niego człowiek, którego mógł życzyć sobie.

Z alkierza gospodyni, przez szparę we drzwiach mógł się lutnista przypatrzeć temu panu. Był to w istocie Węgier zamożny, wesołego oblicza, wyglądający niebardzo pańsko, więcej rycersko i jak urzędnik,—żywy, dobrej myśli, podśpiewujący sobie,—który ani na jadło, ani na napój nie żałował.

Oświadczył on gospodarzowi, iż choćby dalej tego dnia na Podole mógł ciągnąć, ale znalazłszy gospodę miłą, chce sobie u niego spocząć. Rozumie się, że Ormianin nie miał nic przeciwko temu.

Z łamanej mowy cudzoziemca, bo się polszczyzną, łaciną i niemczyzną sztukował, zmiarkował Wojtaszek, że nie od dziś musi być w Polsce, a co zatem szło, że zapewne przybył z królem i do jego dworu wojskowego lub cywilnego należał.

Tak długo wyczekawszy się na zręczność, lirnik postanowił spróbować szczęścia. Wdział na siebie ostatnie już włoskie ubranie czyste i wytworne, wziął od niechcenia lutnię w rękę, jak gdyby wcale o gościu nie wiedząc, wszedł śmiało do izby, gdzie na ławie miejsce zająwszy, nogę na nogę założył, począł brzdąkać na cytrze i nucić piosenki.

Wszystko to było obrachowane doskonale. Biegał po strunach lutni, jak gdyby nie wiedząc sam co czyni, brzdąkając od niechcenia; śpiewał i urywał coraz nowe polskie i włoskie piosenki, ale gra i śpiew ów były na popis wybrane, aby dały wyobrażenie słuchaczowi o talencie grajka i śpiewaka.

Szło o to, czy ten, przed którym się tak wdzięczył, miał znajomość rzeczy i w niej upodobanie. Od tego zależało wszystko.

Podróżny, o którym mowa, był ów Cobar, co królowi na łowach towarzyszył, młody przyboczny Stefana, Węgier, razem z towarzyszem swym Zybergiem, używany ciągle do poufnych posłannictw, a właśnie teraz wyprawiony na Podole do tych wojsk, które się tam przeciwko Tatarom zbierały, z rozkazami.

Szczęściem osobliwem dla Wojtaszka, Cobar nietylko lubił muzykę, ale się na niej znał dobrze, a był znużony, znudzony, więc na pierwszy dźwięk lutni obudził się, ożywił, a posłyszawszy urywek śpiewu, stanął zachwycony.

Chociaż Wojtaszek, ze spuszczoną głową wcale na niego patrzeć się nie zdawał, najmniejszy ruch i oznaka wrażenia—baczności jego nie uszły. Dodały mu one śmiałości; z powagą pewnego siebie kunsztmistrza rozsiadł się wygodnie, położył lutnię, ziewnął, wziął ją napowrót, począł próbować strun i palców, dokazywać sztuk różnych, i ciągle udając, że Cobara ani widzi, ani o nim wie, dla samego siebie począł nucić.

Mówiliśmy, jak pięknie, gdy chciał, śpiewał, jak głosem i wyrazem pieśni umiał trafiać do serca, więc tu, gdy szło o los własny, gdy potrzeba było wywrzeć wrażenie, zachwycić, ująć sobie słuchacza, zażył całej swej umiejętności.

Cobar, jak przykuty w tem miejscu, gdzie go pieśń zastała, stał, poruszyć nie śmiejąc się.

Wojtaszek opiewał serca swojego tęsknice w bardzo wdzięcznej kanconie, którą sam był nieosobliwie z włoskiego przełożył. Wiersz był słaby, ale muzyka prześliczna a głos i wykonanie zachwycające.

Gdy już tę strunę poruszył, zaczął z drugiej próbować; lutnię otarł, włosy utrefione poprawił i od niechcenia znowu, wesołą a swawolną jakąś piosnkę dobył z piersi. Dwa te śpiewy stanowiły sprzeczność, rożniły się od siebie nadzwyczajnie, ale to podnosiło wrażenie, jakie czyniły.

Cobar, który czasem na dworze królewskim słyszał lutnistów tuzinkowych, którzy trzymani byli dla formy i dla gości, a wcale się nie mogli pochwalić, aby celowali talentami, spragniony czegoś lepszego, niesłychanie był rad trafowi. Obawiając się, aby mu nie uszedł grajek i pieśniarz z którego pomocą mógł bardzo przyjemnie wieczór przepędzić, zbliżył się do niego i pozdrowiwszy, chwalić począł talent jego.

Skromnie i milcząco przyjął te pochwały Wojtaszek śmielej tylko popisywał się dalej, nie skąpiąc ni głosu ni palców. Cobar też nie skąpił pochwał, usiadł naprzeciwko i dawał znaki nadzwyczajnego rozradowania śpiewem. Przyniósł mu wina przedniego kubek, który Wojtaszek przyjął.

Zwolna zawiązała się rozmowa.

— Takiego lutnisty tu w Polsce i ze świecą szukając, nie znaleźć—odezwał się Węgier.—Jakże to może być, abyś waćpan nie miał miejsca stałego i tak się błąkał?

— Przepraszam miłość waszą—odparł Wojtaszek,—ja bo niby miejsce przy pewnym dworze mam, i tylko teraz, chwilowo...

— U kogóż wasza mość jesteś? Kto jest tak szczęśliwy, iż tak doskonałego pozyskał sobie lutnistę?

— Zostaję przy panu Samuelu Zborowskim—odparł wyraziście Wojtaszek.

Dosyć było Cobarowi usłyszeć to imię, aby mu muzyka i śpiewak z głowy precz poszły, a sprawa pańska zapukała do serca. Trafiła się doskonała zręczność wybadania sługi Zborowskich, właśnie pod ten czas, gdy najwięcej mówiono o ich zamiarach, o knowaniach, a podróż Samuela na Niż dawała powód do pogłoski, że on się tam chciał hetmanem ogłosić.

Cobar wcale się nie spodziewał, na kogo trafił, a śpiewak wydał mu się doskonałym do tego, aby z niego, co zechce wyciągnąć. Nie pokazał po sobie, ażeby go to nazwisko miało poruszyć.

— Pan Samuel? — odparł. — A gdzież on się teraz znajduje... powiadano, że go tu w kraju nie było?

— Nie było go, ale powrócił—rzekł Wojtaszek.—Niedaleko stąd nawet jest w gościnie.

Węgier głową potrząsnął.

— Toć pewno niedarmo—rzekł—kręci się tu, bo o Tatarach słychać, ino ich nie widać... nikt tu teraz bezpiecznym nie jest.

Gdy zagajona w ten sposób rozmowa, tak odrazu bez przygotowania padła na pana Samuela, Wojtaszek, nie miał czasu się rozmyśleć, co pocznie: będzie-li udawał wiernego sługę, czy odrazu, z serca zrzuciwszy brzemię, ma się przyznać Cobarowi ze swą nienawiścią, ucieczką... położenie mu swoje odkryć jawnie?

Gdy Węgier, czekając na odpowiedź, zbliżył się do lutnisty, spotkał jego oczy wlepione w siebie i taki wyraz walki na twarzy, iż łatwo mógł wnieść, że śpiewak wahał się odkryć, a miał coś do odkrycia.

Powtórzył więc zapytanie.

— A no mówcie śmiało, co tu pan Samuel porabia? Bo juści chyba z Tatarami nie trzyma?

Wojtaszkowi serce w piersi zakołatało.

— Teraz lub nigdy — rzekł sobie — rzecz dawno postanowiona! Niema co go oszczędzać, zbója tego i zdrajcę! Niech za to pokutuje, co przez całe życie broił.

VII.

Wstał z ławy Wojtaszek i choć już mocne postanowienie miał, potem mu się czoło okryło, głos zadrżał w piersi, gdy mówić zaczął.

— Sługą jestem Zborowskiego—rzekł—ale i mnie już nadojadło patrzeć i słuchać, co się tam u niego i z nim dzieje. Mówicie, czy z Tatary niema zmowy? A kto może za to ręczyć? Onby z dyabłem sojusz zawarł, ażeby mu do tego dopomógł, co on chce.

Cobar uszy nastawił i zbliżył się.

— A czegóż on tak chce?—zapytał.

— Albo to wy i cały świat nie wie?—zawołał, uśmiechając się złośliwie Wojtaszek i zamilkł.

A po chwili zamruczał.

— Oj! knują się tam knują i kują u panów Zborowskich niedobre rzeczy!

Ciężko mu przychodziło tak odrazu ze wszystkiem się wygadać; może też obrachował, że nie zawadzi się podrożyć i począł śpiewać.

Cobar, wysłuchawszy jednej strofy piosenki przerwał niecierpliwy dowiedzieć się czegoś więcej.

— Jak mi Bóg miły—zawołał,—żal mi was dla Zborowskich! Wybyście łatwo mogli znaleźć doskonałe miejsce na królewskim dworze. Głos macie śliczny, a i muzykant z was niepośledni.

— Ja bo od dzieciństwa się w tem ćwiczę — rzekł Wojtaszek,—alem popadł w takie ręce, że się z nich wyzwolić trudno.

Węgier coraz bardziej uradowany, nie rzucając już tej zdobyczy nalał mu coprędzej kubek wina, przepił do niego, dobył czerwony złoty węgierski z kieszeni i wsunąwszy mu w rękę, znowu rozmowę ostrożną zawiązał o Samuelu.

Wojtaszek pił i coraz bardziej się ośmielał.

Po dwu pierwszych kubkach wprędce trzeci znalazł się pełnym, a Węgier począł mówić, próbując lutnistę.

— Ja tam nie wiem, co o Zborowskich trzymać, a szczególniej o waszym panu Samuelu. Ma nieprzyjaciół, żgają na niego, że na króla nastaje, że mu jest wrogiem, a to przez kanclerza wszystko.—Gdyby pan Samuel, zamiast wojnę prowadzić z Zamojskim, udał się śmiało pod opiekę króla, przeciw niemu, lepiejby na tem wyszedł pewnie.

Spoglądał mówiąc to na Wojtaszka, który wciąż pot ocierając z czoła, wzdychając, jakby się męczył i z sobą walczył, po słówku z ust dobywał.

Wreszcie, dobrawszy chwilę, gdy się Cobar zatrzymał nieco, jakby czekal na odpowiedź, coraz to wyraźniej począł się zdradzać z tem, co myślał.

— Miłościwy panie—odezwał się do Cobara—ciężka to rzecz sługą być, gdy to, co pan czyni, człekowi na sumieniu cięży, a tu nie wiedzieć, co wybierać: albo zdrajcą być, albo drugich, niewinnych na zdradę narazić. Chciałoby mi się z onej służby uwolnić z czystem sumieniem.

— A czyż nie jesteś człek wolny?—spytał Węgier.

— I owszem, jestem nim—rzekł Wojtaszek—ale lat tyle wisząc przy dworze, człek się przywiązał, a dłużej na żaden tu sposób nie można trwać, bo uszy więdną słuchać, a zgroza bierze patrzeć, co tam radzą i do czego się sposobią..— A! nie, nie! Bodaj z głodu umrzeć, a dłużej na tej służbie trwać nie myślę!—dokończył.

Gdy się Węgrowi tak szczęśliwie powiodło, co prawdę rzekłszy więcej winu, obficie nalewanemu przypisywał, niż własnej zręczności w badaniu—nie chciał zaniedbać tak dziwnie pochwyconego wątku. Posadził tedy Wojtaszka na ławie obok siebie, parę pieśni mu dał jeszcze odśpiewać, raczył go ciągle węgierskiem winem i w końcu zupełnie podchmielił.

Lutnista się całkiem otworzył przed nim.

— Ja o wszystkiem wiem—rzekł—na wszystko patrzałem i słuchałem... nie miał dla mnie tajemnic pan Samuel, mogę wskazać, co oni z bratem Krzychnikiem

knują... ale głowę mi za to wezmą, gdy mieć obrońcy nie będę!

— Jakto, nie będziesz miał obrońcy?—krzyknął Cobar.—Ja ci słowo daję,—król weźmie cię na dwór, da ci miejsce u siebie, między swymi cytrzystami! Ja w tem! Włos ci z głowy nie spadnie, tylko trzeba, żebyś otwartym był, powiedział wszystko, wskazał, aby można było winowajców ścigać, a króla od ich zbrodniczych zamachów uchronić.

Wojtaszek, już dobrze podpiły, uderzył się w piersi.

— Jak Bóg miły! Powiem wszystko, odkryję!—zawołał,—byleście się mną zaopiekowali. Dosyć już gorzkiego ich chleba jadłem!

Miał w istocie ochotę wielką wynurzać się i opowiazać zaraz, ale językiem już nie władał, bełkotał, i nietylko śpiewać, ale i mówić nie mógł.

Po pijanemu zeznanie na nicby się nie było przydało, Cobar to zaraz rozważył.

Wprawdzie nazajutrz miał jechać w dalszą drogę, ale sprawa była zbyt wielkiej wagi, ażeby dla niej nie opóźnić się bodaj. Szło o życie króla, z czem się nie tail Wojtaszek. Każde słowo miało znaczenie ogromne. Musiał wybadać tego przez opatrzność nastręczonego śpiewaka, dobyć z niego co tylko wiedział.

Dokonanie, rad nie rad, Węgier musiał do dnia następnego odłożyć, a znowu na myśl mu przychodziło, że Wojtaszek, wytrzeźwiwszy się, ulęknąć się może zemsty Samuela, ujść mu z rąk, zmienić usposobienie.

Począł więc od tego, iż go sobie ujął najuroczystszem przyrzeczeniem jurgieltu, miłości króla i opieki, bezpieczeństwa na wszelki raz, byle mu, nic nie tając, odkrył, co tylko wiedział i słyszał.

Dobrze—rzekł Wojtaszek zmęczony i napojem zwyciężony. — Ale miłościwy panie, po tem winie, com je wypił chyba dziś myśli nie zbiorę i nie potrafię całej sprawy wyłuszczyć. Więc jutro...

— Jutro!—pochwycił niespokojny Cobar.—No cóż robić, niechaj będzie jutro, tylko że ja mam tyle ważnych rzeczy na głowie; gotówem zapomnieć. Wiesz co...

Tu dobył pugilaresu i ołówka z kieszeni.

— Mam zwyczaj zapisywać naprzód, co którego dnia jest do zrobienia; zanotuj mi tu, że jutro, co wiesz o Zborowskich, masz mi wszystko porządnie opowiedzieć.

Wojtaszek się bynajmniej nie zawahał i najwyraźniej się rozpisał, że jutro o zamiarach panów Zborowskich przeciwko królowi szeroko i dokładnie Cobara uwiadomi.

Notatkę do kieszeni schowawszy, Węgier z miną niby obojętną kazał słudze swojemu odprowadzić do jego izby lutnistę, rozebrać go i położyć, a sam drżąc z niepokoju i niecierpliwości, pozostał w izbie dla przygotowania się na jutro.

Znając już potrosze ptaszka, którego przyłapał, Cobar wiedział, co miał czynić, aby rzecz do dobrego doprowadzić końca. Nie wątpił, że król i Zamojski bardzo mu za to odkrycie wdzięcznymi będą.

Ponieważ Zyberg czekał nazajutrz na towarzysza, z nim mając ciągnąć dalej, ażeby go to opóźnienie w pochodzie nie strzymało, siadł naprzód listy pisać, donosząc Zybergowi aby dalej szedł sam w imię Boże, gdyż jemu się tu nadarzyła zręczność jedyna wykrycia zamachów przeciwko królowi, której zaniechać na żaden sposób nie godziło się. Z listem tym natychmiast gońca umyślnego wyprawił.

Potem przywołać kazał kucharza swego i zalecił mu, aby nazajutrz rano wytworne sporządził śniadanie, postarał się o małmazyę, o wina, o przyprawy i wyprawił bankiet, na jaki się mógł tylko zdobyć.

Nie dosyć na tem, bojąc się, aby to śniadanie nie starczyło na dosyć długo, zawołał jeszcze gospodarza i przykazał mu z osobna, także co mógł najsmaczniejszego przyprawić, nie zważając na to, co kucharz warzyć będzie.

— Nie pytaj mnie, na co się to wszystko zdało—rzekł; rób, co każę, zapłacę, jak należy, bez targu. Wolnoć mi fantazyę mieć, jako i drugim.

Rachował na to, z czem mu się Wojtaszek po pijanemu wygadał,—że był wygłodzony, zbiedzony długą włóczęgą i że dobre jadło, dobre wino, doda mu odwagi i usta otworzy.

Cobar daleko więcej kunsztu zażywał, biorąc się do

lutnisty, niż go tu było potrzeba, bo Wojtaszek i dla zemsty i dla chęci podźwignięcia się na wszystko już był gotów i ani myślał się cofać.

Węgier, ledwie z niecierpliwości usnąwszy nieco nadedniem, rychło wstał, czekając na Wojtaszka, który po winie kamiennym snem spał bardzo długo i nie rychło blady, zmęczony, strwożony ukazał się Cobarowi, już na niego oczekującemu w izbie u zastawionego suto stołu. Ptasiego mleka tylko brakowało.

Węgier odgrywał komedyę, że mu nadzwyczaj było pilno, że musiał zaraz dalej ciągnąć. Dla niepoznaki nawet część swych wozów i ludzi wyprawił niby przodem, przykazawszy im, aby w miejscu oznaczonem czekali, a sam zasiadł z Wojtaszkiem do stołu.

Zaczęło się od traktamentu własnego kucharza, Węgra... i już ten się zbliżał do końca, gdy Ormianin gospodarz wszedł, żaląc się, że on też, nie wiedząc o niczem, śniadanie pańskie sporządził, że jemu przysługiwało prawo swych gości żywić.

— A! bodajcież, bodajcież!—zerwał się Węgier.— Ja czasu nie mam! Po co mi to twoje śniadanie?—my go jeść nie będziemy.

Wtem jakby się rozmyślił nagle, spojrzawszy na Wojtaszka, zawołał:

— Ha! pal cię dyabli, kiedy już gotowe—coś miał dać przynosić każ, a żywo. Szkoda wyrzucać za okno!

Po pieczeni palce sobie oblizywać będziecie!—rzekł Ormianin.

Na nowo tedy siedli jeść, przyczem Cobar, nie przestając, nalewał. Wśród jedzenia i popijania Węgier zażądał pieśni; Wojtaszek począł najlepszym swym głosem nucić, że w istocie słuchać było czego.

— Wam, bo nie gdzieindziej, tylko u króla na pokojach pieśni zawodzić—wykrzyknął zachwycony Węgier i dobywszy mieszka, kilka węgierskich dukatów na przypieczętowanie słów swoich mu ofiarował.

Wojtaszkowi dusza się radowała.

— Miłościwy panie!—zawołał.—Alem ja na usługi króla gotów sercem całem... ino rozkazujcie, jam wasz!...

Tymczasem o wczorajszem ani słowa, jakby Cobar zapomniał o tem i nie myślał.

— Daję wam słowo—rzekł,—miejsce przy dworze z jurgieltem jakbyście w ręku mieli! Ale mnie pilno! Jechać muszę! Godzina późna! Wołać gospodarza... Dawaj rachunek, zbójco!

Rachunek tedy z Ormianinem czynić mając, sięgnął Cobar do kieszeni, pugilarcsik wczorajszy dobył i począł go przeglądać.

— Ah!—zawołał nagle, ukazując Wojtaszkowi jego notatkę.—Na śmierć o tem zapomniałem... Czytajże coś mi to wczoraj napisał? Miałeś mi opowiedzieć jakąś historyę o Zborowskich, dla króla jegomości ważną?

Tego Wojtaszkowi potrzeba było; czekał tylko i trwożył się, czy Cobar nie puści sprawy w zapomnienie.

— Gotówem—odparł natychmiast—gotówem słowa dotrzymać, ale ja, miłościwy panie, nie mniej, nie więcej, tylko głowę moją ważę, bo sprawa z panem Samuelem a z szatanem lub oprawcą, wszystko jedno! Nie gubcie mnie, jeżeli nie macie mocy ani uczynić, co mi obiecujecie, ani mnie od okrutnej pomsty obronić! Widzę ja wprawdzie, że możnym jesteście, ale mało na tem... nie wiem czy do króla przystęp macie i czy mi wyrobicie, coście przyrzekli?

— Masz na to rękę moją—odparł Cobar.—Słuszna rzecz, że się lada komu nie chcecie zwierzyć. Ja się zowię Cobar, mogliście słyszeć o mnie, bo przy osobie króla stoję, mam jego zaufanie i teraz oto z panem Zybergiem do wojska na Podole jestem wysłany.—Ufa mi pan mój, możesz i ty mnie zawierzyć! Mów śmiało, ale prawdę: ja za łaskę królewską ręczę, bo jak srogim jest nieprzyjaciołom swoim, tak dla wiernych umie być łaskawym.

Wojtaszek w ramię go pocałował.

— Miłościwy panie,—odparł—nic wam nie zataję. Panowie Zborowscy, szczególniej dwaj, dawny pan mój, Samuel i pan podczaszy Krzychnik, naposiedli się, aby króla trucizną zgładzić a hetmanowi zasadzkę gotują, z której żyw nie wynijdzie. Każdy krok jego śledzą i wiedzą... Ale to jakbym na wiatr mówił; azali mnie małemu

człowiekowi uwierzycie, rzecz dla was wątpliwa będzie zawsze! A ja chcę pokazać czarno na białem, dowodnie, że nie darmo mówię to przeciwko nim.

— Jakim sposobem—przerwał Cobar zdumiony.

— Wykradnę i przyniosę wam listy, które pan Krzychnik do Samuela pisywał i pisze—rzekł Wojtaszek.— W listach tych wszystko stoi... będziecie je widzieli *in originali:* tam i o truciźnie mowa i o obmyślonej napaści.

Zdumiał się nadzwyczajnie Węgier, ale zarazem uradował.

— Jakim sposobem myślicie dostać tych listów? zapytał.

— Będę głowę ważył—odparł Wojtaszek—bo sądzę, że przecie mnie za to nie opuścicie i nie wydacie oprawcy. Wprost pojadę tam, gdzie wiem, że listy są i da-li Bóg, to je pochwycę i przywiozę.

— Jeśli się pan Samuel zawczasu opatrzy—dodał,— żem listy skradł i pogoni za mną, wy listów się pozbędziecie, a ja życia, bo jemu człowieka zabić—jak drugiemu wróbla.

— Czegóż więc chcesz?—zapytał Cobar.

— Pojadę sam—odparł Wojtaszek,—bo inaczej nie może być. Zastanę go czy nie,—listy tam są. Może mnie godzin jakich kilka strzyma, ale w powrocie trzeba, abym miał o kogo się oprzeć, bo uchowaj Boże... nagna mnie...

— Koni pięć, albo sześć—rzekł Węgier, namyśliwszy się—mogą ci towarzyszyć. Dam ludzi najlepszych, pokierujesz nimi, jako sam chcesz, ale nie baw się, bo ja też czasu nie mam, a to sprawa taka, że jej na półmiski rozkładać niezdrowo.

— Będziecie czekali we Lwowie?—zawołał Wojtaszek.

— Co robić! muszę!—rzekł Cobar.—Gdy o życie króla idzie, wszystkie inne sprawy, by najlepsze, na bok ustąpić muszą. Jedź a powracaj...

Węgrowi nie bardzo może się chciało na Zyberga dowództwo zdawać i zamiast na wojnę iść, siedzieć bezczynnemu w gospodzie, lecz rzecz była, jak naówczas mówiono gardłowa.

Wojtaszek mało czasu miał do rozmyślania się, wiedział z doświadczenia jedno—Samuel go potrzebował, a im dłużej go był pozbawiony, tem więcej z nim tęsknił i do łaski zawsze, nałajawszy i nagroziwszy, przypuścić był gotów. Na to więc rachował napewno.

Nie mógł przypuścić, aby mu w duszy czytał pragnienie zemsty i na pół już dokonaną zdradę. Sumienie bynajmniej nie dokuczało lutniście. Wyliczał wszystkie męczarnie, jakie ponosił od dzieciństwa, znęcanie się, szyderstwa; wiedział o wszystkich zbrodniach swego pana i wyobrażał sobie, iż Bóg go za narzędzie kary wybrał sobie.

Jeśli go na chwilę litość objęła, wnet sobie przypominał, co cierpiał.

— Nie daruję—powtarzał—niech łotr i zbój ginie.

— Ojciec pięknej Anusi!—śmiał się gorzko—a tak? A ona lepsza od niego? Onaby mnie na pal dała wbić i chodziła patrzeć, śmiejąc się jak będę konał, alboby za żebro na haku powiesić kazała i napawała się jękiem, wołając, abym śpiewał! Znam ci ją i wiem, co się w jej sercu dzieje! Nie przebaczy mi nigdy, że ją nocą napadłszy, wyściskał;—obronić mi się nie mogła, a skarżyć się wstydziła. Teraz mi w oczy spojrzeć nie śmie, gdy ja jej śmiało patrzę. Jaszczurka! A wprzódy mnie tym wzrokiem wabiła i kłamała... a płakała, gdym śpiewał!

Tyle razy już Wojtaszek z panem zrywał i wodził się, wychodził z pod jego obcasów kutych zbity i poraniony, a potem do łask powracał. Zdawało mu się, że i teraz, gdy się pokaże, ukorzy, do nóg schyli, zaśpiewa, wszystko znów pójdzie w zapomnienie.

Szło tylko o to, jak zastanie Samuela na pijaństwie, czy na pokucie, na zgryzotach czy szalejącego? Z dwojga złego wolał go przy stole i po pijanemu widzieć, niż borykającego się z sumieniem. Nie wiedział nawet czy był w Białem Kamieniu. Gdyby go nie zastał, mógł Boksicki, lub który inny zasadzić go do czabanki.

Na pół drogi porzuciwszy swoich towarzyszów, których w małej gospodzie pod lasem umieścił, polecając im, aby konie mieli każdego czasu gotowe i gdyby przybył,

zaraz z nim dalej pędzić mogli, Wojtaszek sam pod wieczór umyślnie się opóźnił do dworu.

Pomyślał sobie, że najbezpieczniej może będzie podkraść się niespostrzeżonemu. W częstokole, który otaczał dwór, znał miejsce, gdzie było łatwo wyjąć koły i wcisnąć się do środka. Mógł więc, bo psy na niego ujadać nie ważyły się, pocichu podedwór się wkraść, do okna Motruny zapukać i u niej się ukryć. Ona mu usłużyć musiała, tego był pewnym.

Tak też uczynił. Konia spętanego puścił na łączkę, siodło i rząd przychował w dole, o którym wiedział, że go tylko lisy znały, a sam już o gęstym zmroku znalazł się pod opasującym dwór częstokołem.

W domostwie było jasno i gwarno, co dowodziło pana w domu, a gwar o tej porze znaczył, że u stołu pił i zabawiał się. Wszystko się tam naówczas około niego skupiało. Mógł więc Wojtaszek próbować pójść pod dobrze sobie znane okno Motrunki. Tu także światełko płonęło.

Miał z nią znak dawniej umówiony, że trzy razy po dwa pukał. W okiennice więc, zbliżywszy się, zaczął wedle zwyczaju stukać.

Wewnątrz długo nic się nie odzywało. Powtórzył pukanie raz, drugi i trzeci. Zaszeleściało coś trwożliwie, okno się otworzyło. Wyjrzała blada, wynędzniała twarz schorzałej Motrunki, obwinięta rąbkiem.

Wojtaszek dał znak, aby wyszła.

W chwilę potem siedzieli razem pod szopką pustą— dziewczyna zapłakana ze strachu. Wojtaszek zły i niecierpliwy. Najprzód chciał wiedzieć, co się z panem działo i czy mógł mu się na oczy pokazać.

— Broń cię Boże, jeżeli ci życie miłe!—odpowiedziała Motrunka. — Samam słyszała, gdy niedawno jeszcze powtarzał: Siłam mu przebaczał, a no—przebrał miarę! Dostanę-li go,—skórę z niego zedrzeć każę żywcem, końmi go dam roztargać! Jak zginie, to mi przestanie dokuczać; ten jego śpiew, który mi w uszach brzmi, chodzi za mną we dnie i w nocy i nie daje spokoju.

Wojtaszek się zadumał.

— Małoż to on razy tak się odgrażał?—odparł.— Przecieżem żyw dotąd.

Dziewczyna mu się na szyję rzuciła, błagając, aby nie próbował. Opowiadała, że pan Samuel po całych dniach chodził struty, sam do siebie mówiąc, pięścią w piersi się tłukąc, podczas włosy sobie rwąc z głowy.

— A no,—przecież biesiaduje i słychać z biesiadnej izby śmiechy i wrzawę, jak za najlepszych czasów—przerwał Wojtaszek.

— Boksicki z innymi próbują go czemś zabawić— odparła Motrunka.—Przebrali Włocha księdza za kobietę i dziwy z nią dokazują; alem widziała przez drzwi, że siedzi, rękami sobie twarz zasłoniwszy i ani patrzy, ani słucha. Wara teraz temu, na kogo się porwie, bo mu kości pogruchocze.

Zadumał się Wojtaszek. Chciał właśnie nagle się ukazać w tej chwili zatęsknienia, ale dziewczyna mu się do nóg rzuciła, prosząc, aby poczekał do jutra.

Gdzie się było przechować do rana? Wojtaszek nie miał oprócz niej, żywej duszy przyjaznej sobie we dworze, i wiedział, że każdyby go był rad zgubić. Nikomu się więc zwierzyć, nikogo o pomoc prosić nie mógł, a gdyby go kto spostrzegł, był pewnym, że natychmiast wyda, dodając jeszcze, iż zamierzał zasadzkę na Samuela.

Niebezpieczeństwo było wielkie, bo i około pięknej Motrunki kręciło się dużo dworaków, zazdroszcząc sobie, każdy jej krok podpatrując; mogli też, szukając jej, trafić na Wojtaszka.

Noc nadchodziła, a w izbie jadalnej ciągle jeszcze taż sama panowała wrzawa. Wojtaszkowi nie chodziło o to, aby się do Samuela dostał, byle mógł przekraść się do tej szuflady, w której składał papiery, i gdzie się napewno spodziewał znaleźć listy Krzychnika. Stół, w którym ona była, stał w sypialni Samuela, nieopodal od jego łoża.

Jeden był tylko sposób wykradzenia pism tych,— pod niebytność Zborowskiego, lub gdy spał. Sen miał Samuel twardy i rzadko go nawet światło i hałas mógł obudzić, gdy raz oczy zamknął. Lecz potrzeba było odwagi niezwykłej, by korzystać z takiej chwili, przyczem światło

było koniecznie potrzebne, bo papierów leżało dosyć, a Wojtaszek wszystkich z sobą zabierać nie mógł.

— Nazajutrz, — mówiła Motrunka, zapowiedziane były łowy z sieciami i do dnia wszyscy na nie mieli wyciągnąć. Czekać na to? Wojtaszkowi pilno było, bo Cobarowi ludzie i on sam wyglądali jego powrotu.

Wstał nagle lutnista, nie zważając ną obejmującą go rękami i usiłującą wstrzymać dziewczynę, pomyślał małą chwilę i odepchnąwszy ją, śmiałym krokiem poszedł wprost ku drzwiom jadalni, otworzył je nagle i stanął wprost naprzeciwko Samuela.

Wszyscy, którzy go spostrzegli, wiedząc o strasznym gniewie pańskim, krzyknęli ze źdźiwienia i przestrachu. Zborowski, posłyszawszy krzyk, podniósł głowę... zobaczył stojącego Wojtaszka i osłupiał!

Stół biesiadny osobliwy przedstawiał widok. Główną rolę przy nim odgrywał stary, pijany mocno, śmiejący się głupkowato Włoch-mnich, przebrany za kobietę, z głową zawiązaną namitką, na której nałożono wianuszek, łącząc z sobą dwa godła zupełnie różne: dziewiczą wiązankę kwiatów i zasłonę zamężnych niewiast. Dokoła mnicha, który wykrzywiał usta i wdzięczył się do otaczających, stała młodzież, skubiąc go, oblewając, szturgając i nie dając pokoju.

Anusi przy stole dawno nie było! Dworzanie i czeladź, a nawet proste hajduki zmieszani razem, jak lalką bawili się tą maszkarą, a śmiechy rozlegały się dokoła.

Na stole w wielkim nieładzie stała siła opróżnionych dzbanów, powywracanych kubków, porozlewanego wina i miodu, opróżnionych mis.

Samuel, zobaczywszy Wojtaszka, chociaż u boku ani szabli, ani noża nie miał, bo siedział rozpasany i upojony, porwał się oburącz naprzód, szukając żelaza. Wstał, zachwiał się na nogach i padł na siedzenie, gdy tymczasem dwór jego rzucił się cały od przebranego mnicha ku drzwiom na Wojtaszka i objął go kołem.

Jakiś czas pan i sługa mierzyli się oczyma. Zborowskiemu usta drgały, oczy czarne zataczały się groźno, to na śpiewaku spoczywając, to odwracając się od niego ze wstrętem. Walczył z sobą, co począć ma i na ustach błąkał się już rozkaz.

— Wziąć go i w dyby zakuć.!

Ale ani Samuel sam, ani nikt nigdy nie mógł przewidzieć, co pocznie, tak zmienne uczucia z kolei nad nim panowały, a najsilniejsze brało przewagę.

W chwili, gdy wyrzec miał—zakuć go w dyby—a ten wyrok byłby go rozjuszył i poprowadził dalej, aż do wyroku śmierci może, Wojtaszek się poruszył, przebił przez tłum, zaszedł z boku i tu miejsce zabrawszy, głosem śmiałym i donośnym zanucił ulubioną Samkowi pieśń, której on słuchając, zawsze płakał.

O! wy moje lata młode!

Zborowski pobladł i widać było, jak w nim zburzone namiętności, jak podcięte nagle, ustąpiły rozrzewnieniu. I to się przyczyniło do wrażenia, że pieśń ta dawno w nim grała, a słyszeć jej nie mógł.

Jak złamany pochylił się Samuel, a ośmielony lutnista, głos coraz podnosząc, strojąc go na najczulszą nutę, nietylko pana, ale wszystkich słuchaczów oczarował. Ci, co go niedawno rozszarpać chcieli i gotowi się byli rzucić na niego, stali, wstydząc się tego, czego doznawali. Widać było spuszczone głowy i ręce pozałamywane.

Zborowskiemu dwa strumienie łez rzuciły się z oczów, —szlochał! Wszystkie wspomnienia młodości, jej nadzieje nieziszczone, zmarnowane marzenia wielkie, upadek domu, poniżenie własne—ścisnęły mu serce; o zemście nad Wojtaszkiem już ani mógł pomyśleć, zapomniał zdradę, gniew się rozlał i wypłynął ze łzami.

Lutnista śpiewał, a choć się pieśń krótka o trzech strofach skończyła, powtórzył ją jeszcze.

Tymczasem wszystko, co stało dokoła, patrzało na tego cudotwórcę.

Zborowski, nic nie mówiąc, wysunął rękę do kubka nalanego, który stał przed nim i choć drżała a napój się rozlewał,—podał go Wojtaszkowi. Wymógł na sobie lutnista, że się nizko pokłonił.

Zrozumieli wszyscy, że to było przebaczenie i zgoda, a Boksicki i inni pomyśleli, że jednak niepospolitej potrzeba było odwagi, aby w ten sposób sobie wyjednać przejednanie u zagniewanego.

Gdy nareszcie pieśń przebrzmiała, Wojtaszek, nie chcąc dopuścić rozbudzenia zupełnego, zaczął drugą wesołą, miał bowiem zwyczaj tak je przeplatać. Twarze smutne się wyjaśniły i w upojonej gromadzie tu i owdzie głosy do chóru się nastrajały.

Zborowski tymczasem dał znak, aby Wojtaszkowi nastawiono jeść i pić. Nie spytał się go nawet, co przez ten czas robił, gdzie był. Pogroził mu tylko i zamruczał.

— Nie próbuj ty mnie. Prawda, uchodziło ci bezkarnie, ale u mnie jeden raz dosyć, więcej już nie będzie komu się ze mnie naśmiewać!

Nikt pewnie takiego się końca nie spodziewał, a ci, co mieli się już rzucić na Wojtaszka, otoczyli go, dopytując i dając mu rady, opowiadając, jak pan za nim tęsknił i t. p.

Zwolna niektórzy się z izby wycofywać zaczęli, liczba biesiadników zmniejszała się, a Włoch mnich, który w krześle pozostał, bo się o swej sile ruszyć nie mógł, z głową zwieszoną za poręcz, z ustami otwartemi, w których sterczały czarne, popsute zęby, spał i chrapał.

Podniósł się z siedzenia swojego i pan Samuel, do sypialni chcąc iść i kazał sobie podać rękę Wojtaszkowi, który go poprowadził, a jak nieraz już bywało, sam go rozebrał.

Na stole, w którym leżały listy i papiery mu potrzebne, stały świece. Rozmarzony, drzemiący już Samuel, dał się rozdziać, rzucił na pościel, potoczył oczyma po izbie, bo mu, gdy głowę na poduszkę złożył, zawróciło się w niej nagle i wyjęknął niewyraźnie do lutnisty:

— Śpiewaj!

Wojtaszek siadł na ziemi, trochę podumał nad wyborem piosenki i natychmiast cicho, smutno, powoli nucić zaczął, właśnie jak niańka przy dziecka kolebce.

Zborowskiemu natychmiast się oczy zamknęły— zasnął. Nikogo więcej nie było w izbie.

Można-li było zaufać snowi Samuela, nie mógł się on nagle przebudzić i otrzeźwić, jak mu się to nieraz trafiało pod silnem wrażeniem?

Wojtaszek właśnie rozmyślał nad tem. Tymczasem bardzo zręcznie głos tak mierzył, osłabiał, ażeby, gdy pieśń miał dokończyć, nie dało się to prawie czuć śpiącemu.

Samuel głęboko, mocno usypiał, a lutnista siedział to na niego, to na stół spoglądając.

Jedna chwila miała o losie Wojtaszka rozstrzygnąć— stawił życie na kartę!

Zborowski spał. Lutnista się podniósł z ziemi po cichu, spojrzał jeszcze na niego i przystąpił do stołu.

Wiedział, gdzie leżały papiery. Stała zwykle u nieopatrznego pana szuflada otworem, popróbował ją otworzyć na ten raz znalazł zamkniętą. Znając obyczaj—wiedział, że klucz nie mógł być gdzieindziej, jak w sukni, którą Samuel miał na sobie, a tylko co ją zrzucił. Poszedł więc przetrząsać kieszenie i znalazł go w istocie.

Trzask otwieranego zamka i odsuwanej szuflady nie obudził śpiącego; śmiało więc, przysunąwszy świecę, Wojtaszek rozpoczął pośpiesznie przetrząsać listy i cisnąć je za pazuchę.

W niedawno wrzawliwym domu panowała cisza, wszystko się zdawało usypiać... lutnista pośpieszał, gdy wtem dał się słyszeć szelest pode drzwiami i podniósłszy oczy, w szparze drzwi przymkniętych spostrzegł Wojtaszek dwie czarne ogniste źrenice, wlepione w siebie. Pierwszą myślą jego było rzucić się... i zamordować.

Zostawując szufladę otwartą, skoczył żywo, lecz drzwi popchnąwszy, znalazł pod niemi—Motrunkę... Ochłonął natychmiast.

— Stój tu—rzekł,—pilnuj, aby nikt panu snu nie przerywał, mnie kazał papierów szukać!

Zbywszy się w ten sposób dziewczęcia, Wojtaszek co żywiej powrócił do stołu, ręką drżącą począł znowu przebierać listy i ciągle się oglądając na śpiącego, który przez sen dyszał i stękał, dobił się nakoniec do dna.

Za suknią miał cały stos pochwyconych listów. Za-

sunął żywo nazad szufladę, zamknął ją i klucz wsunął napowrót do sukni Zborowskiego.

Rachował, że w ten sposób może się nie tak rychło dopatrzą kradzieży, aby się za nim w pogoń puścić mogli. W każdym razie czasu do rana miał przed sobą dosyć, aby na wypoczętym koniu dostać się do Cobarowych ludzi i pod ich osłoną puścić się do Lwowa.

Szczęściem Zborowski się nie przebudził, a Wojtaszek, świec nawet nie pogasiwszy, bo się lękał, aby nagła ciemność nie zbudziła śpiącego, wysunął się z sypialni.

Motrunkę zastał jeszcze w progu na straży.

— Idź spać! — szepnął jej — ja także padam ze zmęczenia, już dłużej nie wytrwam!

Z zuchwalstwem niesłychanem, które dotychczasowe powodzenie podniosło jeszcze, Wojtaszek wprost z sypialni pobiegł w dziedziniec, wśród ciemności łatwo wyszukał znane sobie pale, które mógł wyjąć, wysunął się z podwórca i biegiem pośpieszył do konia.

Tu pierwszy go spotkał zawód. Spętanego konia w czasie niebytności jego wilki napadły i zdusiły. Miał tylko czas spojrzeć na leżącego, około którego kilka par oczów świecących w ciemnościach się snuło i piechotą musiał dalej pędzić do gospody, w której ludzi Cobarowych pozostawił.

Zabrało mu to daleko więcej czasu, niż rachował, i dzień się zrobił dobry, a potem słońce do góry podniosło znacznie, nim na śmierć znużony pośpiechem i trwogą, dostał się do gospody.

Tu także nie mógł spoczywać ani chwili,— pogoń groziła. Konia od jednego z ludzi wziąwszy, puścił się natychmiast do Lwowa, nie gościńcem, bo zawsze się obawiał, że gonić go będą, ale małemi ścieżynami przedzierając się ku niemu.

Pod miastem samem, na skraju lasu spostrzegł w istocie pędzących na koniach, które całe okryte pianą i potem pod razami jeźdźców wysilały się, — Boksickiego i kilku hajduków. Dał im się wyminąć i zaraz po nich małemi uliczkami dostał się do gospody Ormianina.

Tu z siodła się zsunął na ziemię a nadchodący śpiesznie Cobar kazał go zanieść nieprzytomnego do izby, gdzie wodą i winem w usta wlanem, otrzeźwiono.

— Masz listy?—zapytał Węgier.

Wojtaszek, śmiejąc się, uderzył się po piersiach.

———

VIII.

Nierychło nazajutrz przebudził się pan Samuel, a i służba jego po wczorajszej uczcie ściągała się powoli, ziewając, wielu z pozawiązawanemi głowami i plastrami, obwiniętemi rękami, bo nie każdy cało wyszedł z tej zabawy.

Rozbudzony, natychmiast sobie przypomniał Wojtaszka i rozkazał go przywołać do siebie, gdy mu ranną polewkę do łóżka przynosił ulubiony Michał.

Rozbiegła się czeladź, ale napróżno szukano lutnisty; nikt go od wczorajszego wieczora nie widział. W dawnej izbie jego nie było nawet śladu, aby w niej nogą postał.

Wszyscy byli pewni w początku, że jak inni, napiwszy się, poszedł kędyś na siano i znużony odpoczywał.

Spodziewano się go zobaczyć co moment, ale czas do południa upłynął a o Wojtaszku nie było ani słychu. Leżący na łożu swem Samuel dopiero teraz spostrzegł, że na podłodze leżało kilka wyrzuconych z szuflady listów, a przez źle domkniętą z pośpiechu wyglądały papiery.

Pewnym był tego Zborowski, że nieład nie mógł być jego sprawą; tknęło go to i rzucił się zaraz do stołu. Pamiętał, że ostatni list Krzychnika leżał na wierzchu. Zaledwie otwarłszy, mógł się już roboty domyśleć... listy były do góry nogami poprzewracane tak, że najdawniejsze leżały na wierzchu. Pobieżne spojrzenie przekonało go, że najważniejszych brakło.

Zborowski nie krzyknął, ale zaryczał z wściekłości, tak, że w domu całym wszystko zadrżało.

Pierwszy przypadł Boksicki. Znalazł pana stojącego

jeszcze u stołu i nie mogącego mówić, taki go objął gniew Trząsł się i miotał. Wskazywał Boksickiemu papiery, ale on ruchu tego rozumieć nie mógł.

— Bestya! Zdrajca! Pies ten!—rozpoczął wreszcie Zborowski.—Na koń, w pogoń, łapać... porwał mi papiery... Schwytanego nie przywozić, powiesić na pierwszej sośnie. Trupa tylko widzieć chcę, żywego nigdy!

I padł na łoże, zachodząc się z tego gniewu.

Boksicki chciał rozpytać, ale ze Zborowskim mówić teraz nie było podobna. Gdy wspomniał Wojtaszka, porywała go wściekłość i usta mu się pianą okrywały. Co napadł i schwycił w rękę—rwał i szarpał w kawałki.

Puściła się nakoniec pogoń nie jedna, bo wszyscy chcieli się zasłużyć panu, a nie było człowieka, któryby Wojtaszka zgubić nie pragnął. Oprócz więc Boksickiego, który zabrał najlepszych ludzi, kto tylko mógł się wyrwać, skoczył na konia i rozbiegli się tak na wszystkie strony, że lutnista cudem chyba mógł ujść.

Znaleziono w lesie na wpół rozszarpanego konia, a niedaleko od niego siodło i rząd, po których poznano, że koń Wojtaszkowy być musiał. Spodziewano się więc go dognać, ale lutnista umiał się im wymknąć, a nóg nie żałując, do Cobarowych ludzi dostał się nim pogoń do gospody dobiegła.

Co się działo tymczasem w Białym Kamieniu, tego żaden język nie wypowie. Po niewczasie pan Samuel ręce łamał, lamentując, że przebaczył i że natychmiast zdrajcy obwiesić nie kazał. Wyrzucała mu to Anna, która z największą zajadłością przeciwko niemu instygowała. Wszystko to przychodziło po niewczasie.

Gdy ochłonąwszy z pierwszego szału, Zborowski się wziął do przejrzenia papierów, przekonał się łatwo, że te, które mu skradzione zostały, wszystkie jego i Krzychnika obwiniały a tak dowodziły ich zamachów na króla i kanclerza, że o celu tej kradzieży powątpiewać było niepodobna.

Wszystko w ten sposób zostało zdradzone,—a podczaszy mógł się spodziewać, że na mocy jego własnoręcznych pism, król każe go pochwycić i sprawę mu wytoczyć.

Samuel mógł się ucieczką salwować,—podczaszemu groziło niebezpieczeństwo. Nie było więc ani chwili do stracenia i natychmiast potrzeba było wyprawić listy z ostrzeżeniem, aby się wszyscy Zborowscy na baczeniu mieli.

Boksicki drugiego dnia, powróciwszy do Kamienia, przywiózł dokładniejsze wiadomości: dowiedział się o pobycie Wojtaszka u Ormianina i o przybyciu Cobara, i o tem, że gdy Wojtaszek powrócił, Węgier z nim zamiast do wojska się udać, zawrócił do króla polującego w Niepołomicach. Kusić się o odbicie lutnisty nie było można i na niewieleby się to przydało, bo listy miał Cobar w ręku, a te mocniej nad niego świadczyły.

Posłańcy Samuela, przybywszy z listami do siostrzeńców Stadnickich, do Włodkowej, do braci, poruszyli tu, co żyło. Z Krakowa się dowiedziano, że Cobar tam przybył z lutnistą i że ten zaraz miejsce u króla i jurgielt otrzymał.

Spodziewał się Węgier od swojego pana wdzięczności i pochwały; jakoż oboję go nie minęło, ale Batory go przyjął wcale inaczej, niż myślał.

Wiedział już, że wyprawiony na Podole Cobar, nie dojechawszy do wojska i zdawszy, co miał na Zyberga, powraca.

Król nawet dla starania i pieczołowitości o swe życie, takiego wykroczenia nie przebaczał.

Tryumfujący Węgier złożył w obronie swej listy i stawił lutnistę.

Król przebiegł oczyma papiery i kazał je sobie tłomaczyć. Słuchał wyrażeń dosadnych, w nich zawartych, obojętnie prawie, choć przeciwko niemu wymierzone były.

Nareszcie, gdy się skończyło to czytanie, z którego jawnem było, że na życie Batorego czyhała trucizna, a na Zamojskiego ludzie Samuelowi i on sam, król rzekł obojętnie prawie:

— Co ty myślisz, Cobar, żeś mi nowinę przywiózł, o której ja nie wiedziałem? Prawda, żem dowodu nie miał w ręku, alem tak był pewnym tego, co oni knują, jakbym ich podsłuchał. Znam tych ludzi... Gardła im niczem nie

zapchać, dumy ich nasycić niepodobna... głowy z karków postrącać potrzeba, dopiero od nich będziemy bezpieczni!

Z uśmiechem szyderskim, ale nie przywiązując do nich wielkiej wagi, król listy Zborowskich ukazał Zamojskiemu, biskupowi Myszkowskiemu, Tęczyńskim.

— Cóż tu poczynać z nimi?—zawołał.— Wytoczyć im sprawę! Nie będzie ich kosztowało wyprzeć się i zaprzysiądz własnej ręki. Alboż Łaskiemu nie powiedział Samuel: Skarż się na mnie, ja się wyprę.—Musimy ich pochwycić na uczynku, a naówczas...

Król się uśmiechnął i rzekł pogardliwie:

— *mortuus canis non morderet* (zdechły pies nie kąsa.)

Gdy się to działo na zamku,—po dworach panów Zborowskich, po domach, z nimi skoligaconych, rozchodziła się trwoga.

Krzychnik, najmocniej zagrożony, zaledwie otrzymał wiadomość od Samuela o tem, że listy jego były w ręku króla, w godzinę już potem zniknął z Franciszkańskiej ulicy.

Zbiegł pieszo, naprzód do Piekar. Tu nie czując się bezpiecznym, uszedł do najmłodszego ze Stadnickich, ale i tu obawiając się zdrady, w małym poczcie wiernych sług natychmiast puścił się do granicy i nie odetchnął, aż ją przekroczywszy, był na terytoryum cesarskiem.

Tu się pana ,,Rady cesarza'' nikt nie śmiał tknąć.

Marszałek mniej był zagrożony listami, ale choć pisania unikał i to tylko go obwiniać mogło, że Krzychnik o nim dawał świadectwo, że tak samo myśli, jak i on, wyjechał także z miasta. Bronił się jednak otwarcie, iż o niczem złem nie wiedział.

Wszyscy oni teraz pośpieszyli o ratunek do Jana, z wyjątkiem Samuela, który ani mógł, ani już chciał się oczyszczać. Banicyę mając na sobie w dodatku, wiedział, że mu, pochwyciwszy go, nie przebaczą.

Najbardziej mu na sercu mściwem leżało, iż zdrajca się wymknąć zdołał. W listach do Stadnickich młodych zaklął ich ną krew, która w żyłach ich płynęła, aby się starali nieodzownie *per fas* czy *per nefas*, siłą, zdradą, w jakikolwiekbądź sposób, jakimkolwiek kosztem—Wojtaszka pochwycić i jego mu dostawić.

Publicznie powtarzał Samuel z udaną zimną krwią:

— Nie będę miał spokoju, póki go nie dostanę. Pasy z niego będę darł! pasy! pasy!

Jeden ze Stadnickich, w którego żyłach istotnie żywiej krew Zborowskich płynęła, umyślnie się udał do Krakowa z tem, aby Wojtaszka pochwycić.

Cobar, jak był przyrzekł, wyrobił mu zaraz u króla miejsce lutnisty. Opieka pańska i nazwisko królewskiego nadwornego sługi, dawało mu wprawdzie bezpieczeństwo, zasłaniało go od Zborowskich, ale inne korzyści, jakich się tu spodziewał Wojtaszek, ominęły chciwego odznaczenia się i wzbogacenia młodzika.

Miał król wprawdzie cytarzystów i śpiewaków, ale ci więcej dla gości i dla formy przy dworze się czepiali i cierpiani byli, niż mu potrzebni. Sam król rzadko miał ochotę rozrywać się muzyką. Najmilszą mu była, gdy w Niepołomskich lasach psy ją grały.

Królowa jejmość miała swoich i dwór jej osobno się trzymał, a najczęściej oba one nie w jednem miejscu się znajdowały. Naostatek młody i nowy na dworze nieznany nikomu Wojtaszek panów Zborowskich, zawczasu w starych lutnistach króla miał nieprzyjaciół. A gdy się na dworze zjawił i ze sztuką swą popisał, obudził zazdrość i niechęć ku sobie większą jeszcze.

Cobar, który go miał w opiece, nie zawsze przy królu stał; najczęściej go Batory wysyłał to do wojska, to z rozmaitemi poufnemi poleceniami,—nie tylko w Polsce, ale i za granicę. Naówczas Wojtaszek zostawał sam, jak palec, otoczony nieprzyjaciółmi, a zyskać sobie ludzi nie umiał. Cierpiał więc na każdym kroku,—wyśmiewany, popychany, wcale nie dobiwszy się tego, o czem marzył.

Wiedziano za co otrzymał miejsce, jurgielt i opiekę; zwano go więc zdrajcą i imię to do niego przylgnęło tak, że inaczej między muzykantami, jak nim go nie mianowano.

Mógł to był sobie wynagrodzić łatwo, po mieście chodząc i do śpiewania się najmując przy weselach, chrzcinach, a zabawach bogatych mieszczan, ale na miasto sam się puszczać nie śmiał, bo tam łatwo było popaść w ręce

panów Zborowskich, którzy jeden gwałt więcej popełnić by się nie wahali.

Musiał się więc w tych wycieczkach wystrzegać i dobrze oglądać na wszystkie strony. Stadniccy za nim krok w krok chodzili. Sam on wiedział i czuł, że długo tu wytrwać nie potrafi i że zdrada się nie opłaciła. Do czasu jednak cierpieć musiał i milczeć.

Historya Wojtaszka stała się głośną w mieście i po kraju, było wielu ciekawych, co go widzieć i posłuchać pragnęli, ale pogardę mu okazywano; a nawet ci, co nie lubili panów Zborowskich, dla niego też wielkiej łaskawości nie mieli.

O niewiele szło, ażeby się Wojtaszek w ręce Stadnickiego, a przez niego do dawnego pana nie dostał.

Kilka miesięcy upłynęło i lutnista się nieco obył ze swem położeniem, a nawet zabezpieczył, że go Samuel nie będzie śmiał na zamku szukać i z pod boku króla porwać. Zaczął więc chodzić swobodnie i sam jeden.

Stadnicki młody na to tylko czyhał, a podbudzała go do pilności Włodkowa, która szczególniej dawniej lutnistę lubiła, a teraz go nienawidziła.

Czeladź Stadnickiego, zasadziwszy się na Wojtaszka, gdy nieopatrzny z miasta powracał z lutnią na plecach nucąc sobie, zastąpiła mu drogę.

Wąsaty ogromny siłacz pokłonił mu się, nie puszczając go dalej. Miał z sobą w towarzystwie takich, jak on sam, drabów sześciu.

— Czołem Wojtasiu! jak się masz?—zawołał.—Trudno cię poznać tak na białym chlebie królewskim ciała ci przybyło.

— Daj mi pokój, nie znam cię—odparł Wojtaszek — puszczaj!...

— Poczekaj mało—rzekł hajduk—a to i pamięć widać straciłeś. Jam sługa panów Stadnickich, a oni mają polecenie do was, gdyby się trafiło ująć i dostawić panu Samuelowi, boś się, odchodząc, zapomniał z nim pożegnać i rachunek o jurgielt pono nieskończony. Coś ci się od dawnego pana należy!

— Puszczajże—krzyknął Wojtaszek — jam królewski sługa. Jak śmiesz mnie wstrzymywać!

Wtem drab pochwycił go za kołnierz, drudzy obstąpili, ścisnęli, objęli i Wojtaszek pchany musiał iść z nimi.

Gdy się to działo prawie przed samą bramą zamkową, przechodził właśnie tamtędy Dzierżek z dwoma sługami Zamojskiego. Wszyscy oni znali Wojtaszka, który parę razy był brany na pokoje do kanclerza dla śpiewu. A że historyę jego wiedzieli, łacno się domyślili, co się święci. Dzierżek więc nie mieszkając, pobiegł na zamek do dworzan króla.

Nikogo tak dalece nie obchodził lutnista, ale bądź co bądź należał do dworu i pochwycenie go było zuchwalstwem karygodnem. Natychmiast więc Mroczek, który był pod ręką, wyprawiony został w pogoń z dziesięciu ludźmi, aby Wojtaszka odebrać, nimby go dalej pośpieszyli uprowadzić.

Wojtaszek ze swymi przewodnikami był zaledwie w Grodzkiej ulicy, gdy Mroczek przypadł konno.

Ci, co prowadzili lutnistę, domyślając się odsieczy, chcieli się z nim skryć do kamienicy ale nim dopadli do wrót, Mroczek już był przy nich.

— Stój, jakiem prawem? To jest lutnista króla?

— Mylicie się miłościwy panie—odparł sługa Stadnickiego—to jest wychowaniec i lutnista panów Zborowskich. Uciekł z ich domu, pochwyciwszy, co do niego nie należało. Złodziej jest i my go musimy dostawić dawnemu panu do porachunku.

— Nikt go wam nie schowa do kieszeni—krzyknął rotmistrz;—możecie i pozywać, i dochodzić, ale tymczasem wolnego człowieka z królewskiej służby nikt niema prawa samowolnie chwytać. Puszczać mi go zaraz!

Drab chciał jeszcze próbować oporu, gdy Mroczek dał znak swoim ludziom, którzy nacisnęli tak, że musieli go Stadniccy wypuścić.

Wojtaszek dopiero odetchnął, bo duszę już miał na ramieniu i pewnym był, że z życiem nie ujdzie. Mroczek

go natychmiast między swoich wziął i na zamek odwiózł nazad.

Ta pilność około Wojtaszka i inne pogłoski niepokojące, którym towarzyszyło złowrogie milczenie króla i Zamojskiego, dawały Zborowskim do myślenia. Nie bez przyczyny wnosili, że i hetman, i król najstraszniejsi byli, gdy patrzyli zdaleka, upatrywali chwili i nawet grozić, ani przestrzegać nie raczyli.

Samuel o sobie myśleć nie mógł, bo zdawało się, że nieodwołalnie był potępiony w oczach pana. Za nim wszelakie staranie było próżne, ale Krzysztofa i Andrzeja chciano uratować, a rodzina ich dalsza nie wierzyła, żeby tak daleko zabrnęli, aby ich mie można na brzeg wyciągnąć. Udali się do kasztelana... Andrzej pojechał do niego, bo ten był najzręczniejszy, a umiał pana gnieźnieńskiego przekonać i skłonić.

Ten stał zupełnie poza szrankami, w których się obracali tacy zwolennicy cesarscy, agenci, czynni Rudolfa. Andrzej przybył do niego z użaleniem i gotową powieścią.

— Spisek na naszą zgubę uknuto—mówił do niego.— Niegodziwy ten ulubieńczyk Samuela, Wojtaszek, fałszywe, podrobione jakieś listy z doskonale naśladowaną ręką Krzysztofa zawiózł. W listach mowa o truciźnie, o zasadzkach, o zabójstwach. Król zdrajcy muzykantowi dał miejsce u siebie w kapeli i milczy, Zamojski także...; wiemy, co to ma znaczyć!—poczną może od Samuela, pójdą potem do Krzychnika, od niego do mnie, a gotowo się skończyć na was, panie kasztelanie, bo kto chce psa uderzyć, kij znajdzie.

Z początku kasztelan nie dowierzał, ale Andrzej z nadzwyczajną zręcznością nad nim pracował dopóty, aż go namówił i przekonał, że powinien jechać do Krakowa i raz się z królem stanowczo w sprawie familii rozmówić.

Kasztelan pojechał.

Nie miał tu łask szczególnych, ale miał wiarę u króla i hetmana. Począł od tego ostatniego, lecz gdy zagaił— Zamojski przerwał mu tem, iż z królem o tem, nie z nim mówić potrzeba.

— Ja w tej sprawie—dodał—nic przez się nie czynię i czynić nie będę.

Zatem wyrobił Jan sobie posłuchanie u króla, a wchodząc już po twarzy króla poznał, że się domyślać musiał, o co chodziło.

Jan z całym zapałem czującego się niewinnym człowieka, wniósł sprawę pokrzywdzonej i spotwarzonej familii swojej, błagając króla, aby fałszom złośliwych nieprzyjaciół Zborowskich nie dawał wiary.

Kasztelan mówił gorąco, łzy mu nawet z oczów płynęły, unosił się, ukarzał, prosił, a ile razy spojrzał na twarz króla, aby zbadać wrażenie nie znajdował na niej ani litości, ani najmniejszej oznaki złagodzenia.

Prawda, że Batory wogóle nie łatwym był do zwrotu w przekonaniach, a do przebaczenia nieprzyjaciołom nieskłonnym wcale. Nie znano prawie przykładu, aby urazę osobistą darował. Sprawy jego w Polsce to usposobienie podniosły jeszcze i spotęgowały. Od elekcyi samej trwała z początku otwarta, potem tajona walka z cesarskimi partyzantami, którzy mieli stolicę swą we Wrocławiu, znanych dowódców, wyznaczone sumy i wciąż podkopywali powagę, znaczenie i trwałość rządów Batorego.

Na jednego Łaskiego, który padłszy królowi do nóg, nawrócił się szczerze i wiernie mu służył, było stu Czarnkowskich, Uchańskich, Gostomskich, Tarnowskich którzy zajmowali miejsce w senacie, a wysyłali listy do Wiednia i stali na żołdzie cesarza.

O tem wszystkiem Batory był uwiadomiony, donoszono mu. Ani zwycięstwa, ani powodzenie w polityce wewnętrznej nie mogły nawrócić tych, co nie chcieli być nawróconymi, znajdując dogodnem czerpać ze dwóch źródeł. Batory obchodził się z tymi przeciwnikami ze wzgardą i nie miał nad nimi litości.

Na łzy kasztelana popatrzywszy obojętnie, król poruszył ramionami.

— Nie wątpię—rzekł—o szczerości waszej; mówicie, co wam wmówiono, ale was tak okłamano, jak i mnie oszukać chciano. Trudno się jednak łudzić, gdy dowody czarno na białem trzyma się w ręku.

— Najjaśniejszy panie!—podchwycił kasztelan—raczcie sobie przypomnieć tego pisarza w Grodnie, który tak rękę waszą umiał naśladować, żeście wy sami podpisu jego od własnego rozpoznać nie mogli. Alboż się nie mógł znaleźć zły człowiek, który rękę braci moich naśladował dla ich zguby?

— Czekaj chwilę kasztelanie—odparł król—uczynię cię samego sędzią.

To mówiąc, król wyszedł i mało co zabawiwszy, powrócił z wiązką papierów w ręku.

Kasztelan rzucił się na nie chciwie i przepatrując,—zdrętwiał... Nie było najmniejszej wątpliwości. Pismo, pieczątki, papier, wszystko się składało na to, ażeby wszelką wątpliwość usunąć!

Zrozpaczony starzec, któremu papiery z rąk wypadły, zakrył sobie oczy i nie powiedział już ani słowa.

Batory zabrał papiery i odezwał się z łagodnością:

— Widzicie, że z mojej strony nie podejrzenie jest, ale pewność zupełna. Przeczytajcie ich listy, przekonacie się z ich treści, jak nieprzebłaganą nienawiścią pałają dla mnie. Muszę więc pilnym być, czuwać i bronić się. Uniewinnić Krzysztofa i Samuela w oczach moich nic nie zdoła. Ostrzeżcie ich, aby się z kraju wynosili, bo ja nie dla siebie, ale dla kraju, dla jego spokoju nieubłaganym być muszę.

Kasztelan, zabolawszy okrutnie, musiał odejść z niczem i tegoż dnia przybyłemu marszałkowi oświadczył iż Krzysztofowi nic nie pozostawało nad ucieczkę, a Samuel też, chciał-li być cały, wynosić się musiał.

— Co do was,—dodał—i na was ciężą podejrzenia, ale nie tak ciężkie. Możecie się oczyścić jeszcze.

Po tej ostatniej próbie, kasztelan dotknięty głęboko postępowaniem braci, chociaż ich bronił z obowiązku, zerwał prawie z nimi stosunki. Andrzej także stanął na boku nie poczuwając się do winy braci i chcąc wytrwać na stanowisku. Potajemnie zaś wspomagał i radził Krzysztofowi, gotów był ratować Samuela.

Zborowscy, którzy i tak trzymali z Czarkowskim

i głównymi partyzantami Rakuzan, zbliżyli się do nich, podwoili gorliwość.

O najmniejszych rzeczach, cokolwiek się działo na dworze, między senatorami, w Polsce, w Wiedniu, przez Wrocław i korespondentów—cesarz był uwiadomionym. Spodziewano się tam albo śmierci Batorego, lub jakiegoś wybuchu malkontentów, na których czele mógł stanąć cesarz, który oświadczył, że nie przestanie się starać o koronę polską i że ją mieć musi!

Po nieudanej próbie pochwycenia Wojtaszka, którego tylko przytomność umysłu Dzierżka i pośpiech Mroczka ocalił,—przestraszony lutnista już się na krok z zamku nie ruszył, a i tu nie czuł się bezpiecznym. Wiedział dobrze, że pokryjomu, zręcznie go porwawszy stąd, Zborowscy by sobie winy dowieść nie dali, a znał, czem była ich zemsta.

Odgróżka ta Samuelowa: Będę z niego pasy darł!—nie była próżną. Kto wie, coby z nim kazał uczynić, gdyby go raz miał w swojem ręku!

Nauczył się teraz Wojtaszek, jaki smutny los czekał zdrajcę. Pogardzano nim na zamku, zemsta czyhała poza jego murami. Nawykły i chciwy oklasków, nie miał nawet teraz zręczności pozyskania ich i chwilowego nasycenia miłości własnej. Całemi dniami musiał siadywać na ławie w antykamerze, czekając, azali go nie zawołają na pokoje.

Najczęściej niewzywani muzycy rozchodzili się potem, ale wszyscy inni swobodnie wysuwali się na miasto, zabawiali po browarach, zapraszani śpiewali po domach, zarabiali potrosze grosza i mogli się rozerwać. On zaś nosa nie śmiał wytknąć za bramę... nikt się o niego nie troszczył. Wiódł najsmutniejsze życie w świecie i w końcu musiał prosić swego opiekuna Cobara, aby mu przyszedł w pomoc radą jaką.

Węgier, dotrzymawszy słowa, czuł się zupełnie zwolnionym z dalszych obowiązków względem Wojtaszka Ruszył ramionami, skrzywił ustami i pytał, czego ostatecznie jeszcze żądać może, otrzymawszy to, czego sobie życzył.

— Panie miłościwy—odezwał się Wojtaszek—ja tu umieram, jak trawa w posuchę. Nie mam do kogo zagadać, wszyscy odemnie uciekają... Zginąć tak chyba przyjdzie; nareszcie człowiek i lutni i śpiewu zapomni, bo tu nikt ani słucha, ani żąda muzyki.

— Na to ja ci nie poradzę—odparł Cobar. Chcesz porzucić muzykę a zaciągnąć się do wojska? Dobrze. Zresztą radzić nie umiem—rozśmiał się—nigdy muzykiem nie byłem.

Wojtaszek próżno się zżymał i narzekał, nic nie zyskał.

Parę razy, gdy książęta niemieccy byli na zamku, a Batory nie wiedział, jak ich przyjmować, wołano muzyki... Naówczas starzy tak manewrowali, aby nie dopuścić do głosu Wojtaszka i tylko gdy razem śpiewali wszyscy, mógł się dać słyszeć. Naówczas choć się wyrywał i głos podnosił,—umiano go zagłuszyć.

Po dawnem życiu, targanem namiętnościami, gorączkowem ale utrzymującem w ciągłem naprężeniu wszystkie władze, Wojtaszek popadł w rodzaj odrętwiałości, która go jak rdza jadła.

Do tego męczeńskiego stanu przyczyniły się tęsknice. Tęsknił nawet za tem i za tymi, których znienawidził; przypominał sobie Złoczów, Biały Kamień, Zaborów i inne miejsca pobytu, zabawy, walki, strachy... Anusię gniewną, rozkochaną Motrunkę, a nawet pijane biesiady wrzaskliwe, w których Samuel tak był straszny. Żałował niemal swojego kroku, za który ukarany został nie jednem cięciem, ale powolną męczarnią.

Po kilkakroć zrywał się już,pochwyciwszy lutnię i swój mały węzełek, zbiedz gdzieś do Niemiec, do Czech, bodaj do Moskwy, lecz po drodze mogli go Zborowscy porwać i powiesić na pierwszej z brzegu gałęzi.

W takich rozmysłach czas mu upływał na królewskim dworze. Mógłby był mieć jakąś rozrywkę, zbliżając się do dworu królowej, ale ten się składał z kobiet po większej części podżyłych, lub starych, a królowa sama, jeśli nie pisała listu do Szwecyi, nie doglądała apteczki i ogródka, nie modliła się—to odpoczywała w bardzo szczuplem kółku, o śpiewie i muzyce nie myśląc.

Zawczasu już jakby przeczuwała swój stan wdowi, chodziła w czerni cała, uśmiech prawie nigdy nie zjawiał się na jej ustach.

Tak samo było z królem, zajętym wojną, łowami, polityką swą, Węgrami, zresztą, którymi się przeważnie otaczał, nie szukając rozrywki żadnej, oprócz myślistwa.

Pracowano tu wielew a zabawa była prawie niesłychaną rzeczą... nie czuł nikt jej potrzeby. Wyjątkowem było ono wesele z maszkarami, ale i to już teraz do wspomnień należało.

Nieco może jaśniej bywało na pokojach kanclerza, i tu czasem dźwięk lutni dawał się słyszeć, ale on towarzyszył nowej pieśni Jana Kochanowskiego i musiał się posłusznie do niej nałamywać.

Nie mając co począć, a siedząc ciągle na zamku, Wojtaszek uczęszczał do kościoła, zachodził do zakrystyi i księżom ofiarował swe usługi, które chętnie były przyjęte. Wdziewał komeżkę a piękny głos jego w chórze wszystkich zachwycał.

Miłość własna Wojtaszka przynajmniej cokolwiek była połechtaną.

Księża, z którymi się zapoznał, nie znając jego przeszłości, słysząc głos, widząc chłopaka roztropnym—zaczęli go do stanu duchownego namawiać. Ale do tego nie miał powołania.

Wychowany w domu, w którym religia poszanowaną nie była, bo Samuel liczył się do nowatorów i za katolika nie uchodził, a w istocie żadnej nie miał wiary, Wojtaszek nauczył się drwić z obrzędów, lekceważyć duchownych i myślał naówczas z innymi, również lekkomyślnymi, że stara wiara musi zginąć. Nie dał się więc pociągnąć, ale tymczasem do zakrystyi uczęszczał, jak do kręglarni, dla zabawy.

Ale i stąd go przeszłość wygnać miała.

Mówiliśmy wyżej o dwóch dominikanach, nad którymi głośne było okrutne znęcanie się Zborowskiego, pod pozorem jakiejś na nim potwarzy, a w istocie spowodo-

wane tem, że oni na utrzymanie żony Samuela przy wierze katolickiej wpływali.

Wojtaszek, będący naówczas nieodłącznym od swego pana, patrzał na uwięzienie dominikanów i znał ich dobrze. Oni go też pamiętać musieli, jako pomocnika swego oprawcy.

Jednego razu, gdy Wojtaszek swym zwyczajem zabierał się do śpiewania w chórze i miał komeżkę przywdziewać, ujrzał wchodzącego jednego z dwu księży, co się ledwie z rąk Zborowskiego wyrwać potrafili,—ojca Czesława.

Dominikanin, zobaczywszy go, poznał odrazu i zmarszczył się surowo.

— A ty co tu robisz w miejscu poświęcanem?—zawołał patrząc na niego.

— Należę do śpiewaków królewskich, —odparł Wojtaszek—cóż za dziw, że na Wawelu w kościele śpiewam?

— Ty! Do śpiewaków króla?—przerwał zgorszony ojciec Czesław. — A cóż za bezbożnik cię tu wprowadził? A oczyściłeś-że się ty z tego brudu, w którym grzęzłeś po szyję razem z twoim dawnym panem?

Wojtaszek milczał śmieszkiem nadrabiając. Tymczasem zbliżyli się księża katedralni i słuchali.

— Ma śliczny głos—odezwał się kantor, przechodząc.

— Ale zajrzyjcie mu do duszy!—ogniście krzyknął o. Czesław.—Toż to z kałuży grzechu i nieprawości wydobyta żmija.

Wszyscy księża przytomni przysłuchiwali się z nadzwyczajną ciekawością.

— Ale to śpiewak króla jegomości—dodał jeden.

— Spytajcież go, czyim wprzódy był—mówił o. Czesław—a nie tykając ręką, bo się powalacie, miotłą go za próg wyrzućcie i to miejsce, po którem chodził, ogniem wypalcie, święconą wodą obmyjcie...

Milczeli wszyscy, dominikanin nie ustawał.

— Przecież to ulubieniec Samusia Zborowskiego, łotra, co do świętych strzelał obrazów, co księży zniewa żał, co Wapowskiego, świętego męża jeszcze świętszej niewiasty, ubił. To jego wychowaniec, kochanek, pieszczota...

I ksiądz ze wstrętem odwrócił się od Wojtaszka, w którego rękach komeżka drżała Wszyscy duchowni, w zakrystyi zgromadzeni, ze zgrozą i jakąś niechęcią spoglądali na śpiewaka. Nikt mu jeszcze nie śmiał powiedzieć, aby sobie szedł precz, ale na wszystkich twarzach stał ten wyrok wypisany.

Wojtaszek go zrozumiał, Romeżkę rzucił natychmiast, kapelusik swój z piórem włoskiem porwał do ręki i słowa nie mówiąc, skłoniwszy się zaledwie księżom, wyniósł się precz z zakrystyi, w której więcej nie postał.

Żałowano go tu dla głosu, ale niepodobna było, wiedząc, kto on był i skąd pochodził, dopuszczać go do udziału w nabożeństwie. Byli tacy, co się użalali nad losem jego i myśleli nawracać, ale dumny Wojtaszek już im nie nastręczał ku temu zręczności i kościół zdaleka obchodził.

— Znowu więc powróciły godziny długie nudów i siadywanie na ławie w izbie, w której wszelka służba zawołania oczekiwała, racząc się piwem i grubiańskiemi szyderstwy.

Wojtaszkowi czasem przychodziła ochota kamień sobie przywiązać do szyi i pójść do Wisły.

———

IX.

Rok tak prawie upłynął. W położeniu panów Zborowskich nic się nie zmieniło. Zawsze nad nimi wisiała groźba pomsty króla, bo ten nigdy nie przebaczał. Milczenie jego i cierpliwość dowodziły tylko, że pierwszej zręczności czekał, aby nieprzyjaciół pognębić. Nie mogli się oczyścić, nie śmieli żądać, aby im winy dowodzono... pozostali w tym stanie niepewności i obawy, który jest ze wszystkich najnieznośniejszym.

Lecz pan Samuel, który już później kilkakroć wraz z Krzysztofem próbował się odzywać do kozaków, dla uzyskania u nich hetmaństwa i dokuczenia niem królowi, z Niżu otrzymał tylko wymijające, nie stateczne odpowiedzi. Przyjmowano posyłane podarki, na listy obu ich odpisano nawet po polsku, ale tak ogólnemi słowy, iż z nich nic wyciągnąć nie było można.

Drugi raz na Niż się puszczać nie miał ochoty Samuel; nadto jeszcze świeże było pierwszej wyprawy wspomnienie.

Krzysztof, który się też pono zawiódł na wielkim księciu moskiewskim i czekał napróżno od niego jurgieltu, gdy ten wymagał naprzód, aby on zarobił nań, nie kontent był i z cesarza, którego zwał się radą, ale mu nic poradzić nie umiał, aby prędzej osiągnął tron polski.

Wiadomą tylko była wielka nań pożądliwość Rudolfa, który mówił i powtarzał ciągle, że musi koronę tę mieć. Utrzymywał też i teraz po wstąpieniu na tron Batorego całą gromadę płatnych szpiegów i pokątnych pomocników, którzy wiele obiecywali, nic nie robili, a nieustannie dopominali się pieniędzy, pod pozorem jakichś dla cesarza werbunków.

W raportach z Wrocławia opisywano na pociechę Wiednia, że Batory był żółty, chory, zmęczony, że życia długiego nie obiecywał. Z tąż samą nieżyczliwością odzywano się o królowej, o którą zresztą Rudolf, jak otwarcie mówił, nie dbał. Miała ona swe wyposażenie osobne i do niczego więcej nie mogła praw sobie rościć.

Gdy Zamojski i Batory pracowali niezmordowanie około uporządkowania Polski, zabezpieczenia jej pokoju na granicach, zgotowania lepszej przyszłości, popod nimi robota podziemna kretów tych nie ustawała ani na chwilę. Oczekiwano śmierci Batorego, jak gdyby ona wkrótce im zapewnioną była.

Nie ulega też wątpliwości, iż się tę przyśpieszyć starano i że gdyby nie pilny dozór Buccelli i innych lekarzy, ostrożność Zamojskiego, obawa i nieufność, które pobudzały do ostrzeżenia króla, przyśpieszonoby mu koniec ten, którego tak pragnęli zaprzedani rakuskiemu. Zdawało

się im, że pierwsze doświadczenie, jak wiele opieszałość popsuć może, zabezpieczy od powtórnego błędu i nauczy jak szybko działać potrzeba.

Wszystko zresztą było w gotowości. Cesarz liczył cały zastęp sprzymierzeńców w Polsce i na Litwie; miał w Wielkiej Polsce Górkę, w Krakowie jednego z Tarnowskich, miał czynnego Uchańskiego, Gostomskiego, wojewodę rawskiego, i na pozór ogromnie czynnego, wiele obiecującego Czarnkowskiego. Partya ta, po zgonie Zygmunta Augusta sformowana, miała się czas zorganizować i ukrzepić.

Wyczekiwanie dłuższe raczej mogło osłabić i rozprządz to wojsko, niż je powiększyć i wzmocnić. Liczono już odpadki, cesarz się gniewał. Szło więc głównie o to, aby bodaj gwałtownym czynem koniec panowaniu temu położyć. Struć, zabić, byle się pozbyć!

Ze wszystkich, którzy do tego obozu należeli, Zborowscy okazywali się najśmielsi do czynu, a z nich Samuel najpewniejszym, iż się nie cofnie.

A zatem trzeba było naznaczyć czas i godzinę, związać się słowem uroczystem i kroczyć wprost do czynu. Samuel się na to godził, Krzysztof przystawał, Andrzej się nie sprzeciwiał.

Wszystkich znudziło i wyczerpało oczekiwanie; Samuel odesłał ich, aby postanowić zjazd gdzieś na Rusi i zawrzeć umowę twardą.

W ciągu roku obawy jakiejś niespodzianki od króla osłabły. Ponieważ on się ociągał, można go było uprzedzić.

Trzej bracia naznaczyli sobie dzień zjazdu w Złoczowie. Zdawało się im, że bezkarnie dotąd kręcąc się po kraju, jakby na nich uwagi nie zwracano wcale, mogli być zapomniani.

Samuel, choć banita, zawsze w kilkadziesiąt, do stu koni, przenosił się z miejsca na miejsce, z jednego majątku do drugiego, to ku granicy, to ponad nią się snując. Opowiadano o nim raz, że się wybiera na Wołoszczyznę, to, że idzie na Tatarów, to—że się do Włoch wynosi, a kraj opuszcza zupełnie.

Krzysztof niby że bawił na Morawie, gdzie miał

jakieś bajeczne posiadłości, niby się znajdował u cesarza, a nie było go w Polsce, ale w istocie prawie się z niej nie wydalał.

Naostatek Andrzej nie ukrywał się z sobą, jawnie przemieszkiwał w Krakowie, stawił się na wielu zjazdach, brał udział w naradach, tylko dworu unikał i z kanclerzem się nie rad był spotykać.

Wszyscy oni mylili się mocno, sądząc, że czy przez niedbalstwo, czy przez lekceważenie nie zwracano już na nich uwagi.

Kanclerz dla samego króla, którego się głosili nieprzyjaciółmi, musiał ich pilnować, król zaś obawiał się ich więcej dla Zamojskiego. Mroczek przez niewidzialnych swoich pomocników śledził każdy krok, wiedział o każdem poruszeniu, miał doniesienia o tem nawet, co między sobą mówili i układali. Zjazd więc, umówiony do Złoczowa, także mu nie był obcym. Zabezpieczył się, aby i tam mieć kogoś, coby mu doniósł o jego skutku.

Było to w początkach kwietnia, ale wiosna, choć leniwo, już się czuć dawała i powietrze nieco się ociepliło. Złoczów położony w kotlinie, na uboczu, wśród lasów i wzgórz, w cichym kącie, zdawał się panom Zborowskim miejscem bardzo stosownem do takiego zjazdu, któryby nie nastręczał się ciekawym oczom. Tu mogli sobie zjechać pocichu na stary zamek, nie zwracając uwagi, przesiedzieć w nim dni parę i niepostrzeżeni się rozsypać, każdy w swoją stronę.

Łatwo się domyśleć, że pierwszy przybył tu niecierpliwy Samuel gospodarzyć i przygotować przyjęcie dla braci.

Orszak jego, wedle dawnego zwyczaju, składał się z hajduków, dworzan, czeladzi i mógł nazwać doborowym, bo i ludziom i koniom nic zarzucić nie było można. Próżnię, jaką po sobie zostawił Wojtaszek, wypełniał już inny młokos, Prokopek, który wieśniacze tylko pieśni śpiewywał i z prosta grał na torbanie, ale był ulubionym pana, bo drżał przed nim i na twarz padał.

Mnich włoski dawno był, pokłóciwszy się ze Zborowskim, w podartym habicie, zmuszony dwór jego opuścić; natomiast miał on teraz Żyda, którego przezwal Rabi Jehuda, śpiewającego majufes, jeżdżącego konno i służącego za pośmiewisko, ale obdzierającego Samuela bez miłosierdzia.

Oprócz tego na wozie jechali karzel i karlica, ubrani dziwacznie, usługujący Samuelowi, ale tych on rzadko z domu brał dla parady.

Życie wiodło się jak przedtem bez zmiany. Anusia bawiła w Białym Kamieniu, a dorastający syn Aleksander, do którego więcej może teraz, niż do córki był przywiązanym, rzadko miał pozwolenie towarzyszenia mu i mieszkania razem.

Przez dziwny jakiś srom nie życzył sobie Samuel, aby syn ten patrzył na jego życie. Trzymał go zdala, z nauczycielami i pod pozorem bardzo szczęśliwie dobranych przewodników, czuwających nad jego wykształceniem.

Sam on wyrażał się czasem cynicznie:

— Nie chcę, aby na takiego, jak ja, wyrósł lotra i zbója. Zobaczycie! ten sławę imienia Zborowskich podniesie, ten na bohatera wyrośnie!

I przepowiednia ta się później, w niedługiem życiu Aleksandra ziściła.

Bolał nad tem często Samuel, że go nie widział, tęsknił za nim, ale go do siebie nie powoływal. A gdy Aleksander przyjeżdżał, nie przyjmował go zwykle w Białym Kamieniu, ale gdzieś indziej i ze skromniejszym dworem. Sam on przy synu starał się być innym... Wprawdzie warcholstwa nigdy nie mógł zrzucić z siebie i pozbyć się go zupełnie, ale stawał się o wiele poważniejszym.

Aleksander miał usposobienie rycerskie, sposobił się też głównie do służby wojskowej.

I na ten zjazd nie wziął go z sobą Samuel. Trzej bracia mieli być sami, nie mając z sobą tylko swe sługi zaufane. Jana nie powoływano nawet, tak, że o zjeździe nic nie wiedział.

Samuel przybył wieczora dnia jednego, nazajutrz przyjechał Krzysztof, naostatek nadciągnął Andrzej, a pierwszem jego słowem było narzekanie, że zjazd mu się zdaje wcale niepotrzebnym i zbytecznym.

— Cóż tu omawiać, o czem radzić?—rzekł.—Od lat

kilku wodę warzymy i tyle tylko, że jej w garnku coraz mniej!

Krzysztof nie odpowiedział nawet na to. Samuel zafrasował się o jadło i napitek, chcąc naprzód grzeszne nakarmić ciało. Miał z sobą beczułkę małmazyi.

U stołu, który Michał w kuchni rozprawiając o Niżu i o jakichś sławnych kaczkach, które tam piekł (a spływał z nich olej), przygotowywał, zastawiono prawdziwą ucztę szlachecką. Zawiesisto, pieprzno, słono, korzenno, przychodziły na stół misy, a odchodziły czyste. Popijano dobrze i umysły się nastroiły zgodnie na wysoką nutę.

Drugi obrus zdejmowano, gdy Krzysztof precz służbę rozpędziwszy, zawołał, że czasu nie tracąc, radzić należało.

— Zagajaj!—odparł Samko.

— Dawno to zagajone—rzekł podczaszy.—Króla się trzeba co najprędzej pozbyć, a jeśli jego nie można,—to hetmana. Czas tracimy, czekając. Cesarz się niecierpliwi i łaje. W kraju malkontentów już jest tyle, że byle się noga powinęła, my weźmiemy górę... Batory dla nas pracuje... wszystko robi, co może, aby go naród znienawidził. Otoczył się Węgrami, z polskich swobód szydzi wprost i im zagraża. Na sejmie jeśli się odezwie, to gorzkiem słowem. Nikomu nie pozwoli ani krzyknąć, ani się poskarżyć. Wszyscy go mają dosyć, wszyscy widzą, że gdy to potrwa dłużej, nasze privilegia podeptane zostaną, i na co my od Ludwika pracowali, za jednym zamachem w proch się obróci. Co tu znaczy człowiek ,.gdy chodzi o kraj cały i cały stan szlachecki!

— Oto już wodę warzysz—przerwał Andrzej.—To są stare i oklepane rzeczy!

Krzysztof, mający się za daleko rozumniejszego i przebieglejszego, niż Andrzej, niecierpliwie się zżymnął.

— Dajże mi wyłuszczyć rzecz, jak ona dziś stoi—zawołał.—Nie dosyć, że nam dojadł ten groźny stan, dokuczył on już wszystkim niemal, ale milczą, bo się boją, a nie poczną nic, bo im też strach. My się musimy za wszystkich stawić i świecić.

Samuel potwierdził, ale tylko milczącem uderzeniem pięścią o stół, aż szyby okien w ołów oprawne zadrżały.

— Chcieliśmy to rychlej i bezpieczniej skończyć—mówił dalej Krzysztof—dając królowi lekarstwo... bo nieboraczysko chory, ale zawczasu się to przez Samuelową nieostrożność wydało; teraz w podróży, krom gotowanych jajek, nic w gębę nie bierze.

— Co ty na mnie winę składasz!—krzyknął Samuel.—A z czyjegoż to listu wyszło? nie z twojego?

— A pocóżeś ty listy chował tak, że ten łotr, twój faworyt i wiedział o nich, i czytał, i skraść mógł? Toć nie moja wina!

Samuel zaklął tylko dyabłami i milkł.

— Teraz tam kuchni, wody, ja myślę, że powietrza pilnują około króla—dodał Krzychnik,—że darmo nawet myśleć o czemś. Gdy król w Grodnie, to tam Bucella i kuchmistrz stoją przy garnkach, a w Niepołomicach, Branicka starościanka.

— Tak—wtrącił Andrzej—i z tego powodu zmyślili na króla, że starościankę pokochał, choć on wcale do takiego kochania się nie nadał. Tam chyba Cobar, albo który z jego Węgrów za niego kocha... ale zawsze dobrze, że plotą o tych miłostkach, bo to i królowej uszu dochodzi i ludzie z niego szydzą.

— Ale to baśń—rzekł Krzychnik—ja najlepiej wiem. Bałamuctwo... Król Branickiemu za pilność około łowów tenutę odpuścił, a ludzie to składają na starościankę, śmiech myśleć o tem.—A no z Wrocławia raportowali cesarzowi o romansie, bo stamtąd posyłają, co tylko mogą na króla wymyśleć, ale nic nie robią. Słowami ręce chcą zastąpić.

Słuchali wszyscy, a Krzychnik mówił dalej:

— Więc około króla niema nam co ani projektować, ani robić. Otoczony jest swoimi Węgrami, a gdy w podróży, to prowadzi za sobą taką kupę straży i ludzi...

Nie dokończył pan podczaszy.

— Inna rzecz z kanclerzem—rzekł po chwili.—Ten się czuje w domu i bezpieczen. O nas, choć wie, nie dba! Jeździ do Knyszyna, z Knyszyna do Zamechu i tam gdzie

myśli miasta i grody fundować, w małym orszaku, czasem w kilku ludzi. Nic łatwiejszego, jak na noclegu w pierwospy najść i zarąbać.

Zwrócił się do Samuela.

— Toż to rzecz dawno umówiona—odparł Samuel—ale trzeba ją napewno poczynać, aby burdy nie zrobić daremnej, bo nas połapią i pościnają, a on wyjdzie cały. Więc musimy wprzódy wiedzieć, nim się w podróż, puści ile ludzi i jakich z sobą prowadzi, gdzie nocować ma, w jakim dworze, jaki tam dostęp, ilu miejscowej czeladzi? Przy nim zwykle idzie rotmistrz Mroczek; znam go z wojny, śmiała i zajadła bestya, nie głupi, ale ja się go nie boję. O innych też, co przy Zamojskim są, wiem! Lud dobrany, a no nie taki, ażebym ja go się uląkł.—W tych czasach kanclerz właśnie pociągnie do Krakowa...

Chciał dalej mówić, gdy podczaszy mu przerwał.

— A no przed czasem o tem począłeś, stój. Pogadamy no...

— Wodę warzysz — rzekł, dąsając się Andrzej. — O czem tu gadać? Postanowiono na kanclerza głowę?

— Postanowiono—zawołał Samuel ze śmiechem—to jest jam postanowił i idę, a Krzychnik i ty będziecie patrzeć z daleka, jak banita za was żywot i gardło stawi!

— Boś ty do tego najsprawniejszy—odezwał się Andrzej.

Samuel się pokłonił.

— Ta mi cześć za wszystko płaci—zawołał.—Wy oba do kancelaryi jesteście, a ja do topora,—wy majstry, a ja czeladnik! Tylko to trzeba też wiedzieć, że gdyby sami majstrowie byli tak, jak wy, nigdyby do żadnej roboty nie przyszło.

Marszalek z podczaszym spojrzeli na się i nie chcąc drażnić coraz goręcej występującego Samuela, zamilkli.

— Panowie majstrowie, słucham dalej rozkazów—dodał Samuel.

Krzysztof w stół patrzył chwilę i palcami po nim grał, bo się w nim krew ruszyła. Andrzej w strop oczy wlepił.

— Więc pewno wiecie, że kanclerz jedzie do Krakowa temi czasy i jakim szlakiem?—spytał podczaszy.

— Tak jest—odparł Samuel—a nie tylko to wiem, ale *probabiliter datum*, kiedy wyruszy i kogo z sobą będzie mieć. Gościniec to zwykły, wiadomy, więc i popasy i noclegi zawsze też same, bo on z drogi nie zbacza nigdy. Ja zaś tak się gotuję, abym krok w krok za nim szedł, z boku o milę, o pół mili, a dobiorę sobie takie miejsce do najścia go, gdzie mi najwygodniej będzie. Może nawet się uda człowieka dostać, co pocichu wrota otworzy, aby dwór obstawić, nim się zbudzi, albo go i w łożu wziąć...

— Byleby się udało—szepnął Andrzej.—Wy sobie go wyobrażacie nieopatrznym i bezpiecznym, a ja myślę inaczej. Wie on, co się wkoło niego dzieje i ma się na ostrożności. Jeżeli nie on, to Mroczek patrzy daleko, a ma oczy ostrowidza.

Śmiał się Samuel.

— Da-li Bóg, nie będą one lepsze od moich—rzekł—bo oni o mnie tak, jak nic nie wiedzą, chyba to, że się po kraju włóczę. Ale to trwa tyle czasu, iż się ze mną obyli i nie zważają na mnie. Powiadają sobie: jedzie Samuś pić i z dobrymi towarzyszami hulać... niech tam sobie!—Pójdę więc w ślad za nimi i mam nadzieję go przydybać, nim się do Krakowa dostanie.

— Ludzi dużo masz? — zapytał Krzychnik.

— Nie pytaj wielu, ale jakich—rzekł Samuel.—Łeb w łeb taki lud, że nie zawahają się przeciw dziesięciu stanąć jednemu. Miałem ich na Niżu. Turków była ćma, nas garść, ale trzeba było patrzeć, jak się bili! Zamojski nie prowadzi z sobą i trzydziestu, licząc z woźnicami, czeladzią i pacholkami, a ja mieć będę samych dobornych moich więcej trzydziestu, krom tych, co w odwodzie, to także nie odłamki, a i ja za kilku stanę!—Byleśmy go w ciepłem gnieździe przydybali,—nie wyjdzie z niego cały! Cała sprawa w tem, gdzie i jak? Będę go prowadził, mając na oku póty, dopóki nie nadarzy się takie miejsce.

— A jak się nie nadarzy?—zapytał Andrzej kwaśno.

— To nie może być?—zawołał Samuel.—Ja te wszystkie dwory znam; w najgorszym razie, gdy się już pod Kraków będzie podsuwał (ale ja mu tak daleko iść nie dam), wezmę go gdziekolwiekbądź.

— A dalej co?—spytał Andrzej.—Bo nam tu wszystko obrachować trzeba. Nie idzie o ciebie jednego Samku, ale o nas wszystkich. Wiedzą ludzie, że my razem się trzymamy. Więc gdy się uda, to co?

Samuel się trochę zamyślił.

— Na razie—rzekł—trzeba będzie ujść nieco, ale byle Zamojskiego nie stało, cała szlachta się na naszą i cesarską stronę obróci.

— A jakby się nie udało?—zapytał Andrzej.

Samuel porwał się zniecierpliwiony do najwyższego stopnia.

— Jakże może się nie udać?—zawołał.—Siły obrachowane, ja idę napewno. Udać się musi!

— Trochę cierpliwości—wtrącił marszałek.—Może się i tak złożyć, że ty nie będziesz mógł wcale nic począć? Co wówczas?

— Rzecz się opóźni tylko, ale przez to nie przepadnie—rzekł Samuel.—Ale ja wam zaręczam, że tym razem musimy z nim skończyć. Wodzim się z tem długo, a mnie już ręce świerzbią.

Krzychnik dumał.

— Byle kanclerza nie stało—my z Czarnkowskim z Chodkiewiczami na Litwie sprawę cesarską wyprowadzimy na stół i znajdą się oddziały, które elekta będą popierały, a gdy te się zjawią,—wszystek kraj odstąpi Batorego.

— A no, wojna domowa,—odparł Andrzej—zła rzecz!

— Wojny nie będzie—rzekł Krzychnik.—Kto mu zostanie? Jego chłopska piechota i zaciągi cudzoziemskie? Tym się lenung da lepszy—i odstąpią go.

Trochę milczeli, ale zbytniego zaufania w plany owe nie okazywał z nich żaden. Samuel jeden najśmielszym był.

— Na czas choćby się przyszło mi gdzie schować,—rzekł—długo to nie potrwa. Wszystko jest na Zamojskim. Nie stanie jego,—runie cała ta szopa na ich głowy. On jeden ją trzyma!

Znowu nastąpiło milczenie, panowie bracia spoglądali po sobie, jakby myśli swe odgadywać chcieli, ale tylko jeden Samuel miał je wypisane na czole, bo ten się z

niczem nie tail. Andrzej, choć szedł z braćmi, niezupełnie ufał, że się im uda; Krzychnik chciał narzucić Samuelowi najmniejsze nawet środki wykonania, bo w jego siłę i impet, ale nie w głowę wierzył. Teraz zaś po odkradzeniu listów, mniej, niż kiedy mu ufał, znajdując, że niebacznym jest i na ludziach się nie zna.

— Cóż się stało z tym łotrem Wojtaszkiem?—zapytał Andrzej—król go wziął?

— A myśmy go przez Stadnickiego królowi już z rąk byli wydarli — rzekł Samuel,—ale kanclerza ludzie, bodaj głową nałożyl! natychmiast przyskoczyli i wychwycil'. Na dworze jest. Ci, co go widzieli, powiadają, że do siebie niepodobny, jak wędzonka wygląda.

— Nie tracę nadziei—dodał—że ja go jeszcze dostanę, a dostawszy, to dopiero się ucieszę!

Usta zagryzł Samko i zamilkł nagle. Ręce, które trzymał na stole, zacisnęły mu się tak, iż krew z nich uszła.

Chwilę trwał ten gniew wewnętrzny, milczący i podczaszy począł znowu.

— Tedy wszystko tak, jak skończone, ale (obrócił się do Samuela) na wszystko w świecie, na cześć twoją i naszą zaklinam, niechże raz będzie koniec! Nam już dziś nikt wiary nie daje. Odgrażamy się, odgrażamy, boczym, trwa to lata całe, ludzie się śmieją z nas i powiadają:—Nie mogą nic! Pojechał Samuel na Niż,—nic nie wskórał; posyłał z listami do kozaków, Krzysztof nie zyskał też nic, prócz pięknego pokłonu. Obrócili się do cesarza, — ten im już jurgielty poodejmował, bo widzi, że są do niczego! Car moskiewski też się odwraca od nich. Co oni warci? Gęby szerokie, a ręce bezsilne!

Gdy to mówił, po Samuelu przebiegały rumieńce i bladość naprzemiany. Zerwał się z siedzenia.

— To znaczy—zawołał gwałtownie,—iż na mnie spada wszystka wina, bo ja waszą jestem dłonią i ręką! Ale, gdybyście wy mnie nie wstrzymywali, jabym dawno porachunek skończył i z wilkiem i z Zamojskim! Wy wszystko ważycie i mierzycie na łuty i na skrupuły, a ja nie rachuję nieprzyjaciela, tylko moje męstwo. Tego mi dotąd nie brakło! Mówicie teraz, że trzeba skończyć. Dobrze!

Czy dogodnie będzie z tem, czy nie, ja koniec zrobię. Padnie hetman, albo ja!

Tu głową potrząsnął.

— Ale chyba nie ja,—dodał—bom się ubezpieczył; wpadnie mi w matnię, nie opatrzywszy się.

— Kiedyż się to ma stać?—zapytał Andrzej,—bo nam wiedzieć trzeba, gdzie być i jak się na wszelki wypadek gotować.

— Chcecie, żebym wam dzień, a może godzinę i minutę wyznaczył—wykrzyknął Samuel—samiż zważcie. To odemnie nie zależy!

— Mniej więcej—szepnął Krzysztof.

— Bardzo rychło, najdalej w maju—odezwał się po namyśle krótkim Samuel.—Tak mi się zda. Wyjazd do Krakowa postanowiony, a ja już na niego po drodze czekać będę.

— Jedną on ma drogę?—badał Andrzej.

— Jedną—potwierdził Samuel.—Gdyby ją odmienił, zawczasu mi dadzą znać, bo mam tam przy nim kogoś...

Andrzej, posłyszawszy to, zadumał się.

— A on niema kogo swojego przy was?—zapytał.

— Nie może być! moich ludzi znam wszystkich na wylot, nowego żadnego nie przyjmuję—nie boję się — zawołał Samuel.

— No i Wojtaszkaś się nie bał?—rzekł Krzychnik.

— Nieprawda, nieprawda!—niecierpliwie począł, miotając się Samuel.—Obawiałem się go zawsze i śmierć jego była u mnie postanowiona, ale ten człowiek to czarnoksiężnik był i dyabelskie kunszty znał. Mnie przy nim serce miękło, ludzi najnieprzyjaźniejszych sobie opanowywał, kobiety szalały za nim! Na taką siłę—mojej za mało. Szatan był wcielony.

Siedzieli czas jakiś milczący, aż Krzychnik począł badać, już nie po raz pierwszy, o listy swoje, o ile je sobie przypominał,—które mianowicie zabrane zostały i znajdowały się w ręku króla. Na to Samuel odpowiadał krótko i niechętnie, potem rozmowa się wszczęła o Janie, w jaki sposób bronił Krzychnika.

— Mówią, że zrazu poznał listy, iż były moje—odezwał się Krzysztof—dopiero potem się rozmyślił, że je mógł podrobić fałszerz, bo są tacy ludzie, co i pisma i pieczęci umieją naśladować. Ja się ich zaprę.

— A kto o nie teraz pytać będzie?—odezwał się Samuel.—To rzecz już pogrzebiona. Jabym też złożył na Wojtaszka, że przez niego ci, co nas zgubić chcieli, listy fałszywe podrzucili. Ale co już dziś o tem rozprawiać? Gdyby król uwierzył w te papiery, a chciał z nich zrobić użytek, dotądby już pewnie wypłynęły. Jan obmył je łzami i tak się na niczem skończyło.

Andrzej, który podobno najstrożniejszym z nich był, rozpoczął o innych sprawach i z przełaju zagadnął Samuela o syna, o córkę, o Włodkowę, a naostatek o to jak on po kraju z taką gromadą ludzi, ba—i wozów się przejeżdżając, te swoje wędrówki tłómaczy.

— Bo—dodał,—jeśli ty ich nie wytłómaczysz ludziom, oni je sami Bóg wie na co składać będą i paplać nie do rzeczy.

— Jam o tem myślał—odparł Samuel.—Cały świat wie, że ja do Włoch z Krzychnikiem razem się wynoszę, bo tu nie mam co robić. Powiadam, że na Maltę nawet dopłyniemy, aby tam, jako rycerze z pogany walczyć. O tem więc wszyscy ludzie wiedzą i nikogo nie dziwi mój tabor, bo jušci Zborowski, gdy kraj opuszcza, z sakwą jedną za kulbaką wyciągnąć nie może. Bez dworu i sprzętu nie mogę być, a więc i bez broni. Na całej Rusi już się ze mną pożegnali, bom głośno zapowiedział, że nie zmieni-li się u nas na lepsze, to mnie już nie zobaczą!

To mówiąc, Samuel począł poświstywać i śmiać się.

— E! co tam długo wędrować i ważyć—rzekł—wszystko już opatrzone i obmyślone, a mnie się serce raduje, że koniec zrobię i ludziom okażę, że nie tylko językiem, ale i ręką jeszcze nie uschłą potrafię. Kanclerz ubezpieczony... na mnie jak się zdaje, nawet wielkiego baczenia nie dają.

Tak aż do południa upłynął czas nad ciągłem powtarzaniem wszystkiego, co napaść na kanclerza czyniła potrzebnem. Radził Krzychnik, wtrącał się pan Andrzej, rozpytywali o ludzi, o broń; widać było niepokój ich, a razem pragnienie, aby się to skończyło.

Podczaszy szczególniej nalegał na to, mówiąc, iż cesarz wymówki czynił, nikomu już nie ufał, pieniężne wypłaty wstrzymywał i ze stu tysięcy, przeznaczonych na ten cel, połowę ledwie wydawszy, więcej już dawać nie chciał, z tego powodu, że wielu jego dawniejszych stronników jawnie przeszło do króla Stefana.

Mowiono potem wiele o królu, a Andrzej, który najbliżej dworu stał i najlepiej wiedział, co się tam działo, nastawał na to, że nieubłaganym był i srogim, a coraz się surowszym jeszcze obiecywał.

Powtarzano jego wyrazy, że kaganiec szlachcie nałoży, że ją szanować królów swych nauczy, że i prawa niedorzeczne zmienić będą musieli, bo są takie, z któremi wojny prowadzić skutecznie niepodobna i t. d.

Tak cały ten czas w Złoczowie upłynął na wzajemnem ubezpieczeniu się i zapewnianiu, że teraz już koniec być musi i że on szczęśliwie dla nich wypadnie.

Samuel do Złoczowa przybył z małym pocztem, część jego po drodze, a Boksickiego na żądanie, dla ważnych jakichś pokupek, zostawiwszy we Lwowie.

Miał w nim zupełne zaufanie Samuel i człowiek się na nie zasługiwać zdawał; ale w czasie służby jego u Zborowskich zaszło coś, co położenie i usposobienie zmienić mogło. We Lwowie Boskicki zetknął się przed kilku miesiącami z przyrodnim bratem, którego nie widział od bardzo dawna. Ten się zwał Parżnicki.

Powitanie po latach długich było łzami obmyte.

— Gdzież ty się obracasz?—zapytał Boksicki, myśląc już brata zaciągnąć do służby Samuela.

Przy kanclerzu jestem—rzekł Parżnicki.—Koniuszym mnie uczynili i dobrze mi z tem jest. W podróżach mu towarzyszę.

Posłyszawszy to, Boksicki zrazu się nawet z tem wydać nie śmiał, gdzie służy, ale brata zaczął odmawiać, ażeby skąpego i surowego Zamojskiego — bo taka o nim chodziła fama—rzucił, a innego miejsca szukał. Obiecywał mu je wyrobić.

Parżnicki na to z góry odrzekł;

— Uchowaj Boże! Ani się ruszę! Kamień na miejscu obrasta. Albo mi to źle? Naprzód, że jurgielt nigdy nie zalega, a i podarki się trafiają. Prawda, że ani na obrokach, ani na stajennych przyborach człek nie zarobi, bo rygor wielki, ale zapłata dobra i gdy człeka doświadczą,—to go popychają.

— A przytem—dodał—co kanclerz, to nie żaden inny pan, albo półpanek. Ten całą gębą królewski synowiec i ma przed sobą przyszłość znaczną. Kto wie? Na tron go może wezmą?

Poczęli tedy we dwóch po swojemu politykować, a Parżnicki się okazał daleko zręczniejszym, bo brata skonwiktował, że służba u kanclerza nie miała równej, a kto się do niej dostał, winien się pilnować, aby nie stracić miejsca.

Nie mogło też inaczej wypaść, tylko, że bracia się nawzajem ugaszczając, pod wieczór oba byli podchmieleni, serca im się otwierały i tajemnic dla siebie nie mieli. Boksicki nawet, obawiając się o życie brata, wygadał mu się w końcu z tem, że na kanclerza czyhano i t. p.

— Ja tam oczywiście nie bardzo wiem, co się na pokojach dzieje—odparł Parżnicki,—ale ci za to mogę ręczyć, że kanclerz jest o wszystkiem uwiadomiony, bo swoich ludzi wszędzie ma i jeżeli na niego chcą napaść, o rychlej on na was napadnie. Jam tego tak pewien, jak Pana Boga na niebie.

Boksicki słuchając brata, znacznie ostygł i począł dumać o własnej skórze. Inaczej mu się teraz wydawała sprawa, bo pomimo osobistego męstwa Samuela, wiedział, że on słabszym był i że z innymi sługami jego mógł też głowę położyć, stojąc przy nim.

Za drugim razem, gdy się zeszli, Parżnicki zaczął namawiać, aby Boksicki raczej trzymał z nim i kanclerzowi pomagał. Oburzył się na to Boksicki, ale gdy raz i drugi rozgadali się, zmiękł i jakoś spowolniał.

Od ciebie nic innego nie będą żądali, tylko, abyś nas zawiadamiał, z jaką siłą, gdzie i kiedy będzie Samuel się znajdował, a odwodził go od napaści, w której głową może nałożyć.

Jak do tego przyszli, że się potem porozumieli i naj-

zaufańszy sługa Samuelowy stał się narzędziem w ręku brata a posługaczem kanclerza,—to tylko słabość natury ludzkiej może tłómaczyć.

Boksicki mówił sobie, że Samuela w ten sposób od zagłady zachowa.

Zmówili się więc między sobą bracia i gdy Zborowski rachował na to, że kanclerza weźmie nieopatrznego, Zamojski o każdym jego kroku zawiadomionym miał być i bezpiecznie podróż odbywać.

Lecz nie chcąc zdradą i podstępem nic czynić, Zamojski głośno się odzywał z tem, tak, aby to doszło Zborowskiego, że banicyę na sobie mając, nie powinien się w jurysdykcyi jego, jako starosty krakowskiego, ukazywać, bo go chwyci, jako banitę.

Samuel żartował sobie z tej już nie nowej, bo wznowionej pogłoski, choć uszu jego dochodziła.

— Niechaj Panu Bogu dziękuje, gdy sam cały ujdzie z moich rąk, a o moją banicyę się nie frasuje. Ja o niej dobrze wiem, że zwietrzała od śmierci Henryka i że przez to samo nic nie warta, że pod Połockiem mnie widząc— z niej nie korzystano. Nie stało mi się nic dotąd, więc nic stać nie może

Było to jego najmocniejsze przekonanie.

Gdy Zborowski spędził w Złoczowie dni parę na próżnej gadaninie i snuciu planów przyszłości, Boksicki tymczasem z bratem się o to umawiał, aby o ile możności zapobiegać napaści i odwodzić od niej, ażby kanclerz zbliżył się pod Kraków, gdzie już ona stanie się niepodobieństwem.

O ile gwałtownym był Samuel na razie, tak, gdy się sprawa przeciągała, nużył się nią, na ludzi ją zdawał, obojętniał. Rzucić się na dziesięćkroć większą siłę był zawsze gotów, ale długo wytrwać na stanowisku—natura nie dopuszczała!

I teraz przewidzieć było można, iż w pochodzie za jadącym kanclerzem prędko się znuży, na ludzi zda wszystko i da się im poprowadzić. Boksicki wiedział, że kląć i łajać będzie, ale w końcu ostygnie i do czego innego się zwróci.

Ponieważ podróż Zamojskiego była już na te dni oznaczoną, a nieznacznie się zbliżyć potrzeba było do niego tak, aby krok w krok za nim postępować, nie zwracając na siebie podejrzeń, pan Samuel wprost ze Złoczowa zamierzył puścić się z całym swym orszakiem w podróż i posłał do Lwowa po tę resztę wozów i ludzi, która się przypóźniła, by dnia 21 kwietnia mógł stąd wyruszyć z całą siłą taborem.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Tom III.

I.

Ktoby był mógł zajrzeć w duszę Samuela, gdy się ze Złoczowa z braćmi rozjeżdżał, obiecując znowu wkrótce spotkać się z nimi, pomimo pozornej radości, jaką przybierał, ochoczego poruszenia się, pośpiechu, z jakim się miał brać do czynu,—odkryłby na dnie jej gorzki i głęboki smutek.

Życiem, bojem, szałem wszelkim, nawet pogonią za nowemi wrażeniami i rozkoszami tak już był wyczerpany, znużony, iż mu nic nie smakowało, nic go nie zajmowało goręcej. Jedne może dzieci, syn Oleś, córka Anusia,—gdy z niemi był, lub o nich mówił, rozbudzali go, dbał o nie... reszta go nie obchodziła!

Nieprzyjaciel (kanclerz) o tyle go drażnił, że widział w nim chętkę wyzywania, a on słabszym być, ani się przyznać do tego nie chciał. Zresztą Zamojski mu był obojętny... ale przeszkadzał marszałkowi, nie lubił podczaszego, musiał więc być jego nieprzyjacielem.

Na to „polowanie na kanclerza'' jechał z uczuciem w istocie takiem, jakby z sokołami i Borowskim na ptactwo lub z Boksickim na grubego zwierza. Najstraszniejszy nawet gniew w jednej potędze nie mógł u niego trwać długo.

Po drodze zaś *larum* ogromne czyniono jawnie, głośno wołając i wywołując, że Zborowski się wynosi do Włoch, *a ingratam patriam* rzuca na zawsze. Publicznie o tem mówił on sam, jego słudzy, rodzina i czyniono umyślnie demonstracye z przygotowaniami, aby ludzie w to uwierzyli.

Podróż też ta cała dla rozgłosu szła bardzo powolnie. Ze Złoczowa ze swym taborem zajechał Samuel do Glinian i tu stanął na noc, a dopiero 26 kwietnia odjechał do Lwowa. Tu czekały na niego wielkie interesa majątkowe, którym starano się nadać wielkie znaczenie i rozbębnić je... zawsze dla tego wyjazdu za granicę... *Ingrata patria* i t. d.

Cały kahał musiał długo stać w przedpokojach na zamku, nim się ułożono o powołowszczyznę w browarach, a potem o spław zboża do Gdańska, naostatek o dozór nad psy i myśliwstwem pańskiem, które zostawiał po sobie. Przyczem wyprawiano na miasto głośno... wracali posłańce... na ulicach, kto chciał i nie chciał, wiedzieć musiał iż Zborowski opuszcza kraj, że zmuszony jest do tego prześladowaniem i niewdzięcznością, że za jednym Zborowskim pójdą drudzy—a co potem pocznie Ruś bez Zborowskich?

Tu syn Oleś przyłączył się do ojca, co znaczyło wiele, bo zaraz wszystek dwór spoważniał, surowość była większa; sam pan Samuel ubierał się, chodził, mówił przy nim inaczej i dbał daleko więcej, aby był ład około niego.

Dwór podróżny dosyć się złożył okazale; trzydzieści koni, dworzan szlacheckich, co przedniejszych, dalej komorników, pachołąt, pacholików, czeladzi różnej też tyle, kotczych wozów ze skrzyniami, namiotami szło dziesięć i t. p. Dwa wierzchowce wiedziono na powodzie. Oręża i strzelby dosyć było, ale mniej, niż zwyczajnie, gdyż jako niby do Włoch jechać miał, więc tyle tylko zabierał, ile między ludzi rozdać mógł, nie obciążając ich zbytnio. Kosztowności, prócz trochy futer, nie wiózł z sobą żadnych.

Co chwila słyszeć go było można powtarzającego tak, aby ludzie obcy się dowiedzieli.

— Do Włoch wyjeżdżam, syna w Niemczech dla nauki zostawię. Wracać do Polski nie mam zamiaru, chyba dlatego, abym królowi jegomości niewinność moją i domu naszego pokazał, jeżeli tego zajdzie potrzeba, a gdy król ją uzna, ufam, że nieprzyjaciele domu naszego, będą poskromieni, a król pańskiemu swojemu słowu zadość

uczyni i ze mnie ten dekret zdejmie, *auctoritate et benignitate sua regia*, uspokajając. Ale, jeżeli około uszu królewskich zagłuszą pochlebników i złych ludzi hałasy i nie uzna niewinności, tedy ja już w Polsce czynić co nie mam. Jadę do pana imion tych, marszałka Andrzeja, brata i opiekuna mojego, temu dzieci i wszystko zleciwszy, co on postanowi,—uczynię.

Uważać należy, iż marszałka wymieniając, jako starszego i opiekuna, o Janie kasztelanie wcale nie wspominał.

Gdy trzeciego dnia wyjechał ze Lwowa i w Jaworowie nocował, pożegnawszy chorego Kamienieckiego, któremu życia już nie obiecywano—nadbiegł tu z listem od niego sługa. Kamieniecki dogorywający chciał się z nim widzieć jeszcze, aby mu odradzać jego imprezę.

Namyśliwszy się, Samuel wrócił do Lwowa, ale z maleńkim pocztem, a cały tabor swój wyprawił z Jaworowa do Dubiecka i tam mu na siebie czekać kazał.

Powiadano, że Kamienicki, który już na poły tylko był na tym świecie, a miał widzenia przyszłości, zaklinał go i prosił, ażeby zawrócił do domu i spokojnie siedział, nie chce-li nałożyć głową.

Tyle tylko, że się z tej przepowiedni naśmiał Samuel, chociaż umierającego pocieszać się tem starał, że w istocie do Włoch pociągnie. Kamieniecki w myśli jego czytał... zaklinał go znowu, wymódz słowo chciał, losem dzieci go pragnął zmiękczyć—i nic nie porafił uczynić!

Pożegnawszy umierającego przyjaciela, tegoż dnia ruszył Samuel ze Lwowa i nocował. dwie mile od Jaworowa, gdzie go zaskoczyła ciemność. Następnego dnia przyjechał do Jaworowa, gdzie trafił do pana Kostki na wesele, czy też przenosiny, na których obywatelstwa i szlachty zebrało się bardzo wiele.

Nie zważając na to, iż go tam widzieć będą, a po tem powtarzać o tej podróży i o nim, jakby naumyślnie, zawsze dla nadania jej rozgłosu pojechał nieproszony. Wdzięcznie czy nie, ale go przyjęto, bo właśnie za stół siadać miano i dostało mu się miejsce obok podkomorzego Stanisławskiego.

Sąsiad spoglądał na niego z podziwieniem, jakby się

zdumiewał, że tak go swobodnie obracającym się widzi, co już pana Samuela butę podrażniło.

Poczęli z sobą mówić, ale ciągle jakby z panewek im spalało.

— Cóż tam, miłościwy panie Zborowski—odezwał się Stanisławski—myślisz może i do Przemyśla zajechać? Czy waszmość nie czujesz i nie wiesz, co się dokoła niego dzieje?

Wziął to do siebie pan Samuel, jako przestrogę, ażeby się nie narażał, iż na niego czyhano i pochwycić go miano prawo, obraził się i odpalił.

— Jeżeli mnie wasza miłość nastraszyć myślisz, tedy wiedz, proszę, żeś na nieustraszonego trafił. Czego się mam bać? Nikomum nic nie winien, z nikim też niemam nic do czynienia! Jeśli myślicie o dekrecie króla Henryka... gdybym nie miał na to zezwolenia królewskiego, nie siedziałbym tu, bo z tego siedzenia pożytku nie mam żadnego, ino żal, patrząc na to, co spotyka mnie i dom mój za wierne i wielkie posługi, którem ja i familja moja czyniła...

Gorąco to wypowiedziawszy, umilkł, a Stanisławski też dyskursu o tem nie wznawiał. Zważał jednak Samuel wśród tego wielkiego tłoku, że ten i ów koso, a wielkiemi oczyma spoglądał na niego, jakby się dziwował, iż go żywym i swobodnym widzi.

Pan Kostka też pytał go potem sam, w jakiej liczbie sług tu przybył; odpowiedział śmiejąc się, że samotrzeć. Wszyscy więc, nie wyjmując gospodarza poczęli mu czynić wyrzuty, że się nieopatrznie narażał.

— Albo-li wasza miłość nie wiesz o tem, lub nie dbasz o to, że za nim wszędzie szpiegi chodzą i wypatrują, a to nie jest daremnem. Wieści słyszymy groźne, nie narażaj się!

Na to Zborowski otwarcie też odpowiedział, że się nie lęka, bo się do niczego nie poczuwa.

Było tak, że z kim mówił, każdy go tem witał i żegnał. Zrobiło mu się nieco kwaśno, ale w duchu rzekł:

— Wszystko ja to spłacę razem...

Naostatek pan Kostka, który mu był życzliwym a i za gościa go u siebie szacował, spytał:

— Dokądże stąd myślicie?

— Tabor mój i ludzi posłałem do Dubiecka; tamwięc muszę.

— Samotrzeć?—rzekł Kostka.

— A no!—rozśmiał się Zborowski.

— Ja tego nie dopuszczę—odparł gospodarz.—Dam moich ludzi, aby przeprowadzili... Nie może inaczej być.

Następnego dnia, gdy tu wesoło przenocował, w istocie dano mu dosyć silny przewód na miejsce do Dubiecka.

Wszystko to winno było już przestrzedz Samuela, że gdy on na kanclerza miał chrap i oko, na niego też kanclerz nie mniejsze. Co krok mu niemal szpiegów Zamojskiego, za nim chodzących, pokazywano, ale wierzyć w nich nie chciał.

W Dubiecku siostrzeniec, pan Jędrzej Stadnicki, z którym zawsze byli serdecznie, przyjmował go, a i ten mruczał, że na baczności się mieć było potrzeba, ale miał tę ufność w wuju, że on naprzód obmyślił, co czynił.

Ponieważ nie wydawano się z tem, iż zjazd był niedawno w Złoczowie i bracia o sobie wiedzieli, Zborowski, rozpytując się, dopiero tu się wrzekomo dowiedział, że marszałek Andrzej był w Sandomierzu, gdzie go doktór jakiś kapitalny wiosennem lekarstwem karmił i miał krew puszczać.

Zwykle też w początku roku oczyszczano się z zaległości, zepsutą jakoby krew, odlewano, ażeby przez cały rok potem bezpiecznie pić i zajadać.

Marszałek pojechał dokończyć ten właśnie rodzaj kuracyi w Sandomierzu, pod dozorem lekarza.

Samuel, tu się dowiedziawszy lepiej o Zamojskim, a widząc, że kroki jego zanadto są znaczne i głośne, zażył fortelu. Sam postanowił udać się do Sandomierza do marszałka, a sługę swego, Luzickiego, jawnie i ostentacyjnie stąd wyprawił ku Krakowowi, sobie ludzi zostawując niewielu.

Cel pono był ten, aby rozdzielone oddziały, jeden z przodu, drugi z tyłu — mogły razem osaczyć kanclerza.

— Jedź przeto na Tarnów do Krakowa—głośno w dziedzińcu rzekł do Luzickiego—gotuj dla mnie gospody, aby nam tam z Olesiem dobrze było. Gdy się pożegnamy ze wszystkimi, gotuj, co należy dla syna i dla mnie, ażebyśmy nie mieszkając wyruszyli na tę włoską peregrynacyę... Tymczasem ja muszę do Sandomierza do pana marszałka, bo jużbym go chyba nie widział.

Ale jak go zaczęli w Dubiecku Stadniccy i inni przyjmować, a dobra myśl się zawzięła trudno było stąd ruszyć. Z Dubiecka zaprosił Marcin Stadnicki do Kostowej do siebie, tam spędzili dzień stąd Strzyżowski wziął do Czudca, dalej musiał do Zgłobienia, pociągnęli go jeszcze do Mielca, aż naostatek siostrzeniec, Marcin Tarnowski, do Podleszan, do siebie zaciągnął.

Wszędzie na głos nie mówiono o niczem innem tylko o włoskiej podróży, o Włoszech, a Samuel coraz to jakieś słowo włoskie w rozmowie rzucał, śmiejąc się, jakby zawczasu do konwersacyi z włochami się zaprawiał.

Dopiero teraz wyrwać się mógł do Sandomierza.

Co z marszałkiem, zamknąwszy się sam na sam, mówili, tego się domyślać można z umowy, zawartej w Złoczowie, ale przy Olesiu i publicznie wyglądało wszystko inaczej.

Marszałek młodszego brata, który mu się submitował z wolą swoją, zaklinał, aby albo do Krakowa wcale nie jechał, lub w nim nie bawił, gdyż *vox publica* ufać nie każe kanclerzowi. Mogą umyślnie jaką zwadę tumult uczynić i znowu w niej pana Samuela albo pochwycić, albo wmieszać, czy nareszcie posądzić i uwięzić.

Wiedzieli tu wszyscy o tem, że Zamojski będzie właśnie sądził swoje roki grodzkie, krakowskie i w Stężycy miał też być. Drudzy powiadali, że dla choroby żony miał powrócić do Knyszyna.

— Ja tam nie wiem, gdzie on jest—mówił marszałek głośno—niechaj będzie, gdzie chce. O niego mi nie idzie, ale o waszmości...

Pan Samuel dotąd znajdował jeszcze wszystko w takim porządku, w jakim mieć sobie życzył; rachunki jego pozostawały niezmienione... Jedno się im tylko nie podobało wszystkim. Znany, jako czynny sługa Zamojskiego, niegdyś podstarości krakowski, Urowiecki, z mocnym oddziałem hajduków zjawił się nagle w Sandomierzu. W mieście szumu dosyć uczyniwszy, przenocował tylko i pociągnął, jak mówiono, do kanclerza.

To zjawienie się Urowieckiego, nieco podejrzane, nie w smak było Samuelowi, bo wedle jego informacyi, Urowiecki miał być gdzieindziej.

To jego przyskoczenie do Sandomierza, właśnie, gdy tu gościł Samuel, dawało trochę do myślenia, ale ktoś usłużny wytłómaczył Zborowskiemu, że Urowiecki kręcił się dla własnej sprawy i dla niej śpieszył do Krakowa, mając zajście z Palczowskim burgrabią.

Otwarcie tedy przy gościach, gdy się rozmowa toczyła o kanclerzu i o podróży, a marszałek nalegał niby na brata, aby do Krakowa nie jechał, odparł Samuel:

— Ja w Krakowie bawić się nie myślę, ale być tam muszę, bo stamtąd się dopiero we włoską drogę wybiorę. Z panem kanclerzem my mamy wszakci pokój i ubezpieczenie.

Powtórzył to po kilkakroć i bardzo głośno, że na ten pokój rachował i trzymać go chciał.

Jakby naumyślnie dla tem lepszego okrycia dalszych zamysłów, trafiło się, że tegoż dnia przyszły listy od kasztelana gnieźnieńskiego, ktory o niczem nie wiedział, tylko o tem, co mu na dworze powiadano, aby się pozbyć jego nalegań.

Zapewniał w liście swoim Jan o przyrzeczeniu królewskiem, iż mogli być spokojni do sejmu konwokacyjnego i mieli czekać na ten sejm, gdzie król chciał rozsądzić sprawę tych plotek i listów przyniesionych przez Wojtaszka.

Osobnym listem prosił kasztelan Samuela, aby zaniechał podróży do Włoch, o której mu Domaszewski, słu-

ga jego, wyprawiony do Gdańska, powiadał. Marszałkowi zalecał, aby od podróży tej odwodził i niepotrzebne obawy hamował.

Marszałek w tem jednak, nawet pozornie za radą Jana nie poszedł i od podróży włoskiej nie odwodził. Uradzili tylko, gdy na św. Jakób Samuela już tu nie było, aby mu znać dano, co się stanie z ich sprawą na konwokacyi.

Wszystkie te rozmowy, sprzeczki, które po świecie iść miały, dla ludzi tylko się układały, gdyż Samuel całe czem innem był zajęty. Lecz musiał tymczasem szpiegów kanclerskich w błąd wprowadzić i o to mu chodziło.

Przy stole więc i przy dworze szeroko o tem rozmawiano, aby lepiej Kraków ominąć, z panem żupnikiem w Wieliczce się rozmówić, do Spytkowic jechać niedaleko miasta, gdzieby się wszystko dało do podróży przysposobić, a bodaj w Krakowie koniom dać wytchnąć i zaraz jechać dalej,—nie budząc licha...

Pan Samuel się niby upierał przy tem, aby koniecznie być w Krakowie, a tymczasem czekał tu wiadomości o kanclerzu, którego podróż postanowiona, niezupełnie tak się składała, jak przewidywano.

W Sandomierzu niewiele sprawiwszy, bo pewnego języka dostać nie mógł, a Boksicki coraz to inne bałamutne przynosił powieści, wyjechał tymczasowo Samuel z Sandomierza do Połańca.

Wietrzono wszędzie ślady Zamojskiego, ale dzięki niewiernemu Boksickiemu, nic nie można było postanowić, bo wiadomości przychodziły sprzeczne.

W istocie zaś kanclerz naówczas był w Opatowie, ale Samuel nie miał pewności,—stąd zaś jechał do Szydłowa i do Wiślicy. Chociaż Boksicki motał i plątał, dowiedział się o tem Samuel i ażeby się zbliżyć, zawrócił do Stobnicy.

Ale tu ugrzązł, bo zdrajca Boksicki fałszywemi uwodził wiadomościami. Zawahał się Samuel.

Słudzy i dwór marszałka, który mu tu towarzyszył musiał go opuścić, gdyż marszałek ukończył leki i na trybunał śpieszył w sprawie swej z urzędem nowego miasta Korczyna.

Nadbiegł tu sługa marszałka z listem, w którym donosił, że czasu pobytu w Sandomierzu napewno tam wytropiono szpiega kanclerza, który bodaj z jednym ze sług blizkich pana Samuela miał konszachty.

Był to ów brat Boksickiego, o którym mówiliśmy.

Boksicki dotąd najmniejszego na sobie nie miał podejrzenia, więc ani pomyślał Samuel, ażeby go się to tyczyć mogło; powiedział mu nawet o tem i zdziwił się, widząc, jak trupią bladością okryła się twarz winowajcy, który bełkotał straciwszy przytomność.

Wcale to Zborowskiego nie naprowadziło na myśl, żeby Boksicki mógł zdradzić. Szukał tego niegodziwca gdzieindziej.

Wylękły Boksicki już tylko myślał, jak siebie ratować.

Samuel straszliwie był rozjuszony tem, że mu wszystkie plany krzyżowano i napaść na hetmana, którą jak najprędzej chciał wykonać, zmuszony był odłożyć, a co gorzej, puścić go pod Kraków, gdzie on na pilniejszy dozór i pomoc rychlejszą mógł rachować.

Widocznem już było, że śledzono Samuela, że o nim i jego siłach wiedziano doskonale, i że mimo rozgłoszonej do Włoch podróży, domyślano się istotnych powodów tego ciągnienia ku Krakowowi w ślad za kanclerzem, zawsze w niewielkiem od niego oddaleniu.

Boksicki tak ze strachu stracił przytomność, że nie wiedział i nie umiał ani radzić, ani się tłumaczyć, ani na przyszłość coś obmyślеć.

Wypadało znowu dostać pewniejszego języka o obrotach dalszych kanclerza, ale na to w Stobnicy siedząc, czekać nie zdało się.

Marszałek listem wskazywał swój Zborów i prosił, aby Samuel zajechawszy tam, kilka dni sobie wypoczął, nim o dalszej podróży coś postanowi.

Na zdrajcy skóra cierpła tymczasem; pod pozorem, iż potrzebuje dostać języka, wyprosił się zamiast do Zborowa, niby do Opatowa, a w istocie potajemnie myślał dobiedz albo do Szydłowa, lub do Wiślicy i tam się z bratem Parżnickim naradzić.

Dłużej mącić fałszywemi doniesieniami stawało się coraz trudniej, bo Samuela z innych źródeł o kanclerzu dochodziły wiadomości. Boksickiemu stawało się tu coraz ciaśniej i duszniej.

Dzięki łatwowierności, albo raczej ufności, jaką Samuel miał nawet dla tych, którzy na nie nie zasługiwali, Boksicki dotąd wyszedł cało, lecz zemsta mogła być straszną i spaść jak piorun.

Pomimo tych przeciwności i zawad, Samuel przybył do Zborowa z dobrą myślą, wesół i pewien jeszcze swego. Zdawało mu się, że pośpieszy zawsze w porę, aby choć pod samym Krakowem, bodaj w Proszowicach, ułapić Zamojskiego.

Na te Proszowice teraz najwięcej rachował, ale Boksickiemu postanowił zawczasu nie mówić o tem, nie żeby nie ufał mu, ale że języka długiego się lękał. Nie zdradzie, ale paplaninie przypisywał to, że mu się dotąd tak nie wiodło, że go odgadywano zawczasu i stawiono mu zawady.

Zaledwie stanął w Zborowie, gdy list za listem już gnał, donosząc, że po całej drodze, gdziekolwiek się pan Samuel zatrzymał, popasał, gdzie przejechał, to szpiegów i ludzi kanclerza, jakby porozstawianych widziano. Marszałek ostrzegał pilno.

Gra zaczynała być nierówną i pan Samuel dopiero teraz zrozumiał, że nadto lekko brał bardzo trudne zadanie. Wszędzie go wyprzedzano.

W Zborowie sam jeden pozostawszy z synem, z którym mówić nie mógł o tem, co go zajmowało, niecierpliwił się do najwyższego stopnia, wyglądając powrotu Boksickiego.

Zdrajca zaś, do brata się dostawszy, opowiedział mu, jak rzeczy stoją i że lada godzina może się wydać wszystko. Parżnicki go natychmiast do Mroczka zaprowadził i tym razem wmówili w niego, ażeby nie wracał do pana.

— To się domyśli, żem winien!—zawołał Boksicki.— A tam jeszcze u niego mam cokolwiek mienia.

— Siedź spokojnie—rzekł Mroczek—pod ten czas, gdy jednego człeka zabraknie, dziwu nie będzie. Pomyśli,

że padłeś ofiarą dla niego. My cię już nie puścim, gotówbyś się wygadać i popsuć nam, a pomieszać szyki.

Tak więc Boksickiego nawpół siłą przytrzymali, nie dając mu już powracać, a Samuel, dni kilka próżno na niego czekając, wpadł na tę myśl, że mu go pewnie zabito, aby prawej ręki pozbawić.

Zmęczony i już znudzony tem przeciągnięciem sprawy, którą chciał jak najprędzej doprowadzić do końca, pan Samuel się rozbudził i odżywił tą nową przeciwnością.

— Nie jeden Boksicki w świecie—rzekł w duchu —, wezmę na jego miejsce Borowskiego.

Borowskiego tego, wielce sprawnego, zwłaszcza do myśliwstwa z sokołami, które Samuel lubił bardzo, kochał można powiedzieć; Zborowski pieścił go, wychwalał, ale ten, jak był doskonały do noszenia ptaków i do układania psów, tak się więcej do niczego nie zdał, a Zborowskiemu zdało się, że kto do tego ma talenta, musi mieć do wszystkiego.

Borowski był miękki a potakujący. Samuel go inaczej nie zwał, jak:

— Borosio mój!

A sługa nazywał pana:

— Król mój i pan mój!

Rozumie się że i w tej sprawie Zborowski nie miał dla niego tajemnic. Gdy Boksickiego nie stało, otworzył mu się nagle.

— Ty mi go zastąpisz... Borosiu; rzuć do kaduka sokoły, a pilnuj ludzi i radźmy. Trzeba śpieszyć, aby drogę zapobiedz kanclerzowi, inaczej się nam wymknie, a raz w Krakowie,—nie dostąpimy już do niego.

— Żeby my jego nie dogonili!—zawołał Borowski z wielką gorącością i gotowością biorąc się do dzieła. —Rozkazujcie... Ludzie zaraz na koń, noc czy dzień, wszystko jedno... Padnie szkapa na drodze... bierz ją licho. My go wyprzedzim i gdzie rozkażecie, tam zaskoczym.

— Ale na gwałt—języka! języka!—wołał Zborowski. Zostaliśmy bez wieści... na plotkach! Nie wiemy napewno, czy w Szydłowie jest, czy w Wiślicy, gdzie noclegi... czy wprost stamtąd pojechał do Proszowic? Szlij po języka!

— Kogo?

Nastąpiła narada. Ochotników nie brakło. Borowski rozpoczął swą czynność z nadzwyczajną gorliwością, ale z lekkomyślnością jej równą. Samuel szczęśliwym był, że zdał troskę na niego, a z siebie ją zrzucił.

Temperamentem nie rozumowaniem fatalista, spuszczał się zawsze na jakiś pomyślny skład okoliczności, który go uwalniał od wczesnych zabiegów i starań i choć w życiu nieszczególnie mu się wiodło, trzymał się mimowoli swego obyczaju. Z pomocą więc Borosia wszystko pójść musiało pomyślnie. Jak?

— Da się to widzieć—mówił sobie Samuel—po co sobie zawczasu głowę nad tem łamać!

Szło zatem dalej tym samym porządkiem, co wprzódy. Zborowski jadł pił i spoczywał w Zborowie, oczekując pewnych wiadomości o kanclerzu: rozmawiał ze swoim Olesiem, którego rozumem i statkiem bardzo się cieszył i był dumny. Strzelał do celu, chodził do swoich sokołów, wzywał Borosia na porady, które się kończyły śmiechami i był pewien, że kanclerz mu sam w ręce wpadnie.

Wyprawieni za językiem przez Borowskiego, najsprawniejsi ze szlachty dworskiej, przynieśli wiadomość, że Zamojski się znajdował w Wiślicy i że stamtąd bez pośpiechu podążał prawdopodobnie do Proszowic. A zatem Zborowski miał ciągnąć za nim i tu gdzieś jakoś drogę mu zaskoczyć tak, aby przodem wysłany z głównym oddziałem Luzicki z jednej strony, a pan Samuel sam z drugiej— na dwór lub gospodę, w której go miano napaść, rzucili się jednocześnie.

Zdawało się to tak prostem i łatwem, jak przełknięcie haustu dobrego wina.

Co do orszaku i siły, jaką miał przy sobie kanclerz, pozostawały wątpliwości, ale te Samuel na korzyść własną z góry rozstrzygał.

Posłańcy donosili, że mniej więcej mogło być z Zamojskim około stu koni, niektórzy nawet utrzymywali więcej, natomiast jeden pochlebca mówił, że się i sześćdziesiąt nie doliczył. Samuel mu to pochwalał i z nim trzymał,

dowodząc, że hetman nigdy zbyt wielkiej kupy z sobą nie prowadził.

Dawało tylko do myślenia, iż na czele tych ludzi byli tacy drapieżnicy znani, jak Urowiecki, Mroczek i Serny, a oprócz tego młody pokrewny kanclerza, Stanisław Żółkiewski, nie licząc pomniejszych rotmistrzów i różnych stopni wojskowych, którzy z nim się znajdowali.

Zborowski się tem łudził, że ich wszystkich miał wziąć niespodzianie i że jego pochód nieporządny, błędny, nie dozwalał się domyślać, dokąd zmierzał, a szpiegi, co go otaczały i donosiły o nim, odgadnąć nie mogły, co zamierzał.

Słowem szczęśliwy zawsze i rad z siebie Samuel, nie widział dotąd nic chybionem i końca się spodziewał pomyślnego.

Co chwila niemal przynoszono mu języka, który potwierdzał to, że kanclerz zwolna, bezpiecznie posuwał się ku Proszowicom. Rozmyślano tylko, czy tu można go było zaskoczyć, czy między Proszowicami a Krakowem.

Borosio godził się na wszystko, co Samuel obmyślił, a ten nie stanowił nic jeszcze pewnego, wyczekując, jak się dalej składać będzie.

Nieopatrzność Zborowskiego równała się jego męstwu; do porady nie miał nikogo, można więc już było przewidzieć, że dopuściwszy Zamojskiego do Proszowic, da mu dojechać i do Krakowa.

Jeszcze się wybierano dopiero w dalszy pochód ku Stogniewicom, skąd Zborowski we czterdzieści koni projektował ostatecznie rzucić się na Proszowice, gdy nadbiegł najpewniejszy język, człowiek, na którego i Borosio i pan liczyli najwięcej.

Był to stary, posiwiały na posługach rodziny szlachcic, Drużyna, milczący zwykle i smutny zawsze, rozważny, ale z natury pesymista, który skłonny był widzieć wszystko raczej czarno, niż jasno. Na niego więc można się było spuścić.

Drużyna, który orszak kanclerza na swe oczy widział i liczył po drodze z Wiślicy do Proszowic, zaręczał, że było więcej, niż sto koni i że za tym oddziałem miał po-

stępować drugi mniejszy w tylnej straży. Jednym z nich dowodził Stanisław Żółkiewski, drugim Urowiecki, a oprócz nich było kilku najdzielniejszych rotmistrzów i uzbrojenie, jakby na wyprawę przeciwko Moskwie.

Drużyna nie radził Samuelowi, chociażby nawet udało się niespodzianie zaskoczyć, rzucić się na siłę większą, czujną i mającą kilku dzielnych dowódzców. Miejscowości też, według niego nie nadawały się do napaści, a sprzyjały obronie, tak, że nawet z orszakiem mniejszym oprzeć się było można, a zdobyć gospodę, czy dwór—trudno.

Stary sługa wzdychając, powiadał, że daleko dogodniej było wprzódy na drodze najść na Zamojskiego, gdy przy nim Urowieckiego jeszcze nie było.

Zamyślił się Zborowski; przykro mu było, że wszystko spełzło na niczem jego winą, choć się do winy nie przyznawał nawet przed samym sobą.

— Co to zawczasu przesądzać—odparł markotnie Drużynie—idźmy my szybkim krokiem wprost do Piekar, aby wyprzedzić kanclerza, a tam znajdziemy środki i dostaniemy języka... Stadnicki ma tam czekać... Z Piekar pewnie będziem mogli nocą rzucić się. Ja mam najlepszą nadzieję!—Co ty mi mówisz o stu ludziach! Naprzód ja w nich nie wierzę, tobie się staremu w oczach dwoi... powtóre, co mnie i moim znaczy stu ludzi! My na Niżu, przypomnijno sobie, we dwudziestu czy trzydziestu szliśmy na Turków tysiące i wyszli ręką obronną a pogan natłukli. Moich ichmość panów trzydzieści—nie oddałbym za jego półtorasta.

Uśmiechnął się i wąsa pokręcił, poklepał po ramieniu Drużynę.

— Jakoś to będzie!—rzekł.—Tylko teraz żywo, konie siodłać i w drogę najprostszemi ścieżynami, co prędzej do Piekar! do Piekar!...

Odprawiony stary sługa pogładził siwego wąsa, odchodząc.

— A co?—zapytał go w sieni Borowski, który przy naradzie nie był przytomny—a co?

— Nic—rzekł Drużyna—idziemy śpieszno do Piekar...

do pani Włodkowej (usta mu się skrzywiły smutnym uśmieszkiem), a tam pan nasz postanowi, co dalej.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Jak się ci zda?—spytał Borosio, który w duchu był przeciwnym całej tej imprezie.—Jak ci się zda? co będzie?

Drużyna milczał.

— A co ma być—szepnął po długiem milczeniu.—W Piekarach pani Włodkowa, piwnica dobra, kuchnia też... dziewczęta wesołe... naszemu panu, jak u Boga za piecem, to i na cóż więcej?... A kanclerz niechaj sobie z Bogiem na roczki do Krakowa pośpiesza!

Śmiejąc się, ruszyli ramionami.

— Tylko to bieda—dodał smutniejąc, Drużyna—jeśli my jego nie weźmiemy, on nas może pochwycić, a naszemu panu... pod banicyą...

Potrząsnął głową i nie dokończył.

Głos Borowskiego już się rozlegał:

— Żywo na koń! do Piekar! żywo... żywo!

II.

Gdy Zborowski błąkał się tak, odkazując i spuszczając na jakieś szczęście, którego nigdy nie miał, kanclerz tymczasem jechał zupełnie bezpieczny o siebie, nie zbaczając wcale z raz postanowionej drogi. Miał przy sobie orszak z panem Stanisławem Żółkiewskim bardzo dostateczny, i takich ludzi, jak energiczny Urowiecki, śmiały i wytrawny Mroczek, doświadczony Serny.

Wszystko, co bracia pomiędzy sobą postanowili w Złoczowie, co marszałek potem z Samuelem radził w Sandomierzu, dzięki gadatliwości Samuela i jego ludzi a zdradzie Boksickiego było wiadomem kanclerzowi. Śledzono każdy krok Zborowskiego, bynajmniej się go nie lękając ale Zamojski był do najwyższego stopnia zniecierpliwiony i oburzony.

Na drodze przyłączył się do niego Drohojowski, starosta przemyślski, należący do przyjaciół kanclerza. Znalazł go wprawdzie o siebie spokojnym, ale zuchwalstwem banity, do najwyższego stopnia poruszonym.

O spisku na życie swe, o zamiarze napaści na drodze, środkach, jakie ku temu obmyślano, Zamojski jak najdokładniej był poświadomionym. Oburzało go i to, że rodzeni bracia, sami stojąc zdaleka, popychali lekkomyślnego Samuela na zgubę, na ważenie gardła, zabezpieczywszy się aby o wspólnictwo z nim posądzeni nie byli.

O wszystkiem tem wysłał był Zamojski listy do króla, pytając, Stefana jak miał postąpić: czy puścić płazem ten zamach, który musiał spełznąć na niczem, czy banitę pochwycić, ku czemu pod Krakowem, w jurysdykcyi kanclerza nadawała się zręczność. Ale raz pochwyciwszy skazanego na banicyę, potrzeba było wedle rygoru prawa, karać go śmiercią.

Rozdrażnienie w kraju przeciwko królowi i Zamojskiemu, z powodu surowości ich w sprawie Ościka i w innych wielu pomniejszych wypadkach, było wielkie. Pomnażali i je wyzyskiwali stronnicy pozostali cesarza, mnożąc malkontentów. Rakuskie talary płynęły potrosze od Śląska, w którem było gniazdo intryg, przeciwko Batoremu wymierzonych. Nie zdawało się więc Zamojskiemu politycznem sprawą Zborowskiego rozdmuchiwać ognia i przyczyniać sobie trudności.

W tym sensie kanclerz pisał do króla i dopraszał się jego rozkazów, których co chwila oczekiwał. Sam on był za tem, aby dać tylko poznać Zborowskim, iż ich nawskroś znano i wszystkie zamiary nie były tajemnicą, a sprawę zdrady ich wnieść na sejm konwokacyjny, dozwalając ujść Samuelowi, który w istocie mógł jechać do Włoch i nie śmiałby już powrócić.

Bracia zaś jego bez tej szalonej ręki,—głowami przebiegłemi nic nie mogli uczynić. Marszałekby się nie ważył, a Krzychnik musiałby z obawy o gardło uchodzić także pod opiekę cesarza Rudolfa.

Wszystko się więc mogło skończyć, wrażając grozę, a nie wymagając srogości, której oprócz tego potrzebowano zażywać ciągle, a kraj do niej nie był nawykły.

Za Zygmunta Augusta nie znano jej wcale, mniej jeszcze obawiano się za Henryka, teraz więc nagła surowość i nieubłagane wykonanie prawa, musiało do najwyższego stopnia przeciwko królowi i hetmanowi zniechęcać.

Wiele przypisywano Węgrowi i Wilczym zębom jego ale też Zamojski, prawa rękam ulubieniec, kierownik,— obwinionym był, że podsycał tę surowość, nakłaniał do niej i był duszą wszystkiego. Szło więc Zamojskiemu o to, aby sprawa Zborowskich na niego nie spadła.

Na wyjezdnem z Wiślicy kanclerz otrzymał odpowiedź króla. Batory był jak najdokładniej zawiadomiony o knowaniach Zborowskich, o tajnych znoszeniach się Czarnkowskiego z cesarzem, o wszystkiem, co się przeciwko niemu w Polsce poruszało. Miarę tego stanu umysłów nieprzyjacielskiego obozu dawały wszelkie sejmy i zjazdy na których przeciwko królowi z zuchwalstwem dla Batorego niesłychanem i nieznośnem wykrzykiwano, nie szczędząc mu najprzykrzejszych i najboleśniejszych wyrzutów.

Był więc król w ciągłem rozdrażnieniu i gniewie na to stronnictwo, które ogień podkładało i utrzymywało, a dawne znaczenie rodziny Zborowskich stawiło ją w oczach jego na czele malkontentów.

Śmiała wyprawa na Niż do kozaków, którą uważał jako wymierzoną przeciwko sobie, nie była zapomnianą Samuelowi; listy przez Wojtaszka przyniesione, czyniły go jakby ogniskiem i głową spisku. Wiadomość więc z listu kanclerza o zamierzonym napadzie na niego, do najwyższego stopnia króla rozgniewała i rozjątrzyła przeciwko wszystkim Zborowskim.

Łagodniejszy sposób pozbycia się ich, wniesiony przez Zamojskiego, nietylko że nie zdał się królowi właściwym, ale szkodliwym i mogącym ściągnąć na niego podejrzenie o słabość i obawę. Cienia dwojga tego nie mógł na sobie znieść Batory. Wolał stokroć uchodzić za okrutnika, niż za tchórza.

Odpowiedź więc na list hetmana brzmiała nieubłaga-

ną surowością. Król życzył sobie i rozkazywał, aby pochwycić banitę i nie przepuścić mu. Powinien był dać głowę i na tem musiało się raz skończyć wszystko.

Batory, nie znając dobrze charakteru narodu, nad którym panował, surowość tę uważał za jedyny skuteczny środek, który miał się przyczynić do zaprowadzenia ładu i porządku.

— „Niechaj bronią swobód swych, których ja ukrócać, ani gwałcić nie myślę, ale ja muszę mieć władzę, jaka mi należy... Jeśli się lękać nie będą, siebie zgubią i mnie razem, a ja winien będę, żem pobłażał. Nie mogę mieć litości nad warchołami i zdrajcami jawnymi. O spisku Zborowskich własnoręczne ich listy poświadczają, wina ich dotykalna dowodzenia nie potrzebuje. Sam kasztelan gnieźnieński uznał, że pismo było włosnoręczne brata. Potrzebaż więcej nad to, co stało czarno na białem: „Ów pies siła nam Zborowskim winien, ale trafim wróbla w łeb; trafię kanclerza między oczy, jedno wolę owego psa węgierskiego, króla, acz ci myślę z lasu zasadziwszy się, ale nie może być tak las gęsty, aby nieprzyjaciel nie zobaczył, a zaś po lesie trudno uciekać; najlepiej się w drodze w karczmie zasadzić... Jedno zaś uciekać nie wiem gdzie... do Turek źle, do Moskwy nie dobrze, do Węgier dyabła się godzi, najlepiej do Morawy" i t. d.

„Czytaj wasza mość wszystkie ich listy—pisał król dalej—winni są, ani się oczyścić mogą. Pan Bóg nam jednego z nich w ręce daje; powinnością waszą postąpić z nim wedle prawa, nie folgując. Powtarzam, com raz rzekł, „*mortuus canis non morderėt*". Nie pytajcie więc mnie, gdyż innej odpowiedzi dać nie mogę, nad odwołanie się do prawa. Padnie-li głowa winowajcy,—ocali może wielu, bo baczyć będą, że nie przebaczamy nikomu.

Wiem o tem, że Zborowscy są możni i znaczą, a raczej znaczyli coś w kraju, że wrzawa będzie wielka, że przeciwko mnie i wam chwilowo burza się podniesie, lecz znasz wasza mość polskie piwo... niedługo to potrwa!"

Pismo króla całe było wtym sensie, ażeby Samuelowi jego zuchwalego wtargnięcia w jurysdykcyę starosty krakowskiego nie przebaczyć, tembardziej, iż go Zamojsk

ostrzegał wielekroć, by jej unikał, a nie zmuszał do surowości.

Przypominał teraz sam kanclerz, iż gdy po wyprawie na Wielkie Łuki król go mianował krakowskim starostą, on wiedząc, że za jego poprzedników, Samuel wywołany z Korony i Litwy bawił bezkarnie i przemieszkiwał w Krakowie, zaraz z tem głośno się dał słyszeć, że on wszelkiego prawa pilno strzedz i wykonywać je będzie, a w swej jurysdykcyi banity nie ścierpi na żaden sposób.

Zaczem przez marszałka koronnego i poprzyjaźnionego z kasztelanem gnieźnieńskim, Janem Zborowskim, przestrzegał i upominał Samuela, ażeby, dopóki banicya z niego nie będzie zdjęta, nie pokazywał się ani w Krakowie, ani w jego jurysdykcyi, gdyż prawu uczyni zadość i pobłażać nie będzie.

Na to kasztelan gnieźnieński miał odpowiedzieć, że o tem słyszeć nie chce, oburzył się i dodał:

— W mocy go swej nie ma, po co te groźby próżne!

Nastąpiła wyprawa pskowska, a starostę pod ten czas zastępował z ramienia kanclerza naznaczony Płaza, starosta lubaczowski, jako *surrogator* (zastępca). Z tego korzystał Samuel i na nic nie zważając, mieszkał w Krakowie, bywał nawet na zamku, czynił, co mu się spodobało, tak dalece zuchwale, że i on i ludzie jego po ulicach strzelali. Dochodziło to Zamojskiego, ale zdala będąc, nie mógł nic począć.

Gdy potem po sejmie przyjechał do Krakowa kanclerz razem z królem, nie miał też czasu zająć się tą sprawą, bo właśnie Turek i Tatarzy zagrażali i podawszy warunki, których przyjąć nie było można, obiecywali się wtargnąć. Zaczem Zamojski na gwałt ludzi musiał zbierać i na granicę bieżyć, aby nie dopuścić najścia. Ta czujność jego zachowała kraj od wojny.

Tymczasem, korzystając z wyjazdu Zamojskiego na granicę, pan Samuel natychmiast do Krakowa powrócił, o czem hetmanowi dano znać w drodze, ale ścierpieć to musiał, choć i dla króla rosło stąd niebezpieczeństwo, bo pamiętano, że się z panem Ciołkiem zmawiał w mieście do niego strzelać.

Pan marszałek, Andrzej Zborowski, przeczuwając, iż brat był w niebezpieczeństwie, zapragnął mu zapobiedz i posłał z Lublina do kanclerza z prośbą, aby na niego w Rzeszowie czekał dla widzenia się i rozmowy. Zamojski, nie mając czasu, ruszył jednak do Łańcuta, i tu go pan Andrzej napędził.

Poczęli mówić o sprawach familii i o panu Samuelu. Prosił za nim marszałek, kanclerz okazał się łagodnym.

— Szeroka Polska—rzekł—niech w moją jurysdykcyę nie wjeżdża, ja go gdzieindziej szukać nie będę

Napomniał o to marszałka, aby brata przestrzegł surowo i wzbronił mu pokazywać się w Krakowie.

Marszałek przy tej zręczności prosił kanclerza o *bona officia*, aby u Tęczyńskich i pani Wapowskiej i u króla wyjednał zdjęcie banicyi z jego brata. Obiecał Zamojski o tem mówic z Tęczyńskimi.

Później nieco, gdy kanclerz do Lwowa przybył, dowiedział się, że pan Samuel przyjechał tu także z Krakowa i stanął na przedmieściu. Nie chcąc się ścierać z nim, posłał Zamojski z przestrogą, aby wyjeżdżał, bo go tu obok siebie ścierpieć nie może.

Nim się to stało, pan Samuel już przewidując, że Zamojski będzie mu czynił trudności, posłał od siebie po Kazimierskiego szlachcica, starszego sługę kanclerza, który wprzódy sługiwał u marszałka Zborowskiego i powiedział mu:

— Proś wasza mość kanclerza, aby mi za złe nie miał tego, iż mnie tu noc zaskoczyła i spędzić ją muszę we Lwowie,—jutro o świtaniu jadę stąd precz.

Zamojski, do którego i Andrzej przyszedł się wstawiać, ofiarując się nawet z Samuelem przeciwko Tatarom iść, odparł, że przez noc tę jedną cierpieć go będzie, ale nazajutrz jechać musi.

— Co się tyczy Tatarów—rzekł dwuznacznie,—przyjdzie-li do potrzeby, będę wiedział, jak go mam użyć i jak obrócić, zachowując się *more majorum.*

I to pamiętnem było, że czasu wesela swego Zamojski z panami Tęczyńskimi mówił w sprawie Samuela i starał się ich do zgody nakłonić. Tymczasem przyszły listy Wojtaszkowe, a za nimi gniew królewski, którego już nic przebłagać nie mogło.

Od króla odebrawszy wyrok ten, kanclerz, chociaż nie był na co innego przygotowany, zafrasował się wielce. Pokazał go Drohojewskiemu i mówił z nim o tem.

Nie pozostawało już nic nad to, że musiał wolę królewską spełnić i gdyby Zborowski się podsunął bliżej, wiadomo w jakich zamiarach, bo Boksicki o wszystkiem informował jak najdokładniej, ująć go było potrzeba. Zatem szło następstwo nieuchronne,—wyrok się sam pisał na banitę—czekała go śmierć!

— Że Samuel na nią zasłużył,—mówił kanclerz—to nie ulega żadnej wątpliwości. Pominąwszy Wapowskiego, którego ubił w pasyi, co jeszcze zmniejsza winę,—zabójstw, gwałtów, najazdów, rabunków, przemocy nad duchownymi, więzienia ludzi niewinnych, nie policzyć! Świat cały wie o tem i dziwi się, że uszło mu wszystko bezkarnie. Ale mimo to śmierć Samuela będzie też wyrokiem zemsty i nienawiści na króla i na mnie. Nieprzyjaciele nasi ją wyzyszczą!

Drohojowski niespełna wiedział, jak w tej sprawie sądzić, ale mu się zdało z królem głosować, że tu już dobroć tylko uzuchwalała i że nad nią dalej nic uczynić nie było można. Dla dobra więc Rzeczypospolitej trzeba było Zborowskich poświęcić.

Zamojski potem przywołać kazał do siebie Urowieckiego i Mroczka, z których ostatni o wszystkich obrotach Samuela był najlepiej uwiadomionym i aż drżał, aby go ująć.

Ukazał im obu list króla, użalając się na los swój, iż mu taki ciężki do spełnienia przypadał obowiązek.

— Miłościwy panie!—przerwał Mroczek.—Niema co na myślać się. Jedno z dwojga, albo my się na to narazimy, że oni na nas napadną, i choć się obronimy, co już pewne,—ale godność wasza narażoną będzie w takiej walce z ladajakim wywołańcem; albo musimy go uprzedzić—co jest łatwiejsze.

— Jakże łatwiejsze?—zapytał hetman.—Gdzie on jest?

— Do Piekar ciągnie w tej myśli, że nas w Proszowicach ze dwu stron zajdzie, bo ma dwa oddziały, które na to są nasadzone. Zdaje mu się, że o jego obrotach nikt nie wie i pochlebia sobie, że nas w pierwospy naszedłszy, w łożu miłość ważą rozsiekać każe. Czekać więc na to, aż się porwie,—nie dobra rzecz. Jest nas tu dosyć, aby i przy miłości waszej dostateczna straż pozostała, i my z panem Stanisławem Żółkiewskim i panem Urowieckim na dwór w Piekarach poszli, gdzie go pewniej w łożu u przyjaciółki i siostrzenicy Włodkowej. najdziemy, niż on nas w Proszowicach.

Nie podobało się to zrazu kanclerzowi i rzekł:

— Na dwór szlachecki, a do tego kobiety, wdowy, nocą nachodzić,—nie nasza rzecz. Wziąć go gdziekolwiekbądź, ale nie w Piekarach zdaje mi się.

Mroczek stał przy swojem.

— Gdzieindziej nie może być—rzekł.—Wymknąćby się nam mógł i wyrąbać, bo mu to przyznać muszę, iż mężny jest i gdy raz do boju przyjdzie, niełatwo go imać. Żywotów ludzkich może to kosztować,—a tych szkoda. W Piekarach zaś, jak ptaka w gnieździe, gołą ręką go weźmiemy.

Urowiecki natychmiast też jął za Mroczkiem mówić.

— Rotmistrz to najlepiej rozważył i obmyślił—rzekł.—Niech miłość wasza zda wszystko na niego. Ja się też ofiaruję z pomocą.

Wtem z drugiej izby, do której drzwi stały na wpół otwarte, wyszedł młodzieniec, pokrewny kanclerza, pan Stanisław Żółkiewski, i przystąpił z poszanowaniem, całując go w ramię.

— Ja się też dopraszam tego, abym ichmościom towarzyszył—odezwał się. Idzie tu o zdrowie i żywot wasz, który nam wszystkim i królowi jest najdroższy; ani się godzi go na wagę kłaść pospołu z życiem banity takiego, o którego postępkach słuchając, uszy więdną, a obcy ludzie zdumiewają się im, pytając, jaka to jest ta Rzeczpospolita nasza, w której zbrodzień podobny bezkarnie chodzić może długie lata, z wyrokiem nad głową, którego nikt

nie śmie spełnić ino dla tego, że do rodziny możnej i znacznej należy.

— Wszystko to prawda—odezwał się kanclerz—wszystko to ja sobie mówię i wiem, a niemniej, gdy przychodzi krew ludzką przelać, nie na wojnie, ale wśród pokoju, ręką katowską... wzdryga się dusza!

— Zaprawdę—odparł Żółkiewski.—Ani starostą, ani sędzią miłości waszej być nie przystało, bo lękając się krwi przelewu, dozwolicie aby bezkarnie tacy ludzie, jak Samuel przelewali krew niewinną.

— Nie czyńże mi z tego zarzutu—rzekl Zamojski — już mi nie o Samuela idzie, ale o *modus*, jakim go ująć należy. Wstrętny mi jest wszelki pozór gwałtu, a tego nie unikniemy nawet biorąc go w Piekarach.

Wtem Urowiecki bardzo śmiały człek, dodał.

— Wasza miłość więc chyba go zachęcić pragniecie. aby ośmielony—Kraków nawiedził, co on niechybnie dokona.

— Tam go nie ścierpię!—odparł Zamojski.

— A no Piekary są tak dobrze waszą jurysdykcyą, jak i Kraków; więc, gdy wiemy tam o nim — rzekł Żółkiewski—imać go mamy obowiązek.

— A jeśli napadu dokonawszy—odezwał się Zamojski—przy porze nocnej i nieznajomości miejsca, winowajcy nie weźmiecie, co łatwo stać się może, jeżeli on się wam wyśliźnie,—napróżno tylko kobiety i dzieci, jak zbójcy nastraszycie. Pójdą wówczas skargi, iż go tam, jako żywo, nie było, a my popełniliśmy bezprawie, spokojny dwór wdowi po nocy najeżdżając! Choćby i staroście krakowskiemu, sprośna to rzecz.

— Ja zaś głową bodaj ręczyć mogę—wtrącił Mroczek—że go tam weźmiemy. Naprzód co do samego dworu, ja go z czasów pana Włodka znam dobrze,—a nie zmienił się wcale. Co się tyczy obrotów Samuelowych, wiem też najpewniej, że uradzono pośpiesznie, nam zabiegając drogę, bieżeć do Piekar, gdzie na noc będą pewnie. Czy na dzisiejszą zaraz noc uchwalono najście na Proszowice i na nas, — tego nie wiem i twierdzić nie będę. Owszem, znając Samuela, sądziłbym, że przybywszy do Włodkowej, wczasu

zażyje i dopiero może nazajutrz o nas pomyśli. Zatem noc tę mamy, aby zamiary jego niegodziwe zniweczyć.

Zadumał się kanclerz i siadłszy, jął list króla na nowo odczytywać, jakby się pragnął przez to w swem postanowieniu utwierdzić.

Wszyscy, nie wyjmując Stanisława Żółkiewskiego, czekali. Urowiecki tylko i Mroczek, korzystając z chwili, młodego pana starali się namówić, aby przy kanclerzu pozostał i niepotrzebnie się z nimi na tę wyprawę nie narażał.

— Dajcie mi ichmość, proszę, pokój—rzekł Żółkiewski.—Rad będę szablą moją służyć kanclerzowi i nie odstępuję od tego, że mi z sobą iść dopuścicie. Mała to rzecz jeden człowiek,—ale podczas i ten przydać się może.

Powstał tedy Zamojski z siedzenia wzdychając, a pomrukując.

— *Dura lex! Dura lex!*

Widać było, że tylko zmuszony listem króla, Zamojski na tak stanowczy krok się ważył, chociażby był chętnie raz jeszcze folgował. Ta też okoliczność się przyczyniała do decyzyi, że Mroczek i Urowiecki zapewniali że jeśliby hetman nie kazał ująć Zborowskiego, on niechybnie napaść swą na niego dokona.

Wcale się jej nie lękając, Zamojski godność swą musiał mieć na względzie. Niemiłem mu było narazić się na starcie z takim Samuelem i na wszystkie ustępstwa i tłumaczenia, jakie stąd wyniknąć musiały.

Nie mógł więc już wahać się dłużej. *Dura lex* nakazywała ująć zuchwałego człowieka, który jawnie na niego godził. Wiedziano bowiem bardzo dobrze, iż gdy hetman był w Szydłowie,—Zborowski umyślnie się zbliżył do niego, do Stobnicy biegnąc, a potem do Stogniewic. Gdy zaś wszędzie się przypóźnił,—zostały mu Piekary, z których na Proszowice miał się rzucić, nieobrachowawszy się z czasem.

Ponieważ wedle doniesień Boksickiego, w Złoczowie najmocniej uchwalono i niemal poprzysiężono kanclerza w jakikolwiek sposób zgładzić,—gdyby się teraz nawet nie powiodło, rzecz nie była skończoną, ale gdziekolwiekbądź, przy pierwszej podanej zręczności odnowić się mogła. Raz więc temu koniec położyć było trzeba.

Zamojski, który, jeśli nie całą może doniosłość kroku, jaki miał uczynić, obrachował—znał jednak ważność jego i w chwili, gdy już miał wydać rozkazy zawahał się, dał znak Mroczkowi, aby czekał, a sam wszedł do przyległej sypialni.

Tu przy skromnem obozowem łożu jego, na klęczniku, stał na złotej blasze malowany, starodawny obraz Matki Boskiej (druga strona wyobrażała Chrystusa na krzyżu). Hetman zwykł się był przed tym obrazem modlić, gdy miał stoczyć bitwę.

I teraz czuł dobrze, że walkę rozpoczynał nie tylko z rodziną jedną, mnogiemi węzłami związaną, z wielu innemi po całym kraju rozsianemi, ale ze stronnictwem choć słabem, za to ruchawem, krzykliwem, popieranem z za granicy, wyzyskiwanem przez wszystkich nieprzyjaciół Batorego i jego.

Było to rzucenie mu rękawicy, wypowiedzenie wojny, która i długą i ciężką być mogła, a przypadała na ten czas właśnie, gdy zewnątrz jeszcze z wielkim kniaziem moskiewskim końca i rozejmu nie było. Turek groził, a cesarz intrygował. Gdyby osobiście mógł się był widzieć i rozmówić z Batorym, możeby go ubłagał i walkę tę przynajmniej odroczył.

Tak sobie wystawiał Zamojski, choć wistocie żadna siła nie potrafiłaby była żelaznego a mściwego i rozdrażnionego szlachecką butą króla powstrzymać.

Pod wrażeniem chwili tej stanowczej, która mu na długo spokój zatruć miała i przymnożyć nieubłaganych wrogów, Zamojski ukląkł przed obrazem, złożył ręce i głowę pochylił. Modlił się tak gorąco, ale niedługo. Męstwo i otucha wstąpiły w serce. Spełniał rozkaz królewski, czuł się w sumieniu wolnym, prosił tylko Boga, aby go oświecił i dał siły.

Gdy wstał potem, miał na obliczu swe hetmańskie męstwo, które w przededniu najzaciętszych walk okazywał, powagę sędziego, majestat królewskiego zastępcy. Wyszedł napowrót do izby pierwszej, a Urowiecki, Mro-

czek i młody Żółkiewski zdziwili się zmianie, jaka w nim zaszła. Odszedł, jakby pod naciskiem bólu jakiegoś, powracał chłodny i wypogodzony.

Zwrócił się zaraz do Urowieckiego i Żółkiewskiego, ale pan Stanisław, nim mówić począł, odezwał się.

— Proszę dowództwo zdać na tych ichmościów, którzy znają miejsce, ludzi i okoliczności,—ja tylko rękę chętną ofiaruję.

— Wielu on tam ludzi z sobą mieć może w Piekarach?—zapytał hetman.

— Trzydziestu może—rzekł Urowiecki—bo połowa ich jest z Luzickim. Ludzie odważni, ale nie będzie komu pokierować nimi; wątpię, ażeby nawet skupili się i bronili.

— A ze swego dworu kogo ma przy sobie?—mówił dalej Zamojski.

Mroczek i Urowiecki spojrzeli po sobie i liczyli.

Byli z nim—Borowski, ów sokolniczy, a teraz dowódca, Chełmski, Morawa, Bałaban, Skorowski, Rychłowski, syn Oleś i siostrzan Stadnicki, — gromadka dosyć znaczna.

— Trzeba na to liczyć — rzekł Mroczek,—że my unikając niepotrzebnego krwi przelewu, poczekamy aż się do snu udadzą, więc pobudzeni niebardzo się bronić będą mogli. Samuel choć szablę i sahajdak ma zawsze nad łóżkiem, ale śpi twardo i gdy się obudzi, nie zaraz oprzytomnia.

— Szczędźcież, proszę, innych—odezwał się hetman—a niepotrzebnych ran i zabójstw unikajcie. Byleście jego, a z nim papiery, które w szkatułce z sobą wozi, jak powiada Boksicki, dostali—reszty zaniechajcie. Syna nie tykać. Wszyscy to chłopię bardzo chwalą; niech się w nim dawna poczciwość Zborowskich odrodzi.

Westchnął hetman, mówiąc to—i pytał dalej.

— Wielu z sobą myślicie wziąć na tę wyprawę?

Urowiecki głosował za tem, aby dobór uczynić, a liczbę brać nie tak znaczną i po drodze oczów na siebie nie

zwracać. Mroczek nie widział w tem złego, choćby o kilku więcej się zebrało, bo mogli drudzy Samuelowi, z Luzickim stojącym nieopodal, nadbiedz i o odbicie się kusić. Wistocie zmuszało to liczbę powiększyć.

Urowiecki z Mroczkiem mieli kierować najściem na dwór, Żółkiewski też ofiarował się, choćby osobiście na Samuela. Była to młodociana gorliwość żołnierza, który szuka zręczności do walki, choćby nawet z takim nieprzyjacielem, jakim był Zborowski.

— Gdy go Pan Bóg da ująć—zapytał Urowiecki—mamyż go tu przyprowadzić, czy...

— Do Krakowa na zamek—odparł hetman.—Wprawdzie żaden tu sąd i zwłoka niepotrzebna, bo banita, wpadłszy w ręce już jest zabit, ale wolę go posadzić,—poczekać. Może król zmieni postanowienie... a ma-li być śmiercią karan—cicho dodał Zamojski—niech pani Wapowska też instyguje przeciwko niemu.. Zmniejszy to srogość króla i moją, gdyż na niego, a szczególniej na mnie rzucą winę tej śmierci, choć, Bóg świadek, kielich ten odwracałem ode mnie, pókim tylko zdołał. Ale są człowiekowi przeznaczone rzeczy, których on uniknąć nie może. Bądź więc wola Twoja.

I pomruczawszy coś cicho, kanclerz dodał:

— Prowadźcie go wprost na zamek i osadźcie w wieży, a straż niechaj będzie pilna. Nie szkodziłoby może, aby który ze starszych w izbie przy nim siedział. Ludzi do niego obcych dopuszczać się nie godzi. Zresztą ja sam albo was napędzę, lub rychło tam będę.

Urowiecki z Mroczkiem jeszcze w obecności hetmana poczęli rozprawiać o liczbie i wyborze ludzi i broni, jaką z sobą brać mieli... ale w tem byli z sobą wszyscy zgodni.

— Patrzajcie tylko!—dodał Zamojski.—Gdy się krok czyni, rozumnego człowieka dziełem jest tak go obmyśleć, aby się powiódł i nie chybił. Gdybyście mieli wpaść, a nie wziąć go i dać mu się wymknąć, natenczas królowi, mnie i wszystkim więcej zła uczynicie, niż dobrego, gdy go weźmiecie. Zważcież pewnie, aby nie uszedł!

— Że w Piekarach będzie, to nie ulega wątpliwości— zawołał Mroczek—a że my go ułapim, to także pewna, boć dwór obstawimy tak, że mysz z niego nie wyjdzie. Jeżeli oręża dostanie i bronić się będzie, a w tej walce legnie...

— Nie będzie ani waszą winą, ani wam za to włos spadnie z głowy—rzekł hetman—Nie ledwiebym to wolał, niż długą z nim procedurę; a i onby rycersko skończył— nie z katowskiej ręki.

Westchnął hetman.

Szli więc Urowiecki i Mroczek, naradzając się, ale tak, ażeby przygotowanie do wyprawy wieczornej wcale nie było widoczne i nikt się go nie domyślał; każdy z nich pojedyńczo ludzi swych na godzinę umówioną cicho przysposobił tak, że jedni o drugich nie wiedzieli. Oni sami wieczorem na włos nie zmienili codziennych zajęć, tak, że każdy do snu poszedł i światła pogaszono, straże zaciągnięto, wedle obyczaju.

Urowiecki, Mroczek i Stanisław Żółkiewski poubierali się i uzbroili zawczasu, a gdy godzina wyjazdu nadeszła, cicho w dziedzińcu tylnym zgromadziwszy się, na koń siedli i tylnemi wrotami tak wyciągnęli w pole, że nikt, oprócz straży, o nich nie wiedział.

Hetman kazał sobie, o którejkolwiek godzinie Żółkiewski powróci, natychmiast dać znać, co się stało i obudzić.

Noc była wiosenna, cicha, ciepła... chmurna, a ptaszki nazabój śpiewały o życiu, gdy tu śmierć się gotowała i tragedya okrutna, której skutki długo potem w kraju odbrzmiewać miały.

Na dworze w Proszowicach tylko lampeczka nocna przed obrazem w sypialni hetmana blado płonęła.

III.

Wierny swemu obyczajowi, którego odmienić nie mógł, Samuel, choć mu się we wszystkiem nie powiodło, a ludzie najgorzej służyli, jechał dalej, już na Piekary tylko rachując. W Piekarach wszystko się miało dokonać!

Tymczasem zabawiał się. Miał przy sobie dobrych towarzyszów kilku, rozumie się ulubionego Borosia i sokoły, Stefana Stadnickiego i sług trochę ze psami.

Około Podolan miejsce się okazało sposobne, więc puszczano ptaki, w czem Borosio okazał się dziwnie zręcznym, że dla niego dosyć pochwał nie miał Samuel, a tak był wesół, jak nigdy.

W Podolanach zachciało mu się donieść o wszystkiem Andrzejowi, który niespokojnie oczekiwał, co się stanie, a że go już szpiegami wystraszono, list umyślnie napisał taki, aby w ręce kanclerza wpadłszy, w błąd go wprowadził.

Stało w tym liście:

„Pan Kanclerz już ku Krakowowi jedzie, jest wprzód. Ja sam z Borosiem zabawiam się z sokoły koło Podolan, którymi po staremu kugluję. U Pani Włodkowej w Piekarach spać będę; nie frasuj się wasza mość o mnie, boć sam żadnego niebezpieczeństwa nie widzę, ja też nikomu nic takowego nie myślę, tylko *la pace, la pace Senior.* Widziałem ci to na oko, że mnie kanclerz szpiegował, ale podobno nie żebym co takowego myślał, tylko się bardziej na mnie ogląda, jakobym ja, żem jest banit, nie miał być Zborowskim! Toć już w Krakowie nie będę, chociaż Czecha posłałem do Luzickiego już przed sobą; kilku do pana Żupnika wyprawię, kiedy się będziem mieli ruszać“.

Tak igrając i kuglując z sokoły, żartując z Borosiem rozprawiając o tem, jako się na jutro gotować potrzeba, dojechali ichmoście zdrowo do Piekar, gdzie na nich Włodkowa w zamku już z wieczerzą na stole oczekiwała.

Zawsze tu z jego przybycia radość bywała wielka,

ale teraz podwójna, bo czuli wszyscy, że cię coś wielkiego przysposobiało i było za pasem. Włodkowa, znając męstwo wuja i jego rzutkość, bynajmniej nie wątpiła, iż co on przedsięweźmie i obmyśli, to musi się szczęśliwie obrócić!

Przy stole była ochota wielka, ale na długo się nie zaciągnęło, bo wszyscy czuli się zmęczeni, a siły były potrzebne na jutro.

Słano zaraz wszystkim łoża, gdzie i jak było można. Dla pana Samuela w izbie wielkiej przy którym miał być Borowski i Bałaban, dla Chełmskiego Morawcą w bocznej izbie obok, na górze w komnacie mieścili się syn Oleś i pan Jędrzej Stadnicki.

Pożegnawszy Włodkowę, która dopilnowała, aby każdy przy łóżku miał kubek i napój dla snu potrzebny, wedle obyczaju — szli strudzeni spać tak, że przed północą cały dwór w Piekarach w najgłębszym śnie był pogrążony.

Samuel szczególniej, że konną jazdą znużony był, bo miał pod sobą dnia tego konia, który nogi, prawda, miał doskonałe, ale nosił tak, że mało kto na nim wytrwał, — usnął bardzo mocno.

Borowski zawsze czujny, spał ino jednem okiem, gdyż i myśleć było o czem.

Wtem, mało co po północy, w dziedzińcu rozeznał zdala naprzód stąpanie koni, potem bieganie ludzi i chrzęst broni, którego uniknąć niepodobna, z rusznicami zwłaszcza.

Zaledwie to uszu jego doszło, stracił ducha; wiedział już, co to było! Przepowiadano im, że hetman na swą jurysdykcyę ich nie puści. Nim Borowski — boso, opończę tylko narzuciwszy, zerwał się, otworzył szybę i wyjrzał przez okno, pod ścianami ludzi już było pełno.

Stracił głowę i co miał Samuela zbudzić, a o ratunku dla niego myśleć, z izby do komory pocichu sobie drzwi otworzył... stąd na podwórko.

Tu jeszcze jakoś nikogo nie było, i Borowski śmignął wprost do stajen. Mówił potem, jakoby Samuela budził, ale go się dobudzić nie mógł; zresztą sam potem wytłómaczyć nie umiał, co zrobił, — płakał tylko.

Obudził się potem na hałas Bałaban i biegł do okna, a ujrzawszy w dziedzińcu ludzi pełno, pośpieszył do Samuela. Tego na łóżku już nie znalazł, tylko pościel pomiętą. Widać było, że Zborowski broni swej szukał, — ale jej nie mógł znaleźć. Murzynków dwóch, którzy mu posługiwali, schowali ją pod kobierczyk i tam pozostała.

Później już dojść nie było można prawdy — a i sam Samuel nie pamiętał dobrze, co czynił, gdy się obudził. Murzynkowie mówili, że broń, wedle zwyczaju, złożyli w łożu u głowy; Borowski powiadał, że on to uczynił. Sahajdak wisiał ze strzałami nad łóżkiem, ale tego Samuel nie pochwycił.

Bałaban, drzwi znalazłszy otwarte, któremi przez komorę uciekł Borowski, sam też za nim podążył.

Wszystko to działo się wśród ciemności, bo noc była chmurna, a światła nigdzie po izbach.

Obiegający dom, czy dla postrachu, lub mając kogo na celu, poczęli dawać ognia, tumult się już wziął wielki.

Włodkowa, która spała na górze, narzuciwszy ledwie chustę na siebie, zbiegła do swych sług na dół, gdzie wszystek jej fraucymer się znajdował i tu znalazła Stadnickiego który za piec się wcisnął. Ten opowiadał jej, że skoczył był zaraz do izby, w której Samuel spał i szukał go wszędzie, ale go już nie znalazł.

— Uszedł, da-li Bóg, za co Jemu chwała! — dodał Stadnicki.

Założyła ręce Włodkowa, modląc się.

— Boże miłosierny! co się to dzieje.

Zmiarkowała dobrze, co to znaczyło, ale pewni byli, że umknął.

W tym momencie Żółkiewski tylnemi drzwiami, które wyrąbać kazał, skoczył ze swoimi ludźmi i wpadł między wystraszone białogłowy i małe dziewczęta.

Zarazem drugiemi drzwiami, także wyrąbanemi, wtargnął Urowiecki, a za nim Mroczek z wrzaskiem, strzelaniem a hukiem.

Oprócz oddziału, który prowadził Urowiecki, Mroczek i przy którym był Żółkiewski, już na drodze na ochotnika, gwałtem prawie przyłączył się do nich Drohojowski

z kupą Przemyślan. Ci teraz z Sernym, pozostawszy w podwórzu, dla postrachu ustawicznie do dworu strzelali.

Stał się więc sądny dzień prawdziwy; lament kobiet, wołanie żołnierzy, strzały, hukanie, groźby, łomot. W jednych izbach ciemność, w drugich pozapalane światła.

Z wielkiej gorliwości, aby im ofiara nie uszła, bo jej jeszcze nie mieli, Urowiecki i Mroczek niemal poszaleli. Pamiętali, co im hetman mówił, — ujdzie-li, — jakie z tego następstwa będą, więc na gwałt rzucili się na tych, których znaleźli i pochwytali, na Stadnickiego i na Chełmskiego.

— Gdzie Samuel, dawajcie go!

Urowiecki bił nawet i groził śmiercią, tak, że Chełmski i Stadnicki od zniewag i razów się obronić nie mogli.

A ciągle się rozlegało:

— Gdzie Samuel?

Z siepaczów zaś ich, którzy się po domu rozproszyli, jedni szafy rozbijali, drudzy po kątach plądrowali. Włodkowa, choć kobieta, nie straciła odwagi i krzyczała jak na zbójów.

— Jak śmiecie dom moj najeżdżać, toć rozbój jest, toć gwałt, to o pomstę do Boga woła, żeście mi dom okrwawili! Jestem-li co winną, odpowiem, ale gwałtu zaprzestańcie!

Ale do Urowieckiego i Mroczka mówić było jak do ściany, bo oni z tego strachu, żeby im się Samuel nie wymknął, głowy potracili.

Chcąc Stadnickiego zmusić, aby go wydał, poczęli strzelać do niego i naraz z kilkunastu rusznic dali ognia, ale chybili wszyscy, chociaż Stadnicki ogłuszony padł na ziemię.

Szaleli tak, bo Samuela dotychczas ani śladu, ani słychu nie mieli, a znali go, że mając czasu dosyć, pewnie im mógł ujść — gdy oni głowami ręczyli za to, że go wezmą.

Niektórzy więc puścili się na górę, gdzie spał syn Oleś, a był przy nim sługa wierny, Skorowski, który go chciał bronić i cały krwią oblany szedł, bo go porąbano.

Oleś, obryzgany także, przelękły, wpadł do izby białychgłów, ojca szukając. Zobaczywszy go okrwawionego, kobiety poczęły krzyczeć:

— Zabili Stadnickiego... Oleś ino żyw! Zablli Olesia!

Trzeba było znać Samuela, aby zrozumieć to, że imię syna posłyszawszy i słowo to: zabity, o własnem bezpieczeństwie zapomniał.

Gdy się obudził, a już naówczas ani Borowskiego, ani Bałabana nie było, rzucił się bezbronny, niedobrze jeszcze oprzytomniawszy, do sionki małej, do której dotąd nikt nie zaglądał, ale z niej wyjścia nie było. Prędzej, później ujęliby go byli w niej, jak w saku.

A miał bezpieczną ocalenia drogę — tę, którą uszli Borowski i Bałaban, bo z tamtej strony nikt ani zajrzał, aż do samego końca drzwi były pootwierane, droga do stajen wolna. W stajni konie i pole tuż a las.

Ale komu Bóg zginąć przeznaczył!

Posłyszawszy: Oleś zabity! Samuel wyskoczył na ten głos i w jednej koszuli, jak się z łóżka zerwał, stanął przed nimi.

Pierwszy Urowiecki go zobaczył.

— Czego chcecie? — zapytał Samuel dosyć spokojnie, chociaż wiedział już, co to znaczyło.

— Ciebie chcemy mieć — zawołał Urowiecki — pójdź z nami do pana naszego, kanclerza, a teraz z nikim nie waż się mówić, bo będziesz zabit!

Zapalili zaraz świecę i ucichło; słychać było tylko płacz kobiet.

Samuel, zobaczywszy syna, że żyw był, pomyślawszy mało, krew swoją zimną, którą tylko w złych razach podczas miewał, gdyż już sprawa była zrozpaczona, odzyskał. Bo jak gwałtowny i impetyczny się okazywał, póki miał nadzieję, że się wyrąbie i obroni, tak w ostatniej toni lekko sobie wszystko ważył.

Radość tedy ichmościów, co tego bohaterstwa dokazali, była wielka, bo o mały włos, a łacnoby im uszedł.

Nim się tedy odział, a nim oni z końmi, ludźmi i bronią do ładu przyszli, upłynęło dosyć czasu wśród płaczu i lamentów Włodkowej, syna i Stadnickich. Tym wszyst-

kim już nie czynili nic, obstawiwszy tylko Samuela swoimi, aby z nikim mówić nie mógł.

Ludzie pana Samuela i wozy jego stały noclegiem w Stogniewicach, dokąd zaraz nadeszła wiadomość, że pana Samuela ujęto, i że jeszcze byli z nim w Piekarach, wybierając się do Krakowa.

Rychłowski, który przy wozach był, nadbiegł z ludźmi, ale nie miał już tu co czynić.

Gdy rankiem do izby, w której go trzymano, wpadł Rychłowski, Samuel zobaczywszy go zdala, odezwał się mimo zakazu.

— Daj już pokój, Rychłowski nieboże, nie masz tu co czynić. Jedźcie do syna, służcie jemu, a szkatułę tam moją miejcie w dobrem opatrzeniu.

Na biedę szkatułę tę wspomniał gdyż potem Urowiecki o niej zaraz kanclerzowi doniósł i posłano po nią, aby wydano, a słudzy ze strachu i nieopatrzności oddali ją, jak była.

Ucichło wtedy w Piekarach, chociaż je żałobą oblekło to nieszczęście, a Włodkowa, Stadnicki i syn w pierwszym momencie głowy potracili, lecz zaledwie Urowiecki, Samuela z sobą wioząc do Krakowa, ruszył i w Piekarach myśleć poczęto o ratunku.

Zdawało się, że jeszcze drogi pozostawały i środki, aby odwrócić od Samuela karę główną, jaka mu z powodu banicyi zagrażała.

Stadnicki, choć zbity i napoły żywy, natychmiast siadł na koń i do Sandomierza do marszałka Andrzeja popędził. Przybył tu może w godzinę potem, gdy list ów z Podolan pisany przyszedł.

W progu zobaczywszy bladego siostrzeńca, marszałek prawie odgadł nieszczęście.

— Jędrusiu! — zawołał. — Co się tało?

— Gwałt wielki; na dwór w Piekarach nasłai kanclerz, ze strzelaniem i przemocą siepaczy, ledwiem ja żyw uszedł, a Aleksander okrwawiony. Samuela słudzy odbiegli, głowę stracił, sam się im w ręce dał, wzięli go i do Krakowa na zamek powieźli; ani się z tem tają, że go główna

kara czeka. — Kanclerz sam ludzi z Proszowic wyprawiał. Wiedział o każdym kroku.

Marszałek z załameni rękami słuchał.

— Przeczuciem miał — rzekł. — Co tu czynić?

Zrazu wistocie nie wiedział nawet marszałek, co miał przedsiębrać, ale najpierwszą było rzeczą kasztelanowi dać znać, aby bronił, a Krzysztofowi, aby o sobie myślał, bo i temu z listów i papierów sąd mógł zagrażać.

Tegoż dnia biegli posłańcy do Lublina do panów, w trybunale zasiadających, którzy wymiar sprawiedliwości mieli powierzony, aby oni się ujęli za zdradliwie pochwyconym banitą, który, jak dowodził marszałek dlatego dekret sobie mało ważył, iż go ani król, ani kanclerz nigdy nie przypominał i dawali mu w wojsku i w kraju swobodnie przebywać.

Szły listy do Jana, do pokrewnych, do Stadnickich, do pana z Górki, do Tarnowskich, do Spytkowej, — ażeby wszelkich wpływów swych zażyli dla ocalenia chociażby żywota Samuelowi.

Obawiano się, aby kanclerz, zabiegając wpływom właśnie, nie przyśpieszył wykonania dekretu, ale mylili się w tem, gdyż Zamojskiemu tak on był bolesną koniecznością, iżby był rad jak najdalej go odroczyć.

Spodziewał się może przy osobistem widzeniu się z Batorym skłonić go do łaskawości.

Jeszcze Zborowskiego nie doprowadzono do Krakowa, gdy już wieść z Piekar, ze Stogniewic, i z Proszowic z szybkością błyskawicy rozbiegła się dokoła, —iż Zamojski pochwycić kazał Samuela i wprowadzić na zamek do Krakowa.

Ta nagła surowość względem człowieka, który przez czas tak długi swobodnie się wszędzie ukazywał publicznie, a nawet bywał w stolicy, tłómaczyła się wprawdzie dla wtajemniczonych historyą Wojtaszka i pochwyconych korespondencyi, które spisku na życie króla i kanclerza dowodziły, ale dla innych był to krok tylko obrachowany, aby kraj i niechętną szlachtę przejąć trwogą i okazać jej, że król nikomu pobłażać nie myśli, ani

rodzinom znacznym, ani tym nawet, co mu do zdobycia korony dopomagali, bo do tych się liczyli Zborowscy.

Już wprzódy na niepomierną surowość Batorego na tyranię jego podnosiły się głosy, teraz zerwała się burza, uderzono na gwałt; nieprzyjaciele nawet Zborowskich widzieli w tem porwanie się na swobody i przywileje szlachty, cóż dopiero rodzina, spokrewnieni, przyjaźni i ci, którzy stojąc po stronie cesarza, wyzyskiwali, co mogli, przeciw królowi.

To, co przewidywał Zamojski, ziściło się z nawiązką; w jednej chwili umysły były zaognione, wzniosły się wyrzuty i krzyki najgwałtowniejsze.

Dotykały one króla, który był odpowiedzialnym za Zamojskiego, ale w daleko większym stopniu spadły na kanclerza. W nim widziano instygatora, sprawcę, winowajcę. Nieprzyjaźń ze Zborowskimi, odgróżki Samuela dawno były znane powszechnie; uwięzienie uważano, jako pomstę osobistą. Sprawa stanęła jako walka Zamojskiego ze Zborowskimi.

Od zabójstwa Wapowskiego, przez szalone wybryki Samuela, postępowanie nieczyste i niejasne jego braci, przerzucenie się ich do cesarskiego obozu,—Zborowscy znacznie na swym wpływie i poszanowaniu u ludzi stracili, ale zawsze, choć nadrujnowany marszałek, choć zubożały podczaszy, mieli jeszcze i majętności rozległe i stosunki ogromne, i związki, i klientów, a szlachtę drobną, która ślepo szła z nimi.

Uwięzienie Samuela przychodziło też w samą porę dla tych, co przeciwko królowi knowali i gotowali zażartą opozycyą na sejmie. Ze wszech stron zabierano się je zużytkować, dowodząc samowoli, gwałtu, nieposzanowania praw stanu uprzywilejowanego.

Przez tyle więc lat wolno było banicie ukazywać się wszędzie, nikt mu nie mówił słowa, dano się ubezpieczyć, a potem schwycono go, jak w pułapkę.

Poruszenie umysłów, wywołane wiadomością o napadzie na Piekary, z każdą chwilą przybierało rozmiary groźniejsze; dodawano do tego opisu nocne najście na dom kobiety, wdowy bezbronnej,—okrucieństwo, z jakiem Urowiecki i Mroczek postąpili względem niej, małoletniego syna Samuelowego, młodego Stadnickiego i służby, strzelanie do domu, plądrowanie, wyrąbywanie drzwi, wrzaski, odgróżki i t. p.

W listach i opisach tej nocy powiadano:

„Toć się stało tego dnia w Piekarach, w dworze przywilejowanym pani Włodkowej, z piątku na sobotę w nocy dwunastego dnia Maja, gdy miesiąc w ogonie był smokowym, w kilka dni po zaćmieniu słońca w tym roku".

Dla szlachty było to wistocie nowe słońca zaćmienie, bo ukrócenie swobód jej... targnięcie się na jej prawa.

Miał za sobą Zamojski banicyę, która nigdy przestarzeć nie może, ale dlaczegóż jej przez lat tyle nie zużytkował?

Przybycie kanclerza do Krakowa nie uprzedziło niezmiernego niepokoju, jaki uwięzienie Samuela sprawiło. Zastał tu już wszystkich swych przyjaciół zaalarmowanych przestraszonych. Zaledwie zażegnane niechęci miały się więc rozognić znowu! Wszyscy prawie potępiali tę surowość!

Poważny, zimny, spokojny kanclerz na pytania, na ubolewania nawet nie odpowiadał, zbywał je majestatycznem, bardzo znaczącem milczeniem. Na króla odpowiedzialności składać nie mógł... sam bronić się nie myślał, a na wszystkich twarzach czytał pytanie niespokojne:— Cóż dalej?

Tegoż dnia nad wieczorem nadbiegł na zamek ks. biskup Myszkowski, po którego obliczu zmienionem, bladości i poruszeniu kanclerz poznał, że i jego ta sprawa Zborowskich mocno obchodziła i trwożyła.

Nie zagadnął o nią w chwili pierwszej, pytając o podróż, o zdrowie, o króla, lecz łatwo było poznać, że to wszystko było tylko wstępem do najważniejszej rzeczy, do zapytania o Samuela, do interwencyi za łagodnością i miłosierdziem.

Kanclerz i biskup nie śmieli długo dotknąć tej struny drażliwej, naostatek Myszkowski już się powstrzymać nie mogąc, ręce złożył i zawołał:

— Kanclerzu mój, poznajesz po mnie łatwo, żem ja

tu nie z samem pozdrowieniem pośpieszał. Co za straszliwe wieści! Jakże się stało, że Zborowskiego Samuela ujęto?

Chłodno odparł kanclerz.

— Z mojego rozkazu! Napominałem go, aby się w mojej jurysdyckyi nie śmiał ukazywać. Na przekorę i szyderstwo przybył do Piekar, gdy wiedział o mnie w Proszowicach. Gotowano zamach na mnie,—musiałem go uprzedzić.

Biskupowi łzy się toczyły po twarzy.

— A! następstwa tego kroku są nieobliczone—zawołał.—Król i wy ucierpicie... poruszyliście gniazdo osie!

— Wiem o tem—rzekł Zamojski — ale osy te nam w oczy lazły i kąsały,—raz z niemi skończyć potrzeba.

— Skończyć!—przerwał biskup.—To dopiero początek, a koniec, koniec... nie daje się przewidzieć, ani obrachować. Surowością u nas, obcemu jak Batory, nic począć nie można,—łagodnością wszystko łatwo.

— Pobłażaniem doszliśmy do bezprawiów—zawołał Zamojski.—Trzeba granicę położyć temu; czas był, musiałem. Nie cofnę się.

Biskup nie śmiejąc już pytać, milcząco ręce załamał; domyślał się reszty. Głowa mu opadła na piersi, zdawał się modlić w duchu, aby Bóg zmiękczył serca.

Rozmowa, przerwana na chwilę, podjęta została z krwią zimną przez Zamojskiego, który z wyraźnym rozmysłem omijał króla, usuwał wszelki wpływ jego, tłómaczył siebie tylko i wszystko brał na swe barki. Biskup znał już obu nadto, aby się tem dał zludzić; wiedział, co miał trzymać.

Spodziewał się, że kanclerza nieco łagodniej usposobić potrafi, ale wkrótce przekonać się musiał, że bez namiętności, bez gniewu, chłodno—Zamojski stał przy swojem, jako przy następstwie koniecznem prawa, które poszanowane i spełnione być musiało, aby wrazić narodowi wogóle znaczenie praw, z których nikt wyłamywać się nie mógł.

Gdy po długich dość odwiedzinach powstał Myszkowski, aby pożegnać kanclerza, smutkiem oblekła mu się

twarz poważna, bo wiedział już, że Zamojski nie ustąpi, że postanowienie jego jest niezłomne. Mała nadzieja pozostawała na królu... lecz Batory mniej jeszcze do łagodności i ustępstw był skłonnym.

Zamojski, przybywając do Krakowa, wiedział co go tu czekało i na co miał się gotować. Drzwi się też nie zamykały. Jedni przychodzili z aplauzem, chąc mu się przypochlebić, co on surowo i zmarszczony przyjmował, drudzy—a tych było daleko więcej—biegli z błaganiem, ze strachem i argumentami przekonywającemi, że łagodność była konieczną. Zamojski nie odpowiadał, ani się tłómaczył.

Dla zmniejszenia nieco wrzawy przeciwko królowi i sobie, jeden tylko środek obmyślił: skłonić wdowę Wapowską do instygowania przeciwko zabójcy męża.

Pamiętnem było dobrze, z jaką wytrwałością, nie dozwalając pogrzebać zwłok mężowskich, Wapowska je uparcie na zamek do króla woziła, domagając się pomsty... Od tego czasu nie zrzucając żałoby,—święta matrona, cała oddana dzieciom i pobożności, na nabożeństwach, postach i dobrych uczynkach spędzała żywot sierocy, któremu pamięć męża przyświecała.

Zdawać się więc mogło kanclerzowi, że teraz, korzystając ze zręczności, przysłuży się i Wapowska do potępienia gwałtownika.

Ale była to prawdziwie święta niewiasta. Wielka jej boleść upłynęła ze łzami, miała czas ofiarować Bogu swe wdowieństwo, a teraz gdy nieprzyjaciel leżał zwyciężony i pobity, nie chciała bezbronnemu zadawać ostatniego ciosu. Przebaczała mu po chrześcijańsku.

Odpowiedź jej na wezwanie Zamojskiego brzmiała, iż teraz już ona krzywdy swej dochodzić nie będzie i pomszczenie jej Bogu oddaje.

Wszystko więc całem brzemieniem spaść miało na Zamojskiego.

Króla nie było w Krakowie. Hetman postanowił pod jakimkolwiekbądź pozorem przeciągnąć wykonanie, aby raz jeszcze odwołać się do Batorego i skłonić go może do łagodności. Pobiegły listy na Litwę.

Oblany krwią rannego sługi młody Aleksander udał się z Piekar do marszałka, który miał być jego opiekunem. Tu zastał już Annę, która z ochmistrzynią swą przybiegła rzucić mu się do nóg, błagając, aby nie opuszczał ojca!

Anusia była od pierwszej chwili, gdy otrzymała wiadomość, w nieustającej gorączce. Chodziła jak nieprzytomna, powtarzając po cichu: Wojtaszek! Zamojski!

Z namiętnością niewieścią, z gwałtownością tej krwi właściwą, która w jej żyłach płynęła, zaciskała usta, gryzła wargi, łzy się jej puszczały z oczów i wołała po cichu: Zemsty! zemsty!

Marszałek nie mógł uspokoić dziewczęcia. Sam przerażony, ale zimny, myślał tylko, jak obrócić na korzyść rodziny nieszczęście, które ją spotykało.

Pytał sam siebie, czy być to mogło, aby potomek onych sławnych Zborowskich padł z ręki kata... Przychodziło mu na myśl, niestety, że ojciec ich rodziny zabił banitę Sanguszkę...

Los zdawał się na drugiem pokoleniu chcieć pomścić męża Halszki z Ostroga...

Jeżeli kniaź ze sławnego rodu mógł paść ofiarą tego prawa, na obcej ziemi, gdzie ono już wagi nie miało—dlaczegóżby oszczędzić miano Samuela, który wziętym został tam, gdzie się znajdować nie miał swobody, zwłaszcza, gdy na niem mścić się było można nietylko winy jego, ale całej rodziny, spisków i zamachów.

Listy Krzysztofa świadczyły przeciwko nim wszystkim. Mógłże Jan kasztelan Gnieźnieński zaważyć swą wiernością i cnotą za trzech winowajców?

Marszałek starał się upewnić Anusię, że niebo i ziemię poruszą, aby Samuela ocalić.

— Lecz, dziecko moje,—rzekł—mamy nieprzyjaciół strasznych! Król sam stoi na ich czele, a za nim jest mściwy Zamojski, a za nimi cały tłum dworaków, zauszników, pochlebców. Zawichrzym kraj, podburzym szlachtę, wywołamy zjazdy, podniosą się krzyki; ale czy to pomoże, czy pogorszy, nastraszy, czy rozjątrzy—któż to wie?

— Anusia—dziecko, kobieta, nie rozumiała nawet, iżby nic zrobić nie można. Cała szlachta nietylko na Rusi, ale w Rzeczypospolitej podnieść się była powinna! Na Litwie mieli Chodkiewiczów, w Wielkiej Polsce Górków, w Krakowskiem Spytków...

Paliła się jej głowa.

— Zemsty! zemsty!—powtarzała sama do siebie.

Z Sandomierza padłszy naostatek do nóg marszałkowi, Anusia się kazała wieść do Piekar, do Włodkowej. Zdało się jej że ta siostra, ta ulubiona ojcu kobieta, lepiej ją zrozumie, goręcej pomódz jej potrafi, niż marszałek. Dowiedziała się razem, że kasztelana nie było, że na niego długo jeszcze czekać musieli, a podczaszy uciekł już za granicę, z obawy, aby na nim nie poszukiwano wyrazów listu, w których królowi uznania jego tytułu odmawiał. (*Rex si hoc nomine dignus*).

Ta ucieczka, gdy ojca jej bronić było potrzeba, oburzała ją.

Wszyscy więc opuszczali nieszczęśliwego?—mówiła sobie, a więc ona jedna, słaba, biedna niewiasta, dziecko, mężnie stanie w jego obronie... Pojedzie na koniec świata zburzy, co żyje, a naostatek pomści się za ojca!

Imię zbrodniarza Wojtaszka, nie schodziło jej z ust.

— Na dworze królewskim jest! ale i ja tam się dostać potrafię, i tam go wyśledzę... zapłacę ludzi, znajdę zbójów... życie mu odjąć każę... Zginąć musi...

Naprózno stara ochmistrzyni, niewiasta, co się jeszcze z domu Spytków tu dostała i umiała modlić, chciała ją do modlitwy skłonić, do zwrócenia się ku Bogu,—Anusia inaczej wychowana przy ojcu, rachowała na siebie tylko.

Z tą gorączką przybyła do Piekar i łkając a krzycząc, rzuciła się na szyję wychodzącej naprzeciw niej Włodkowej.

Były to dwa zbliżone do siebie temperamenta. Wdowa także gorączkowała się, szalała, ale zarazem wśród nieustannego zajęcia sprawą wuja Samuela, już była z nią obytą, już niemal zdała się być zobojętniałą... Codzień tylekroć powtarzała opowiadanie, iż jej spowszechniało; codzień tyle razy tu rozprawiano o grożącej Samuelowi śmierci, że i ta już była dla niej przewidzianą... a że Włodkowa przy tem czynną być mogła, poruszała się, jeździła,

pisała, krzyczała—prawie jej z tem było dobrze... Była w swoim żywiole...

Anusię oburzyło to niemal; ona nie mówić, ale czynną być chciała... Włodkowa nie widziała sposobu uczynienia najmniejszego kroku. Jej rzeczą było pobudzać i nie dać usnąć obrońcom. Ale z tego, co dochodziło z Krakowa, już nie miała nadziei ocalenia.

Przy pierwszem spotkaniu Anna, posłyszawszy to wszystko, prawie do rozpaczy została przywiedzioną; chciała jechać do Krakowa, domagać się widzenia z ojcem; dowiedziała się, że nikogo nie dopuszczano do niego, nikomu z nim mówić, dostąpić nie dawano.

Wszystko, co uczyniono dotąd, Annie wydawało się niedostatecznem... oskarżała stryjów, gniewała się na rodzinę. Chciała jechać od dworu do dworu po krewnych i zmuszać ich do wystąpienia.

Prawo! Anusia nie wiedziała o żadnem prawie na świecie, któreby ojcu jej życie odjąć dozwalało! Słowem jednem szał to był dziecka, ale tak gwałtowny, że go nic pohamować nie mogło.

Nazajutrz Włodkowa, zaledwie powstawszy pobiegła do Anusi. W łóżku już jej nie było, nie było we dworze; kazała powiedzieć, że jedzie do kanclerza.

— Oczy mu wydrę!—wołała, siadając do kolebki z ochmistrzynią.

Włodkowa chciała się naprzód puścić w pogoń za nią, ale goście ją najechali, a wreszcie Anusi powstrzymać żadna już ludzka siła nie zdołała...

Późno wieczorem zatoczyła się powracająca z Krakowa kolebka. Anna wysiadła z niej blada i zapłakana.

Kanclerz przyjąć jej nie chciał, odprawiono ją od progu! Do królowej dostąpić nie mogła. Podli ludzie uciekali od niej i nikt a nikt nie chciał być pomocą. Zabijaaby,—gdyby mogła. Łzy toczyły się po twarzyczce... nie wiedziała już co miała począć.

W Krakowie, na chwilę stanąwszy u wrót pustego domu na Franciszkańskiej ulicy, dowiedziała się tu tylko, że w nim nikogo nie było, nie spodziewano się nikogo. Kasztelan nierychło mógł przybyć.

Tu ją spotkało to, co biedne dziewczę dobiło.

Stała przed wrotami głośno lamentując i krzycząc na służbę, która stała obojętna i zimna, gdy ujrzała zbliżającego się ku sobie ulicą mnicha w habicie białym w czarnym płaszczu.

Z twarzy żółtej i czarnych oczów poznała w nim o. Czesława.

Dominikanin stanął zblizka i przysłuchując się wyrzekaniom Anny, głową potrząsał, a usta drgały mu uśmiechem nielitościwie szyderskim. Zwróciła się ku niemu dziewczyna, mierząc go oczyma rozpłomienionemi.

O. Czesław nie ustępował.

— A co?—zawołał na głos, jakby stał na kazalnicy.—Przyszła na was, na ród bezbożny—pomsty Bożej godzina... Bolejecie i jęczycie... ale to mało za zbrodnie wasze! Ród wasz przepaść, imię zginąć, gniazda wasze zniszczone być powinny! Nie zostanie z was śladu a z domów waszych kamienia na kamieniu... Poleje się krew za krew, łzy za łzy... bo Bóg jest sprawiedliwym a wszechmocna jest ręka Jego, i upokorzy on mocnych i potężnych, a podniesie pokornych i uciśnionych....

To mówiąc mnich rzucił ręką, jakby pochodnie anathemy ciskał z kazalnicy—i nie słuchając krzyku omdlałej Anusi, poszedł dalej obojętny.

IV.

Chociaż w zamku języka dostać było trudno, bo tam się nikt nie mógł przecisnąć, a straż była bardzo pilna, wiedziano jednak na mieście, że Samuel Zborowski miał za nieodstępnych towarzyszów i stróżów dwóch najwierniejszych sług hetmana: rotmistrza Mroczka, który go pojmał i Sernego, który w Piekarach strzelał do dworu dla uczynienia popłochu. Siedzieli oni z nim razem na burgrabstwie zamkowem u Przyłęckiego, a Samuela rzadko

z bocznej komory, w której był zamknięty, wypuszczano nawet do średniej izby przestronniejszej nieco.

Dokoła burgrabstwa, ponieważ Zamojski mógł się obawiać wszystkiego, nawet gwałtownego jakiegoś najścia na zamek, liczono nie mniej nad kilkuset szarpaczów z rusznicami i ręczną bronią.

Mroczek i Serny, żołnierze, ludzie mężni, nie gorsi od drugich, ale małego i biednego stanu, jak wszyscy im podobni, nie mogli się temu oprzeć, aby poniżonego możnego pana, którego w rękach mieli, z którym się im jak chcieli, wolno było obchodzić, nie upakarzali i nie znęcali się nad nim. Rzadka to rzecz, aby mały człowiek poszanował w upadku niegdyś potężniejszego od siebie. Jest coś niepoczciwego w naturze ludzkiej, że taki biedny człek niemal się czuje zwycięzcą, gdy los mu da w ręce takiego, który nad nim górował.

Mroczek też i Serny obchodzili się z tym potomkiem senatorów i wojewodów, z tym Zborowskim, którego rodzina liczyła się do najstarszych i najpotężniejszych niegdyś w Rzeczypospolitej, jak z pospolitym jakimś włóczęgą lub zbrodniarzem... Każde ich słowo było urągowiskiem.. Dawali mu czuć swą siłę z tą butą gminu, z tem grubiaństwem żołnierskiem, które dumnego i gwałtownego Samuela musiało do rozpaczy przyprowadzać.

Ale wprędce Zborowski pojął, że dając im poznać obrazę i cierpienie, czyniłby im rozkosz... Męczyć go właśnie chcieli, on stał się zimnym i obojętnym naumyślnie. Kosztowało go to, lecz winien był godności własnej, aby nie uczuć razów, jakie mu zadawano. Znosił je z obojętnością kamienną; gdy dwaj rotmistrze umyślnie przy nim rozpoczynali rozmowy, które go mogły drażnić patrzał gdzieindziej i zdawał się głuchy. Nie rozbrajało to gburów.

Oprócz groźby końca, który Samuel przewidywać musiał, wiedząc, co go czeka, a nie spodziewając się litości,—tymczasem prawdziwe ponosił męczeństwo.

Gdzie naówczas myśli jego błądziły... co doświadczał? —tego nawet ci oprawcy odgadnąć nie potrafili. Siadywał na łożu, licho zasłanem, całemi godzinami, sparty na ręku i zadumany. Wyzywany umyślnie do rozmowy, bo Mroczek rad był coś z niego wyciągnąć, aby zanieść hetmanowi, Zborowski dumnie i krótko, albo wcale nie odpowiadał.

Pana w nim czuć musieli, choć zszedł na najnędzniejszego z więźniów. Rzadko o co prosił. Nawykły w potrzebie żyć kawałkiem suchego chleba i wodą nie dopominał się niczego.

Z rozmów ich dowiadywał się czasem rzeczy, które go obchodziły—zawsze najgorszych i najprzykrzejszych—ale nie dawał znaku, aby je wielce ważył. Pytać nie chciał, bo wiedział, że alboby go zbyto szyderstwem, lub odpowiedziano pogróżką. Widzieć się nie mógł z nikim.

—Co się działo z Olesiem, co z Anusią? Wiedział o przywiązaniu córki do siebie, znał jej nieunoszoną gwałtowność, był pewnym, że się narażała dla niego, ale co ona biedna poradzić mogła?

Marszałek miał się dziećmi zaopiekować, o tem nie wątpił Samuel, ale nim? tego nie był pewnym! Wreszcie on może krok jakiby uczynił, ale Krzychnik? Ten musiał ujść,—domyślał się słusznie; ten aniby chciał, ani zresztą potrafił nic zrobić. Kto wie jeszcze, co z nim być miało, jeśli nie zbiegł pod opiekę cesarza.

Dzień i noc myśli, z przeszłości wysnute wiły mu się po głowie.—Tak więc kończyło się to bujne, rozhukane życie, blasków pełne i ciemności... legł w walce z kanclerzem!... Wszystkie krwawe czyny, wszystkie gwałty, jakie popełnił, co tylko miał sobie do wyrzucenia, stawało przed nim... Jak widma, przychodzili doń Wapowski, Trepka... cały szereg trupów, a za nimi cała ciżba sierot i wdów. Słyszał powtarzające się krzyki dawno zapomniane... ostatni jęk przebitego oszczepem Trepki, płacz Wapowskiej, śpiew zdrajcy Wojtaszka, nawoływanie i świst Borowskiego na sokoły! Nic, nic już powrócić nie miało... Miecz katowski czuł na szyi, zimne dotknięcie jego, a potem?...

Ze starej wiary ojców pozostały w nim ledwie szczątki... do kościoła nie należał... zaciągnął się do nowych szeregów... a teraz nie wiedział ani jak, ani do kogo się modlić? Poza tem życiem, u którego skraju stał, była jakaś prze-

paść ciemna i nic w niej dojrzeć nie mógł. Próżnia, mroki, milczenie, nicość...

Odwracał się od tego obrazu. Wracały ziemskie przypomnienia, troska o los dzieci... a ta biedna Włodkowa, której dom zakrwawiono?

Czasem przychodziła na myśl potęga domów, z któremi Zborowscy byli połączeni. Przecież szlachta i panowie, nawet pod panowaniem „Wilczych zębów" coś znaczyli; przecież Samuel—banita, nie przestał być Zborowskim? Wszystkie ziemie powstać były powinny... cała szlachta upomnieć się o niego, zastawić się, nie dopuścić!

— Nie—myślał czasem — on się nie waży podnieść miecza na mnie; wie, że światby oburzył na siebie. Znają nas na dworze cesarskim... imię nasze głośne, mamy komu przekazać zemstę! Nie, nie ! nie waży się... Puścić musi!

Niekiedy marzyło mu się znowu, iż jego przyjaciele gwałtem go odbić mogli i byli powinni.

Na zamku nie trzymano przecież tak wielkiej załogi, dosyć było gromadki śmiałków, napadu niespodzianego... Miał dawniej przyjaciół tylu, a teraz jego sprawa była razem sprawą całej szlachty? Na króla cała Rzeczpospolita narzekała, Zamojski dokuczył, to mogła być ostatnia kropla puharu przepełnionego.

Trzymali go długo, dzień za dniem uchodził, a mogli go stracić zaraz po ujęciu, więc to znak, iż może sprawę Zborowskich na sejm podać miano. Naówczas był pewien ocalenia!

Tem się pocieszał; a nie jeden on zwłokę za znak wahania się pomyślny dla Samuela być sądził. Tego zdania było wielu innych. Rozumowano, że banita mógł być natychmiast po uchwyceniu karany śmiercią, jeżeli tego nie spełniono, snać łaskawszym chciał być kanclerz, bo się obawiał.

Lecz wszystkie te wnioski były fałszywe. Śmierć została postanowioną, ale Zamojski sam wahał się jeszcze. Radby był przebaczył i folgował... chciał się jeszcze do króla odwołać...

Pisać nie starczyło, jechać nie mógł, bo i sądy i rządy na nim tu spoczywały—cóż uczynić miał?

Najrozumniejszy z jego domowników, sekretarz Heidenstein, wyprawiony został potajemnie; kazano mu co najśpieszniej powracać.

Heidenstein znał myśli kanclerza najlepiej, był doń przywiązany, rozumiał go, a teraz... odczuwał i przeczuwał wszystko, co za sobą sprawa Zborowskich ciągnęła. Wartoż było sobie nią nowe trudności tworzyć na przyszłość, gdy i tak liczba ich przechodziła miarę?

Heidenstein miał w Grodnie lub gdziekolwiekby króla mógł pochwycić, skłonić do łagodności, prosić o powolność, żądać ułaskawienia. Nie wiele się spodziewał po tym kroku Zamojski, ale dla uspokojenia sumienia czuł się obowiązanym uczynić go. Heidenstein dniem i nocą biegł ku Litwie.

W Grodnie na starym zamku, w izbie, którejby lada rada miejska nie chciała na posiedzenia, na ławie ledwie pokrytej, zastał Heidenstein pana z chmurnem czołem, otoczonego psami, wśród licznego swego węgierskiego dworu.

Witał go już tak, że się nic dobrego spodziewać nie było można.

— A co?—spytał król po łacinie—dał głowę?

— Kto?—spytał posłaniec zmieszany.

— Zdrajca, co czyhał na moje życie,—odparł król, —Zborowski!

Zawahał się nieco Heidenstein.

— Najjaśniejszy panie—rzekł po namyśle—właśnie ja przybywam do was w tej sprawie!

— Ale ona jest skończona! Kanclerz wie moją wolę—odparł król—tu już do omówienia nic niema. Ja nie zmienię postanowienia!

— Kanclerz kazał mi jednak przestawić jeszcze ustnie waszej królewskiej mości—rzekł poseł.

— Co? że się obawia Zborowskich? wrzawy? krzyku? pomawiania o okrucieństwo? Wszystko to są marne wymówki: ten człowiek musi głową nałożyć... dowody zdrady są jawne!

Heidenstein skłonił głowę.

— Kanclerz mi polecił—odezwał się spokojnie—

przedstawić waszej królewskiej mości, że tu nie idzie o Samuela Zborowskiego; malkontenci, których partya cesarska płaci, radzi będą skorzystać z wypadku, wyzyskają, —kanclerza i waszą królewską mość uczynią tyranami, podburzą kraj, sejm przyszły uczynią nadzwyczaj niespokojnym, słowem, łaskawość tu byłaby rachubą... kanclerz za nią przemawia.

Batory, który siedział z bardzo pochmurnem obliczem, namarszczył się bardziej jeszcze, warga dolna mu zaczynała drżeć, co było znakiem gniewu i niecierpliwości.

— Zamojski żąda odemnie rzeczy niemożliwych— zawołał.—Com raz powiedział, nie zmieniam. Słowo królewskie powinno być jedno: tak, lub nie! Raz wyrzeczone zostaje jak fatum nieubłaganem. Ten człowiek powinien zginąć! Prawo tego chce. Ja i kanclerz jesteśmy stróżami prawa!

Na chwilę król przestał mówić, umoczył usta w kubku jakiegoś napoju; który stał przed nim.

— Czytałeś ich listy?—począł, zwracając się do Heidensteina. — Znasz ich sprawę? Oni mnie struć, hetmana zabić chcieli, zasadzili się na mnie z Ciołkiem w Krakowie, szukali trucizny! Zobacz, jakiem imieniem mnie zowią. Dla nich ja nawet królem nie jestem!—Nie! nie! To wszystko przebaczyć, byłoby niedarowaną słabością. Niepodobieństwem jest. Nie mogę! nie chcę! Ukarać śmiercią! ukarać! Prawo karze banitę śmiercią, nie my. Ten buntownik jeździł na Niż kozaków przeciwko mnie ściągać, buntować Wołoszę... brat na dworze cesarza. Otaczają mnie szpiegami. Kto wie, czy w tej chwili przekupiony sługa nie gotuje dla mnie trucizny, a ty chcesz, ażebym ja im przebaczył. Nigdy!

Poruszony król, zaczął się przechadzać żywo i słychać było tylko jego oddech ciężki.

Heidenstein stał smutny.

— Wszystko to prawda najjaśniejszy panie—odezwał się—ale każda rzecz ma dwie strony. Kto wie, czy wspaniałomyślne przebaczenie winy, a przynajmniej złagodzenie kary, nie byłoby na dobie. Można go w wieży osadzić do sejmu, a sejm...

— Sejm, jeśli będzie sądził, to Krzysztofa a nie jego — przerwał król.—Ten osądzony jest. Ściąć go, tego zbójcę, nic więcej, inaczej u was w tej Polsce nigdy nie będzie karności, ładu i siły. Imponuje wam imię sławne, ród... ale prawo zna tylko człowieka i winowajcę!

Coraz pośpieszniej król ciągnął dalej:

— Niech mówią, co chcą na mnie,—żem wilk, krwi chciwy i okrutny, żem tyran (ruszył ramionami), że nie mam litości... ale niech się boją i słuchają. Inaczej by mu nie pozostało nic, tylko zrzucić tę koronę precz, a samemu powracać do Siedmiogrodu.

— Lecz, miłościwy królu—rzekł Heidenstein—czyż taka jest waga tego człowieka i wypadku, aby na nim koniecznie przykład dawać? Hetman się wzdryga, szczególniej dlatego, iż musiał go sam pochwycić; wszystko więc spadnie na niego, na osobistą niechęć i zemstę.

— I Zamojski, on, boi się gawiedzi, która będzie nań ciskała kamieniami i błotem? — zawołał król.—On gardzić nią powinien, jak ja!

— Nie, Heidenstein!—dodał Batory, zwracając się bliżej ku niemu—napróżno nie usiłuj mnie przekonać. Wiem, że argumentów znajdziesz siłę za *clementią*, ale to cnota, której ja praktykować nie mogę. Żelaznej ręki potrzeba.

Heidensteinowi trudno się było nawet odezwać. Zaledwie usta otwierał, król mu przerywał:

— Ściąć go, dać go ściąć—powtórzył—a co prędzej, to lepiej. Zamojski niepotrzebnie przeciągnął, niepotrzebnie mnie pytał. Tymczasem umysły się niepokoją, wzmaga się niechęć w kraju; wyobrażają sobie, iż coś uczynić potrafią, to ich uzuchwala... a pofolgujemy ten raz, wszystko przepadło! Nie my tu panami, tylko oni.

Westchnął poseł.

— Nie dosyć na tem,—dodał król—ja podczaszemu Krzysztofowi nie daruję. On stanie przed sądem sejmowym. Mam listy,—jest królobójcą, a jeśli nie spełnił zamiaru, nie zbywało mu na chęci.

I z goryczą, z gniewem powtórzył Batory:

— Ha... *Rex, si hoc nomine dignus!* Byłbym w isto-

cie niegodnym imienia króla, gdybym na krok im ustąpił. Krzysztof da głowę!

— Niema go w kraju, najjaśniejszy panie—odezwał się poseł—jest na Morawie w państwie cesarza i mieni się jego poddanym.

— Ale był moim—przerwał król—i odpowie za to, co tu popełnił. Nie będziemy go mieli, skażemy na banicyę, jak brata, a ukaże się-li w krajach naszych, spotka go los Samuelowy.

— Przeciwko Janowi nie mam nic—dodał—oni jego oszukiwali, on o niczem nie wiedział, ale marszałek należał do trójcy i jeśli ujdzie, niech się ma na baczności. Uchwycę-li go na uczynku, nie daruję, jak tamtym dwom.

— Niestety—odezwał się Zamojskiego posłaniec — wszyscy oni trzej należą do rodziny, połączonej z wielu domami znacznemi w Koronie i na Litwie; zjedna to nam nieprzyjaciół.

— Jawnych!—odparł Batory—tem lepiej! Dotąd byli nimi skrycie. Owszem, niech powstaną, stawię im czoło. Kanclerz, stojąc u mego boku, wiedział, co go czekało i że u mnie przebaczenia niema. Ani tchórzem, ani słabym nie chcę być; tak! wolę być okrutnym... a nawet w tym razie nie mam litości! nie mam... budzilibyście ją napróżno, gniew tylko się wzmoże.

Po krótkiem milczeniu zafrasowany Heidenstein rzekł cicho:

— Wrócę więc z niczem?

— Z rozkazem, aby Zamojski nie zwlekał—odparł Batory.—Kocha on ten swój kraj, niechże się nie waha wypiec zjadliwej rany... inaczej on nigdy zdrowym nie będzie i zginie rozerwany i bezsilny.

To mówiąc, król drżał z gniewu, który go do szpiku kości przejmował.

Chciał Heidensteinowi wskazać, aby przestał nalegań w sprawie Zborowskich i nagle zwrócił rozmowę i pytanie na wojskowe zaciągi. Wspomniał o poselstwie tatarskiem z pogardą, zapytał o nowiny z Rzymu.

Na wszystko to nikt lepiej nie mógł odpowiedzieć nad

Heidensteina, który wszystkie papiery kanclerskie miał w ręku i listy czytał, bo na nie w imieniu Zamojskiego odpowiadał. Czasem tylko dawny uczeń Padewskiej *almae matris* łacinę jego nieznacznie poprawił.

Naostatek król zapytał, czy długo tu zabawić myśli.

— Miłościwy panie, jak najkrócej zostanę a próżnemi rękami, choć lekko mi na pozór powracać będzie, niestety!—nie zaspokoję kanclerza!

— Nie mogę uledz!—odparł Batory.—Ci ludzie nie warci są litości. Sam kanclerz pisał wczora, że Samuel do niezmiernej liczby zabójstw i zbrodni się przyznaje. Zasłużył na śmierć.... niema dla niego litości.

— Kanclerz się jej domaga dla siebie—rzekł Heidenstein.

— Żal mi, że nie upadlając się, nie mogę go zaspokoić —przerwał Batory, suknię na sobie targając niecierpliwie. Jestem królem, jestem sędzią, wyobrażam sprawiedliwość na ziemi, a nie miłosierdzie. Powiedz mu, niech go da ściąć, nie chce-li mnie obrazić i rozgniewać. Jest tego potrzeba, konieczność. Niech zginie! Mówiłem i powtarzam to, tylko zdechły pies nie kąsa! Niech zdycha!

Słuchał już Heidenstein, niemal przerażony tym gwałtownym wybuchem, nie śmiał się odezwać, widział, że usiłowania jego zamiast ułagodzić, rozjątrzyły tylko króla. Spodziewać się w nim zmiany usposobienia, było to nie znać go; rachował na czyjkolwiek wpływ,—złudzeniemby było. Nie widział zresztą nikogo, oprócz kilku duchownych, którymby mógł się zwierzyć, a tych król zażywał do swych celów i spraw politycznych,—ale się przez nich kierować nie dawał.

Jezuici, o których wpływie mówiono naówczas wiele, byli też w tej silnej dłoni tylko narzędziem. Używał ich w sprawie z Moskwą, osadzał ich kolegia, dał przywilej na akademię, ale nie widział w tem nic więcej, nad pomnożenie oświaty, której potrzebę widział wielką; oni mu ją przynosili,—nie pytał więcej! Sprawy wiary zostawiał sumieniu pojedyńczych ludzi i kierunkowi Kościoła.

Obejrzawszy się po dworze króla i urzędnikach, jacy przy nim byli, Heidenstein zwątpił, aby co więcej

mógł przedsięwziąć jeszcze. Chciał jednak, żegnając Batorego, uczynić jeszcze próbę i do niej się przygotował.

Król naznaczył mu dla odebrania listów do kanclerza poobiednią godzinę. Gdy przybył znalazł już listy gotowe, a Batorego uspokojonego znacznie. Wręczył mu je król i kazał pozdrowić Zamojskiego.

— Powiedz mu — odezwał się, że ja się tu najlepiej zabawiam na Litwie. Zwierza jest poddostatkiem, psiarnię moją książę Lignicki zasilił nowemi ogarami, ptaki mi przysłano z Moskwy, — myśliwstwo, dzięki moim ludziom doskonałe... mogę tu na chwilę o tych troskach zapomnieć, które mnie w Krakowie jedzą!

— Miłościwy panie, dzięki za to Bogu—rzekł Heidenstein.—Hetman cieszyć się będzie, ale uczyńcie też cokolwiek dla niego. On dźwiga wszystkie brzemię na ramionach, a sprawa ta nieszczęsna przymnoży mu trosk i nieprzyjaciół.

— Wiem o tem—odparł Batory, — ale ich i mnie przyczyni. Nie mogę nic... nie przebaczę! Zuchwalstwo psów tych, co na mnie szczekały lat tyle raz trzeba ukrócić. Powiedz hetmanowi,—przebaczenia dla nich niema i nie będzie!

Z takiem poselstwem i podobnie brzmiącymi listy wrócił Heidenstein, gdy tymczasem w Krakowie, z dnia na dzień, badano powoli Samuela i ściągano wykonanie dekretu, do którego był już przygotowanym.

Mroczek, Serny i Urowiecki, nieustannie mu to przypominali, że zginąć musi i zginie.

Zamojski z wielkim niepokojem oczekiwał odpowiedzi króla. Przybył w końcu, z niezmiernym pośpiechem podróż odbywszy, Heidenstein, a wnijście jego i milczące oddawanie listów mówiło już, co przywoził, pytać nawet nie potrzebował hetman.

— Król więc—zapytał, nie łamiąc pieczęci,—król więc się ubłagać nie dał? Widzę to po was.

Zmilczał Heidenstein.

— Małom się spodziewał—rzekł.—Tak kielich potrzeba dopić do dna. Jest moim dobroczyńcą, słuszna więc, abym za niego dziś i w przyszłości cierpiał. Obwinią o to

okrucieństwo nie króla, ale mnie, to pewna. Jabym był postąpił może inaczej. Batory ma słuszność z pewnych względów, iż się ubłagać nie daje, lecz przymnaża sobie nienawiści i walkę zajątrza! Wola Boża. Tak więc Samuel z mojej ręki zginąć musi!

Westchnął i wziął się czytać listy.

Zwlekać teraz i przeciągać było napróżno męczarnię skazanego i własną przedłużać, ale Samuela usposobienie zmieniło się było w ostatnich dniach. Stracił nadzieję, upadł na duchu; przychodziły godziny cynicznych, dziwnych zeznań, w których się przed tymi, których za siepaczy uważał, zwierzał ze swej przeszłości, opowiadał o szaleństwach. Wiele z tych powieści rzucało światło na wypadki, dawało poznać braci i ich usposobienia; nie można więc było przyśpieszyć spełnienia kary, bo Mroczek wielu się jeszcze rzeczy dowiedzieć obiecywał.

Wyciągano go na słowo różnemi sposoby, czasami niedowierzaniem, niekiedy szyderstwem, to znowu łagodnością.

Samuel, jak gdyby już nic do stracenia nie miał, nie tail się z niczem. Dziwna obojętność owładała nim czasami, drętwiał godzinami i zdawał się na wszystko nieczułym.

W mieście tymczasem, nie mówiąc już o tem, co się po kraju działo, panował niepokój i zdania były podzielone. Utrzymywali jedni, że nie mogą Zborowskiego ściąć i muszą mu folgować; drudzy co godzina oczekiwali wiadomości, iż wyrok został spełniony.

W domu na Franciszkańskiej ulicy, tak w pierwszych dniach spokojnym, teraz pełno było i tłumnie. Nie wahał się przybyć marszałek, który na sobie nie czuł żadnej jawnej winy, za którąby go pociągnąć było można. Sie działa Anna ze swą ochmistrzynią, przyjeżdżała Włodkowa, gromadziły się tłumy szlachty i dawnych sług domu Zborowskich, którym się zdało, że przytomnością swą na coś się przydać mogli.

Wprawdzie ruch ten i zajęcie zwracały uwagę na zamku, lecz obawiać się nie miano powodu. Kanclerz miał przemagającą siłę zbrojną i czuwał, a Zborowscy

mimo wszelkich usiłowań i całej swej zręczności nawet o tem, co się w izbie Samuela działo, mało co wiedzieć mogli.

Marszałkowi donoszono, co po części prawdą było, iż na duchu upadł bardzo. Anusia czasem całemi dniami u wrót zamkowych czatowała, udawało się jej nawet za kobietami dworu królowej wcisnąć czasem na zamek i błądzić po podwórkach, ale tu ani przemówić, ani się dowiedzieć niczego nie mogła, a u drzwi burgrabstwa stali żołnierze z halabardami, którzy nikomu nawet bliżej przystąpić nie dawali. Okna tych izb, w których Samuel siadywał, wychodziły ku wałom, były umieszczone wysoko, a jemu się zbliżyć do nich czuwający stróże nie dawali.

Jeżeli więc Anusia, rzuciwszy kilka pytań, czasem popartych datkiem, czego się dowiedziała, było to tak nieznaczącem, iż wnosić nic nie dozwalało. Wiedziała tylko napewno, że żył jeszcze.

Obok tej troskliwości o ojca, dziewczę miało drugą dojmującą troskę. Poprzysięgło zemstę Wojtaszkowi dojść, gdzie się on znajdował, obmyśleć środki pomszczenia się, było dla niej obowiązkiem.

— Ojciec zginie przez niego—mówiła rozogniona—lecz ten zdrajca podły musi życiem przypłacić!

Nie zwierzała się z tem nikomu, ale stara ochmistrzyni, strzegąca tylko bezpieczeństwa jej, widziała, jak uparcie szła ciągle do celu.

Rozpatrywania się jej szły na karb sprawy ojca, chociaż badała dworaków o Wojtaszka... i pytania jej natrętne nie pozostały bez skutku. Wiedziała już, iż Wojtaszek był przy muzyce zawsze i nigdy się prawie z zamku nie oddalał, że mieszkał też i noc spędzał na zamku z innymi, a na lutni mało kiedy się popisywał, bo nie było go tu słuchać komu.[1]

Parę razy niepoznana, widziała go przemykającego się przez podwórza. Jeden ze sług, przed którym bardzo śpiew Wojtaszkowy chwaliła, powiedział jej, że onby mógł z nim chodzić na miasto, ale od czasu, jak go raz słudzy pana Stadnickiego pochwycili, obawiał się wyjść za bramę.

— Teraz się już przecie niema czego obawiać — odpowiedziała słudze—nauczcie go, aby korzystał z tego,

a gdy go zażądają na miasto, nie wahał się iść. Kto dziś będzie myślał o nim.

Słowa te nie zostały stracone. Wojtaszek też sam miarkował, że był bezpieczniejszym. Lepsze czasy dla niego nastać miały, bo, byle się dał słyszeć i poznać, mieszczanie i goszcząca w mieście szlachta chętnieby go sobie sprowadzała.

Wzięcie Samuela i gotujące się stracenie jego na Wojtaszku nie czyniło wrażenia innego, oprócz dawno upragnionej, a nareszcie doczekanej zemsty.

— Przyszła na niego zła godzina!—mówił.—Teraz ja wolniej odetchnę!

Czekał też lutnista wiadomości, że już się wszystko skończyło z niecierpliwością złośliwą.

Wielka boleść nie przeszkadzała Anusi gotować tej zemsty, która na chwilę jej z myśli nie schodziła. Zwierzała się z tego Włodkowej. Z suchemi oczyma szeptała jej niemal za każdym widzeniem się:

— Ojca ja nie ocalę, nie! Ludzie są podli, opuścili go wszyscy! Stryjowie też krzyczą, ale nic nie robią i o sobie myślą. Marszałek powiada:—Samuela już niema na świecie, trzeba myśleć o Zborowskich! Tak, ja też biedna z Olesiem nie zdołam nic. Słudzy jego płaczą, jak ja... Kanclerz ma kilkuset ludzi z półhakami na straży. Ojca ja nie ocalę, ale pomszczę... o, pomszczę!

— Ty? na kim?—pytała przestraszona Włodkowa.

— Na zdrajcy, na tym psie Wojtaszku, na tym Judaszu, który nas sprzedał kanclerzowi—mówiła Anusia..—Posprzedawałam moje kanaki, pierścionki, spinki, oddam wszystko do ostatniej koszuli, ale krew za krew!

Włodkowa patrzyła na nią naprzemiany to ze strachem, to z politowaniem, to z niewiarą.

— Co ty pleciesz Anusiu!

— Nie plotę, wiem co mówię—przerywało dziewczę.—On zginąć musi!

Siostra nie brała tego za prawdę, ściskała ją i uspokoić się starała, ale Anusi od myśli tej nic odwieść nie mogło, a była rodzoną córką swego ojca!

Gdy wzięła co do serca, upajała się tem do żalu. Mi-

łość ku ojcu utrzymywała ją ciągle i stale w tej myśli. Cały plan swój miała osnuty. Starzy słudzy w domu na Franciszkańskiej ulicy, opłacani przez nią, ofiarowali się z pomocą chętną. Wszyscy oni nienawidzili zdawna pochlebcy i faworyta Wojtaszka.

Ściągnąć go tylko było potrzeba na miasto do jakiegoś ustronnego domu, a starczyło kilku pachołków, aby go zamordować.

Anusia mówiła o tem tak zimno, tak spokojnie, jakby szło o dopełnienie najprostszej w świecie rzeczy; dla niej bo zemsta za krew ojca taką się wydawała.

Oprócz Włodkowej, nie zwierzała się z tego nikomu, a sługi obsypywała pieniędzmi i rozogniała słowami i łzami. Wszyscy oni poprzysięgali, że lutnista im nie ujdzie.

Marszałek, chociaż żadnej nie miał nadziei, aby brata mógł uratować, nie przestawał jawnie starać się, chodzić, pisać i prosić o pomoc kogo tylko mógł pochwycić z bliższych rodzinie. Z jego naprawy jeździli do kanclerza z wymówkami i błaganiem kasztelanowa Jordanowa z mnogim dworem swych przyjaciół, Piotr Zborowski, Zbigniew Ossoliński i kilku z tej rodziny Stadnickich, ilu ich było, z wyjątkiem Stanisława wojewoda wileński, domagając się, aby sprawa na sejm była wniesioną, a nie z dekretu banicyi rozstrzygniętą.

Kanclerz wszystkich przyjmował jednakowo, mówiąc, że nie może nic, bo to prawo samo rozkazuje, a on tylko spełnienia jego pilnować ma obowiązek. Ks. biskupowi krakowskiemu otwarcie wyznał, że królewską też wolą było, aby winowacja zuchwały, który się i na jego życie odgrażał, dla przykładu drugim został ukarany.

Łamał ręce biskup, przewidując, że król z tej surowości pożytku mieć nie będzie, lecz Zamojski więcej już nic uczynić nie mógł.

Takie było wogóle usposobienie niemal całego narodu, iż Samuela, którego większość potępiała niedawno, raczej ocalonym, niż ukaranym widzieć chciano.

Surowość króla przestraszała.

Może, gdyby przebaczył, wołanoby przeciwko niemu

za bezkarność, naganianoby powolność, ale teraz ganiono bezlitośną surowość.

Przyczyniało się do tego przewidywanie burzy i rozdwojenia w narodzie.

Nieprzyjaciele Samuela nawet widzieli w nim szlachcica, męża imienia znacznego, który miał ginąć, jak prosty złoczyńca, co całemu stanowi szlacheckiemu czyniło zakałę. Nie godziłoż się dla potomka takiego rodu osobnego zwołać sądu i dowieść mu winy? Banicya była tylko w oczach większości pozorem, gdyż przez długie lata wcale z niej nie korzystano.

Wszędzie od dworów szlachty do browarów miejskich, w których nad kuflami piwa siedziało mieszczaństwo i rzemieślnicy, rozprawiano o Samuelu, opowiadano jego bohaterstwa na Niżu i gwałty, popełniane w domu. Kraków sam widział ich niemało.

Gawiedź jednak znajdowała, że król był sprawiedliwym i nie powinien przebaczać, druga się w nim obawiała tyrana.

— A co będzie z nami, gdy mu który choć palca zakrzywi, kiedy on takiej szlachcie nie folguje?

A z kazalnicy u Dominikanów, ojciec Czesław grzmiał i piorunował przeciwko zepsuciu obyczajów i rozpuście, ukazując, że prędzej czy później na najdumniejsze głowy spadają pioruny i najwznioślejsze dęby gruchoczą! Malował on występnego łotra tak żywemi barwami, że każdy ze słuchaczów poznawał w nim z łatwością tego więźnia, który na zamku czekał wybicia ostatniej godziny.

V.

Wlokły się te dni męczeńskie, stając się Samuelowi wiekami. Nie pewien jutra, trwożył się, szukając oznajmienia jego na twarzach oprawców. Ale obejście się z nim Mroczka, Sernego, Urowieckiego było tak niezmiennie je-

dne, że z niego się nic domyślać nie mógł, oprócz, że żadnej a żadnej nie było dla niego nadziei.

Z brutalnością żołnierza mówili mu szydersko:

— Nie durz się Samusiu, nadaremnie. Głowa twoja musi spaść...

Zborowski przyjmował to milczeniem obojętnem napozór, ale kilkanaście dni takiego dusznego nękania, nawet silnego jak on, złamać w końcu musiało. Każdy ruch żywszy na burgrabstwie, hałas, brzęk kluczów, głośna rozmowa Urowieckiego ze stróżami poruszały go i zdawały się coś zwiastować.

Po takim strachu gwałtownym który w sobie taić usiłował, popadał w apatyę i nieczułość, wracał do swych dumań o przeszłości. Oswajał się z tą myślą o śmierci, a chciał tylko ponieść ją rycersko, nie drgnąwszy.

Zawszasu przychodziły mu myśli dzikie. Ozwał się raz do Mroczka, pokazując mu szytą chustę jedwabną bardzo piękną, którą miał w podarunku od chana tatarskiego.

— Mroczku mój, zrób ty mi jedną łaskę, choć jej u waszeci nie mam. Widzisz oto tu szytą chustę? Proszę ja ciebie i zaklinam, jakoś szlachcic polski: gdy mi kat głowę utnie, umocz ją we krwi mojej i oddaj synowi Aleksandrowi, niechaj ją nosi i pamięta, aby pomścił pamięć ojcowską.

Mroczek zmilczał i głową tylko poruszył.

— Słowo mi daj!

Przyciśnięty rotmistrz wyjąknął półgębkiem przyrzeczenie.

Serny, on i Samuel, nieraz gdy siedzieli w komorze długo milczący, ziewali z nudów... więc straż pierwsza rozpoczynała rozmowę, która innego czasu tonem i formą byłaby Zborowskiego oburzała, ale teraz skazany musiał się widzieć niemal równym siepaczom. Oni z nim obchodzili się bez najmniejszego na przeszłość względu.

Mroczek sobie szczególniej pozwalał.

— Co ty, Samusiu skarżyć się jeszcze będziesz albo co, że ci łeb zetną? A mało tyś ich porąbał i w śmierć posiekał? hę? policzno się?

Zborowski nie burząc się wcale, powolnie liczył na palcach. Mruczenia jego dosłyszeć nie było można, ale jakby sam dla siebie wyliczał z kolei, obojętnie nazwiska jedne po drugich. Mroczek i Serny nachylali się, aby posłyszeć... nie zważał na nich.

Ponieważ wiele z tych historyi Samuelowych z rozgłosu znanych było, pytali go czasem o jedno z nich.

O Włochu, którego miodem posmarowawszy, dał niedźwiedziowi na pastwę, rozpowiadał im tak spokojnie, jakby za stołem z nim siedzieli w Białym Kamieniu.

— Dał szlachcicowi w ucho! —mówił.—A kto go wie, czy on sam szlachcic; więc to policzek, za który śmiercią karać trzeba, a ja mu się dałem rozprawić z niedźwiedziem, no i Włoch mojego starego tylko że nie udusił. Niedźwiedź go podrapał, a ten za gardło ścisnąwszy, tylko że nie zadławił...

Z tąż samą obojętnością rozpowiadał o przygodzie swej z Dominikanami.

— Jeden z nich prawda, że niewinny był—dodawał—ale łajał mnie szpetnie, a ja tego nie znoszę.

Gdy któryś z nich napomknął Trepkę, zabitego na łowach, o którego morderstwo obwiniano Samuela, nie podniósł głowy, nie przyznał się, nie odpowiedział nic. Czoło mu się pofałdowało i łzy pobiegły z oczów. Trepka przypominał mu żonę, a względem niej uznawał się winnym. Słowa już z niego dobyć nie było można.

Innych dni leżał na łóżku, odwrócony do ściany i ani jeść, ani mówić nie chciał; czasem gdy sam na sam siedział z Mroczkiem, starał się coś dobyć z niego, dowiedzieć o rodzinie, o staraniach, bo nie wątpił, że czyniono je dla ocalenia mu życia, ale rotmistrz składał się nieświadomością zupełną.

— Ja stąd krokiem się nie ruszam, noc i dzień, jak widzicie—dodał Mroczek—nic nie wiem... nie słyszę nic...

— Przez litośćby też choć dzieci do mnie puścić powinni—mruczał—żebym ja jeszcze Olesia mógł uścisnąć i tę biedną Anusię pocałować. Ona się w śmierć zapłacze biedna....

— A co się tam dziać musi z Włodkową—myślał dalej i myśląc pocieszał się tem, że ona prędzej o nim zapomni.

Po tych wszystkich ulubionych istotach, w których rzędzie stali naostatku panowie bracia... przychodził Borosio, a po nim sokoły i psy, o których los się troszczył.

— Żeby przynajmniej na dobre ręce poszły—mówił—a to zmarnieje... Moje ptaki króla warte, ale nie takiego jak nasz; ale to. Olesiowi się teraz nie zdało, zabierze pan Andrzej i pożytku z tego mieć nie będzie.

Z dumania w dumanie, jak po zarosłych ścieżkach starego ogrodu, kroczył po wspomnieniach swoich, uśmiechał się i płakał. Jeszcze niekiedy krwi a zemsty mu się zachciewało, osobliwie, gdy Wojtaszka przypomniał; ale po cóż się teraz było marnie jeść pragnieniem, które ziścić się nie mogło?

— I przez niego mi ginąć przyszło!!—mruczał.

Gdy dnia jednego przyszedł od kanclerza pisarz badać go o listy, znalezione w szkatułce, którą ludzie ze Stogniewic wydali, Samuel powziął jakąś nadzieję nowego obrotu rzeczy i zapierać się zaczął.

— Ja o niczem nie wiem! Do żadnych spisków nie należałem!—wołał.—Czyż to moją winą, że podczaszy pisał: *Rex, si hoc nomine dignus*. On jest sługą cesarskim, a nie poddanym Batorego... Mógł sobie pisać, co chciał i myśleć, co mu się żywnie podobało! Winy na mnie za to kłaść się nie godzi; nie jam pisał... na mnie dowodu żadnego niema!

Kanclerza bezprzestannie oblegano; rodzina, przyjaciele domownicy, tak, że się pokazać nie mógł i w końcu zniecierpliwiony, nikogo nie dopuszczał do siebie.

Natenczas pismami go zarzucać zaczęto gwałtownemi i pokoju mu nie dawano, przez najobojętniejszych ludzi starając się mu doręczyć je.

W pismach tych dowodzono, nie bez pewnej podstawy, że uwięzienie banity starczyło i że na gardle go karząc, szedłby kanclerz dalej, niż prawo chciało, bo Zborowski nie był ani *infamis*, ani *in recenti crimine captus* (na gorącym uczynku). Sejm więc powinien był o dalszem jego rozstrzygać losie.

„A nie dufasz-li—mówiono—zamkowi krakowskiemu, my tobie dla pewności i bezpieczeństwa zapiszemy się i zaręczymy, jako chcesz. A nie może-li to wszystko być, prosimy, abyś tylko zaczekał i tyle nam tylko czasu dał, abyśmy do króla jegomości jechali, a od samego króla jegomości wyrok słyszeli.

Wiedział bardzo dobrze Zamojski, jakiego król usposobienia był i że to wszystko już nic pomódz nie mogło, nie przypuszczał więc nikogo do posłuchania. Na mieście powtarzano, iż wyrazić się miał z powodu tego niepokoju i poruszenia umysłów.

— Fraszki to są, a ja się na fraszki nie oglądam, bo Polacy są piwem, które kisa (burzy się) z początku, a potem za wodę stoi; ja zaś, mając władzę i urząd, na nie tylko oglądać się muszę.

Mówiono, że się na jednych Zamojski odgrażał, drugim starostwa obiecywał, aby milczeli, a krewnych namawiał, aby się daremnie za Samuelem nie ujmowali. Ponieważ słudzy, jak Borowski, Luzicki i inni gwałtem się na burgrabstwo parli, wciskali, przekradali ich kazano łapać i ścigać; stąd nowe na kanclerza krzyki i potwarze iż na gardle chciał niewinnych karać.

Ile naówczas ucierpiał Zamojski wyrazić trudno, a nie dziw też, że wiedząc o woli króla nieprzełamanej, rad był co najprędzej wyrok spełnić i koniec temu położyć.

Księdza biskupa krakowskiego, który z obowiązku chrześcijańskiego nie mógł interwencyi swojej odmówić, musiał raz jeszcze przyjąć Zamojski i wysłuchać próśb i zaklęć daremnych.

— Ojcze mój—odparł wzruszony razem i zniecierpliwiony, całując ręce pasterza—nie moja w tem wola. Ja stoję pod rozkazami króla i prawa, a oboje mnie zmuszają nie folgować winowajcy. Nie przypisujcie tego mnie, co mi tak twardem jest do spełnienia, jak Zborowskiemu będzie do poddania się.

— Ale król? król?—zapytał biskup—Byćże to może, aby się chciał okazać tak okrutnym?

— Okrutnym nie jest—rzekł Zamojski,—ale mu krwi napsuto wiele, bluzgając w oczy wyrzutami niesprawiedliwemi, a ma to przekonanie, iż dla dobra Rzeczypospolitej zuchwalstwo i warcholstwo wszelkie ukrócić potrzeba. Na Zborowskich zaś ciężą tak jawne winy, iż na życie króla godzili, że przeciwko niemu nieustając spiskowali.

Biskup, ręce załamawszy, płakał cichemi łzami.

— Wiem iż wy nie jesteście sprawcą—odezwał się—wiem, że gdybyście mogli, zażylibyście powolności, bo umysły są srodze zażarte, burza powstanie... żal mi więc was, bo nie kogo, jak Zamojskiego, o tę głowę obwinią.

Kanclerz nic nie odpowiedział; był od początku na to przygotowanym.

Tymczasem wnet po biskupie, pani Spytkowa, prosząc i wołając, znaczną liczbę rycerstwa zgromadziła, która koło uczyniwszy z rozgłosem wielkim iść chciała gromadnie do hetmana. Zapowiedziano im, że nawet do zamku przypuszczeni nie będą. Spisali więc zaraz notę... i oddali ją Piotrowi Zborowskiemu, który u hetmana wielkie zachowanie miał, ale z innymi Zborowskimi nie trzymał.

Nim się rycerstwo znowu rozjeżdżać zaczęło, podniosło przeciwko hetmanowi krzyk wielki, gdyż u bram zamkowych ktoś im powiadał, że tłumne najście na Wawel hetman trzymał jako tumult i rebelię i gotów był kazać łapać i więzić, gdyby się zuchwale stawili.

Z obu stron rozdrażnienie dochodziło do najwyższego stopnia, a dłużej w tym ogniu i ukropie wytrwać było trudno i przeciąganie na nic się już nie przydało.

We czwartek przed św. Trójcą, dwudziestego czwartego maja wieczorem, Zamojski już ze znużenia i niepokoju upadając niemal, postanowił dekret kazać spełnić. Im się dłużej ciągnęło, tem rosły gniewy i niechęci, a można się było spodziewać, że zapaleńsze głowy rzucą się na jaki nierozważny gwałt, który może się stać przyczyną daremnego krwi rozlewu.

Samuel się tego spodziewał i choć momentami nadzieję miewał, prędko go ona opuszczała. W początkach

też widząc, że tu Urowiecki wszystkiem kieruje i nad Mroczkiem i Sernym zwierzchnictwo ma, a najprędzej wiedzieć będzie, gdy co postanowionem zostanie, prosił go, ponawiając często żądanie.

— Urowiecki, jakeś poczciw, będziesz-li wiedział, co i kiedy mi przeznaczone, nie omieszkaj na kilka dni wprzódy dać mi znać! W podróż tę przygotować się jušci muszę bo na duszy nie mało mam... Nie dajże mi nieprzygotowanemu stawać na sąd Boży!

Urowiecki mruknął, przyrzekając, ale naprawdę niewiele mógł obiecywać, bo hetman się przed nim z myślą żadną nie wywnętrzał zawczasu, tak jak i przed innymi. Zawsze w sobie zamkniętym był.

Dopiero w ten czwartek wieczorem, kazawszy do siebie przywołać Urowieckiego, rzekł mu:

— Skończyć trzeba ze Zborowskim... w piątek, albo-li w sobotę...

Zadumał się nieco.

— Powiem ci jutro...

Tu westchnąwszy, hetman dodał:

— Jak mi ciężko to ostatnie słowo rzec, Bóg świadek, ale szlachta się burzy i oblega mnie, nie dając pokoju, a każdy posłaniec od króla przynosi zapytanie, czy już głowę dał. Nie sposób go ocalić...

Urowiecki spytał ostrożnie:

— Mogę mu to oznajmić?

— Gdyby to dla duszy jego potrzebnem było — rzekł hetman — należałoby, ale nowinek chwycił, dyssydentem się głosi, księdza nie weźmie, a ma-li się darmo myślami nękać, — poczekaj... Już i duszę jego uratować będzie trudno...

Na tem stanęło.

Urowiecki milczał, ale na burgrabstwo do Przy-'ęckiego chodząc, nosił z sobą wyrok na twarzy i mimowolnie się zdradzał, tak, że Zborowski, choć nie mówił nic, miał już przeczucie zbliżającego się terminu.

Dopiero w piątek, gdy godzina była na noc, wszedł o porze, w której nie zwykł był do Samuela przychodzić Urowiecki, a skoro w progu stanął, zerwał się, w komorze

go czując Zborowski... Szedł ku niemu ze spuszczoną głową Urowiecki, milczeniem mówiąc więcej, niżby mógł usty. Stanął z jakąś uroczystością przed więźniem.

— Samuelu Zborowski — rzekł poważnie — wiedzieć masz o tem, że gardło dasz... Wola jest króla jegomości i naszego miłościwego jegomości pana kanclerza, jutro conajraniej...

Opodal stali Mroczek i Serny, którzy do tej godziny, choć się może domyślali czego, nie wiedzieli nic napewno.

Zborowski się poruszył gwałtownie i niespokojnie bardzo, nie mogąc utrzymać przy tej obojętności, jaką dotąd okazywać się starał. Stał się bladym bardzo, głos mu drżał.

— Urowiecki nieboże — zawołał z wyrzutem gorzkim — miałeś mi to na kilka dni przed terminem oznajmić i przyrzekłeś, a słowa nie dotrzymałeś. O sumienie mi moje szło, o duszę, bom nie gotów, aby przed majestatem Bożym stanąć, a chciałem w siebie wnijść i przejednać gniew Pański.

Urowiecki mało co odpowiedział na uniewinnienie.

— Sługą jestem pana kanclerza — rzekł — ten mi teraz dopiero oznajmił i odnieść wam kazał...! Nie mogłem inaczej...

Zborowski, który z łóżka się był podniósł, opadł na nie i twarz zakrył dłońmi, a pozostał tak chwilę niemałą.

Za bujnego żywota mało o Bogu pamiętał, a ówczesne dyssydentów i reformatorów naśmiewania się ze wszelkich katolickich obrzędów, zwyczajów i prawideł życia, wciągnęły go też na tę drogę, iż kościoła nie znał, a modlić się zapomniał. Ale z dzieciństwa mu coś pozostało na dnie duszy, co się teraz odezwało żywo.

Uczuł się jakby z domu rodzicielskiego wygnanym sierotą, która nie wie, gdzie się schronić ma. Katolicki kościół nie mógł go już przyjąć, a od nowych przyjaciół i predykantów nie wiele się mógł spodziewać pociechy.

Straszliwa trwoga jakaś go ogarnęła nie ziemskiego niebezpieczeństwa, ale zagrobowego losu, jaki go miał spotkać.

Wszystkie owe szyderstwa i lekceważenia dawniejsze

wydawały mu się występnemi, a wiara pierwsza jasno świeciła... ale między nią a nim była przepaść, którą wykopało życie. Spojrzał w nią i strwożył się mocno.

Wszyscy przytomni milczeli, bo nikt go nie śmiał pocieszać, aniby wiedział jak. Zborowski zwrócił się żebrzącym niemal głosem do Mroczka.

— A! mój miły Mroczku... prze-Bóg, proszę cię, dla miłości Jego, nie opuszczaj ty mnie, nie odchodź ode mnie, nie śpij tę noc... Mam na sumieniu grzechów tyle, że je rozpamiętywać muszę, a sam będąc... nie potrafię...

I dodał tęskno.

— Pewna to rzecz, żem na potępienie zasłużył, jeśli miłosierdzie Pańskie w pomoc nie przyjdzie,—a znajdę-li je u niego?

Mroczek, litością zdjęty, odparł:

— Panie Samuelu, a toć wiecie, że o miłosierdziu Bożem nigdy rozpaczać nie należy. Za to jedno Bóg karać może i potępić, gdy się o Jego łasce powątpiewa.

Potem nic słychać nie było, tylko ciężki oddech Zborowskiego, który nie wiedząc o tem sam, pot z czoła spływający ocierał. Nie patrzał już ani na Urowieckiego, ani na Mroczka, oczy mając wlepione gdzieś, a nie widząc nic.

— Bóg mnie od rozpaczy uchowa, a ulituje się — począł cicho. — Jednak miano ze mną tak postąpić, należało chrześcijański obyczaj zachować, a dać mi czas do skruchy. Śmierci się ja nie boję, bo wiem, że to dług przyrodzony jest, ale o duszę troskać się muszę.

Znowu nastało milczenie.

W izbie tej, w której Zborowski siedział wówczas, zwłaszcza, że to było pod noc, sprzęt wszelki stał jako pozostał po dniu, bez ładu i porządku. Na stołach leżały odzieże i pozapominane miski, na stole napoje porozlewane kubki powywracane, chleba szczątki, papierów kawałki. Obejrzał się dokoła Urowiecki i rzekł do Mroczka:

— Proszę cię, niechaj tu będzie porządniej, bo pan nasz przyjdzie.

Samuelowi twarz pobladła.

Mroczek zaś, powstawszy, zaczął zaraz zmiatać,

sprzątać, układać, co mu się nie zdało, w kąt rzucać, stołki ustawiać, a jedno siedzenie naprzeciwko łoża pana Samuela przygotował, można się było domyśleć dla kogo.

Milcząco na te przygotowania patrzał Zborowski, ale oczy jego każdy ruch Mroczka śledziły, a usta mu się ściągały i twarz, która przed chwilą chrześcijańską pokorę wyrażała, ziemskie uczucie niechęci i gniewu coraz dobitniej zaczęła zdradzać... Odezwała się duma i żal, i niepokój...

Przychodziło mu więc oko w oko się rozprawić z tym nieprzyjacielem, który tak długo niewidomy go ścigał,— teraz zwycięzcą, mogącym się naigrawać i tryumfować...

Było to nowe męczeństwo, którego się nie spodziewał. Tchnął ciężko, a nie strzymał ust. Obrócił się do Mroczka.

— Widzę, że wszystkiego mu mało; chce mnie smażyć jeszcze, niżeli umorzy. Ale na to ratunku innego niema, jak się poddać woli Bożej, która mnie w moc jego dała. Nie mam co innego do czynienia, tylko cierpieć, a Pana Boga o cierpliwość prosić, bom jej nigdy nie miał.

Widocznem było, że się straszliwie męczył; z czoła lał mu się pot, który gwałtownie ocierał, a wnet znowu występował; na miejscu siedzieć nie mocąc, poruszał się niespokojnie, wzdychał, ale już trwoga o Zamojskiego ustąpiła, a dawna o duszę wracała.

Z ust mu się wyrywało wzywanie Boga o pomoc. Mroczek milcząc, ukończywszy uprzątanie, siadł opodal trochę, ale go z oka nie spuszczał, bo litość nad nim miał. Najtwardsze serceby się było poruszyło, bo naprzód jęczeć zaczął, stękać, a w końcu ryknął płaczem wielkim.

Trwało to dobrze długo, nim znowu oczy jego padły na to stojące naprzeciw łoża krzesło, dla kanclerza przeznaczone i myśl się zwróciła ku niemu.

Odezwał się do Mroczka:

— Mroczku mój! powiedz mi, ja głowę tracę zaprawdę. Kanclerz ma tu przyjść, w jego ręku jestem... Jak ja z nim być mam, co czynić? jak mi radzisz?

—Nie potrafię radzić—odparł rotmistrz.—Bóg widzi!

— Zlituj się, wy go wszyscy lepiej znacie — rzekł Samuel — ani wiem, ani rozumiem, co pocznę. Nuż go obrażę! Nie chciałbym — a upokorzyć się i spodlić nie mogę... Co tu czynić?

Mroczek milczał; tedy gwałtownie znowu spytał:

— Mroczku mój, odezwij się choć słowo, jak ci się zda?...

— Nie wiem — zamruczał rotmistrz.

Choć go tak odprawił, Zborowski nalegał.

— Mroczku, co ja z nim mówić mam?

I powtórzył to razy kilka, aż Mroczek odsuwając się nieco na stronę, rzekł:

— Już rady wszelkie się skończyły; nic nie wiem, zaprawdę, nie wiem nic.

Wtem u drzwi dało się słyszeć stąpanie; Zborowski trwożnie się poruszywszy, podniósł głowę, snać już kanclerza się spodziewał, ale otworzyły się one i wszedł Myśliborski, pół-hak trzymając w ręku.

— Panie Zborowski — rzekł — gotujcie się. Jegomość pan nasz miłościwy idzie.

— A cóż ja mam czynić? — zapytał Zborowski.

Myśliborski, pokorny sługa, nie znał nic innego, tylko:

— Co? Do nóg mu upaść się godzi...

Za drzwiami już dały się słyszeć gwałtowne stąpania, szepty i szczęk żelastwa; otworzono drzwi naoścież i w nich ukazał się Zamojski, odziany jak był dnia powszedniego, z kołpaczkiem na głowie z czaplem piórkiem, które wówczas za królem idąc, noszono. Szablę miał u boku.

Twarz hetmana wyrażała spokój, a majestatem sędziowskim się przyoblekła, ale uczucie ludzkie przecie, choć mało dostrzeżone, w niej drgało.

Tuż za kanclerzem, więcej dla oznaki dostojeństwa niż z potrzeby, cisnęło się siła ludzi, wszyscy z pół-hakami, jakby na nieprzyjaciela. Izba ich prawie stała się pełną.

Samuel wstał z łoża i parę kroków uczynił ku hetmanowi, tak, że tuż naprzeciw niego stanął.

— Proszę miłości waszej — rzekł głosem trochę drżącym — bądźcie na mnie łaskawsi...

Zamojski rękę wyciągnął, jakby mu nie chciał się dać zbliżyć i zamruczał tylko:

— Nic mi potem... nie czas...

Stanął więc znowu Zborowski podle swojego łoża i czekał.

Upłynęła chwila; kanclerz krzesło dla siebie przygotowane zobaczywszy, usiadł na niem. Z za sukni widać było papiery, które przyniósł ze sobą i dobył je, na stół rzucając przed Zborowskim.

— Masz, oto są listy królewskie! Czytaj je sobie; masz dać gardło!

Zborowski na listy ani spojrzał, i po krótkim namyśle rzekł:

— Czytać ich nie potrzebuję; czyńcie ze mną, co chcecie, wszak macie mnie w ręku...

Znowu chwila milczenia nastąpiła. Zamojski oczy spuścił i dumał, czoło mu się fałdowało.

— Mów — odezwał się powoli — o co cię będę pytał, to najpierwsza. Idziesz przed majestat Boży, już się nie masz na co oglądać na tym świecie. Gdybyś zataił to, co może szkodliwem być dla króla i Rzeczypospolitej, na sumienie to swe weźmiesz, na duszy twej zostanie. Teraz ci już niecnota, braciszek twój, Krzychnik, nie pomoże.

Samuel zmilczał, choć chciało mu się stanąć w obronie brata, a no — nie pora była. Trwało z obu stron milczenie.

— O cóż wasza miłość pytać mnie raczysz? — odezwał się Zborowski.

Kanclerz podniósł oczy.

— Jaki to do ciebie list Krzychnik pisał? Co on sobie o królu myśli? hę? O onym trojcaku też mi powiedz... przepłonię ją mu trójcę i samemu jemu się dostanie.—

Przystoi to senatorowi cyframi pisać do brata? Albo to nie jest podejrzane, zdradzieckie, nieprzyjacielskie pisanie? Toć każdy rozumie, że gdy się co taić chce, tam

już dobrego być nie może. Ja to sobie z nim do sprawy na sejm zachowam.

Stoi w tymże liście: *Rex, si hoc nomine dignus!* a to nie cyframi, ale prostem pismem ku świadomości wszystkich. Dalej: „Niżowcy się przydadzą”, i to niemałe ma znaczenie, boś ty do nich jeździł, a podczaszy twój i marszałek listami ich obsyłali, a jednaliście ich sobie. Potem te wasze zjazdy, narady,coście się od oczu ludzkich zdala, w waszem gniazdku niecnotliwem zbierali i potajemnie radzili? Cóż ty na to?

Słuchał pan Samuel, rozważając, co powiedzieć miał, bo tu już nikogo mu bronić nie potrzeba było, krom siebie samego.

— Mamże ja za to odpowiadać — rzekł — co kto do mnie pisał? Jamci tego nie dyktował, anim rozumiał często, co znaczyły cyfry i słowa... nie odpisywałem mu.. nikt tego nie dokaże. —Niżowce się sami do mnie napierali i jeździli wielekroć, a ja do nich raz tylko i to przeto, żem ich na usługi króla i Rzeczypospolitej ująć chciał. Nie czyniłem z tego tajemnicy. W tem winy żadnej upatrzeć się nie godzi. Służyłem panu, a nie komu innemu, a siła takich jest, których wymieniać nie chcę, co cudzym bogom sługiwali, a przecież ich potem nagradzano i opatrowano... Jam nikomu nie służył.

Teraz też kiedy na Tekinię szli Niżowce, słali do mnie, powiadając, że to była przysługa królowi jegomości ale gdym usłyszał, że to było nie w myśl królewską, nie przyłożyłem się do tego najmniejszą rzeczą, a żadna rzecz mnie od tego nie odwiodła silniej, jak właśnie ów list pana Krzysztofa.

Wreszcie, co się tyczy naszych zjazdów i narad, tak w izbach i komorach naszych, jako podczas i na trawie w lesie, z czego mi grzech czynicie, Bóg to wie, iż my trzej bracia młodsi radziliśmy się tam z okazyi wesela waszej miłości. Spodziewaliśmy się przy okazyi tej przyjść do łaski jego królewskiej mości, zwłaszcza, żeśmy mieli obietnice miłości waszej, nietylko słowne, ale na piśmie.

Omyliłaby zaś nadzieja łaski, radziliśmy się wyprzedać z Polski, a innego łaskawszego pana szukać sobie,

wreszcie krzywd naszych się pomścić, ale godziwie i przystojnie, choćby i na miłości waszej, gdyby się okazało, że byliście przyczyną niełaski.

O królu tam ani mowy ani wzmianki nie było najmniejszej; w myśli nam nie postało przeciw niemu knować. Wreszcie się na tych radach nie postanowiło nic, bośmy czekali na pana gnieźnieńskiego.

Ja potem do Złoczowa jechałem i nie powracałem już do nich, bracia zaś z pogrzebu wojewodziny krakowskiej pojechali do Krakowa. Do mnie zaś pisali, uspakajając, że i u króla i wszędzie dobrze będzie, że się niema czego obawiać.

Co się tyczy pana marszałka, brata mego, na którego wasza miłość też masz podejrzenie, jakoby co złego zamyślał, ten nikomu nic nie winiem, o podejściu nieprzyjaciela nigdy nie myślał; poznacie to miłość wasza później, że prawdę mówię. Czysty jest.

Gdy to mówił Samuel, Zamojski pod czas się uśmiechał, ramiony zżymał, ręką po kolanach uderzał, dając różne znaki niecierpliwości i nieufności; przerywał kilka razy, a potem zawołał głośno:

— Wszystko to marne jest i stracone, bo choć pytam was,—wiem ci lepiej i mam w ręku dowody i ludzi żywych, co świadczą. Źle czynicie, że mi taić chcecie, bo się to na nic nie zda, a Krzychnikowi nie posłuży, ani marszałka oczyścicie, bo ten gdyby inaczej myślał, z nimby nie obcował.

Przystałoby wam w tej godzinie, sprośności się tych wyrzekłszy, ze skruchą wyznać, co się przeciwko królowi zgrzeszyło. Waszego Krzychnika nic już nie uratuje, bo jawny zdrajca jest, a marszałek, choć się listami nie wydał, toż samo myślał, co ten pisze, a co wy czynić chcieliście.

Przecież nie tajno nam, żeście się z Ciołkiem zmawiali do króla strzelać, żeście się nie jeden raz chwalili trafnemi strzałami do wróbli i o lesie, i o gospodach myśleli, gdzieby lepiej zasiąść było, a łatwiej potem uciekać, gdyby rusznica chybiła.

Mówiąc to, kanclerz coraz goręcej głos podnosił i krew mu do twarzy napływała. Samuel też słuchać nie mógł

bez niecierpliwości, której dawał oznaki, aż wreszcie dłużej wytrzymać nie umiejąc, zawołał:

— Przez Bóg żywy! dajże mi miłość wasza pokój! A toż macie mnie już w rękach waszych, czyńcie, co chcecie, więcej ze mnie nie wysmażycie. Krótki czas żywota mojego, pilniej mi z Panem Bogiem sprawę mieć, niż z wami. Z ciałem już uczynicie, co zechcecie, a no duszy mej nie zabijajcie. Proszę was o ministra!

Kanclerz głową poruszył.

— Tego noga na zamku nie postanie, bo ja go za sługę Bożego nie mam.

Samuel ramionami tylko ruszył.

— Więc wżdy o kapłana, jakiego chcecie proszę, z którymbym na końcu tego żywota mojego o Bogu mógł mówić, a o duszy mej.

Oba byli poruszeni mocno, bo Samuelowe słowa, wyrzeczone z odwagą i mocą wielką, na kanclerza podziałały. Otarł pot z czoła... i nie żegnając się, ani mówiąc nic, ku drzwiom się skierował.

Zamknęły się drzwi, nastąpiło milczenie. Samuel padł na łoże wysilony i znękany. Zdawało się skończone wszystko, ale na tem nie było jeszcze końca.

Znowu tedy otwarły się drzwi i wszedł z papierami w ręku pisarek, który tu już nie jeden raz bywał, ciągnąć inkwizycye z Samuela. Zwał się Bech, a był podręczny Heidensteina i mieli go tam za zręcznego, bo się chwalić umiał ale krom chytrości rozumu wiele nie miał.

Ten przystąpił do Zborowskiego.

— Masz-li cokolwiek cnoty i poczciwości Zborosiu rzekł, opierając się na stole podle niego—powiedz mi, o co cię pytać będę.

Wtem otworzył pismo, które Samuel mógł poznać, iż było listem Krzychnika, który Wojtaszek zdrajca wykradł i oddał Cobarowi.

Począwszy je czytać, Bech coraz sobie głupim uśmiechem przerywał, patrzał w oczy Zborowskiemu i wołał:

— A co? a co?

Ale Samuel nic odpowiadał wcale, dał mu list przeczytać cały i rzekł:

— Nic na to nie mam do powiedzenia, co w liście stoi. Mniemajcie już sobie i trzymajcie jako chcecie.

Czekał jeszcze Bech, czy nie wymoże cokolwiek, zagadnął z listu o jedno i drugie, co znaczyć miało, bo osób, o których była mowa, nie mogli dojść, ale Zborowski nie dał z siebie dobyć słowa.

— Raz mnie już w pokoju zostawcie—zawołał.— Kiedyż tym inkwizycyom koniec będzie? Mieliście na nie kilkanaście dni, a teraz mi ostatnie godziny odjąć chcecie? To okrucieństwo nadaremne, a ja czasu do stracenia nie mam.

Bech, widząc, że nic nie dokaże, zwinął papier ze złością wielką i zawołał:

— Nie dla tego listu cię tracą, to sprawa pana Krzychnika, który na sejmie odpowiadać będzie... jeżeli go też ułapim, a nie to i zaocznie sądzić go dadzą. Nie dla listu was tracą, te rzeczy tu nie należą,—ale z urzędu starościńskiego kanclerz nad wami moc ma. Przeto nasz pan miłościwy, na nic się nie oglądając, jedno na świątobliwe sumienie swoje, skazuje cię na śmierć ściętą, jutro co najraniej, bo jesteś banit, a śmiałeś mieszkać w Koronie!

Na ten wyrok, ogłoszony tak sumaryjnie, Samuel już słowa nie rzekł, aby rozmowy nie przedłużać i czasu nie marnować. Bech czekał, kręcił się, szedł ku drzwiom powoli, na Mroczka spoglądał, naostatek do drzwi przyszedłszy, otworzył je, rzucił niemi i wyszedł.

Zostali z Mroczkiem sami, bo Serny się był oddalił i jakiś czas trwało milczenie. Zborowski musiał spocząć, bo indagacye te gwałtowne z takim nań impetem padły, że je wydychać musiał, choć po głowie wiły mu się myśli, na które już czasu stać nie miało, aby je wszystkie rozplątać mógł i do ładu przyprowadzić.

Widział Mroczek, jak się kilkakroć w piersi uderzył mocno i płakał, ale wstydząc się tych łez skruchy, ocierał je śpiesznie, a oczyma szukał Mroczka, czy on to widział, lub nie. Rotmistrz zaś, litość mając, udawał, że nie widzi.

Nie mówili do siebie.

Nadszedł Serny, wąsy jeszcze ocierając po piwie i usiadł podle Mroczka, szepcąc mu coś na ucho. Czekali, co dalej pocznie, azali nie zechce spocząć, ale ku temu się nie miało. Niespokojnie na stole wszystko przewracać począł, jakby szukał czegoś... Dobył swą chustę od chana tatarskiego i położył ją tuż przy sobie.

VI.

Sądził Mroczek, że póki rana się doczekają, spocząć będzie mógł trochę, bo już kilka nocy mało co spluszczył oczy, nie usypiając, wtem Zborowski zwrócił się do niego:

— Ach miły Mroczku mój! Widzę, że ci się spać chce, ale uczyń to dla mnie, proszę cię, nie śpij, nie opuszczaj mnie. Tyś mi teraz księdzem, tyś świadkiem i przed Bogiem, i tu na ziemi do wszystkiego, co czynić mam, a ja wierzę, iż będziesz pomniał na Boga, na prawdę, a na sumienie swe.

Mroczek też nie mógł mu odmówić ostatnich posług.

Wtem zaczął prosić o papier, kałamarz i pióro, które mu przyniesiono. Siadł zaraz za stół i pisał, przerywając tylko sobie westchnieniami, a niekiedy o czoło się uderzając. Więc pisał tak a mazał, aż wszystek papier zapełnił, a było go niemało, pospołu i woli ostatniej i żalów nad dolą swą i słów do dzieci i rodziny. Pisanie to przeciągnęło się czas niemały, późno prawie w noc; a dokończywszy, porwał się z siedzenia niespokojny.

— Zmiłujcie się, księdza sprowadźcie... nie można predykanta, ministra, — to jakiegokolwiekbądź chrześcijańskiego kapłana, z którymbym o Bogu mówić mógł, a na śmierć się przygotować!

A Mroczek rzekł:

— Późno jest. Skąd go tu wziąć? I niema po niego kogo posłać.

Załamał ręce.

— Zlitujcież się! Wyrostka masz, który śpi oto w kącie; poślij go, to mu nagrodzę. Niech pierwszego, jakiego spotka przywiedzie, albo-li do klasztoru którego zadzwoni.

Mroczek więc chłopca rozbudził, a ledwie można mu było wrazić to, o co szło i kędy miał iść.

Co się tedy potem stało, wersye .krążyły różne, ale najpewniejsza ta, którą z ust samego wyrostka Mroczkowego słyszano. Ten zaledwie w ulicę wszedł ku miastu, gdy księdza zakapturzonego w czarnym płaszczu napotkał. Miał się do niego zbliżyć, aż ten sam podszedł ku niemu i rękę mu kładnąc na ramieniu rzecze:

— Księdza szukasz?

— A wy skąd o tem wiecie?—spytał strwożony.

— Wiem, bo mi o tem oznajmiono z góry; księdza szukasz dla owego bezbożnika, którego tracić mają jutro na zaraniu.

— Tak ci jest — rzekł chłopiec, żegnając się.

— Jam ksiądz, prowadź mnie—nakazująco dodał mnich.—Przodem idź!

I począł półgłosem pacierz odmawiać, a chłopiec szedł cały wylękły, już się wcale nie odzywając. Gdy na burgrabstwo przyszli, mnich ciągle jeszcze miał kapturem twarz przysłoniętą i tak się do izby wsunął, w której Zborowski modlił się, krzyżem leżąc.

Owo wiedzieć potrzeba, że leżenie krzyżem u dyssydentów wcale się nie praktykuje i że to już znamionowało, że do dawnej wiary powracał, sam prawie o tem nie wiedząc.

Gdy mnich przy nim stanął, a Samuel z ziemi powstał, dopiero kaptur czarny zrzucił na ramiona. Twarz jego zobaczywszy, cofnął się Zborowski z krzykiem.

— Tyś jest!

A mnich stał i oczyma tylko go jakby na wylot bódł. Nie mówił zrazu nic.

— Jam jest... ja! Bo sprawiedliwość Boża cuda czynić umie—rzekł mnich—jam jest, któregoś pokrzywdził niesłusznie, wystawił na urągowisko, smagał i znęcałeś się nademną. Jam jest, a na ciebie przyszła godzina też

że ci się urągają, smagają, znęcają, i że podlejszym się stałeś odemnie. Na kolana grzeszniku zatwardziały!

Obrócił się pan Samuel bardzo pomieszany.

— Chcesz spowiedzi? Okaż skruchę, ukorz się—mówił ksiądz.

Jeszcze tedy Zborowski nie wiedział, co pocznie, stał a na księdza spoglądał.

— Mówmy wprzódy—odezwał się.

A mnich mu przerwał zaraz.

— Co? O religii kontrowersye wprowadzać chcesz, gdy dusza twoja nad przepaścią... Klękaj i grzechy twe wyznawaj, boś grzesznik wielki, gwałtownik i zbójca, i zbrodzień gorszy od tych, co z katowskich rąk ginęli... Znam ciebie i uczynki twoje. Idziesz przed majestat Boży, obmyj się... godziny, minuty i tchnienia policzone.

Stał jakby w niepewności Zborowski i bladł coraz. Jako był przed chwilą pokorny i skruszony, tak owo gwałtowne wołanie księdza, równie jak wprzód nacisk hetmana, dobył z niego opór.

Odstąpił krok.

— Toć mówić o Bogu chcę i abyś mnie objaśnił— rzekł dosyć łagodnie; — przyjdzie-li do spowiedzi, nie wzdragam się.

Mnich zaś tej tergiwersacyi znieść nie mogąc, głos podniósł.

— Duszy więc nie ocalisz, gdy dyabłu na pastwę przeznaczoną jest, bo pokuty nie chcesz, bo ukorzyć się przed Bogiem i jego zastępcą na ziemi wstydasz się. Nie przedemną, ale przed Bogiem byś się spowiadał...

— Mówmy o Bogu—wtrącił Samuel—niech posłyszę.

— O Bogu do bezbożnika mówić mam—począł o. Czesław.— Tyś gorszy od niewiernych, bo tamci Boga nie znali nigdy, a ciebie wychowała matka bogobojna i miałeś go, a zaparłeś się. Sprzedałeś jak Judasz za srebrniki rozpusty, dumy i samowoli. Niema dziś na tobie miejsca bez makuły, ani zdrowego nic, gdzieby zgnilizna nie tkwiła. Przeznaczono ci ginąć marnie, a mnie było przeznaczono jeszcze w przededniu zwiastować karę Bożą.

Jęknął Zborowski.

Potem już księdza nie słuchając, ani na niego nie patrząc, jak stał, tak jęcząc coraz głośniej i szlochając, rzucił się na podłogę i krzyżem leżał.

Stała się tedy rzecz osobliwa, na którą Mroczek patrząc powiadał, że mu się robiło tak, jakby na cud jakowy patrzał.

Mnich umilkł i stał nad nim, aż posłyszawszy to jęczenie i płacz jego, przeżegnał się i pokląkł, półgłosem rozpoczynając modlitwy.

Jeden zdawał się nie wiedzieć o drugim, a to jęczenie i modlenie się spływało razem dziwnie. Zakonnikowi pot biegł po twarzy, a co była sroga i surowa,—łagodnieć poczęła i wyjaśniać się

Trwało to niemało czasu. Nie patrzył, ani się obrócił Zborowski ku mnichowi. Miało się już na brzask, gdy Samuel jakby usypiał, uspakajać się zaczął, ale jako żywo nie spał.

Mnich klęczał nad nim, pochylił się i szeptał długo, potem rękę podniósł i żegnał, aż nareszcie wstał, kaptur na głowę narzucił i wyszedł.

Samuel zaś, znacznie uspokojony, pozostał tak na ziemi, do siódmej godziny rano

Na burgrabstwie ruch się już poczynał, dzień się zrobił.

Jeszcze leżał, gdy Urowiecki z innymi oprawcami wszedł do izby, nic więcej nie rzekłszy, tylko:

— Idź!

Odział się w żupan i szedł za nim w podwórze, gdzie trzy razy klękał, składał ręce i modlił się, musieli stać i czekać.

A stąd właśnie kościół widać było. Stanął Samuel i jął prosić.

— Urowiecki, jak ci Bóg miły, do kościoła mnie puść na chwilę. Mój, czy nie mój kościół, przecież i w tym Pana Boga chwalą, tego, który jeden jest dla wszystkich. Ja też niech ostatnią chwałę Bogu oddam.

Urowieckiemu serce zmiękło.

— Niech i tak będzie—rzekł.—Idź przed się, masz czas jeszcze.

Wtem gdy ku drzwiom kroczyli, ukazał się w nich

wychodzący właśnie z kościoła kanclerz. Spostrzegłszy Samuela, za którym szli oprawcy, począł wołać nań...

— Panie Zborowski, postój proszę, odpuść mi, że cię tracę, odpuść mi!

— Nie odpuszczę!

A kanclerz nalegał, powtarzając.

— Postój, odpuść mi, proszę cię... nie ja, ale prawo cię karze.

— Nie odpuszczę, już to wiedz, że nie odpuszczę— wołał Samuel.

Stali tak przeciw sobie, a Zamojski twarz miał smutną i błagającą.

— Dla pana Boga cię proszę, Samuelu... przez Imię Jego, odpuść mi!

Samuel, który już był na próg stąpił, odwrócił się.

— Zagadnąłeś mnie! Odpuszczam ci, ale się świadczę Panem Bogiem i tymi, co słyszą, żem ci ja nic nie winien, bom nie czynił na wzgardę dekretów i praw nic, anim przeciwko poczciwości występował. Powoływam cię przed sąd Boży sprawiedliwy z sobą.

Kanclerz, wysłuchawszy, odszedł, a Samuel niedaleko od proga w kościele pokląkłszy, modlił się gorąco, aż sam potem mężnie powstał i zwrócił się do drzwi.

Wiedli go tedy mimo Tatary za furtkę ku Stradomiu pod Lubrankę, na ten plac, kędy od czci odsądzonych i złoczyńców pospolitych karzą, dla większej zniewagi.

Blanki i plac wszędy gęsto był obsadzony ludem, który nie dopuszczał nikogo.

Rzucili na ziemię płat sukna czerwonego i kazali mu klęknąć.

A jak był nocą omdlały i w sumieniu niespokojny, tak teraz mężnie bardzo sobie poczynał i prawie bohatersko na tę śmierć szedł i patrzał. Sam z siebie żupan ściągnął, ale że rękawy ciasne były, spoczywał troszynę i stąd na miasto spoglądał, potem wejrzał ku niebu, które było jasne i tylko się dniem rumieniło. Aż z ust mu się wyrwało jakby w zapomnieniu:

— Hej miły Boże, gdzież bracia moi mili, gdzie przy-

jaciele, gdzież słudzy, czegom ja wszystkiego miał dosyć... dziś... nic!

I stojąc tak już w jednej koszuli, Mroczkowi podał chustę.

— Mój miły Mroczku, jakoś mi przyrzekł, rozmocz-że ją we krwi mojej, a daj ją synowi.

Mroczek na to niechętnie rzekł.

— Panie Zborowski, pora myśleć o czem innem!

Stał tuż kat, drab wielki i silny, ale drżał i oglądał się, a wtem miecz dawszy pachołkowi w ręce, jakby czegoś zabył, wszedł między ludzi, a na jego miejscu oprawca, pomocnik został tylko. Tego Samuel dostrzedz nie mógł i mówił do pachołka, sądząc go katem.

— Już mi na to przyszło, że do ciebie się modlić muszę; ostatni to kres, bo o śmierć mi nie idzie... Proszę cię więc abyś mi nie przeszkadzał, dopóki modlić się będę, dopiero, gdy raz trzeci rzeknę: Jezus, dogódź mieczem a dobrze, za co tobie z hajduki monetę odkazuję.

Gdy to rzekłszy, położył głowę i modlić się zaczął, obejrzano się za katem, a tego nie było.

W samej ostatniej chwili, albo przekupiony lub przestraszony uszedł i schronił się, a nie znaleziono go aż później w kościele.

Leżał tedy Samuel a modlił się... i rzekł raz—Jezu.

Hajduki się niepokoiły, bo oprawcy nie było. Szukali go, biegali... więc tymczasowo jeden z nich za miecz wziął, bo z blanków, na których kanclerz stał, znaki im dawano i pan Stanisław Żółkiewski i innych wielu.

— Zawołał drugi raz—Jezus—a tu kata nie było, hajduk obnażył miecz, ale mu ręce drżały.

Potem wreszcie trzeci raz rzekł—Jezus.

Pachołek zaś nieopatrzywszy się, nie podniósł miecza, aż Zborowski obejrzał się i zawołał:

— Cóż czynisz?

Popchnięto pachołka, który z całych sił, ale niezręcznie uderzywszy w szyję, kęs pleców też zaciął.

Spadła głowa zaraz na ziemię i odskoczyła od niej trzy razy ku Urowieckimu, który przelękły przed nią w

bok uchodzić musiał i nie rychło się uspokoił, bo ludzie, patrząc na to różnie wróżyli.

Czasu tych kilkunastu dni więzienia, Urowiecki sobie często bardzo ostro poczynał z Samuelem, litości mu nie okazując, jak Mroczek, który szorstki był i grubijan, ale serce miał.

Taki był koniec onej tragedyi Samuelowej, jeżeli to końcem nazwać się godziło, bo naprawdę powstałe i zrodzone z niej zamieszanie, które wstrząsnęło Rzeczpospolitą, królowi i Zamojskiemu trosk niemało przymnożywszy, dopiero się od tej godziny poczęło.

Prosta z sosnowych desek zbita trumienka, już była zawczasu przygotowaną, w którą ciało, jak leżało wrzucono, zaraz i głowę też, a krew jeszcze z nich ciekła; potem nakrywszy ledwie, postawili ją oprawcy u furty przy małym domku, który przekupka trzymała. Nie chciano ciała zabierać i grzebać, aby nie wywoływać jeszcze większego gniewu rodziny, któraby się była o zwłoki upominała.

W mieście zrazu, zwłaszcza, że godzina wczesna była, nikt nie wiedział, że tego dnia miał być tracony, choć się spodziewano tego z dnia na dzień. Ci, co słyszeli wczora, nie wierzyli, gdyż nieraz ich gadanie zawiodło.

Zazwyczaj słudzy Samuelowi przychodzili na zamek do burgrabstwa, choć ich do pana puszczać nie chciano, przynosząc różne rzeczy, których mógł potrzebować. Przyszli więc i dnia tego pod furtę do chaty, przed którą przekupka przy kołowrotku siedziała. Był i Luzicki z nimi. Zbliżali się już do wrót, straży chcąc pytać o pana, gdy stara ich zawołała.

— Co, o pana pytać macie?—rzekła.—Stracili go dziś na zaraniu, a oto trumna jego tam stoi i krew z niej płynie.

Krzyk i lament stał się wielki, a Borowski z Łuzickim rzucili się zaraz ku trumnie i gdy odjąwszy wieko, ujrzeli leżącą na wierzchu odciętą głowę, popadali, płacząc na kolana.

Lament powstał, bo innych też ciekawych zebrała się kupka, a za tymi biegli i inni, widząc, że się ludzie gromadzą; cisnęli się ciekawi, drudzy pobiegli na Fran-

ciszkańską ulicę dać znać, aby ciało zabierano do pani krakowskiej, która umyślnie dla sprawy Samuelowej w Krakowie mieszkała, do pana wojewody kaliskiego i do innych przyjaciół.

Można śmiało powiedzieć, że w tej godzinie przyjaciół miał tylko, bo się wszyscy na okrucieństwo oburzali. Wnet po ulicach, po rynkach rozeszła się wiadomość, że Zborowski został ścięty; nie wierzyli jedni, rozpaczali drudzy, na kanclerza bij zabij wszyscy, czemu go do sejmu nie chował!

Kanclerskim ludziom ani się było można pokazać w ulicach, bo ich ścigano, oprawcami i zbójami na nich ciskając, tak, że kryć się musieli.

Zbiegowiska się zaczęły tworzyć znaczne po ulicach i rynkach, a kto mógł, biegł pod Lubrankę, żeby się na własne oczy przekonać, iż prawdą było, co mówiono.

Około trumny ludzie pani krakowskiej, marszałka i Stadnickich, stanąwszy kołem nie dopuszczali ciekawych, a czekano na panią krakowską, która sama się ofiarowała przeprowadzić ciało.

Nadeszła też poważna pani, cała w czerni i kirze, a z nią Włodkowa od łez czerwona i jak oszalała, i Anusia blada, a tak straszna z tego wewnętrznego gniewu, który nią miotał, że ludzie się do niej przybliżać nie śmieli. Ta płakać nie mogła,—usta tylko do krwi gryzła.

Luzicki, Borowski, Morawa wzięli oną trumienkę na ramiona i nieśli ją aż do kamienicy wojewody kaliskiego, a przez całą drogę krew strumieniem się z niej wylewała; tak że i deski i tragarze byli nią obluzgani. Tu w dolnej izbie na prawo złożono ciało na łożu, obmyto, oczyszczono, ubrano przystojnie, ale musiano pozostawić do trzeciego dnia, dopókiby trumny dostatniej nie przysposobiono i smołą nie wylano.

Przez cały ten czas, choć wrota były zamknięte i nikogo nie wpuszczano, krom znajomych i przyjaciół, ciżba oblegała kamienicę, szlachta płynęła bez ustanku, a który stąd wyszedł, za kord się trzymał, jakby szukał i czekał kogo rąbać...

Na kanclerzu poczciwej nitki nie zostało a i królowi też nie przebaczono.

Trzeciego dnia, chociaż się to wcale nie uśmierzyło, trumnę przyniesiono, włożono w nią zwłoki i zamknięto w niej, ale że się wielu domagało go widzieć, pozostawiono szybę naprzeciw twarzy, resztę zaś sprosta, ale uczciwie czarnym gmachtem obito.

Co się działo i pierwszego i następnych po nim dni na zamku i w mieście, ludzie długo pewnie pamiętali, bo takiego zburzenia umysłów zdawna Kraków nie widział, a było generalne, począwszy od biskupiego dworu do najbiedniejszej chaty...

Na zamku musiano gęsto obsadzić blank, bo się sedycyi obawiano. Do kanclerza nikt nie jechał. Za to do zwłok, do pani krakowskiej, na Franciszkańską ulicę do marszałka cisnęli się znajomi i nieznajomi z kondolencyami, a jakie tam głosy przeciw Zamojskiemu słyszeć się dawały,—powtarzać trudno.

Gdyby nieprzyjaciele króla i Zamojskiego chcieli dla swej sprawy coś uczynić, nie mogliby jej lepiej usłużyć nad to, co dla niej sam kanclerz przez śmierć Samuelową uczynił.

Owe ciągłe powtarzane „piwo polskie" Zamojskiego, które miało rychło stać za wodę, robiło tymczasem w głowach jak w kadziach... a nie czuć było, aby się rychło wyburzyć mogło.

Chociaż panowie Zborowscy, oprócz lamentów nie czynili nic, w Krakowie powstał taki tumult, taki murmur (wedle wyrażenia ówczesnego) przeciwko kanclerzowi, iż go inaczej nie zwano jak „gwałtownik praw, tyran haniebny".

Dla szlachty krakowskiej, która Zborowskich od kilku wieków przy tronie i na krzesłach senatorskich widywać była nawykła, Zamojski był *homo novus*. Wołano, że go król zaledwie *ex stercore paupertatis* wydźwignął. Nie pomogło wspomnienie owego wspaniałego wesela, ani pokrewieństwo z królem.

Ktokolwiek nawinął się kanclerzowi na oczy, zataić mu tego nie mógł, że *indignatio* była powszechną i gwałtowną, jakiej nie pamiętano w Krakowie od ucieczki Henryka.

Po gospodach i browarach występowali oratorowie, cisnęła się szlachta, czytano skrypta, miotano pogróżkami.

— Czego się my mamy spodziewać—wołano,—kiedy takich rycerzy, co nas przeciwko poganom bronili na których męstwie Rzeczpospolita stała, katowskim mieczem ze świata gładzą! Czeka nas tyraństwo domowe, albo niewola u Turka!

Gdy w Świdnickiej piwnicy ktoś się śmiał odezwać, że właśnie pan Samuel z Turkiem porozumienie miał i że pełno tego śladów zostawił w pismach i po księgach ręką własną, a podarki od tatarskich chanów odbierał... o mało go, jak kalumniatora, nie rozsiekano, tak, że się ucieczką salwować musiał.

Nie mogło to dla Zamojskiego tajnem być, co się dokoła działo, bo patrzał, słuchał, a wzrok i słuch miał bystry, ale czynił tak, jakby oni czem nie wiedział, lub go to wcale nie obchodziło.

Więc wyprawiono natychmiast listy do króla i gońca z relacyą, a sprawy powszednie szły swym porządkiem i nieprzerwanie.

Wieczorem przyszedł dok anclerza Urowiecki, który już od kłótni i łajania ledwie dyszał, z tem oznajmieniem, że nikt z ludzi się na miasto pokazywać nie mógł, bo ich ścigano, kamieniami rzucano, plwano a z okien katami i oprawcami okrzykiwano.

— Tak daleko to zaszło—rzekł Urowiecki—iż na sedycyę patrzy.

Zamojski spokojny i niewzruszony wysłuchał opowieści i rzekł mu tylko:

— Znajdzie się sposób na to, a nie traćcie animuszu... i nie zważać. Niech się gawiedź wykrzyczy.

Kazał do siebie wezwać na radę Heidensteina i Becha, choć nie oni jemu, ale on im radził i wydawał rozkazy, ale to tak spokojnie i flegmatycznie, jakby mu to bynajmniej nie dolegało.

Nazajutrz Bech spróbował wyjść na miasto i w pierwszej gromadzie, gdzie wykrzykiwać zaczęto o owej niewoli

tureckiej, on się znowu wyrwał z argumentem, że Samuel z Turkami i Tatarami miał konszachty.

— Jeżeli tak było—krzyknął pod nos mu szlachcic, pięścią demonstrując—a toć to sejmowa sprawa, nie kanclerska. Czemużeście go z pismami temi i księgami na sejm nie schowali.

Bech na to jeszcze ofuknął.

— Boże uchowaj! Dobrzeby tak było postąpić z kim innym i pewnieby się też tak uczyniło, ale nie z możnymi despoty, jak Zborowscy; z tymi inaczej potrzeba. Ujrzycie zresztą, że i na sejm się jeszcze dosyć zostało; mamy na nich dowodów siła, okaże się wszystko.

Wtem dokoła zaczęto wołać:

— Kanclerczuk! kanclerczuk!—i nacisnęli Becha a grozili mu i szturchali, tak że się ledwie wycofał i uciec musiał.

Tegoż dnia Serny, którego poznali ludzie Zborowskich, że ten był, co przy nieboszczyku siadywał, i dosyć się z nim grubijańsko, po chłopsku obchodził, ścigany i pobity ledwie do bramy zamkowej z życiem się schronił.

Spotykało to i innych. Miasto całe wrzało pomstą..

W początkach słudzy kanclerscy, nie chcąc okazać, ażeby to ich alarmowało, umyślnie tem zuchwalej sobie poczynali, strasząc ludzi Zborowskich, naciskając się na domy i szablami pobrzękując, ale zawsze potem cofać się musieli, bo mieszczanie przychodzili w pomoc Samuelowym.

Na zamku Urowiecki z rozkazu snać kanclerza właśnie na przekór kazał okazywać szczególną wesołość i tryumfy wyprawiał. Ustawicznie grano na trąbach w bębny bito, żołnierstwo na blankach stojąc pokrzykiwało i pieśni śpiewało. A tem, co mieli onieśmielić, do ostatka zniechęcili i rozdrażnili lud.

Na ulicach wszczynały się zwady co krok. Szła gromada kanclerskich ludzi, a napotkała którego ze Zborowszczyków, zabiegali mu drogę urąganiem, wywoływaniem, ukazując na gardła, śmiejąc się, naciskając.

Tąż samą monetą płacili potem Zborowszczycy

i szlachta, i mieszczanie, czeladź nawet rzemieślnicza, kanclerowskiej służbie.

W dzień Św. Trójcy, kanclerz po nabożeństwie pojechał do biskupa krakowskiego. W początkach nie mówiono nic, tylko o królu i o spodziewanem jego przybyciu, a o sejmie konwokacyjnym, ale zaraz ktoś z przytomnych bryznął kanclerzowi sprawą Zborowskich w oczy, dosyć nieprzystojnie.

Zamojski ani drgnął, ani mu się twarz bynajmniej nie zmieniła, począł sprawę wywodzić tak zimno, jakby szło o beczkę soli nie o głowę.

— Jeden już zuchwalstwo swe gardłem przypłacił rzekł—ale na tem nie dosyć. Krzychnika Zborowskigo, podczaszego, ja tem samem prawem zaraz stracić mogę, a że się o to wszelkiemi siłami starać będę, nie taję. Ten winien może więcej, niż Samuel, choć zawsze z za płota strzelał... Pisma jego własnoręczne są... *flagrantes*. Marszałek też, choć niewinnym się czyni, tyle wart, co i bracia, ale tego ja na sejm rezerwuję, z poczciwością i gardłem nie ujdzie mi...

Biskup się na to odezwał, do łagodności pobudzając na co Zamojski rzekł:

— Długo pan nasz cierpiał i miłosiernym był, a no przebrała się miara, bo nam na głowach koły ciosać chcą. Nie byłoby rządu, gdyby nie było sądu, a przed tym tak dobry pan Zborowski jak najmniejszy chudzina.

Słowa te potem rozniesiono zaraz z kamery biskupiej, każdy do nich jeszcze coś przyrzucił i rozeszły się po mieście, a co za uczucia budziły, łacno pojąć.

Tegoż dnia Bech i inni, Serny i Urowiecki przyszli powtórnie do kanclerza do sypialni, przekładając mu, że już na miasto wyjść i ukazać się nie śmieją; Zamojski miał im odpowiedzieć (wedle ich wersyi).

— Jam też słyszał, że tam waszmościów straszą po rynkach i boicie się! Cóż moi mili słudzy i przyjaciele, jam wam mówił już piwo to polskie, czekajcie mało, rychło się wyburzy. Karcić ja każdego muszę i będę, bo ja urzędom moim, który na mnie pan włożył, zadosyć uczynić jestem obowiązany, a na fraszki takie, jak oni Zborowscy nie zważam.

Ciągle to powtarzano o piwie i o fraszkach, że sobie ze Zborowskich nie czynił nic.

Urowiecki zaś po swojemu dodawał jeszcze, jakoby przez Zamojskiego wyrzeczone słowa.

— Trudniej im o trzysta złotych, niż mnie o trzykroć sto tysięcy. Ja moim sługom mam co dać i mogę każdego z nich możnym uczynić, czego żaden w Polsce i na Litwie nie potrafi. Ja was zastąpię we wszystkiem, a stanie się któremu z was co do gardła i majętności, ja mścić będę. Wyście źrenicą oka mego i w tej sprawie i w każdej innej bronić was będę. Mam wojsko, mam pieniądze, mam państwo w ręku mym.

Że podobnego coś móg powiedzieć, możliwe, ale że to przesadzone w ustach Urowieckiego brzmiało inaczej, też pewna, jak niemniej, iż na dwór Zamojskiego padł popłoch, a siedzieli potem na zamku, ruszyć się nie śmiejąc, bo ich raz wraz despekty spotykały.

Zborowscy, czując, poza sobą i szlachtę krakowską, i stolicę całą, śmielej szli. Przybył do Krakowa z pocztem pokaźnym marszałek Andrzej w wigilję Bożego Ciała i przez miasto ciągnąc w żałobie, zajechał do domu na Franciszkańskiej ulicy. Wiadomem było, że przyjechał po zwłoki brata, które stąd odprowadzić miano na zamek Spytków, do familijnego grobu. Do wyprowadzania tego nie powoływano i nie zapraszano, ale zawczasu zbiegła się gromadnie szlachta, przyjaciół, sług, dworu i klijentów co niemiara. Miasto się przepełniło, jak na festyn największy, na co z zamku jakiem okiem patrzano, rozumie każdy, ale nikt nie przeszkadzał zmarłemu oddać ostatnią posługę, bo Zamojski mówił:

— *De mortuis nulla est cura*, (o zmarłych niema się co troszczyć).

Prowadzono trumnę przez ulice z żałobą wielką i konkursem ludu ogromnym, przyczem marszałek za bramami, gdy na wóz trumnę składać miano, powiedział mowę, którą sp saną puszczono w świat.

W mowie swej Andrzej wcale kanclerza nie oszczędzał,

poprostu stracenie brata, zowiąc mordem, niczem nie usprawiedliwionym, popełnionym dla prywatnej niechęci, „jadowitemu gniewowi i waśni swej zadosyć czyniąc".

W mowie tej Andrzej bardzo zręcznie dowodził, że banicya ta prawie lat dziesięć starą była, a dopiero teraz ją przebutwiałą spożytkowano dla prywaty.

„Blizko la dziesięć już Samuel w Polsce był mówił marszałek —*et non temere*, miał pasporty króla jegomości teraźniejszego miał przywileje na jurgielty, miał listy przypowiednie, bywał na pokojach u króla jegomości dzisiejszego, bywał u tegoż samego nieprzyjaciela, z marszałki wszystkimi siadał, jadał i konwersował."

Oczywista, że w mowie wszelkiego wspomnienia o listach pochwyconych, spiskach, knowaniach i zamachach, z Krzysztofem razem osnutych, unikał i czystym, a przemocą uciśnionym, Samuela czynił.

Kończąc tę odezwę do szlachty krakowskiej u trumny brata, która szeroko i daleko rozejść się miała, zakończył Andrzej:

„Jako się na jednej krwi nieprawnie zajuszy nie tuć stanie, bo słodka takim wężom krew ludzka. Jużci słyszę jawne mowy, że toż panu Krzysztofowi, bratu memu uczyni, o mnie też nie wiem, co za gróźb używa, a jeśliby wygubił dom mój wy na to przez szpary patrzeć będziecie? Rzucił ci już tą kostką, stanęły mu, że na wasze szyje to uczyniono".

Tak ta Zborowskich sprawa stawała się wspólną całego stanu szlacheckiego, pogwałceniem praw... samowolą pojedyńczego człowieka. W istocie nie zbywało jej na stronach ciemnych, które się wyzyskać dawały w obronie Zborowskich, a raz dostawszy się w usta tłumom, rosły na poemat i legendę, przemawiały do serc tragicznością swoją.

Samuel, słynący dotąd z zuchwalstwa i samowoli, stawał się bohaterem i męczennikiem, opromieniała go poezya, wychodził z grobu jasnym.

Obudzał litość, przebaczano mu wszystko, podnosiły się w nim rycerskie cnoty, męstwo nieustraszone, ochota do czynów, na które niktby się inny nie ważył. Opowiadano, jak na Niżu z kozaki cudów dokazywał, odpisywano powieść o tem, tak ułożoną, iż go w najpiękniejszem świetle wystawiała. Żyli jeszcze świadkowie, byli towarzysze. Śpiewano o nim pieśni.

Niemało się też przyczyniało i to do wzbudzenia litości w sercach, że osierocił dzieci, z których Anusia szczególniej się odznaczała żalem swym, publicznymi lamenty i niemal powoływaniem do zemsty. Szła razem z Włodkową i panią krakowską za zwłokami, pałającemi oczyma jednając wszystkich sprawie ojca.

Na zamku wieczorem dnia tego odetchnęli wszyscy swobodniej, gdy rodzina, przyjaciele i cały ten tłum szlachty odpłynął za trumną. Sądzono, iż się wkrótce rozdrażnienie uśmierzy, a Zamojski powtarzał swe piwo, nie rokując poruszeniu temu długiego bytu, a rachując, że przed sejmem wspomnienie się zatrze. Na ten raz jednak rachunek okazał się mylnym.

VII.

Oczekując na przybycie króla, który się z Grodna do Krakowa, albo raczej do Niepołomic obiecywał, bo tam rad przebywał, unikając królowej dla trudnego pożycia z nią, gdyż w istocie małżeństwo politycznycznym tylko było związkiem,—Zamojski mężnie stawił czoło całej tej wrzawie, jaką śmierć Samuela wywołała.

Przewidywał on poczęści następstwa, gdy Batorego powolność prosił i słał listy a posły, aby go do niej nakłonić. Przygotowany się też znalazł do walki, gdy król nie tyle się jej spodziewał;—rachował na trwogę, a teraz widząc, że rozdrażnienie tylko wywołał, tem mocniej życzył i nakazywał najsurowsze względem Zborowskich postępowanie.

Z obu stron gotowano się do tej wojny i przyjaciele Zborowskich, zręcznie umysły nastrajać się starali rozrzucanemi pismami, które z rąk do rąk przechodziły.

Kanclerz też z założonemi rękami siedzieć nie mógł, choć te szarmycle przedsejmowe nie po myśli mu były.

W kilka dni po wyprowadzeniu zwłok do Spytków, Zamojski siedział wieczorem z Heidensteinem i Bechem za stołem, na którym były rozrzucone papiery i słuchał z zimną krwią opowiadań o pogrzebie, na który patrzeć nie mógł.

Tegoż dnia goniec przyniósł mu od króla listy panów Zborowskich, Jana, kasztelana gnieźnieńskiego i marszałka Andrzeja... i inne akta, sprawy tej się tyczące. W liście swym do Zamojskiego król nastawał na to, aby im rozdrażnienie w kraju większem się okazywało, mniej mu się poddawać i folgować.

Zamojski byłby chętnie wiele oznak niechęci puścił mimo uszu, nie podnosząc ich, nie walcząc z niemi, na wiele skryptów nie odpowiadając, co było najlepszym sposobem odprawienia ich pogardą; król zaś przeciwnie nastawał aby nic bezkarnie nie uchodziło, bo czuł się silnym.

Nie o Zborowskich mu szło, chociaż ich też nienawidził, jako osobistych wrogów, ale o całą szlachtę, której butę nieokiełznaną, swawolę i zuchwalstwo oni wcielili w siebie.

Pożyć ich, było to zapowiedzieć innym, że dla wielkiego imienia, związków i znaczenia względów żadnych mieć się nie będzie.

— Prawo nie zna ludzi,—pisał król,—tylko uczynki... Ja też osobiście nie widzę żadnego powodu, dla któregobym folgować miał, a tysiąc pobudek, bym nieubłaganie ścigał wykroczenia.

Listy Batorego dawał czytać kanclerz sekretarzowi, nie dodając do nich ani słowa. One tłomaczyły najlepiej jego zachowanie się.

Bech przyniósł właśnie cały zwitek papierów, które Zamojskiemu miał ukazać. Szło o to, czy warte były niektóre, aby przeciwko nim z kontrskryptami wystąpić. Kanclerz był nieprzyjacielem tej polemiki bezimiennej, choć obyczaj kraju czynił ją prawie nieuniknioną.

Wiedziano powszechnie, co i Zamojskiemu nie było tajnem, że nocy ostatniej Samuel, kazawszy Mroczkowi

podać sobie papieru, pisał długo dużo zostawił załełnionych arkuszy. Co na nich stało nie wiedział nikt, oprócz Mroczka i tych, którym papiery oddał, ale *vox publica* chciała, ażeby wiersze i żale na nich zostawił, których odpisy natychmiast się ukazały.

Przyniósł tedy Bech ów wiersz i podał go Zamojskiemu, uśmiechając się. Kanclerz w milczeniu czytać począł, ruszył ramionami i odsuwając papier, rzekł:

— Nie Samuelem to pachnie, i nie wiem, ktoby się na to dał wziąć, ale ludzie łatwowierni są, gdy im tego potrzeba.

— Czytajże wasza mość!—zwrócił się do Heidensteina—pedagog to jakiś i *poeta bullatus* na rachunek Samuela, za pieniądze marszałka tak pięknie wystylizował. Boleść w przededniu śmierci inaczejby wołać musiała, gdyby do skandowania była zdolną. Nigdym też nie słyszał, aby hetman niżowców muzom dworował...

— Toć pewna, że elegię tę nie on pisał—odparł Heidenstein—ale ona chodzi po świecie i serca porusza.

— Czytaj wasza mość—rzekł kanclerz do Becha, który rozpoczął:

Słuchajcie nocne cienie, bądźcie mi świadkami,
I wy nieszczęsne ściany, skarżę się przed wami,
Jak świat stanął i póki bieżą lata jego,
Żaden nad mnie żałośniej nigdy nie zszedł z niego...

Za tem szło dalej, przyczem Zamojski często ramionami zżymał.

— Zdradził się pedagog—rzekł —mythologią i erudycyą, której bodaj Samuś nigdy nie miał. Ów Jowisz Fata, Tytan, Sysyfus, Cyntia...

— Na to by jednak komentarz się zdał—odparł Heidenstein,—bo tu wiele rzeczy dotknięto, które inaczej brzmią rzeczywiście, niż je poeta urobił.

Kanclerz wziął do ręki, odczytał go raz jeszcze i począł dyktować Bechowi, który notował słowa jego.

—„O ojczystej swobodzie mówi—odezwał się kanclerz—a tej nie kosztował, bo był banitą; zowie się synem koron-

nym, a nazwiska tego godnym się nie okazał. Powiada, „że zdradną przygodą" ujęty został, co fałszem jest, bo go umyślnie w imię prawa wzięto".

Z kolei tak Zamojski przebiegł cały ów wiersz, rzucając uwagi, i dodając w końcu:

„Śmierć swą nazywa niepożyteczną"; bardziej żywot był niepożytecznym, bo więcej szkodził ludziom, zdrowia ich pozbawiając, przykrości im czyniąc, Rzeczpospolitą sobie nie ważąc, o królu mówiąc, że go za nic ma. Teraz jest śmierć pożyteczna, bo będzie drugim *in exemplum*, że zuchwałego zawsze karzą.

Heidenstein więc postanowił, czemu się Zamojski nie sprzeciwiał, aby przeciw wierszowi notę na świat puścić. Wtem Bech i drugi wiersz łaciński średniowieczną formą niekształtną podsunął, którego pierwsze rymy przeczytawszy, kanclerz śmiechem parsknął i precz go odrzucił.

— Nie wiem, jaki mnich się na to zdobył—zawołał— a no szkoda, że o jakie lat trzysta się opóźnił.

Wiersz ten w istocie jakby przed wieki zlepiony, kończył się groźbami w przyszłości dla Polski.

Cerńite Poloni!
Erit hoc non uni!
Post hoc vos flebitis!

Łacińskiej tej elukubracyi dano pokój, śmiechem ją zbywając.

— Toć—rzekł Zamojski—panowie Zborowscy i tem się chwalą, że na Niżu o nim ruskie pieśni kozacy śpiewają; a no chyba na nie odśpiewywać nie warto, boby temu końca nie było...

Przyszły potem na stół listy obu ichmościów Zborowskich do króla, w których nietylko Andrzej, ale i Jan na kanclerza nastawał i z tych się król mógł przekonać, że surowość jego do coraz nowych prowadzić będzie zatargów i zmusi do coraz większych ucisków, a ścigania niemal całej rodziny.

Miał przed sobą listy te kanclerz, i wiele innych, równie niepocieszających dokumentów.

Za Samuela o pomstę do Boga wołano.

List kasztelana gnieźnieńskiego mógł najboleśniej dotknąć Zamojskiego. Stał on dotąd zdala, nie mieszając się do spraw braci, którym był obcy; jak piorunem raziła go wiadomość o śmierci Samuela. W spiski, w winy braci, w zamachy na króla kasztelan nie wierzył, nie znał ich... miał je za potwarze; gwałt, czyniący zakałę rodzinie, dotknął go okrutnie.

List do króla kończył się okrzykiem boleści.

„Nie przyszło to uczynić Zamojskiemu dla dobra Rzeczypospolitej—pisał kasztelan,—bo ta nigdy nie była w niczem od niego obrażona, jeno z waśni a uporu swego przeciwko domowi naszemu, jako temu, który się zawsze o to stara i starać chce, jakby wszystkie domy co najcelniejsze w Polsce naprzód do niełaski waszej królewskiej mości przywiódłszy, wyniszczył do gruntu, czego już dosyć widzimy na oko, a sam siebie tylko i powinne swoje wynosi aż pod obłoki, a nigdy w niczem Rzeczypospolitej i waszej królewskiej mości zasłużone, którego nie tak jego godność, jako wielka łaska waszej królewskiej mości *ex stercore erexit pauperem* (ze znoju ubogiego wyniosła).

„Żal takowy w nas wiecznemi czasy uśmierzony być nie może, a życzyłbym sobie, niż do tego przyszło, aby była ziemia nas pierwej pożarła i potomstwa nasze, bo nie jedno my, którzyśmy zostali na świecie, ale i ci, którzy już są na łasce Bożej, by jaką wiadomość o tem mieli—i ciby równą żałość z nami mieli, do jakichś dyscensyi i trudności waszą królewską mość i wszystką Rzeczpospolitą wiedzie; daj Boże, aby to wasza królewska mość, jako we zwierciadle obaczyć raczył. Dalej i więcej żal, który się prawie z duszą łączy, nie dopuści mi pisać. Wszystko na łaskę waszej królewskiej mości i rozsądek przypuszczając, ostatek się do sejmu odkłada."

Przy czytaniu listu tego kanclerzowi, gdy Bech przyszedł do miejsca, gdzie żelżywie się wyrażał kasztelan, *ex stercore*... utknął. Spojrzał nań Zamojski i rzekł chłodno:

— Czytaj wasza mość.

Wahał się jeszcze amanuensis, gdy Zamojski zwolna mu papier wyjął z rąk, półgłosem przeczytał.

— *Ex stercore!*—pokręcił głową i oddał mu list, aby kontynuował.

Nic sobie niby nie czynił z tego wyrażenia, przecież go to zabolało i kilka razy w duchu powtórzył sobie: *Ex stercore!*

Na królu, który sam sprawcą wszystkiego był, listy te nie czyniły wrażenia; kanclerz cały ciężar odpowiedzialności dźwigał, jego tylko obwiniano.

Zborowscy czynili teraz nadzwyczaj dużo, bo im o przygotowanie umysłów do sejmu chodziło; nietylko do króla ze skargą wystąpili, zaskarżyli kanclerza do trybunału w Lublinie, a przedstawili rzecz w ten sposób, że trybunał, acz z oględnością, postępowanie Zamojskiego naganił.

Pismo to obeszło go najwięcej.

Powaga trybunału była wielka, mogli się nią zasłaniać Zborowscy. Zmilczeć też nie mógł kanclerz i odpowiedzieć musiał.

Tak mimowoli prawie wszędzie był wciągnięty, iż się tłomaczyć i odzywać został obowiązanym. Milczeć był wolał, lecz nie godziło się. Gdy w odpisach poszła mowa pana Andrzeja, miana przy wyprowadzeniu zwłok—i przeciwko tej protest zaniósł; do Lublina odpisywał, na wiersze odpowiadał, bo raz wszedłszy na tę drogę utrapioną, nie można było zawrócić.

Tak nie jeden ten wieczór, ale i dnie całe i noce czasem schodziły na sprawie Zborowskich, która miasto się przez to przygajać, coraz większą jątrzyła raną. Wszystkie żywioły nieprzyjazne przychodziły jej w pomoc, a szczególniej potajemne stronnictwo cesarskie, które się wielce radowało zawikłaniu.

Król z obojętnością pozorną, a wisotcie z zaciętością nieubłaganą przeciwko Zborowskim działać polecał. Listy ich trzymał, czytał i sam dawno sprawę osądził, a to, co o niej mówił Zamojski, było tylko powtórzeniem myśli królewskiej.

Gdy się to działo w Krakowie, marszałek tymczasem jeździł, zjazdy i sejmiki nawiedzał, do szlachty przemawiał, mów swoich kopie rozpuszczał w świat, listy rozpisywał, rodzinę najdalszą skupiał do wspólnego wystąpienia na sejmik w Opatowie; prośbę w Zborowie podpisali nietylko Jan, Andrzej, Krzysztof, ale Piotr, Krzysztof drugi młodszy i Jan Stobnicki, tłumacki, kamionacki starosta... wszędzie jedna powtarzała się groźba: *Hodie mihi, cras tibi.* Dziś nas to spotkało jutro całą szlachtę toż samo czeka!

Szlachta do tego stopnia już się poruszyła, że na sejm chciała nie przez posłów się stawić, ale gromadnie, tak jak na elekcyę, kto żyw... Odradzili to wszakże Zborowscy, aby o rebelię i najście gwałtowne ich nie oskarżono, i sejmu nie odwołano, a zatem i sprawaby odroczoną została.

W pierwszej chwili po ścięciu Samuela, gdy Zamojski nie raz, ale wielekroć z tem dał się słyszeć, że ten sam los zgotował dla Krzychnika i że tem samem prawem jego bez sądu i sejmu może karać na gardle, troskliwy o siebie Krzysztof, nie czując się zupełnie czystym, natychmiast pierzchnął i na ziemi cesarskiej schronienia bezpiecznego szukał.

Czynnym był za niego Andrzej, którego on radami wspierał, listów się już wystrzegając teraz, a ustne mu śląc informacye.

Postrzegli się jednak wkrótce wszyscy, że ta ucieczka podczaszego na niekorzyść jemu i sprawie wychodziła. Mimowoli mówiono sobie: gdyby się w sumieniu wolnym czuł, nie obawiałby się niczego.

Raz i drugi zagadnięto o to marszałka, który powrót brata obiecywał. Ale gdy Krzychnika namawiać przyszło, aby przyjechał, rozbiły się prośby i wymagania o najdziwaczniejsze a najrozmaitsze z jego strony wymówki. Życia dać Krzysztof wcale nie myślał, przyszłość mu się jeszcze uśmiechała.

Z panem Czarnkowskim, mówiąc w te czasy, ciągle powtarzał mu.

— Długo on panować nie może... nie my, to inny mu pigułkę przyprawi. Nieprzyjaciół ma dosyć, a jednego Zamojskiego za sobą. Ten, by Salomonem był, niestarczy.

Oskarżony o intencyę otrucia króla, Krzysztof zbiegłszy za granicę o tem tylko myślał, jakby się wypłacił kan-

clerzowi, jego obwiniając o zamach jakiś podobny, choćby na samego siebie.

W listopadzie 1584 zrodziła się z tego historya, na proszowiecki sejmik wyciągnięta, ale później pokryta milczeniem. Ciemno w niej... a rzecz się tak miała:

Krzychnik, za granicą przebywający, w oczekiwaniu chwili, gdy mu brat marszałek znać da, iż choć-na krótko bezpiecznie przybiedz może na zjazd jaki, aby się szlachcie okazać i obmyć z tchórzostwa, nagle przysłał do Andrzeja z językiem iż pojmał szlachcica, który miał od kanclerza Zamojskiego zlecenie, aby jego, Krzysztofa, ze świata zgładził, na co nawet była mu dana trucizna.

Panu Andrzejowi, gdy wiadomość tę odebrał, tak się ona zdała nieprawdopodobną, iż wierzyć jej nie chciał. Pocóż się miał uciekać do tego środka Zamojski, gdy w ręku miał inne, dostateczne, aby się zbyć Krzychnika.

Tymczasem wiadomość tę z ust do ust podawano, wiążąc do niej i nazwisko szlachcica, który się zwać miał Pruski.

Upłynęło czasu trochę, pchnął marszałek od siebie zaufanego człeka, aby Krzysztofa nawiedził i sprawę tej trucizny bliżej rozpoznawszy, wyjaśnił. Na lekko z takiem oskarżeniem wystąpić nie było można.

Gdy dworzanin marszałka powrócił, tyle tylko przywiózł, iż istotnie Krzysztof trzymał uwięzionego niejakiego Pruskiego, a ten głośno, nie brany na męki i nie zmuszany wyznawał, iż naprzód tentowany był o zadanie trucizny podczaszemu a gdy się temu nie opierał, przyrzeczono mu od kanclerza nagrodę znaczną i sprowadziwszy go do Krakowa, Jan Dzierżek w gospodzie u Toltynowej przygotowany jad ów oddał Pruskiemu, przy czem znajdować się miał chłopiec węgrzynek pana kanclerza. Listy też jakieś Zamojskiego w tej sprawie u Pruskiego znajdować się miały.

Jak się to wydało i w jaki sposób Krzysztof pochwycił Pruskiego, który dawniej u niego sługiwał, to się niby później okazać miało. Tymczasem zaś Pruski znajdował się pod dozorem na dworze podczaszego, i powtarzał codzień tę swoją historyę, a za nim opowiadał ją pan Krzysztof każdemu, do niego przyjeżdżającemu-

Kto zaś był ów Pruski nikt dobrze nie wiedział. Niegdyś wisiał przy dworze Krzychnika i gdy ten Wołoszyna był ułapił, co mu się potem okupować musiał za to, że siostry za niego dać nie chciał—Pruski był dozorcą przy więźniu. Zniknął potem z oczów wszystkim, jakoby na Wołoszczyznę się z hospodarem udawszy, aż zjawił się znowu z tą trucizną, ale bardzo biedny, odarty, z nosem krwawo zaczerwienionym od pijaństwa, złamany, przygarbiony, ochrypły i na włóczęgę wyglądający. Opowiadał, iż dla wielkiej nędzy podjął się trucizny, ale go później sumienie ruszyło...

Krzysztof przez posła dawał znać bratu, że będzie-li bezpiecznem na sejmik do Proszowic dnia 1 listopada 1584 przybyć, gotów z sobą przywieźć Pruskiego, aby ten publicznie uczynił zeznanie.

Charaktery dwóch braci, a licząc z Janem trzech wszystkich pozostałych, acz miały rysy wspólne, bardzo się jednak od siebie różniły. Jan był tak szlachetnym, iż złego nie widział i nie przypuszczał, a bracia też przed nim nie wszystko, co czynili, odkrywać mogli.

Andrzej i Krzysztof, podobniejsi do siebie, stali też w pewnej od siebie odległości. Oględniejszym daleko był marszałek, strzegąc się, aby na siebie nawet podejrzenia nie ściągnąć, nie oburzał się na to, co Krzysztof czynił, lecz obawiał się nieostrożności i fałszywego kroku. Pchnąłby on podczaszego, gdyby w tem niebezpieczeństwa nie widział dla siebie tak samo, jak niegdyś Krzychnik popychał Samuela, nim się posługując. Przebieglejszym był podczaszy, ale dla niego wszelkie środki bez wyboru dobre były, a awanturnicze usposobienie, pokrewne Samuelowemu, często go zadaleko prowadziło.

Nie bez przyczyny więc, znając go, krzywił się marszałek, słuchając opowiadania o Pruskim i o truciźnie. Wydała mu się ona niezgrabnie zmyślona na odwet za tę truciznę, o której wzmianka była w listach Krzychnika.

Dlatego posłał na miejsce badać, co zacz był ten Pruski i jakim sposobem mógł podczaszy do niego przyjść. Z relacyi zaś przywiezionej tyle tylko wyrozumiał, że Pruski dużo piwa pił, a napiwszy się—od rzeczy prawił.

Uląkł się, aby z takim świadkiem i gadką podczaszy nie przyjechał na sejmik do Proszowic i list napisał odradzający, w którym mu to czuć dawał, że się rzecz bardzo podejrzaną wydaje...

Rozgniewało to do najwyższego stopnia Krzysztofa. Odpisywać nie śmiał, bo się już na listach i na cyfrach sparzył, ale powiedzieć kazał bratu, że on też głowę ma na karku nie dla proporcyi, a na rzeczy się zna i plewy od ziarna rozróżnić umie.

Nadchodził sejmik w Proszowicach, na który miał przybyć podczaszy, aby okazać że się kanclerza i jego pogróżek o gardło nie lęka.

Wszystko niemal, co się tu przygotowywało, nie było Zamojskiemu tajnem. Tak, jak wprzódy Urowiecki krok w krok niemal za Samuelem jeździł, a Boksicki domownikiem będąc, zdradzał go, teraz też na dworze pana Andrzeja były służki kanclerza, a dojeżdżali jego ludzie do Krzysztofa.

Co się tu radziło, mówiło, gotowało, wiedział o tem Zamojski. Z sejmiku proszowickiego wielkich się rzeczy nie obawiał, ani spodziewał, ale go wiadomość o Pruskim, o Dzierżku do żywego poruszyła. Nie zwykł był gniewać się nigdy, ani unosić, tym razem jednak, znak krzyża świętego uczyniwszy, skoczył jak młodzik, gdy posłyszał, że on miał truć Krzysztofa.

Było to wprost śmiesznem, ale razem oburzającem. Wiadomo, jak szlachta drobna łatwowierna jest i chciwa plotek, zwłaszcza, gdy one możnych się tyczą i mogą ich obryzgać... Nic to nie pomagało, że baśń była niedorzeczną, tłumy w nią chętnie wierzyć mogły, a ubrano ją tak w pewne szczegóły, w nazwiska, iż miała jakąś barwę rzeczywistości.

Dzierżek, jako żywo, nigdy w oczy Pruskiego nie widział, ledwie go znał, a co gorzej, właśnie o tym czasie, gdy miał u Toltynowej oddawać truciznę, z polecenia hetmana w Knyszynie się znajdował. Węgrzynka żadnego dopytać nie było można.

Spytany o Pruskiego Dzierżek powiadał, iż go nigdzie indziej nie widywał, krom za stołem w browarze, albo przy kieliszku u Toltynowej, pijanego, pieśni wyśpiewującego, a gdy grosza nie miał, w najpodlejszy sposób żebrzącego w imię podupadłego szlachectwa swego.

Co się tyczy przyprawiania trucizny w aptece na rogu Grodzkiej ulicy, Dzierżek się odwoływał do Mroczka, z jakiego powodu tam śledzili i badali czy jej dostać można.

Jakim sposobem Pruski mógł wiedzieć, że Dzierżek u Fontanusa bywał,—w tem był sęk!

Wszystko to razem funta kłaków nie było warte, lecz duma Zamojskiego obrażoną była srodze i gniew przeciwko Krzychnikowi wzmógł się jeszcze. Poniżającem dla kanclerza było, że go śmiano w ten sposób nikczemny spotwarzyć.

— Mamci poddostatkiem na podczaszego sposobów i nie potrzebuję się do takich, jakich on używa, uciekać!

To, co kanclerza chwilowo oburzało tylko, króla jątrzyło do najwyższego stopnia. Dowiedziawszy się o potwarzy tej, krzyknął, węgierskiem przekleństwem popierając swe słowa, iż mu podczaszy nie ujdzie, że go infamem i banitą uczyni, a waży się z głową ukazać, to mu ją natychmiast ściąć każe.

Przed 1 listopada posłał raz jeszcze marszałek do brata, aby przybywał, ale z Pruskiego sprawą się nie popisywał, bo ona więcej złego, niż korzyści przyniesie.

Podczaszy stawił się na sejmik... Na pierwszym kroku spytał go brat.

— A Pruski?

— Mam go z sobą—odparł podczaszy.

— Alećże go produkować nie myślisz?

— Czemu nie? Na sejmik go nie poprowadzę, ale kto widzieć i posłuchać zechce, owszem, proszę, aby dał mu ucha... Mnie przecie o truciznę dla króla obwiniono, a jabym miał nieprzyjaciela oszczędzać.

— Któż da wiarę lada opojowi?

— Trzeźwym jest i będzie, zobaczycie... a przysięgą gotów stwierdzić, co mówi. Pan Bóg mi życie ratował, iż na niego, nie na innego popadł Dzierżek.

Zjechało wiele szlachty do Proszowic, aby Krzysztofa

słuchać, bo już o nim wiedziano, że się ukaże i mówić będzie.

Wystąpił przeciw Zamojskiemu z mową gwałtowniejszą, niż wszystkie. Marszałek strzegł pilnie, aby słuchacze byli przysposobieni do przyjęcia, jak należy... Usposobienie też dla Zborowskich, którzy karmili, poili i wszystko na szlachtę a moc jej zdawali, było jak najprzyjaźniejsze.

Czego w tej mowie nie było! Wyrzucał Zamojskiemu, że był szwagrem królewskim (sic) „niesłychana to rzecz w Polsce'', że zarazem koronę nosił, hetmanem był, żołnierzem rządził, władzę sprawował i posłuch nakazywał, a płacić mu za to musiano!

Dalej mówił, że Samuela zabił niewinnie, że jeszcze ich, Zborowskich, oskarżał o zamachy na zdrowie królewskie.

Gdy to mówił szlachta wzdychała. Pan Krzysztof wtrącił, że wzdychać i niewiasty umieją, a trzeba było działać. Potem, gdy się zaczęto z tem wyrywać, aby na sejm jechać gromadnie, oparł się. Prosił tylko, aby wybrano posły takowe, żeby się na żadną prywatę nie oglądali.

Naostatek z wielką ostentacyą podczaszy kląkł palce złożył i głośno wobec całej szlachty poprzysiągł.

— Przysięgam Bogu Wszechmogącemu i temu jego obrazowi świętemu, że się mścić będę krwi brata mego niewinnej do śmierci, nad nim i nad powinnymi jego... Wiem ci, że ten pan, jako szwagier królewski, pociągnie wiele ludzi za sobą, ale już „*pereat anima mea cum inimicis meis*'', (niech przepada dusza moja wraz z nieprzyjaciółmi mymi)...

Nie dosyć na tem—przysięgę tę powtórzył trzeciego dnia znowu i dodał: „aż krew krwią zapłaconą będzie''.

Co to znaczyło, łatwo było zgadnąć... Z Zamojskim bój o życie!

Z drugiej też strony wiedział to dobrze Krzychnik, że król zapowiadał, iż nie ustąpi dopóki infamisem i banitą nie uczyni podczaszego...

Z Proszowic miało to groźne wypowiedzenie wojny ząb za ząb, rozejść się na wszystkie strony po kraju.

Dotąd wszystko za zgodą marszałka i za wiadomością

jego się działo, ale z Pruskim wcale się nie powiodło. Szlachcic, przybywszy tu dla dania świadectwa, jak pierwszego dnia z wieczora upił się, więcej już nie wytrzeźwiał. Sił mu to dodawało do ciągłego powtarzania, jak u Toltynowej truciznę mu wręczono, której on pełną krobkę podczaszemu ze skruchą wręczył, jak Dzierżek mu złote góry obiecywał... Ale za każdym prawie razem inaczej tę swą powieść układał, a gdy go kto przyparł pytaniami i zmusił do oznaczenia czasu, do tłómaczenia ściślejszego, plątał się, bełkotał, a w ostatku nie wiadomo, co prawił.

Najłatwowierniejszym to nie starczyło. Szlachta odchodziła, głowami potrząsając. Z ciekawością skupiano się koło niego, odchodzono z zawodem.

Sam Krzychnik, który rachował wiele na ten swój wymysł, spostrzegł, iż z niego żadnej korzyści mieć nie będzie. Zaniedbano więc Pruskiego, który przy piwie potem drzemał i nikt na niego nie zwracał uwagi.

Pozbyłby się go chętnie podczaszy, ale puścić łotra nie było bezpiecznie, bo mógł schwycony, na mękach, albo i bez nich przyznać się do kłamstwa i wskazać, kto go do tego nakłonił.

Nie obawiał się o siebie podczaszy, bo sam tego nie czynił, ale po nici do kłębka dojść było łatwo. Musiał więc stawić straż przy Pruskim, pilnować go i nazad z sobą za granicę uprowadzić.

Wielka wrzawa około tej trucizny skończyła się na niczem, nastało milczenie, a marszałek, który przewidział niepowodzenie, gniewał się na brata.

Zagadnięty o to podczaszy, stał chwilę zadumany

— Słuchajno—rzekł do Andrzeja—to prawda, że z tego nic wielkiego nie wyrosło... ale ty myślisz, że małe gadanie i takie szkalowanie nic nie znaczy?... Pluń ty na wroga... nic mu się nie stanie, a no plwociny do sukni przywrzeją i plama zostanie! Jakoż, choć mało kto w truciznę Pruskiego wierzył, zdala ludzie mówili.

— Ba! jużciby tego z palca nie wyssali, coś tam być musiało... Jeśli nie kanclerz sam, ktoś z jego dworu coś zamierzał... Coś było!

I plwociny te w istocie nawet do kart historyi przywrzały.

Przez dni kilka z mowami się popisywali, kto żyw chciał w Proszowicach, wszyscy przeciwko gwałtownikowi, tyranii, uciskowi, na kanclerza pioruny ciskając, a na sejm takich posłów wybierając, którzy ani panu samemu, ani Zamojskiemu folgować nie mieli.

Burza ta przedsejmowa nietylko tu, gdzie ją sami Zborowscy podniecali, ale po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej grzmiała i huczała. Na chwilę upokorzona energią króla i Zamojskiego, szlachta chwytała pierwszą nadającą się zręczność, aby do dawnego powrócić zuchwalstwa i samowoli.

Zarówno Batory, jak Zamojski wiedzieli o tem i przygotowywali się do walki. Miał król za sobą zastęp ludzi znaczny, któremu nie na dobrej woli, ale na energii równej jego i Zamojskiego zbywało. Ustąpić nie myślano, owszem, walka miała ułatwić złamanie oporu i utrzymanie na przyszłość porządku.

Jak widomy znak zwycięstwa służyć miała sprawa Krzysztofa. Podstawą do niej były listy Wojtaszka, aż nadto dostateczne do wykazania winy podczaszego.

Król stał przy tem niewzruszenie, aby z całą surowością sądzono. Zamojski nie śmiał już nawet nakłaniać do powolności.

VIII.

Pod koniec stycznia 1585 roku, choćby może nie jeden wolał owo ciepłe piwko z grzankami pod piecem w domu smoktać, niż tłuc się drogami zimowemi do Warszawy, jechała szlachta dla sprawy Zborowskich, ciągnęli panowie dla niej, bo wszystkim ona stała na myśli, jako rozpoczęta wojna, w której niewiadomo było, kto zwycięży; król ze swoją prawą ręką, owym szarakiem „*ex stercore*

wyniesionym przez niego, czy możnowładztwo starego obyczaju.

Niepokój był w umysłach wielki, bo po za Zborowskimi stała cała przeszłość, dopominająca się praw swoich, a za królem o wilczych zębach niejasna przyszłość, cała w jedną garść ściśnięta.

Tymczasem może nie wszyscy to widzieli tak dobitnie, ale wszyscy czuli, że nie o jednych panów Zborowskich chodzi. Oni sami pierwsi rzekli złowrogie: *hodie mihi, cras tibi*, godło niegdy pod trupią głową kładzione, a dziś rzucone, jako groźba, całemu stanowi szlacheckiemu.

Drobna szlachta, chociażby była mogła i powinna stać przy Zamojskim, jako przy reprezentancie swoim, przeciw staremu możnowładztwu,—nie pojmowała jasno zadania i tradycye popychały ją za Zborowskimi. Ponad wszystko raziła i oburzała królewska samowola i energia z jaką on do panowania powołany, chciał panować w całem tego wyrazu znaczeniu.

Z niepokojem i ciekawością, kto mógł, zdążał do Warszawy, gdzie już król i Zamojski czekali na senatorów i posłów. Wszystko inne bladło i nikło przy sprawie Zborowskich, którą król z senatem miał sądzić.

Już zawczasu chodziło z ust do ust to pytanie:

— Jakto! król więc sam w tej sprawie zarazem ma być aktorem i sędzią?...

Na zamku wkoło kanclerza i króla ponuro było i cicho. Żadnego przepychu i okazałości... dwór skromny i niezbyt liczny, myśliwstwo tylko, węgrzyny ulubione, służba pańska, wozów trochę i koni, a do rozrywki i pociągania ludzi tak, jak nic. Nigdzie uśmiechającej się twarzy i wesołego głosu, ludzie surowego oblicza, chmurni, kancelarye pełne ksiąg i papierów, czeladzie sforne; — jak klasztor jakiś rycerski wyglądał ten dwór królewski.

A spojrzawszy na twarze, wyczytać było można w nich dumę, energię zbrojną, niemal wyzywające i przygotowanie się do rozpaczliwej walki.

Nie starano się nikogo pozyskać, nikomu uśmiechać. Król mało mówił, Zamojski gdy się odzywał, zapowiadał, że żadnych ustępstw po nim się spodziewać nie należało.

Pytano o Zborowskich, którym pozwy wydać miano, a szczególniej o podczaszego, obwinionego głównie; czy przybędzie—nie wiedział nikt.

Niemojewski, co go miał bronić, ruszał ramionami i milczał. Mruczano, azali glejt dostanie.

Marszałka i podczaszego widać nie było... Chodziły wieści jednego dnia, że przyjeżdżają, że już są na Woli, że ich widziano w okolicy, że gospodę mają zamówioną, ale nie przybywali dotąd.

Przyjechał tylko kasztelan, który dotąd wiernie stał przy królu, a z hetmanem razem wojował i dobrze się zasłużył, ale nie był to już ów dawny sługa powolny króla i hetmana sojusznik. Cios, zadany rodzinie, odepchnął go od Batorego, a daleko więcej od Zamojskiego, któremu wszystko przypisywał. Obowiązek krwi zazał mu stawać za braćmi, uniewinniać Samuela, bronić Krzysztofa, oczyszczać familię.

Wpół zabity kasztelan, pogrążony w sobie, zdał się ciągle powtarzać to, co w liście do króla napisał: „bogdajby nas była ziemia pożarła wprzódy, nim się nam stała ta zniewaga!"

Na sąd straszny wyglądał ten sejm, gotujący się zasiadać w sklepionej sali zamkowej. Posłowie niespokojni pytali już zawczasu, czy oni też, choć jako słuchacze, przypuszczeni zostaną, a Zamojskiego urzędnicy odpowiadali zimno.

— Jeżeli jego królewska mość z łaski swej przypuścić ich raczy!

Jechali posłowie z tem, aby głos ich zaważył w sądzie, choć w nim żadnego, prawnego udziału nie mieli; na miejscu znajdowali żelazny mur woli Batorego...

Senat z królem sam miał sądzić, a arbitrów nie potrzebowano.

Król nie starał się sobie ujmować, ani się zbliżał do nikogo; ku niemu patrzyli wszyscy. Blady był, żółty, a czarne oczy rzucały groźne wejrzenia i coraz to podnosił głowę dumnie, jakby gotując się do walki.. Kto się spotkał z jego oczyma,—wzroku tego nie wytrzymał.

O sprawę nie zagadywał nikogo, krom Zamojskiego—jasną była.

Pierwszego dnia tłum się nacisnął do sali, nie bardzo pytając dozwolenia; napłynęli posłowie, wtargnąwszy niemal siłą, zajęli ławy... dla panów senatorów dosyć miejsca zostało.

Wszedł Batory z ręką na szabli, bo mu ona, zawsze, jakby przyrosła, spadał a na tę rękojeść żelazną; wszedł za nim kanclerz, któremu krzesło za tronem zgotowano—dwaj zapaśnicy przeciwko całemu tłumowi.

Obu twarze surowe, ale na kanclerza obliczu spokój, wypracowany wolą potężną, u króla drganie namiętne nieopanowanego gniewu. który falami powracał.

Posłowie zdala wskazywali go sobie palcami, wydawał się im katem ich swobód... był wcieloną groźbą. Dotąd nie mieli i nie znosili pana, ten się nim czuł i stawił...

Na licach panów senatorów nic wyczytać nie było można; pogodnie patrzali arcybiskup i ks. biskup krakowski,—świeccy panowie zdradzali niepokój.

Wśród nich wyróżniali się tylko postawą dumną i zasępioną wojewoda poznański, Stanisław z Górki, wojewodowie smoleński i połocki, w których rysach grała niecierpliwość i rozdrażnienie. Reszta ciągnęła oczyma ku królowi, szukała Zamojskiego, który w papierach przebierał, a siedział tak napozór obojętny, jakby go sprawa wcale nie obchodziła. Malał on przy Batorym, choć go wzrostem i pięknością męskich rysów przechodził; dawny wojewoda siedmiogrodzki, Turka hołdownik, rósł tu na strasznego zapaśnika, który ponad sobą tylko Boga uznawał.

Pomimo tej groźnej króla postawy, która wrażała pewną trwogę, arbitrowie, co się nacisnęli gwałtem, a których już wyprzeć było niełatwo, szmerem i gwarem napełniali salę. Ile razy się one głośniej rozległy, widać było brew czarną Batorego zmarszczoną i z wymówką rzucane na kanclerza wejrzenie. Pytać się zdawał:

— Po co ich tu wpuszczono?

Blady promyk zimowego słońca przedarł się pasem od

okna na salę przyciemnioną i położył na chwilę u nóg tronu, ale wnet jak mgłą jakąś przysłonięty, zniknął.

Marszałek Opaliński miał wystąpić z urzędu, jako instygator, ale cichym głosem wypraszał się od tego, składając nieumiejętnością i niewprawą. Potrzeba było jurysty na to, on nim nie był, żądał więc, aby go Rzeczycki zastąpił. Rzecz była umówiona; król, bo on tu o wszystkiem sam wyrokował ostatecznie, krótkiem słowem przyzwolił,

Pozwani Zborowscy nie stawili się. Wystąpił w ich imieniu Niemojewski, mężczyzna dorodny,—pierś szeroka czoło podniosłe postawa trybuna, oblicze nieustraszone a groźne.

Samo wejrzenie, jakiem mierzył króla i Zamojskiego, dawało w nim poznać człowieka, który ani się ulęknie, ani da słowem pożyć, ani prawem złamać...

Obok rycerskiego charakteru, czuć było w tym rzeczniku Zborowskich prawnika, nawykłego ze statutami obcować i znajdować w nich to zawsze, co mu było potrzebnem.

Śmiałe wejrzenie nacechowane było przenikliwością, zgadywał myśli, gdy kto mówić zaczynał i odpowiedź dawał przed pytaniem.

Król go zmierzył niespokojnem okiem. Niemojewski buty nie okazywał, ale już był tak pewien siebie, jakby już wygrał sprawę.

Spierać się poczęto o glejt dla Zborowskich; inaczej stanąć nie mogli, nie byli pewni życia. Potrzeba im było tej poręki, iż w razie nawet, gdyby ich winnymi uznano a dekretu nie przyjęli, cali się usunąć będą mogli.

Przywodzono argumenty za i przeciw; król od początku wszystko, co na korzyść Zborowskich wypaść mogło, odtrącał. Zusposobieniem tem się nie taił, pobłażania nie obiecywał.

Wśród zabieranych głosów, tłum arbitrów zalegający głąb sali, zachował się, jak na sejmiku.

Obecność króla wprędce przestała zamykać usta i budzić poszanowanie, odzywały się głosy i śmiechy. Batory marszczył się, Zamojski zżymał. Zwrócił się ku niemu król jegomość i półgłosem rzekł po łacinie:

— Jutro precz ich wymieść, bo mi tu niepokój wnoszą z sobą.

Ale groźby tej nikt nie słyszał, a szlachta po swojemu dokazywała.

Wystąpił kasztelan gnieźnieński w obronie i po stronie braci.

Postawa starego wojaka zbolałego, przygnębionego, zadumanego, który mówił naprzemiany to płaczliwie, to namiętnie, na wszystkich czyniła wrażenie. Słuchano go z poszanowaniem ale cóż ważył głos miłości braterskiej, który musiał go czynić głuchym i ślepym?

Wśród wrzawy nieustającej upłynęło pierwsze posiedzenie; król w końcu nie taił, że mu się ono naprzykrzyło. Wyszedł, okazując zniecierpliwienie i gniew. Zamojski tak zimny i poważny jak przybył, wysunął się za nim.

Po wyjściu króla wrzawa jeszcze urosła; arbitrowie pozbierali się w gromadki, wyciągali jedni, stawali drudzy, rozprawiali wszyscy. Król im się wydał groźnym.

Oglądano się, mówiąc mimowoli.

— Nie przebaczy Zborowskim!—szeptali jedni do drugich.

Kasztelan gnieźnieński wyszedł; został się tylko Niemojewski, poseł Kazimierski i kilka nieznajomych szlacheckich chudych postaci. Senatorowie znikli niepostrzeżenie.

Z wróżb dnia tego dwudziestego ósmego stycznia, przyszłość już było można odgadywać. Walka naprózna...

Nim się z zamku rozeszli posłowie, już im w sieniach i podwórcu zapowiedziano:

— Jutro dla was król drzwi kazał zamknąć. Sprawa do was nie należy, a gwar dziś przynieśliście z sobą, który króla jegomościa rozgniewał i zniechęcił.

Jak strzała, poraziła ta groźba posłów, którym Zborowscy wmawiali, że oni mają prawo takiej sprawie głównej nie tylko się przysłuchiwać, ale zaważyć w niej swojemi: *vox populi vox Dei.*

Butniejsi już w podwrórcu poczęli się miotać.

— Nie może to być... posłami jesteśmy, posłano nas tu, abyśmy *visu et auditu* przekonali się, jak się u nas

sprawiedliwość wymierza. Oho! oho! nie wypchną nas. Drzwi oblężemy, pójdziemy do króla, do kanclerza... Król malowanym nie chce być, a my też posły malowanymi nie myślimy.

Ale pogróżki te były próżne. Chłodniejsi odparli:

— Do łaski króla jegomości stukać trzeba, siłą drzwi nie weźmiemy, a te już dla nas zaparte są.

Po mieście poniosła się sprawa ta... pójdą-li posłowie precz, czy doproszą się na arbitrów?

O panach Zborowskich, krom Jana, nikt nic nie wiedział. Mówili jedni:—Blizko są, gdy glejty otrzymają, zjawią się i staną, bo się nie obawiają, niewinność ich *clariol sole.* Drudzy mruczeli:—Nie głupi się pan podczaszy albo i marszałek sam w ręce kata oddawać, choćby glejty dostali, przez prokuratora się obronią, a nie staną.

Kasztelan gnieźnieński zagadywany milczał.

Na zamku cicho było i zamknięto. Senatorowie niektórzy odwiedzili kanclerza; przyjął ich tak milcząco, jakby nie wiedział nic. Ponad wszystkim stał król...

Chciał go łowczy wyciągnąć do lasu, odmówił. Innego zwierza miał na myśli.

Czasu innych sejmów ochoczo się rozrywano i odpoczywano po obradach, teraz patrzyli sobie w oczy ludzie i zdali pytać: Co to będzie?

Nazajutrz drzwi dla posłów stały zaparte, nie wpuszczono ich.

W korytarzach i na podwórcach niepokój wielki, żal i wstyd; wybrano poselstwo do króla.

Po niejakim oporze wpuścić kazał, ale groźno zastrzegł, aby się cicho zachowywano. Jak studentom w klasie dano naukę: *Silentium!*

Dnia tego żywiej się zawzięło.

Wojewoda poznański, Stanisław z Górki, wstał nie oglądając się na majestat pański i śmiało rzekł, że król we własnej sprawie sędzią być nie mógł, głosu nie miał... aktorem i sędzią prawo być mu nie dozwalało ogólne.

Batory zbladł, słuchając; jak zazwyczaj, gdy go najmniejszem słowem dotknięto, ręką uderzył po rękojeści szabli... Królem był, prerogatywy sędziowskiej odebrać

sobie nie dawał. Sprawa była Rzeczypospolitej, nie jego własna. Zdrajcy jej grozili.

Wojewodę poznańskiego nikt poprzeć nie śmiał, krom prokuratora Zborowskich, a król protestacyi tej ważyć nie myślał,—odpychał ją.

Wszystko się tak usuwało precz, co dalszemu przebiegowi sprawy stawać mogło na przeszkodzie, i instygator począł czytanie listów Krzysztofa, które stanowiły podstawę oskarżenia...

Własne jego pismo obwiniało podczaszego ale do tego, co w nim stało, przybyły nowe nowiny, stare grzechy...

Podczaszy począł już za życia Zygmunta spiskować na życie ostatniego z Jagiellonów, spiskował nieustannie, zdradzał ciągle, wziął okup od hospodara wołoskiego, od Batorego czasu bezkrólewia dostał dwa tysiące czerwonych złotych na potrzeby Rzeczypospolitej, a z nimi uszedł na dwór cesarski; spiskował z Samuelem i Ciołkiem na życie Batorego, zmawiał się z wielkim kniaziem moskiewskim, służył cesarzowi...

Oskarżenie, było jak kamień, przywiązany do szyi Krzysztofa; nie mógł z nim już utrzymać się na wierzchu, utonąć musiał. Czemże go obronić kto mógł, kiedy własne listy świadczyły i potępiały?

Przyjaciele Zborowskich stali niemi, kasztelanowi łzy ciekły po twarzy. Cały przebieg życia Zborowskich świadczył, jak byli dla króla usposobieni i jaki duch ich ożywiał. Obrona już wszelka teraz zdała się niemożliwą; szlachta pozostała milcząca, przywalona tem oskarżeniem.

Dla wszystkich jawnem było, że odeprzeć tych świadectw Zborowscy nie mogli, chyba prawnymi wybiegi, z sądu i form jego probując się wyłamywać.

Główny głos w obronie przypadał, oprócz jurysty, który miał statutami i prawem ogólnem szermierzyć, kasztelanowi gnieźnieńskiemu, a ten sam dawniej, gdy mu król listy ręką Krzysztofa pisane ukazywał, pytając, czy pismo jego poznaje, zmuszony był przyznać autentyczność. Cóż teraz mógł przeciwko niej powiedzieć?

Listy Krzysztofa nieopatrzne mówiły wiele, wypowiadały wszystko... Składano oprócz tego jakiś testament,

czy zeznania Samuela, który przed śmiercią do wszystkiego się przyznawał i spiskom z bratem nie przeczył.

Lecz coś w tych Samuela skryptach być musiało osłabiającego ich znaczenie, bo nie wiele o nich mówiono.

Z oskarżenia wychodził szczególniej podczaszy i Samuel jako dwaj wrogowie króla, którzy ustawicznie na życie jego nastawali.

Ciołek i Samuel w Krakowie chcieli z ptasiej rusznicy strzelać do niego. Zborowski później szukał miejsca w lesie do zasadzki. Krzysztof sam wprawdzie nie porywał się do czynu, ale do niego podżegał. Oprócz tego, gdy król z wielkim kniaziem moskiewskim wojnę wiódł, on się z nim zmawiał, pisał do niego, przysięgał mu służby wierne, przesiadywał na dworze cesarza...

Na marszałku nie ciężyła tak wyraziście wina jawna, ale stosunki jego z braćmi, zjazdy i umowy z Złoczowie, po innych miejscach dowodziły, że trzymał z nimi, jedno myślał i nie odwodził ich od zamachów.

Na Janie jednym nie było skazy, nie mieszano go też wcale do sprawy braci, ale on sam dobrowolnie przy nich stawał... Na obronę co tu wywieść było można? Chyba tylko starać się zyskać na czasie. Żądano dylacyi, odroczenia...

W ciągu tych rozpraw król był ciągle przytomnym. Słuchał, milczał, spoglądał groźno. Wielu rozpraw po polsku rozumieć nie mógł i musiano mu je tłómaczyć. Potrząsał głową obojętnie.Co tu ważyły słowa i subtelne wywody,—wina leżała jak na dłoni. Batory był swojego pewnym!

Wobec tego upokorzenia nieprzyjaciela, bezpieczen, ani się rozpogodził, ani złagodniał.

Ilekroć żądano ulgi w formach, odmawiał... odroczenia nie chciał dopuścić. Prędko i stanowczo musiała się rzecz rozstrzygnąć. Przy nim i Zamojskim musiało być zwycięstwo; nic nie pomagały wykręty i wybiegi prawne.

Kasztelan gnieznieński musiał jednak stanąć w obronie. Zadanie było trudne, prawie nie do podźwignięcia. Co miał powiedzieć przeciwko własnoręcznym listom Krzysztofa? Prawda, charakter i pismo były do Krzychnikowych podobne, ale czyż pisma sfałszować i podrobić nie

można? Wszak znano powszechnie Dymideckiego, który rękę króla Stefana tak doskonale naśladował, że jego pisma sam on od własnego rozpoznać nie mógł.

Jan dawał do zrozumienia: *id fecit cui prodest!*

Dowodzić nie mógł fałszerstwa, ale je przypuszczał, bo braci znał z innej strony, bo zdrajcami ich nie uznawał; ;wiedział tylko, że prześladowani chcieli się oba usunąć na Maltę i kraj zupełnie opuścić.

Wszystko to niewiele zaważyć mogło obok brzemienia, jakiem instygator obciążył Zborowskich.

Jan przypuszczał, listy dowodziły winy. Kasztelan tylko na Wojtaszka, którego nie ukazywano, rzucił podejrzenie, że wywłoka, który suknię duchowną zrzucił a za lutnię dla rozpusty pochwycił, nie był zaufania godnym.

Tymczasem wszystko świadczyło przeciwko Zborowskim; znaleźli się, co podczaszego widzieli na dworze cesarskim, gdzie z moskiewskim posłem wchodził w zmowy. O listach moskiewskich świadczyły także i papiery po Ościku ściętym,—świadczył pan Łaski.

Naostatek ciężyło na marszałku i na podczaszym to nawet, że mimo glejtów nie ważyli się sami stawić przed sąd. Pytano o nich codzień, gdzie byli?—Nikt nie wiedział; o podczaszym twierdzono, że się zawczasu schronił na cesarską ziemię. Marszałek też się nie ukazał, choć daleko mniej był obwinionym i na równi z Krzysztofem potępionym być nie mógł.

Reszta sprawy już formą tylko być mogła. Król się widomie niecierpliwił; jednego dla choroby na sądy nie przyszedł, inne zeszły na długich a daremnych wywodach niewinności. Czas upływał.

Na obliczu królewskim z każdym dniem dobitniej malowało się zniecierpliwienie. Czasem nie słuchał i nie pytał, siedział wpatrzony w ziemię i drgał tylko, gdy silniejszy głos go obudził.

Tak samo Zamojski w swych papierach przebierał, mało albo nic się nie odzywając, nie mieszając z dobrej woli,—czuł się niepotrzebnym.

Po senatorach można już było odgadnąć za kim staną i głosować będą zmuszeni. Trzej tylko, o których mówi-

liśmy, z panem wojewodą poznańskim na czele, widomie ze Zborowskimi ciągnęli.

Ks. arcybiskup gnieznieński znudzony raz Niemojewskiemu zadał, że go *ad nauseam* swojemi żądaniami ekscepcyi znudził.

Paszkwił łaciński na króla, który wyszedł na stół, bo i ten przypisywano Zborowskich natchnieniu, rzucił ks. arcybiskup z pogardą i jako humanista, tylko mu to zadał, że łacina była licha, a wiersz niewiele wart...

Koniec było przewidzieć łatwo.

Posłowie, co tak z początku hałaśliwie się znajdowali, siedzieli teraz, jako świadkowie, lecz twarze im się powydłużały, czoła pomarszczyły... stracili wiele z pierwszej swej buty i śmiałości. Przygniotły ich dowody, czytali też z twarzy senatorów, że Zborowscy sprawę przegrają.

Najpobłażliwszy z sędziów nie mógł oczyścić podczaszego, tak się on sam oplątał i związał.

Na mieście, gdy się dzień skończył, szlachta nie bujała po dawnemu, nie było się czem weselić. Król zwyciężał—Zborowskich *hodie mihi, cras tibi*, brzmiało głośniej, niż wszystko. Wolnościom szlachty i panów przychodził koniec!

Począwszy od Zborowskich, Batory musiał iść dalej i nie dopuścić, aby mu kto stawił opór.

Przyszłość stawiła się czarno i posępnie. Do Zamojskiego nikt się nie zbliżał, nikt go nie szukał, on też nikogo.

Batory nawet o ulubionych łowach zapomniał, nie dawał się w las wyciągnąć. Sokoły i psy stały pozamykane lub z dozorcami swymi wychodziły tylko na przechadzki.

Warszawa była smutną a panom posłom zaczynała się stawać niewygodną i nudną.

Po obronie kasztelana mówił znowu instygator, przyszła kolej na prokuratora, stającego w obronie obwinionych. Niemojewski nie mógł powtórzyć za kasztelanem, iż listy podrobione być musiały; jurysta szukał innego środka unieważnienia ich i znalazł w postanowieniach ogólnych prawa, które świadectwa listów zażywać i niemi się posługiwać wzbraniało.

Listy były własnością tego, do którego były pisane,

nikt ich sobie przywłaszczać i użytkować nie miał mocy. Był to jedyny, ale nader słaby argument zręcznego, ale nieszczęśliwego obrońcy.

Z gorączkową niecierpliwością zbliżał się wyczekiwany koniec. Posłowie nie mogli wątpić o nim. Z senatorów, wiadomo było, iż zaledwie kilku za Krzysztofem głosować mogło i to na formach się opierając, nie na treści.

Gdy zapytywano ichmościów, milczeli, poruszali ramionami, a naostatku przebąkiwali:

— Cóż przeciw oczywistości uczynić można?

Rola posłów, o których wybór tak nalegał Krzysztof, bo na nich rachował, stawała się coraz trudniejsza, a raczej schodziła na wcale nieznaczącą. Domagali się oni, aby przysłuchiwać się mogli; wpuszczono ich, nakazując milczenie. Cóż dalej czynić mieli?

Pozostawało panom senatorom objawić zdanie, a królowi na mocy jego i własnego przekonania wydać wyrok. Że Stefan surowo miał skarcić zdrajcę kraju i zamach przeciwko sobie, wiedzieli wszyscy.

Posłom nie pozostawało nic, tylko się rozmówić z panami senatorami i okazać im, że oni wraz z niymi starać się byli powinni wyrok ostateczny złagodzić, odroczyć, słowem nie potępić podczaszego i nie zabić imienia Zborowskich. Zgłosili się o to aż do króla jegomości, dając krokiem tym uczuć, iż i oni czuli się obowiązani coś czynić.

Król lekceważąco odpowiedział. Pozwolił posłom znieść się z panami senatorami, ale żeby to żadnego charakteru urzędowego nie miało i znaczenia nie nabrało, kazał im oznajmić, że w sali obrad gromadzić się nie dozwala. Mogą sobie w prywatnych mieszkaniach, pojedyńczo mówić i naradzać się z nimi.

Odpowiedź ta miała znaczenie jasne:

— Nie mieszajcie się do tego, co do was nie należy... Możecie płakać i użalać się nad losem Zborowskich, ale ciosu od nich odwrócić nie potraficie; urzędownie zaś, na sali, mieszać się do sprawy nie macie prawa...

Posłowie odeszli odprawieni z niczem. Śmielsi z nich odzywali się butnie, ale nie mogli począć nic. Król był w swojem prawie.

— Ano—zamruczał Kazimierski—trzeba, aby prawdę usłyszał; milczeliśmy długo, w końcu mu naukę dać potrzeba.

Inni milczeli.

Po kątach, po klasztorach, refektarzach, gospodach, szlachta się zbierała do swych senatorów.

— Nic więc dla Zborowskich nie uczynicie?

— Nie możemy nic.

Naciskano z jednej strony, odpierano z drugiej. O królu mówili wszyscy, że nie ustąpi. Czegoż się więc miał spodziewać podczaszy? Co najmniej dekretu takiego, jaki ciężył na Samuelu—wywołać go miano... Ale banicya Samuelowa nie ściągnęła za sobą infamii, a tu... zażartość króla i moc dowodów winy kazały się nawet ostatecznej kary, równającej głównej, spodziewać.

Kto ze dworu od kanclerza mógł się co dowiedzieć, przynosił tylko najgorsze zapowiedzie Infamia go czekała... *Crimen lesae Majestatis*.

Spojrzawszy na oblicze Batorego, ani się było można spodziewać, aby ten mąż nieubłaganego serca mógł się ulitować. Wrogom odpłacał nienawiścią najpotężniejszą; ani chciał, ni umiał się chrześcijańskiem uczuciem uśmierzać.

W ostatnie dni rosło poruszenie w umysłach, a juryści mu pokarmu dostarczali, dowodząc, że stare prawa i statuty, szczególniej przywilej Aleksandra poszanowane nie były, że sprawę sądzono nie obyczajem i formą zwykłą, ale samowolnie i nieprawidłowo.

Milczeli na to panowie senatorowie, więc do posłów należało zaprotestować przeciwko winowajcom na korzyść królewskiej władzy. Podejmował się tego Kazimierski

— Słyszysz—mówili doń śmiejąc się drudzy—widziałeś już raz, jak się król jegomość za kord pochwycił; powiedz mu co, a zrozumie-li, znowu się porwie za żelazo, bo ono u niego argumentem jest najpotężniejszym.

— A ja to korda u boku nie mam?—odparł Kazimierski.—Albo to ja nie od tych idę przodków, co za Jagiełły pergaminy w izbie na szablach roznosili w przytomności majestatu?

Dosyć było Kazimierskiemu w ten sposób bębenka podbić, aby pewno jak najgwałtowniej wystąpił.

Tymczasem odkładano ostateczne ferowanie wyroku, choć go wszyscy czytali na czole Stefana i w ponurem obliczu Zamojskiego.

Przyszło do głosowania... i stało się to, czego oczekiwano,—krom trzech senatorów świeckich wszyscy inni znajdowali podczaszego winnym, występek jego dowiedzionym.

Król coraz bardziej rozgorączkowanym zjawiał się na sali, coraz niecierpliwszym, coraz groźniejszym... Za szablę brał i ledwie go Zamojski wejrzeniem mógł mitygować.

Sprawa poczęta zaraz pierwszych dni sejmowych, przeciągnęła się do jego zamknięcia—uznano Krzysztofa winnym... Świadkowie musieli jeszcze przysięgać.

Król z rozdrażnienia zachorował. Wrzawa i protesty dokoła rosły. Wołano o zwłokę pod pozorem choroby oskarżonego; nie dopuścił jej król dlatego, że osobiście i tak nie stawał.

Zamojski przy jednym ogniu swoją też pieczeń przystawiwszy, pozwał o potwarz niedowiedzioną, jakoby przez Pruskiego podczaszego truć zamierzał.

Dnia 12 lutego marszałek koronny czytał:

„Przeto tego Krzysztofa Zborowskiego król jegomość poczciwości odsądzać raczy i wszystkie prerogatywy, i urzędy, i wolności, coby stanowi szlacheckiemu należały, od niego odejmuje, a bezecnym go czyni, a nie jedno jego, ale i te wszystkie, którzy mu *consilio*, *auxilio*, *favore* (radą, pomocą, sprzyjaniem) pomocni byli, albo w domach i majętnościach swych przechowywali, taką winą karać, *cum confiscatione omnium bonorum mobilium et immobilium* (z zaborem wszelkiego mienia, tak ruchomego, jak i nieruchomego) i nie zaniecha król jegomość dać mandatów do wszystkich starostw, aby był iman i na gardle karan; ażeby wiadomość tego wszędzie doszła każdego, przyznawa król jegomość woźnego, aby publikować to po wszystkich placach wedle prawa. A iż też miał sprawę z panem kanclerzem o potwarz, którą ułożywszy—

nie dowiódł, o co dekretem jegomości był skazan rewokować to, to jest wedle prawa odszczekać, *in defectu* na dnie wieży rok siedzieć, jako o głowę i tak płacić, to w dość nieuczynieniu ma go infamią skarać król jegomość, iż temu tedy dość nieuczyniwszy dekretowi infamii podległ, a pod tę poenę podpadł, tego bezecnego Krzysztofa Zborowskiego znowu król jegomość czci odsądza; w takiejże sprawie, takiej poenie podpadłszy i od pana Dzierżka, potrzeci raz go król jegomość czci odsądza".

Po trzykroć więc infamem obwołany był Krzysztof a wyrok na niego sroższym był, niż ów doraźny na Samuela.

Nie było litości, nie było dylacyi, nie pomagała choroba, nie chciano słuchać obrony.

Milczeniem grobowem przyjęto czytanie wyroku. Posłowie patrzyli po sobie. Prawomocnym był; do Boga tylko odwołać się było można od niego.

Lecz jakby to wszystko nie nasyciło jeszcze ani króla, ani Zamojskiego, król patrzał posępnie i jeszcze bardziej wyzywająco, kanclerz milczał

Posłowie się nie odzywali dnia tego. Sejm miał się zamknąć.

Wyrok na Zborowskich, bo choć imię Andrzeja objęte w nim było nie, stał on w nim dotknięty, wymieniony, potępiony, — uczynił wrażenie straszne.

Kasztelan gnieźnieński nie słuchał czytania, chory leżał; pomiędzy nim, dworem, a hetmanem stała przepaść.

Zestarzały nagle, chciał zdjąć z siebie urzędy, zrzec się godności i pójść albo umierać lub w boleści czasów lepszych szukać.

— Zborowskim koniec! — powtarzali partyzanci kanclerza. — Złamani są! Wie teraz szlachta, że król z siebie szydzić i lekceważyć się nie da.

Wieczorem wszedł kanclerz do króla, który samotny siedział w sypialni, jeszcze na żółć chorując zburzoną.

Bucella stał przy nim, lekarstwo dawał, ale co innego radził: rozrywkę, ruch, polowanie!

Król głową potrząsał.

Na dwóch zwycięzcach tryumfu nie było widać, tak jak ani na jednej twarzy nie można było wyczytać radości z tego dekretu. Nie zaspokajał on nikogo, bo Stefan i kanclerz wiedzieli, że Zborowscy — banici będą strasznieisi może, niż gdyby spiskowali w domu. W spadku po nich zostawała szlachta zburzona i zniechęcona do króla.

Przyszło nareszcie zamknięcie sejmu. Wystąpił Kazimierski w imieniu posłów, mówił od całego ich zgromadzenia, co przemówieniu wagę nadawało. Mówca był może nie dosyć jasny i pan siebie, aby obmyślił rzecz swoją, ale miał nieustraszoną odwagę.

W imieniu starych praw i porządku uderzał na inowacye samowolne, na nieposzanowanie tradycyi; mówił otwarcie w oczy królowi, że w sprawie Zborowskich nie poszanowano praw i przywilejów, protestował głośno, gwałtownie, nie tak oratorsko i wymownie, jak gorąco i zuchwale.

Oko w oko, z ręką podniesioną, nie unikając wejrzenia króla, wypowiedział jasno wielki żal, jaki miała szlachta — posłowie do pana.

Batory słuchał i bladł, drżał i na jego twarzy pofałdowanej coraz dobitniej piętnowały się gniew i duma.

Wstrzymywał się. Arcybiskup gnieźnieński, który z niego nie spuszczał oka, drżał także i zdawał się chcieć stanąć pomiędzy zapaśnikami, którzy się wyzywali wzrokiem. Ale Kazimierski był spokojny, Batory nie panował nad sobą; poseł jurystą, król się czuł żołnierzem. Pierwszy z nich nawykł do pocisków słowa, drugi na kule prędzej, niż na obelgi wystawić się był gotów.

Gdy Kazimierski dokończył, porwał się król z siedzenia i wybuchnął... Oto były słowa jego, jak je świadkowie dla potomności spisali:

„Nie jestem służalcem, ale człowiekiem wolnym z urodzenia, ani mi też wprzódy, nimem w te kraje zawitał, brakło na pożywieniu i odzieży. Miłuję ja wol-

ność waszą i takowej za wolą Boską przestrzegać będę, lecz też nigdy nie ścierpię, by moja swoboda w czemkolwiek naruszoną, uszkodzoną, lub najmniej ubliżoną została! Z waszego własnego żądania i nalegania obrany za króla waszego tutaj przybyłem, a samiście koronę na głowę moją włożyli, jestem więc królem waszym, nie zmyślonym ani malowanym, ale prawdziwym i prawnym, chcę przeto rządzić i panować i nie dozwolę, aby kto nade mną panował. Jesteście stróżami waszej własnej wolności: nie chcę więc, abyście byli mojemi klechami, strzeżcie zatem i brońcie waszych wolności, lecz dajcie na to pozór, aby ta wolność wasza źle użytą nie była. Rzecz godniejsza pociąga za sobą mniej godną, pęta podwójne bardziej wiążą, a każda moc z rozerwaniem węzła słabnieje.

„Celem każdej Rzeczypospolitej jest pożytek ogólny i dobro narodu, o które się usilnie staram, nie zważając na głosy złośliwe

Panowie senatorowie! albo mi uczyńcie sprawiedliwość, albo mi rozwiążcie te ręce, któreście mi prawami waszemi związali, a ja się pomszczę krzywdy mej”.

Król kończąc, tak wzruszonym był, że się chwycił do korda, nie już jak wprzód, grożąc im, ale gotów go obnażyć, co ujrzawszy Karnkowski, arcybiskup gnieźnieński i inni senatorowie przypadli, otoczyli, rzucili się przed nim na kolana, starając się wielki gniew ukoić — i król powoli ochłonął.

Walka była nie doszła, odłożona, ale pokoju się spodziewać nie mógł nikt.

Mrucząc, szemrząc, napoły wylękła, nawpół obrażona szlachta szła z zamku precz, gdy kanclerz i mała gromadka króla zwolna do jego pokojów odprowadzała.

Strwożyło się wielu, ale serce niczyje nie nakłoniło, umysł nie uspokoił; postępowanie było zbyt gwałtowne z ludźmi, nienawykłymi do niego oddawna.

Ktoby był wówczas przewidzieć mógł, że ten Zamojski co tu za królewską władzą i w jej obronie stawał, wkrótce przeciwko następcy Stefana z tymi samymi wichrzycielami w jednym wystąpi szeregu!

Nieprędko potem owe dekrety na Zborowskich zdjęte z nich zostały.

IX.

Gdy się to działo, coraz podnosił głowę Wojtaszek, bo już wkrótce panów Zborowskich i ich przyjaciół nie miało stać, a on oswobodzony od prześladowania, mógł się, jako chciał, po świecie obracać.

Tytuł lutnisty jego królewskiej mości dobrze mu się nadawał, tyle tylko niewygodnym był, iż wiązał go do miejsca i dworu. W Krakowie się teraz na to nie skarżył bo mu tu nikt nic nie mógł uczynić.

Nie ważyłby się żaden Stadnicki, nie myśleli o nim inni, a choć czasem spotykał Włodkowę, nie obawiał się ani jej, ani ludzi. Cicho się to wszystko przesuwało.

Włoski więc kapelusik z piórkiem włożywszy na głowę, której włosy trefił starannie, z lutnią na plecach, wybierał się do miasta i po znajomych domach, chętnie przyjmowany, piosnki śpiewał, albo wygrywał na strunach cudne rzeczy. Dziwiono się biegłości i wynoszono go pod niebiosa.

Dziewczęta, gdy ulicami przechodził, długo za nim uśmiechając mu się, patrzały i wzdychały. Śmiały był i nie ustępował przed nikim.

Gdy go rozpytywano czasami o pochodzeniu, plótł baśnie osobliwe, nie przyznając się do habitu, który nosił, do chleba pauprów, który jadł, do zdrady, jaką na Samuelu dokonał... którą Krzysztofa i Andrzeja na wygnanie skazał.

Trumfował może w duchu, ale pociecha a duma z odniesionego zwycięstwa zmieszana była z goryczą.

Sam nie wiedział, czemu i złego pana, którego nienawidził i tych ludzi, jakich tam znał koło niego, nawet

głupiej Motrunki, co go tak kochała, żałował, a gdy się czasem o tej przeszłości zadumał, siedząc na ławie w antykamerze to mu lutnia niepostrzeżenie wyślizgiwała się z ręki, i padała na ziemię, inni lutniści śmiali się z niego a on gniewał się i burczał.

Czasem wśród pieśni coś mu się przypomniało, ukłuło w serce, zaciemniło oczy, głos odebrało.

W nocy we śnie zawsze tylko widywał swą przeszłość, nigdy teraźniejszości. Żył tak, powiedzieć było, można, żywotem dwoistym: we dnie na dworze króla, w nocy — na dworze Zborowskiego! Sen go w przeszłą znowu rzucał niewolę, a w nim odnawiało się, co przeżył i poplątane dusiło go zmorą.

Tam on nieszczęśliwym był, prawda, ale kochał i kochali go czasem, wszyscy mu byli swoi, a tu nikt nań nie zważał, był obcy wszystkim, nienawiści nawet nie obudzał, a i ta by była lepsza od tego, iż go nie widziano, nie rachowano, nie słuchano.

Byłoż to życie?

Wojtaszek myślał, iż sobie jakieś nowe zrobić trzeba, lecz by je począć, gdzieś musiał jak pająk nitkę przylepić do ściany i snuć przędzę i czatować.

Inaczej on życie rozumiał. Błądził tak i ziewał. Czasem znudzony, szedł gdzie do gospody i kazał dawać wina, pił sam, upijał się, śpiewał, szalał, zasypiał. Wstawał potem rozbity.

Na ładnej też jego twarzy ten rok wydeptał przedwczesne marszczki i pomalował ją żółto. Skórę obciągnął na kościach ciaśniej, a kości stały się wydatniejsze.

Gdy się przeglądał w zwierciadełku, które zawsze przy sobie nosił (skradł je niegdyś Anusi), widział, że się zestarzał, a czuł się jeszcze tak młodym!

Chciał coś począć, ale sam sobie zostawiony — nie umiał. Przyszedł mu na myśl wreszcie Węgier, Cobar, który zawsze jeszcze był przy królu, i gdy z nim przyjechał do Krakowa, Wojtaszek się stawił raz u niego.

Nie przypomniał go sobie nawet z początku.

— A toś ty jest? — rzekł.

— Tak, miłościwy panie — odparł, z nogi na nogę przestępując lutnista — przyszedłem do łaski waszej. Trwam, jak widzicie, na dworze; honor to dla mnie, że się zwę lutnistą i śpiewakiem jego królewskiej mości, ale mnie tu nikt nie potrzebuje, ani słucha. Drudzy muzycy koszyki plotą i strzały strugają, nie mając co czynić, mnie też nudno, a młodość uchodzi.

— Czegoż ty chcesz? — odparł Cobar posępnie. — Jurgelt ci płacą, barwę ci dają, jesz z dworskiej kuchni.

Wojtaszek się poruszył, jakby nie wiedział już, jak tłómaczyć.

— Chcesz-li ode dworu iść precz? — zapytał Cobar.— Nikt cię nie trzyma, ale patrz, abyś tego nie żałował. panów, coby lutnistów potrzebowali i płacili, jest niewielu. Cóż poczniesz?

Wojtaszek kapelusik miął w ręku.

— Nie wiem, co począć, ale tu z nudów i próżnowania mało człek nie kona... Trzeba iść w świat! Trzeba w świat!

Ufasz widzę w to, że Zborowskich już niema i nikt cię nie ułapi; ale przyjaciele ich żyją, a o tobie pamiętają, żeś ich na infamię dał i na wywołanie...

— Oni dziś nic nie mogą, a sami się w mysie dziury chować muszą—rzekł Wojtaszek.

— Więc ci się swobody chce?—odezwał się Cobar.— A! no, myślę, że ją jego łatwo królewska mość da, ale jeśli sądzisz, że wiatyk dostaniesz szczodry, mylisz się Wojtasiu. Pan jest oszczędny a wojny nas dużo kosztują. Mógłbyś u kanclerza co wyprosić, boś i jemu przysługę uczynił, ale on także szczodrym nie jest do zbytku.

— Popróbuję—rzekł Wojtaszek—a już miłości waszej tylko o odprawę i świadectwo dopraszać się będę.

Cobar ruszył ramionami i odprawił go do pojutrza. Stawił się Wojtaszek, ale Węgier się przyznał, że zabył mówić o nim.

— Przyjdź jutro—dodał.

Przywlókł się nazajutrz, było zawcześnie, a potem Cobar i pan do Niepołomic odjechali.

Znowu więc na ławie siedząc, ziewał Wojtaszek i cze-

kał, a nudził się straszliwie... a zamek mu już tak dojadł, że na jego mury patrzeć nie mógł.

Włóczył się po ulicach... Jednego dnia spotkał ojca Czesława. Mnich go poznał. Chciał mu ujść z drogi, zapóźno było.

— A co, zdradliwa ty żmijo!—odezwał się do niego dominikanin—a co? Jesz chleb w krwi maczany, smakuje ci? hę?

Wojtaszek nic nie odpowiedział, lutnię trzymał właśnie w ręku, brzdąkał po strunach i czekał obojętnie, aż go mnich minie.

O. Czesław patrzał ze wzgardą na lutnistę.

— Samuel choć w chwili zgonu skruszon był—rzekł.— Kto wie, może mu Pan Bóg przebaczy, a ty?

Wojtaszek w bok spoglądał.

— Ja ci powiem, co cię czeka—rzekł ksiądz. — Ty zginiesz marnie... w tobie dusza dawno zgniła!

I poszedł.

Lutnista ruszył ramionami i zamruczał:

— Klecha obrzydły!

Obejrzał się na niego. O. Czesław szedł spokojnie, ręce w rękawy pozakładawszy. Stawał czasami, witał, mówił coś i mijał przechodzących, aż wśród nich zniknął.

Jednego dnia, gdy się tak Wojtaszek wlókł Grodzką ulicą, spotkał oko w oko Borowskiego, ale nie był to ten Borosio od sokołów, którego Samuel tak lubił: zbiedniał, wydarł się i wychudł na trzaskę, a nogami wlókł, bo co ciało całe straciło, wszystko do nóg mu poszło. Te były, jak kłody; kijem się podpierał, co chwilę stawał i dychał.

Poznawszy Wojtaszka, jak wrósł w ziemię i stanął; na złość mu lutnista zbliżył się do niego.

— Czołem tobie Borosiu! A co? a co? nie stało Samusia... Dałeś go wziąć, sam drapnąwszy... cóż teraz poczniesz? Na dziady ci pod kościół, na dziady!

— Kiedy Zborowscy głowę dają, co za dziw, że Borowski na dziada zejdzie—odparł, trochę się ożywiając, biedaczysko—to tylko Wojtaszkom, jak kotom się dzieje. Żeby padli i z wieży, zawsze na nogi!

Wojtaszek rozdobruchał się.

— Wiesz, jam królewski sługa, a ty?

— Ja niczyim.

— Cóż robisz?

Borowski nie odpowiedział.

— Jest tu was dużo takich niedobitków, jak ty?— pytał Wojtaszek.

— Nie znam nikogo.

— A na Franciszkańskiej ulicy?

— Pusto dom stoi... kto w nim ma być?

— Cóż z Olesiem się stało?—ciągnął Wojtaszek.

Borowski, jakby się uląkł tego wypytywania, nagle zamilkł.

— Nie wiem—rzekł, gdy mu Wojtaszek pytanie powtórzył.

Szydersko i i złośliwie zmieniła się twarz Wojtaszka.

— A z Anusią?

To zapytanie poufałe, bez poszanowania córki pana, oburzyło Borowskiego i burczyć coś począł, a kij podniósłszy, chciał iść dalej.

— Cóż? I gadać ze mną nie możesz?

— A poco?—odparł Borowski.

Na całe gardło i bez przyczyny począł się śmiać Wojtaszek... i poszedł w jedną, a Borowski w drugą stronę.

Biedny stary, choć może zgrzeszył przestrachem w pierwszej chwili, odpokutował za to srodze. Dręczyło go sumienie, pokoju nie miał. Dawali mu litościwi przytułek w domu na Franciszkańskiej ulicy, tam się tulił, a żył, jak te ptactwo, które żywi opatrzność Boża. Widok Wojtaszka nawskroś go przejął; pytanie o Anusię przestraszyło.

Powlókł się do domu.

W dziedzińcu właśnie stały kotcze i niewiasty z nich wysiadały. Poznał Włodkowę i Anusię. Choroba uczyniła go bojaźliwym.

— Kto wie—rzekł sobie w duchu, stanąwszy zdaleka— kto wie, po co ten złoczyńca pytał o naszą Annę? Zbój jest...

Powolnym krokiem przysunął się do ganku. Poznała go Anusia.

I w tej rok jeden wielką uczynił odmianę. Wyrosła,

zmężniała, wypiękniała, a ruchy, głos i wejrzenie miała tak przypominające ojca, że Borowskiemu, patrząc na nią, powieki nabrzmiały.

— Borosiu!—zawołała do niego—tyś to biedaku?

— Jam-ci, paniusiu moja, ale nie Borowski dawny, tylko już ono chłapeć, który z niego pozostał.

I począł, nogami wlokąc, iść ku niej.

Stała i spoglądała na niego zamyślona; była to okruszyna przeszłości, po której ona płakała.

Przywlókłszy się, oparł o słup przy ganku, zdjął czapczynę i patrzał na nią przez łzy, jak w tęczę.

— A! paniusiu, paniusiu!—odezwał się—gdybyście wy wiedzieli, kogom to ja spotkał i mówił z nim?

Wzrokiem tylko wyzwała go na odpowiedź Anna.

— Złoczyńcę tego, Wojtaszka!—zawołał Borowski. Śmiał zdrajca zbliżyć się do mnie! Śmiał mówić!

Słów mu już nie stało.

— A! gdybym siłę miał!—rzekł Borowski.

— Jest tu?—złamanym i drżącym głosem spytała Anna, bledniejąc.

— U króla na dworze!

— Mówili, że znikł, że go nigdzie dopytać nie mogli— dodała córka Samuela.—Ty mi dobrą nowinę przynosisz, Borosiu. Jest tu? Wszak my z nim jeszcześmy nie skończyli rachunku!

I nagle uskoczyła przez próg do domu, bo więcej już mówić nie mogła, łzy ją dławiły.

Gdy ciało nieboszczyka Samuela do zamku Spytków i do grobów ich wieźć miano, wszyscy stali otaczając trumnę, a marszałek Andrzej przemawiał do tłumów... Anna też w pierwszym rzędzie oczy zapłakane tuląc, sparta na ręku starej sługi—szlochała. Jedna jej ręka zwisła bezładnie spoczywała na sukni żałobnej. Nagle uczuła, że jej ktoś w dłoń ciśnie węzełek i posłyszała głos szybki, nieznany nad uchem:

— Ojciec ci to przysyła... Zmoczona była w krwi jego!

Nim Anusia, oczy odsłoniwszy, obejrzała się, aby zobaczyć, kto jej to oddawał, już opończą i żałobnym kapturem okryty mężczyzna był o kilka kroków, cisnął się precz i znikł w tłumie.

Trzymała w ręku coś zawiniętego w chustę białą, a gdy ją rozwiązała, zobaczyła ową znaną sobie, jedwabną, którą Samuel miał w podarku od chana perekopskiego szytą. Krzyknęła, ujrzawszy ją, bo cała sztywna była i czarna od zaschłej na niej krwi. Z tą chustą ojciec dzieciom zemstę przekazywał.

Dlaczego nie oddano jej Olesiowi?

Anusia przycisnęła ją do piersi, całowała, płacząc, z nią szła całą drogę za pogrzebem, nie pokazując bratu, z nią klęczała przy trumnie ze zwłokami, gdy ją do sklepu spuszczać miano; a wreszcie przy ołtarzu przysięgła, cisnąc ją, pomstę zabójcom ojca.

Oleś wcale o niej nie wiedział.

— Mnie ją ojciec przekazał—mówiła do siebie.—On ma inne przeznaczenie, ja tylko zemstę za ojca. Oddam mu ją, jeśli umrę, nie spełniwszy, com powinna.

Od tej chwili Anna nie zdjęła jej z piersi ani na chwilę, a gdy płakała po ojcu, moczyła ją łzami.

Ale dziewczynie, kobiecie łatwiej zemstę poprzysiądz, niż ją dokonać.

Teraz, gdy jej Borowski o Wojtaszku oznajmił, chustka zapiekła ją na piersiach, poruszyła się, jakby głos z grobów usłyszała:

— Ten moim zabójcą!

Na kimże się słuszniej mścić mogła, jak na nim! On był sprawcą!

Chodziła przez wieczór cały z tą myślą, powtarzając sobie:

— Krew ojca woła o pomstę nad nim!

Nazajutrz zerwała się rano. Szukała ludzi, mierzyła ich oczyma, wybierała dumała,—wtem się jej nastręczył Luzicki.

— Chodź za mną—zawołała do niego,—wiodąc z sobą żywo do swej izdebki.

— Kochałeś pana?—poczęła prędko, zwracając się do stojącego w progu.—Prawda? kochałeś go? Płaczesz po nim? Wiesz, kto go wydał i zdradził? Damyż my żyć mu i chwalić się, że pokonał Zborowskiego, nikczemnik ten, Wojtaszek?—On jest tu! Szukaj sobie pomocników, wymyśl sposób, ale go zabić potrzeba... tam pod Lubranką, gdzie ojca ścięto... i ciało rzucić, aby je psy rozszarpały!

Mówiła cała drżąca; Luzicki słuchał, chwytając wyrazy i powoli wyrozumiewając, czego po nim wymagała.

Anusią po kilka razy powtórzyła mu:

— Zabić go! zabić!

Stary sługa, zwiesiwszy głowę, dumał, nie odpowiadając jeszcze.

Anusia mówiła ciągle.

— Służy u króla na dworze, ale z zamku go łatwo wywabić można. Alboż na śmierć nie zasłużył? Czyż my tak już słabi jesteśmy, że jednego nawet nie zmożemy?

Luzicki był już przyszedł do siebie.

— Poczekajcie mało paniusiu moja — rzekł wąsa gładząc—dajcie no mi się rozpatrzeć. Ja się nietylko jednego, ale i dziesięciu nie zlęknę, ale potrzeba się tak sprawić, aby śladów na Zborowskich i ich sługach nie było. Dajcie mi czas. Nikt się o niego nie upomni, nawet król, bo to wiadoma rzecz,—zdrajcami się posługuje, ale ich nie żywi i nie miłuje. Stanie się po waszej woli, ino... cicho!

Anna zbliżyła się do niego.

— Co mam pieniędzy, portugałów, maneli, kanaków resztki po matce, oddam wszystko! Ja tego nie potrzebuję, a wy ludzi zapłacić musicie. Pożyczę od Włodkowej, wezmę od Stadnickich. Olesiowi o tem ani słowa, on wiedzieć nie powinien. On do czego innego przeznaczony, na nim przyszłe odrodzenie domu naszego.

Palec położyła na ustach, oglądając się dokoła. Luzicki mało co już słuchał, tak był tem przejęty, co na niego spadło.

Pomścić się na niecnocie Wojtaszku!

Wszyscy oni tego pragnęli, serce mu stare biło po młodemu, dłoń drgała... Ukląkłby był przed tą Anusią, tak mu się wydała do ojca podobną, godną jego.

— W niej jego gorąca krew płynie—szeptał wychodząc.

Luzicki odział się potem zaraz paradnie, nabity dobrze worek wsunął do kieszeni i poszedł na miasto. Pytała o niego później Anusia, ale nikt go nie widział, a nazajutrz odjeżdżać musiała. Z rana, gdy już wozy stały, zawołano go do niej.

— Luzicki—rzekła, oddając mu worek—ja jechać muszę. Coś ty zrobił?

— Jedźcie z Bogiem, paniusiu — odparł spokojnie sługa—jam jeszcze nic nie zrobił, ale ci się klnę na pamięć nieboszczyka: stanie się, jakoś rozkazała! Czas na to mieć muszę!

Zamilkł nagle i powtórzył.

— Jedźcie z Bogiem. Nawet dobrze jest, że pojedziecie, wam tu być nie potrzeba.

— Pewnym jesteś swego?—spytała.

— Albo ja, albo on—rzekł Luzicki lakonicznie—ale Pan Bóg zdrajcom nie pomaga... Krew za krew być musi, aby pan w grobie pomszczony spoczywał.

Łzy mu płynęły z oczów, rozgorzał cały, pokląkł przed panienką, złożył palec na palec i krzyknął z zapałem:

— Chyba żyw nie będę, jeśli nie zginie!

Anusia tegoż dnia wyjeżdżać musiała z Włodkową, która wielce się o jej los troszcząc, nie doczekawszy końca żałoby, męża jej szukała i koniecznie wydać ją chciała. Nie mówiła jej o tem, ale woziła się z nią po domach pokrewnych, gdzie tylko o młodzieży zasłyszała.

I zamiast do Piekar jechała z powrotem na Proszowice. Miała tam młodego Tarnowskiego jakiegoś na oku.

Pod noc trzeba było stanąć w gospodzie we wsi, gdzie dworu nie było. Deszcz lał i noc nadchodziła, a gospoda zajęta przez powozy pańskie i dwór, nie miała wolnego kąta. Ale służba tych, co pierwsi tu zajechali, zrobiła im miejsce i izbę jedną opróżniono.

Podróżną, która się okazała tak gościnną, była niemłoda już pani, jak Włodkowa i Anusia cała w kirze

Służba też jej i konie nawet miały odzież i kapy czarne. Posłano dowiedzieć się, komu dziękować miały, i Włodkowa w ręce plasnęła, słysząc.

— Andrzejowa Wapowska, kasztelanowa przemyślska! Żona to była niegdyś, wdowa dziś po tym, którego Samuel zabił. Z nią pod jednym nocować dachem? Jej dziękować?—wołała poruszona Włodkowa.

Wtem Anusia wstała z ławy.

— Ale ja jej nietylko za gospodę dziękować powinnam—zawołała gorąco.—Wołał i posyłał do niej Zamojski, aby na ojca za zabójstwo instygowała; odpowiedzieć mu kazała, że Bogu pomstę poleca, a nad uciśnionym przemocy wywierać nie chce...

Z gorączkowym pośpiechem, Anna, ani słuchając Włodkowej, wybiegła. Jak ojciec nigdy ona nie namyślała się długo, gdy serce się w niej poruszyło. Wstrzymać jej już nie było można.

W drugiej izbie gościnnej zastała niewiastę poważną, we wdowim czepcu, z długim, czarnym różańcem w ręku, z twarzą spokojną i łagodną, zajętą chłopczykiem, który stał przy niej.

— Kasztelanowo!—zawołała Anusia od progu—przyszłam wam dziękować, ale nie za gospodę! Nie, za miłosierdzie wasze, za wielką litość nad panem a rodzicem moim. Jestem córką Samuelową!

I płakać zaczęła.

Powstała powoli pani Wapowska, zbliżając się ku niej z twarzą smutną a łagodną.

— Dziecię moje—rzekła,—uspokój się! Nie masz mi za co dziękować... Pan Bóg mi dał pokój ducha i możność przebaczania wszystkim, bo to jest prawo Jego, nie krew za krew, nie ząb za ząb, ale dobrem za złe płacić. I ja młodszą będąc, pobłądziłam też gorącą miłością dla pana a małżonka mojego i pragnęłam zemsty za niego. Woziłam zwłoki jego do króla, nie dawałam pokoju senatorom, godziłam na życie ojca twego, ale Bóg dał mi opamiętanie, a nauczył mnie, że pomsta do Niego należy, nie do nas, że my się mścić nie mamy prawa, a powinniśmy przebaczyć wszystko! wszystko!

— Jako? wszystko? Nawet zdrajcy, który wydał na śmierć, nawet katowi, co zamordował?—przerwała Anna.

— Wszystko i wszystkim!—potwierdziła Wapowska. Tak jest dziecko moje. Pomsta Bożą sprawą być powinna, naszą — przebaczenie. Sędzią jest Pan nasz i mścicielem... a nam On kochać kazał nawet nieprzyjacioły.

Anna, jak gdyby po raz pierwszy w życiu podobne słowa słyszała, stała zdumiona, lecz biedne jej, długo uciśnięte serce zwolna otwierało się prawdzie.

Wapowska posadziła ją obok siebie i mówić zaczęła.

— Chrystus Zbawiciel nasz, pierwszy nam przyniósł to prawo miłosierdzia, ten nakaz przebaczania. Mieści się on w Jego świętej modlitwie... „i odpuść nam nasze winy...''

— Więc zemsta nie jest obowiązkiem?—podchwyciła Anusia.

— Grzechem jest—ciągnęła dalej Wapowska.—Dlategom ja, gdy mnie wezwał kanclerz, na ojcu twym wywierać jej nie chciała, nie mogła. Posłuszną byłam prawu!

Anna miała łzy na oczach, a na piersiach paliła ją chusta, krwią ojca zbroczona. Zwolna dobyła ją i rozłożyła na kolanach.

— We krwi swej zmoczoną kazał mi oddać nieboszczyk — rzekła.

— Połóż ją u stóp ołtarza, dziecko moje—odpowiedziała kasztelanowa—i Bogu przekaż ukaranie! Twoim obowiązkiem modlić się za rodzica.

Długo tak jeszcze mówiła kasztelanowa, a Anusia czuła w sobie uspokojenie wielkie. Zstępował na nią spokój, jakiego nigdy nie doznawała wprzódy, łzy płynące ulgę jej przynosiły, i na sercu nie było tak ciężko.

Gdy potem pochyliwszy się do kolan kasztelanowej, pożegnawszy ją, powróciła do Włodkowej, ta ledwie poznać mogła swoją Anusię, tak się w niej zmieniły myśli i uczucia. Cud się stał wielki.

Włodkowa przyznała się jej, dokąd z nią wybrała się w drogę, co Anna obojętnie przyjęła.

— Widzicie—rzekła, potrząsając grubym kirem, którym była okryta—żałoba się nie godzi z weselem... Nie

myślcie o tem, a gdy będzie można, zawieźcie mnie zpowrotem do Krakowa. Ze sługami ojcowskimi widzieć się potrzebuję.

Nie przyznała się siostrze, iż zemstę zdała na Luzickiego, a teraz już jej nie pragnęła—Bóg skuteczniej miał pomścić krew Samuela.

Następnych dni Włodkowa poznać dawniej namiętnej dziewczyny nie mogła; stała się smutną a łagodną. Pytała, czy nie chora,—odpowiedziała, że owszem lepiej, niż kiedy się czuje, a prosiła się do kościoła, do którego Włodkowa chodzić dawno była odwykła.

Przed ludźmi utyskiwała wdowa.

— Jaką ja mam biedę z tem dziewczęciem, bo się jak pawi ogon mieni w oczach. Naraz złagodnieje jak baranek, to znów sroży się i wyrywa, jak wilczyca. Teraz na nią przypadło nabożeństwo i płacz... modli się i łzy leje. Długo to tego będzie?

Z podziwieniem Włodkowej pobożność i łzy trwały; z niemi powróciła do Krakowa, do którego Anusia bardzo pragnęła dostać się co najprędzej.

Przyjechały wieczorem późnym i natychmiast Anna upominała się o Luzickiego, ale jej powiedziano, że go w Krakowie pod ten czas nie było. Czekać więc musiała, ale codzień słała pytać o niego i za każdym razem jej powiadano.

— Niema go jeszcze.

Włodkowa, śledząca ruch jej każdy, nie mogła nic zrozumieć.

— A co ci tak pilno Luzickiego widzieć?—zapytała.

— Stary sługa ojcowski—odparła, oczy spuszczając, Anusia—radabym go zobaczyć. Dawałam mu różne zlecenia... nie wiem, czy je spełnił!

O Luzickiego tymczasem trudno się było dowiedzieć. Mówili znajomi, między innymi Borowski, który zawsze się tu chronił, że nagle wyjechał i nie mówił, kiedy powróci.

Nie śmiało dziewczę zapytać się go o Wojtaszka długo... naostatek raz wyszeptała nieśmiało:

— A Wojtaszka nie widziałeś?

— Nie rzekł Borowski.—Widywałem go chodzące-

Luzickim, bo się coś bardzo z sobą pokumali, a to mi było przykro... potem Luzicki gdzieś pojechał, a o Wojtaszku ani słychu.

— Popytajże o niego na zamku—dodała Anusia—masz tam pewnie znajomych.

Powlókł się tegoż dnia Borowski i powrócił zdyszany, bo mu z nogami obrzękłemi bardzo ciężko było chodzić. Zameldował się zaraz do panienki.

— Chodziłem na zamek dowiedzieć się o Wojtaszka—rzekł, kłaniając się—ale ani muzycy, jego towarzysze, ani nikt we dworze nie wie o nim, a tak mało dbają o Wojtaszka, że nawet nie dochodzą, gdzie się podział. Ostatniemi czasy śpiewał dużo na mieście i wesół był, a dobrej myśli. Mówią, że pana Cobara prosił, aby go ode dworu puścili, że chciał sobie gdzieindziej szukać szczęścia. Pewnie, nie doczekawszy się odpowiedzi, wziął nogi za pas i uszedł.

Ruszył ramionami Borowski.

— Niema się co o przecherę troszczyć... nie zginie to paskudzstwo.

I splunął.

Czas upływał, a Luzickiego jak nie było, tak nie było.

Już pod zimę, gdy znowu Anusia przyjechała z Włodkową do Krakowa, a zapytała o niego, powiedziano jej, że nie wrócił. Domyślano się, że do stryjecznego na Podole się wyniósł.

Wtem jednego dnia, na chudym koniu, w opończy wydartej i połatanej, zjawił się Luzicki, ale zarosły, z brodą siwą, zapuszczoną, że go ledwie poznali.

Borowski, który stał w podwórzu, zawołał na niego.

— A toś się wyniósł! panienka się ustawicznie o ciebie dowiadywała... co się z tobą stało? Myśmy już tylko za waszeci na podzwonne nie dali...

— Panienka jest tu?—zapytał Luzicki.

— A jest—rzekł Borowski.—Odziej się i idź do niej, bo oczy za tobą wypatrzyła.

Niespokojny poszedł zaraz konia postawić Luzicki, potem się przebrał, ale ubogo, bo mało co snać miał i pośpieszył do Anny.

Zobaczywszy go, dziewczę z krzykiem podbiegło ku niemu.

— A, Luzicki mój! Com ja się o ciebie natroskała... gdzieś ty był? Co się z tobą stało? Ani słuchu o tobie... a ja miałam tak pilną do ciebie potrzebę.

Obejrzał się stary niespokojnie dokoła i obie ręce przyłożywszy do ust, stłumionym rzekł głosem:

— Rozkaz spełniony!

Anna uderzyła w ręce.

— Co mówisz?

Pochylił głowę na piersi stary i powtórzył.

— Spełniono, coście przykazali. Niema go... niema...

Zaczerwieniła się i pobladła Anna.

— A mój Boże?—zawołała, lecz dokończyć nie miała siły.

Zdziwiony Luzicki postrzegł, że zamiast się uradować, zasmuciła się mocno. Sądził, że się ulękła może.

— Nikt nie wie o niczem—rzekł—ja nawet... nie wiem. Dosyć, że go niema. Jak w wodę wpadł, bo może w istocie wszedł w wodę, kto to może wiedzieć... albo go może gdzie napiłego w browarze zasiekli i precz wyrzucili, bo pił dużo... albo... wywędrował na drugi świat, sobie wiadomym tylko gościńcem. Dosyć, że ani śladu po nim. Na zamku coś w węzełkach po nim pozostało, chudoby niewiele; to słyszę, muzykanci rozdzielili pomiędzy siebie, bo się już powrotu nie spodziewają. Lutnię po nim znaleźli ponou Krzaczkowej w gospodzie na ławie. Skąd się ona tam wzięła,—kto to wiedzieć może? Ja nie wiem, ja nic nie wiem, nikt nie wie i wiedzieć nie będzie.

Annie pytania na ustach zamarły, słuchała drżąca. Luzicki zamilkł, odchrząknął i raz jeszcze potwierdził.

— Dosyć, że się już po świecie włóczyć nie będzie. Nóżki całuję!

I wyszedł nagle.

Chciała go jeszcze rozpytywać Anusia następnych dni, wołała do siebie, ale więcej o niczem dowiedzieć się nie mogła, prócz, że Wojtaszka na świecie nie było.

KONIEC.

